

KATE QUINN

RODZINA BORGIOW

WAŻ
i PERŁA

Wydawnictwo
ab
two

Kate Quinn
WAŻ I PERŁA

Przełożyła Dorota Konowrocka-Sawa



*Dla niezwyklej babci mojego męża, która stała się
inspiracją dla postaci Carmeliny, Mildred Jackson,
noszącej przed zamążpójściem nazwisko Carmelina
Mansueto, krewkiej sycylijskiej kucharki, która nigdy
(z tego, co mi wiadomo!) nie gotowała dla papieża ani
nie broniła cnoty przed zakusami księcia z rodu Borgiów,
ale usmażyłaby ci uszy na patelni, gdybyś dopuścił się
połamania spaghetti
przed wrzuceniem go do garnka zamiast poczekać, aż się
w nim łagodnie ułoży.*

Część pierwsza
maj – sierpień 1492

Rozdział 1

Uzbrojeni prorocy zwyciężają.
NICCOLÒ MACHIAVELLI

Carmelina

Przyjechałam do Rzymu, nie posiadając nic z wyjątkiem zmiętego pliku przepisów i zmumifikowanej dłoni. Jedno było moją hańbą, drugie – przy odrobinie szczęścia – mogło zapewnić mi przyszłość.

– Święta Marto, nie zawieź mnie teraz – wymamrotałam, poklepując niewielkie wybrzuszenie pod spódnicą, po czym zapukałam.

Musiałam zapukać czterokrotnie, zanim ktoś wreszcie zdecydowanym szarpnięciem otworzył drzwi. W progu stała służąca o twarzy tak zmarszczonej złością, że przypominała orzech.

– Tak? – warknęła, taksując mnie wzrokiem od stóp do głów. Byłam wysoka, moją pociągłą twarz w najlepszym razie można było uznać za pospolitą, a tamtego ranka z pewnością nie wyglądałam najlepiej, lecz nie musiała mi dawać tego tak wyraźnie do zrozumienia.

Pospiesznie przywołałam na twarz promienny uśmiech.

– Szukam mistrza Marca Santiniego. Czy to on jest tutaj *maestro di cucina*?

– Nie ty jedna go szukasz. Jest ci winien pieniądze? Ostatniego wierzyciela musiał spłacić przyprawami i pani Adriana nie była tym zachwycona...

– Jest moim kuzynem. – Na razie trzymałam się prawdy, ale jeśli coś jeszcze będę musiała jej powiedzieć, zapewne będzie to mniej lub bardziej mijać się z prawdą.

– No cóż, nie ma go tutaj. Syn pani Adriany się żeni i poprosiła tego swojego kuzyna, co jest kardynałem, aby u niego zostało zorganizowane wesele. Mistrz Santini przygotowuje teraz wraz z resztą służących ucztę weselną wyprawianą w pałacu kardynalskim. Boże! – wymamrotała cichszym nagle głosem. – Oby tylko tam był...

– Gdzie? – Mój uśmiech znikł. Przemierzyłam już pół miasta w przyciasnych, używanych butach, stopy mnie bolały, a pot ściekał mi ciurkiem po plecach, bo nawet pod koniec maja rzymski poranek nie miał prawa być tak upalny, i jeśli ta głupia baba zamierzała mi dalej stać na drodze, byłam gotowa uciąć jej kciuki, usmażyć je na dobrej oliwie z odrobiną czosnku i wepchnąć jej do gardła. – Muszę go koniecznie odnaleźć, signora.

Niechętnie wskazała mi drogę, więc oszczędziłam jej kciuki i zanurzyłam się na powrót w chaosie zwanym Rzymem. Kiedy indziej chłonełabym ten zgiełk, gwar i tłok, tak odmienny od cichych kanałów, które przywykłam nazywać domem, ale życie nie dało mi wyboru. Z jednej strony mijały mnie turkoczące

powozy, z drugiej przepychali się buńczuczni młodzieńcy w wielobarwnych dubletach, bystrookie służące odliczały monety niestrudzenie nagabującym je przekupniom, bezpańskie psy obwąchiwały mi spódnice, ale ja na nic nie zwracałam uwagi. Torowałam sobie przejście w tłumie jak ślepiec, odnajdując je wciąż na nowo w tym rozkrzyczanym, kolorowym tunelu, którym podążałam na południe przez całą drogę wiodącą z Wenecji do Rzymu. Na końcu tego naznaczonego lękiem tunelu stał Marco: kuzyn, którego nie widziałam od pięciu lat, a który jakimś cudem stał się moją ostatnią deską ratunku.

No cóż, może nie dostrzegałam zbyt wiele, ale mój nos – i owszem. Chociaż serce waliło mi jak młotem, kolana się pode mną uginały, a po głowie kołatały przerażone myśli o tym, że jestem skończoną idiotką – nos niestrudzenie oddzielał smrody Rzymu od jego aromatów. Kucharz węszy mimowolnie. Moje życie rozpadało się właśnie jak jeden z tych niepraktycznych pucharów z Murano, które pękają pod ciężarem samego spojrzenia, a tymczasem mój nos donosił radośnie: gnój, owszem, ze wszystkich powozów... krew wołu, ach, w Wenecji tego nie mieli... o, tamten zapach przywołuje na myśl rozgrzany słońcem marmur, a czym jest ten niewyraźny, słodki aromat? Czy to kadzidło? Tak, kadzidło, oczywiście, przecież w tym mieście na każdym placu stoi kościół lub kapliczka. Nie musiałam otwierać oczu, by mój niestrudzony nos kucharki

podpowiedział mi, że nie jestem już w Wenecji. W Wenecji pachniało siarką, cegłą i rozgrzanym szkłem topniejącym w promieniach gorącego słońca. Pachniało zgnilizną z kanałów i solą z laguny. Wenecja była domem.

Już nie jest. Przypomniałam sobie o tym ponuro, przechodząc przez Ponte Sant'Angelo, gdzie zawisali złodzieje mający mniej szczęścia niż ja, czyli ci, którzy mieli pecha i zostali złapani. Dostrzegłam jednego świeżego trupa. Zanim go powiesili, obcięli mu dłonie i uszy, po czym zawiesili mu je na szyi. Otaczała go wwiercająca się w nozdrza woń rozkładu. Obok złodzieja wisiał głową w dół heretyk, z którego zostało niewiele poza kilkoma obdziobanymi kośćmi. Nad mostem krążyły niezmordowane kruki, dziobiąc i połykając resztki. Zmówiłam szybką modlitwą, by nigdy nie zerowały na moich kościach. W tym momencie nie było to wcale takie pewne i przez chwilę sądziłam, że mój podrażniony żołądek zwróci tę odrobinę jedzenia, na którą mogłam sobie tego ranka pozwolić.

I wtedy dostrzegłam swój cel: w połowie drogi między Campo de' Fiori i Ponte Sant'Angelo pysznił się przebogaty pałac kardynała.

– Nie sposób go przeoczyć – powiedziała do mnie zgorzkniała starucha w fartuchu. – Ten ogromny herb nad drzwiami aż bije po oczach. Ma w nim byka. Czy to aby stosowny klejnot dla sługi bożego?

Gdybym nawet przeoczyła byka, drogę wskazałby mi nieomylnie tłum ludzi przeciskających się przez wielkie drzwi. Damy we wzorzystych aksamitach i lekkich jak piórko woalach, duchowni w szkarłatnych i purpurowych szatach, fircyki o upierścienionych palcach wystrojeni w dublety z sutymi, rozciętymi rękawami – w rzeczy samej, goście weselni w oczekiwaniu na przybycie panny młodej.

Wielkie, podwójne drzwi nie były przeznaczone dla kogoś w przyciasnych butach i połatanej, niedopasowanej sukni kupionej od handlarza, który próbował mi wmówić, że plamy na jej brzegu to haft, a nie zaschłe błoto. Dla dostawców i służących jest zawsze oddzielne wejście, więc już po chwili pukałam do innych drzwi. Tym razem nie miałam nawet czasu, by poklepać zawiniątko pod spódnicą i wymamrotać pospiesznie modlitwę, bo drzwi niemal natychmiast z impetem otwarły się na oścież.

– Dzięki Bogu, mistrzu, jesteś... – Młody mężczyzna w fartuchu urwał w pół zdania i wytrzeszczył na mnie oczy. – Kim jesteś?

– Carmelina Mangano. – Czułam, że pukiel krótkich czarnych loków wysunął mi się na czoło spod pospiesznie zaimprovizowanego ze sztuki poplamionego materiału zawoju. W upale włosy zaczynały mi się kręcić jak oszalałe. – Mój kuzyn, mistrz Marco Santini...

– Tak? – gorączkowo wpadł mi w słowo uczeń. –

Wiesz, gdzie on jest?

– Miałam nadzieję, że ty mi powiesz.

– Święta Panienko! – jęknął chłopak. – Wymknął się dziś rano, żeby pograć w kości... Powiedział, że tylko jedną partyjkę, najwyżej godzinę, żeby odprężyć się przed uczta. Wszyscy anieli i święci, miejcie nas w swej opiece! Nie ma go od kilku godzin, jesteśmy ugotowani...

Wyglądało na to, że Marco wrócił do swoich starych zwyczajów. Jak mawiał mój ojciec, „ma nos do sosów i rękę do ciasta, ale w głowie mu tylko karty i kości!”.

Uczeń odwrócił się od drzwi, jęcząc i skarżąc się grupce sług w umączonych fartuchach, a mój nos niemal omdlał z rozkoszy.

Szafran. Och, moja poczciwa święta Marto, kiedy to po raz ostatni czułam zapach szafranu? Albo słodkie skwierczenie kaczki obracanej na rożnie i podlewanej miodem i sokiem z pomarańczy? Ten ostrzejszy zapach to zapewne ocet winny, znakomity produkt z Modeny, tak jednocześnie cierpki i łagodny, że na jego smak łyzy same napływają do oczu...

Przez kilka ostatnich tygodni czułam jedynie kwaśny smak i ostry zapach strachu... Teraz poczułam coś innego – coś dobrego – i strach prysł. Mimowolnie podążyłam za swoim oczarowanym nosem do kuchni, mijając grupkę zaaferowanych uczniów. W kuchni roiło się jak w ulu, ale ja tylko zamknęłam oczy

i z zachwytem wciągnęłam powietrze. Oliwa... Dobra oliwa wesoło skwiercząca na patelni, a nie stara i zjełczała uwięziona w jakimś słoju. Oliwa tak jeszcze świeża tuż po wyłoczeniu, że podczas nalewania można dostrzec jaskrawą zieleń. Słodka ostrość ledwo co zmielonej papryki... Lekko przydymiona słoność sera świeżo odkrojonego z koła... Co najmniej od roku nie czułam zapachu dobrego sera. Mąka zmielona tak drobno, że jej obłoczki unoszą się w powietrzu, i coś smakowitego zapiekanego w piecu...

Albo spalającego się w piecu! Otworzyłam szeroko oczy i zobaczyłam wymowny dym wydobywający się z najbliższego pieca. Rzuciłam się przez kuchnię, zbierając w garście poplamioną spódnice, i przez materiał chwyciłam gorącą brytfannę, wyciągając ją pospiesznie z ognia. Skórka ciasta spaliła się i popękała. Zanim zdążyłam się opamiętać, wrzeszczałam już na całe gardło.

– Marto przenajświętsza! – krzyknęłam i grupka zaaferowanych służących i uczniów w białych fartuchach odwróciła się ze zdumieniem w moją stronę. – Jak mogliście spalić tartę? Gdybyście pracowali dla mnie, pokroiłabym was wszystkich w kostkę i wrzuciła do zupy jarzynowej!

– A kim ty właściwie jesteś? – zapytała jedna ze służących, mrużąc oczy.

– A jakie to ma znaczenie? – prychnął jeden z uczniów. – Mistrz Santini urwał się znów na partyjkę

kości i jeśli nie przygotujemy tej cholernej uczyty weselnej...

Oni zaczęli się kłócić, a ja obrzuciłam kuchnię uważnym spojrzeniem. Co za widok! Przed wszystkim była mała i ciasna. Być może kardynał z bykiem nad drzwiami wydał fortunę na elegancki, obwieszony gobelinami hol wejściowy, do którego udało mi się zerknąć, gdy do środka wlewał się potok gości weselnych, ale na swoją kuchnię nie przeznaczył ani dukata. Jednak to nie z powodu ciasnego, okopconego komina, wygiętego różna czy niewygodnie umiejscowionych stołów na kozłach zaczęłam kłąć. Do szewskiej pasji doprowadził mnie widok pieczonego drobiu, którego nikt nie obracał na rożnach ani nie polewał sosem, mis mąki, której nikt nie wyrabiał na ciasto, i jaj, których nikt nie ubijał w smakowite pienne góry. Widok niegodziwości, niemoralności, zła w czystej postaci i wręcz końca świata: widok kuchni w nieładzie.

– Jeśli podamy na stół tylko pieczonego pawia – zastanawiał się właśnie jeden z kuchcików – to czy myślicie, że będą się skarżyć na brak cielęciny?

Ucięłam te dywagacje:

– Ilu mamy gości weselnych?

Popatrzyli po sobie w popłochu. Doprawdy nie musiałam sobie zadawać trudu gotowania ich w zupie jarzynowej – już w tej chwili w głowach mieli niewiele więcej.

- Jadłospis – warknęłam. – Słucham.
- Paw w całości, podawany w piórach...
- Cielęcina w wiśniach łutówkach...
- Gruszki bergamotki z goździkami...

Chór bezładnych głosów zlał się w końcu w jadłospis. Całkiem niezły, trzeba przyznać. Marco był uzależnionym od hazardu utracjuszem, ale ten utracjusz uczył się gotować pod okiem mojego ojca i bez wątpienia potrafił to robić.

Podobnie jak ja. Nie było tu ani jednego przepisu, którego nie znałabym równie dobrze, jak własnego imienia.

– Poproszę mały nóż. – Rozejrzałam się po kuchni, znalazłam porzucony fartuch i przewiązałam nim swoją żalosną sukienczynę. – Gdzie są cebule? Najlepsze byłyby genueńskie, jeśli macie.

Chłopcy pilnujący garnków wbili we mnie spojrzenia, pocąc się obficie nad paleniskiem. Ubrani w białe fartuchy uczniowie stali wśród chaotycznie rozstawionych garnków i misek za długimi blatami ułożonymi na kozłach i wbijali wzrok w ziemię. Służące przysłoniły usta dłońmi i szeptały, stojąc przy zlewach, w których piętrzyły się góry brudnych naczyń.

– Kim ty właściwie jesteś? – wypalił w końcu grubiańsko jeden z uczniów. – Nie będziesz nam tutaj rozkazywać.

Ach, ten ton bezczelnego czeladnika. Kiedy to po raz ostatni rozstawiałam po kątach takich jak on? Chyba

jeszcze dawniej niż wówczas, gdy po raz ostatni czułam aromat wybornego sera.

– Jestem kuzynką mistrza Santiniego. – Uśmiechnęłam się życzliwie, po czym znalazłam niewielki nóż i zaczęłam się rozglądać za genueńską cebulą. – A ty jak się nazywasz?

– Piero. Ale tylko dlatego, że jesteś jego kuzynką...

– Goście weselni już się schodzą, Piero – przerwałam mu, a w moim głosie nie pobrzmiwała już poprzednia słodycz. Teraz przeszedł w zjadliwy szept, ten sam szept, którym mój ojciec smagał jak biczem, przyginając harde karki do ziemi. – Goście weselni zaraz tu będą, a paw nie został nawet zdjęty z rożna. Ciasto niezagniecione. Jedyńm daniem wyłożonym na półmisek w tym dziewiątym kręgu piekła, który nazywacie kuchnią, jest smakowicie wyglądająca aloza, o tam. I właśnie zjada ją kot.

Służące i pomywaczki popatrzyły po sobie, burcząc coś niewyraźnie. Kot syknął na mnie wściekle. Był to ogromny kocur z poszarpanym uchem, który nieśpiesznie oblizywał rybę na całej jej długości. Piękna aloza, nienagannie przyrumieniona i podduszona w czymś, co było, jak podejrzewałam, sosem cynamonowo-goździkowym opisanym przez mojego ojca szczegółowo w pliku przepisów skrywanych przeze mnie w sakiewce, strona trzysta osiemdziesiąta szósta, rozdział Sosy. Chociaż kiedy to ja przyrządzałam ten sos, lubiałam dodać szczyptę soli i odrobinę octu do

smaku oraz dosłownie kilka nitek szafranu, by nadać mu odpowiedni kolor...

– Wynocha! – Spędziłam kota na podłogę i popchnęłam go bezceremonialnie stopą w kierunku drzwi. – Wynocha! Chyba że chcesz skończyć na rożnie! A teraz, przygotowane półgłówki, może byście mi łaskawie powiedzieli...

– Mistrzu Santini? – odezwał się za moimi plecami kobiecy głos.

Obróciłam się na pięcie i pospiesznie poszłam za przykładem służących, dygając przed tęgą, siwowłosą matroną w wytwornym czepcu na głowie.

– Mistrzu Santini, gdzie...? – Rozejrzała się niespokojnie po kuchni, jakby obawiając się, że coś może wybuchnąć na jej kasztanowe jedwabie.

– Pani Adriana... – rzekł ponuro nadąsany Piero, ale tu najwyraźniej wyczerpał mu się koncept. Obrzucił rozpaczliwym spojrzeniem rozrzucone garnki, brudne patelnie, góry mąki i zwęglone ciasto.

– Pani Adriana da Mila, jak sądzę? – Wysunęłam się naprzód, przywołując na twarz promienny uśmiech i mając nadzieję, że nie dostrzeże pod fartuchem mojej poplamionej sukni. – Mistrz Santini często mi wspominał, jakim zaszczytem jest dla niego praca w twoim domu, pani. – Tak naprawdę nikt nigdy wcześniej mi o niej nie opowiadał. Znałam tylko jej imię, imię rzymskiej chlebowaczyni, która była na tyle głupia, by zatrudnić Marca w charakterze swojego

kucharza. Była to jedynie niepotwierdzona pogłoska przyniesiona przez mojego ojca, ale wąły trop tego imienia poprowadził mnie drogą na południe aż do Rzymu. – Nazywam się Carmelina Mangano, jestem jego kuzynką i właśnie przybyłam z Wenecji. Oczywiście zgodziłam się pomóc mojemu kuzynowi przy tak znamienitej uroczystości.

Cofnęła się i uniosła lekko podbródek.

– Zgodziłam się zapłacić za trzech dodatkowych pomocników w kuchni, nie czterech...

– Pracuję bez zapłaty, pani. – Przeżegnałam się skwapliwie. – To najświętszy obowiązek porządnej dziewczyny.

Pani Adriana się rozpromieniła. No tak, należała do tych prześwietnych, przyobleczonych w jedwab dam, którym oczy rozbłyskały nie na widok słodkości czy klejnotów, nie na dźwięk komplementów, lecz na myśl o tym, że można coś zyskać tanio. A najlepiej darmo.

– Uczta weselna syna, moja pani? – ciągnęłam przymilnie. Zjednywanie sobie protektorów jest wielką sztuką. Mój ojciec nigdy nie znalazł dobrego słowa dla własnej rodziny, lecz był mistrzem przy pochlebianiu się chlebowcom. Takie stare skąpiradło potrafił obłaskawić, przyprawić i nadziać na rożen, zanim zdążyło się zorientować, że zostało nabite. – Cóż za szczęśliwe wydarzenie! Zapewniam cię, pani, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

– Słyszałam krzyki. – Chlebowczyni mojego

kuzyna omiotła przenikliwym spojrzeniem paciorkowatych oczek kardynalską kuchnię. – Jesteś pewna, że wszystko będzie wkrótce gotowe? Orszak weselny minął już plac...

– Twój syn, pani, zapewne nie skosztuje nawet wszystkich przygotowanych przez nas dań, gdyż tak spieszno mu będzie zobaczyć pannę młodą, lecz mimo to będą gotowe.

Zastygłam z uśmiechem na twarzy, nie śmiałam odetchnąć, zanim Adriana da Mila nie rzuciła ostatniego wąpiącego spojrzenia.

– Nie marnujcie tego dobrego cukru! – rzuciła jeszcze ostrzegawczo przez ramię. – Jest bardzo drogi!

Po czym, Bogu niech będą dzięki, sobie poszła.

– A zatem! – Odwróciłam się do skulonej ze strachu grupki kuchcików i służących, przytupując groźnie stopą pod przewiazaną fartuchem spódnicą. – Wiecie już, kim jestem. Jestem tą, która potrafi wyczarować tę ucztę weselną z niczego.

Doprawdy? Przecież od dwóch lat nie gotowałam niczego na poważnie. Ale teraz było już za późno na rozmyślanie.

– Jestem tą, dzięki której nie straciecie posiad w domu pani Adriany – ciągnęłam najbardziej stanowczym tonem, na jaki potrafiłam się zdobyć.

Oni nie tracą posiad, a przy okazji i Marco zachowa swoją. W normalnych okolicznościach, gdyby mój kuzyn tak po prostu rozpląnął się w powietrzu

w samym środku przygotowań do przyjęcia weselnego, uciąłabym mu uszy i podpiekła je z bazylią i orzeszkami piniowymi, ale teraz skłonna byłam go ucałować z wdzięczności. Jeszcze się z nim nawet nie widziałam, a już był mi winien przysługę. Albo też będzie mi winien przysługę, o ile rzeczywiście uda mi się wyprawić tę ucztę.

Będzie musiało się udać. Bo przysługa, której oczekiwałam w zamian, nie była drobna.

Na myśl o tym, jakie podejmowałam ryzyko, serce zaczęło mi walić jak młotem, a w ustach poczułam znajomy smak strachu, kwaśny i zjełczały. Nie miałam jednak czasu na rozczulanie się nad sobą. Nie teraz. Byłam Carmeliną Mangano, córką wielkiego weneckiego kucharza i kuzynką kucharza rzymskiego, nawet jeśli ten ostatni był zgrywającym się w karty głupcem. Miałam dwadzieścia lat i być może wszystkim, co posiadałam, były zmumifikowana dłoń i wrażliwy nos, ale w najbliższej perspektywie miałam pełen dom głodnych gości weselnych i niech mnie święta Marta ugotuje i zje, jeśli ich odeślę z pustymi brzuchami.

– Słuchajcie mnie wszyscy! – Klasnęłam w dłonie, a kiedy to nie wystarczyło, by uciszyć gderanie uczniów, tupnęłam nogą. – Buzie na kłódkę, rączki pracują, bo jeśli orszak weselny dotarł już na plac, to znaczy, że nie ma czasu do stracenia. Piero, zdejmij tego pawia z różną, wysmaruj mu pierś miodem i obłóż całość kandyzowanymi orzeszkami piniowymi. Ty... Jak masz

na imię?

– Ottaviano...

– Ottaviano, bergamotki. Obierz je w gorącym winie i upiecz z odrobiną zmielonego cukru i całymi goździkami. Służące, przekąski. Jeśli taca będzie się uginała od przekąsek, goście nie zauważą, że pierwsze danie się spóźnia. Suszone figi, oliwki, kapary, te małe neapolitańskie limonki i tamtejsze różowe jabłuszka, liguryjski ser, jeśli macie...

– Nie wiem, gdzie...

– To poszukaj.

Przesunęłam palcami nad garnkiem zupy, którą ktoś zostawił na wolnym ogniu. Pociągnęłam nosem, który z zachwytem doniósł: pieprz, ocet winny, podsmażone trufle – ach tak, gulasz z ostryg, strona sześćdziesiąta czwarta, rozdział *Zupy i gulasze*. Znalazłam mały nóż i zaczęłam wyłuskiwać ostrygi do skwierczącej potrawy. W dalszej kolejności w garnku powinny się znaleźć malutkie pieczone kurczaki. Czy ktoś upiekł jakieś kurczaki? W polu widzenia miałam tylko rożen z upieczonym gołąbkim. Rzuciłam nóż na blat i wydobyłam z sakiewki (nie z tej, w której przechowywałam zmumifikowaną dłoń) zwitek papierów, które przerzuciłam aż do strony osiemdziesiątej czwartej. „Zamiast kurczaków można użyć gołąbka” – nagryzmolił mój ojciec swoim ściśniętym pismem. „Dodaj więcej octu winnego i nieco zmielonych mediolańskich migdałów, by zagęścić

bulion”. Przeglądałam jego zbiór przepisów po raz pierwszy od chwili, w której wykorzystując jego nieuwagę, wepchnęłam do sakiewki plik luźno związanych, postrzępionych na brzegach kartek zapisanych jego recepturami. Oczy mnie zapiekły, gdy spojrzałam na dziwne skróty, którymi się posługiwał, by zapobiec kradzieży sekretów swojej kuchni przez zazdrosnych rywali. Lecz nie przeze mnie... Przeczytałam wszystkie przepisy i teraz nazwy przypraw i mięs zaszyfrowane czarnymi liniami pisma były wszystkim, co mi po nim zostało.

Nieważne. Nigdy nie łączyło mnie z ojcem nic z wyjątkiem przepisów. Gdyby mnie teraz zobaczył, jako pierwszy zaciągnąłby mnie za włosy do Wenecji przed oblicze sprawiedliwości.

– Signorina, przekąski...

Znekane służące kręciły się przy mnie, zbyt zrezygnowane lub zbyt zrozpaczone, by zaprotestować przeciwko moim rozkazom.

– Wyłóżcie wszystkie sery, jakie macie, do tego mięsa na zimno.

Skończyłam z ostrygami i dokonałam szybkiej inwentaryzacji spiżarek, licząc dania. Słone przekąski zachęcające gości do sięgnięcia po wino... Gdy się już dobrze napiją, nie zauważą, jak późno pojawi się pieczony paw.

– Mortadela, solona wieprzowina, solone ozory wołowe. Prosciutto pokrój bardzo cienko, by wyglądało

jak marmur. Obierz te gruszki ze skórki, ptasi mózdzku, obierz je, zanim dodasz cukru!

Ciężkim krokiem minął mnie mamroczący coś pod nosem zarządca, za którym podreptał łańcuszek służących z dzbanami wina.

– Polewajcie hojnie! – krzyknęłam za nimi.

Czy sprawcami tej wrzawy nad moją głową byli już goście weselni? Zaniosłam ku niebu pospieszną modlitwę i rzuciłam się do siekania cebuli.

– Pomóż mi, święta Marto. Ty wiesz, jak to jest gotować dla ważnych osobistości.

Oczywiście święta Marta gotowała dla Pana Naszego, ale podejrzewałam, że w przypadku opóźnienia się posiłku On wykazałby znacznie większą cierpliwość niż syn Adriany da Mila i jego świeżo upieczona małżonka.

Z drugiej strony może wcale nie. Głodni goście to głodni goście. Poważnie powątpiewałam, czy ci niebiańscy byli bardziej przydatni niż ziemscy, jeśli chodziło o pomoc w kuchni. Mówi się, że Maria postąpiła mądrzej niż Marta, siadając u stóp Chrystusa i wielbiąc go, ale zawsze miałam więcej zrozumienia dla Marty. Ktoś w końcu musiał pozmywać po posiłku, kiedy cała reszta, siedząc u stóp Chrystusa, oddawała mu cześć. Chyba Chrystus też tak sądził, skoro uczynił Martę świętą, i to nie byle jaką świętą, tylko patronką takich jak ja kucharek z całego świata. Może przynajmniej raz był wdzięczny za smaczny posiłek,

który zwalniał go z obowiązku samodzielnego wyczarowywania ryb i chlebów.

Dobrze się ze świętą Martą rozumiałyśmy, i to na długo przed tym, jak zaczęłam nosić w sakiewce pod spódnicą jej wyschłą, martwą dłoń.

Mimo natłoku myśli nie mogłam powstrzymać uśmiechu, gdy moje palce sprawnie przylepiły kruszonkę ze świeżego sera, słodkiej oliwy z oliwek i genueńskich cebulek do spieczonej skórki ciasta. W małych, zatłoczonych wnękach kuchennych brzęczało jak w ulu, uczniowie harowali jak woły i nagle wyobraziłam sobie dobiegające z góry odgłosy przyjęcia: szelest drogich jedwabi, perlisty śmiech uszczęśliwionej panny młodej, brzęk delikatnego szkła, chrupnięcia, z jakimi słone orzeszki, daktyle w miodzie i kawałki liguryjskiego sera znikają w ustach kardynałów, gości weselnych i nowożeńca. I te pełne podziwu westchnienia rozlegające się w chwili, gdy wreszcie dwaj służący wnoszą na swych barkach kołyszącego się dumnie pieczonego pawia, mojego pieczonego pawia, w pełnym upierzeniu, znakomicie wypieczonego i wcale niewyglądającego tak, jakby jego pospieszne przygotowanie zajęło zaledwie jedną czwartą normalnie przeznaczanego na tę operację czasu (przynajmniej o ile ktoś nie przygląda się zbyt dokładnie).

Serce waliło mi jak młotem, skręcone loki znów wymknęły się spod krępującej je chusty. Przeszłość była

zamknięta, a przyszłość więcej niż niepewna. Przyszłość, którą zawierzałam szczęściu i moim nieco już przykurzonym umiejętnościom. Gdyby któreś z nich mnie zawiodło, skończyłabym prawdopodobnie na Ponte Sant'Angelo, zawisając obok innych złodziei i zdrajców, którym zabrakło szczęścia i talentów, albo zostałabym odesłana do Wenecji, gdzie spotkałby mnie jeszcze bardziej – Boże dopomóż! – makabryczny los. Ale moja tarta cebulowo-serowa perkotała już słodko i złociście w piecu, a w nosie znów wiercił mnie zapach oliwy i cynamonu. Ręce i niewątpliwie twarz miałam całe umączzone. Może i nie gotowałam od dwóch lat, lecz teraz byłam w swoim żywiole i niewiele było trzeba, by odświeżyć nieco zapomniane umiejętności. Nie straciłam wyczucia. Chwilowo nic więcej nie trzeba mi było do szczęścia.

Leonello

Człowiek po drugiej stronie stołu dowodził właśnie, że nie potrafi przegrywać z klasą, ale nie potrafiła tego większość moich przeciwników. Mężczyźni grający na pieniądze nie lubią przegrywać. Zwłaszcza z karłem.

– Fluxus – rzekłem, kładąc cztery karty na lepkiem od wina blacie. – Same czerwa. Pula należy do mnie.

– Czeka! – zaprotestował tęgi gość z lewej. – Nie widziałeś jeszcze moich kart!

– To bez znaczenia. Nie możesz mieć nic wyższego

niż numerus. – Pochyliłem się i zacząłem zbierać monety ze środka stołu.

Rzucił karty na stół, przeklinając pod nosem. Numerus – trzy dzwonki i jedno wino. Z takimi kartami na ręku nie dałoby się wygrać nawet tyle, by kupić kieliszek serwowanego w tej gospodzie sikacza, nie mówiąc już o zagarnięciu puli zgromadzonej na środku stołu. Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu i zacząłem podliczać wygraną.

– Jeszcze jedną kolejkę – rzuciłem do Anny obsługującej gości. – Dla moich towarzyszy to, co sobie życzą, a dla mnie to, co zwykle.

Anna mrugnęła okiem. Zwykle piłem wodę zabarwioną tylko taką ilością wina, by sprawiała wrażenie uczciwego trunku. Kiedy wino mieszała dla mnie wprawna dłoń Anny, mogłem zachować trzeźwość umysłu przez całą noc, gdy tymczasem moim partnerom coraz bardziej szumiało w głowach. Anna była największym atutem tej gospody, która poza tym była jedynie ciasnym i ciemnym pomieszczeniem z brudnymi oknami przepuszczającymi niewiele światła i z długimi, okopconymi stołami na rozchwierutanych nogach. Oprócz mnie i trzech graczy, których właśnie udało mi się oskubać, siedziało w środku tylko dwóch pijaków żłopiących piwo, wyrzekających na świat i rzucających brudnymi kośćmi oraz dwóch chłopców w czarnych aksamitach, którzy klnąc szpetnie, grali w kości przy dogasającym ogniu. Zwyczajna w takich miejscach

menażeria: moczymordy przepijające pieniądze, które udało im się zarobić powożeniem czy pracą przy rozładunku, i bogaci chłoptasie melinujący się przed swoimi opiekunami w poszukiwaniu wina, kurew i odrobiny zakazanych przyjemności.

Krępy jegomość po mojej lewej wciąż nie odrywał ode mnie wzroku, a na poorane policzki wypłynął mu krwisty rumieniec.

– Skąd wiedziałeś, jakie karty mam na ręku?

Boże. Obrzuciłem go beznamiętnym spojrzeniem. Nikt nie lubi przegrywać z karłem, a skoro karzeł wygrywa, to zapewne kantuje. Mogłem oczywiście kantować. Mogłem niepostrzeżenie wyciągnąć karty z rękawa i przełożyć je na rękę, mogłem ustawić w rozdaniu same czerwa, same walety, wszystko, co chciałem. Ale nie zrobiłem tego. Ci, którzy oszukują przy stole, zbyt często kończą stłuczeni na miazgę i wyrzuceni za drzwi gospody, a dla człowieka moich rozmiarów pobicie mogło mieć skutek śmiertelny.

– Zapewniam, że nie uciekałem się do żadnych sztuczek – powiedziałem znudzonym głosem. – Swoje przekonanie opieram na obliczeniach matematycznych.

– A to co znowu? – zapytał mężczyzna podejrzliwie. – Magia?

– To oznacza, mój panie, że gdy gram w karty, to liczę. Liczę karty rozdawane i liczę karty zagrywane. Liczę prawdopodobieństwo wystąpienia kart, które nie zostały odsłonięte. Te wszystkie wyliczenia pozwalają

mi matematycznie ocenić szanse i nie ma w tym ani odrobiny magii. Właśnie w ten sposób zorientowałem się, jakie karty masz na ręku.

– Wielkie słowa jak na tak małego człowieka – ryknął śmiechem jeden z pozostałych graczy. – Czy masz w zanadrzu tyle słów, ile magicznych sztuczek, karzełku?

– Liczenie niektórym w istocie musi wydawać się magią. – Zgarnąłem ostatnie monety do sakiewki. – Czy chcesz, panie, spróbować podczas następnej gry? Zrozumiem, jeśli będziesz musiał zdjąć buty, gdy suma przekroczy dziesięć.

Czekałem cierpliwie, aż dotrze do niego istota żartu. Przy tych ochlapusach moje obelgi zwyczajnie się marnowały. Kiedy wreszcie zrozumiał, spurpurowiał aż po cebulki włosów.

– Ty szubrawy pokurczu!

W porównaniu z twoją umiejętnością gry w karty jestem gigantem – mógłbym wycedzić. Albo z tym pomarszczonym kutasem, który próbujesz stręczyć Annie. Nie powiedziałem tego jednak. Nikt nie lubi, gdy wytyka mu się brzydotę – to niezawodny sposób, by dostać w zęby lub doigrać się złamanego nosa. Karły też tego nie lubią, ale powierzchowność karła jest własnością publiczną. Mężczyźni, kobiety, dzieci – wszyscy do woli mogą go wytykać palcami i śmiać się do rozpuku, płotać, co im ślina na język przyniesie. Wiedziałem to już od małego – a raczej od momentu,

w którym jako małe dziecko zrozumiałem, że nigdy nie urosnę.

– Jeszcze jedno rozdanie? – zapytałem więc i zręcznym ruchem nadgarstka rozsunałem wachlarz kart.

Pijaczyna rozpląszczył mięsistą dłoń na blacie, aż zabrzęczały kielichy, a grający przy ogniu w kości podnieśli wzrok.

– Ty karłowaty krętaczu, flaki ci wypruję i owinę wokół tej brudnej szyi...

Świst wbijającego się w blat noża zamknął mu usta. Ostrze utkwіło w drewnie dokładnie między jego palcem środkowym a wskazującym, nawet go przy tym nie drasnąwszy. Niezła sztuczka – przyznawałem po cichu sam przed sobą – a przy tym wielokrotnie już pozwoliła mi na szybką ewakuację. Opilec spojrział na wbity w stół nóż i zanim się zorientował, że jego koniec uwiązał nie w jego dłoni, lecz w blacie, ja już zdążyłem go wyszarpnąć, a Anna pospiesznie wśliznęła się między nas.

– Jeszcze jednego? – zagadnęła tym słodkim, zmęczonym głosem, który był jej najcudowniejszym atutem. – Ten niewysoki pan już zapłacił, więc żal byłoby nie wypić na jego koszt. Proszę, nasze najlepsze czerwone...

Pijak pozwolił jej odciągnąć się od stołu i wsunąć sobie w dłoń kielich obrzydliwego cienkusza, a ona pozwoliła mu pomacać odrobinę swe płaskie piersi,

rzucając mi jednocześnie ponad jego ramieniem surowe spojrzenie. Przywołałem na twarz przepaszający grymas i przesunąłem po blacie w jej stronę monetę, po czym odwróciłem się do swoich dwóch pozostałych partnerów.

– Jeszcze jedno rozdanie?

– Karty chyba jednak nie dla mnie – odparł uprzejmie potężny, sympatyczny jegomość, który uśmiechnął się szeroko, kiedy wbiłem nóż w stół. Miał na imię Marco, był przystojny i ciemnowłosa i z jakiegoś powodu zawsze pachniał cynamonem. W ciągu kilku ostatnich miesięcy dorobiłem się na nim sporego stosiku monet, ale nigdy nie odniosłem wrażenia, by miał mi to za złe. – Jestem zaprzysięgłym miłośnikiem gry w kości – wyznał.

Kości to gra dla idiotów. Nigdy nie grałem ani w kości, ani w jakąkolwiek inną grę losową, skoro już o tym mowa. Najbardziej lubiłem grać w szachy, lecz te były rozrywką arystokracji. W podłych rzymskich gospodach, w których zarabiałem na życie, rzadko można było znaleźć szachownicę.

– Niech ci szczęście sprzyja – pożegnałem Marca, wiedząc doskonale, że przegra, i zebrałem talię.

Karty były już stare i wymięte, postrzępione na brzegach, poplamione winem i poznaczone śladami tłustych palców, lecz na przestrzeni lat zarobiłem dzięki nim niezłą sumkę. Może i wyglądałem jak obdartus, od którego szczęście się odwróciło – znoszony skórzany

dublet, wyświechtana i połatana na łokciach koszula, nogawice fatalnie leżące na krzywych nogach – ale karzeł nie powinien sprawiać wrażenia wybrańca fortuny. Wyróżniamy się z tłumu i tak, nawet bez wyszywanych suto rękawów czy eleganckich okryć. A poza tym im mniej wydawałem na ubrania, tym więcej zostawało na książki. Pomacałem monety w sakiewce, które miały mi dziś starczyć na dobry posiłek i dzban wina, po czym schowałem karty.

– Myślę, że dziś spróbuję szczęścia gdzie indziej – powiedziałem Annie, gdy wróciła, wycierając dłonie w fartuch. – Twój przyjaciel nadal rzuca mi mroczne spojrzenia znad paleniska.

– Możesz mi zanieść koszyk na targ. Przynajmniej tyle zrób za to, że odwiodłam tego parszywca od pomysłu uduszenia cię! – fuknęła Anna, opierając ręce na biodrach. – Łachudra tak mi wymiętosił spódnice, jakby w niej szukał czystego złota!

– Ciało nadobnej Anny słodsze jest od złota – westchnąłem, podając jej ramię.

Ujmując mnie pod rękę, Anna roześmiała się, lecz nie śmiała się ze mnie. Nigdy się ze mnie nie śmiała, a to czyniło z niej doprawdy kuriozum wśród dziewcząt. A właściwie kobiet. Anna utrzymywała, że ma dwadzieścia lat, założyłbym się jednak, iż miała dwadzieścia pięć, a wyglądała na trzydzieści. Życie upływające na roznoszeniu wina w gospodzie szybko odciska swe piętno na sylwetce kobiety, której plecy się

przygarbiają, piersi obwisają, a oczy okala sieć zmarszczek. Nadal miała jednak słodki dołeczek w policzku, który zagościł na jej twarzy, gdy wychodziliśmy z gospody.

– Któregoś dnia wreszcie się doigrasz – ostrzegła mnie, kiedy wmieszaliśmy się w tłum. Kobiety i mężczyźni zgodnie przepychali się ulicą, wyciągając szyje w kierunku czegoś, czego za nic nie mogłem dojrzeć z powodu swojego niepokąźnego wzrostu. Najwyraźniej przed nami kroczył tańczący niedźwiedź albo orszak kardynała. A może to sam kardynał tańczył? Za takie widowisko chętnie bym zapłacił. – Nie musisz z nich drwić po tym, jak już ich oskubiesz, Leonello. Któregoś dnia zakpisz sobie z niewłaściwego człowieka i dostaniesz nożem w ucho.

– Prędzej on dostanie nożem w ucho ode mnie.

Gra w karty nie była jedyną umiejętnością nabytą przeze mnie w ciągu niepewnego życia, w którym tak trudno było związać koniec z końcem. Zręczność w posługiwaniu się nożem była bardzo przydatna takiemu karzełkowi jak ja, który nie mógł nawet marzyć o władaniu mieczem lub znokautowaniu wroga ciosem pięści. Zawsze miałem za pasem nóż ostry jak brzytwa, a oprócz niego jeszcze dwa lub trzy zatknięte w miejscach, w których nie rzucały się w oczy.

– Są łatwiejsze metody zarabiania pieniędzy niż ogrywanie pijaków – upierała się Anna. Zwolniła kroku, by się ze mną zrównać, za co zawsze byłem jej

niezmiernie wdzięczny. Choć zazwyczaj starałem się nie truchtać, lecz kroczyć zdecydowanie i stawiać stopy prosto, narażając w ten sposób na ból zdeformowane stawy, to nieustanne próby nadążenia za ludźmi o znacznie dłuższych nogach zmuszały mnie, bym drobił niczym krab. – Wczoraj gospodarz oberży zaczął narzekać – ciągnęła Anna – że brakuje mu jakiejś rozrywki wieczorami dla gości siedzących w ogólnej sali. Mógłbyś zonglować orzechami, opowiadać dowcipy i rozśmieszać gości. Mógłbyś sobie nawet sprawić strój błazna jak każdy uczciwy trefniś. Przekonałbyś się, że pieniądze popłynęłyby szerokim strumieniem. Kiedy chcesz, potrafisz być zabawny, Leonello.

– Anno – westchnąłem. – Anno o bursztynowym spojrzeniu i dobrym sercu, darzę cię ogromnym szacunkiem, ale obawiam się, że się co do mnie mylisz. Nie zongluję. Nie fikam koziołków. Nie stroję żartów, nie dowcipkuję i nie podskakuję. I nie ma na tym bożym świecie takiej sumy, za którą włożyłbym strój błazna.

– Strasznie jesteś drażliwy, wiesz?

– Nie ma róży bez kolców i nie ma karła, który nie chciałby wyróżniać się czymś poza wzrostem. – Ucałowałem z namaszczeniem jej dłoń, jakbym był jednym z tych kroczących dumnie zawadiaków o kręconych włosach, którzy rozrabiali i zaśmiewali się w tłumie przed nami. Wysokich zawadiaków. – Może miałabyś ochotę zjeść dziś ze mną kolację? Powitałbym

z radością twoje towarzystwo i przy stole, i w łóżnicy.

– Handlarz ryb już mnie zaprosił – odparła z żalem. – Choć wolałabym ciebie... Nie śmierdzisz rybami i nie pocisz się tak w łóżku.

– Może więc innym razem.

Kiedy od czasu do czasu miałem ochotę na towarzystwo żywsze niż moje książki, Anna okazywała się bardzo przyjemną partnerką łóżkowych igraszek. Więcej w niej było serdeczności niż pasji, lecz karzeł szybko się uczy nie oczekiwać namiętności od kobiet, za których usługi płaci. Serdeczność zupełnie mi wystarczała, a Anna była nawet skłonna poświęcić dodatkowe pół godziny na rozmasowanie moich krótkich nówek, dopóki nie ustąpiły przykurcze zniekształconych mięśni.

– Nie mogę ci się oddawać za darmo – uprzedziła, gdy pierwszy raz wziąłem ją do łóżka. – Może nie jestem ładna, ale nawet taka pospolita dziewczyna jak ja nie może się oddawać za darmo, jeśli chce sobie jakoś radzić na tym świecie.

– Za darmo? – prychnąłem. – Jesteś pierwszą od lat kobietą, która nie zażądała podwójnej zapłaty jako rekompensaty za moją szpetotę.

– Jesteś niewysoki, to prawda – orzekła, ujmując mnie pod brodę i obracając mi twarz do światła. – Ale szpetota nie jest odpowiednim określeniem. Byłbyś przystojny, Leonello, gdybyś tak ciągle nie patrzył wilkiem.

A ona byłaby całkiem ładna, gdyby miała pieniądze na jedwabną suknię i parę aksamitnych trzewików. Ale nie miała, a ja jej tego nie powiedziałem. Miałem cięty język i lubiłem dopiec okrutnym słowem, ale nie jedynej przyjaciółce, jaką miałem w Rzymie.

Anna wyciągnęła szyję, by przyjrzeć się gromadzącej się na ulicy ciżbie.

– Słyszę muzykę... Myślisz, że to orszak weselny?

– To ty jesteś tu wysoka, urocza damo. Ty mi powiedz.

Zaczęła się przeciskać przez tłum, a ja sunąłem za nią wśród tych wszystkich nóg niczym ryba wynajdująca sobie drogę w nurtach Tybru.

– Panna młoda, panna młoda – wyszeptał ktoś nad moją głową. – Widzę jej konia!

– To rzeczywiście orszak weselny – westchnęła uradowana Anna, nachylając się lekko do mnie.

– Szkoda. Miałem nadzieję na tańczącego kardynała.

– Nie rozumiem połowy z tego, co mówisz. – Anna założyła za ucho oklapnięty kosmyk włosów. – Myślisz, że jest ładna? Panna młoda, oczywiście.

– To przyszła żona jakiegoś bogatego chłoptasia – wtrącił stojący za mną mężczyzna, zanim zdążyłem odpowiedzieć. – Pięć skudów, że będzie ospowata i pospolita.

Przecisnąłem się obok Anny do przodu. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że podążanie za narzeczoną i jej

świątą z domu ojca do domu męża może się opłacić. Zamożne panny młode, o ile tylko nie były zbyt nieśmiałe, przez całą drogę rzucały w tłum pieniądze, a ja nie byłem na tyle dumny, by nie podnieść z ziemi monety. Będąc tak blisko ziemi, mogłem zagarnąć lwią część – lwią część dla małego lwa Leonella.

Procesja rozpoczęła się na dobre. Odziani w liberie służący truchtali teraz rzędami wzdłuż orszaku i odpychali tłumy zgromadzone po obu stronach ulicy. W polu widzenia pojawił się zastęp paziów niosących skrzynie z dobytkiem panny młodej i ulica zaszemrała na widok kunsztownie zdobionego kufra z wyprawą, szerokiego jak trumna, pokrytego misternymi złoceniami i malowidłami przedstawiającymi świętych. Tak, to była zamożna panna młoda. Szeroko uśmiechnięci chłopcy rzucali kwiaty na bruk, a muzycy brzdąkali na lutniach, nie przejmując się zanadto melodią podawaną przez innych.

– To ona! – wydyszała Anna. – Święta Panienko, czy ty to widzisz?

Biała klacz przystrojona różami i liliami szła niewzruszenie stępą, niosąc na grzbiecie najcudowniejszą madonnę.

– Rany boskie – mruknął jakiś głos za mną do człowieka, który gotów był się założyć, że panna młoda nie jest urodziwa. – Właśnie straciłeś pięć skudów!

Powiadają, że i kotu wolno patrzeć na króla – a karłowi wolno patrzeć na piękną kobietę. Większość

mężczyzn zostałyby skarcona za wpatrywanie się w urodziwą damę, odstraszone mrocznym spojrzeniem jej męża, dłonią brata ujmującą sztylet lub zimnym wzrokiem samej piękności. Męskie spojrzenie oznacza pożądanie, a przyzwoita rzymianka musi się mieć na baczności przed męską chucią. Karły jednak niczego nie mogą pożądać, w każdym razie nie wówczas, gdy idzie o piękną kobietę, więc nikogo nie obchodzi gapiący się karzeł. A poza tym piękna kobieta ma nos zadarty tak wysoko, że nie zniża się spojrzeniem do poziomu kogoś stojącego tak nisko jak ja. Cała ulica zdjęła czapki z głów, mężczyźni gięli się w ukłonach składanych na cudzoziemską modłę, by tylko pochwycić wzrok panny młodej, a ja skrzyżowałem krótkie ramiona na piersiach i wbiłem w nią chłodne spojrzenie.

Boże, cóż to była za piękność. Siedemnasto-, może osiemnastolatka ustrojona w szatę z różowego jedwabiu udrapowaną na bokach białej klaczy w fałdy tak obfite, że mógłbym z marszu wymienić trzy przepisy prawa obyczajowego, które właśnie zostały złamane. Piersi niczym białe brzoskwinie, jasna kolumna szyi, twarzyczka zaróżowiona szczęściem... i włosy. Sploty rzucające w promieniach słońca złote refleksy, oplecione sznurami pereł i przetykane kremowymi różami.

Większość panien młodych wydaje się nieśmiała, podenerwowana i zakłopotana. Niektóre płaczą, inne chichoczą nerwowo, jeszcze inne siedzą sztywno niczym

zdobieni klejnotami święci w bocznych ołtarzach. Ta zaś śmiała się dźwięcznie i posyłała w tłum pocałunki, z czystej radości podskakując w aksamitnym siodle. Zdecydowanie zbyt dobrze się bawiła, by pod spojrzeniami tłumu spuścić wzrok, jak powinna to uczynić dobrze urodzona dziewczyna; zbyt dobrze się bawiła, chłonąc wszystko, co świat miał jej do zaoferowania. Może dlatego spojrzenie jej ciemnych oczu zawędrowało na tyle daleko, by mnie dostrzec, a ja zamiast uchylić czapki odwzajemniłem je.

Uśmiechnęła się do mnie od ucha do ucha, słowo daję. Uśmiechnęła się od ucha do ucha i posłała mi pocałunek, jakbym był wysokim, przystojnym mężczyzną, po czym klacz poniosła ją dalej w obłokach jedwabiu i wody różanej. Zacząłem się zastanawiać, ile jej świeżo poślubiony mąż za nią zapłacił. Ilekolwiek to było, najwyraźniej uznał, że jest tego warta.

– Gdybym tak wyglądała, nie utknęłabym w tej gospodzie, nalewając wino – westchnęła Anna smętnie. – Ubierałabym się w jedwabie i ucztowałabym z kardynałami. I to mnie by nalewano!

– To pani Giulia Farnese, tak słyszałem. – Mężczyzna, który przegrał zakład, gwizdnął, gdy ostatni z ubranych w liberie służących przemknęli obok i tłum zaczął się rozchodzić do swych zwykłych zajęć, czyli zakupów, kradzieży i plotkowania. – Przeznaczono ją dla jednego z Orsinich. Dostała w posagu trzy tysiące florenów!

– Słyszałem, że pięć tysięcy – zaprotestował ktoś inny. – I to Orsini je zapłacili...

– To niedrogo – prychnął pierwszy mężczyzna lubieżnie, kiwnięciem głowy wskazując białą klacz. Jeszcze stąd widziałem złote refleksy w miejscu, w którym głowa panny młodej podrygiwała nad tłumem.

– Niedrogo – zgodziłem się i odprowadziłem Annę na targ.

Paplała nieprzerwanie o perłach we włosach panny młodej, cenie różowej sukni i czy nie wyglądałaby prześlicznie w różowym jedwabiu, gdyby tylko mogła sobie na niego pozwolić.

– Ale jednak nie tak pięknie jak panna młoda – przyznała, a ja mogłem jej tylko przytaknąć. Niewiele kobiet mogło się równać z Giulią Farnese, znaną później w całym Rzymie pod przydomkiem La Bella. Powinni ją nazwać La Bellissima, bo aż do dziś nie spotkałem cudniejszej kobiety.

Giulia

Na całym świecie nie było z pewnością dziewczyny szczęśliwszej ode mnie. Oto ja, Giulia Farnese, osiemnastoletnia i wreszcie zamężna!

Wypada przypomnieć, że wesela nie zawsze są taką znów radosną uroczystością. Isotta Colonna w zeszłym roku przepłakała całe swoje zaślubiny i ja też bym płakała, gdybym stała obok człowieka tak grubego jak

kula armatnia. Lucia Piccolomini płakała jeszcze głośniej, bo jej z kolei mąż okazał się pryszczatym dwunastolatkiem. A moja siostra, Gerolama, podczas składania swojej przysięgi małżeńskiej miała minę kwaśną jak ocet, ale ona zazwyczaj była skwaszona, więc przynajmniej pasowała do swojego pomarszczonego jak rodzynek męża.

– Ma szczęście, że go zdobyła – powiedział mi na osobności mój brat Alessandro podczas weselnej uczyty Gerolamy. – Cięty język, wydatny nos... Nie mamy tyle dukatów, by dać jej okazańsze wiano. – Delikatnie uszczypnął mnie w policzek. – Myślę, że ty urządzisz się lepiej.

No i rzeczywiście! Trochę to trwało, oczywiście... Byłabym mężatką już w wieku piętnastu czy szesnastu lat, jak niektóre z moich przyjaciółek, ale śmierć mojego ojca (wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie) zastopowała toczące się negocjacje, a moi bracia potrzebowali jeszcze dwóch lat, by uciąć dla mnie większy posag.

– Czy było warto czekać? – zapytał Sandro radośnie. – Mojej małej siostrzyczce dostanie się nie kolejny prowincjonalny kupiec, lecz jeden z Orsinich. Możesz dziękować opatrności za ten związek, *sorellina*. Teraz będziesz mieszkać w Rzymie, i to dostatniej niż księżna.

Orsino Orsini – mój świeżo poślubiony mąż. Zastanawiam się, co kierowało jego rodziną, że nadali

mu takie imię... Ale przynajmniej był młody! Zaledwie rok starszy ode mnie i wcale nie przypominał kuli armatniej. Mój młody małżonek był jasnowłosy i szczupły jak rapier, a oczy miał jak... No cóż, prawdę mówiąc, nie zbliżyłam się do niego na tyle, by dostrzec, jaki ma kolor oczu. Spotkaliśmy się podczas wymiany obrączek ślubnych, lecz przez cały ten czas, gdy wsuwał obrączkę na mój palec i mamrotał tekst przysięgi, wzrok miał spuszczone. Raz zerknął na mnie nieśmiało, kiedy recytowałam słowa wiążące nas węzłem małżeńskim, i spłonął się ślicznie jak róża.

Teraz też się rumienił, popatrując na mnie nieśmiało z przeciwległej strony wspaniałej sali. Och, czemuż nie mogliśmy siedzieć razem na naszej własnej uczcie weselnej? Za kilka godzin mieliśmy dzielić łożę, dlaczego więc teraz nie mogliśmy zasiąść przy wspólnym stole? Ale Orsino w swoim niebieskim dublecie z wyszywanymi na zielono rękawami z rozcięciami siedział przy jednym stole z resztą mężczyzn, otoczony kardynałami przypominającymi wielkie, czerwone donice, podczas gdy ja zostałam uwięziona po drugiej stronie sali z pozostałymi kobietami, zaklinowana między korpulentną teściową w kasztanowych jedwabiach a moją obrażoną na cały świat siostrą Gerolamą.

– Nigdy nie spotkałam się z taką ostentacją. Podali chyba co najmniej dziesięć gatunków wina. Na moim przyjęciu weselnym były zaledwie trzy!

Zignorowałam ją, uśmiechając się przez całą salę do swojego świeżo poślubionego męża i śmiało unosząc ku niemu kielich, na co on tylko zamrugnął nerwowo.

– Zwróciłaś uwagę na szkło, Giulio? – wyszeptała pani Adriana. – Przywieziono je aż z Murano. Rżnięte diamentem! To od mojego kuzyna kardynała, prezent ślubny dla ciebie! Nie uwierzyłybyś, ile to kosztuje!

Sądząc po wielkości sali w jego pałacu, mógł sobie na to z powodzeniem pozwolić. Wysokie łukowe sklepienie zdobiły przepiękne malowidła, moje trzewiki dotykały cudownie tkanego dywanu, nie zaś zwykłych kamiennych płyt, długie stoły pokryto niebieskim aksamitem i zastawiono złotymi i srebrnymi talerzami. Starłam się nie gapić ostentacyjnie i w ogóle sprawiać wrażenie osoby przyzwyczajonej do tak rozrznego luksusu. W końcu w Capodimonte rodzina Farnese była rodem szlacheckim. Choć może nie otaczał mnie taki splendor i przepych, wychowałam się w zamku górującym nad jeziorem Bolsena, wiodąc nader wygodne życie. Nie byłam jednak w stanie zachować zblazowanego wyrazu twarzy, kiedy służący odziani w wytworne liberie zaczęli wносить do sali dania roztaczające tak kuszącą woń, że całą siłą woli musiałam się powstrzymać, by nie zreć jak świnia z koryta. Tak, kuzyn mojej teściowej był oddany Bogu, lecz wierzył w dostatek. Gdy mój orszak pojawił się na dziedzińcu pałacu kardynała, ten skłonił się i ucałował

moją dłoń, lecz teraz nie mogłam sobie przypomnieć jego twarzy... W tych czerwonych szatach wszyscy kardynałowie wyglądają tak samo, prawda? Na szczęście nie trzeba zapamiętywać ich imion, bo każdy z nich to Jego Eminencja. Błysnęłam dołeczkami w policzkach w stronę całej ich gromady skupionej po drugiej stronie sali. Ćwiczyłam to kokieteryjne podziękowanie przed lustrem już jako mała dziewczynka. Przynajmniej dopóki mój brat Sandro nie kazał mi przestać trzepotać rzęsami, twierdząc, że wyglądam jak pijany koliber.

– Na moim przyjęciu weselnym nie było szkła z Murano – zrzędziła Gerolama.

– To bardzo miło ze strony Jego Eminencji – wyszeptałam do pani Adriany.

Byłam już zdecydowana nawiązać z nią przyjazne stosunki, gdyż mieliśmy z Orsinem zająć część przestronnych komnat w pałacu należącym do jej rodziny, przynajmniej na początku, i zamierzałam doprowadzić do tego, by moja owdowiała teściowa jadła mi z ręki, choćby miało mnie to zabić. Na szczęście wyglądało na to, że nietrudno ją zadowolić: wystarczyło poubolewać z nią od czasu do czasu nad rosnącymi kosztami utrzymania, a zaczynała pomrukiwać z zadowolenia jak kot w jatce. Podejrzewałam, że z czasem Orsino i ja przeniesiemy się do własnego domu, ale wcale nie było mi spieszno. Pani Adriana mogła sobie do woli pobrzękiwać

kluczami i uwijać się przy księgach rachunkowych – absolutnie nie byłam zainteresowana tym, by ją zdetronizować w jej własnym domu. Resztę swoich dni zamierzałam spędzić, opierając stopy o balustradę loggii i wystawiając włosy na słońce, zajadając kandyzowane figi i baraszkuje z moimi ślicznymi, tłuściutkimi dzieciątkami. A resztę swoich nocy – w łóżu z moim przystojnym, młodym mężem, poczynając kolejne dzieci i popełniając mnóstwo grzechów nieczystości, bym miała się z czego spowiadać.

– Pierwszy z deserów, *sorellina*. – Sandro przemierzył salę i złożył mi zamaszysty ukłon, prezentując smakowite danie. – Brzoskwinie w grappie, twoje ulubione.

– Utyję przez ciebie, braciszku – jęknęłam.

– No cóż, zatem sam je zjem. – Wsunął sobie miękką brzoskwinie do ust. – Znakomita. Pani Adriano, twój kucharz przeszedł samego siebie.

– Dawaj mi to!

Wyrwałam mu talerz i uśmiechnęłam się. Był sześć lat ode mnie starszy. Mieliśmy jeszcze dwóch braci, no i wiecznie skwaszoną Gerolamę, ale Sandro i ja od zawsze się uwielbialiśmy. Mieliśmy te same ciemne oczy, w których błyskały kpiarskie iskry nawet wówczas, gdy staraliśmy się zachować powagę. Kiedy dorastaliśmy, nieustannie próbowaliśmy się nawzajem rozśmieszyć podczas mszy i jednakowo obrywaliśmy od naszej znękaney rodzicielki za każdym razem, kiedy

udało nam się przeszmyglować zaskrońca do księzego buta. To Sandro tulił mnie i pocieszał, gdy nasza matka zmarła podczas porodu, próbując wydać na świat dziecko, które również nie przeżyło. Dwa lata temu, kiedy ojciec połączył się z nią w niebie, moi starsi bracia przejęli obowiązki głowy rodziny, lecz to Sandro gładził mnie po włosach i przyrzekał, że się mną zaopiekuje. Strasznie za nim tęskniłam, gdy wyjechał do Pizy, by rozpocząć studia teologiczne na tamtejszym uniwersytecie, ale teraz był już z powrotem w Rzymie, by zaczynając od najniższego szczebla kościelnej hierarchii, podjąć pracę notariusza. Nie był szczególnie dobrym notariuszem i ciężko mi było wyobrazić go sobie jako szczególnie dobrego duchownego, za bardzo bowiem lubił uganiać się za spódniczkami, by móc dotrzymać ślubów czystości, a z usposobienia bardziej nadawał się na błazna. Nawet jeśli jednak był najgorszym duchownym na świecie, nie było lepszego kompana do wieczornego posiłku.

– Powiedz mi więc, Sandro – ściszyłam głos, kiedy pani Adriana zaczęła opowiadać Gerolamie, jak niesłychanie drogi był pieczony paw – dlaczego to nie mój mąż podnosi się z krzesła, by przynieść mi brzoskwinie w grappie?

– Miej litość dla biednego chłopaka! Żonaty już w wieku dziewiętnastu lat, i to nie z jakąś zezowatą mniszką, ale z nimfą, Heleną, Wenus! – Sandro uderzył się w pierś, jakby wbijał sobie zesłany przez niebios

sztylet. – Tak jak Akteon został ukarany za to, że ośmielił się podpatrzeć Artemidę w kąpielu, tak młody Orsino obawia się spojrzeć na swą młodą żonę w całej jej chwale...

– Zamknij się, Sandro. Wszyscy patrzą.

– Lubisz, gdy wszyscy patrzą. – Sandro wyszczerzył się w uśmiechu, schodząc z powrotem na ziemię. – Moja mała siostrzyczka jest najbardziej próżnym spośród Bożych stworzeń.

– Mówisz jak matka.

Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie, zawsze łąjała mnie za moją próżność: „Myślisz, że Przenajświętszą Panią obchodzi, jak wyglądasz, moja Giulio?”. Z tego jednak, co zdołałam zauważyć, Przenajświętsza Pani nie musiała się martwić, jak wygląda, bo zawsze wyglądała pięknie. Na każdym obrazie, na którym ją widziałam, była piękna i spokojna w twarzowej błękitnej sukni z welonem utkanej prawdopodobnie przez anioły. My, ziemskie dziewczyny, musiałyśmy się nieco bardziej przykładać, jeśli chciałyśmy wyglądać choćby w połowie tak dobrze, więc każdego ranka, nie przestając wyskubywać brwi, odmawiałam dodatkowy pacierz w ramach pokuty za grzech próżności.

– Nie przejmuj się – mówił właśnie Sandro. – Po jednym czy dwóch tańcach młody Orsino zbierze się na odwagę.

– Zachęćmy go zatem. – Z żalem spojrzałam na

talerz z brzoskwiniami, oblizując słodką grappę z koniuszka palca, lecz w gruncie rzeczy objadłam się już tego wieczoru jak bąk (och, ten pieczony paw, a było jeszcze jakieś smakowite ciasto ze słodkim serem i cebulkami!). – Zatańcz ze mną, Sandro.

– Czy kapłanowi przystoi tańczyć? – Sandro nabożnie wznosił oczy ku niebu. – Narażasz na szwank moją reputację duchownego, nie wspominając już o moich ślubach.

– Jakoś twoje śluby nie doznały uszczerbku, kiedy wcześniej flirtowałeś z Biancą Bonadeo. Podczas moich ślubów, racz zauważyć.

– A zatem basse danse.

– Basse danse jest nudny! – Wcześniej tego wieczoru Orsino i ja zainaugurowaliśmy już tany tym właśnie tańcem. Przy wszystkich tych dostojnych, posuwistych obrotach wykonywanych dłoń w dłoń nie zdobył się na odwagę, by spojrzeć mi w oczy. Wolałam coś żywszego od melodii wygrywanych na wiołach. Potrzebowałam muzyki, od której krew zaczynała żywiej krążyć w żyłach, czegoś, co pozwoliłoby podczas obrotu błysnąć kostką. – Zatańczmy voltę.

– To twoje wesele, *sorellina*.

Słówko rzucone muzykom i oto podniosły się wiwaty, a mój brat wyprowadził mnie na środek sali. Wykonałam wdzięczny półobrót, rozpościerając zwiewne różowe spódnice, by podziękować za aplauz, zanim jeszcze wiole zaczęły podawać żwawą melodię,

po czym ujęłam dłoń Sandra. Takt czy dwa, pierwsze obroty i oto Sandro ujął mnie w tali i poderwał do góry przy pierwszym podniesieniu. Wiedziałam, jak wylądować, by brzegi sukni uniosły się zalotnie. Odrzuciłam głowę do tyłu i roześmiałam się, w świetle świec błyskając odkrytymi ramionami w kierunku mojego męża. Spójrz na mnie, Orsino – błagałam bezgłośnie. Spójrz na mnie, zatańcz ze mną, pokochaj mnie!

Przed pierwszą nocą z Orsinem Gerolama ze wszystkich sił starała się mnie utemperować i przestraszyć.

– Obowiązki małżeńskie są ciężkie – wyszeptała, pomagając pani Adrianie i innym chichoczącym kobietom rozsznurować moją różową suknię. – Bardzo ciężkie.

– Tylko tak ciężkie jak małżonek – zaśmiałam się.

Gerolama ograniczyła się do umęczonego spojrzenia. Byłam oszołomiona, upojona nocą, a na policzki wystąpiły mi takie rumieńce, że musiałam przycisnąć dłonie do twarzy, by ją nieco ochłodzić.

– Stanowczo za bardzo się ekscytujesz, moje dziecko. – Pani Adriana cmoknęła z dezaprobatą, rozsznurowując mi rękawy. – Nie spodziewaj się zbyt wiele.

Nie spodziewać się zbyt wiele? W końcu miałam się stać kobietą! Słyszałam, oczywiście, wyjawiane szeptem potworności o tym, jak bardzo to boli, ale nie

dawałam wiary ani jednemu słowu. Klacze nie rżały z bólu, kiedy były pokrywane, i ja również nie zamierzałam.

Uff, co za ulga wydostać się wreszcie z tej ciasno zasznutowanej sukni. Naprawdę zjadłam za dużo, ale te małe marcepanowe tarty, które roznoszono pod koniec przyjęcia na barwnych majolikowych talerzach, były zbyt smakowite, by można im było się oprzeć. A poza tym zawsze jem, kiedy jestem szczęśliwa. Orsino w końcu zebrał się na odwagę i sam zaproponował mi skosztowanie dania.

– Jesteś piękna, moja pani – powiedział nieśmiało.

– Moja pani żono – poprawiłam go i dostrzegłam z zachwytem, że ma niebieskie oczy.

Gerolama ciasno zasznutowała mi wokół szyi koszulę nocną i podtrzymała moje włosy.

– No to do łóżka – rzekłam do siebie, nurkując w pościel.

Jedwabną, nie płócienną... Bardzo silnej woli wymagało ode mnie niegapienie się z rozdziawionymi ustami na dostatek, który mnie szcodrze otaczał. Czy domostwo pani Adriany było równie okazałe? Zmięłam palcami stóp miękkiej jedwab z żarliwą nadzieją, że tak właśnie jest. Wychowałam się w pospolitszym otoczeniu, wśród drzew i jezior Capodimonte, a nie bazylik i loggii Rzymu. Prowincjonalna prostota zamiast miejskich luksusów. I marzyłam o miejskich luksusach.

– Co za włosy! – westchnęła z podziwem jedna z kobiet, kiedy Gerolama ułożyła moje bujne sploty na łóżku u mego boku. – Jakie długie!

– Nie uwierzyłyabyś, jak kłopotliwe jest ich czesanie – wyznałam, ale tak naprawdę uwielbiałam swoje włosy.

Miały kolor ciemnoblond, kolor skryzalizowanego miodu, lecz codziennie wystawiałam je w ogrodzie na słońce, rozkładając pasma na rondzie ogromnego słomkowego kapelusza, a słońce rozjaśniało je, nadając im odcienie złota, srebra i miedzi, aż w końcu wyglądały (jak powiedział mi kiedyś pewien zauroczony paż), jakby wydobyto je z głębin ziemi, a nie jakby wyrosły na mojej głowie. I rzeczywiście były bardzo długie. Kiedy rozpuszczałam je swobodnie jak teraz, wspaniałe, łagodne fale spływały mi kaskadą aż do stóp. „Tylko dlatego, że jesteś taka niska” – powiedziała mi kiedyś Gerolama, ale nie moja wina, że gdy ja miałam blond fale, ona musiała zadowolić się żałosnymi strączkami. Kiedy byłam mała, całymi godzinami wmasowywałam jej w skórę głowy rumiankową maść, by jej włosy rosły szybciej, i proszę! Co dostałam za moje starania? Po łapach, gdy się okazało, że to nic nie daje. Cóż za niewdzięczność.

Orsinowi na pewno spodobają się moje włosy. Żałowałam, że nie mogę zdjąć z siebie tej cieniutkiej koszuli i powitać go okryta jedynie włosami, ale nie starczało mi śmiałości. Obiecałam sobie, że kolejnej nocy już na pewno zbiorę się na odwagę, a tymczasem

poprzestałam na zsunięciu koszuli z ramion, gdy tylko Gerolama i pozostałe kobiety wyszły. Jaki był pożytek z posiadania takich ślicznych, białych i jędrnych piersi jak moje, kiedy nikt ich nie oglądał? A poza tym w tej chwili moje piersi w równym stopniu należały do Orsina, jak do mnie.

Moje łóżko pokrywała pasiasta, czarno-biała aksamitna kapa, a pościel była wilgotna od rozgniecionych płatków róż. Długie, cienkie świece rzucały w całej komnacie pełgające złociste światło odbijające się refleksami od moich włosów. Próbowałam różnych póz. Czy powinnam przyjąć go w pozycji półleżącej czy usiąść? Złożyć ręce na podołku czy oprzeć na nich twarz? Przełożyć włosy na jedną stronę czy pozwolić im spłynąć na obie? Och, Najświętsza Panienko, czy on mógłby tu w końcu po prostu przyjść? Nie żałowałam sobie wina na przyjęciu weselnym i wiedziałam, że jeśli Orsino zbyt długo będzie się grzebał, to zaraz tu zasnę.

Ziewnęłam. Świece spaliły się już do połowy.

Zanim w końcu przyszedł, zapadłam w drzemkę. Na dźwięk skrzypnięcia drzwi poderwałam się raptownie w łóżku, gorączkowo ocierając kąciki ust (Święta Panienko, nie pozwól, żeby mój mąż zobaczył, jak się ślinię przez sen!) i przygryzając wargi, by dodać im koloru. Tylko pomyśleć, że jutro będę już prawowitą mężatką i będę sobie mogła barwić usta, jeśli tylko zechcę, nie musząc ich gryźć niemal do krwi, by

apetycznie spuchły.

Wszedł niepewnie do komnaty, trzymając w dłoni świecę rzucającą rozchwiane cienie. Jasne włosy miał rozwichrzone w nieładzie, szyja wystająca z wykwintnej nocnej koszuli wydawała się taka szczupła. Nerwowo przygryzł wargi, po czym spojrzał na mnie, siedzącą w wielkim łóżu z rozrzuconymi dokoła włosami, i znieruchomiał. Zobaczyłam, że ma lekkiego zeza, którego jednak z trudem dawało się zauważyć, kiedy – tak jak w tej chwili – spuszczał wzrok i oblewał się rumieńcem.

Zsunęłam włosy z nagich ramion i uśmiechnęłam się do niego.

– Orsino – zaczęłam, ale że nie miałam pojęcia, co powiedzieć dalej, roześmiałam się tylko miękko. Ależ z nas była para... Orsino był chyba jeszcze bardziej zdenerwowany niż ja.

Wszystko jedno. Razem jakoś sobie z tym poradzimy.

Uśmiechnęłam się i wyciągnęłam dłoń w jego stronę.

– Chodź do łóżka, mężu.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę bez słowa, po czym westchnął z rezygnacją.

– Wybacz mi – wymamrotał. – Żałuję... Strasznie mi przykro, wierz mi, ale mi nie wolno.

Po czym odwrócił się na pięcie ze świecą w ręku i pospiesznie wszedł z pokoju. Trzask zamykanych

drzwi rozbrzmiał niczym wystrzał armatni.

Oniemiała wbiłam wzrok w drzwi.

Pani Adriana uprzedzała, by nie spodziewać się zbyt wiele.

Po swojej nocy poślubnej mogłam się spodziewać wszystkiego, ale na pewno nie tego.

Rozdział 2

*Dla tych, którym przeznaczone jest panowanie nad innymi, zasady życia
postawione są na głowie.*

RODRIGO BORGIA

Carmelina

Wykoncypowanie, co posłać świeżo upieczonej mężatce rankiem po zaślubinach, wymaga nie lada pomyślunku. Jeśli nie znasz panny młodej (a wczoraj byłam tak zajęta, że nie udało mi się nawet zerknąć na panią Giulie Farnese), najlepszym wyjściem jest polecić służącej, aby na paluszkach podkraśla się pod drzwi i przez dłuższą chwilę ponadstawiała uszu. Jeśli słyhać łkanie, to należy przygotować wzmacniający napój z gorącego mleka z dodatkiem czerwonego wina i mocnych, korzennych przypraw – coś, co teściowa młodej żony będzie mogła jej zanieść wraz ze słowami pociechy i zapewnieniami, że małżeństwo naprawdę nie jest takie złe. Jeśli natomiast zza drzwi dobiegają chichoty i szepty, to należy posłać do komnaty coś lekkiego dla dwojga – najlepiej coś, czym będą się mogli karmić nawzajem palcami, brudząc się przy tym niemiłosiernie, co da sposobność do dalszych pocałunków i chichotów. Grzanka z wisienkami łątowkami świetnie się sprawdza – paseczki podsmażonego na maśle chleba i sos z wiśni i osłodzonego wina cieszy się wśród głodnych młodych

kochanków ogromnym powodzeniem, a niewinne żarciki ze zrywaniem i zjadaniem wisienek zawsze prowokują do śmiechu.

Nie zdążyłam jednak nawet capnąć służącej, by wysłać ją pod drzwi małżeńskiej sypialni, kiedy sama pani Giulia weszła na palcach do kuchni. W tej ciemnej godzinie przedświt służyła, podobnie jak reszta domowników, spały jeszcze twardo. Wyjątkiem byliśmy, jak się okazuje, ja i pani Giulia.

– Przepraszam.

Głos, który rozległ się za moimi plecami, poderwał mnie na równe nogi. Byłam zbyt zdenerwowana i roztrzęsiona, by po uroczystościach weselnych tak po prostu zasnąć. Spędziłam noc w pustej kuchni, niespokojnie grzebiąc w kominie, chwytając za miotłę, by jeszcze raz zamieść wyłożoną kamiennymi płytami podłogę, przerzucając zbiór przepisów mojego ojca i wysłuchując jego despotycznego głosu odzywającego się raz po raz w mojej głowie. Pospiesznie rzuciłam ścierkę, którą wycierałam stoły, i dygnęłam przed drobną, odzianą w jedwab postacią, która stanęła niepewnie w progu.

– Pani Giulia? – zaryzykowałam. Nie widziałam jej wcześniej, ale ci, którzy kroili mięso na stołach, i służące, które zносиły moje potrawy gościom, rozplýwali się w zachwytach nad jej włosami, które podobno po rozpuszczeniu sięgały podłogi. Dziewczyna stojąca przede mną w kuchennych drzwiach obdarzona

była włosami spływającymi aż do ziemi połyskliwą kurtyną w kolorze miodu. Nie mogę powiedzieć, że jej zazdrościłam, bo gdybym miała włosy sięgające stóp, zgarniałabym nimi zabłąkane kurze kosteczki i resztki mąki, które zbierają się chyba na każdej kuchennej podłodze niezależnie od tego, jak często każe się pomywaczom ją zamiatać. Ona jednak wyglądała w nich uroczo. – Co mogę dla ciebie zrobić, pani?

– Nie wiem. – Uciekła wzrokiem. Stała w swojej błękitnej jedwabnej narzutce w chłodzie przedświt i przesuwała palcem bosej stopy wzdłuż szczeliny kamiennej posadzki. – Czy zostało jeszcze trochę tych małych marcepanowych ciasteczek?

– Tak, moja pani. – Zaczęłam szperać wśród zgrabnie nakrytych półmisek, w których zostawiłam resztki z uczyty weselnej, starając się na nią nie patrzeć. Syn Adriany da Mila upolował sobie prześliczną żonę, drobną, zmysłową i smakowitą jak pieczona kaczuśka świeżo zdjeta z rożna, ale na jej owalnej twarzyczce malowało się zasepienie. – A zatem posmakowały ci moje marcepanowe tarty, pani? – Nie mogłam się powstrzymać od zadania tego pytania.

– Okazały się najlepszą częścią tego wieczoru – westchnęła ciężko. – Uznałam więc, że mogę sobie pozwolić na to, by tutaj przyjść i zjeść ich znacznie więcej.

Z zadowoleniem wyciągnęłam półmisek w jej stronę. Rzeczywiście, z marcepanu wychodziły mi

znakomite rzeczy... Wymaga to pewnego wyczucia, delikatnej stanowczości.

– Miałam zamiar posłać ci wkrótce do komnaty, pani, napój z gorącego mleka z dodatkiem wina i korzennych przypraw, i może kilka pieczonych jabłek, które zostały z przyjęcia...

– Jabłka też chętnie zjem. – Wyjęła mi półmisek z rąk i odwróciła się na pięcie, a jej włosy i narzutka zawirowały posłusznie. – Dziękuję.

– Życzę ci wiele szczęścia w małżeństwie, pani! – zawołałam za nią, dygając jeszcze raz. – Miłego smakowania marcepanu!

– Niewiele więcej jest do smakowania – odparła, wychodząc z kolejnym westchnieniem.

Patrzyłam za nią przez chwilę, po czym wzruszyłam ramionami i osunęłam się na stół, który właśnie wycierałam. Byłam zbyt zmęczona, by przejmować się humorzastymi pannami młodymi. Najważniejsze, że smakowały jej moje potrawy, a kucharza naprawdę nic więcej nie powinno obchodzić.

Święta Marto, ależ byłam wykończona! Nawet po tym, jak podpici, ale syci ostatni goście chwiejnym krokiem udali się do domów, nawet po tym, jak posprzątano z ostatniego stołu w sali, przykryto i odstawiono do spiżarni ostatni półmisek, zmieciono z kuchennej podłogi ostatnie resztki, nawet po tym, jak odesłałam służące i kuchcików do łóżek – nie dane mi było odpocząć. Wszyscy inni ledwie trzymali się na

nogach. Ziewający i oszołomieni ciężką pracą (i winem podpijanym z dzbanów przed zanieśieniem ich gościom), nie mieli już siły kwestionować moich poleceń. Ja sama byłam zbyt wyczerpana i zdenerwowana, by choćby zdrzemnąć się na krześle przy kominku, a poza tym Marco mógł wrócić w każdej chwili, a gdyby ktokolwiek porozmawiał z nim przede mną, misterny, lecz wąty plan, który udało mi się skonstruować, prysłby jak wytworne szkło.

Ostatecznie okazało się, że nic by się nie stało, gdybym pozwoliła sobie na solidny, kilkugodzinny sen. Dom obudził się jeszcze przed świtem; najpierw wstali służący i chłopcy pilnujący garnków, którzy znów zaczęli mnie obrzucać dziwnymi spojrzeniami, zastanawiając się, jak mogłam pojawić się tak znikąd i dlaczego właściwie wykonuję moje polecenia. Nie dałam im czasu do głębszego namysłu.

– Basta! – zawołałam, tupnąwszy nogą o kamienną posadzkę, by zwrócić ich uwagę. – Przed świtem jeszcze mamy zapakować zastawę i sprzęty kuchenne pani Adriany do powozów. Wszystko do ostatniego garnuszka i do ostatniej torebki cukru. Chce mieć wszystko z powrotem w Palazzo Montegiordano, zanim będzie chciała dziś wieczorem zjeść posiłek we własnej jadalni, a chociaż tylko raz widziałam panią Adrianę na oczy, to nie mam wątpliwości, że policzy wszystko co do łyżeczki, i jeśli czegoś będzie brakowało, potrąci wam z pensji!

Przez kuchnię przetoczyły się pomruki niezadowolenia i złośliwe śmiechy.

– Zaczniście więc wywozić wszystko na dziedziniec.
– Mój głos wybił się ponad szemranie. – Buzie na kłódkę, rączki pracują, takie są zasady w mojej kuchni. I jeśli zginie choćby jedna paczuszka szafranu...! Lepiej, żebyście wiedzieli, że pół nocy je liczyłam.

Nie minęła chwila, a kuchcikowie już pakowali półmiski, które przywieźli podczas przygotowań do uczty weselnej, ja zaś wydawałam kolejne polecenia. Już mnie nie ogarniało żarliwe podniecenie ani nie otaczały cudowne wonie, wśród których godziny miały niepostrzeżenie – tym razem musiała wystarczyć czysta dyscyplina, w której należało utrzymać tych wyczerpanych ludzi. Bycie kucharzem nie polega jednak wyłącznie na delektowaniu się zapachem rozgrzanego miodu i zagniataniu słodkiego ciasta, lecz też na zamiataniu, szorowaniu i pucowaniu. Tę świadomość wyniosłam z domu. Zanim słońce wstało, wszystkie co do sztuki łyżeczki i wszyscy służący pani Adriany zostali wpakowani do powozów. I właśnie wtedy, gdy cofnęłam się do ciemnej i ciasnej kuchni kardynała, by obrzucić wszystko ostatnim, uważnym spojrzeniem, wrócił mój nieobliczalny kuzyn.

– Boże przenajświętszy – zatchnął się, stając za moimi plecami.

Odwróciłam się z rękoma na biodrach i spojrzałam na niego, jak stał oparty w drzwiach kuchennych

prowadzących na dziedziniec. Miałam przed sobą całe jego sto dziewięćdziesiąt pięć lekko zawstydzonych centymetrów.

– Witaj, Marco.

Przyjrzał mi się, jakby nie wierzył własnym oczom. W końcu nie widział mnie od co najmniej pięciu lat, a nawet wówczas, gdy pod czujnym okiem mojego ojca pracowaliśmy w tej jednej kuchni, zupełnie nie zwracał na mnie uwagi. Dlaczego miałby zwracać? Ulubiony uczeń, który ostrzył sobie zęby na posadę szefa kuchni równego mojemu ojcu, nie miał czasu dla chudej jak szczapa dalekiej kuzynki, nawet jeśli ta ciągle plątała mu się pod nogami, bezceremonialnie wygłaszając uwagi na temat tego, co powinno się znaleźć w sosie.

– Carmelina? – zapytał w końcu.

– We własnej osobie – odparłam i przemaszerowałam obok niego, by krzyknąć na dziedziniec, żeby powozy jechały do Palazzo Montegiordano beze mnie. – Siadaj, Marco. Mamy sporo do obgadania.

Uznałam ostatecznie, że nie ma sensu bawić się w subtelności. Powiedziałam mu wszystko (albo prawie wszystko), a kiedy skończyłam, mój blady jak ściana kuzyn cały się trząsł.

– Chryste Panie! – jęknął. – Chryste Panie, Matko Przenajświętsza, święta Marto, miejcie nas w swej opiece!

Mogłabym mu powiedzieć, że święta Marta już mi dość znacząco pomogła, ale wszystko to było tak skomplikowane, iż nie czułam potrzeby wplątywania w to jeszcze zmumifikowanej dłoni. Poklepałam malutkie wybrzuszenie pod spódnicą.

– Marco...

– Coś ty narobiła?

Gapił się na mnie ponad blatem ustawionego na kozłach stołu, przy którym usiedliśmy. Mała, ciasna kuchnia była teraz zalana słońcem, wyszorowana do czysta i upiornie cicha po wczorajszym zamieszaniu; służba pani Adriany wstała wcześniej, by się spakować i wrócić do domu, ale można było mieć pewność, że po wczorajszych hulankach reszta domowników kardynała będzie spała do późna. Uznałam, że mamy dobrą godzinę, by porozmawiać na osobności, zanim będziemy musieli się zabrać.

– Tak naprawdę nie wiem, co robię – przyznałam uczciwie. – Ale nie wrócę tam.

– Musisz wrócić! Czy wiesz, co się z tobą stanie, jeśli nie wrócisz? Co stanie się ze mną, jeśli ci pomogę?

Spojrzałam na swojego kuzyna, siedzącego z potężnymi rękami bezradnie rozłożonymi na wyszorowanym stole. Jako dwunastolatka byłam w nim zakochana po uszy. Kto by nie był? Wysoki, barczysty, o ramionach masywnych od setek godzin ubijania jaj i nadziewania ogromnych sztuk mięsa na rożen. Czarne, sprężyste loki i beztroski uśmiech, a jakby tego nie było

dość, prawdziwy talent kulinarny. Wielkie dłonie Marca potrafiły wyrabiać najcieńsze płaty ciasta, najdelikatniejsze słodkości, najwykwintniejsze sosy – i za to kochałam go równie mocno, jak za jego szerokie ramiona i mlecznobiałe, lśniące w uśmiechu zęby. Ale nie wzdychałam już do niego, bo dawno się zorientowałam, że mimo wszystkich swoich talentów Marco nie miał za grosz rozumu.

– Nikt mnie nie złapie – powiedziałam tak spokojnym tonem, na jaki tylko potrafiłam się zdobyć. – Kto będzie szukał w Rzymie uciekiniarki z Wenecji?

– Właściwie to jak zdołałaś dostać się samodzielnie tak daleko na południe?

Obrzucił spojrzeniem moje krótkie włosy. Zdarłam w końcu wysmarowaną mąką i jajkami szmatę, którą obwiązałam sobie głowę, i moje ostrzyżone włosy bez wątpienia napuszyły się setkami czarnych, nietwarzowych loczków.

– Podróżowałam jako chłopak – wyznałam, przeczesując palcami rozczochrane kosmyki. – Kupiłam w Wenecji używany dublet i nogawice. I maskę. Był akurat karnawał, więc wszyscy mieli maski. – Nie było to w gruncie rzeczy szczególnie dobre przebranie, ale byłam wystarczająco wysoka i szczupła, by uchodzić za patykowego chłopaka, a maska bardzo mi pomogła. W ciągu tych długich tygodni połowa hulaków, których spotkałam po drodze, była przekomicznie poprzebierana i nosiła dziwaczne dziobate maski,

zmierzając na poprzedzające Wielki Post zabawy. Cóż to była za koszmarna podróż! Spałam w zajazdach, w których nocami szczury biegały mi po nogach, popiskując przerażająco. Wmuszałam w siebie czerstwy chleb i mięso twarde jak podeszwa, bo na nic innego nie mogłam sobie pozwolić. Boleśnie powolne łodzie zawijały do każdego najmniejszego portu, zamieniając podróż obliczoną pierwotnie na dwa tygodnie w wyprawę trwającą ponad miesiąc.

– Skąd wzięłaś pieniądze na podróż? – dopytywał się Marco. – Wiem, że nie miałaś grosza przy duszy!

– Uzbierałam wystarczająco dużo, by się tutaj dostać – zbyłam go. Nieważne jak, nie jego interes. Poza tym gdyby wiedział, że mi cokolwiek zostało, natychmiast chciałby pożyczyć, żeby postawić na jakiegoś pewniaka w walkach kogutów. Marco zawsze miał pewniaki w walkach kogutów.

– No cóż, nie wiem, dlaczego zwróciłaś się do mnie, ale nie mogę ci pomóc. – Opadł na krzesło, przeczesując palcami kręcone włosy. – Tak naprawdę nie mam już nawet posady. Pani Adriana, o ile mnie jeszcze nie zwolniła...

– No właśnie, co do twojej posady... Powiedz mi, Marco, gdzie wczoraj byłeś. Gdzie się podziewałeś, kiedy powinienesz być przygotowywać potrawy na przyjęcie weselne pani Giulii Farnese?

Odwrócił wzrok. Sięgnęłam po gąsior wina, który wcześniej zakorkowałam i odstawiłam na bok, wławszy

doń dwie szklanki wina i rozcieńczywszy je wodą.

– Kości tym razem? – zapytałam retorycznie. – Czy walki psów?

– Jedno i drugie – mruknął. – Przegrałem rozdanie czy dwa w karty i pomyślałem, że muszę się przerzucić na coś innego. Partyjkę albo dwie, nie mogłem tak po prostu wyjść! Los właśnie zaczynał się do mnie uśmiechać! Nie miałem zamiaru...

– Nigdy nie masz – ucięłam, ale bez złości. To nie był odpowiedni moment na rozsierdzanie mojego kuzyna. Wsunęłam mu szklankę w dłoń i patrzyłam, jak smętnie z niej pociąga. Marco nigdy nie miał nadmiernego zamiłowania do wina, tylko do hazardu. Ojciec w końcu go za to zwolnił, nie zważając na więzy krwi.

– Zachowałeś swoją posadę u pani Adriany – oznajmiłam, kiedy zaplótł swoje ogromne palce wokół szklanki. – Zastąpiłam cię.

– Ty? – zapytał zdziwiony, podnosząc głowę. – Jak?

Wzruszyłam ramionami i pociągnęłam łyk ze swojej szklanki, by ukryć uśmiech. Gdybym nie była tak zmęczona i przestraszona, byłabym całkiem zadowolona z siebie. Od dwóch lat nie było mnie w kuchni, a w każdym razie nie miałam do czynienia z prawdziwym gotowaniem, tymczasem zaś wydałam ucztę weselną dla blisko stu gości. W obcej kuchni, z nieznanymi kucharzami i do tego bez uprzedzenia, ot

co. Zmilczałam jednak i powiedziałam tylko:

– Ojciec mnie również wiele nauczył, Marco. Pani Adriana nie dowiedziała się o twojej nieobecności.

– Jestem ci... – zaczął i urwał gwałtownie. – O, Chryste, wiem już, do czego zmierzasz. Chcesz...

– Nie rozmawiajmy o tym, czego chcę. Porozmawiajmy o tym, co jesteś mi winien. – W moim głosie była sama słodycz. – Jesteś moim dłużnikiem i świetnie o tym wiesz.

Jego wielkie bary oklapły jeszcze bardziej.

Przesunęłam palcem po kółku odbitym na wyszorowanym blacie.

– Mogę ci się przydać, wiesz? Pomóc ci w kuchni pani Adriany. Pomóc ci wziąć tych twoich uczniów w ryzy. Ten Piero sprawia niemało kłopotów, powinienes go zwolnić i zatrudnić kogoś, kto nie kradnie wina i nie obmacuje służących. Pomogę ci też przy okazji dużych przyjęć, zastąpię ludzi, których normalnie musiałbyś dodatkowo zatrudnić...

– A co ja mam zrobić dla ciebie? – Podniósł gwałtownym ruchem głowę i zaczerwienił się ze złości.
– Co ja mam zrobić dla ciebie, kuzynko?

– Po prostu weź mnie do siebie. – Uznałam, że odrobina pokory będzie jak najbardziej na miejscu, i chociaż mój ojciec z upodobaniem zwracał mi uwagę na to, iż nie mam w sobie nic z potulnej owieczki, doskonale wiedziałam, jak ową potulność zamarkować.
– Daj mi wikt i dach nad głową, Marco. O nic więcej nie

proszę.

– O nic więcej nie prosisz? Jeśli ktoś się dowie, że ci pomogłem, zgniję w lochach! Albo jeszcze gorzej. – Wlał w siebie potężny haust wina. – Dlaczego nie wrócisz po prostu do domu, kuzyneczko? Twój ojciec będzie pewnie wrzeszczał i wściekał się, ale przecież nie...

– Nie pozwoli mi wrócić do domu. Nie po tym, jak zhańbiłam rodzinę. – Wykonałam gest, jakbym odrąbywała sobie rękę tasakiem, symbolicznie odcinając sobie tę alternatywę. Moja mieszkająca w Wenecji rodzina, mój ojciec, moja matka, moja młodsza siostra, mogliby równie dobrze nie żyć. Ja dla nich z pewnością byłam martwa. – Widzisz, jest jeszcze to.

Sięgnęłam pod fartuch i rzuciłam mu przez stół paczuszkę złożonych kartek.

Znał tę paczuszkę prawie tak dobrze jak ja.

– Skąd... – Pochylił się ku niej gwałtownie i przerzucił pospiesznie kartki, zatrzymując się przy plamie w rogu strony sto dwunastej, na której odznaczył się znajomo żółtawy odcisk kciuka umazanego białkiem i gałką muszkatołową. – Oryginalne przepisy twojego ojca?

– Co do jednego wszystkie, które udało mu się zgromadzić w ciągu czterdziestu lat gotowania.

Twarz Marca rozjaśniła się, ale po chwili mina mu zrzędła.

– Ale one są zaszyfrowane... Zawsze były zaszyfrowane, nikomu nie zdradził nigdy swojego szyfru...

– Poznałam ten szyfr. I mogę cię go nauczyć. Wejdiesz wtedy w posiadanie wszystkich przepisów mojego ojca. – Z wyjątkiem jednego czy dwóch składników, których nigdy nie uwzględnił w przepisie, zawierając je swej pamięci na wypadek, gdyby jednak ktoś kiedyś odczytał jego szyfr. Niech Bóg mi wybaczy, gdy mówię, że mój ojciec był podejrzliwym sukinsynem, ale taka jest właśnie większość kucharzy. Oczywiście wszystkie pominięte składniki również znałam.

Marco uniósł spojrzenie swoich ciemnych oczu i przyjrzał mi się badawczo przez stół.

– Jak ci się udało je zdobyć? Strzegł swoich przepisów bardziej niż Kościół strzeże relikwii.

Aż się wzdrygnęłam na dźwięk słowa „relikwie”. Dobrze, że nie wspomniałam o zmumifikowanej dłoni. Nie ma potrzeby, by mój strachliwy kuzyn dowiedział się, że udziela schronienia złodziejce czegoś znacznie ważniejszego niż przepisy.

– Czasem zabierał swoje przepisy, by pokazać je potencjalnym klientom – zaczęłam wyjaśniać. – Robiły na nich wrażenie... Te szyfry, ta tajemniczość... Zdobywał klientów, gdzie tylko się dało, wciągał ich w rozmowę o planowanym przyjęciu weselnym siostrzenicy albo pożegnalnej kolacji, którą wydawali

przed wyprawieniem syna na uniwersytet. A potem wymachiwał im przed nosem swoimi przepisami i udawał, że potrafi się wywiązać z zadania lepiej niż ktokolwiek inny, komu zdecydowali się powierzyć je wcześniej. W ten sposób pozyskał całkiem sporo stałych zleceniodawców.

Nie miałam żadnych wątpliwości, że mój ojciec starałby się pozyskać nowe zlecenia nawet na moim nabożeństwie pogrzebowym.

– Kiedy ostatnim razem mnie odwiedził – kontynuowałam – ja... no cóż, poczekałam, aż się odwróci, zbierając się już do wyjścia, i podwędziłam mu je z torby.

Miałam już wówczas wstępny plan ucieczki. A kiedy w końcu trzymałam ten plik przepisów w ręku, mgliste pragnienie skryształowało się, przybierając formę zdecydowanego działania. Wtedy też ogarnął mnie strach – przed tym, co zrobi mi ojciec, gdyby mnie złapano, i przed losem, na który skaże mnie twarde weneckie prawo – ale to nie wystarczyło, by mnie powstrzymać.

– Ojciec cię zabije – jęknął Marco. – Zabije mnie, jeśli nas złapie...

Prawdopodobnie.

– Marco, czy ty naprawdę masz w głowie tylko ricottę zamiast mózgu? – W moim głosie pobrzmiwała tylko odrobina uszczypliwości, niczym kilka kropli soku z cytryny, które dodaje się do słodkiego sosu, by

przydać mu odrobiny charakteru. – Zapomnij o moim ojcu i popatrz na to, co chcę ci zaoferować. Twoja posada u pani Adriany jest bezpieczna, a dysponując przepisami mojego ojca, możesz zostać najlepszym kucharzem w Rzymie, tak jak on jest najlepszym kucharzem w Wenecji. W zamian za to proszę jedynie o dach nad głową. Przytulisko dla twojej świeżo osieroczonej kuzynki Carmeliny, która przybyła, by zamieszkać ze swoim kuzynem i oczywiście całym sercem oddać się pracy w jego kuchni.

Przygryzł wargę.

– Pani Adriana nie będzie robiła problemów – cisnęłam – skoro zamierzam pracować bez wynagrodzenia. A jej synowa rozpływa się w zachwytach nad moimi marcepanowymi tartami.

Marco spojrział na mnie, a potem zatopił spojrzenie w szklance stojącego przed nim wina. Wychyliłam swoją szklanekę do dna, nie spuszczać z niego wzroku, choć słyszałam już ruch w sąsiednim pomieszczeniu. Domownicy kardynała w końcu zwlekli się z łóżek. W każdej chwili do kuchni mogły wpaść służące.

– No to jak? – Uniosłam brwi. – Umowa stoi?

Giulia

Niesamowite, jak solidna porcja cukru potrafi poprawić nastrój. Pochłonawszy bladym światem wszystkie marcepanowe ciasteczka i połowę pieczonych jabłek (zawsze jem, kiedy jestem smutna), doznałam

nagłego olśnienia (choć podchodziłam do tej nowej myśli ostrożnie): może tej nocy mój mąż nie przyszedł do mojego łóżka dlatego, że był pijany i obawiał się, iż może nie stanąć na wysokości zadania? Nawet niedoświadczone dziewice jak ja wiedziały, co się może przydarzyć mężczyźnie po zbyt dużej ilości wina. Może wypił o jeden kielich za dużo i matka go skrzyczała, po czym kazała mu czekać, aż wytrzeźwieje? Może właśnie dlatego powiedział, że mu nie wolno?

Na pewno Orsino przyjdzie do mnie dziś w nocy. Może nawet dziś rano: namiętny młody mężczyzna, który otwiera drzwi kopniakiem, gdyż pragnie jak najszybciej osiąść swoją ukochaną. Przypominało to fantazje, które przychodziły mi do głowy podczas lektury sonetów Petrarce, kiedy to wyobrażałam sobie, co mogłoby się zdarzyć, gdyby Petrarca zebrał się kiedyś na odwagę i tak po prostu wziął złotowłosą Laurę w ramiona zamiast śnić o całowaniu jej zgubionych rękawiczek i pisać dla niej rzeczywiście znakomite wiersze. Z pewnością Orsino miał więcej śmiałości niż Petrarca – przynajmniej byłam żoną Orsina, w przeciwieństwie do Laury, która była poślubiona nie Petrarce, lecz komuś innemu – i miał wszelkie prawo wpaść do mojej komnaty, kiedy tylko chciał. Wsunęłam więc zarzucone okruchami talerze pod poduszki leżące na stojących pod ścianami kufrach, wypłukałam usta wodą różaną z dzbana, by odzyskać słodycz oddechu, poszczypałam się w policzki, żeby

dodać im rumieńców, i wśliznęłam się z powrotem do łóżka, układając sobie świeżo rozczesane włosy na ramionach, po czym zastygłam w oczekiwaniu. Znowu.

Ale jedyną osobą, która bez pukania weszła do mojej sypialni, była moja teściowa, a zdecydowanie nie jej oczekiwałam.

– Ach, nie śpisz już – powiedziała, nie sprawiając wrażenia ani odrobinę zaskoczonej tym, że jestem sama. – Pomyślałam, że powinnam pozwolić ci pospać po tak długiej nocy.

Czy ona wiedziała dokładnie, jak spędziłam tę noc? Spojrzałam na panią Adrianę da Mila o łagodnej twarzy okolonej przyciemnianymi lokami wymykającymi się spod czepca, jaki noszą matrony, równie kwadratową jak łóżko, przyodzianą w szatę z fioletowego aksamitu z rękawami wyszywanymi złotobrazową nicią.

– Wstawaj, wstawaj – zakomenderowała, energicznie klaszcząc w dłonie. – Musimy cię szybko ubrać. Ktoś chce z tobą porozmawiać.

– Orsino?

Odrzuciłam pościel na bok. Och, miałam do mojego świeżo upieczonego męża kilka pytań i niezależnie od tego, czy żona powinna zachować skromność i milczenie, zamierzałam mu je zadać.

– Nie, mój syn wyjechał dziś wczesnym rankiem. Mamy posiadłość w Bassanello, sama rozumiesz... Wzywały go ważne sprawy.

– Tak szybko? – Wszystkie moje podtrzymywane

spożytym cukrem nadzieje zbladły. – Mniemam zatem, że wkrótce wyruszę w podróż, by do niego dołączyć.

– Być może – rzekła pogodnie i poklepała mnie po policzku. – No dobrze, pomyślmy... Biały i złoty brokat... Widziałam go wczoraj w twoim kufrze ze ślubną wyprawą, będzie idealnie pasował do twoich cudownych włosów.

Do komnaty wbiegły służące, poszeptując i zaśmiewając się, i zanim zdążyłam zaprotestować, wyciągnęły mnie z łóżka. W mgnieniu oka przystroiliły mnie w biało-złotą brokatową suknię, a sama pani Adriana poświęciła mnóstwo czasu, by wyciągnąć bufki mojej wyszywanej złotem koszuli przez rozcięcia rękawów.

– Hiszpański brokat, okropnie drogi, ale co za jakość! Twoi bracia zdecydowanie cię rozpieszczają!

Szczupła, wesolutka dziewczyna, którą przedstawiono mi jako Pantisileę („od tej chwili będzie twoją osobistą służącą, moja droga”), skreśliła mi włosy w mnóstwo wymyślnych splotów, które upięła z tyłu i okryła zwiewnym welonem. Stałam w samym środku całego tego zamieszania i zastanawiałam się, co, na miłość boską, się tutaj właściwie dzieje. Chciałam się znaleźć z powrotem we własnej komnacie, nawet jeśli nie była nawet w połowie tak ogromna jak ta, a jej wyposażenie w niczym nie przypominało otaczających mnie luksusów. Chciałam odzyskać wiecznie skwaszoną Gerolamę z jej podejrzliwymi oczkami, którymi

w jednej chwili potrafiła wszystko wypatrzeć. Ale przede wszystkim chciałam zobaczyć się z Sandrem. Może i był urodzonym komediantem, który najlepiej by się czuł w objazdowej trupie, ale mimo wszystkich trzymających się go żartów i kawałów nie pozwoliłby, ażeby cokolwiek się stało jego *sorellinie*. Nie znajdowałam się już jednak pod opieką Sandra ani swojej rodziny. Został mi tylko mój młody mąż, który nagle gdzieś zniknął.

– Doprawdy wyglądasz zjawiskowo – orzekła rozpromieniona pani Adriana. – Żadnego naszyjnika, kochanie; wkrótce się dowiesz, dlaczego... Tak, myślę, że możesz już iść. A teraz zejdź czym prędzej na dziedziniec.

Patrzyłam przez chwilę na jej łagodną, szeroką twarz.

Niech i tak będzie.

Jeśli nie wiesz, co cię czeka, zrób teatralne wejście i miej nadzieję, że sprawy ułożą się pomyślnie. Spłynęłam po schodach, wysoko unosząc głowę, przeszłam przez jedną łukowo sklepioną komnatę, potem przez kolejną i znalazłam się pod arkadami loggii okalającej dziedziniec. Zatrzymałam się tam na chwilę, oświetlona nagłym blaskiem słońca wędrującego po bezchmurnym niebie, które nie docierało do mrocznych pomieszczeń pałacu. Mrugając oczami i osłaniając je przed oślepiającym słońcem, zobaczyłam wyciągniętą ku mnie męską dłoń.

– Chodź ze mną – rzekł mężczyzna niskim głosem.

Schodząc po schodach, przygotowałam sobie zgrabny zestaw pytań, jako że chciałam natychmiast wywęszyć przyczyny tak gwałtownego wyjazdu mojego męża, lecz w tych okolicznościach mogłam tylko złożyć dłoń na szerokiej, ozdobionej pierścieniami dłoni stojącego przede mną mężczyzny – dłoni dostojnego kuzyna pani Adriany, kardynała, który tak wspaniałomyślnie wydał w swoim pałacu moje przyjęcie weselne. Jak on się nazywał? Przedstawiano mi go już kilka razy, ale wszyscy kardynałowie wydawali mi się podobni: stado obłudnych szkarłatnych nietoperzy.

– Wasza Eminencjo – wykszusiłam, dygając nisko na marmurowym stopniu.

– Nie, nie – zaprotestował, podnosząc mnie. – To wiek musi się skłonić przed urodą, wszak widzę tu mężczyznę nad wyraz wiekowego i dziewczynę nad wyraz urodziwą.

Skłonił się z wdziękiem, który bardziej pasowałby mężczyźnie ubranemu w dublet i nogawice, a nie w szaty duchownego. Kiedy się wyprostował, dostrzegłam, że chociaż stoję dwa stopnie wyżej od niego, nadal jest ode mnie wyższy. Majestatycznego wzrostu dopełniała masywna budowa ciała przywodząca na myśl byka ukazanego na zawieszanej nad wejściem tarczy herbowej. Była z orlim nosem i ciemnymi oczami, w których igrało rozbawienie. W jego wymowie

pobrzmiwał kataloński akcent.

– Chodź – powtórzył i powiódł mnie do zarośniętego mchem ogrodu. – Podejrzewam, że zastanawiasz się, dlaczego pani Adriana przysłała cię do mnie.

– Abym mogła podziękować ci, panie, za wyprawienie uczyty weselnej? – zaryzykowałam. Prowadził mnie na niespieszną przechadzkę wśród klombów kwitnących majowo kwiatów i marmurowych posągów ustawionych w niszach obrośniętych winoroślą. Pośrodku ogrodu pluskała fontanna, a wśród rozpryskującej się wody wirowała kamienna nimfa. – To była piękna ucztą, Wasza Eminencjo – przyznałam uczciwie. Dopiero to, co zaszło po niej, okazało się tak głęboko rozczarowujące. Wokół tej fontanny powinnam teraz spacerować wraz z Orsinem, śmiejąc się beztrudnie. Zerwałabym jeden z goździków wyrastających z tej marmurowej urny i wetknęłabym mu go za ucho, a on, gdyby miał choć odrobinę galanterii, oddałby mi go, złożony na nim pocałunek...

– Cieszę się, że dobrze się bawiłaś. – Głos kardynała był głęboki, dźwięczny, stworzony do odbijania się echem w spowitych półmrokiem katedralnych nawach. Nic dziwnego, że zdecydował się zostać duchownym. – Wyznaję, że gdy zdecydowałem się wydać twoją ucztę weselną, przyświecał mi jeszcze jeden cel.

– Czy wiesz, dlaczego mój mąż wyjechał tak nagle?

– Nie mogłam się powstrzymać od zadania tego pytania.

– Do tego również muszę się przyznać.

– Co takiego? – Zatrzymałam się gwałtownie, nie puszczając jego dłoni. – To ty go odesłałeś, panie?

– Tak – odparł kardynał szczerze.

Otworzyłam usta, by powiedzieć... No cóż, tylko Święta Panienska wiedziała co. Ale...

– Czy to ona? – odezwał się za mną chłopięcy głos.

Odwrociłam się i zobaczyłam wysokiego młodzieńca o kasztanowych włosach, młodszego ode mnie zaledwie o rok czy dwa, w luźnej koszuli i spodniach tak pomiętych, jakby w nich spał. Jak przez mgłę przypominałam sobie, że to jeden z młodych gości uczestniczących we wczorajszej uczcie, chociaż teraz, kiedy już miałam własnego męża, nie zwracałam uwagi na podrostków z mlekiem pod nosem.

– Juan – powiedział kardynał łagodnie – odejdz.

– Ale co? Chciałem tylko zobaczyć nową konkubinę. – Juan zlustrował mnie spojrzeniem starego zbereźnika. – Możesz przyjść się kurwić ze mną, jeśli nie odpowiada ci Jego Eminencja mój ojciec – zaproponował, wykrzywając się pogardliwie.

– Juan – powiedział kardynał już znacznie mniej łagodnie i chłopak się wyprostował.

– Chciałem tylko popatrzeć! Ja też mógłbym już mieć konkubinę! Jestem wystarczająco duży!

– Masz szesnaście lat i jesteś prawdziwym utrapieniem. Zostaw nas. – Kardynał nonszalancko

obrócił się w moją stronę, a chłopak wymamrotał coś, co mogło uchodzić za przeprosiny, i pospiesznie się oddalił. – Mam nadzieję, że wybaczysz memu synowi, moja pani. Jest młody i ma skłonność do arogancji w obliczu urody. Jesteś zapewne przyzwyczajona do tej formy zachwyty.

Prawie go nie słyszałam... Serce we mnie zamarło.

– Wybacz moje nierozgarnięcie, Eminencjo – powiedziałam w końcu. – Jestem tylko głupią dziewczyną, więc może nie zrozumiałam... Odesłałeś mojego męża, by móc mieć mnie dla siebie?

– Tak – przyznał kardynał pogodnie.

Serce stanęło mi nieodwołalnie i przeszedł mnie potworny dreszcz. Zdumienie, niedowierzenie – ale przede wszystkim gniew. Bez chwili namysłu wymierzyłam mu policzek. Siarczysty. Takim policzkiem potrafiłam człowiekowi niemal urwać głowę.

Kardynał zachował równowagę. Spojrzał na mnie i uniósł dłoń do policzka. Uchwyciłam zmroczniałe spojrzenie jego błyszczących oczu i mój gniew przerodził się w strach. Och, Święta Panienko, właśnie uderzyłam sługę bożego – i to kardynała...

I wtedy odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– Przestań się śmiać! – Tupnęłam nogą na ogrodowej ścieżce i natychmiast pożałowałam, bo poczułam się jak dziecko. – Nikt nie powinien się śmiać

po tym, jak został przeze mnie spoliczkowany! Mam trzech braci i siostrę, która mnie nienawidzi. I wiem, jak wymierzyć policzek!

Na policzek kardynała wypływał już krwawy ślad mojej dłoni.

– W rzeczy samej – wykrztusił kardynał, nie przestając się śmiać. – Ale wielkie nieba! Od dziesięcioleci nie zostałem spoliczkowany przez piękną dziewczynę i nie zdawałem sobie sprawy, jak za tym tęskniłem. Sprawiaś nieomal, że znów poczułem się młody. Mam sześćdziesiąt jeden lat – dodał – gdybyś się zastanawiała.

– Nie zastanawiam się nad niczym z wyjątkiem tego, jak wydostać się z tej... tej jaskini rozpusty! – Trzęsłam się cała w ciężkiej biało-złotej sukni. – Czy mój mąż wiedział o tym układzie, czy też zaaranżowano naprędce jakiś kryzys, by skłonić go do wyjazdu?

– Oczywiście, że wiedział. I został sownie wynagrodzony. Chociaż prawdopodobnie pożałował zawartej umowy, gdy już zobaczył, czego się zrzekł.

– Umowy... A kiedyż ta umowa została zawarta? Poznaliśmy się dopiero wczoraj!

– Przeciwnie, spotkaliśmy się kilkakrotnie. Dziewczętom nieodrywającym oczu od młodzików wszyscy duchowni wydają się tacy sami. – Z rezygnacją przesunął dłonią po ciemnych włosach, wśród których świeciła łysiną tonsura. – Przyjechałaś do Rzymu zeszłej zimy, kiedy twój brat Angelo szukał żony.

Prawdopodobnie miał również nadzieję pokazać cię światu i rozpocząć targi o twoją rękę. Widziałem cię na mszy, och, przynajmniej kilkanaście razy. Czy muszę dodawać, że się wyróżniałaś? Kiedyś straciłem całe kazanie, kontemplując z zachwytem twój profil.

Zmrużyłam oczy. Wewnętrznie trzęsłam się ze strachu, ale nie zamierzałam dać tego po sobie poznać.

– I uznałaś, obserwując mnie zaledwie kilka razy w kościele, że zechcę zostać twoją... zabawką?

– Wyobraź sobie dziesięć panien na wydaniu na mszy – zaczął, odmalowując tę scenę kilkoma wymownymi gestami upierścienionych dłoni. – Dwie słuchają z ogromną uwagą. Te są naprawdę pobożne. – Pochylił nisko głowę, przyjmując nagle postać skromnej i poważnej dziewczyny. – Kolejne pięć będzie pozorować uwagę, bo usłyszały od matek, że demonstrowanie pobożności i oby ślicznego profilu jest najlepszym sposobem na złapanie męża. – Utkwił wzrok w przestrzeni, kątem oka zerkając, jakby obserwował czujnie zalotników. – Kolejne dwie będą słuchały nieuważnie, bo matki ich wystarczająco nie przypilnowały. – Tutaj zainscenizował dłoń zasłaniającą usta, szeptu i chichoty. – A jedna z tych dziesięciu dziewcząt nie będzie nawet udawać, że słucha, niezależnie od tego, co jej przykazywała matka. Będzie siedzieć z błyszczącymi oczami, zatopiona myślami w sobie tylko znanych, nad wyraz zabawnych sekretach. To ta właśnie dziewczyna wyjdzie z kościoła, zanosząc

się niepohamowanym śmiechem, kiedy przeziębiony ksiądz kichnie na hostię przed podniesieniem. – Wyprostował się i spojrzał na mnie. – I tylko tej dziewczynie warto się przyglądać.

– Cóż za talent aktorski – powiedziałam niegrzecznie. – Powinieneś być zostać szalbierzem, a nie kardynałem. Jednym z tych szarlatanów, którzy odwołując się do aktorskich sztuczek, sprzedają fałszywe leki.

– Pod wieloma względami duchowny istotnie jest szalbierzem – rzekł niespeszony. – Czy wiesz, iloma tanimi sztuczkami posługujemy się podczas mszy? Nie żegnaj mi się tutaj. Podejrzewam, że dziewczyna, która potrafi się roześmiać podczas podniesienia bez obawy o swą duszę nieśmiertelną, odkryła już w sobie zamiłowanie do teatru.

Końcem palca dotknął pasma włosów wijącego się przy moim policzku. Zmarszczyłam brwi i ostrzegawczo uniosłam rękę, a on dobrotliwie pokręcił głową.

– Jeden policzek mógł ci się upiec, moja droga, ale dwa już nie.

Opuściłam dłoń, przełykając z trudem gulę, która urosła mi w gardle.

– Ujrzałeś mnie, zapragnąłeś i uznałeś, że mnie posiadasz? Tak po prostu, Wasza Eminencjo?

– Pożądanie jest najprostszą sprawą na świecie – odparł. – Po tym, jak wybiegłaś po kichnięciu tego

księdza, nie było w kościele mężczyzny, który by cię nie pragnął. Ale tylko ja zdobyłem się na śmiałość.

– Czyżby? – Przywołałam na twarz najkwaśniejszy grymas mojej siostry Gerolamy. – A jak to zrobiłeś, jeśli można wiedzieć?

– Masz usta jak perła, wiesz o tym? Drobne, lecz idealne. Zasięgnąłem języka u mojej drogiej kuzynki, Adriany da Mila, która dowiedziała się, że twoi bracia szukają dla ciebie męża. Wystarczyło jedno spotkanie, by Adriana doniosła mi, że naturę masz równie słodką jak twarzyczkę...

– Kazałeś jej sprawdzić mój charakter?! – Nie byłam w stanie powstrzymać wybuchu. – Jak przed kupnem konia?! „Ma ładne chody, ale czy aby nie kopie podczas siodłania?”

– Oczywiście, że kazałem jej sprawdzić twój charakter! Czy wiesz, ile pięknych twarzy kryje wstrętne usposobienie? Adriana zapewniła mnie jednak, że w twoim przypadku jest zupełnie przeciwnie, w związku z czym jej syn Orsino został przedstawiony twojej rodzinie jako potencjalny mąż. A jeśli chodzi o Orsina – dodał kardynał – to gdybyś miała jakieś wątpliwości, zgodził się na tę propozycję. Rozumie, że moja opieka zapewni mu znaczącą rekompensatę. Protekcję, urzędy, dochody i tak dalej. Warte pożyczenia żony.

– On nie mógł się na to zgodzić. – Usiadłam raptownie na marmurowej ławce stojącej przy fontannie. Kamienna nimfa baraszkowała w wodzie, śmiejąc się ze

mnie. – Nie zrobiłby tego.

– To dość częsty układ. – W niskim głosie kardynała nadal czaiło się rozbawienie, ale brzmiał łagodniej, jakby się już nie uśmiechał, czego jednak nie widziałam, bo nie mogłam się zmusić, by na niego spojrzeć. – Moja ostatnia kochanka miała po kolei trzech mężów, a co jeden to potulniejszy. Oni czerpali zyski z mojej opieki, ona cieszyła się szacunkiem, a dzieci, które powiła, miały moją protekcję.

– Dzieci? – powtórzyłam bezmyślnie. Wbiłam wzrok w łuk, pod którym zniknął gburowaty Juan. Oczywiście. Kardynał, który bez drgnienia powieki składał propozycje seksualne żonie innego, z pewnością nie wzbraniał się przed płodzeniem bękartów.

– Żyje pięcioro. – Usiadł naprzeciw mnie na brzegu fontanny, nie zbliżając się zanadto. – Czworo tutaj, w Rzymie. Trzech chłopaków i dziewczyna. Mam jeszcze córkę w Hiszpanii, którą teraz, gdy dorosła i wyszła za mąż, rzadko widuję.

Bez wątpienia starszą ode mnie, w czym akurat nie było nic szczególnie szokującego. Isotta Colonna, która przepłakała całe swoje zaślubiny, stała na ślubnym kobiercu obok sześćdziesięcioletniego grubasa. Trzy czwarte dziewcząt, z którymi chichotałam podczas mszy, zostało poślubionych mężczyznom co najmniej dwadzieścia lat od nich starszym.

Dziewiętnastoletni Orsino ze swoimi rumieńcami i błękitnymi oczami... Sądziłam, że szczęście się do

mnie uśmiechnęło.

Spojrzałam kardynałowi prosto w oczy.

– Jeśli tak bardzo mnie pragnąłeś, dlaczego nie posiadałeś mnie zeszłej nocy? – Zadanie tego pytania kosztowało mnie wiele wysiłku. – To twój pałac... Nikt nie przyszedłby mi z pomocą. Mógłbyś ze mną zrobić, co by ci się żywnie podobało.

– Moja droga. – Znów usłyszałam w jego głosie rozbawienie przywodzące na myśl posmak miodu w cieście. – Nigdy w życiu nie wziąłem kobiety siłą i w tym wieku nie zamierzam już zaczynać.

Zerwałam się na równe nogi.

– Zatem pozwól mi wrócić do domu!

– Naturalnie – powiedział. – Twoim nowym domem jest Palazzo Montegiordano, gdzie zamieszkaś ze swoją teściową, Adrianą da Mila. Mieszka bardzo wygodnie, a jednym z jej domowników jest moja córka. Naprawdę mam nadzieję, że zaprzyjaźnisz się z Lukrecją. Jest rozkoszna, a nazbyt często brakuje jej towarzystwa innych dziewcząt. Twój mąż pozostanie w Bassanello, chociaż nie byłbym zaskoczony, gdyby wrócił, bełkocząc przeprosiny za to, że okazał się takim strachliwym młokosem. Ja również będę się pojawiał od czasu do czasu, by starać się pozyskać twoją przychylność.

Spuściłam pogardliwie wzrok.

– A jeśli odmówię?

Czy w ogóle mogę odmówić? Czy też skazana

byłam na męki piekielne za sprzeciwianie się kardynałowi? Och, Święta Panienko, kto mógł przypuszczać, że zamążpójście wszystko tak szalenie skomplikuje?

– Nawet jeśli odmówisz, twoja sytuacja nie pogorszy się ani na jotę. – Kardynał wstał, szeleszcząc szkarłatnym jedwabiem i górując nade mną majestatyczną sylwetką. – Tak naprawdę znacznie się na tym wzbogacisz. Będiesz miała uległego młodego męża... Jest małym tchórzem bez zasad, lecz mimo to jest bardziej obiecujący od większości tych wyschłych, siwiejących osobników, którym udaje się poślubić dziewczyny takie jak ty. I będziesz się cieszyła miłym poczuciem bycia wielbioną za własne zalety, a nie wniesiony posag, czego każda kobieta powinna doświadczyć chociaż raz w życiu. – Omiótł spojrzeniem moje okryte welonem sploty. – Zanim jej uroda zwiędnie.

Odrzuciłam głowę w tył i posłałam mu niespieszny, arogancki uśmiech.

Uśmiechnął się i raptownie położył dłoń na sercu, jakby mój uśmiech przebił je niczym strzałą.

– A do tego – podsumował radośnie – będziesz miała szkatułkę pełną błyszczących drobiazgów, które otrzymasz ode mnie w prezencie. Kupowanie prezentów zazwyczaj nieźle mi wychodzi, o czym zapewni cię każda z moich poprzednich kochanek.

– Nie chcę twoich prezentów.

– To je wyrzucić – rzekł beztrąsko i ponownie ujął moją dłoń. – Niczego bardziej nie pragnę niż ci je podarować. Określa się to mianem zauroczenia, moja droga. Powinnaś tego kiedyś doświadczyć.

Odwrócił moją dłoń i przesunął wargami po wewnętrznej stronie nadgarstka. Albo byłby to zrobił, gdybym mu nie wyrwała ręki.

– Nie dotykaj mnie – ostrzegłam. Od dwunastego roku życia, kiedy to z dziewczyny zaczęłam przeobrażać się w kobietę, byłam podszczytywana, obściskiwana i podglądana przez mężczyzn. Przez paziów, służących i młodych zawadiaków włóczących się po ulicach. Przez nauczycieli, którzy mieli mnie uczyć tańca i utworów Dantego. Przez nieznanomych, którzy celowo ocierali się o mnie, kiedy po mszy przeciskałam się przez tłum. Przez księży, u których się spowiadałam. Każdy z tych mężczyzn sądził, że poufały klaps czy dotknięcie ujdzie mu na sucho, a niezamężna dziewczyna nie ma innego wyjścia niż możliwie szybko się oddalić, zanim zostanie oskarżona o kuszenie nieszczęśnika do złego. Ale teraz byłam już mężatką i nie musiałam udawać, że nie czuję obmacywania i podszczytywania. – Nie dotykaj mnie – ostrzegłam jeszcze raz, niezbyt pewnie. Cichy głos w mojej głowie szeptał, że kardynałowi się nie odmawia...

– Nie obawiaj się. – Zaśmiał się, niezrażony, i złożył kolejny elegancki ukłon. – Nie dotknę cię, dopóki mnie sama o to nie poprosisz.

– Zapewniam cię, że nigdy do tego nie dojdzie.

– Wkrótce znów się zobaczymy – obiecał, nie zwracając uwagi na moje protesty, po czym odszedł energicznym krokiem człowieka znacznie młodszego. Opuścił mnie tak nagle, znikając na schodach prowadzących do loggii, gdzie nie dobiegał już mój głos, że nie zdążyłam się zorientować, iż zostawił coś w mojej dłoni.

Odchyliłam palce i nie zdołałam powstrzymać westchnienia zachwytu. W mojej dłoni spoczywał sznur elegancko zwiniętych pereł, z których największa – nigdy nie widziałam tak ogromnej perły! – miała kształt gruszki.

„Żadnego naszyjnika, kochanie” – rzekła zagadkowo pani Adriana, pomagając mi się ubrać. „Wkrótce się dowiesz, dlaczego”.

Co za wiedźma! Moja teściowa stręczycielka wiedziała. Wysłała na wieś własnego syna, po czym wystroiła jego młodą żonę, by ta poszła się kurwić.

Zacisnęłam pięść na naszyjniku i pognałam z powrotem do swojej komnaty. Marzyłam o tym, by pani Adriana nadal tam była, razem ze swoim słodkim, zadowolonym uśmiechem. Cisnęłabym jej tę piękną perłę w twarz. W komnacie zastałam jednak tylko moją nową służącą, Pantisileę, która przetrząsała moje kufry i szkatułki.

– Szpiegujesz mnie? – wykrzyknęłam.

– To polecenie pani Adriany. – Służąca spojrzała na

mnie przepraszająco. – Czy poznałaś kardynała, pani? Czy jest przystojny? Nie widziałam go nigdy z bliska i...

– Wynoś się! – krzyknęłam. – Wynoś się i nie wracaj!

Utkwiła wzrok w naszyjniku owiniętym wokół moich palców.

– Och, jaki śliczny! – westchnęła z zachwytem. – Ja sama też lubię biżuterię. Pokazuje, że mężczyzna ma poważne zamiary...

– Wynocha!

– Już idę, pani Giulio, już idę.

Dygnęła przede mną i czmychnęła za drzwi, chichocząc przyjaźnie, czego stanowczo postanowiłam nie odwzajemniać.

– Masz żałosne imię! – krzyknęłam za nią, zatrzasnąwszy drzwi.

Pantisilea, no rzeczywiście. Ta wścibska chudzina nie była wojowniczą królową Amazonek. Nie była nawet służącą, lecz zwykłym szpiegiem. Osobistym szpiegiem, który miał informować moją teściową o wszystkich moich działaniach, wszystkich moich sprawach, wszystkich moich sekretach. Nikomu tu nie mogłam zaufać.

Wywróciłam stojący przy łóżku stolik, czerpiąc marną pociechę z dźwięku tłukącego się dzbana, kielicha i spadającej na podłogę książeczki do nabożeństwa. Cisnęłam perłowy naszyjnik na skrzynię

ze ślubną wyprawą i zerknęłam na niego z ukosa, jakby był wężem. Nie zamierzałam go przymierzać.

W każdym razie nie przez najbliższą godzinę.

Tyle udało mi się wytrzymać.

Mój kardynał miał niezły gust, jeśli chodzi o klejnoty, tego nie można mu było odmówić. Gdyby jednak ośmielił się wezwać mnie ponownie, rzuciłabym mu te perły pod nogi.

– Zabieraj je sobie, kardynale Borgio – powiedziałam na głos, zdejmując naszyjnik przez głowę.

Rodrigo Borgia. W końcu przypomniałam sobie jego imię.

Kiedy mężczyzna daje ci klejnoty, to nawet jeśli zamierzasz rzucić mu je w twarz, powinnaś zapamiętać jego imię.

Rozdział 3

Saturn od początku naznaczył mnie melancholią.

MARSILIO FICINO

Leonello

I Hektor, co jak pożar zapalony dążył – deklamowałem bezgłośnie, czytając z trzymanej w dłoni książki i przechadzając się po placu – trzykroć chcąc zostać panem tak srogiej zdobyczy, chwytając za nogi trupa i na Trojan krzyczy”.

Stosownie odziana w rękawiczki i okryta welonem pani domu wracająca od spowiedzi obrzuciła mnie podejrzliwym spojrzeniem. Najwyraźniej moje wargi poruszały się w rytm moich myśli, przydając mi wyglądu mamroczonego szaleńca. Złożyłem jej nienaganny ukłon i rzekłem z zakłopotaniem:

– „Trzykroć Ajasy, w męską przyodziani śmiałość, odarli natarczywą Hektora zuchwałość”. Czy wiedziałas o tym, dobra pani? – Pokazałem jej książkę. – Trzykroć!

Przeżegnała się i pospiesznie odeszła. Ślepy żebrak, zapominając na chwilę, że powinien się ślinić i niewidzącym wzrokiem patrzeć w przestrzeń, uniósł fałszywą przepaskę przykrywającą mu oczy i obrzucił mnie sceptycznym spojrzeniem.

„On, rozżarty, już na nich z nową mocą godzi” – kontynuowałem w duchu deklamację, krocząc dumnie niczym potężny Ajaks.

Dwóch chłopaków od rzeźnika przystanęło i ryknęło śmiechem na widok karła przechadzającego się z nosem w książce i ręką na rękojeści sztyletu, jakby to był miecz bohatera, lecz tym razem ich drwiny spłynęły po mnie jak po kaczce, nie czyniąc mi przykrości. Byłem dorosłym mężczyzną liczącym około trzydziestu już wiosen, ale opowieść o wojnie trojańskiej za każdym razem zamieniała mnie w niepoważnego żaka, którym byłem, czytając ją po raz pierwszy. A dzięki szczęśliwemu rozdaniu chorus w primierze rozegranej poprzedniego wieczoru zdobyłem wreszcie pieniądze na zakup pewnej sfatygowanej książki, którą od miesiąca miałem na oku – nie skróconej i uproszczonej *Ilias latina*, którą czytałem jako chłopak, lecz oryginalnej greckiej wersji Homera przetłumaczonej na włoski. Był to zaledwie drzeworyt, oczywiście. Prośby Priama kierowane do Achillesa były rozpaczliwie zamazane, a plamy z wody uczyniły w zasadzie nieczytelnym fragment, w którym Hektor walczy z Ajaksem. Była to jednak książka – nowa książka w mojej skromnej prywatnej bibliotece.

– „Achilles wstaje, a Pallada...” – Zagwizdałem przez zęby, kontynuując przechadzkę w kierunku gospody, w której pracowała Anna. Wszystkie pieniądze wydałem na książkę, więc jeśli tego wieczoru chciałem coś jeszcze zjeść, musiałem sięść do stołu na jedną czy dwie gry. A potem mogłem wrócić do domu, do maleńkiego pokoju wynajmowanego nad drukarnią

w Borgo, i spędzić resztę wieczoru wyciągnięty na łóżku, z kielichem wina w dłoni, czytając w jasnym świetle rzucanym przez długą woskową świecę, którą wyjmowałem z pudełka tylko wtedy, gdy przynosiłem nową książkę do czytania. – „Krzyknął, ogromnie razem krzyknęła Pallada, zaraz trwoga w pierś mężów, w zastępy strach pada” – czytałem dalej. – Anno! – krzyknąłem, wchodząc do gospody i wciskając zmaltretowany tom pod dublet tuż przed śmiercią Patroklosa. – Anno, moja droga, czy masz tu dziś dla mnie jakichś jeleni? Pozwól...

Dopiero po chwili dostrzegłem opustoszałe stoły i usłyszałem dziwną, upiorną ciszę przerywaną tylko zdławionym łkaniem tulących się do siebie służących.

– Co? – zapytałem, przenosząc wzrok z jednej opuchniętej od płaczu twarzy na drugą. – Co się stało? Gdzie jest Anna?

– T-tam – wyksztusiła drżącym głosem jedna z dziewcząt.

Z impetem otworzyłem drzwi do kuchni i moja radość z zakupu książki prysła jak krucho szkło.

Anna nie poddała się bez walki. Tak to przynajmniej wyglądało.

– Kiedy ją znalazłeś? – zapytałem ze ściśniętym gardłem właściciela gospody.

– Wczesnym rankiem – odparł ze skargą w głosie mężczyzna. – Jedna z dziewcząt przychodzi o świcie, by rozpaść ogień i nastawić wodę w garnkach, i co ja

słyszę na górze? Potworny krzyk, a zanim zszedłem na dół, żeby spojrzeć, co się dzieje, głupia dziewczyna wybiegła, zarzygując mi po drodze całą podłogę!

Każdego by zemdliło. Anna leżała na długim, ustawionym na kozłach kuchennym blacie, z głową odchyloną do tyłu i pogniecioną spódnicą na gołych nogach. Ręce miała rozkrzyżowane szeroko jak Chrystus i dłonie przybite do blatu kuchennymi nożami. Udało jej się wyszarpnąć jedną rękę i przypuścić rozpaczliwy atak na napastnika. Uniosłem jej swobodnie zwisającą dłoń, sztywną i zimną, i zobaczyłem krew zakrzepłą w ciemnych półksiężycach pod paznokciami. Potężnie pokiereszowała napastnika.

Dobra dziewczyna.

– Przez to wszystko ruch w interesie ustanie na wiele tygodni – burknął właściciel gospody. – Kto będzie chciał popijać wino i grać w kości w gospodzie, w której ukrzyżowano dziewczkę, może mi powiesz?

Chociaż może gdyby nie podrapała napastnika, nie poderżnąłby jej gardła? To nie wbite w dłonie noże zabiły moją przyjaciółkę, lecz niechlujne cięcie ciągnące się przez całe gardło i kilka płytkich, zadanych w panice ran. Jakby morderca nigdy wcześniej nikogo nie zabił.

Ja bym cię nauczył lepiej to robić, człowieku. Jedną ręką trzeba było chwycić za czoło, odchylić głowę w tył i przeciągnąć nożem po gardle jednym prostym, głębokim cięciem. Najważniejsze, by przeciągnąć

nożem po gardle, a nie wokół, bo wówczas rana okazuje się zbyt płytka. Ale kimkolwiek byłeś, w końcu się zorientowałeś, prawda? Tylko że musiałeś ciąć aż cztery razy, zanim wreszcie umarła.

– Kto to zrobił? – zapytałem cicho.

– A co cię to obchodzi? To bez znaczenia, bo i tak nikt go nie złapie.

Nie. Prawdopodobnie nie. To przecież zwykła dziewczyna znaleziona w gospodzie z poderżniętym gardłem, Tybr każdej nocy wypełnia się ciałami podobnymi do tego. Wyławia się je, wywozi i porzuca, niczyje, w anonimowych grobach. Kogo to obchodzi? Na pewno nie księży, którzy nie odprawiają mszy za duszę zmarłego, póki nie zapłaci im ktoś żywy. Na pewno nie urzędników nadzorujących przestrzeganie porządku publicznego, tych skorumpowanych pyszałków bardziej zainteresowanych grabieniem miasta i przyjmowaniem łapówek niż szukaniem mordercy. Nikt nie zawracałby sobie głowy wzywaniem księdza czy urzędnika. Nie do kogoś takiego jak Anna.

Wyciągnąłem rękę i zamknąłem jej półotwarte oczy utkwione w sękatych krokwiach.

– Kto to zrobił? – zapytałem jeszcze raz.

– A skąd mam wiedzieć? – Właściciel gospody wzruszył tęgimi ramionami, przyglądając się krwi spływającej ze stołu i zastygającej w kałuży na podłodze. Zza kuchennych drzwi za jego plecami dobiegły mnie szepty i szloch pozostałych służących. –

Jedna z dziewczyn mówi, że wczoraj późnym wieczorem pojawiło się trzech szukających rozrywki mężczyzn. Grali w kości, szastali pieniędzmi i łąpali na dziewczyny. Może Anna została, żeby ich obsłużyć?

– Byłeś tu?

– Poszedłem na mszę o północy – odparł cnotliwie.

– Poszedłeś rznąć żonę woźnicy, którą lubisz odwiedzać, kiedy jej mąż wyjeżdża z Rzymu ze swoimi mułami, ale to bez znaczenia. Tych trzech mężczyzn... Czy twoje dziewczyny potrafiły powiedzieć o nich coś więcej?

– Dobrze ubrani. Anna mogła sobie niezłe zarobić, podciągając spódnicę dla kogoś lepszego niż karzeł czy handlarz ryb. Pewnie sprawy wymknęły się spod kontroli.

– Nie, nie została zgwałcona.

Naciągnąłem pomiętą spódnicę, by przykryć jej gołe nogi. Nie miała krwi pod spódnicą ani siniaków na udach. Nie miała też siniaków na kolanach, jakby ktoś próbował je na siłę rozdzielić, ale mimo to musiała walczyć ze wszystkich sił. Domyślałem się tylko, że przebito jej dłonie nożami, by utrzymać ją w bezruchu.

– Kto posprząta ten cały bałagan, chciałbym wiedzieć. – Właściciel gospody znów zaczął narzekać. – Będę musiał zapłacić dziewczynom podwójnie, żeby tu w ogóle weszły i zmyły podłogę! I za nic nie dotkną jej ciała! Nie dotkną kurwy, która umarła bez rozgrzeszenia!

– Zajmę się ciałem. – Przemierzyłem kuchnię i wspiąłem się na krzesło, by dosięgnąć pudełka, w którym przechowywano długie, cienkie świece. Wziąłem całą garść i zeskoczyłem z krzesła. – Zapłacę – przyrzekłem, uprzedzając protesty właściciela gospody, i zacząłem rozstawiać świece wokół nieruchomego ciała Anny. Tanie świece śmierdzące zjełczalym łojem, a Anna zasługiwała na to, by czuwaniu przy jej ciele towarzyszyły świece z prawdziwego, pszczelego wosku. Oczywiście Anna zasługiwała na masę innych rzeczy. Choćby na jedwabną suknię, taką samą, jaką miała na sobie ta uroczą panna młoda, którą dwa tygodnie wcześniej obserwowaliśmy podczas przemarszu jej orszaku ślubnego. Na troskliwego męża i oddaną rodzinę. Na łagodną śmierć w miękkim łóżku po ukończeniu sześćdziesięciu wiosen, a nie na koszmarną śmierć na twardym, kuchennym stole w wieku zaledwie dwudziestu pięciu lat.

– Zamknij dziś gospodę – powiedziałem do właściciela, który znów zaczął narzekać. – Będę dziś przy niej czuwał i dopilnuję, żeby jutro rano została pochowana.

– Wygląda na to, że karzeł nam się zakochał! – parsknął mężczyzna, unosząc brew.

– Trzymaj ten brudny jęzor za zębami, zanim ci go utnę – powiedziałem spokojnie. – Ona nie ma rodziny, która mogłaby się zająć jej pochówkiem, więc ja ją pochowam.

– No cóż, to twoje pieniądze.

– Pieniądze wygrane w bardzo szczęśliwym rozdaniu – wyszeptalem do nieruchomego ciała Anny, kiedy właściciel gospody wyszedł ciężkim krokiem. – Chorus, cztery karty tego samego rodzaju! Rzadkie rozdanie. Kupilem za nie książkę, ale ją oddam. Powinno wystarczyć, by można cię było godnie pochować w poświęconej ziemi. Może nawet jeszcze starczy na mszę albo dwie za twoją duszę...

Anna leżała nieruchomo. Gęsta kropla krzepnącej krwi zawisała na koniuszku jej palca. Zwykła dziewczka z gospody. Pospolita twarz, nieco przetłuszczona, zwisające smętnie kosmyki włosów, analfabetka, stara i zużyta już w wieku dwudziestu pięciu lat. Na każdym rzymskim placu codziennie gromadzą się takich setki. Nie różniła się od pozostałych niczym z wyjątkiem może rozkosznego dołeczka w kąciku ust, kiedy uśmiechała się tak słodko, jak to tylko ona potrafiła.

– „Koło nich rzewnie wierni towarzysze płaczą” – zacytowałem wersy z *Iliady* opisujące rozpacz Achillesa po zabiciu jego przyjaciela Patroklosa pod Troją. – „Achilles napełniony żalem i rozpaczą patrzy na smutne reszty ranami okryte”. – Wyszarpnąłem nóż z przybitej do stołu dłoni Anny. – „Idzie, nad przyjacielem łyż lejąc obfite”.

– Do kogo mówisz?

Odwróciłem się i zobaczyłem dwie stojące w drzwiach służące, które napuchniętymi oczami

zerkały nerwowo do środka.

– Ona nie odpowiada, prawda? Mówią, że duchy unoszą się nad ciałami tych, którzy zmarli gwałtowną śmiercią...

– Po prostu odmawiam modlitwę za jej duszę.

Dostrzegłem, jak uciekły wzrokiem przed nieruchomym, wbitym w sufit spojrzeniem Anny, której powieki znów bezwolnie się otworzyły. Zamknąłem je na powrót, obciążając tym razem dwoma ostatnimi skudami z sakiewki.

– Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie – drżącym głosem powiedziała jedna ze służących, zegnając się. Dziewczyna nie tak znów różna od Anny, lecz pozbawiona dołeczka w kąciku ust i towarzyszącej mu łagodności. Zapamiętałem tę dziewczkę dobrze, bo przechodząc obok, często potrącała mnie biodrem tylko po to, by sprawdzić, czy zdoła mi wytrącić karty z ręki, ale teraz miała oczy nabiegłe krwią i drżący podbródek.
– Oby Bóg pokarał tych, którzy jej to zrobili!

– Właściciel gospody powiedział, że wy dwie ich widziałyście. – Mimochodem rozprostowałem fałdy sukni Anny. – Trzech mężczyzn, prawda? Jak wyglądali?

– Jak wyglądali? – Druga służąca, starsza kobieta o stwardniałych rysach i wąskich, zaciśniętych wargach, wzruszyła ramionami. – Jak mężczyźni, którzy wyszli się zabawić, tak właśnie wyglądali.

– Jeden z nich miał maskę. – Pierwsza dziewczyna pociągnęła głośno nosem. – Wiesz, jacy są ci młodzi

zawadiacy. Dla nich to niesłychanie zabawne przebrać się, jakbyśmy tu mieli środek karnawału, i wybrać się do biednej dzielnicy!

– A więc był młody. – Troskliwie odkleiłem włosy Anny od jej skrwawionych policzków i zaczesalem je do tyłu. – Bardzo młody? Chłopak czy młody mężczyzna?

– Skąd mam wiedzieć, skoro miał maskę? Był młody, to wszystko. I miał pieniądze. Szastał nimi na prawo i lewo, kiedy grał w kości.

– A dwóch pozostałych?

– Zwykli mężczyźni – rzekła starsza kobieta niecierpliwie. – Po co ci to wiedzieć?

– Lepiej, żebyśmy wiedzieli, jak wyglądają. Co będzie, jeśli wróca? – Obrzuciłem posępnym spojrzeniem ciało Anny zastygłe na dzielącym nas stole. – Co będzie, jeśli następnym razem, gdy będą chcieli się zabawić, upatrzą sobie jedną z was, ślicznotki?

– Mało prawdopodobne. – Pierwsza dziewczyna wykrzywiła się, a brudne światło padające z okien odcięło ostrym cieniem jej nos, przynajmniej raz złamany przez jakiegoś pijanego żeglarza albo robotnika. – Jeden z nich był koszmarnie brzydki. Miał na sobie liberię, jakiś nierozgarnięty strażnik. Nie obsłużyłabym takiego nawet za worek dukatów.

– Za dukata obsłużyłabyś samego diabła – docięła jej towarzyszka. – Co tu mówić o całym worku!

– A jaką liberię miał ten strażnik? – przerwałem, zanim pierwsza dziewczyna zdążyła się rozżłościć.

– Nie wiem, miał zarzucony na nią płaszcz. Ale na piersi miał wyhaftowanego konia.

– To nie był koń – sprostowała druga. – To był byk. Wyszyty czerwoną nicią.

– Nie, to był koń...

– A trzeci mężczyzna? – przerwałem, składając dłonie Anny na jej płaskich piersiach. – Jak wyglądał?

Odpowiedziały mi puste spojrzenia i wzruszenie ramion.

– Zwykły mężczyzna – powiedziała w końcu starsza kobieta. – Mówił jak Hiszpanie. A może był z Wenecji? – Pociągnęła nosem. – Z tymi cudzoziemcami nigdy nie wiadomo.

Boże.

– I co z tym Hiszpanem czy Wenecjaninem?

– Przyszedł później, po tamtych dwóch. Uszczypnął mnie w tyłek, a nie dał ani grosza. Powiedział, że powinni wrócić do gospody Pod Figowcem, bo tam są ładniejsze dziewczyny.

Pożałowałem nagle okrutnie, że nie wrócili do gospody Pod Figowcem i nie zabili jakiejś innej dziewczyny zamiast Anny. Ślicznej dziewczyny o stwardniałym sercu i chciwych dłoniach, jakiejś dziewczyny, która porzuciła dziecko na górskim zboczu albo wystawiła klienta zbirom, by go obrabowali i zabili – jakiejś dziewczyny, która miała na sumieniu grzechy usprawiedliwiające taką śmierć.

Taką śmierć. Przybita do stołu, i za co? Czy broniła

się za mocno, więc spanikowali i poderżnęli jej gardło, żeby ją uciszyć? Nawet w gospodzie tak podłej jak ta rozlegające się w mroku nocy krzyki mordowanej kobiety mogłyby sprowokować reakcję bywalców którejs z załoczonych, ciasnych winiarni lub pokoi na godziny mieszczących się po drugiej stronie ulicy.

Zastanawiałem się, ile rzymskich rodzin szlacheckich ubierało swoich strażników w liberie z czerwonym koniem lub bykiem.

Zastanawiałem się, kto teraz nosi na twarzy ślady paznokci Anny: ten Hiszpan lub Wenecjanin czy chłopak w masce?

Zastanawiałem się, czy którykolwiek z nich pojawia się regularnie w gospodzie Pod Figowcem.

Ku memu zadowoleniu dwie służące odeszły, rozstrojone moim nagłym milczeniem. Zapaliłem świece rozstawione wokół ciała Anny i usadowiłem się z powrotem na stołku, przygotowując się do nocnego czuwania. Wymacałem pod dubletem i wyciągnąłem tom *Iliady*.

– „Przy Patroklu zaś całą noc Achaje płaczą” – czytam. – „Łono jego Achilles w silnych cisnąc rękach, bez przerwy smutne jęki wydawał po jękach”.

Tutaj nikt nie jęczy. Nikogo z wyjątkiem mnie nie obchodzi śmierć Anny. Nie tak jak Patroklosa, którego opłakiwali wszyscy greccy bohaterowie.

– „Myją ciało i maszczą w pachnące oleje; długo oszczędzon drogi sok w rany się leje...” Nie mam dla

ciebie olejków, którymi mógłbym cię namaścić, moja droga. – Porzuciłem na chwilę Homera, by zwierzyć się mojej przyjaciółce. – Będę szczęściarzem, jeśli uda mi się zamówić mszę za twoją duszę. – Monety na jej oczach błysnęły w moją stronę. – „A kiedy noc rozwlekła ponure zasłony, przy Achillu Patrokła płaczą Myrmidony”...

Zamilkłem i zamknąłem niewielki tom.

– Achilles przynajmniej wiedział, kto zabił jego przyjaciela.

Anna milczała. Spojrzałem na nią.

– Kto cię zabił, dziewczyno? – zapytałem. – Może byś mi odpowiedziała, co?

Nie usłyszałem odpowiedzi.

Giulia

A zatem wyznajesz grzech cudzołóstwa i złamania przysięgi małżeńskiej. To grzech ciężki, pani.

– Nie – zaprotestowałam poirytowana. – Wcale tego nie powiedziałam. Powiedziałam, że to on próbuje skłonić mnie do popełnienia grzechu cudzołóstwa i złamania przysięgi małżeńskiej. Pierwszą próbę podjął już nazajutrz po moich zaślubinach, dwa tygodnie temu. W głowie się nie mieści!

– A więc pożądasz mężczyzny niebędącego twoim mężem, a mężczyzna ten piastuje przy tym najświętszy urząd kardynała?

Spojrzałam wilkiem w kierunku kratki

konfesjonału. W ciemnej klitce panowała duchota i unosił się smród zwiertzałego kadzidła, drewniany klęcznik wbijał mi się w kolana, a przez ozdobnie rzeźbioną drewnianą kratkę pobłyskiwał od czasu do czasu księży ornat. Bezcielesny głos duchownego był suchy i pełen dezaprobaty. Nie spodziewałam się w gruncie rzeczy, że spowiednik weźmie w tej sprawie moją stronę, zwłaszcza że szło o kardynała, ale... No cóż, wychowano mnie tak, że ze swoimi zmartwieniami szłam właśnie do spowiednika. Trudno się pozbyć utrwalonych nawyków.

– Nie – podjęłam jeszcze jedną próbę. – To kardynał Borgia nie może zapanować nad swoją chucią, nie ja. Sądzi, że jak zamacha mi przed nosem pięknym naszyjnikiem albo dwoma...

– A zatem jesteś winna kuszenia sługi Kościoła do złamania jego ślubów czystości?

– Biorąc pod uwagę, że doczekał się już pięciu bękartów, można chyba uznać, że złamał te śluby już wcześniej – zauważyłam.

– Nie tobie udzielać nagany słudze bożemu. – Ksiądz najwyraźniej nie miał żadnych problemów z tym, by udzielić nagany mnie. Przez kratkę konfesjonału sączył się lodowaty głos. – Grzechy cielesne kardynała to kwestia jego własnego sumienia. Nie wolno ci powiększać jego brzemienia.

– Jego brzemienia? – prychnęłam. – A co ze mną? Kobieta bez męża, porzucona... w jaskini rozpusty!

Przecież to go musi w końcu poruszyć! Księża nieustannie mówili o jaskiniach rozpusty.

– Nawet przez dzielącą nas zasłonę widzę, że spadło na ciebie przekleństwo urody – ciągnął ksiądz, cmokając z dezaprobatą. – Piękne kobiety to sidła zastawione przez diabła próbującego skłonić mężczyzn do złamania ich przysięg. Przyoblecz się w skromność i umiarkowanie, pani, i nie powiększaj ciężaru przygniatającego tego sługę bożego, kusząc go swoim ciałem.

– Nie zamierzam wcale kusić go swoim ciałem!

– Wszystkie kobiety łakną podziwu. Czy ten sługa boży cię tknął?

– Nie – przyznałam. – Ale chce. – Przyszedł jeszcze raz, zaledwie tydzień temu, a ja odmówiłam rozmowy z nim, i to właśnie powiedziałam księdzu. – Siedziałam z rękami złożonymi na kolanach. W żaden sposób go nie zachęcałam.

Tamtego dnia nie wywarło to jednak na Borgii takiego wrażenia, jak oczekiwałam.

– Ach – westchnął kardynał, a w jego głosie pobrzmiwało rozbawienie. – Pogardliwe milczenie. No cóż, jeśli odpowiada ci milczenie, ja również się nim zadowolę. Komu potrzebna rozmowa, gdy może patrzeć na coś tak uroczego jak ty? – Po czym oparł rękę na brodzie i przez bitą godzinę patrzył na mnie z coraz większym podziwem.

– Pod koniec cała już drżałam – powiedziałam

księdzu. – Czy wyobrażasz sobie, księżu, jak to jest siedzieć w takiej ciszy i znosić czyjeś spojrzenie? Nie wyobrażasz sobie, jak swędział mnie nos. A przez tę całą godzinę on powiedział tylko: „Czy mogłabyś dąsać się z głową zwróconą w drugą stronę? Byłbym wdzięczny za sposobność podziwiania twojego idealnego profilu”. Co mam zrobić z takim człowiekiem? On się po prostu nie obraża, niezależnie od tego, co mówię.

– A zatem jego wola jest silniejsza niż twoja próżność. Trzy razy *Akt żalu*...

Spowiednik wyrecytował listę modlitw pokutnych, które nie pozwoliłyby mi wstać z kolan aż do Matki Boskiej Gromnicznej, ale nie słuchałam go już, ogarnięta buntem. Ci księża! Zawsze trzymają swoją stronę! Wszyscy są winni, tylko nie oni! Kiedy miałam dwanaście lat i moja kobiecość ledwie co zaczęła się zaznaczać pod stanikiem sukni, moim spowiednikiem był braciszek zakonny, który chuchał mi winem mszalnym w szyję i szeptał, że odpuści mi grzechy, jeśli tylko pozwolę mu zerknąć na moje dojrzewające jabłuszka. Takiego właśnie użył słowa: „jabłuszka”. Powiedziałam wszystko jego przełożonemu i tak jakoś wyszło, że w końcu to była moja wina: początkującej kusicielki szeleszczącej sukniami i nękającej biednego sługę bożego. Od tamtej pory nigdy już nie ufałam księżom. Jabłka też jakoś przestały mi smakować.

– *Ego te absolvo*... – powiedział w końcu ksiądz po

drugiej stronie kratki konfesjonału i wyrecytował resztę formułki rozgrzeszenia.

Przeżegnałam się rozżalona i opuściłam konfesjonał, zanim zdążyłam się zakrztusić kadzidłem lub hipokryzją. Mężczyźni! Minęłam kolejkę penitentów oczekujących na księdza i rozejrzałam się za ołtarzem, przy którym mogłabym zapalić świeczkę. Tęskniłam za starą, zezowatą Madonną w kościele w Capodimonte, w którym spowiadałam się jako dziecko. Tutaj, w Santa Maria Maggiore, wszystko było znacznie większe; wszystkie te wielkie kolumny zostały zrobione z ateńskiego marmuru, łukowe sklepienie i absydę wyłożono wspaniałymi mozaikami przedstawiającymi Maryję Dziewicę, a wszyscy święci w swoich niszach sprawiali wrażenie strasznych snobów. W końcu zatrzymałam się przed ołtarzem świętej Anny; na wyczelowanym fresku miała znacznie sympatyczniejszą twarz niż krytyczna Madonna, a do tego nosiła bardzo modne rozcinane rękawy z aksamitu.

– Wszyscy mężczyźni są tacy sami – powiedziałam jej, zapalając świeczkę. – I nie ma żadnego znaczenia, czy mają na sobie dublet, czy sutannę, prawda?

– *Sorellina!*

Odwróciłam się i zobaczyłam mojego brata Sandra, który dostrzegłszy mnie w zgromadzonym w kościele tłumie, zaczął wymachiwać nad głową czapką.

– W niczym nie przypomina to Capodimonte, co? –

zagadnął, kiedy przedarł się już przez ciżbę i stanął obok mnie przed świętą Anną. Obrzucił spojrzeniem wysoko sklepiony transept, bogato złożonych świętych i mozaikowe posadzki bazyliki. – Ale teraz przecież obracasz się w wysokich sferach. – Sandro z uznaniem zmrużył oczy, patrząc na moją suknię z zielonego aksamitu, suto marszczone i wyszywane rękawy i srebrzystą siatkę, w którą zebrałam włosy. Byłam ubrana wykwintniej, niż przywykł; wychowaliśmy się w domu, w którym jedwabie i aksamity zarezerwowane były wyłącznie na uroczystości i święta, ale u Borgiów i Orsinich perły i brokaty noszono na co dzień. – Założę się, że ksiądz skarcił cię za próżność – ciągnął Sandro – ale ile innych grzechów mogłaś popełnić w ciągu zaledwie kilku tygodni małżeństwa? Jeśli o mnie chodzi, muszę odpracować jedynie zwykłą porcję grzechów nieczystości. Nie wydaje mi się to jednak sprawiedliwe, że za zwykły flirt z ładną dziewczyną zadawaną mam pokutę dwukrotnie większą niż student czy żołnierz. Życie w stanie duchownym ma niewątpliwie swoje minusy, zwłaszcza na niższych szczeblach kościelnej hierarchii. Poważne grzechy nie uchodzą płazem, dopóki człowiek nie zostanie przynajmniej kardynałem. Podejrzewam, że powinno mnie to motywować do szybszego robienia kościelnej kariery. Tylko sobie wyobraź: kardynał Farnese...

Nie widziałam swojego ukochanego brata od dnia ślubu. Powiedział, że do wyjazdu z miasta na kilka

tygodni zmusiły go jakieś pilne sprawy: „Niestety, od czasu do czasu trzeba poświęcić godzinę czy dwie na obowiązki notarialne”. Podejrzywałam jednak, że do wyjazdu z miasta skłoniła go dziewczyna, a nie obowiązki notarialne, i byłam na niego zła, bo w ciągu tych paru tygodni jego braterskie wsparcie bardzo by mi się przydało.

– Cóż to, ani jednego ciepłego słowa na powitanie?
– zdziwił się, naśladując moje pochmurne spojrzenie. – Liczyłem na to, że małżeństwo złagodzi ci usposobienie, *sorellina*.

– Na razie trudno mówić o małżeństwie – odparowałam, nadal patrząc na niego wilkiem. – Orsino wyjechał na wieś, a kardynał Borgia próbuje mnie uwieść.

– Ależ oczywiście! – huknął Sandro. – Starzejący się kardynał, kałamarnica w czerwonych szatach, wywija swoimi spragnionymi pieśczołkami wokół drżącej postaci cnej dziewczyny...

– Sandro, ja mówię poważnie!

– ...a ona kręci się w kółko, krąży niespokojnie, gdzież się uda po pomoc? Andromeda przykuta do skały dla potwora z głębin przysłanego przez Neptuna, wyczerpana piękność kurcząca się z przerażenia, gdy potężne ramiona ciągną ją ku zgubie...

– Czy przyszedł kardynał nie powinien czytać zamiast mitów greckich *Pisma Świętego*?

– ...ze wszystkich sił walczy ze swym

przeznaczeniem, dziewicza ofiara żądry pierwotnego boga...

Stałam tam, gotując się z wściekłości, a mój brat zwijał się wprost ze śmiechu. Ludzie zaczęli się na nas gapić, ale Sandra to nigdy nie obchodziło. Wzięłam go za rękaw i odciągnęłam od ołtarza świętej Anny, po czym wcisnęłam między marmurową kolumnę a rząd penitentów klękających jeden po drugim w konfesjonale.

– Sandro, przestań chichotać! To nie jest śmieszne.

– Oczywiście, że jest. – Sandro powstrzymał śmiech, choć jego ciemne oczy dalej pobłyskiwały rozbawieniem. – Borgia to stary cap w mitrze, *sorellina*. Cały Rzym to wie. Nie mów mi, że nie wiesz, jak sobie radzić z ogarniętymi żądzą duchownymi! Przywołaj go do porządku tym swoim lodowatym spojrzeniem, które tak świetnie opanowałaś, tym, które zmienia ludzi w robaki. A jeśli to zawiedzie, uracz go jednym ze swoich siarczystych policzków, które doprawdy powaliłyby byka...

– Już to zrobiłam – wyznałam i na moje udręczone serce spłynęła odrobina spokoju, gdy Sandro uszczypnął mnie w policzek tak samo, jak robił to zawsze, odkąd pamiętałam. Może i jego dowcipy doprowadzały mnie czasem do szału, ale nadal był moim starszym bratem, a dziewczyna, która ma starszego brata o odpowiednim charakterze, nigdy nie jest sama. Lepiej by było, żeby Rodrigo Borgia o tym na przyszłość pamiętał. I mój mąż również.

– Nie strosz się, Giulio. Jesteś teraz kobietą zamężną, a nie turecką konkubiną na targu niewolników. Myślisz, że jakiś zbyt pewny siebie księżyna może cię skłonić, żebyś się w nim zakochała, i zamknąć cię w złotej klatce? – Sandro na samą myśl o tym znów wybuchnął śmiechem.

W głębi duszy byłam przekonana, że kardynał taki właśnie miał zamiar, lecz z jakiegoś powodu zawahałam się, czy powiedzieć to na głos. Niczego nie pragnęłam bardziej niż podzielić się z bratem wszystkimi swoimi zmartwieniami natychmiast po jego powrocie do Rzymu, nagle jednak poczułam ostrzegawcze ukłucie w sercu. Może mój mąż nie zadałby sobie trudu, by bronić mojej czci rapierem, ale Sandro z pewnością nie zawahałby się tego zrobić. Mój brat zwykle pobłażliwie przymykał oko na grzeszki tego świata, ale jego pobłażliwość kończyła się tam, gdzie szło o ochronę jego ukochanej młodszej siostry. Chciałam oczywiście tej ochrony, lecz nie zamierzałam ryzykować, że pokroją go na plasterki.

– Co wiesz o kardynale Borgii, Sandro? – zapytałam.

– Same plotki oczywiście. – Sandro wsunął moją dłoń w zgięcie swojego łokcia i obrócił się plecami do kolejki penitentów. – Moje drobne grzeszki mogą poczekać na swoją kolej, ustępując pierwszeństwa interesującej plotce. Pozwól, że odprowadzę cię do domu.

Kiedy wyszliśmy z kościoła na plac, uniosłam parasolkę, a moi strażnicy zerwali się pospiesznie z nasłonecznionych stopni, na których odpoczywali. Jako niezamężna dziewczyna pilnowana byłam podczas spacerów po mieście wyłącznie przez sokolooką matkę lub służącą, które czuwały, żebym nie odrywała wzroku od ziemi i nie zabawiała się obserwowaniem mężczyzn (zupełnie jakby mogły powstrzymać mnie od zerkania). Teraz miałam całą świtę: czterech uzbrojonych strażników w żółto-czerwonej liberii Borgiów z bykiem wyhaftowanym na piersiach, pazia niosącego tren mojej sukni, Pantisileę, wesołą służkę, która nosiła za mną parasolkę i rękawiczki. Wszystkim co do jednego zapłacono, by mnie szpiegowali. Lizusi.

– A więc... – Gestem nakazałam im wszystkim cofnąć się o kilka kroków, kiedy ruszyliśmy na drugą stronę placu. Obchodząc kałużę, uniosłam rąbek aksamitnej sukni. Gołębie zatrzepotały i zagruchały na bruku. Handlarze zachwalali drzazgi i skrawki szmat jako resztki krzyża Chrystusowego lub całunu turyńskiego. Żebracy kulili się, wyciągając miski w kierunku okrytych welonami kobiet spieszenie wchodzących do kościoła i zeń wychodzących. – Opowiedz mi o kardynale Borgii.

– Zalażł ci za skórę, co?

– Mówię poważnie, Sandro!

Jakim człowiekiem był mój zalotnik? Co mógłby zrobić mojemu bratu, gdyby Sandro stanął w drzwiach

jego pałacu, płonąć żądzą pomśzczenia mojego honoru? I co ważniejsze: co by faktycznie zrobił? Na temat Rodriga Borgii nie wiedziałam dosłownie nic. Pani Adriana wygłaszała peany na jego cześć od świtu do zmierzchu, wychwalając jego wykształcenie, poczucie humoru, smak artystyczny i wpływ na decyzje kolegium kardynalskiego, lecz nie miałam pewności, czy można jej wierzyć. I bodaj Najświętsza Panienska skazała mnie na wieczne męki piekielne, gdybym kiedykolwiek dała kardynałowi satysfakcję, pytając go o te sprawy. Nie mogłam się poradzić nikogo z wyjątkiem własnego brata, który może i był tylko notariuszem, ale zawsze znał wszystkie aktualne plotki krążące po Rzymie.

– Jest kardynałem biskupem Porto-Santa Rufina – zaczął Sandro, odfajkowując po kolei tytuły. – Administrator Walencji, spędził tam kilka lat... Wiesz, jest Hiszpanem. Nazwisko Borgia brzmiało niegdyś „Borja”. Niektórzy twierdzą, że Borja byli kiedyś Maurami lub hiszpańskimi Żydami, ale sądzę, że to tylko plotka. Dziekan kolegium kardynalskiego, co oznacza, że to on zwołuje konklawe, gdy przychodzi do wyboru kolejnego papieża...

– Wszystkie te tytuły i wybory! – przerwałam niecierpliwie. – Powiedz mi wreszcie coś naprawdę ciekawego!

– Bogaty – powiedział Sandro. Opuściliśmy już plac i zagłębiliśmy się w labiryncie wąskich, krętych uliczek, które krzyżowały się ze sobą i splatały w tak

ciasny i jednocześnie rozległy węzeł, że wszyscy, którzy nie mieszkali na stałe w Rzymie, momentalnie się gubili. O czym gotów był przypomnieć ci każdy rzymianin, gdy tylko dowiadywał się, że miałeś czelność nie urodzić się w Wiecznym Mieście. – Widziałeś jego dom. Przypuszczam, że jest jednym z najbogatszych kardynałów w Rzymie.

Pomyślałam o wielkiej perle leżącej w tej chwili na parapecie mojego okna, gdzie promienie słoneczne mogły z niej wydobywać aksamitne błyski. Cisnęłam ją tam zamiast zamknąć w jednej z moich szkatuł, w ten sposób mając nadzieję skusić do kradzieży którąś ze służących. Byłam bowiem przekonana, że Jego Eminencja dostanie nauczkę, gdy się dowie, że jego cenny prezent przepadł, a ja się tym w ogóle nie przejęłam... Ale żadna ze służących nawet nie tknęła drogocennej perły, zapewne z obawy przed ucięciem dłoni po przyłapaniu na kradzieży, a perła nadal leżała na oknie, wyglądając w blasku słońca naprawdę prześlicznie i kusząc mnie swoją urodą. Nie wiedziałam, co z nią zrobić. Wiedziałam jedynie, że nie zamierzam jej nosić.

W każdym razie publicznie.

– ...bękartę, oczywiście – ciągnął mój brat wesołą wyliczankę grzechów i przewin mojego zalotnika. – Siódemka czy ósemka, z różnych matek, w Hiszpanii i w Rzymie...

– Powiedział mi, że przeżyło pięcioro –

wykrzywiłam się. – Jedno z nich, szesnastoletniego Juana, już spotkałam. Ciągłe tutaj wpada, żeby obdarzać mnie tymi pogardliwymi uśmieszkami i robić obraźliwe uwagi. Podobno jest jeszcze jeden syn. Dopiero niedawno wrócił z uniwersytetu w Pizie. No i jeszcze jest młodszy chłopiec i dziewczynka, którzy mieszkają nadal u pani Adriany, ale teraz wszyscy pojechali do swojej matki i żadnego z nich jeszcze nie poznałam. Jeśli są choćby trochę podobni do Juana, będą bardzo przykrym towarzystwem.

– Wszyscy jednak zostali dobrze zabezpieczeni – wtrącił Sandro. – Cóрка dostała posag godny księżniczki. Juan Borgia jest w Hiszpanii księciem Gandii...

– Wiem. Ciągłe płacze się pod nogami. Księżę czy nie, i tak jest bezmyślnym, zbereźnym kretnem.

– ...a starszy chłopak w Pizie otrzymał godność biskupa Pampeluny jeszcze przed ukończeniem piętnastego roku życia. – Sandro z zazdrością potrząsnął głową. – Och, ileż znaczy kochający i wszechwładny ojciec. Jak mam zostać biskupem czy kardynałem, nie mając takiego poparcia? Bo żeby uczciwie zapracować na taką pozycję, jestem zdecydowanie zbyt leniwy.

Wszechwładny. Kopnęłam w bruk, chwiejąc się przez moment w moich patynkach na wysokich koturnach, które nosiłam, by nie ubłocić pantofli. Wygodnych, starych pantofli z wytłaczanej skóry. W komnacie miałam ładniejszą, nowiutką parę ze

złotymi zapinkami, wykonaną z miękkiej węzowej skóry o widocznym wzorze łusek. Kolejny prezent, który pojawił się pewnego popołudnia obok mojego łóżka, bez oznaczenia darczyńcy, przewiązany jedwabną wstążką w kolorze kardynalskich szat. A więc nie jakiś tam kardynał, lecz jeden z najbogatszych i najpotężniejszych kardynałów.

Zbyt potężny, by mógł mu rzucić wyzwanie skromny dwudziestoczteroletni notariusz, choćby szło o sprawę tak ważką, jak cnota siostry.

– Dlaczego masz taki smutny wyraz twarzy, *sorellina*? – Mój brat przystanął na ulicy, a z jego szczupłej, przystojnej twarzy zniknął uśmiech. Dzięki patynkom sięgałam głową jego ramienia, a nie łokcia, więc nie musiał nadmiernie się ku mnie zniżać. Kardynał Borgia również był wysoki... Ku wszystkim mężczyznom w moim życiu musiałam wyciągać szyję. – Kardynał chyba nie naciskał na ciebie na poważnie? – ciągnął Sandro. – Flirt to jedno, ale jeśli sądzi, że może zmienić jedną z Farnese w zwykłą kurtyzanę... – Sandro wyglądał złowrogo, ale nie mógł się oprzeć przyjęciu jednej ze swoich póz: oto szlachetny Galahad dzierżący w dłoni wyimaginowany miecz. – Ten byk Borgia jest w Rzymie wpływowym człowiekiem, ale nie oznacza to, że nie podniosę na niego swojego rapieru. Będę go pędził ulicami na ostrzu miecza...

– Och, wróć na ziemię! – prychnęłam. – Notariusz z prowincji staje w szranki z rzymskim kardynałem?

Zgniółby cię jak natrętną muchę.

Teraz było to dla mnie absolutnie jasne.

– Może. – Sandro porzucił teatralną pozę. – Nie oznacza to jednak, że brat nie jest zobligowany do podjęcia próby działania, gdy ktoś zagraża czci jego siostry.

Nie mogłam się powstrzymać od myśli, że to właśnie powinien zrobić Orsino. To właśnie zawsze robią mężowie, bracia i ojcowie. Dorastając, słyszałam wielokrotnie poszeptywania żon skarżących się na zbyt surowych mężów zazdrośnie strzegących ich czci, lecz jak dziwacznie obezwładnia myśl, że ma się męża, który w ogóle nie jest zazdrosny. Oczywiście Orsino Orsini mnie nie kochał, z czym udało mi się już pogodzić. W końcu nigdy nawet nie zdążyliśmy się poznać. Nie pogodziłam się jednak z tym, że poślubił mnie z zamiarem oddania komuś innemu.

Próbowałam przekazać mu to w liście. Chciałam nakazać mu, by po mnie wrócił, opowiedzieć o tym, co powiedział mi kardynał, obwieścić mu... Och, tylko Najświętsza Panienska wiedziała, co jeszcze. Ale Pantisilea uprzedziła mnie przepaszającym tonem, że będzie musiała przekazać list mojej teściowej.

– Przepraszam, pani Giulio. Pani Adriana nie ma prawa tego robić, ale wszyscy służący dostali od niej polecenia.

Wyszarpnęłam jej swój list i osobiście go spaliłam, zdecydowana nie dawać mojej teściowej satysfakcji.

– Giulio? – wyrwał mnie z tych myśli brat.

– Nie martw się, Sandro. – Obdarzyłam mego brata, który nadal wyglądał na zatroskanego, najbardziej promiennym uśmiechem. – Nie powinnam cię była kłopotać. W końcu to tylko podstarzały mężczyzna, który lubi sobie na to i owo popatrzeć. Myślisz, że nie potrafię obronić własnego honoru? Tak naprawdę bardzo mi to pochwala! Mówię ci, znacznie zabawniej jest być żoną niż niezamężną dziewczyną. Chodź, dotarliśmy już prawie do pałacu, pokażę ci moje nowe komnaty. Urządziłam się tutaj lepiej niż księżniczka. Pamiętam, że gdy Orsino zaczął się o mnie starać, mówiłeś mi, że Orsini są bogaci, ale tego się na pewno nie spodziewałeś. Kotary mego łóżka zrobione są z haftowanego hiszpańskiego aksamitu, a dywan...

Carmelina

Pokój, który przeznaczono dla mnie w pomieszczeniach dla służby Palazzo Montegiordano, był maleńki. Mieścił się w nim tylko siennik i mała skrzynia służąca zarówno za krzesło, jak i za schowek na moje ubrania. Nie ruszając się z miejsca, mogłam dotknąć wszystkich czterech ścian.

Święta Marto, miej mnie w swojej opiece, to był prawdziwy raj.

Pani Adriana początkowo marudziła, kiedy Marco przedstawił jej swoją dopiero co osieroconą kuzynkę z Wenecji.

– Kuzynka? – rzekła z powątpiewaniem, spoglądając to na Marca, to na mnie, i mogę się założyć, że uznała, iż Marco próbuje po prostu umieścić w jej domu swoją kochankę, by mieć do niej łatwiejszy dostęp.

– Kuzynka – powiedziałam zdecydowanie i spuściłam wzrok, pozwalając Marcowi na prowadzenie dalszej dyskusji, jak powinna to uczynić każda szanująca się dziewczyna w towarzystwie mężczyzny, niezależnie od tego, czy jest to jej ojciec, mąż, brat czy kuzyn, do którego należy jej życie.

Pani Adriana pojaśniała, kiedy Marco wspomniał o moich kulinarnych umiejętnościach.

– Marcepanowe tarty były jej własnym wkładem w ucztę weselną, moja pani. Czy to nie o nich z takim uznaniem wyrażała się panna młoda? Umiejętności Carmeliny w zakresie wyrobu słodczy ustępują jedynie moim własnym...

Zagotowałam się wewnątrznie, lecz nie podniosłam wzroku i pozwoliłam Marcowi przypisać sobie wszystkie zasługi. Mógł sobie być adresatem wszystkich pochwał za moją ucztę weselną, skoro dostawałam coś w zamian. W sumie nie można było powiedzieć, bym nie została uczciwie wynagrodzona za swoją pracę.

Pani Adriana pojaśniała jeszcze bardziej, kiedy wymamrotałam, że oczywiście będę pracować w kuchni bez żadnego dodatkowego wynagrodzenia.

– Nie mogę ci jednak przydzielić teraz żadnego

pokoju – uprzedziła. – Może znajdzie się miejsce na siennik w jakiejś spiżarni...

W końcu dostałam klitkę, która kiedyś pełniła funkcję dodatkowej spiżarni na naczynia z oliwą. Nie przeszkadzało mi to. Małeńkie pomieszczenie wypełniał intensywny zapach dobrej oliwy i kiedy położyłam się wieczorem w swoim malutkim łóżku, wciągnęłam go gwałtownie w nozdrza, po czym zapadłam w sen. Pierwszy od wielu miesięcy sen, którego nie przerywały koszmarne wizje.

Nie było jednak czasu na wylegiwanie się. Przez dom Adriany da Mila przelewał się nieskończony potok gości: niezliczeni kuzyni Orsinich, którzy oczekiwali równie niezliczonych tac zastawionych winem i przekąskami, matrony, które przybywały, aby ocenić złotowłosą synową, i oczywiście kardynał Borgia, który jak szeptano, na tę samą złotowłosą synową zastawiał sidła. Pominąwszy zaskakującą wizytę w kuchni rankiem po zaślubinach, nie widywałam zbyt często pani Giulii, czasem tylko jej jasne włosy mignęły mi w jakiejś odległej loggii. Nie zmieniało to jednak faktu, że na górę płynął nieprzerwany strumień służących, którzy nosili na jej zamówienie talerze moich pieczonych tart z pigwą i jabłkami, białych brzoskwiń w grappie i drobnych ciasteczek zwanych ofelle, ciężkich od słodzonej francuskiej śmietany. Dziewczyna uwielbiała te swoje słodkości, a raczej moje słodkości, i chociaż Marco irytował się za każdym razem, gdy mnie widział

i przypominał sobie, jak sprytnie wkradłam się w jego życie, to jednak cieszył się, że ma w swojej kuchni dodatkową parę rąk do pracy. Zwłaszcza że te ręce należały do mnie i przydawały się szczególnie w takie dni jak dziś, kiedy paż przyniósł na dół zamówienie od pani Giulii na talerz nadziewanych fig z cynamonem, cukrem i siekanymi migdałami w samym środku dnia, gdy wszyscy uwijali się jak w ukropie.

– Carmelina! – Marco nawet na mnie nie spojrział, zaabsorbowany nadziewaniem pieczonego prosiaka.

– Tak, mistrzu. – Nie tracąc czasu, sięgałam już po figi, cukier, migdały i nóż, którym zamierzałam te ostatnie drobno posiekać. – Piero, cynamon.

– Tam jest. – Chłopak lekceważąco machnął ręką w jakimś nieokreślonym kierunku.

– A ja chcę, żeby był tutaj, uczniu. – Mój lodowaty głos skłonił go do ruszenia się z miejsca, ale specjalnie włożył się powoli na drugi koniec kuchni, po czym ślamazarnie przebierał wśród przypraw, by wreszcie rzucić mi je tak, że oprószyły cały blat.

– A teraz możesz przynieść ścierkę, by to wszystko zetrzeć – zarządziłam, a on spojrział na mnie z urazą. Nie znosiła mnie już połowa uczniów, a służące bardzo niechętnie wykonywały moje polecenia. Może i uratowałam przyjęcie weselne pani Giulii, a przy okazji ich posady, ale jakie to miało znaczenie? W kuchni panuje hierarchia równie bezwzględna jak na królewskim dworze, a ja tu byłam intruzem. Nie byłam

właściwie ani kucharką, ani pomywaczką, ani służącą. Byłam kimś, kogo Marco osobiście sprowadził, ale do kogo najwyraźniej nie żywił sympatii, kimś, kto wydawał polecenia, ale również je wykonywał, kimś, komu powierzano przygotowanie delikatnych ciast dla synowej pani domu, ale i kimś, kto rzucał się do czyszczenia i szorowania, które należały zazwyczaj do zajęć najbardziej pogardzanych pomocników. Byłam wielką niewiadomą, a w kuchni niewiadome są niepożądane, i to niezależnie od tego, czy chodzi o przyprawy, czy o służących. Jeśli Marcowi zależało na spokoju w kuchennych szeregach, musiał jasno określić moje miejsce, a tymczasem wolał na mnie nie patrzeć i sama musiałam sobie zaskarbiać szacunek wśród pozostałych.

– Piero? – zwróciłam się do chłopaka, smagając go głosem jak biczem. – Ścierka.

– Tak, signorina – rzekł, zuchwale grzeczny, i niespiesznie zabrał się do spełniania mojego polecenia.

– Dziękuję – odparłam, świadoma, że inni słuchają, i wróciłam do pracy.

Chyba tylko po to, by zobaczyć wędrującego po stole kota, który zostawiał ślady łap w mojej starannie rozsypanej na stolnicy mące.

– Wynocha! – Machnęłam na niego szmatą, ale leniwy drań tylko na mnie zasyczał. Jak dla mnie kota, który nie zarabiał na swoje utrzymanie łapaniem myszy,

można było spokojnie utopić w beczce. – Któregoś dnia przerobię cię na kiełbaski – ostrzegłam. – Odrobina czosnku, fenkuł, trochę świńskiego tłuszczu i możesz być pewien, że zjem cię ze smakiem, zobaczysz.

Kot miauknął na mnie bezczelnie i zeskakując na podłogę, zrzucił słoik śmietanki, którą miałam ubić. Śmietanka rozchlapała mi się na spódnicy i usłyszałam wyraźnie, jak służące chichoczą, kiedy wybiegłam do swojej klitki po czysty fartuch.

Stałam na środku, zamknęłam za sobą drzwi i skrzyżowałam umęczone ręce na piersiach.

– Sądziłam, że zostawiłam cię dobrze ukrytą – powiedziałam w końcu.

Uschła, zmumifikowana dłoń leżała na wpół odkryta w stosiku ubrań spoczywających w mojej niewielkiej skrzynce. Pewnie odłoniłam ją w porannych ciemnościach, kiedy w pośpiechu przetrząsałam rzeczy w poszukiwaniu świeżej zmiany bielizny.

Dlaczego na stercie ubrań wyglądała zupełnie inaczej niż w relikwiarzu? Jako dziecko widziałam ją przecież tyle razy: błogosławiona, uświęcona dłoń świętej Marty, starannie zabalsamowana i wyeksponowana w weneckim klasztorze jej imienia. Pod żadnym względem nie był to ani największy, ani najznamienitszy z wielu weneckich zakonów, ale to właśnie tam mój ojciec zmawiał większość swoich nieczęstych modlitw. Dla tak zapobiegliwej duszyczki

jak on było zrozumiałe, że to właśnie do świętej Marty należy się zwrócić o wstawiennictwo, jeśli chce się gotować dla doży podczas karnawału lub ma się nadzieję na zdobycie zlecenia na przygotowanie uczytu weselnej dla ostatniej dziedziczki rodu Foscari. W końcu co Najświętsza Panienka mogła wiedzieć o rozpaczliwych modlitwach płynących z kuchni? Nikt nigdy nie widział, żeby Najświętsza Panienka cokolwiek gotowała. Kiedy więc mój ojciec czuł, że przydałaby się drobna boska interwencja, zabierał nas – moją matkę, moją siostrę i mnie – do klasztoru Świętej Marty, byśmy modliły się przy ołtarzu w tamtejszym kościele. A na owym ołtarzu można było bez trudu dostrzec odciętą i zabalsamowaną dłoń samej świętej patronki kucharzy.

Oczywiście nigdy nie wierzyłam zbyt głęboko, że jest to naprawdę dłoń prawdziwej świętej. Nie ma bowiem na świecie bardziej zapobiegliwych istot niż zakon siostr zmuszonych wyremontować stalle chóru, a biorąc pod uwagę liczbę działających w Wenecji zgromadzeń konkurujących o dobrze uposażone nowicjuszek, każda ksieni potrzebuje czegoś specjalnego, co przywiodłoby pod jej wrota łańcuszek bogatych rodzin. U świętego Zachariasza mają niezliczone relikwie, u świętej Klary zaś jeden z gwoździ, które przebiły rękę Chrystusa, oba zgromadzenia miały zatem całą kolejkę bogatych dziewcząt chętnych do przyjęcia ślubów zakonnych. Pewnie więc już dawno temu jakaś ksieni zakonu Świętej

Marty wzruszyła swoimi doczesnymi ramionami i przeprowadziła dyskretny wywiad wśród handlarzy relikwii potrafiących zdobyć wszystko, od Krzyża Prawdziwego do pasma włosów Marii Magdaleny – o ile tylko nie jesteś zbyt dociekliwy. I oto klasztor świętej Marty mógł się pochwalić własną relikwią: dłonią świętej patronki, która, jak mówiono, w odpowiedzi na wysłuchane modlitwy pojawiała się jak żywa i czyniła znak krzyża nad wiernym. Nie była to wcale słynna relikwia i wątpię, by ktokolwiek o niej słyszał poza Wenecją, ale ściągnęła w mury klasztoru grupkę nowicjuszek z okazałymi posagami, dzięki czemu szybko została umieszczona w przepięknym nowym relikwiarzu ze srebra i kości słoniowej, wysadzonym po bokach perłami i granatami. Przez kryształowe okienko czciciele mogli podziwiać samą dłoń: nieco wysuszoną, nieco pociemniałą, ale wciąż pyszniącą się grawerowanym złotym pierścieniem na małym, zagiętym palcu.

Zadrżałam, patrząc na dłoń zakopaną w stercie moich ubrań. Może teraz wyglądała inaczej dlatego, że ją ukradłam.

Boże, dopomóż, wcale nie miałam zamiaru! Chciałam tylko relikwiarza. Rozpaczliwie pragnęłam uciec z Wenecji i dostać się do Rzymu, ale moja determinacja nie była aż tak wielka, żebym zdecydowała się na kradzież świętej relikwii (choćby nie była taka znów święta). Potrzebowałam pieniędzy i uznałam, że

relikwiarz wart będzie co najmniej trzysta dukatów po tym, jak rozłożę go na nierozpoznawalne części: kamienie szlachetne i srebrne rzeźbione panele. Powinnam była otrzymać trzysta dukatów jako posag od mojego ojca – trzysta dukatów, które zamiast tego przekazał zakonowi Świętej Marty jako ofiarę, gdy już stało się jasne, że nigdy nie wyjdę za mąż. Zgromadzenie było mi zatem tę kwotę winne. A z powodu całego ciągu nieszczęśliwych zbiegów okoliczności było to tak naprawdę jedyne miejsce, w którym mogłam poszukać szybkiej gotówki po tym, jak ukradłam ojcu przepisy i uciekłam. Jedyne miejsce, w którym znajdowało się cokolwiek cennego. Jedyne, które mogło mnie wystarczająco wyposażyć przed podróżą na południe.

Wzięłam więc relikwiarz, ale nigdy nie wzięłabym dłoni. Zbiłam kryształową szybkę ciężką podstawą ołtarzowego lichtarza, po czym wytrząsnęłam odłamki, rozglądając się rozpaczliwie po pustym kościele. Nie mogłam się zmusić, by sięgnąć do środka i dotknąć samej relikwii, więc mamrocząc nieskładnie „święta Marto, przebacz mi”, wytrząsnęłam jej dłoń z relikwiarza. Chciałam ją z szacunkiem owinąć w haftowany obrus ołtarzowy, ale usłyszałam jakieś odgłosy dobiegające z nawy i wpadłam w panikę. Udało mi się odwrócić uwagę sióstr, ale wiedziałam, że mam tylko chwilę, może kilka sekund. Chwyciłam relikwiarz i uciekłam.

Mogłabym przysiąc, że relikwiarz był pusty, kiedy go zabierałam. Ale wysuszona dłoń musiała zaczepić się o potłuczone krawędzie okienka, bo znalazłam to ciemne, pokurczone coś zaplątane w płaszcz na dnie tobołka już po tym, jak sprzedawałam części relikwiarza za znacznie mniej, niż faktycznie były warte. Z przerażeniem utkwiałam w niej wzrok, ale co właściwie miałam zrobić? Wsiadłam już przecież na statek, co było najtańszym możliwym środkiem, by się dostać z Wenecji do Ferrary. Nawet gdyby statek zawrócił, nie mogłabym oddać relikwii – zostałabym wtrącona do lochu za sprofanowanie kościoła.

Tego pierwszego ranka, kiedy siedziałam w małej, ciasnej kuchni i rozmawiałam z Markiem, mówiłam poważnie, że nie mogę wrócić. Gdyby chodziło jedynie o ograbienie ojca... No cóż, prawdopodobnie bym wróciła, przyjmując z pokorą karę, którą uznaliby za stosowną. Ci jednak, którzy bezcześcili ołtarze kościołów, nie mogli liczyć na wybaczenie. Nie wiedziałam, jakie kary przewidziano w Rzymie dla świętokradców, lecz wiedziałam, jak traktowano złodziei okradających kościoły. Zawisłabym publicznie na szubienicy głową w dół i wisiałabym tak długo, obrzucana przez tłum kamieniami i zgniłymi owocami, aż głowa eksplodowałaby mi krwią.

A gdyby się dowiedzieli, kim byłam... czym byłam w Wenecji... Wsadziliby mnie na statek do La Serenissimy i oddali w ręce moich wrogów. I spotkałaby

mnie znacznie surowsza kara niż publiczne powieszenie głową w dół.

Wzdrygnęłam się na samą myśl, czując znów w ustach kwaśny posmak strachu, i przeżegnałam się, patrząc na ciemną pokurczoną dłoń spoczywającą wśród ubrań. Nie mogłam jej wyrzucić jak śmiecia, ale co właściwie miałam z nią zrobić? Myślałam, żeby zostawić ją w jakiejś kapliczce albo na jakimś ołtarzu, lecz w Świętym Mieście relikwii jest na pęczki, więc pewnie wylądowałyby w śmieciach. Nie mogłam jej też wysłać z powrotem do klasztoru Świętej Marty w Wenecji, nie ujawniając jednocześnie miejsca swojego pobytu.

Nie miałam bladego pojęcia, co z nią zrobić.

Musiałam się zebrać w sobie, by dotknąć jej gołą ręką. Potrafiłam sprawnie i beznamiętnie jak mężczyzna poderżnąć gardło owieczce przeznaczonej na kuchenny rożen. Potrafiłam włożyć rękę w dymiące jeszcze świńskie wnętrzności i opróżnić je, by uzyskać z jelit osłonki na kiełbaski. Wzdrygałam się jednak, kiedy unosiłam martwą rączkę i kładłam ją na swoim posłaniu. W dotyku była sucha i pomarszczona jak rodzynek.

Zawahałam się, po czym opadłam na kolana obok niej. Może i nie była to prawdziwa dłoń mojej świętej patronki, ale przecież była poświęcona jako jej relikwia. Jeśli skieruję ku niej swoje modlitwy, usłyszy mnie. Z jaką jednak modlitwą należało się zwrócić do świętej,

którą się obrabowało i sprofanowało?

– Święta Marto – powiedziałam w końcu – nie gniewaj się na mnie. Wiesz, że nie mogłam... że musiałam wyjechać. – Cieszyłam się, że nie muszę się zagłębiać w tę część swojej historii, w drobną kwestię tego, kim jestem, wszak wyniesiona na ołtarze święta Marta zapewne po prostu to wie, co zwalnia mnie z konieczności omawiania wszystkich obrzydliwych szczegółów. – Przepraszam, że musiałam cię okraść, nie miałam zamiaru... – urwałam. Nie tak to miało zabrzmieć. – Święta Marto – zaczęłam jeszcze raz – pomóż mi się tutaj ukryć, a ja poświęcę ci wszystkie dania, które kiedykolwiek wyjdą spod moich rąk. Pieczenie, drób, sosy, desery, wszystko ci poświęcę. Oddam ci moje dłonie i wszystkie owoce mojej pracy, jeśli tylko wybaczysz mi, że zgrzeszyłam przeciw tobie.

Spojrzałam na swoje dłonie. Stare blizny po draśnięciach nożem, na nadgarstku blady ślad po oparzeniu w miejscu, gdzie prysnął zbyt gorący sos, odciski od siłowania się z różnami i obdzierania z piór martwego ptactwa. Jaka święta poza patronką kucharzy byłaby zainteresowana takimi rękami?

Pierwszy raz przyjrzałam się naprawdę uważnie zwiniętej dłoni leżącej na moim pościu. Mała dłoń, taka jak moja, zdatna do faszzerowania małych ptaszków. Szczupłe palce, na jednym z nich kunsztownie zdobiony złoty pierścionek, taki, jaki wybrałaby właśnie kucharka, bo nie przeszkadzałyby fantazyjnymi

zdobieniami w ugniataniu ciasta na chleb. Wyschnięte wewnątrz dłoni było dość duże. A czy czasem u nasady palca wskazującego nie było nagniotka? W tym samym miejscu, w którym również na mojej dłoni odcisnął się po latach ciągłego używania trzonek noża?

Uśmiechnęłam się chyba po raz pierwszy od wielu miesięcy. Może nie była to prawdziwa dłoń mojej świętej patronki, ale z pewnością była to ręka kucharki.

Może świętą Martę i mnie nadal łączyło porozumienie? Może ostatecznie wcale nie była na mnie zła? W końcu sprzyjała mi podczas przygotowań do przyjęcia weselnego pani Giulii – nawet jeśli Marco przypisał sobie wszystkie zasługi, i ja, i litościwa święta wiedziałyśmy dobrze, kto tego dokonał.

– To było udane przyjęcie, prawda? – zapytałam dłoń i poczułam ukłucie rozczarowania, gdy się nie poruszyła. Gdyby uczyniła nade mną znak krzyża, wiedziałabym, że przyjęła moje przyrzeczenie.

Albo padłabym trupem na miejscu.

– Carmelina! – wrzasnął Marco z kuchni. – Co się tak guzdrzesz, kuzyneczko? Te figi same się nie nadzieją!

– Idę, maestro – odkrzyknęłam i pospiesznie znalazłam zapasowy fartuch, żeby zmienić ten poplamiony. Dłoń troskliwie owinęłam w swoją najlepszą płócienną chusteczkę i schowałam na dnie skrzyni. – Nie jest to tak wytworne miejsce jak relikwiarz ze srebra i kryształu – powiedziałam głośno,

wstając – ale nikt nigdy nie będzie cię potrzebował bardziej niż ja.

Zrobiłam znak krzyża i wybiegłam ze swojej pachnącej oliwą klitki. Popełniłam świętokradztwo, za co zapewne czekała mnie cała wieczność w piekle, ale Marco miał rację. Figi pani Giulii same się nie nadzieją.

Rozdział 4

Miecz Pański spadnie szybko i raptownie.

GIROLAMO SAVONAROLA

Leonello

Gospoda Pod Figowcem była bardziej wytworna niż miejsca, w których zazwyczaj zarabiałem na życie. Służące nosiły schludne sukienki i czyste fartuchy i przeważnie oburzały się, gdy klepnąłeś je po pupie, kiedy przyniosły ci napitek. Wino było delikatniejsze w smaku, świece zrobione z pszczelego wosku, a nie dymiącego łoju, rozstawione na kozłach stoły świeżo wyszorowane, a nie lepzące się od wina, natomiast wśród tłumu zakurzonych pielgrzymów i nałogowych hazardzistów częściej można było dojrzeć przyodzianych w aksamit chłopców, którzy wymknęli się swoim opiekunom, by zażyć odrobiny głośnej, karcianej rozrywki wśród prostego ludu. Stosownie do sytuacji kupiłem zatem nową koszulę i wyczyściłem trzewiki, wziąłem ze skrzyni stojącej w nogach łóżka rzadko noszoną czapkę z wytartego aksamitu, a na krótkie, grube paluchy wcisnąłem kilka pierścieni, które co prawda nie były ze srebra, lecz wyglądały wystarczająco autentycznie, po czym przez trzy tygodnie z rzędu zachodziłem co wieczór do gospody Pod Figowcem, by grać w karty, kości i inne gry losowe, do których normalnie się nie zniżałem. Zamawiałem wino,

które udawałem, że piję, i stawiałem kolejki, które moi towarzysze od stołu wypijali do dna. I przez cały ten czas miałem oczy i uszy szeroko otwarte.

Zadawanie pytań przy rozgrywce to wcale nie taka prosta sprawa. Trzeba wyczuć właściwy moment, gdy wino już zaczyna rozwiązywać języki, lecz jeszcze nie uderza do głowy. Gdy karty już zostały rozdane, ale uczestnicy partii nie zgrali się jeszcze z kretesem. Mężczyźni oszołomieni zwycięstwem i napływem gotówki mówią najchętniej, więc przez trzy tygodnie przepuszczałem pieniądze i zagryzałem zęby, wysłuchując, jak moi przeciwnicy kpią sobie z karzełków, którym szczęścia brakuje tak samo jak wzrostu.

Serce zabiło mi mocniej już pierwszej nocy, kiedy zobaczyłem mężczyznę z bykiem na liberii i podczas burzliwej rozgrywki w kości dowiedziałem się, że pracuje w pałacu kardynała Borgii. Potem jednak pojawiło się trzech kolejnych strażników z bykiem Borgiów na piersiach i podczas kolejnych nocy dowiedziałem się, że wszyscy przyjechali do Rzymu na tyle niedawno, że nie mogli być poszukiwanymi przeze mnie mężczyznami; dopiero w zeszłym tygodniu ściągnięto ich ze wsi, by strzegli pałacu kardynała i Palazzo Montegiordano, gdzie kardynał umieścił swoje dzieci z nieprawego łoża, których istnienie dawno już przestało być tajemnicą. W całym Rzymie zarówno duchowni, jak i szlachta na gwałt zatrudniali

dodatkowych strażników. Papież Innocenty gasł w oczach. Każda kolejna plotka stawiała go coraz bliżej grobu i wszyscy wiedzieli, że gdy tylko zamknie oczy, Rzym pograży się w chaosie. Wieczne Miasto na śmierć Ojca Świętego reagowało zawsze tak samo.

Mimo wszystko...

– Właśnie tak był ubrany strażnik, którego widziałam – oznajmiła, skinąwszy głową, służąca z zaciętą twarzą, kiedy pokazałem jej szkic liberii Borgiów z czerwonym bykiem. – Co to za herb dla sługi bożego? Na pewno nie zostanie papieżem. Nie z taką pieczęcią. Teraz największe szanse ma kardynał Piccolomini. Albo kardynał Sforza...

Nie chciałoby mi się postawić ani skuda na to, kto zasiądzie na tronie Stolicy Apostolskiej po tym, jak biedny Innocenty wyzionie ducha, ale w kolejnych dniach nie przestawałem nagabywać o to licznych strażników Borgii odwiedzających gospodę Pod Figowcem.

– Zdradź mi coś! Przecież ty, taki wielki człowiek, musisz wiedzieć, na kogo będzie głosował kardynał Borgia, skoro dla niego pracujesz!

A potem pojawiały się kolejne karty, kolejne monety – i kolejne pytania.

Po trzech tygodniach go miałem. Duży człek z brzydką, wesołą twarzą i koszulą rozsznurowaną do połowy, by znieść dokuczliwy upał, który nie ustępował nawet w nocy. Na skroniach perlił mu się pot. Przez całą

noc nieprzerwanie z nim przegrywałem – wystarczająco wysoko, by zaczął na mnie patrzeć życzliwym okiem, a kiedy kolejne rozdanie znów okazało się dla mnie pechowe, potrząsnął głową i zaproponował, że postawi mi kielich wina.

– Zawsze sądziłem, że takie karzełki jak ty mają więcej szczęścia niż my – powiedział, skinieniem ręki przywołując dziewczkę usługującą gościom. – Porcja szczęścia przypadająca na pełnowymiarowego człowieka powinna zapewnić ci fory w primierze.

Ze smutkiem potrząsnąłem głową, odkładając karty, które miałem na ręku, a które zapewniłyby mi zgarnięcie całej puli, gdybym je tylko właściwie rozegrał.

– Los mi nigdy nie sprzyjał, przyjacielu.

– Niccolò – powiedział. – Do tego stopnia wyczyściłem ci sakiewkę, że mogę ci podarować w zamian swoje imię. I postawić kielich wina.

Wyraźnie poirytowana służąca postawiła mój kielich z rozmachem na stole, a gdy z wdzięczności posłałem jej całusa, spojrzała na mnie wilkiem.

– Pod takim spojrzeniem nawet ocet by skwaśniał – westchnąłem, kiedy się odwróciła. – Wczoraj wieczorem była inna, ciemnowłosa, śliczna jak poranek. Miałem nadzieję, że dziś znów ją spotkam. – Puściłem oko do swojego towarzysza. – Spodobałem się jej.

– No to dobrze, że jej tu nie ma, przyjacielu. – Niccolò odchylił się na oparcie krzesła i z dumą klepnął

byka Borgiów na swoim dublecie. – Dziewczyny mają słabość do mężczyzn w mundurach.

– Chyba nie doceniasz kobiecej ciekawości. – Szerokim gestem zaprezentowałem swoje wypukłe czoło, szeroką klatkę piersiową i krótkie nogi, którymi nie sięgałem nawet podłogi. – Dziewczyny widzą to i chcą zobaczyć więcej. Wiesz, ile ich dzięki temu miałem? Mógłbym przemierzyć cały Rzym, nie dotykając stopą ziemi, gdybym skakał między łózkami, w których miałem przyjemność gościć.

– Z tobą? Do łóżka? – zadrwił Niccolò, ale przynęta chwyciła. Większość mężczyzn jest zaintrygowana, wszak ciekawość nie jest wyłącznie kobiecą cechą. Mężczyźni patrzą na mnie i zaczynają się po cichu zastanawiać, jak człek moich rozmiarów może spełnić podstawową męską powinność. W najpodlejszych rzymskich dzielnicach można trafić na przedstawienia, w których karły obojga płci robią to na oczach publiczności, a ta płaci niezłe sumki, by móc się poprzyglądać.

– Oczywiście kiedy kobieta miała już karła, to nie wiadomo, czego jeszcze mogłaby chcieć. – Pociągnąłem kolejny łyk wina, pozwalając mu rozchlapać się po stole. – Była taka jedna kobieta...

Opowiedziałem mu jedną z bardziej sprośnych historyjek ze swojego arsenału, nie przejmując się zupełnie tym, że zaczerpnąłem ją z opowieści pewnego weneckiego marynarza posługującego się wyjątkowo

rynsztokowym słownictwem, a nie z pokładów własnej pamięci. Niccolò ryknął śmiechem i spróbował przebić mnie własną opowieścią, którą uznałem za równie nieprawdopodobną, po czym zamówiliśmy kolejny dzban wina. W miarę jak na zewnątrz gęstniały ciemności, na sali gospody unosił się coraz gęstszy dym i narastał gwar. Zniżyliśmy głosy, by nie dobiegły do niepowołanych uszu.

– ...i była taka dziewczyna, która miała upodobanie do lin – wyznałem łzawym szeptem. Wylewałem jedną trzecią kielicha na podłogę dla miejscowych burków za każdym razem, gdy Niccolò szedł się wysikać, ale wiedziałem, jak odgrywać pijaka. – Lubiła, jak się ją wiązało, mówię ci. Ręce rozłożone jak u Chrystusa na krzyżu. Mówiła, że przypomina jej to o jego nieskończonych mękach. – Zademonstrowałem, wyciągając ręce i naśladując nie tylko Syna Bożego, ale i Annę na stole... i Niccolò zamarł, z kielichem w połowie drogi do ust.

– Boże... – potrząsnąłem głową, zatopiony we wspomnieniach – ta dziewczyna... Sądziłem, że uciekła z zakonu, bo już po wszystkim często szlochała i błagała mnie, żebym poderznął jej gardło i zdjął z niej ciężar jej grzechów. Nie mogłem się pozbyć myśli, że kiedyś jakiś sukinsyn potraktuje to dosłownie. I zostawi ją, taką rozkrzyżowaną, z rozchlastanym gardłem.

Nietknięty kielich Niccola uderzył z łoskotem o blat stołu i poczułem rozlewające się w piersiach

okrutne podniecenie. Tak, tak, tak...

– Matko święta – powiedział, próbując się rozeźmiać. – Od takiej dziewczyny lepiej trzymać się z daleka, człowieku. Nigdy nie wiesz, jak to się może rozwinąć, no wiesz, z takimi dziewczynami.

– Może i tak. – Beztrosko wzruszyłem ramionami, ale na języku czułem już smak zwycięstwa. Trzeba mieć stalowe nerwy, by bez drgnienia powieki wysłuchiwać plastycznych szczegółów popełnionej niedawno zbrodni, a z tego, co zdołałem się zorientować, wynikało, że Niccolò był miękki jak воск. Szeroki uśmiech nie schodził mu z twarzy, ale kąciki ust drgały nerwowo, a w ciemnościach lśniły białka wytrzeszczonych oczu.

Co lepsze, był już nieźle napity. A alkohol w połączeniu z poczuciem winy znakomicie rozwiązuje języki.

– Kogo to obchodzi, co się stanie z dziewczyną po tym, jak się już z nią zabawisz? – powiedziałem. – Przecież to nie twoja wina, jak coś pójdzie nie tak.

– Czasem twoja – odpowiedział. – Czasem wszystko zaczyna iść w złym kierunku, i to strasznie szybko...

Obserwowałem, jak kropla potu spływa mu po szyi i znika pod kołnierzem.

– Co poszło nie tak? – wymamrotałem.

– On po prostu chciał dziewczyny, rozumiesz? Prostej dziewczyny... Proste dziewczyny robią takie

rzeczy, których prostytutki nigdy dla ciebie nie zrobią, o ile nie zapłacisz im podwójnie. – Niccolò z trudem bełkotał słowa. W następnym zdaniu zacznie płakać, a wkrótce potem zaśnie na stole. Musiałem działać szybko.

– I co potem? – ponagliłem go łagodnie niczym spowiednik.

Niccolò zamrugał gwałtownie oczami, potem jeszcze raz.

– Zabraliśmy go stamtąd.

Obwiodłem palcem okrągłą podstawę swojego kielicha.

– My?

Niccolò nie patrzył już na mnie. Niewidzące spojrzenie utkwiał w przestrzeni, patrząc gdzieś ponad stołem. Cokolwiek widział, było to przerażające.

– Ja i Luis, to człowiek kardynała, z Walencji, jeden z jego zarządców, on... Kiedyś go lubiłem.

– Już go nie lubisz?

A zatem Hiszpan. Nie Wenecjanin. Okazuje się, że chodziło o Hiszpana.

Wzruszył ramionami.

– Nie po tym, jak... Boże, zlituj się nade mną. – Niccolò przeżegnał się bezładnie. – Boże, zlituj się nad nią. Biedna dziewczyna. Zapłaciłem za mszę w intencji jej duszy...

– Zapłaciłeś, tak? – powiedziałem łagodnie. Smak zwycięstwa na języku skonkretyzował się falą goryczy. –

Naprawdę zapłaciłeś, mój przyjacielu?

Nie słyszał mnie już. Oparł głowę na skrzyżowanych ramionach, wymamrotał coś bełkotliwie i chwilę później zapadł w głęboki pijacki sen przerywany donośnym chrapaniem.

Następnego wieczoru do gospody Pod Figowcem nie wziąłem kart. Zamiast tego przyniosłem książkę – postrzępiony tom listów Cyncerona, które w większości znałem już na pamięć. *Iliadę* musiałem sprzedać, by zapłacić za pogrzeb Anny. Smutny, nędzny pogrzeb poprowadzony przez księdza, który nawet nie próbował ukryć tego, że jest pijany. Jedynymi uczestnikami pogrzebu byłem ja i kilka służących z tawerny. Oczywiście żadnej rodziny. Dziewczyny, które mają kochające rodziny, nie kończą przybite do stołu w gospodzie.

Z butami opartymi na blacie stołu znów przeglądałem *Consolatio* Cyncerona, kiedy do sali gospody zajrzał Niccolò. Była już prawie północ. Zobaczył mnie, pozdrowił i namówił na grę w kości. Wyglądało na to, że nie pamięta wybełkotanych poprzedniego wieczoru tajemnic, chociaż parę razy zażartował smętnie ze strażników, którzy mają tak słabe głowy, że wystarczy kilka głębszych, żeby zmorzył ich sen. Zapewniłem go, że zasnąłem na długo przed nim, i dołożyłem starań, żeby znów nieco przegrać. Wino i drobne triumfy już zaczynały go rozluźniać, kiedy do sali wszedł szczupły, sprawiający wrażenie drażliwego

mężczyzna w skromnym szarym duplecie i chwycił go za ramię.

– Znów się upijasz? – warknął. – Wiesz doskonale, że Jego Eminencja oczekuje, że jego strażnicy będą zawsze w pogotowiu. Trzeźwi. Nie wiemy, kiedy zostaniemy wezwani do Watykanu. Kapitan powiesi cię za uszy, jeśli nie stawisz się na swoją zmianę o świcie! No dalej, ruszaj się...

Pociągnął Niccola za jego wielkie ramię.

– Luis? – zapytałem.

Obrzucił mnie zimnym spojrzeniem.

– Tak – odpowiedział z wyraźnym hiszpańskim akcentem. Niski mężczyzna o czystych dłoniach i schludnie obciętych paznokciach. Świeża koszula i nieskazitelne nogawice, a przy pasku nie pochwa na nóż, lecz futerał na przybory do pisania. Mężczyzna idealnie nadający się do towarzyszenia upartemu młodzikowi podczas wyprawy do biednej dzielnicy na tanie kurwy, trzymania go w ryzach i sprząwania ewentualnego bałaganu.

Zbył mnie machnięciem dłoni, popędzając ponownie Niccola, który potulnie wstał i skinął mi głową na pożegnanie. Hiszpan ponaglił go i przez moment odchyłony kołnierz koszuli nie zasłaniał mu całkowicie szyi.

Tuż koło obojczyka dostrzegłem początki trzech śladów po zadrapaniu. Zupełnie tak, jakby jakaś kobieta podrapała go paznokciami. Mocno.

Hiszpan z irytacją szarpnął kołnierz i zniknął w tłumie wraz z Niccolem. Wsunąłem Cycerona za pazuchę i wstałem. Nie sądziłem, by tej nocy książki miały się jeszcze okazać potrzebne.

Trzymałem się dość daleko z tyłu, czujnie nasłuchując wysokiego, podenerwowanego głosu don Luisa. Teren otaczający gospodę Pod Figowcem zbadałem jeszcze w świetle dnia i teraz w ciemnościach poruszałem się niemal bezszelestnie. To niebezpieczna część nocy. Ci, którzy wstają najwcześniej, nie zwlekli się jeszcze z łóżek, do domów chwiejnym krokiem wracają ostatni pijacy, a w zaułkach czają się rzezimieszki, by ostatni raz tej nocy obłowić się lub poderżnąć komuś gardło, po czym przemknąć do domu w rzednącym mroku. Żadna pora nie nadaje się do popełnienia morderstwa równie dobrze jak ta mroczna godzina przed świtem.

Wyprzedziłem swoje ofiary łukiem, przebiegając im w ciemnościach prawie przed samymi nosami, ale za bardzo pochłaniało ich wypatrywanie zagrożeń czających się w ciemnych zaułkach, by patrzeć na ziemię niemal pod stopami. Ukryłem się w głębokim cieniu rzucanym przez ogromny pałac i czekałem, aż dwie postaci przemierzą plac. Powiniennem poczekać, aż się rozdziela, żeby dopaść ich jednego po drugim, lecz nie chciałem zwlekać. Było ich dwóch i obaj postawniejsi ode mnie, ale jeden z nich był pijany i żaden nie wiedział, że tu jestem. I panowała ciemność, kompletna

ciemność. W takiej ciemności nawet karzeł może się wydać gigantem.

Wziąłem głęboki oddech.

– Don Luisie! – huknąłem, a mój głos odbił się potężnym echem.

Zatrzymali się i obrócili głowy w mroku. Chmury zasnuły księżyc. Noc była tak ciepła jak w samym środku lata, a w powietrzu unosił się jakiś cierpki zapach. Wciągnąłem w nozdrza fetor błota i końskiego łajna; z pobliskiej uliczki dobiegło mnie wycie psa i coś, co brzmiało jak bezrozumne szlochanie żebraka. Stojący obok niewysokiej postaci Niccolò wyglądał niczym jej długi cień, ale widziałem, jak się przeżegnał.

– Don Luisie! – krzyknąłem jeszcze raz. – Dlaczego przybiłeś jej ręce do stołu?

Głowa Hiszpana obróciła się błyskawicznie w stronę, z której dobiegał mój głos. Dysząc wściekle i urywanie przez nozdrza, próbował odszukać mnie wzrokiem. A Niccolò, odurzony winem i ślepy w ciemnościach, wymamrotał:

– Nie chciała leżeć spokojnie.

– Cicho bądź! – wysyczał Hiszpan.

– Nie chciała leżeć spokojnie – powtórzył Niccolò, bliski łez. – I Luis powiedział, że chłopakowi lepiej będzie szło rżnięcie jej, kiedy będzie leżała spokojnie. Więc wziął nóż...

– Powiedziałem: cicho! – krzyknął Luis.

I posłuszny własnym słowom, Luis nigdy się już

nie odezwał.

Nie wyszeptałem modlitwy przed wypuszczeniem noża z ręki. Mówi się, że święty Julian Szpitalnik czuwa nad duszami morderców, lecz tylko tych, którzy odczuwają skruchę – a w moim żalonym życiu nigdy nie byłem mniej skruszony niż po popełnieniu tego czynu. Wymamrotałem tylko „Anna”, a jej imię poniosło ostrze z mojej dłoni prosto jak włócznię. W bladym świetle księżyca przeświecającego przez chmury zobaczyłem jasny błysk metalu, po czym usłyszałem bulgotanie krwi uwięzionej w gardle Hiszpana i wiedziałem już, że nie chybiłem.

Runął na zabłocony bruk placu z grdyką przebitą nożem. Niccolò gapił się przez chwilę z rozdziawioną gębą, próbując dostrzec mnie w ciemnościach, po czym załkał rozpaczliwie i rzucił się do ucieczki.

Wysunąłem już z rękawa drugi nóż i trzymałem go w gotowości, lecz w chwili, w której go cisnąłem, Niccolò się potknął. Ostrze, zamiast zatopić się w plecach, utkwiło głęboko w jego biodrze. Zawył tak, że rozszczękały się wszystkie psy mieszkające w sąsiedztwie rozległego placu. Zakląłem cicho i cisnąłem w ciemność trzeci nóż, ale tym razem chybiłem zupełnie. Ostrze zabrzączało na kamieniach, a Niccolò podźwignął się i pokuśtykał przed siebie.

Moje krótkie nóżki pozwalały mi puścić się zaledwie pokraczynym truchtem, a i za ten wysiłek musiałem zapłacić, gdy powyginane kości

zaprotestowały przeciw konieczności niesienia mnie tak szybko. Nie mógłbym się mierzyć w wyścigu z człowiekiem normalnego wzrostu ani nawet z pełnosprawnym dzieckiem. Ale z rannym mężczyzną, w którego biodrze tkwił nóż? Którego noga coraz silniej krwawiła i coraz bardziej się pod nim ugiwała? Na niego mój truchcik był wystarczająco szybki.

Pobiegłem za Niccolem przez plac i zagłębiłem się w labiryncie ciemnych, krętych uliczek. Kretyn – skarciłem się szorstko – w takich zaułkach sam zostaniesz zamordowany i obrabowany. Włóczenie się nocą po rzymskich ulicach, na których nie obowiązywało żadne prawo, byłoby lekkomyślnością ze strony każdego człowieka, a czystym szaleństwem ze strony karła, który nawet w świetle dnia był łatwym łupem. Słyszałem jednak, jak uciekający przede mną Niccolò dyszy, jak jęczy, gdy tylko musi oprzeć się całym ciężarem na zranionej nodze. Czułem ostry, metaliczny zapach krwi odcinający się wyraźnie od nocnego fetoru palonego łoju i rynsztoka. Kolejne ostrze jakimś sposobem zdążyło się już wysunąć z niewielkiej pochwy znajdującej się przy pasku i znaleźć w mojej dłoni. Jakiś głos w mojej głowie, może nawet głos świętego Juliana pragnącego, bym poczuł skruchę z powodu popełnionego przed chwilą morderstwa, zasugerował mi, że mógłbym pozwolić mu uciec. W końcu mężczyzna, który przebił dłonie Anny nożami, już nie żył – prawdopodobnie to właśnie don

Luis poderzwał jej gardło. Ale przecież i Niccolò musiał ją przytrzymać. Może zaprotestował... Wstrząsały nim wyrzuty sumienia, zamówił nawet mszę za spokój jej duszy... Lecz mimo to przytrzymał ją. Nie znalazłem w sobie litości dla niego.

Biegąca przede mną ofiara zwolniła. Ciężki oddech przeszedł w skomlenie, a ostry zapach krwi aż zaświdrował mi w nosie. Musiał wyszarpnąć nóż z biodra i krew popłynęła swobodniejszym strumieniem. Zawahałem się, kiedy dysząc i kulejąc skręcił na Ponte Sant'Angelo – on miał przed sobą długą prostą, a ja mogłem wygodnie cisnąć nożem w niewyraźną postać kuśtykającą mostem. Był to jednak mój ostatni nóż i gdybym chybił, zostałbym bez broni, a życie boleśnie mnie nauczyło, że nigdy nie należy pozostawać bezbronnym. Musiałem się bardziej zbliżyć do Niccola, więc ponagliłem obolałe kończyny do pokracznego biegu. Pielgrzymi przekraczali Ponte Sant'Angelo, by spojrzeć na Bazylikę Świętego Piotra, lecz nie sądziłem, że Niccolò tam właśnie zmierzał.

Dopałem go pod majestatyczną fasadą Palazzo Montegiordano. Kuśtykał i pochlipywał, gorączkowo oglądając się przez ramię, by dostrzec grozę ścigającą go w ciemnościach. Może sądził, że to Anna wyszła z grobu, by zacisnąć swoje zmasakrowane dłonie na jego gardle. Zboczyłem, by wymacać w rynsztoku kamień oślizgły od fekaliów i kurzych odchodów, i wymierzyłem go w rysujące się w ciemnościach plecy

Nicola. Wydał okrzyk i upadł. Zanim zdążył się podnieść, przysiadłem na jego plecach jak senna zmora. Złapałem go za mokre od potu włosy, odciągnąłem mu głowę do tyłu i przystawiłem koniec noża do gardła.

– Niccolò – wymruczałem mu do ucha. – Powiedz mi, jak nazywał się ten chłopak.

– Jaki chłopak? – Teraz już otwarcie szlochał. – Jaki chłopak? Ja nie...

– Chłopak w masce. Ten, którego zabrałeś na wieczór w podłej dzielnicy, kiedy to karty i wino doprowadziły do przybicia dziewczyny do stołu. Wiem, że pamiętasz, kim był. – Zerknąłem na imponującą fasadę Palazzo Montegiordano. W blasku pochodni stali tam na warcie liczni strażnicy ubrani w liberie z bykiem Borgii, którzy w każdej chwili mogli dostrzec szarpaninę toczącą się na ulicy tuż poza kręgiem światła. Chwyciłem Niccola mocniej i zniżyłem głos. – Chłopak w masce. Kto to był? – Być może kolejny młody strażnik z Palazzo Montegiordano, którego Niccolò wziął pod swe skrzydła? Paź? Ktoś bogatszy, może kuzyn don Luisa albo jakiś młody zabijaka będący gościem podczas jednego z bankietów kardynała? – Powiedz mi, jak się nazywał.

Niccolò szarpnął się, bełkocząc z przerażenia, ale usiadłem mu całym ciężarem na łopatkach i nie był w stanie mnie zrzucić. Może i miałem ręce i nogi dziecka, lecz korpus dorosłego mężczyzny, a przy tym byłem cięższy, niż można by było sądzić, jak na

człowieka mierzącego metr i czterdzieści centymetrów wzrostu. Przyduśliłem go jak psa – zmartwiał, gdy koniec mojego noża drasnął go w szyję.

– Kim... kim ty jesteś? Bratem tej kurwy?

– Anna – wysyczałem jadowitym szeptem do ucha Niccola. – Miała na imię Anna.

I wtedy otrzymałem ogłuszający cios w potylicę.

Osuwając się z barków Niccola, kątem oka uchwyciłem postać strażnika z czerwonym bykiem na piersi. Mężczyzna obrócił w dłoniach pikę, którą zdzielił mnie w głowę, po czym wbił jej drzewce w mój nadgarstek i oślepiający ból zmusił mnie do wypuszczenia noża z dłoni. Nie, nie, karzeł nigdy nie może pozostać bezbronny! Ale mojej broni już nie było, a ja mrugałem nerwowo w bladym przedświcie, słysząc głuchy łoskot ciężkich butów zbliżających się do mnie i otaczających mnie ze wszystkich stron.

– Wasza Ekscelencjo – rozległo się gdzieś nad moją głową. – Proszę zobaczyć, co znaleźliśmy.

– Macie bystry wzrok – pochwalił głos młodego mężczyznę, a solidnie obuta stopa przewróciła mnie kopniakiem na plecy. Zmrużyłem oczy w żółtym blasku otaczających mnie niczym podczas polowania na czarownice pochodni. – Co my tutaj mamy?

Wśród poszarpanych cieni odcinających się na tle blasku pochodni i wschodzącego słońca dostrzegłem rozbawioną pociągłą twarz młodzieńca. Przystojną twarz okoloną kasztanowymi włosami, z której patrzyły

na mnie bezdenne czarne oczy. Były ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłem, zanim pochłonęła mnie ciemność.

Giulia

Bóg jeden wiedział, jakie ze mnie leniwe stworzenie, ale nawet ja nie byłam przyzwyczajona do takiej bezczynności. Jako niezamężna dziewczyna mieszkająca w domu mojego ojca zawsze miałam jakieś pilne obowiązki: wersety do przepisania na polecenie nauczyciela, obrus na ołtarz do wyszycia pod wymagającym okiem matki, obroty w basse danse do przećwiczenia z siostrą służącą mi za partnera, pieśni Machauta do odegrania na lutni. Matka była przekonana, że o ile nie jestem akurat zajęta lekcjami, powinnam być przydatna: pomagać służącym w cerowaniu ubrań domowników albo wraz z nią rozdawać jałmużnę żebrakom.

A teraz? Nie miałam dosłownie nic, czym mogłabym wypełnić czas. Rozległy pałac funkcjonował bez zarzutu, a służący uwijali się ze swoją pracą na czas i zdawali relację z jej wykonania pani Adrianie, która siedziała w samym środku tej zapracowanej sieci niczym najwprawniejszy pająk. Żaden nauczyciel nie zmuszał mnie już do uczenia się na pamięć poezji Dantego, a codzienne prace wykonywały się bez mojego udziału. Podejrzewałam, że nadal mogłam wyszywać obrusy na ołtarze, ale nienawidziłam haftowania. Mogłam chodzić do kościoła, ale niewiele miałam

grzechów do wyznania. Otaczał mnie luksus, o którym nawet nie śniłam – spałam w jedwabiach i nosiłam francuski brokat, a gdybym tylko zapragnęła, mogłabym jeść truskawki i pieczone pawie trzy razy dziennie. Nurzałam się w bogactwie, które wciąż zapierało mi dech w piersiach, i nie mogłam powiedzieć, bym tego nie doceniała, ale nie miałam nic do roboty.

– Zajmij się swoją urodą – powiedziała pani Adriana, poklepując mnie po ramieniu. – Sama wiesz, że takie włosy trzeba codziennie wystawiać na słońce. I wybaczone, że to powiem, ale ostatnio odrobinę się zaokrągliłaś, więc może ogranicz kandyzowane wiśnie i zadbaj o codzienne przejażdżki. Będziemy musieli się zatroszczyć o konia dla ciebie... Tak, idź wyszczotkować te swoje włosy. Taka uroda to prawdziwy dar! Bóg mi świadkiem, że nie będzie trwać wiecznie, więc powinnaś czerpać z niej pełnymi garściami, dopóki nie zblednie.

Tylko ile godzin można polerować paznokcie, szczotkować włosy i wmasowywać w szyję kremy z płatków róży, by zachować jej miękkość i biel? Przez jakiś czas brzdąkałam bez zapału na lutni i kartkowałam tomik poezji, który przysłał mi kardynał Borgia, lecz w końcu poddałam się pokusie panującego na zewnątrz letniego upału. Wcisnęłam się w brzoskwiniową płócienną suknię ze stanikiem haftowanym wiosennymi kwiatami i powlokłam się bez butów po marmurowych

schodach prowadzących łagodnie w dół z mojej komnaty do jednego z przypałacowych ogrodów. Tylko po to, jak się okazało, by paść ofiarą przyodzianego w bladoniebieski jedwab aniołka, który przemknął przez ogród, gapiąc się na mnie, jakbym była jednorożcem.

– Czy to ona? – wyszeptało to urocze dziecko, podskakując w miejscu jak psiak. – Czy to jest właśnie La Bella? Och, pani Adriano, ona jest piękna! Mówiłaś, że jest piękna, ale nie sądziłam, że aż tak! – I dziewczynka opłótła mnie ramionami w pasie.

– Och! – wykrzyknęłam, nieomal tracąc równowagę.

Przyjrząwszy się jej uważnie, dostrzegłam, że nie była dzieckiem, lecz dziewczyną, która już za rok czy dwa będzie gotowa do zamążpójścia. Miała jedenaście, może dwanaście lat, żywą twarzyczkę, błękitne oczy i burzę blond loków zaledwie o odcień ciemniejszych niż moje.

– Lukrecjo – skarciła ją moja teściowa, spływając do ogrodu niczym hojnie wyposażony w wiosła galeon. Prowadziła za rękę nieco młodszego od dziewczynki chłopca o szeroko otwartych oczach i kręconych włosach, ubranego w miniaturowy aksamitny dublet z rozcinanymi rękawami.

– Przepraszam, pani Giulio. – Dziewczyna się zmitygowała i cofnęła o krok, po czym dygnęła prześlicznie. – Nazywam się Lukrecja Borgia, jestem córką Jego Eminencji kardynała Borgii, który kazał mi

zaskarbić sobie twoją miłość, o ile to możliwe. Bardzo chciałabym uszczęśliwić ojca, więc czy mogłabyś mnie od razu pokochać? Bardzo proszę!

– Twój ojciec jest bardzo przebiegły – odparłam, ale na widok jej spoważniałej nagle twarzy roześmiałam się mimowolnie.

Pani Adriana się rozpromieniła.

– To jest Jofré, najmłodszy syn Jego Eminencji – powiedziała, wskazując chłopca, którego trzymała mocno za pulchną dziesięcioletnią rączkę. – Przez ostatnie kilka tygodni bawili w odwiedzinach u swojej matki, ale w końcu wrócili do domu. Lukrecja już od rana nie mogła się doczekać spotkania z tobą.

– Tyle o tobie słyszałam od ojca – wyznała dziewczyna ubrana w błękitną sukienkę. – I wcale nie przesadzał. Czy twoje włosy naprawdę sięgają aż do ziemi? Mogę zobaczyć? Używasz maści rozjaśniającej czy wystarczy słońce? Chciałabym używać maści rozjaśniającej do swoich włosów, ale pani Adriana mi nie pozwala...

Nie chcąc ulegać urokowi czegokolwiek, co wiązało się z kardynałem Borgią, zamierzałam się grzecznie wymówić i wrócić do swojej komnaty, lecz zanim zdążyłam się zorientować, dałam się wciągnąć w głąb ogrodu nieślubnej córce mężczyzny pretendującego do roli mojego kochanka, a pani Adriana wycofała się na powrót do pałacu z małym Jofré. Lukrecja trajkotała bez wytchnienia i powinnam

ją upomnieć, by była cicha i pobożna, jak przystało panience, która lada dzień miała stać się kobietą, ale przypomniałam sobie, jak sama miałam dwanaście lat i dojmujące wrażenie, że zaraz wybuchnę od nadmiaru słów, których nikt nie chciał słuchać, więc zamiast ją skarcić uśmiechnęłam się, rozpuściłam włosy i potrząsnęłam głową, by spłynęły falą na ziemię.

– Ojciec mówił, że masz piękne włosy! – Aż klasnęła dłońmi z podziwu. – Mówi o tobie Giulia La Bella.

– Naprawdę? – Zawahałam się, ale nie mogłam się powstrzymać, by nie dodać: – Co jeszcze o mnie mówi?

Nie to, żebym była zainteresowana, oczywiście. Ale o czymś w końcu musiałyśmy rozmawiać, prawda?

– Mój ojciec mówi, że cię kocha – powiedziała mała Lukrecja poważnie i rzeczowo. – Chciałabym mieć takie włosy jak ty. Jak to się robi, żeby urosły takie długie?

– Każdego wieczoru przy czesaniu włosów masuj skórę głowy – usłyszałam własne słowa. – Tak długo, aż poczujesz mrowienie, o tak...

I już po chwili nieoczekiwanie dla mnie samej siedziałyśmy na zalanej słońcem trawie, Lukrecja plecami do mnie.

– Auć!

– Jeśli boli, to dobrze. To znaczy, że rosną. – Dłuższą chwilę masowałam jej skórę głowy, chociaż jęczała i popiskiwała. – Jak chcesz być piękna, to musisz

trochę pocierpieć.

Lukrecja przekrzywiła główkę i spojrzała na mnie przez ramię.

– A warto?

– Oczywiście, że tak. I nie pozwól, by księża wmówili ci coś innego. – Wyjęłam z rękawa srebrny grzebyk, który zawsze nosiłam przy sobie, i zaczęłam rozczesywać jej splątane loki. – A więc twój ojciec o mnie mówi?

– Tak. Chce zlecić namalowanie twojego portretu do swojego gabinetu! W niebieskiej sukience, z gołąbkami na kolanach, jako Dziewicę.

Cóż za celny strzał! Pomyślałam kwaśno o jego dotyku.

– Ja też wkrótce zostanę sportretowana – wyznała Lukrecja. – Dla mojego narzeczonego. Chciałby mnie zobaczyć, więc muszę ładnie wyglądać! Muszę! Jeśli nie będę ładnie wyglądać, on poślubi inną, a wtedy serce mi pęknie!

– A kim jest twój narzeczony?

Delikatnie rozczesalam jej splątane za uszami włosy.

– Don Gaspare Aversa, hrabia Procidy – wymówiła z satysfakcją imię przyszłego małżonka. – Znamienity hiszpański szlachcic.

– Dobra partia. Czy już go poznałaś?

– Nie, ale ojciec mówi, że jest młody i przystojny. – Lukrecja spuchła z dumy. – Dla ukochanej córeczki

wszystko, co najlepsze.

– Siedz spokojnie – upomniałam ją. – Masz tu nieomal kołtuny.

– Ciągłe się płaczą – westchnęła głęboko. – Żałuję, że mam takie loki.

– Niesłusznie. Bo nie będziesz musiała ich kręcić na gorący pogrzebach jak ja.

Niemal podskoczyła z zadowolenia, po czym zamarła w bezruchu, pozwalając czesać się dalej. Skonstatowałam z zaskoczeniem, że nucę pod nosem, a ogarniającego mnie uczucia nie sposób nazwać inaczej niż radością. Od chwili zamieszkania w tym pałacu nie miałam towarzyszkę – takiej prawdziwej, z którą można usiąść i pochichotać, kogoś, kto nie oczekuje ode mnie niczego poza najnowszymi ploteczkami i rozczesaniem włosów. Tylko pani Adriana i jej niekończące się rachunki lub niezliczeni kuzyni, którzy przychodzili mnie obejrzyć ponad talerzami mostaccioli w miodzie i zapytać obłudnie, dlaczego nie towarzyszę mojemu mężowi na wsi. W głowie się nie mieści!

– Kiedy to dom mojej kuzynki dostał się we władanie greckich boginek? – odezwał się głęboki głos za moimi plecami. Głos, który tak dobrze rozpoznawałam po pobrzmiwającym w nim rozbawieniu i katalońskim akcencie. – Demeter i Kora, jako żywo.

Lukrecja podniosła się niezgrabnie z trawy, dygnęła z wdziękiem i rzuciła się ojcu na szyję.

Spodziewałam się, że ją skarci – mój od dawna już nieżyjący ojciec z pewnością osadziłby mnie w miejscu i wygłosił oschłą pogadankę na temat zachowania szanującej się kobiety – ale kardynał Borgia mocno uściskał swoją córkę i uniósł ją do góry tak, że aż wydeła się jej błękitna sukienka.

– Nie, nie – przerwał jej, gdy zasypała go pytaniami po katalońsku. – Pani Giulia nie mówi po katalońsku, pamiętasz?

Lukrecja bez protestów przeszła na włoski.

– Czy mogę zostać namalowana jako Kora? Na portrecie dla pana Gaspare? Będę trzymać jabłko granatu, wplotę kwiaty we włosy...

– Tylko jeśli pani Giulia zgodzi się zostać odmalowana jako Demeter. – Spojrzenie ciemnych oczu kardynała spoczęło na mnie. – Tak jak teraz siedzi, z rozsypanymi wokół włosami i rogiem na kolanach. Co sądzisz, moja droga Lukrecjo?

– Myślę, że ona też powinna mieć kwiaty we włosach – uznała Lukrecja i natychmiast rzuciła się w stronę krzewów różanych rosnących pod kamiennymi murami ogrodu.

– Sprytnie, Wasza Eminencjo. – Cisnęłam grzebieniem w kardynała Borgia, który usadowił się na trawie obok mnie i rzucił swój kardynalski kapelusz beztrąsko obok fontanny. – Zaangażować swą córkę, by pomogła mnie uwieść!

– I co? Działa? – Mrugnął leniwie okiem, opierając

się na łokciu niczym rzymski cesarz.

Uśmiechnęłam się mimowolnie, obserwując, jak Lukrecja zbiera na sukienkę pączki róż. Jej jasne włosy lśniły w promieniach słońca niczym aureola.

– Jest czarująca.

– To prawda. – Obserwował swoją córkę z nieskrywaną czułością. – Płodzę piękne córki, Giulio. Chciałabyś taką?

– Bardzo dziękuję, pragnę urodzić synów – prychnęłam niczym moja świętoszkowata siostra. – Synów mojego męża, nie twoich.

– Nie papuguj swojej duenny – powiedział kardynał przyjaźnie. – Kobiety mówią, że chcą mieć synów, bo wiedzą, że ich mężowie pragną mieć męskich potomków. Ale wszystkie piękne kobiety chcą urodzić córki.

Zamrugałam niepewnie. No dobrze, może i marzyłam o urodzeniu córki po wyjściu za mąż. Małej dziewczynki, która odziedziczyłaby po mnie jasne włosy i ciemne oczy, i skandalicznie długie rzęsy Sandra, których z jakiegoś powodu ja nie odziedziczyłam razem z oczami (co było ogromną niesprawiedliwością, ale miałam nadzieję, że moja córka będzie miała więcej szczęścia). Małej dziewczynki, z którą mogłabym siedzieć w słońcu, tak jak siedziałam z małą Lukrecją Borgia.

Kardynał Borgia nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Twoja córka nosiłaby moje nazwisko –

powiedział. – O ile byłaby moja. I wyszłaby za szlachcica, tak jak Lukrecja.

– Kiedy ja będę obrzucana błotem jako dziwka i cudzołożnica? A moja córka będzie wychowywana nie przeze mnie, lecz przez panią Adrianę? – Uniosłam dumnie głowę. – Podobnie jak Lukrecja i jej bracia? Mały Jofré, którego właśnie spotkałam, i Juan, młody zbereźnik, i ten, który właśnie wrócił z uniwersytetu w Pizie? Gdzie jest teraz ich matka?

– Jest szczęśliwą właścicielką trzech znakomicie prosperujących rzymskich zajazdów i masy posiadłości nad Tybrem – odparł natychmiast kardynał. – Wszystko to otrzymała w prezencie ode mnie. Vannozza nie ma powodów do narzekania. Spędziliśmy razem dziesięć lat, doczekaliśmy się czwórki dzieci i pozostaliśmy w przyjaznych stosunkach. Jej ostatni mąż nie troszczył się o stadko nieprawych dzieci Borgii, więc... – Wzruszył ramionami i spojrzał na różowe mury okalające ogród pani Adriany, a potem cicho zachichotał. – I mogę cię zapewnić, że Vannozzy nikt nie obrzuca błotem ani nie nazywa cudzołożnicą. Nikt by się nie ośmielił.

– Chociaż wszystkie twoje dzieci są z nieprawego łoża?

– Moja droga, kogo to obchodzi? To nie Francja ani nie Anglia, gdzie wszyscy są albo zbyt świętoszkowaci, albo zbyt prowincjonalni. Tutejsi władcy, jak ksiązę Mediolanu, ksiązę Ferrary, król

Neapolu, chowają wszystkie swoje dzieci razem, w luksusie, i nikogo nie obchodzi, które dziecko wyszło z którego brzucha! To ludzie światowi. Podobnie jak ja.

– A zatem uznajesz się za równego królowi Neapolu i księciu Mediolanu?

– Uznaję się za równego każdemu człowiekowi.

– Pani Giulio, popatrz! – Lukrecja podbiegła radośnie i wysypała mi na kolana różyczki ze spódnicy.

– Same czerwone! Będą ślicznie wyglądały w twoich włosach. Mogę?

– Jeśli masz ochotę.

Podniosłam z trawy kaskadę włosów i zaczęłam je upychać na powrót w siatce, ale dłoń kardynała powstrzymała mnie.

– Zostaw. – Jego głos stał się nagle odrobinę ochryply. – Nie widziałem ich wcześniej rozpuszczonych.

Cofnęłam rękę przed jego dłonią, ale pozwoliłam włosom znów opaść mi na ramiona. Lukrecja kręciła się wokół mnie niczym błękitny motyl wtykający różyczki to tu, to tam i wzdychający nieustannie z zachwytu. A jej ojciec patrzył na mnie... i patrzył... i patrzył...

Spłonęłam rumieńcem. Większość mężczyzn ma na tyle przyzwoitości, by spuścić wzrok, gdy uchwyci się ich spojrzenie, albo przynajmniej udawać zainteresowanie ołtarzem Pinturicchia, tryskającą fontanną, gryzącymi się psami lub czymkolwiek, na czym mogą zawiesić wzrok tuż ponad twoim ramieniem.

– Czy nie wiesz, Wasza Eminencjo, że niegrzecznie jest się gapić? – zapytałam ostro.

– Wiem – odparł, nie spuszczając wzroku, a jego czarne oczy zapłonęły jeszcze mocniej.

– Gotowe! – Lukrecja wyprostowała się z zadowoleniem. – Teraz wyglądasz dokładnie jak Demeter: cała w złocie i czerwieni i w brzoskwiniowej szacie.

– W takim razie zerwij jeszcze trochę kwiatów. – Uśmiechnęłam się do niej. – Uwiję ci z nich wianek, Koro.

– Niebieskich kwiatów – zdecydowała. – Żeby pasowały do mojej sukienki. – I rzuciła się na poszukiwanie fiołków i hiacyntów.

– Niechętnie oddam ją mężowi – powiedział kardynał Borgia tak naturalnie, jakby jeszcze chwilę wcześniej nie wpatrywał się we mnie z wymalowaną w oczach pożądliwością. – Jest moją pociechą. Z synami są zawsze same kłopoty...

Pomyślałam o bezwstydnym szesnastoletnim Juanie i przytaknęłam.

– ...a córki są dla ojca prawdziwą radością. – Zapatrzył się w zbierającą kwiaty Lukrecję i potrząsnął głową. – Czasem zastanawiam się, dlaczego wybrałem Kościół, Giulio. Plotki, intrygi, spiski i kolegium kardynalskie niczym gniazdo rozgdakanych czerwonych kur... A mogłem mieć to. – Szerokim gestem dłoni wskazał ogród. – Słońce. Kwiaty. Dzieci. Ciebie.

– Nie możesz mnie osiąść – odparłam. – I wcale ci nie wierzę, Eminencjo. Uwielbiasz plotki, intrygi, spiski i podszepty. I nie próbuj wmawiać mi nic innego, by chwycić mnie za serce.

Uśmiechnął się szeroko, czym mnie zaskoczył. Ponad tym młodzieńczym, szerokim, białym uśmiechem w smagłej twarzy jego orli nos i uważne czarne oczy nabrały innego wyrazu.

– A jednak pewnych rzeczy żałuję. Ciebie, dla przykładu.

Sceptycznie uniosłam brwi.

– Mam zatem zakładać, że gdybyś nie był kardynałem, poślubiłbyś mnie?

– Och, nie, prawdopodobnie miałbym jakąś bogatą żonę solidną niczym łożo z baldachimem – wyznał szczerze. – Ale miałbym wystarczająco dużo czasu, ażeby poświęcić tydzień tylko na to, by cię uwieść. A kolegium kardynałów i jego nerwowe rozprawianie o zbliżającej się śmierci papieża nie pozostawia mi prawie w ogóle czasu dla ciebie.

– Tydzień? – Niecierpliwie odsunęłam znad oka różyczkę, która wysunęła mi się z włosów. – Tyle czasu zajmuje ci zazwyczaj uwiedzenie kobiety? Jak fatalne musisz mieć zdanie o niewieściej cności.

– Przeciwnie. Po prostu wysoko oceniam własne umiejętności. Ale nawet ja potrzebuję nieco czasu – poskarżył się. – Normalnie zaczyna się od naszyjnika, potem przychodzi kolej na bankiet z odpowiednią

muzyką i niezobowiązującą konwersacją. Później można pomyśleć o konnej wycieczce na wieś, podczas której mogę zademonstrować swój znakomity dosiad. Jeszcze kilka prezentów, może perfumy, które skomponowałem specjalnie dla ciebie? Mam świetny gust, jeśli chodzi o kobiece zapachy, a przy tym znakomite powonienie. Czym teraz pachniesz? Fuksja i goździki? Tak sądziłem. Później kolacja w atmosferze coraz większej zażyłości, może na łodzi pływającej po Tybrze, jeśli tylko uda się znaleźć miejsce, w którym zapach mułu nie wierci w nosie i nie rujnuje całego nastroju... Tak, zazwyczaj to trwa jakiś tydzień. – Westchnął. – A jednak proszę, minęły prawie dwa miesiące, a ty nadal tu siedzisz wciśnięta w sukienkę zamiast leżeć nago na trawie ze złotowłosą dziewczynką wzrastającą już w twoim brzuchu, a wszystko to zawdzięczam kolegium kardynalskiemu. – Borgia uniósł jedną brew i spojrzał na mnie znacząco. – Będę miał za co dziękować opatrności, jeśli papież się pospieszy i wreszcie umrze. W końcu będę miał więcej czasu dla ciebie.

Moja twarz przybrała ten sam kolor co róże w moich włosach. Nie wiedziałam, gdzie podziąć oczy ani co zrobić z rękami, i nie miałam najbledszego pojęcia, co powinnam powiedzieć. Jedyne, co przyszło mi do głowy, to to, że mnóstwo mężczyzn patrzyło na mnie tak, jakby marzyło o tym, by zobaczyć mnie nagą, ale on pierwszy mi to powiedział. Nie było w tym ani odrobiny poezji. Czy Petrarca kiedykolwiek choćby

słowem wspomniał o Laurze leżącej nago na trawie? Nie, ponieważ nie było to ani poetyckie, ani romantyczne, ani oczywiście przyzwoite. Więc dlaczego skóra na całym ciele tak mnie teraz paliła? Szukałam bezradnie celnej riposty czy jakiegokolwiek wręcz odpowiedzi, ale język całkiem mi skołowaciał. Och, Najświętsza Panienko, wskazówki mojej matki dotyczące prowadzenia uprzejmej konwersacji nie przygotowały mnie na tego rodzaju rozmowy!

– A zatem papież umiera? – wykrztusiłam w końcu bezmyślnie.

– Tak, zapewne wkrótce dokona żywota. Oczywiście umiera od wielu lat, więc któż może stwierdzić z całą pewnością, czy tym razem myśli poważnie o odejściu z tego świata?

Kardynał obrócił się na plecy i położył ciemną głowę na moich kolanach.

Pochyliłam się nad nim i spiorunowałam go wzrokiem.

– Czy powiedziałam, że możesz to zrobić?

– Nie.

– Więc przesunij się natychmiast!

– Nie.

– Eminencjo, czy ja wyrażam...

– Ależ proszę, zrzuć mnie. – Jego oczy się roziskrzyły. – Oczywiście Lukrecję to zaboli, jest w stosunku do mnie bardzo opiekuńcza, zwłaszcza gdy jestem zmęczony.

Przyjrzałam się uważnie jego zmęczonej śniadej twarzy i podkrążonym ciemnym oczom.

– Rzeczywiście wyglądasz na zmęczonego – przyznałam niechętnie.

– Umierający papież to więcej pracy dla całej reszty. A ponieważ to na mnie spoczywa obowiązek zwołania konklawe po jego śmierci, to... no cóż, łapówki właśnie zaczynają płynąć. Miałabyś ochotę na szmaragdową bransoletkę? Nie dalej jak wczoraj kardynał Piccolomini wsunął mi ją pod talerz. Chce kupić mój głos, by zostać papieżem, oczywiście. Wszyscy chcą. Kardynał della Rovere jest gotów zadźgać mnie na oczach wszystkich zgromadzonych tylko za to, jak potakiwałem, kiedy kardynał Carafa szeptał mi do ucha. Staram się kiwać głową możliwie często. Irytowanie della Rovere jest jedną z moich ulubionych rozrywek.

– A czy ty nie chcesz zostać papieżem? – Spojrzałam na niego z góry. – Sądziłam, że wszyscy kardynałowie tego pragną.

– Ja nie – powiedział beztrąsko. – Papież, który uwielbia swoje dzieci z nieprawego łoża i uwodzi piękne złotowłose panny młode? Wypluj to słowo.

– Papieże również mogą mieć bękarty, podobnie jak wszyscy ci władcy, o których wspomniałeś wcześniej. Papież Innocenty ma dwoje.

Znałam wszystkie plotki.

– Szesnaścioro.

Najwyraźniej nie wszystkie.

– Nie ma jednak konkubiny – odparowałam. – Nie po tym, jak został wybrany, tak powiedział mi Sandro. Papież musi zachowywać pozory.

– Widzisz? Więc dlaczego ktokolwiek chciałby zostać papieżem? – Kardynał Borgia ziewnął. – W każdym razie ja nie chcę.

– Kłamca. Oczywiście, że chcesz zostać papieżem. Tylko dlaczego się za mną uganiaasz? Będziesz musiał mnie porzucić i co się wtedy ze mną stanie? – Wiedziałam doskonale, co powiedziałyby moja matka, nie wspominając już o moim spowiedniku. – Jeśli oddam ci swoją cnotę, pójdę za to do piekła.

– Moja droga, oczywiście, że nie pójdziesz – stwierdził. – Jak myślisz, czemu służy spowiedź? No proszę, racz zaspokoić moją ciekawość – dodał, widząc moje sceptyczne spojrzenie.

Westchnęłam.

– Wyznajemy grzechy, byśmy mogli za nie odpokutować, oczywiście – odparłam.

– Tak. – Przeżegnał się, nie zmieniając pozycji. – Ale nie trzeba się obawiać ogni piekielnych za kilka grzechów nieczystości, Giulio Farnese.

– Nie tak mnie uczono!

– Gdyby Bogu naprawdę przeszkadzała moja gromadka ślicznych dzieci i szaleńcze uczucie, którym cię darzę – uniósł dłonie i przesunął palcem po moim policzku – czy wyniósłby mnie do godności jednego

z najbardziej świątobliwych kardynałów? Nie. Raziłby mnie śmiertelnie jednym ze swoich piorunów albo przynajmniej precyzyjnie wymierzoną w czasie zarazą. W końcu zarówno czyny, jak i bierność naszego Ojca Niebieskiego są równie wymowne. Nie podejmując żadnych działań, wyraża swoją aprobatę.

Zmarszczyłam brwi i odsunęłam się od dłoni na moim policzku.

– Wszystko przekręcasz.

– Wcale nie. Po prostu udowadniam ci, że ognie piekielne nie są wcale tak nieuniknione, gdy idzie o grzechy nieczystości, jak matki chciałyby wmówić swoim córkom. – Usiadł leniwie. – Pozwól, że cię nieco dokszałcę.

– A czy uda ci się to zrobić, trzymając ręce przy sobie? – Trzepnęłam go lekko, gdy wyjmował pączek róży z moich włosów.

Zignorował mnie.

– Nie grzechy mają znaczenie, kochana dziewczyno, lecz następująca po nich skrucha. Mógłbym wziąć cię do łóżka i nie wypuszczać z niego cały dzień... Może dziś po południu? Nie? No, cóż... I jeszcze przed wyjściem zapewnić ci rozgrzeszenie. Od ciebie wymagałoby to jedynie zmówienia kilku modlitw w ramach pokuty.

– Wyrecytowanie kilku psalmów nie odpuszcza grzechu cudzołóstwa. – Mój spowiednik nie miałby co do tego żadnych wątpliwości.

– Dlaczego nie? – Kardynał Borgia wciągnął głęboko w nozdrza zapach mojej róży. – Bóg uprawomocnił mnie do twierdzenia, że tak właśnie jest.

– A co z twoją skruchą? Nie sprawiasz wrażenia, jakbyś czegokolwiek żałował!

– Oczywiście, że żałuję. – W jego głosie zabrzmiała powaga. – Ogromnie żałuję, że nie mogę się cieszyć twoją przychylnością jako poślubiony ci mąż. Aby odpokutować za grzechy pożądliwości, zazdrości i mam nadzieję cudzołóstwa, zmówię *Akt żalu* i przekażę ofiarę dla biednych za każdy pocałunek, który mi ofiarujesz. – Uniósł moją dłoń i ucałował ją szybko. – Widzisz? Mogę się cieszyć pocałunkiem, moja dusza została oczyszczona, a biedni się wzbogacili.

– To nie jest prawdziwa skrucha.

– Oczywiście, że jest. Bóg uczynił nas niedoskonałymi, urocza dziewczyno. A zatem to On stworzył luki w tym systemie, by zyskać pretekst pozwalający Mu nam wybaczać.

Kiedy próbowałam znaleźć błąd w tym rozumowaniu, podbiegła do nas Lukrecja z suknią pełną fiołków i stokrotek.

– Pani Giulio, czy mogłabyś upleść mi wianek?

– Oczywiście.

Wzięłam garść fiołków, wdzięczna za odwrócenie uwagi od niewdzięcznego tematu, i zaczęłam splatać łądygi kwiatów w wianek. Nie miałam ochoty już nigdy więcej rozmawiać o wątpliwych lukach Bożego

przebaczenia, a kardynał Borgia nie drążył dalej. Wyglądał po prostu na rozbawionego. Leniwym skinieniem palca przywołał swoją córkę i wyszeptał jej do ucha coś po katalońsku. Zachichotała i odbiegła od nas, a on z powrotem ułożył głowę na moich kolanach.

– Przestań – powiedziałam.

– Zaraz – odpowiedział i sięgnął w górę, owijając sobie pukiel moich włosów wokół palców. Jego własne włosy były czarne jak smoła, nietknięte siwizną.

Lukrecja wróciła, nadal chichocząc, i wcisnęła ojcu do ręki coś, co ukrył w rękawie.

– Czy mój wianek już gotów, pani Giulio? – zapytała błagalnie, zawirowując swoją bladoniebieską sukienką.

– Bardzo proszę.

Włożyłam jej wianek z fiołków i stokrotek na głowę i uśmiechnęłam się, kiedy w piruetach odpłynęła ku fontannie.

– Pani Adriana mówi, że dziś po południu mogę wystawić włosy na słońce, jak już skończę ćwiczenia z łaciny i lekcję tańca. – Stała na czubkach palców i pochyliła się nad lustrem wody, by się w nim przejrzeć. – Usiądziesz razem ze mną, prawda?

– Tak – odpowiedziałam odruchowo. – Całe popołudnie, jeśli tylko masz ochotę.

– Chciałbym z wami posiedzieć. – Kardynał wstał z trawy i otrzepał swoje szkarłatne szaty. – Obawiam się jednak, że jestem oczekiwany przy łożu papieża. Robi

się rozdrażniony, gdy nie ma towarzystwa do swojej popołudniowej filiżanki krwi.

– Krwi? – Pytanie wyrwało mi się mimowolnie.

– Tak, pije codziennie kieliszeczek krwi. Upuszczonej z prawiczków. Jakiś szarlatański konował wmówił mu, że to znakomity środek na wzmocnienie. Jeśli o mnie chodzi, pojednałbym się raczej z Bogiem i umarł. – Kardynał Borgia pochylił się i złożył pocałunek na jasnej główce swojej córki. – Zmykaj, maleńka. W tańcu osiągnęłaś już niemal doskonałość, ale zdecydowanie musisz przysiąc do łacińskich czasowników. Jeśli do jutra przetłumaczysz dla mnie stronę listów Cyserona i wyrecytujesz je z właściwym akcentem, dopilnuję, żebyś dostała nową sukienkę na okoliczność malowania portretu dla pana Gaspare.

Lukrecja dygnęła jeszcze raz i pobiegła do swoich nauczycieli. Zaczęłam się podnosić, by pójść za nią, lecz kardynał dotknął dwoma palcami mojego nadgarstka i zatrzymał mnie.

– Ciebie również chciałbym sportretować, Giulio.

– Jako Maryję Dziewicę? – Uniosłam brwi. – I odkąd to zezwoliłam na nazywanie mnie po imieniu?

– Nie jako Dziewicę – powiedział, jakby mnie nie słyszał, i jego palce wolno otoczyły mój nadgarstek. – I nie jako Demeter. Myślę, że byłaby z ciebie lepsza Kora niż z mojej córki.

– Doprawdy?

Moja edukacja ograniczała się do zwykłych

tematów: haftu, tańca, kaligrafii, arytmetyki na poziomie domowej rachunkowości i tylko takiej dawki Dantego, bym mogła w odpowiednim momencie błysnąć dowcipnym cytatem. Nikt nigdy nie oczekiwał ode mnie, bym tłumaczyła listy Cycerona. Moja znajomość łaciny pozwala mi jedynie na odmówienie kilku modlitw, ale Sandro i moi pozostali bracia uczyli się greki i łaciny pod okiem przypominającego wyleniałą czaplę nauczyciela przedmiotów klasycznych, a matka pozwalała mi, bym z tamborkiem do wyszywania towarzyszyła im podczas lekcji, gdyż dzięki temu nie sprawiałam kłopotów. Przez większość czasu robiłam miny do Sandra, płacząc swoją wyszywaną w beznadziejne supły, ale podpatrzyłam i podsłuchałam kilka innych rzeczy. Greckie koniugacje i łacińskie deklinacje wpadały mi jednym uchem i wypadały drugim, ale podobały mi się historie o starożytnych bogach i ich niezliczonych romansach.

– Jeśli ja jestem Korą – ciągnęłam – to kimże ty jesteś, Wasza Eminencjo? Panem podziemnego świata, który porwał mnie i przetrzymuje wbrew mojej woli? Czy mogę zjeść jabłko granatu, czy też jego pestki skażą mnie na wieczność w tym miejscu, jak Korę?

– Zawsze się zastanawiałem, czy czasem Kora nie zjadła tych pestek z ochotą. – Kardynał Borgia masował powoli swoim twardym kciukiem wewnętrzną stronę mojego nadgarstka. – Czy ostatecznie nie zdecydowała, że chce zostać ze swoim mrocznym panem?

– Kto chciałby zostać królową podziemnego świata?

Przyciągnął mnie bliżej, nie wypuszczając mojej dłoni z uścisku. Gdyby spróbował mnie pocałować, otrzymałby kolejny siarczysty policzek.

– Może podziemny świat nie był taki zły. – Przesunął opuszkę kciuka na grzbiet mojej dłoni i bardzo powoli pieszczotliwie ją głaskał. – Być może mroczny. Ale w ciemnościach może wydarzyć się wiele wspaniałych rzeczy. – Wciąż głaskał, bardzo, bardzo powoli. – Myślę, że Kora o tym wiedziała, gdy przełykała te pestki.

Nie znalazłam odpowiedzi. Czułam, jak oblewam się rumieńcem, ale zmusiłam się, by nie odwracać wzroku, nie mrugać z zakłopotaniem, nie płonić się i nie chichotać jak zmieszane dziewczątka z przyklasztornej szkoły. Cisza, która między nami zapadła, stała się wręcz namacalna. Kciuk, którym głaskał grzbiet mojej dłoni, przesunął się po moich palcach.

– Do zobaczenia zatem – powiedział.

– Kiedy? – Pytanie wymknęło mi się nieopatrznie, zanim zdążyłam je powstrzymać. Och, Najświętsza Panienko, a przecież przysięgłam sobie nie zadawać żadnych pytań!

Uśmiechnął się lekko.

– Kto wie? Wszystko zależy od stanu zdrowia papieża – odparł.

– Chcesz być następnym papieżem – powiedziałam. Nie było to pytanie. – Chcesz, prawda?

– Nie. – Przesuwał kciukiem po czubkach moich palców, ledwie ich dotykając. – Chcę być z tobą. W ciemnościach.

Cofnął się, puszczając moją dłoń. Chwilę po tym, jak jego szkarłatna postać znikła na prowadzących do pałacu schodach, zdałam sobie sprawę, że znów wsunął mi coś do ręki. Coś, po co posłał Lukrecję i co później ukrył w rękawie.

Tym razem nie był to naszyjnik, rubiny ani perły, nie były to buciki z wężowej skórki o złoconych sprzączkach, emaliowane lusterka ani srebrne siateczki do włosów, a więc prezenty, które pojawiały się w mojej komnacie prawie codziennie, owinięte wstążkami w kolorze kardynalskiej czerwieni.

W mojej dłoni spoczywało jabłko granatu.

Carmelina

Tej niedzieli mój kuzyn mnie zaskoczył.

– Słuchaj... – zaczął, patrząc mi prosto w oczy i sięgając jednocześnie po płaszcz i kapelusz, po czym urwał i odchrząknął. Chociaż raz mieliśmy kuchnię tylko dla siebie, bo większość kucharzy i służących poszła już na mszę. Płyty posadzki błyszcząły, rozstawione na kozłach blaty wyszorowano do białości, promienie słońca wsączały się przez maleńkie, osadzone w ołowianych ramach szyby okienne, a ja

sama szukałam w tym momencie już tylko odrobiny spokoju. Miałam do zrobienia tartę z dojrzałych brzoskwiń i nie mogłam się już doczekać, kiedy wypróbuję swój nowy pomysł na jej wierzch: pocięte na wstążki ciasto ułożone warstwowo w spiralę. Ale Marco ociągał się z wyjściem, mnąc w rękach kapelusz i sprawiając wrażenie bardziej niż odrobinę zawstydzonego. – Bardzo ci dziękuję, Carmelino. Za... no cóż... za wczoraj.

– To ja jestem ci winna podziękowania, Marco. – Nie zaszkodzi przypomnieć mu o jego szczodrobliwości, dzięki której mogłam się tutaj schronić. Spojrzałam jeszcze raz na misę brzoskwiń, które wybierałam na crostatę, oddzielając dojrzałe od poobijanych. – Cieszę się, że mogę w jakikolwiek sposób pomóc.

Marco nie zapomniał się przy grze do tego stopnia co w dniu wesela pani Giulii, ale i tak musiałam go kryć, kiedy nadeszła pora kolacji i pod jego nieobecność nie było nikogo, kto mógłby dać sygnał do rozpoczęcia przygotowań. Przejęłam więc dowodzenie: nadzorowałam nabijanie żeberek na różna dla dzieci Borgii, sprawdzałam tarty, których wypieczone wcześniej spody uczniowie napełniali nadzieniem, doprawiałam sałaty, zanim służące wyniosły je na stoły, i pilnowałam zlewania wina. Czerwony z zażenowania Marco przyszedł jakiś czas po tym, jak ruszty z żeberkami wróciły z jadalni w postaci kupek

ogryzionych kości.

– Nie mogłem wyjść! – bronił się teraz, jakbym robiła mu wyrzuty. Pamiętam, jak to samo mówił mojemu ojcu. Nawet ton głosu miał ten sam. – Czułem, że za moment karta się odwróci! Jeszcze jedno rozdanie i bym się odegrał!

– Rozumiem, Marco – westchnęłam nad misą z brzoskwiniami. Jako kuchmistrz kuzynki kardynała i jego ukochanych bękartów mój kuzyn zarabiał rocznie dwadzieścia pięć dukatów. A ile z tego przepuszczał na kości, karty i zakłady, kiedy papież umrze i kto go zastąpi? Widziałam, jak Marco stawiał tygodniową wypłatę na to, czy jeden karaluch przebiegnie po podłodze szybciej niż drugi.

– Więcej tego nie zrobię – stwierdził Marco zdecydowanie. Mojemu ojcu też to obiecywał, a i tak przynajmniej dwa razy w tygodniu znajdował jakąś wymówkę, by wymknąć się na kilka godzin po południu, jeszcze przed przygotowaniem do wieczornego posiłku. Podniecenie rozpałało mu przystojne policzki, a oczy zaczynały płonąć gorączkowo. – Nie zapomnę ci, że mnie kryłaś. Jesteś zbawieniem, kuzyneczko.

Wyciągnął rękę i z wdzięcznością uszczypnął mnie pieśczośliwie w policzek. W jego oczach rozbłysła czułość, która mnie zaskoczyła – normalnie sprawiał wrażenie, że go irytuję, jakby nadal nie mógł uwierzyć w to, jak wśliznęłam się do jego kuchni.

– Jestem wdzięczny, Carmelino – powiedział teraz,

a w jego głosie nie było słycać urazy. – Może czasem na ciebie pokrzykuję... No i wiesz doskonale, że nie pochwalam tego, co zrobiłaś. Wcale! Ale cieszę się, że cię tu mam.

– Dziękuję, Marco. – Ogarnęło mnie mimowolne wzruszenie. Był w końcu moim dalekim kuzynem, ostatnim członkiem rodziny, jakiego jeszcze miałam. Czułam się zdecydowanie lepiej, kiedy nie miał do mnie pretensji. – Chociaż, wiesz, nie powinieneś przeproszać za pokrzykiwanie – dodałam. – Wszyscy kucharze pokrzykują.

– Wielki Boże, twój ojciec, ten to potrafił huknąć! – Marco potrząsnął głową, zatopiony we wspomnieniach. – A jak człowiek ciągle za wolno jego zdaniem się ruszał, to tak potrafił zdzielić chochlą przez łeb...! A teraz ja funduję to samo Pierowi i innym uczniom.

– Zwolnij Piera – poradziłam, odrzucając brzoskwinie na bok, gdy poczułam pod palcem nadgniły fragment. – Ten chłopak jest bezczelny, a do tego zupełnie nie radzi sobie z ciastem.

– Nienawidzę wyrzucać ludzi na bruk. Ty go zwolnij. Kiedy wróci z mszy.

– Z przyjemnością. – Byłam pewna, że w ten sposób zyskam większe poważanie wśród uczniów. W kuchni trzeba sobie zapracować na szacunek. Jeśli zwolnię Piera, a *maestro di cucina* poprze moją decyzję, wszyscy spojrzą na mnie inaczej. Z obawą, miałam nadzieję. Uczniowie lepiej pracują, kiedy mają lekkiego

stracha.

Z płaszczem przewieszonym przez ramię Marco oparł się o framugę.

– Szkoda, że nie urodziłaś się chłopcem, kuzyneczko. Byłabyś lepszym kucharzem ode mnie.

– Jestem lepszym kucharzem od ciebie – odparłam.

– Pamiętasz, jak miałeś szesnaście lat i zepsułeś bulion wołowy, bo byłeś zajęty obstawianiem zakładów na Palio? Jak myślisz, kto uratował ten bulion? Kto wrzucił do niego rodzyнки i wlał ocet różany i greckie wino, żeby całość stała się jadalna, i do tego samodzielnie zdjął kocioł z ognia, kiedy ojciec się odwrócił? Jakbyś się zastanawiał, to byłam to właśnie ja, a miałam nie więcej niż dwanaście lat.

– To byłaś ty? – Marco zagwizdał z uznaniem. – Zatem sporo ci zawdzięczam. A przynajmniej skórę na swoich plecach. Nie idziesz na mszę?

– Kościół to nie miejsce dla mnie. – Nie z ciężącymi na mnie grzechami, a nie mogłam sobie wyobrazić, jak miałabym wyznać te grzechy jakiemukolwiek księdzu, nie oddając się w ręce kościelnego wymiaru sprawiedliwości. Wczesnym rankiem wyjęłam z małej sakiewki, którą na ogół nosiłam pod spódnicą, zasuszoną rączkę świętej Marty i do niej skierowałam swoje modlitwy. To musiało wystarczyć. Poza tym naprawdę nie mogłam się doczekać, kiedy wypróbuję pomysł na nowy wierzch ciasta. Gdyby udało mi się zwinąć ciasto w spiralę, nie

niszcząc jego struktury...

– Czy mogłabyś zatem dopilnować służących, kiedy wrócą z kościoła? Jest taka mała... kapliczka, którą chciałbym odwiedzić po mszy, w dzielnicy Borgo...

Kapliczka, akurat. Po mszy miał ochotę na grę w karty. Albo na walki kogutów.

– Owocnych modłów – powiedziałam, unosząc brwi tylko odrobinę, a Marco posłał mi łobuzerski uśmiezek, podekscytowany obrócił się na pięcie i wyszedł. Dzisiaj, dzisiaj wreszcie się odkuje. A jeśli nie dziś, to na pewno jutro.

Zawsze jutro.

Jedna po drugiej zaczęły wracać służące, które nie zawracały sobie głowy spowiedzią po mszy, więc szybko pogoniłam je do polerowania sreber i inwentaryzacji spiżarni. Przynajmniej kuchnia była tu naprawdę przyzwoita, delektowałam się każdą chwilą spędzaną w niej w samotności. Główna kuchnia, w której znajdowały się piece i wiecznie obracający się rożen, oddzielona była jak należy od pomywalni, w której kamienna posadzka lśniła od rybich łusek, a pomywacze szorowali napływające nieustannie brudne naczynia. Dalej chłodnia, w której można było w spokoju ubijać śmietaną i przechowywać dziczyznę z dala od gorących pieców. Podwórzec, na który w dzień i w nocy zajeżdżały wozy z opałem, upolowaną zwierzyną i rzucającymi się jeszcze, świeżo złowionymi

w rzece rybami.

W zwykłej kuchni musiałabym poświęcać wolny czas na gorączkowe nadganie z pracami, które w każdym zapracowanym gospodarstwie wydają się nawarstwiać: wybieraniem popiołu z pieców, czujnym sprawdzaniem, czy aby mięso nie zaczęło gnić, i niekończącym się zamiataniem podłogi. Tutaj panował jednak chłód i perfekcyjna organizacja: dziczyzna się nie psuła, ponieważ przewidziano spiżarnię na jej odpowiednie przechowywanie, nieprzerwany łańcuszek pomywaczy i pomocników opróżniał piece i zamiatął podłogi, a do kuchni wtaczały się nieustannie taczki z opałem i beczki wina, przez co nigdy nie musiałam się martwić, że ogień mi zagaśnie, domownikom zaschnie w gardłach, a kapłony nie zostaną odpowiednio doprawione.

Tak, do gotowania w takim domu naprawdę potrafiłam przywyknąć. W domu, w którym od czasu do czasu mogłam liczyć na odrobinę ciszy i spokoju, dzięki czemu byłam w stanie włożyć brzoskwiniową crostatę do pieca i poświęcić nieco czasu na aktualizację przepisów ojca, jeśli na to właśnie miałam ochotę. A tego popołudnia akurat miałam. Kiedyś uważałam, że przepisy mojego ojca są równie uświęcone i nienaruszalne jak kamienne tablice przekazane Mojżeszowi, teraz jednak zaczynałam wprowadzać własne poprawki. Odrobina szafranu, by przydać sosowi ciepła i koloru, szczypta soli dla przełamania smaku

słodkiej tarty... W końcu co mój ojciec wiedział na temat brzoskwiowej crostaty? Przerzuciłam zmięte kartki na stronę dwieście sześćdziesiątą pierwszą, rozdział *Ciasta*, delektując się w ciszy niezakłóconym biegiem myśli, a przecież powinnam wiedzieć, że żaden kucharz nie może liczyć na godzinę spokoju, by cokolwiek doprowadzić do końca. Nawet w tak luksusowym i znakomicie wyposażonym domu jak ten.

– Och, nie! – usłyszałam za sobą chłopięcy głos. – Sądziłem, że znam wszystkie służące pani Adriany, ale ty jesteś nowa.

– Wynocha – rzuciłam, nawet się nie odwracając. Nie zamierzałam pozwolić, by przerywał mi jakiś paż albo służący, co gustuje w pomocnicach kuchennych przedwcześnie dojrzałych nad parą z kociołków, dziewczętach w rozsznurowanych do połowy gorsetach zlizujących miód z koniuszków palców i aż przytupujących z niecierpliwości, żeby ktoś je rozłożył na kuchennym stole i nasmarował oliwą jak ledwie oskubaną kaczkę. Niech mnie święta Marta broni od rozpalonej męskiej wyobraźni. – Wynocha z mojej kuchni, i to już! – powtórzyłam i odwróciłam stronę pliku z przepisami.

– To nie jest twoja kuchnia, skarbie. To kuchnia maestra Mantiniego czy jak mu tam.

Odwróciłam się i spojrzałam na niego wilkiem, ale moja irytacja zbladła momentalnie na widok kasztanowych włosów, opartej o framugę szczupłej

sylwetki, rzadkich kosmyków rudawego zarostu, eleganckiego dubletu niedbale rozsznurowanego nad nogawicami i modnych butów z tłoczonej hiszpańskiej skóry. Przede mną stał nie paż ani służący, lecz Juan Borgia, drugi syn kardynała Borgii, szesnastolatek, który zdążył już otrzymać tytuł księcia Gandii i miał swoją własną posiadłość w mieście, ale nadal spędzał sporo czasu w Palazzo Montegiordano, odwiedzając młodszą siostrę Lukrecję i młodszego brata Jofrégo. Od czasu do czasu widywałam Juana z daleka, gdy przechadzał się ze swoimi przyjaciółmi, czochrał włosy siostrze lub pożerał wzrokiem panią Julię. I całkiem sporo udało mi się podsłuchać na jego temat od służących, które na jego widok, jak zauważyłam, porzuciły pospiesznie inwentaryzację i polerowanie sreber i zniknęły w spiżarniach.

– Panie. – Dygnęłam na tyle nisko, by nie zostać posądzona o brak szacunku, lecz w moim głosie pobrzmiwała stanowczość, gdy powiedziałam: – Przepraszam najpokorniej, ale jestem kuzynką maestra Marca Santiniego, który powierzył mojej pieczy swoją kuchnię. Zwraca ogromną uwagę na to, kto kręci się przy jego piecach i roznach.

– To nie są jego piece i rozna, tylko moje. – Księżę Gandii uśmiechnął się szeroko i pieśczośliwym gestem przesunął po rękoności wiszącego u jego boku rapiera. – Podobnie jak ty, moja śliczna.

Najwyraźniej nie zauważył, że nie zbywa mi na

urodzie. Można zapewne z powodzeniem założyć, że szesnastolatce każda kobieta wydaje się niezmiernie piękna, nawet coś tak długiego i pospolitego jak łodyga szparagu owinięta w poplamiony cynamonem fartuch.

– Pracuję dla pani Adriany, panie – sprostowałam, nie podnosząc wzroku – i z całym szacunkiem, ta kuchnia należy do niej.

– A jak myślisz, kto za to wszystko płaci? Adriana pozwala mi robić, co mi się żywnie podoba. Mojemu ojcu, mojej siostrze, moim braciom. Ta stara wiedźma świetnie wie, kto jej zapewnia te luksusy. – Wszedł do kuchni zawiadującym krokiem. Przynajmniej na tyle, na ile pozwalały mu na to jego modne spiczaste buty. – A zatem jesteś dziwką mistrza Santiniego?

Czułam, że policzki zaczynają mi płonąć, lecz nie podniosłam wzroku.

– Jestem jego kuzynką. Niedawno osieroconą...

– A zatem kuzynką i dziwką. – Księżę Gandii zbył mnie machnięciem ręki, taksując mnie od góry do dołu. – Jeszcze nigdy nie miałem kuchennej dziwki. Czym się różni od takiej zwykłej? – Pochylił się nade mną i wciągnął głęboko w nozdrza powietrze, przyciskając swój pokryty młodzieńczym jeszcze puchem policzek do mojego. – Na pewno lepiej pachniesz.

Szarpnęłam głową i zaczęłam się ostrożnie wycofywać, starając się znaleźć po drugiej stronie stołu.

– Panie...

– Sprawdźmy zatem! – Wyszczrzył się, obejmując

mnie w talii. – Polejemy cię miodem i poobracamy za wszystkie czasy na moim roźnie.

Jakbym tego nigdy wcześniej nie słyszała. Święta Marto – zapytałam bezgłośnie swoją świętą patronkę albo przynajmniej jej rękę – czy apostołowie Pana Naszego kręcili się przy twojej kuchni, pytając, czy chcesz, żeby cię poobracać na ich roznach?

– Wybacz mi, panie – powiedziałam pogodnie. – Pozwól tylko, że odłożę tutaj przepisy. Maestro Santini obedrze mnie ze skóry, jeśli zostawię je na wierzchu...

– Przepisy? – Chwytał jedną stronę do góry nogami i zerknął na nią z niechęcią. – Wygląda jak jakiś bełkot, te wszystkie kody i skróty. Co to, czary? Magia? Czyżby dziwka maestra Santiniego była jednocześnie kucharką i wiedźmą? Może rzucisz dla mnie urok? No to spraw, żeby ta śliczna blondyneczka Giulia Farnese robiła się wilgotna na myśl o mnie, a nie na myśl o Jego Eminencji moim ojcu. Za świeżutka jest dla takiego starego pryka...

– Nie ma w tym żadnej magii! – Zaśmiałam się wdzięcznie. – To zwykły przepis na bycze jądra. Czy wiesz, panie, jak się przyrządza bycze jądra?

– Jądra? – Rozluźnił nieco uścisk na mojej talii. – Yyy...

– Muszą być oczywiście świeże. – Chwytałam białą brzoskwinę ze stojącej na blacie misy, tak dojrzałą, że moje palce z łatwością zagłębiły się w miąższ. – Najlepiej by było, gdyby dopiero co zostały ciachnięte

i ociekały jeszcze krwią. Wtedy nabija się je na rożen. – Przebiłam brzoskwinę szpikulcem, wkładając w to nieco więcej siły, niż było konieczne. – Można je też podawać w plastrach. – Zsunęłam owoc ze szpikulca, chwyciłam największy nóż Marca, skrzyżowanie topora bitewnego z rzeźnickim, po czym przecięłam brzoskwinę na pół jednym morderczym cięciem. Juan Borgia wzdrygnął się, a mnie się wydało, że ze spiżarni, w których ukryły się służące, słyszę zduszony chichot. – Można je też usmażyć na patelni z młodymi cebulkami – kolejne cięcie, po którym brzoskwinia rozpadła się na ćwiartki – i prosciutto. – Ciach! Ósemki. Nadziałam kawałek brzoskwinowego mięszu na czubek potężnego noża i wyciągnęłam go w kierunku syna kardynała, a czerwonawy sok ściekł z ostrza niczym krew. – Jesteś głodny, mój panie?

Tym razem nie miałam już wątpliwości, że od strony spiżarni dobiegł mnie zdławiony śmiech, ale książę Gandii go nie usłyszał. Entuzjizm w jego spojrzeniu zdecydowanie przygasł. Szybki rzut oka na wiadome rejony jego spodni uspokoił mnie, że w tym momencie jego rożen niczego już raczej nie przebije.

– Wszystko jedno, i tak jesteś brzydka jak noc – warknął. – Kucharz może sobie ciebie zatrzymać.

Wyszedł sztywno, a ja dygnęłam nisko, uważając, by się nie uśmiechnąć, dopóki nie zniknął na dobre.

Drzwi do spiżarni otworzyły się ze szczękiem i do kuchni wsunęła się na paluszkach gromadka służących.

– Nie byłyście specjalnie pomocne!

– Przepraszamy, signorina – odezwały się unisono, dygając – ale wyglądało na to, że znakomicie panujesz nad sytuacją. – I jedna przez drugą zaczęły się histerycznie śmiać.

– „Poobracamy na moim roźnie”? – Jedna z nich niemal zakrzuszyła się ze śmiechu. – No, naprawdę!

Popatrzyłam po nich badawczo.

– Słyszałyście to już wcześniej, prawda?

– Kto nie słyszał!

Przyłączyłam się do wybuchów śmiechu i ze zręcznością zawodowca obróciłam nóż w powietrzu w uznaniu dla zrzedłej miny księcia i jego oklapniętej klapki przy nogawicach.

– Czy mogłabyś mnie nauczyć, signorina, posługiwania się nożem w taki sposób? – zapytała ospowata służąca. Nigdy wcześniej nie zaszczyliła mnie choćby jednym życzliwym spojrzeniem. Większości służących nie podobało się objęcie rządów w kuchni przez pomocnicę kucharza, do tego kobietę, która nagle zaczęła wydawać im rozkazy. Ale teraz stały, podpierając się pod boki i uśmiechając do mnie szeroko. – Mogłabym nauczyć się co nieco – ciągnęła służąca, skinieniem głowy pokazując nóż. – Zdaje się, że to bardzo przydatne mieć nóż pod ręką następnym razem, gdy pojawi się Il Duca, paradując tu z łopoczącą klapką!

– Gdyby to był jego starszy brat Cezar – westchnęła inna służąca – to nie potrzebowałabym żadnego noża!

– Albo maestro Santini – zachichotała pierwsza służąca, nachylając się poufale. – Jesteś jego kuzynką, Carmelino... Czy on ma kobietę? Powiedz, powiedz!

– Jedyna kobieta, którą Marco utrzymuje, to pani Fortuna – zbyłam ją. – I pożąda jej tylko wtedy, kiedy gra w kości.

A jednak nie mogłam opanować zadowolenia – po raz pierwszy służące rozluźniły się na tyle, by mówić mi po imieniu.

– A zatem maestro Santini jest głupkiem – skwitowała ospowata, wzruszając ramionami. – Niemniej jednak przystojnym.

Wszystkie wokół potaknęły gorliwie, a ja mogłam się tylko przyłączyć do ogólnego wzruszania ramionami. Mój kuzyn był mężczyzną zdecydowanie przystojnym, a przy tym jednym z niewielu, przy których musiałam zadzierać głowę do góry. Dla takiej dziewczyny jak ja, która już jako czternastolatka była długa jak kuchenny rożen, było to bardzo przyjemne.

– No to co z naszą inwentaryzacją? – zapytałam służące energicznie. – I srebro. Wiecie, co zawsze powtarzam: buzie na kłódkę...

– ...a rączki pracują – dokończyły chórem.

– No właśnie. A jak skończycie, to może wam pokażę kilka sztuczek z nożem, które być może pomogą wam odeprzeć w przyszłości zaloty Il Duca.

Wróciły do pracy, gderając dobrodusznie, a ja uśmiechnęłam się i wróciłam do swoich przepisów.

Może w końcu znalazłam dla siebie miejsce w kuchni Marca, swoje własne miejsce w kuchennej hierarchii.

Ociekająca sokiem brzoskwinia wciąż leżała na blacie, na którym ją poćwiartowałam. Wrzuciłam sobie kawałek do ust.

– Dodaj wiśni do brzoskwiniowej crostaty – zaczęłam głośno myśleć. – Wierzch ciasta cytrynowego muśnij cukrem z wodą różaną, a jeśli chodzi o tę spiralną dekorację na wierzchu... – Rozejrzałam się, by mieć pewność, że służące znalazły się już poza zasięgiem mojego głosu, po czym wyciągnęłam zawiniątko z rączką świętej Marty i rozluźniłam sznurki, którym było zaciągnięte. – Co sądzisz? – zapytałam. – Brzoskwinie czy wiśnie? A może brzoskwinie i jagody?

Rączka się nie poruszyła. Jak mogłoby być inaczej? W końcu należała do trupa. Nie poruszała się – niezależnie od tego, co twierdziły chciwe zakonnice. Wzruszyłam ramionami i upchnęłam zawiniątko z powrotem pod wierzchnią spódnicą.

– Wiśnie – zdecydowałam i wrzuciłam sobie do ust kolejny kawałek brzoskwinii. Wycierając nóż o fartuch, nie potrafiłam jednak przestać się zastanawiać, czy będę go jeszcze potrzebowała, aby poradzić sobie z Juanem Borgia.

Rozdział 5

Dobrodziejstwa świadczyć trzeba po trosze, aby lepiej smakowały.

NICCOLÒ MACHIAVELLI

Giulia

Klacz miała wplecione w srebrzystą grzywę wstążki w kolorze kardynalskiej czerwieni i zawieszoną na szyi tabliczkę. Czekwała na mnie na podwórzu przed stajniami, dokąd posłała mnie pani Adriana.

– Och...

W swoich wysokich patynkach przeszłam ostrożnie po zarzuconych słomą kocich łbach, a szeroko uśmiechnięci chłopcy stajenni i strażnicy rozstąpili się przede mną. Jabłkowita klacz biła kopytem w ziemię, a ja pochyliłam się naprzód, by odczytać treść zawieszanej na jej smukłej szyi tabliczki: „Aby wynieść moją Korę z podziemnego świata, jeśli tak właśnie postanowi”. Słowa skreślono śmiałym, zamaszystym pismem, które zaczynałam już doskonale rozpoznawać. „Albo ponieść na przyjemną przejażdżkę u boku jej pana podziemi, gdyby jednak postanowiła zostać”. Brakowało podpisu. Jedynie pokaźne „R” z zamaszystym zawijaszem. Dotknęłam go.

– Rodrigo – powiedziałam głośno na próbę.

Trudno myśleć o kardynale inaczej niż jako o Jego Eminencji. Nie do wiary, że zaledwie kilka miesięcy temu nie poświęcałam Rodrigowi Borgii ani jednej

myśli, uznając go za kolejnego nietoperza w czerwieni w stadzie odzianych na czerwono duchownych obecnych na moim weselu. A teraz, no cóż, sama nie wiedziałam, co o nim myślałam... Bez wątpienia przeznaczałam niezdrową ilość czasu na wspomnianie tego, w jaki sposób pieścił kciukiem koniuszki moich palców. Ściśle rzecz biorąc, nie był to grzech. Mężczyźnie wolno dotykać dłoni zamężnej kobiety podczas powitania, pozostając w zgodzie z najbardziej rygorystycznymi zasadami przyzwoitości. A jednak był to jeden z tych niegrzechów, których postanowiłam nie wyznawać swojemu spowiednikowi. Prędzej czy później na pewno by się okazało, że to jednak grzech i to ja go popełniłam, w wyniku czego przez kolejne dwa tygodnie nie wstawałabym z kolan, odpokutowując za coś, czemu w ogóle nie byłam winna. Jednocześnie niewspominanie spowiednikowi o tych dotknięciach czubków moich palców przydawało im większego znaczenia, niż należało...

Klacz delikatnie uchwyciła pyskiem mój rękaw, a wstążki wplecione w jej grzywę zafurkotały na wietrze.

– Powinnam cię oddać – wyznałam jej, drapiąc ją po aksamitnym nosie – ale jesteś rozkoszna, chyba sama przyznasz?

Była piękna. Niewysoka i filigranowa, idealnie nadawała się dla tak drobnego jeźdźca jak ja. Jej jabłkowitą sierść wyszczotkowano do połysku, a na

grzbiet nałożono damskie siodło przeznaczone do polowań, zrobione z ciemnej, wypolerowanej skóry i aksamitu w kolorze czerwonego wina. Nie miałam żadnych wątpliwości, że strzemiona zostały już idealnie dopasowane do mojego wzrostu.

– Znajdźmy dla niej miejsce w stajni – rozkazałam stajennym, którzy w niemym podziwieniu otoczyli klacz półkolem. Rzucili się do stajni z widłami i naręczami siana, a ja ujęłam wodze z czerwonej skóry i poprowadziłam klacz za nimi. – Kora. Czy tak właśnie powinnam cię nazwać? Podejrzewam, że nie zajadasz się jabłkami granatu, prawda? Nie są dobre dla koni. – Jabłko granatu nadal trzymałam w komnacie, nie mogąc się zdecydować, co z nim zrobić. Nie widziałam kardynała Borgii od dnia, w którym wcisnął mi je w dłoń. Pani Adriana powiedziała, że jest zajęty w Watykanie, ponieważ wszystko wskazuje na to, iż papież postanowił w końcu umrzeć.

– Sądzę, że nie zobaczysz mojego kuzyna przez co najmniej kilka tygodni – oznajmiła mi dziś rano. Lukrecja pobiegła już na swoje lekcje, gdyż tego ranka spotykała się z nauczycielami języków, którzy doskonalili jej francuski, oraz nauczycielem muzyki, który uczył ją grać na lutni, lecz mały Jofré nadal guzdrał się i ziewał nad swoją poranną filiżanką słodzonej wody z cytryną, a pani Adriana czule mierzwiła mu włosy. – Dzieci będą tęskniły za ojcem, prawda, kochanie? Być może ty również za nim

zatęsknisz, moja droga Giulio.

Utkwiłam w niej spojrzenie na dłuższą chwilę. Może i była nieco korpulentna, ale jak na czterdzieści sześć lat nieźle się trzymała: w dekolcie sukni nadal rysowały się jędrne i powabne piersi, a z gładkiej twarzy nie schodził uśmiech. Pasowały jej kasztanowe i fioletowe aksamity, w które się tak często ubierała, wytworne czepce i ciężkie złote pierścienie.

– Jak możesz to robić? – zapytałam ją w końcu. – Jak możesz być rajfurką żony własnego syna? Jak możesz?

Zawahała się, jej uśmiech przygasł, a w oczach zamigotało coś znacznie serdeczniejszego niż zwykle. Coś więcej niż jej normalny, rutynowy czar, który przywykłam już oglądać.

– Ten świat jest brutalny dla kobiet, Giulio – powiedziała, podobnie jak ja nie dbając już o pozory. – Natura nie obdarowała mnie urodą równie hojnie jak ciebie, a mimo to jakoś musiałam sobie radzić. Świat nie oszczędza nawet młodych kobiet, ale poczekaj tylko, aż zobaczysz, jak bezlitosny potrafi być dla sierot i wdów. Mój mąż do niczego się nie nadawał, a Orsino... No cóż, jest dla mnie wielką pociechą, światłem mych oczu, lecz nie jest pochodnią, od której spłonie świat. – Jej wzrok spoczął na małym Jofrém. – Jeśli mój syn ma wyjść na ludzi, będzie potrzebował pomocy.

– I w ten właśnie sposób mu pomagasz?

– Został właśnie ustanowiony zarządcą miasta

Carbognano – odparła pani Adriana. – Ładne miasteczko, do tego zamożne. Być może później rozpocznie karierę wojskową. To może zapewnić mu przyszłość. Wszystko to zawdzięcza mojemu kuzynowi Rodrigowi. Gdyby nie on, po śmierci męża straciłabym wszystko. Szwagrowie rozdrapaliby ojcowiznę Orsina i zostawili nas z niczym. W zamian więc za życzliwość i opiekę dbam o interesy Rodriga. – Moja teściowa uśmiechnęła się, wypuściła Jofrégo z objęć, wyciągnęła rękę i z sympatią uszczypnęła mnie w policzek. – Może byś zeszła do stajni, kochanie? Rodrigo coś ci przysłał. A może jednak troszeczkę za nim tęsknisz?

Tak. Jej serdeczność tak mnie zaskoczyła, że prawie się zdradziłam. Tak, nieomal tęskniłam za kardynałem. Wytrącał mnie z równowagi i jego zuchwały czar działał mi na nerwy, ale po jego wyjściu komnaty pałacu wydawały się puste i nieciekawe.

Pani Adriana uśmiechnęła się w odpowiedzi na moje milczenie.

– Zejdź do stajni, kochanie. – Jej serdeczność niepokoiła mnie bardziej niż jej wcześniejsze zadowolenie z siebie. Jak miałam być w stosunku do niej niegrzeczna, skoro ona była dla mnie taka miła?

Z tych niepokojących rozważań wyrwał mnie głos młodego człowieka stojącego na podwórzu przed stajniami. Głos, w którym zabrzmiał niekłamany podziw.

– Proszę, proszę! Cóż za piękność!

No nie, to znów Juan. Drugi syn kardynała był ostatnio prawdziwym przekleństwem. Ciągłe włóczył się za mną, pożerał mnie wzrokiem i unosił brwi w sposób, który najwyraźniej uważał za uwodzicielski. Kiedy jednak zerknęłam zza nosa mojej klaczy, zrozumiałam, że młody mężczyzna zaglądający do stajni podziwiał nie mnie, lecz mojego konia. I wcale nie był to Juan.

– A więc podoba ci się mój koń? – Wyszłam zza ślicznej klaczy i stanęłam przed nim. – Powiedziałabym, że bardziej niż ja.

Mój mąż porzucił kontemplację szczupłych pęcín mojej klaczy, wyprostował się i rozdziawił usta. Miał na sobie skórzane spodnie do konnej jazdy i wysokie buty pokryte kurzem wyschłych w upale dróg. Jasne włosy miał rozczochrane, z zawiniętych rękawów wystawały patykowate jeszcze ręce. W jednej trzymał czapkę, w drugiej wodze swojego wałacha, który był równie przykurzony i zmęczony podróżą jak jeździec.

– Przyjechałeś z Carbognano? – Z przyjemnością skonstatowałam, że moje słowa rozbrzmiały czysto i spokojnie.

– Tak, no cóż... Tak.

– Słyszałam, że Carbognano jest bardzo ładne. – Pogłaskałam siwą klacz po aksamitnym nosie. – Chociaż jeszcze go nie widziałam.

Orsino Orsini oblał się rumieńcem.

– Tak, jest bardzo ładne.

– W tej najgorętszej porze roku podróż musi się

dłużyć. – Z początkiem lipca słońce zaczynało smagać Rzym niczym bicz, rzucając długie, drżące od upału promienie, które niemal namacalnie wwierały się w ulice, doprowadzając rynsztoki do wrzenia. Wszyscy przy zdrowych zmysłach zaszywali się z kielichem chłodzonego wina lub wody cytrynowej w domostwach osłoniętych ocienionymi loggiami. – Co cię tutaj sprowadza? – zapytałam. – Mężu?

Utkwił wzrok w źdźbłach słomy, mnąc w palcach wodze swojego konia.

– Matka po mnie posłała. Uważa, że w obliczu rychłej zapewne śmierci papieża powinienem tu być... Będą się działy ważne rzeczy, mogę na tym skorzystać...

Zapłonęłam wściekłością. Matka go wezwała, tak? Wystarczył list od mamy, żeby ruszył w podskokach aż z Carbognano? Pogłaskałam lśniąca łopatkę klaczy, obrzucając ją nieobecny spojrzeniem i zdając sobie sprawę, że w tym momencie już wszyscy chłopcy stajenni pilnie nadstawiają uszu. Jakżeby mogło być inaczej? Wygnany mąż staje oto twarzą w twarz ze swoją schodzącą na manowce żoną. Była to rozrywka na poziomie szczucia psów na niedźwiedzia czy walk byków. Któż nie nadstawiałby uszu?

Przekrzywiłam głowę i utkwiłam wzrok w chłopcu przerzucającym wciąż tę samą stertę siana w pobliżu stryszku, dwóch stajennych, którzy uznali, że należy natychmiast wyczyścić boks tuż obok Orsina, i czterech

innych, którzy przekładali z miejsca na miejsce zbędne elementy uprząży i worki ziarna.

– Wyjdźcie – rzekłam.

Wyszli gęsiego, nie kryjąc rozczarowania.

– Oni wszyscy sądzą, że jestem kochanką kardynała Borgii. – Uchwyciłam spojrzenie mojego męża. – Oczywiście w tym momencie już cały Rzym zaczyna być o tym przekonany. Wiesz, że ludzie mi się przypatrują podczas mszy? Kryją uśmieszki za książeczkami do nabożeństwa i sądzą, że tego nie widzę. Dzięki Bogu, że przez ostatni miesiąc mój brat Sandro był znów w Perugii, inaczej stanąłby w drzwiach z rapierem w dłoni. Jak przystało na brata.

Orsino, unikając mojego spojrzenia, wprowadził swojego zmęczonego wałacha do jednego z pustych boksów.

– Oczywiście mogłabym oczekiwać, że to mój mąż stanie w drzwiach z rapierem w dłoni – ciągnęłam – gdy trzeba będzie bronić mojego honoru.

Mój mąż zaczął rozpinać popręg swojego konia.

– Mam się z tobą nie widywać – wymamrotał, nie odrywając wzroku od sprzączek. – Matka powiedziała, że mam tutaj nie zostawać... Miałem tylko wprowadzić konia do stajni, a potem zatrzymać się u jednego z naszych kuzynów, więc nie...

– Żebyś nawet na mnie nie spojrział? – Wprowadziłam swoją klacz do boksów obok Orsina. – Jestem twoją żoną.

– Tak naprawdę wcale nie. Nie tak to w każdym razie zostało zaaranżowane, to było bardzo... – Zerknął na mnie ponad grzbietem swojego wałacha. Miał naprawdę śliczne oczy... Byłam taka zadowolona na naszym ślubie, kiedy zobaczyłam, jakie ma czyste, błękitne spojrzenie; leciutki zez nadawał mu wyraz wrodzonej nieśmiałości. – Kiedy cię ujrzałem, wszystko się zmieniło. Teraz już nie...

– ...sprzedałbyś mnie? – Nie starałam się ukryć goryczy.

Ściągnął siodło z grzbietu swojego konia.

– Nie.

– A zatem odwołaj to wszystko! – Nie potrafiłam sobie poradzić z popręgiem, napierśnikiem i podogoniem. Nigdy w życiu nie rozsiodływałam konia, więc przywiązałam tylko wodze do barierki, żeby się nie plątały. – Nadal jestem twoją żoną, możemy...

– Nie rozumiesz! – wybuchnął. – Zawarłem z kardynałem Borgią umowę, a on nie jest kimś, kogo można oszukiwać. To potężny człowiek. Mógłby mnie zgnieść jak... Służy Bogu, ale nie jest dobry. Zawsze dostaje to, czego chce. I nie obchodzi go, w jaki sposób to dostanie. Nie jest miły.

– Dla mnie był miły. – Wyszłam z boksu, zasuważąc za sobą zasuwkę. – Milszy, niż byłeś dla mnie ty, mój mężu.

– To oczywiste, że tak sądzisz. – Orsino z rezygnacją wzruszył chuderlawymi ramionami,

ściągnął wałachowi z uszu ogłowie. – Słyszałem, że jest bardzo hojny dla swoich konkubin.

– Nie jestem jego konkubiną.

– Juan Borgia mówi... Spotkałem go w drodze do pałacu, nie przestawał paplać...

– Tej zbereżnej gnidzie nie zaufałabym nawet wówczas, gdyby stwierdziła, że słońce wszędzie następnego ranka – prychnęłam. – Nie jestem ani kochanką, ani konkubiną jego ojca! Ani w ogóle niczym innym!

– To kardynał dał ci tę klacz, prawda? – Orsino z rozgoryczeniem wskazał głową mojego nowego konia, który spokojnie żuł siano w swojej nowej stajni. – Juan powiedział mi, że dostałaś też perły i klejnoty.

– Nie dałam mu nic w zamian. – Spojrzałam mojemu mężowi w oczy tak uczciwie, jak tylko potrafiłam. – Przysięgnę na jakiego tylko chcesz świętego, Orsino. Przysięgam na Maryję zawsze Dziewicę... dziewicę, którą nadal jestem.

Odwrócił wzrok, powłócząc nieco nogami, kiedy niespiesznie wychodził z boksu swojego wałacha.

– Chcesz dowodu? – Zapłonęłam świętym oburzeniem. Nigdy wcześniej nie dotykałam swojego męża, jeśli nie liczyć przelotnego dotyku dłoni w poważnym rytmie basse danse na naszym weselu, ale teraz chwyciłam go za rękaw i wyciągnęłam z rzędu boksów, wciągając do ciemniejszej wnęki widocznej jedynie dla ciekawskiej starej klaczy stojącej na końcu

rzędu. Nadal czułam mrowienie palców w miejscach, w których głaskał je kardynał Borgia, więc wytarłam dłonie w suknię, by się go pozbyć. Byłam żoną Orsina i nie moją sprawą było rozmyślanie o takich rzeczach. Zdecydowanie stanęłam przed swoim mężem, wzięłam głęboki wdech, chwyciłam go za rękę i zaczęłam ją o sznurówki swojego stanika. – Jestem dziewczyną. Tak samo jak byłam nią podczas naszego wesela – oznajmiłam. – I jeśli chcesz, udowodnię ci to.

Poderwał głowę i jego błękitne spojrzenie spotkało się z moim.

– Udowodnisz...

– Jesteś moim mężem – powiedziałam. – Nawet jeśli dotychczas mnie nie posiadłeś, masz prawo. Jestem twoja. A przynajmniej powinnam być.

Z wahaniem dotknął wstążek mojego stanika.

– Jesteś taka piękna – wyszeptał. – Nie wierzyłem własnym oczom, gdy patrzyłem na ciebie przy stole biesiadnym...

Wypranie mojego głosu z irytacji kosztowało mnie wiele wysiłku.

– Więc zrób coś! Bądź moim mężem, i to nie tylko z nazwy!

– Pragniesz mnie? – Jego spojrzenie przybrało błagalny wyraz. – Naprawdę?

Nie. Wcale nie. Ale jakie znaczenie ma żądza czy nawet miłość? Dziewczyny takie jak ja poślubiają mężczyzn wybranych dla nich przez innych. Kładziemy

się z nimi do łóżka, rodzimy im dzieci, prowadzimy im domy i robimy to wszystko z uśmiechem na ustach. Tak mnie uczono całe życie, po to się urodziłam i do tego zostałam wychowana. Jakie to ma znaczenie, że przysięga małżeńska od samego początku była jednym wielkim kłamstwem? Złożyłam ją w dobrej wierze. Przysięgałam nie tylko Orsinowi – przysięgałam Bogu. Czy nie było to ważniejsze niż to, czego sama chciałam?

Patrzyłam na pociągłą, przystojną twarz Orsina, na jego niebieskie oczy i przykurzone jasne włosy i nie czułam ani odrobiny pożądania. Było mi przykro – z jego powodu. Zzerała mnie litość i poczucie winy, że kiedykolwiek kusiło mnie, by zapomnieć o ślubach złożonych przed ołtarzem tylko dlatego, iż mężczyzna o głosie przypominającym przetaczający się grzmot powiedział mi, że chce mnie zobaczyć nagą na trawie.

Jeśli oddasz się Orsinowi, kardynał Borgia już cię nie zechce – to właśnie podszeptował mi cichy wewnętrzny głos. W ten sposób mogłabym wybrnąć z tego naznaczonego poczuciem winy bagna.

– Jesteś moim mężem – powtórzyłam zdecydowanie, zmuszając się do zarzucenia Orsinowi ramion na szyję. – Dotrzymam złożonej przysięgi.

Najświętsza Panienko, to na pewno nie miało wyjść tak niezgrabnie! Wysunęłam stopy z patynek, ale różnica wzrostu okazała się zbyt niewygodna, więc wsunęłam je z powrotem i stałam w nich chwiejnie, gdy Orsino zatopił nos w mojej szyi, mamrocząc coś niewyraźnie

i zmagając się z rozsznurowywaniem mojego stanika. Chwyciłam go mocniej za szyję, próbując go pociągnąć na siano, ale wydyszał coś o stajennych, którzy na pewno nas nakryją. Staliśmy, przyciśnięci do ściany stajni, walcząc z dzielącymi nas warstwami ubrania. Nie mógł rozplątać wstążek mojego stanika, a ja miałam niewiele więcej szczęścia z wiązaniami jego nogawic. Wydawało się, że minęły całe wieki, zanim w końcu udało nam się połączyć. Był tak niezdecydowany, że nawet mnie nie uraził, a kiedy wzdrygnęłam się na krótkie ukłucie bólu, nieomal zmartwił z przerażenia.

– Przepraszam, nie chciałem...

– Nie, nie!

Musiałam mu znów zarzucić ręce na szyję i uśmiechnąć się uspokajająco, gdy zaczął się poruszać tak krótkimi, nerwowymi pchnięciami, że prawie go nie czułam wśród plątaniny mojej sukni, jego opuszczonych nogawic i naszych kończyn. Przykrył mi usta wargami, lecz nie po to, by złożyć na nich pocałunek, lecz by zdławić własne jęki. Nie mogłam się powstrzymać, by nie otworzyć oczu i nie spojrzeć ponad jego głowę na starą klacz, która gapiła się na mnie smętnie ponad drzwiami swojego boksu.

Czy u niej to wyglądało tak samo? Na pewno nie. Widziałam, jak pokrywa się klacze. I sądząc z tego, czego dowiedziałam się właśnie o pokrywaniu kobiet, konie miały to znacznie lepiej pomyślane.

Wydawało się, że te niezręczne katusze trwają całą

wieczność, ale tak naprawdę było po wszystkim, zanim zdążyłam odmówić *Akt żalu*.

– Giulio – wydyszał mi Orsino w szyję. – Giulio...

– Ciii... – Uśmiechnęłam się, głaszcząc go po policzku.

Przynajmniej było to na tyle mało bolesne, że nie warto było nawet o tym wspominać. Od mamek i służących zdarzało się słyszeć historie wręcz przerażające! A im starsza i bardziej zdewociała była autorka opowieści, tym bardziej upiorna była sama opowieść.

– Nie powinienem był w ciebie wątpić. – Orsino spuścił wzrok, odrywając się ode mnie i wygładzając nasze ubrania. Nie krwawiłam zbyt mocno, ale kropla czy dwie na jego nogawicach były wystarczająco wymowne. – Powinienem był wiedzieć, że nie kłamiesz.

– Teraz już wiesz.

Przynajmniej zwrócił się do mnie po imieniu... To chyba jakiś początek? Następnym razem będzie lepiej, w odpowiednim łóżku podobnym do tego, w jakim miała się odbyć nasza noc poślubna. Przygłodziłam suknię i pochyliłam się, by wydobyć ze sterty siana jego czapkę, podczas gdy on doprowadzał do porządku swoje nogawice.

– Nie powinienem opuszczać Carbognano. – Międlął czapkę w dłoniach. – Ale mógłbym w sekrecie zjeżdżać czasami do Rzymu, gdybyśmy to dobrze zaplanowali. Albo ty mogłabyś przyjeżdżać do mnie.

Powiedziałybyś mojej matce i kardynałowi, że jedziesz w odwiedziny do siostry...

Zamilkł, gdy napotkał moje spojrzenie.

– Sądziłam, że pojedę z tobą do Carbognano – powiedziałam w końcu. Ślicznego Carbognano, jak mówiła o nim pani Adriana. Ślicznego i zamożnego. Wyobraziłam sobie miejsce na ogrody i przyjęcia na świeżym powietrzu, na polowania i przejażdżki konne... I na naukę miłości do męża, który został mi dany, bez konieczności rozmyślania o niskich katalońskich głosach, które nie miały prawa wibrować w moim brzuchu tak, jak się to działo dotychczas. Miejsce, gdzie mogłabym wychowywać tę złotowłosą dziewczynkę, której zapragnęłam z całej duszy. – Myślę, że kardynał Borgia pozwoli mi odejść – ciągnęłam, kiedy Orsino nie odpowiedział. – On wcale nie zamierza brać mnie siłą. A teraz, kiedy ty i ja... – Mężczyźni tak wysoko cenią dziewictwo... Na pewno teraz kardynał Borgia nie będzie chciał już mieć ze mną nic wspólnego. Ta myśl mnie zabolęła, ale szybko odpędziłam ją od siebie. Orsino patrzył na mnie z poczuciem winy i strach ścisnął mnie za gardło. – Dlaczego nie zabierzesz mnie do Carbognano, Orsino?

– Nie ośmielę się zaryzykować. – Głos mojego męża zabrzmiał po prostu żałośnie. – Kardynał nadał mi Carbognano. Jeśli cię zabiorę, będzie chciał dostać je z powrotem, a moja matka...

– Więc co mam zrobić? – Zawiązałam wstążki

stanika i tak długo wyrównywałam ich końce, aż były idealnie równe. – Czego ode mnie oczekujesz, mój mężu? Mam żyć z kardynałem Borgia, jakby był moim mężem, i spotykać się z moim prawdziwym mężem za plecami kochanka?

– Moglibyśmy to jakoś zaaranżować – przytaknął mój mąż skwapliwie. – Jeśli będziemy ostrożni...

– Wiesz, to naprawdę dziwaczne. – Upchnęłam zabłąkany kosmyk włosów z powrotem pod siatką. – Na przestrzeni ostatnich tygodni kardynał Borgia nieustannie namawiał mnie do tego, żebym została jego kurwą. Ale tylko tu i teraz naprawdę poczułam się jak kurwa.

– Giulio...

– Nie dotykaj mnie. – Odsunęłam jego dłoń ze wstrętem, jakby była żmija, i wyszłam ze stajni sztywno wyprostowana, starając się zachować resztki godności.

Ciężko jednak o zachowanie jakiegokolwiek godności, kiedy krew cieknie ciurkiem po udach. Wraz z nią uciekały resztki mojej dumy i moich nadziei.

– Pani Giulio! – Mała Lukrecja podbiegła, by mnie powitać natychmiast po moim powrocie ze stajni do pałacu. – Widziałaś tę klacz? Mój ojciec wybrał ją specjalnie dla ciebie, chociaż był bardzo zajęty w tym tygodniu sprawami kolegium kardynalskiego. Czy mogę ją zobaczyć, skoro już uporałam się z zadaniami z francuskiego? Proszę, obiecaj, że któregoś dnia będę mogła na niej pojeździć...

– Możesz na niej jeździć, kiedy tylko zechcesz.

Pocałowałam Lukrecję w czubek blond główki i minąwszy ją, weszłam na schody, zanim zdążyła dostrzec łzy wzbierające w moich oczach.

Carmelina

Zbieranie ziół to zasadniczo zajęcie dla służących albo uczniów, którym należy się kara. Trzeba wstać o świcie, by zebrać w ogrodzie pełen koszyk, następnie umyć zebrane zioła, posiekać je i wysuszyć. Nikt się do tego nie pali, więc kupiłam sobie odrobinę wdzięczności u wciąż nadąsanych uczniów, zgłaszając się do tego zadania na ochotnika. Lubiłam zbierać zioła. Ostrożne poruszanie się między doniczkami i rabatkami, gdy mokry od rosy rąbek sukni oblepia kostki, wciąganie w nozdrza ostrego, wyrazistego zapachu świeżego rozmarynu, mięty i tymianku, rozkoszowanie się wilgotnym, chłodnym porankiem jeszcze przed nadejściem letniego upału... O tej godzinie, tuż po wschodzie słońca, mogłam dostrzec dzień, który rozpościerał się przede mną gładki i idealny niczym świeżo zebrana śmietanka. Nikt nie rozlał jeszcze rosołu, nie upuścił garnka, nie poparzył sobie palców zbyt gorącą patelnią, żadnych beczelnych pomywaczy nie trzeba było jeszcze rozstawiać po kątach. Chłodna, przesiąknięta aromatem ziół, idealna samotność.

Tylko że tego ranka wśród krzaczków rozmarynu napotkałam towarzystwo.

– Pani Giulia? – zapytałam zdumiona. Moja pani się odwróciła. Na nocną koszulę narzuciła tylko haftowaną pelerynkę, a wschodzące słońce odbijało się różowymi refleksami od jej włosów. – Przepraszam, nie dostrzegłam cię za tymi żywopłotami.

Rzadko spotykałam ją przed południem, a w ostatnim tygodniu nie widywałam jej prawie wcale. Do pałacu przyjechał mąż pani Giulii i teraz nie mówiono o niczym innym. Miał się w ogóle nie zobaczyć ze swoją młodą żoną, ale stajenni opowiadali mnóstwo niestworzonych historii o tym, co młoda para wykrzykiwała do siebie na stajennym podwórzu. Nie dawałam wiary plotkom, faktem jednak było, że od tamtej pory pani Giulia rzadko wychodziła ze swojej komnaty. Kiedy wreszcie się pojawiała, miała smutny wyraz twarzy nawet wówczas, gdy zaczynała pałaszować talerz moich pieczonych w miodzie gruszek albo brzdąkała bez ładu i składu na lutni, by Lukrecja mogła się ćwiczyć w tańcu, mając za partnera zachowującego niezwykle powagę małego Jofrégo.

Chociaż miała wystarczająco dużo energii, by powiedzieć Juanowi Borgii, który przyszedł ją nagabywać do jej komnaty, „wynoś się stąd, ty podły gówniarzu”. Wszystkie służące się z tego podśmiewały, zwłaszcza jak zobaczyły Juana wychodzącego ciężkim krokiem, całego czerwonego, mamroczącego pod nosem przekleństwa.

Teraz jednak na twarzy mojej pani nie gościł nawet

cień uśmiechu. Opuszkami palców muskała kołyszące się pędy świeżego szczypiorku.

– Czy mogłabym jakoś pomóc, pani Giulio? – zaryzykowałam. – Mogę zrobić ci napój z gorącego mleka z dodatkiem wina i korzennych przypraw, jeśli potrzebujesz czegoś, co pomoże ci zasnąć...

– To mi nie pomoże. Nie spałam od tygodnia. – Nawet sino podkrążone oczy nie odbierały jej urody tak bardzo jak innym kobietom. – Szukałam goździków... goździków i fuksji. Kiedy jeszcze mieszkałam w Capodimonte, mama przygotowywała mi perfumy z kwiatów. Teraz mam wszystkie te kosztowne pachnidła owinięte wstążkami, które stoją tuż obok moich maści i kremów, ale znów chciałabym pachnieć goździkami i fuksją.

Wyglądała na smutną i zupełnie to do niej nie pasowało. Jej drobna twarzyczka i wiśniowe usta stworzone były do uśmiechów, a ciemne oczy do rzucania czarujących błysków. I kiedy tak stała między szczypiorkiem a dziką miętą, ze spuszczonej oczami i nieokrytą złotą główką przekrzywioną na jedną stronę, wydawała się taka drobna, idealna jak kapłon gotowy do przyrządzenia sauté z białym winem, czosnkiem i kolendrą (w każdym razie ja tak lubiałam przygotowywać kapłona sauté, chociaż mój ojciec miał pewne interesujące pomysły wymagające zastosowania cynamonu i syropu z moszczu, strona sto osiemdziesiąta siódma, rozdział *Dziczyszna*). Uroda pani Giulii budziła

w większości kobiet tłumioną agresję, lecz we mnie jedynie podziw. Zawsze byłam równie zwyczajna jak kuchenna chochla i zazdrośczenie tym, którzy wygrali szczęśliwszy los, nie miało żadnego sensu. Poza tym nie byłam wcale pewna, czy zamieniłabym swoje wyrafinowane powonienie i zawodową zręczność na złote sploty, choćby nie wiem jak długie. Smykałka do sosów i ciast miała dłuższy żywot niż młodzieńcza cera lub idealnie krągła i biała pierś – i nie towarzyszyła jej uwaga wpływowego duchownego w średnim wieku, którego moralność pozostawiała wiele do życzenia.

– Znajdziesz goździki w małym ogródku przy południowej loggii, pani – powiedziałam, litując się nad nią. – To ogródek kuchenny, więc tu rosną głównie zioła. Ale proszę, oto fuksja... – I ucięłam dla niej gałązkę małym kuchennym nożem, który zabierałam ze sobą co rano razem z koszykiem.

Rozpromieniła się, jakbym sprezentowała jej perły, i wciągnęła głęboko w nozdrza zapach kwiatów.

– Pachnie jak Capodimonte – powiedziała, po czym zerwała kwiat i wyssała z niego nektar. – Chcesz jeden? – Podała mi kwiat z takim wdziękiem i kurtuazją, jakby proponowała mi kielich znakomitego wina.

Zmarszczyłam nos.

– Nie po tym, jak każdego dnia przygotowuję słodkości, pani Giulio.

– To ty przygotowujesz je wszystkie? Te rajskie przysmaki z truskawek i marcepanowe tarty, i maleńkie

owoce w cukrze? – Ciemniejsze od włosów brwi uniosła w wyrazie radosnego zdumienia i się uśmiechnęła. – Masz prawdziwy dar! Nigdy nie jadłam nic smakowitszego.

– Chodzi ci o marcepan, owoce w cukrze czy truskawkową tartę? – Nie potrafiłam powstrzymać pytania. – Czy o fuksję?

– O wszystko razem. Jak się nazywasz?

– Carmelina Mangano, pani. Jestem kuzynką mistrza Marca Santiniego, szefa kuchni. W maju przyjechałam z Wenecji. – Zastanawiałam się, czy z szacunku dla niej powinnam stać w bezruchu, czy też może nie przeszkadzałoby jej, gdybym kontynuowała swoją pracę. Pani Adriana lubiła, gdy służący, do których się zwracała, przerywali pracę, ale pani Giulia wydawała się prezentować znacznie swobodniejsze podejście. A może była po prostu bardziej samotna? W końcu w pałacu poza służącymi nie było nikogo w jej wieku. Może rozmowa nawet ze mną była lepsza niż nieustanne wyliczenia pani Adriany i paplanie małej Lukrecji?

– Pozwalam sobie na stanowczo zbyt dużo twoich tart, wiesz? – wyznała nagle. – Ale jestem smutna. A zawsze kiedy jestem smutna, jem. – Rozejrzała się wokół siebie w poszukiwaniu miejsca do siedzenia, ale nie był to ogród przeznaczony do spacerów i rozmyślań, w którym nie brakowałyby ławek i fontann, lecz zaledwie ściśle użytkowy kwadrat dobrze

utrzymanych krzewów, krzaczków i donic z roślinami osłonięty przed wiatrem wysokimi, kamiennymi ścianami, więc moja pani tylko lekko wzruszyła ramionami i usiadła na trawie między szafwią a trybulą ogrodową.

– Pani Giulio, twoja szata... – zaczęłam, patrząc na wszystkie te delikatne, wyszywane rąbki, ale tylko beztrąsko machnęła ręką.

– Do licha z szatą. Matka co tydzień posyłała mnie do kuchennego ogrodu, gdzie na kolanach zrywałam złocenie maruna do przyrządzania leków przeciwbólowych i walerianę na napary nasenne. Oczywiście bardziej interesowało mnie przyrządzanie kremów i perfum. – Znów powąchała gałązkę fuksji leżącą na jej kolanach. – Ale ziemia nigdy mi specjalnie nie przeszkadzała. Co cię tu sprowadziło aż z Wenecji, Carmelino?

Przełożyłam sobie koszyk na drugie ramię i roztarłam w palcach gałązkę rozmarynu, by wydobyć z niej zapach. Idealny do pieczonej łopatki wieprzowej, którą za kilka godzin nadziejemy na rożen, by przygotować obiad... Zaczęłam obcinać gałązki, przedstawiając jej jednocześnie zwięzłą, przemyślaną i w dużej mierze zmyśloną opowieść o tym, jak i dlaczego wyjechałam z Wenecji. Słuchała mnie najwyraźniej z ogromną uwagą, zaplótłszy palce pod idealną bródką.

– Naprawdę cię to interesuje, moja pani? – Nie

potrafiłam ukryć zdumienia. – To nie jest ciekawa historia.

Nie po tym, jak pozbawiłam ją wszystkich szokujących szczegółów w rodzaju kradzieży relikwii i profanacji ołtarza. Poza tym dobrze urodzone dziewczęta takie jak ona nie uważały, aby w dziewczynach takich jak ja mogło być cokolwiek interesującego. Sensem naszego istnienia było ich obsługiwanie: służenie im, czesanie ich, ubieranie i karmienie, a nie zabawianie ich rozmową.

Jeśli tak cieszyła ją rozmowa z kimś takim jak ja, musiała być bardziej samotna, niż można było sądzić.

– Ależ to wszystko jest bardzo ciekawe. – Uśmiechnęła się do mnie, a na jej różowym policzku pojawił się rozkoszny dołeczek. – W końcu nigdy nie zakładałam maski na karnawał, nie płynęłam gondolą ani w ogóle nie wyjeżdżałam nigdzie poza Capodimonte. Wyjąwszy, oczywiście, przyjazd do Rzymu. Czy jest ci przykro, że wyjechałaś z Wenecji?

Opanowałam dreszcz.

– Nie, pani Giulio.

– Och, naprawdę nie musisz zwracać się do mnie per pani. Kiedy to słyszę, zaczynam się rozglądać za swoją matką.

– Proszę o wybaczenie, ale nie mogę – rzekłam zdecydowanie. – Pani Adriana zdarłaby ze mnie pasy.

– To byłoby w jej stylu, nieprawdaż? – prychnęła. – Czy ona jest dobra dla służby?

Zerwałam pęd róż i wrzuciłam ich płatki do koszyka – przydadzą się do dżemów.

– Jest wielką damą o godnej podziwu zapobiegliwości.

– Tak, czy nie jest koszmarna? Jest zwykłą rajfurką, do tego jeszcze skąpszą niż handlarz szmat – westchnęła.

– Jeśli masz nadzieję, Carmelino, że w Rzymie uda ci się znaleźć męża, to radzę ci poszukać sobie takiego bez matki.

– Nie szukam męża, pani Giulio. – Porzuciłam rozmaryn i podeszłam do słodkiego majeranku, zrywając całą garść. Znakomity do przyprawiania tomacelli z wątroby wieprzowej. – Nie mam posagu, by wyjść za mąż.

– Twoim posagiem jest zręczność twoich dłoni. – Giulia wyssała nektar z kolejnego kwiatka fuksji. – Każdy mężczyzna uznałby się za szczęściarza, gdyby udało mu się poślubić kobietę, która potrafi tak gotować.

– To tak nie działa – odpowiedziałam mimowolnie, zrywając kilka listków o brązowych brzegach z gałązki majeranku. Uczniowie robili to byle jak, ale moje dania zasługiwały tylko na najlepsze i najświeższe listki. – Żeby wyjść za mąż, trzeba mieć pieniądze, zwłaszcza gdy nie ma się rodziny lub przynajmniej urody. Mój ojciec mógł sobie pozwolić na odpowiednie wydanie za mąż tylko jednej córki. I to moja młodsza siostra była z nas dwóch bardziej urodziwa, więc to ona otrzymała

posag.

Nie wspomniałam już o tym, że wykazała się większą przezornością, nie oddając wianka przystojnemu kucharczykowi.

Maddalena niedawno została matką, ale ja dowiedziałam się o tym zaledwie tydzień temu. Po krótkich zmaganiach z samą sobą wysłałam do siostry do Wenecji krótki list, pytając, co słyhać u rodziny. Wysłałam go ponad miesiąc temu, przez Bolonię, więc nie mogli się zorientować, że ukrywam się w Rzymie... W końcu skreśliła mi kilka słów, błagając, żebym więcej nie pisała. „Ojciec jest nadal tak wściekły, że nie śmiem nawet wspomnieć mu o twoim liście” – napisała, a ja niemal usłyszałam to jej świętoszkowate prychnięcie. „Nigdy ci nie wybaczy i doprawdy mu się nie dziwię!”.

Napisała mi jednak o dziecku. Chłopcu. „Nigdy nie będziesz miała własnego, więc módl się za moje”.

W spojrzeniu pani Giulii było coś na kształt skruchy, jakby to ona ponosiła winę za to, że nie mam męża ani posagu.

– Czy kiedykolwiek chciałaś wyjść za mąż?

– Większość dziewczyn marzy o małżeństwie. – Wzruszyłam ramionami. – Ale naoglądałam się już w życiu tyle, że wiem, iż nawet śliczne dziewczyny z workami dukatów nie mogą liczyć na to, że będzie jak w pieśniach i poematach. Wydaje mi się, że praca w kuchni odpowiada mi bardziej niż mąż i dzieci.

– Moi bracia zgromadzili łącznie trzy tysiące florenów na mój posag – rzekła pani Giulia. – Sandro powiedział, że uroda też się będzie liczyć... Zupełnie jak w przypadku twojej siostry. Ale to tak naprawdę nie ma znaczenia. Nic, jak się okazało, nie miało znaczenia. Nadal nie mogę powiedzieć, żebym naprawdę miała męża.

Znów posmutniała, a ja zaczęłam się zastanawiać, ile jest prawdy w tych mocno podkolorowanych opowieściach chłopców stajennych o kłótni pomiędzy Orsino Orsinim i jego żoną.

– Pan Orsini jest bardzo przystojny – wymamrotałam dyplomatycznie i podeszłam, by wyrwać solidną łydęę psianki. Nie nadaje się do gotowania, ale jest znakomita do trucia szczurów.

– Tak – przyznała pani Giulia bezbarwnym głosem. – Mój mąż jest bardzo przystojny.

Na krótką chwilę zapadła cisza. Słońce wznosiło się coraz wyżej ponad horyzontem, wysuszając rosę na falbaniastych liściach pietruszki, które wrzucałam garściami do koszyka z myślą o zupie vivarole. Na niebie ani jednej chmurki. Za godzinę ogród zacznie dyszeć w upale, a aromat ziół utonie w smrodzie wąskich i krętych uliczek meandrujących za murami pałacu w oparach siarki i pieczonej padliny okraszonych bijącym od rzeki odorem zdechłych ryb.

– Moja matka powtarzała, że kobieta ma do wyboru trzy drogi. – Pani Giulia znów pochyliła się nad gałązką

fuksji. – Żony, zakonnicy... albo kurwy. Raz dokonanego wyboru nie można zmienić.

Usłyszałam to, co pominęła milczeniem. Z pewnością nie była zakonnica. Tak naprawdę nie była również żoną, skoro nie mogła się spotykać z mężem. A kardynał Borgia naciskał, aby została jego kurwą...

– Moja matka mówiła to samo – powiedziałam. – Ale nie miała racji.

Pani Giulia uniosła głowę.

– Dlaczego?

– Bo wybory nigdy nie okazują się tak definitywne, a granice tak ostre. – Zerwałam pęczek świeżej rukoli do zielonego sosu, który zamierzałam przyrządzić później, i wyrzuciłam z koszyka pająka. – Zakonnice się kurwią, kurwy wychodzą za mąż, a żony trafiają do zakonu. – Wzruszyłam ramionami. – A niektóre kobiety łączą to wszystko w jedno. Kimkolwiek jesteśmy, wszystkie jakoś dajemy sobie radę.

Pani Giulia wydawała się zaskoczona tą myślą, ale najwyraźniej skłoniła ją ona do zastanowienia. W milczeniu obracała kwiatek fuksji w palcach, a ja skończyłam napełniać koszyk ziołami, których Marco i inni jego kucharze mieli tego dnia potrzebować. Kwiaty ogórecznika, świeże i zielone, by przydać sałacie koloru... Świeża botwinka do bolońskich tart, które chciałam upiec dziś rano na miedzianej blasze... Garść wiosennych cebulek do uduszenia na wolnym ogniu z tłuszczem z pieczeni z udźca baraniego...

I jeszcze jedna rzecz... Zostawiłam swój koszyk i dygnawszy krótko, wyszłam z ogródka ziołowego, by po chwili wrócić z fartuchem pełnym kwiatów.

– Goździki – powiedziałam, wręczając je pani Giulii w obłoku ich czystego, ostrego aromatu. – Jeśli cię to ucieszy, pani, zabiorę je do kuchni razem z tą fuksją i podgotuję w dobrej czystej wodzie, by przyrządzić wodę kwiatową.

– A czy mogłabyś przygotować dla mnie odrobinę tych małych truskawkowych słodkości w miodzie? – Rozjaśniła się znowu. – Do podjadania, kiedy będziemy czekać, aż perfumy się zagotują? Zawsze jem, kiedy na coś czekam.

– Myślę, że mogę – odparłam i uznałam, że lubię moją nową panią.

Giulia

Pomyślałam, że pojedę na przejażdżkę – obwieściłam, kiedy pani Adriana podniosła na mnie wzrok. Moja teściowa siedziała, popijała grzane wino z przyprawami i plotkowała ze swoim zarządcą, jedynym domownikiem, który miał siedzieć przy niej i potakiwać, gdy miała ochotę ponarzekać na rosnące ceny utrzymania. – Czy stajenni osiodłali już dla mnie moją klacz?

– Czy nie za gorąco na przejażdżkę, kochanie?

– Nie wydaje mi się, żebym pytała cię o zdanie – odpowiedziałam spokojnie.

Pani Adriana tylko się uśmiechnęła.

– Przynajmniej weź ze sobą odpowiednią świtę. Na ulicach wrze. – Przeżegnała się z powagą. – Kiedy już papież umrze, Panie, świeć nad jego duszą, będzie jeszcze gorzej.

Moja najlepsza sukienka zupełnie nie nadawała się na ten upał. Na każdym placu bruk zdawał się niemal płynąć i nawet gołębie były już zbyt otepiałe, by poderwać się do lotu na dźwięk kościelnych dzwonów. Szkarłatny wzorzysty jedwab ze złoto wyszywanym stanikiem również nie nadawał się do jazdy, ale rozpaczliwie potrzebowałam niewidocznej zbroi, która osłaniała mnie zawsze, gdy wiedziałam, że olśniewam wyglądem. Beładnie przerzuciłam więc wytworną suknię przez siodło i wyjechałam na klaczy ze stajennego podwórza. Nienadzwyczajny był ze mnie jeździec. Wychowałam się w Capodimonte, w którego krajobrazie dominowały drzewa, wzgórza i ścieżki nad jeziorem, a nie miejskie ulice, ale moja matka nie pochwałała jeżdżenia na polowania przez kobiety i pilnowała, żeby moje lekcje jazdy konnej koncentrowały się na odpowiednio skromnym ułożeniu spódnicy i trzymaniu się prosto w damskim siodle. Moja nowa klacz miała jednak niezwykle wprost miękkie chody i skręcała na najłżejsze dotknięcie wodzy. Moi strażnicy podążali za mną, beznamiętni w swoich liberiach z bykiem Borgiów. Dostrzegłam, jak dwie kobiety przysłaniają usta dłońmi i koszykami na zakupy,

kiedy mój niewielki orszak przekłusował obok nich. Mogłam sobie wyobrazić, o czym tak szepczą. Nowa jałówka tego starego byka. A jej mąż w ogóle się nie przejmuje! Szczęściara, co? Mój mąż poderznąłby gardło każdemu mężczyźnie, który chciałby zrobić ze mnie swoją kurwę! Duchownemu też!

Wstrzymałam klacz, kiedy dotarliśmy do celu, i ześlizgnęłam się z wytłaczanego siodła.

– Jesteś aniołem – szepnęłam, podając klaczy na dłoni odrobinę tego jakże kosztownego cukru, który podkrałam ze stołu pani Adriany. Ucałowałam szybko klacz w aksamitny nos i odwróciłam się do strażników. – Zostańcie tu – poleciłam i przeszłam przez szerokie wrota do pałacu.

Wytworną salę, w której tańczyłam na swoim przyjęciu weselnym, prawie całkiem rozebrano. Z długich stołów, postawionych teraz do góry nogami, zniknęły strojne obrusy. Gobeliny zdjęli ze ścian i zwinęli uwijający się jak w ukropie służący, a służące wyniosły jeden po drugim delikatnie rzeźbione podnóżki. Leżanka wraz z kapą z karmazynowej satyny zniknęła. Widziałam, jak zarządca pakował do skrzynki szklane kielichy z Murano, którymi przybyli goście wznosili toasty na moim weselu. Sala wyglądała na w pół splądrowaną, a to, co w niej pozostało, przykryto tkaniną chroniącą przed kurzem. W samym środku całego tego zamieszania stał człowiek, którego rozpoznanie zajęło mi dłuższą chwilę, gdyż

przynajmniej tym razem nie miał na sobie szkarłatnych szat.

– Pani Giulia – powiedział Rodrigo Borgia, odsuwając sprzed oczu listy, które przeglądał wraz ze swoim zarządcą, i składając mi swój elegancki dworny ukłon. – Cóż za szczęśliwe zrządzenie losu. Oto siedzę przez tydzień z gromadą poirytowanych kardynałów, a gdy wracam, by zająć się kilkoma prywatnymi sprawami, pojawia się ty, niczym woda na pustyni! Zostań tam przez chwilę i pozwól mi napawać się twoim widokiem. Cóż za szczęście, że wpadłaś właśnie teraz, kiedy akurat jestem w domu.

– To nie zrządzenie losu – rzekłam, usuwając się z drogi, kiedy dwie służące wynosiły rzeźbioną ławę. – Pociągnęłam za język Lukrecję, a ona przecież zawsze wie, jakie masz plany. Podejrzewam, że urokiem osobistym wyciąga te informacje od twoich strażników i służących. Powiedziała mi, że dziś rano tutaj wrócisz, żeby... co właściwie zrobić?

Objęłam spojrzeniem panujący wokół chaos.

– Uznałem, że przezornie będzie spakować co cenniejsze przedmioty, skoro koniec papieża wydaje się już tak bliski. – Machnął upierścienioną dłonią w kierunku lokajów, którzy truchcikiem wynosili na ramionach zwinięte gobeliny, i służących, którzy ostrożnie układali w wyścielonych słomą skrzyniach złotą i srebrną zastawę. – Tak przy okazji, papież w końcu rzeczywiście umiera. Należy mniemać, że jego

codzienny kieliszek ludzkiej krwi okazał się jednak nieskuteczny.

Nie obchodziło mnie, czy papież żyje, czy umiera i czy dla zachowania zdrowia popija ludzką krew, czy ptasie mleko. Przyglądałam się mojemu kardynałowi, tak innemu w koszuli i spodniach do konnej jazdy, a nie w zwyczajowym wytwornym szkarłacie. Nie był przystojny, zwłaszcza z tym orlim nosem, toporną szczęką i pełnymi, rozbawionymi ustami. Nie był też już młody. Widziałam zmarszczki wokół oczu i siwiejące włosy kręcące się mocno na jego krzepkiej piersi powyżej sznurowania koszuli i na szerokich przedramionach poniżej zawiniętych rękawów. Potężnej sylwetce przybyło z wiekiem nieco kilogramów, przez co ramiona stały się masywniejsze, a brzuch zapewne nieco bardziej wydatny niż w latach młodości, ale kardynał był na tyle wysoki, że proporcje pozostały miłe dla oka. Człowiek byk, w rzeczy samej.

– Ile miałaś lat, kiedy odbywało się poprzednie konklawe? – ciągnął, a jego niski głos przetoczył się pod wymalowanym sklepieniem sali. – Być może nie pamiętasz tego uroczego zwyczaju, zgodnie z którym tłum plądruje starą rezydencję nowego papieża? Można śledzić, ile kto otrzymał głosów, licząc szabrowników włamujących się do tej czy innej rezydencji... Oczywiście nie chodzi o to, bym miał w perspektywie nałożenie papieskiej tiary, czasem jednak grabież zaczyna się jeszcze przed ostatecznym policzeniem

głosów i obejmuje zarówno wygranych, jak i przegranych. – Wskazał gestem dłoni raptownie pustoszące pomieszczenie. – Gdyby jacyś złodzieje mieli ochotę odwiedzić mój pałac, nie znajdą w nim nic wartego kradzieży.

– Prawie nic.

Odrzuciłam płaszcz, który przywdziałam w ten upał, by na niespokojnych ulicach ukryć bogatą suknię. Na szyi zawiesiłam otrzymany od Rodriga naszyjnik, pozwalając wielkiej perle w kształcie gruszki nieomal zniknąć między moimi piersiami. Kardynał zatrzymał się w pół kroku i utkwiał w niej spojrzenie.

„Żona, zakonnica albo kurwa” – usłyszałam w głowie głos swojej matki. „Raz dokonanego wyboru nie można zmienić”. Zostałam żoną i sądziłam, że moje życie jest już kompletne: spełnione, przypieczętowane i związane wstążeczką. A jednak sprawy nie potoczyły się tak gładko, prawda?

Mój kardynał stał bez ruchu, nie odrywając ode mnie wzroku. Sięgnęłam do rękawa, coś z niego wyjęłam i ujęłam to w obie dłonie. Na widok jabłka granatu kardynał wstrzymał oddech. Chociaż ręce mi drżały, różowa skórka owocu z łatwością pękła. Usłyszałam teraz w uchu energiczny głos kucharki Carmeliny, mówiącej z weneckim akcentem: „Zakonnice się kurwią, kurwy wychodzą za mąż, a żony trafiają do zakonu. A niektóre kobiety łączą to wszystko w jedno”. Słowa, które przez cały tydzień odbijały się echem

w mojej głowie. Czy właśnie one mnie tu przywiodły?

Nieistotne. Byłam tu. Nie spuszczać wzroku z ciemnych oczu kardynała, wydtubałam z granatu kilka przypominających klejnoty pestek i połknęłam je.

Trzema gwałtownymi krokami pokonał dzielącą nas przestrzeń, chwycił mnie za rękę i podniósł ją do twarzy. Poczułam szorstkość jego kilkudniowego zarostu, kiedy przyciskał po kolei do ust każdy z moich ubrudzonych na różowo palców. Niczym łańcuchem opasał mnie ramieniem w talii i zsunął kciuk po moim karku, pieszcząc powoli zagłębienie między łopatkami tuż poniżej rąbka mojej koszuli. Jabłko granatu wypadło mi z ręki i potoczyło się po ogołoczonej posadzce, a ja wplotłam palce w jego czarne włosy i przyciągnęłam go mocno do siebie.

– Wyjść – nakazał krótko służącym i musnął ustami moje piersi tuż poniżej perły, a kiedy jego wargi powędrowały w kierunku mojej szyi, nie tyle zobaczyłam, co usłyszałam nerwowy tupot nóg i zduszone chichoty. A potem poczułam na wargach mocny pocałunek. Całował mnie bez pośpiechu, jakbyśmy mieli dla siebie cały dzień, jakby nie było umierającego papieża i zbliżającego się nieuchronnie konklawe, jakby nic nie było ważniejsze od tego momentu.

– Łóżko – wyszeptał mój kardynał, uniósł mnie bez wysiłku, jakbym ważyła nie więcej niż kardynalski kapelusz, i poniosł mnie z powrotem przez puste

komnaty, w których jego kroki odbijały się głośnym echem. – Na szczęście zostało jeszcze jedno czy dwa, niespakowane...

– Poczekaj – zdołałam wymamrotać, nie odrywając niemal ust od jego warg. – Poczekaj...

Wyśliznęłam się z jego ramion.

– Co? – Ujął moją twarz w swoje wielkie dłonie. – Co, Giulio?

Oddychałam tak ciężko, jakbym przebiegła właśnie trasę wyścigu, a usta miałam nabrzmięte od pocałunków. Serce waliło mi jak młotem. Pod jego spojrzeniem czułam się bardziej naga niż w kąpieli.

– Powinieneś o czymś wiedzieć. – Czułam, że oblewam się pąsowym rumieńcem, ale wytrzymałam jego spojrzenie. – Ja już... byłam z Orsinem... – W oczach mojego kardynała dostrzegłam jakieś przelotne uczucie... Gniewu? Urazy? – Nie możesz ukarać Orsina – dokończyłam pospiesznie. – On jest moim mężem, miał prawo... I zdarzyło się to tylko raz... On nie będzie... Wrócił już do Carbognano. Nie pragnie mnie. Nie pragnie mnie wystarczająco mocno. – Uniosłam głowę. – Ale nie jestem już dziewczicą. I jeśli to oznacza, że ty również mnie nie pragniesz...

Urwałam. Każdy skrawek mego drżącego ciała błagał o kojący pocałunek i pocieszający uścisk, ale opanowałam chęć odwrócenia wzroku od tego wielkiego, śniadego mężczyzny stojącego tak blisko. Przepętnionego poczuciem winy chaosu, którym stało

się moje małżeństwo, nie rozwiązałam, obcując z moim mężem... I może tym jednym czynem zaprzepąściłam swoją przyszłość z kardynałem. Jeśli jednak miałam złamać małżeńską przysięgę, nie zamierzałam kłamać mu w twarz. Gdyby mnie nie zechciał, ja również bym go nie chciała. Wróciłabym do domu i płakała w samotności.

Patrzył na mnie przez długą chwilę. A potem obszedł mnie dookoła niespiesznym krokiem, a skóra na karku zapiekła mnie pod jego gorącym oddechem.

– Moja droga – powiedział, powoli rozsznurowując mój stanik. – Zupełnie mnie to nie obchodzi.

– Nie... Nie? – Mój głos zabrzmiał zaskakująco piskliwie.

– Dziewictwo ceni się zdecydowanie zbyt wysoko. – Po rozsznurowaniu mi stanika zabrał się do rękawów. – Chciałbym ofiarować ci przyjemność, a na tę większość dziewcząt raczej nie może liczyć. – Jeden z rękawów zsunął się z mojego ramienia na podłogę, a chwilę później dołączył do niego drugi. Kardynał położył mi dłonie na ramionach i zsunął z nich suknię, która zwałami szkarłatnego jedwabiu spoczęła na podłodze. Uniósł na powrót dłonie i grzbietem palców zaczął gładzić moją skórę przez cienką koszulkę. Zabrakło mi tchu. – Odpowiadając więc na twoje pytanie – ciągnął niezobowiązująco, zsuwając mi koszulkę z nagich ramion – tak, nadal cię pragnę. Pragnę cię bardziej niż

jakiegokolwiek innej kobiety, jaką dane mi było spotkać w życiu, Giulio Farnese. Pragnę cię bardziej niż papieskiej tiary. – Przycisnął wargi na dłuższą chwilę do mojego nagiego ramienia, a potem odwrócił mnie, by znów stanąć ze mną twarzą w twarz. Stałam naga i drżąca, lecz nie patrzył na moje ciało. Patrzył mi w oczy. – Wierzysz mi?

W odpowiedzi zerwałam zdobioną perłami siateczkę i potrząsnęłam głową, a włosy rozsypały się i spłynęły złotą kaskadą do moich stóp. Chciałam w taki właśnie sposób oddać się Orsinowi podczas nocy poślubnej, lecz zostałam zapakowana w pościel w ciemnej komnacie i nie miałam odwagi z niej wyjść, bo żona musi być przede wszystkim skromna. Skromności nie wymagano jednak od kochanki, stanęłam więc przed moim kochankiem okryta jedynie płaszczem z rozpuszczonych włosów i naszyjnikiem z perłą.

Pochłaniał mnie wzrokiem. Uniósł rękę i powiedział po katalońsku coś, czego nie zrozumiałam.

Wyciągnęłam rękę i splotłam nasze palce.

– Co to znaczy? Wolną dłonią ześliznął się po gładkiej skórze mojej talii i sięgnął ku mojej piersi.

– Chodź do mnie – wyszeptał, po czym podniósł mnie i poniósł dalej przez puste komnaty, w których jego kroki rozbrzmiewały echem.

Zabrakło mi tchu, by mu odpowiedzieć, lecz wystarczyło mi go, by się rozejrzeć, kiedy kładł mnie

na rzeźbionym łożu okrytym aksamitną kapą w czarne i białe pasy. Na tym samym łożu, na którym leżałam samotnie podczas swojej nocy poślubnej, teraz wyniesionym z komnaty w celu rozmontowania. Przez krótką chwilę poczułam zdumienie. Co ja właściwie robię?

Ale on już obsypywał mnie pocałunkami, mieszając co drugie słowo włoski z katalońskim, po czym przykrył mnie swoim ciałem.

– Rodrigo – wyszeptałam.

I poddałam się.

Leonello

Zabijałem czas w więzieniu, obliczając matematyczne prawdopodobieństwo nadciągającej śmierci, ale szczerze mówiąc, mój talent analityczny okazał się tym razem całkowicie nieprzydatny. Prawdopodobieństwo przeżycia wypadało zdecydowanie na moją niekorzyść.

Morderstwo to raczej niewielkie wykroczenie, zakładając, że ofiara nie przedstawia sobą specjalnej wartości. Nikt przecież nie zwracał sobie głowy poszukiwaniem morderców Anny. W końcu kogo obchodziła śmierć jakiejś dziewczki z gospody? Zabicie zarządcy kardynała było znacznie poważniejszą sprawą, ale i z tego można się było jakoś wykaraskać. Wszak większość sędziów chętniej zadowala się pieniędzmi niż krwią. Gdybym był bogatym człowiekiem, mógłbym się

spokojnie założyć o to, że karą za dźgnięcie kogoś nożem w gardło byłaby pokaźna grzywna i wypędzenie z Rzymu. Z taką karą dawało się żyć. Istniały inne miasta, w których można było zarobić na życie, i w każdym z nich można było znaleźć pijanych mężczyzn, którzy tylko czekali na to, by uwolnił ich od pieniędzy człowiek potrafiący zrobić użytek z talii kart.

Nie miałem jednak pieniędzy na łapówkę ani żadnego majątku, który można byłoby skonfiskować, a karła nie da się raczej skazać na galery ani wygnać z jakąś obdartą armią do walki z Turkami. Poza tym jeśli sędziowie cokolwiek przedkładali nad brzęczącą monetę, to był to spektakl, którym mogli uraczyć żądną surowej kary tłuszcę. Wieszanie karła? Znakomicie, takie wydarzenie mogło ściągnąć tłumy. Lepsze niż sztuczki kuglarzy.

Rozejrzałem się po małej, zatęchłej celi. Była niewiele większa niż pokój, który wynajmowałem w Borgo. O różnicy decydowały szczegóły. Mój pokój był aż do przesady czysty, podłoga była zawsze zamieciona i umyta, a nie upstrzona szczurzymi bobkami. Łóżko było nienagannym kwadratem czystej pościeli, a nie siennikiem wypełnionym przegniłą słomą. Mój pokój miał okno, z którego pod pewnym kątem można było dostrzec kopuły i iglice Watykanu. Był w nim lichtarz na smukłe świece rzucające radosne, żółte światło, gdy jak zwykle czytałem do późna. Mieściła się w nim skromna skrzynia z ubraniami

i jeszcze milsza mojemu sercu skrzynia z książkami, zakupionymi głównie w drukarni na dole. Drukarnia była w stanie przetrwać głównie dzięki wulgarnym broszurkom i tanim, jednostronnie zadrukowanym arkuszom, na których rozmazywała się farba drukarska, ale na przestrzeni lat wybrałem sobie z jej półek całkiem przyzwoitą kolekcję: Marek Aureliusz, którego swoją drogą uważałem za niewiele wartego nudziarza, kilka tragedii Sofoklesa, Dante, Boccaccio, Owidiusz. Moje książki. Za dnia zadawałem się kartami, lecz nocą zanurzałem się w lekturze. A teraz tkwiłem w celi, w której panował wieczny półmrok, i wątpiłem, czy kiedykolwiek dane mi będzie jeszcze przeczytać książkę.

Zapiekły mnie oczy.

Nie wiedziałem, od jak dawna tu tkwię i gdzie może znajdować się owo „tu”. Kilka dni? Może zdołam uniknąć stryczka do dnia śmierci papieża... kiedykolwiek miała nastąpić. Po śmierci przywódcy Kościoła zawsze wybuchały w Rzymie zamieszki, a czy można sobie wyobrazić lepszy sposób na utrzymanie tłumu w ryzach niż sprezentowanie mu krwawej egzekucji karła?

A zatem miałem przed sobą jeszcze tydzień. A może tylko kilka dni. Tyle, ile biedny stary Innocenty zdoła jeszcze wytrzymać.

Nieomal żałowałem, że nie może się pospieszyć z tym umieraniem. Ile w końcu godzin można przepędzić na masowaniu okrutnie obolałych od kajdan

nóg i odgadywaniu najbardziej prawdopodobnej metody egzekucji? Podczas przeszukania strażnicy wyciągnęli mi spod dubletu wystrzępioną talię kart i sponiewierany tomik listów Cycerona. Zakładając, że wcześniej nie zabije mnie nuda, wkrótce będę maszerował wśród wiwatującego tłumu i wchodził po zbitych naprędce schodach na szubienicę, gdzie poczuję pętlę zaciskającą mi się na szyi. A może będę miał szczęście? Może mnie wypuszczą, zadowolony się obcięciem mi rąk, nosa lub uszu? Może mi utną ten cięty język. Albo wyłupią oczy. A potem pozwolą mi odejść, dając przykład chrześcijańskiego miłosierdzia.

Boże. Czasem chciałbym być głupszy. W więziennej celi zdolność przewidywania przyszłego biegu zdarzeń jest prawdziwym przekleństwem.

Na widok strażnika z bykiem Borgiów na piersi, który zabrał mnie wreszcie z celi, prawie się ucieszyłem.

Po tak długim okresie spętania szedłem z największym trudem. Kiedy potknąłem się po raz trzeci, zgięty wpół przesywającym bólem nóg, których od tak dawna nie mogłem porządnie rozprostować, strażnik po prostu chwycił mnie za łokieć i pociągnął za sobą tak, że końce moich palców ledwie dotykały podłogi. Byłem zadowolony, że mnie wlecze, choć obijałem się nieco o kamienne schody, które przeszły później w długie korytarze, a następnie w bardziej wystawne przedpokoje. Wytworne dywany, wspaniale

tkane gobeliny, błyszcząca złota i srebrna zastawa z dumą wystawiona w kunsztownie rzeźbionych kredensach... Gdzie ja właściwie byłem?

– Wasza Ekscelencjo – burknął strażnik, przeciągnąwszy mnie przez kolejne szerokie drzwi. – Karzeł, którego chciałeś widzieć.

– Postaw go na ziemi, Michelotto.

Postawiono mnie na kolejnym bardzo wytwornym dywanie. Moje nogi zaprotestowały gwałtownie, lecz zdławiłem krzyk. Strażnik cofnął się pod ścianę, a ja serdecznie skinąłem mu głową, po czym skierowałem uwagę na postać siedzącą niedbale za biurkiem.

– Wybacz, Wasza Ekscelencjo – zdołałem wyksztusić uprzejmie. – Obawiam się, że muszę chwilę posiedzieć, bo próbując stać, niechybnie się przewrócę.

Przyglądał mi się z namysłem, kiedy zacząłem rozmasowywać napięte i obolałe mięśnie. Ten sam młodzieniec, którego ujrzałem na moment przed tym, jak straciłem przytomność: rozbawiona pociągła twarz, kasztanowe włosy, przenikliwe czarne oczy. Z bliska widziałem, że ma zaledwie około siedemnastu lat, ale odchyłał się w swoim rzeźbionym fotelu jak dorosły mężczyzna. Jak mężczyzna posiadający władzę nad wszystkimi, którzy przed nim stają.

Nie przestawał lustrować mnie spojrzeniem, niczym dotkniętego szpatem konia, którego zakup mimo wszystko rozważał.

– Fascynujące – powiedział w końcu. – Jak, na

Boga Ojca, ktoś taki jak ty zdołał zamordować jednego człowieka i ranić drugiego, po czym przegonić go przez pół miasta?

– Czy widziałeś tych ludzi już potem, Wasza Ekscelencjo? Człowieka, którego zabiłem, i człowieka, którego goniłem? – Nie było sensu zaprzeczać, wszak złapano mnie na gorącym uczynku.

– Widziałem – odparł.

– A zatem z pewnością wiesz, jak to zrobiłem.

– Ale chciałbym, żebyś mi o tym opowiedział, co jest zupełnie odmienną kwestią.

Teraz z kolei ja zlustrowałem go od stóp do głów. Odpowiedział spokojnym spojrzeniem pantery, w najmniejszym stopniu nieurazony moim badawczym wzrokiem. Nosił zdobny srebrny krzyż na purpurowych szatach biskupich, ale oprócz szat nie dostrzegałem w nim nic bożego.

– Pierwszego mężczyznę zabiłem, przebijając mu gardło nożem – powiedziałem w końcu.

– Jesteś za niski, żeby mu sięgnąć do gardła.

– Rzuciłem nożem.

– Z daleka? Po ciemku? Imponujące.

– Tak – odpowiedziałem. To było imponujące. Nawet oparty o ścianę strażnik, bezbarwny typ o stalowoszarych oczach, zacisnął wargi w wyrazie niemego uznania. – Drugiego mężczyznę trafiłem w biodro, kiedy się odwrócił i potknął – ciągnąłem. – Spowolniło go to na tyle, że mogłem za nim nadążyć.

Młody biskup złączył dłonie czubkami palców.

- I co zamierzałeś z nim zrobić po schwytaniu go?
- Zadać mu kilka pytań. A potem poderżnąć gardło.
- Nawet gdyby udzielił ci żądanych odpowiedzi?
- Tak.

– A na odpowiedziach na jakie pytania tak bardzo ci zależało?

Nie odpowiedziałem. Uśmiechnął się szeroko, w smagłej twarzy błysnęły białe zęby.

– Chodziło o pieniądze albo o kobietę. Zawsze chodzi albo o jedno, albo o drugie.

– O kobietę – odparłem.

– Zakładam więc, że ci ją ukradł.

– Nie. Ona była zwykłą dziewczką z gospody. Ale trzech ludzi postanowiło ją zabić, a dwoma z nich byli don Luis i dobry strażnik Niccolò, więc ja postanowiłem zabić ich.

– Dlaczego?

No właśnie, dlaczego? Morderstwo, więzienie, szubienica. Tyle kłopotów z powodu kobiety, której nawet nie kochałem. Ta historia brzmiałaby lepiej, gdybym ją kochał – w gospodach zawsze chętnie się słucha pieśni o mężczyznach, którym złamano serce, i odwecie, który wzięli za utraconą miłość. Ale ani ja nie kochałem Anny, ani ona nie kochała mnie... Miałem wątpliwości, czy za rok będę pamiętał, jak wyglądała. Tyle było podobnych twarzy: przemęczonych, maltretowanych, szybko wypadających z pamięci.

– Dlaczego? – powolił pytanie młody biskup.

– Bo jej życie nie było bez znaczenia – odparłem w końcu. – Powiedz mi, co się stało ze strażnikiem? Z Niccolem.

– Rana w jego biodrze była bardzo głęboka. Pomimo wysiłków chirurga wdało się zakażenie. Ma wysoką gorączkę i jest z nim coraz gorzej. Zatrueś ostrze?

– Nie. – Czasem nawet karłowi może się poszczęścić. Uśmiechnąłem się.

– A zatem ustrzeżesz dwóch z trzech morderców. – Biskup zauważył mój uśmiech. – Czy to było warte uwięzienia?

– Owszem. Pod warunkiem że udałoby mi się zabić wszystkich trzech. – Nie widziałem sensu w okłamywaniu go. Zawisnę niezależnie od tego, czy będę się płaszczył, czy junakował, obrzucał go obelgami czy czołgał się u jego stóp.

Zdołałem wstać i skrzywiłem się, kiedy moje ścierpłe kończyny zaprotestowały, po czym potarłem o siebie poobcierane więzami nadgarstki. Biskup nie odrywał ode mnie uważnego spojrzenia.

– To nie były twoje pierwsze ofiary – stwierdził w końcu. – Jesteś nawykły do zabijania. Znam ten wyraz twarzy.

– Z własnego lustra, Wasza Ekscelencjo?

Zaśmiał się.

– Cięty masz język. I jestem zaskoczony, że nikt ci

go jeszcze nie uciął.

– Sam jestem zaskoczony.

– Ilu ludzi zabiłeś?

– Czterech albo pięciu.

– Dla pieniędzy? Czy też w imię jakiejś innej dziewczki z gospody?

– W obronie własnej. Zabiłem mężczyzn, którzy próbowali mnie obrabować i sądzili, że mogą poniewierać karłem do woli.

– Większość ludzi tak sądzi. I za to ich zabiłeś?

– Ludzie normalnego wzrostu nie muszą zabijać, kiedy zaatakują ich pijacy albo złodzieje. – Byłem kompletnie otępiały, a jednocześnie dziwnie zadowolony z tego, jak swobodnie i niezobowiązująco zabrzmiały te słowa w moich ustach. – W ruch idą pięści, a jak to nie pomoże, wówczas starczy kilka machnięć sztyletem okraszonych paroma kopniakami i ciosem czy dwoma na dokładkę. Spora szansa, że napastnik zmieni zdanie i wycofa się, bogatszy o kilka siniaków. Ja zaś – szerokim gestem wskazałem siebie – z daleka mogę człowiekowi wbić sztylet w oko, ale gdy się zbliży, jestem bezradny. Nie mogę go uderzyć, wymierzyć mu ciosu pięścią, położyć go siłą, posiniaczyć czy w jakikolwiek inny sposób udaremnić jego zamiarów. Jeśli człowiek na mnie rusza, to muszę się natychmiast zdecydować, czy go zabić, czy pozwolić, by zrobił ze mną, co mu się żywnie podoba.

– Mógłbyś poprzestać na zranieniu go, nie

zabijając.

– Mało skuteczne – powiedziałem. – Zrań człowieka, a będzie tak wściekły, że karzeł dał mu łupnia, iż zgłosi napaść albo konstablowi, albo swoim kompanom. A ja rzucam się w oczy. Jeśli więc ktoś, kto ma wobec mnie niezbyt przyjazne zamiary, zechce mnie znaleźć, uda mu się to raczej prędzej niż później.

Młody biskup znów przyglądał mi się przez dłuższą chwilę.

– A gdybyś odzyskał wolność, mały człowieku, to co byś zrobił? Czego pragniesz najbardziej?

Książek. Być wysokim. I poważanym.

– Załatwiłbym trzeciego zabójcę tej kobiety – odparłem.

– I przeszyłybyś mu gardło nożem, jak to zrobiłeś z biednym don Luisem? – Biskup pochylił się naprzód pomiędzy dwoma kunsztownie zdobionymi lichtarzami, w których paliły się świece z pszczelego wosku, wyjął sztylet zza pasa i położył go na stole, rękojeścią do mnie. – Może byłbyś łaskaw zaszczyć mnie małym pokazem?

– Nie.

– Nie lubię, gdy mi się odmawia. – Ton jego głosu pozostał łagodny, ale brwi zmarszczyły się u nasady orlego nosa.

– A ja nie lubię demonstrować swoich umiejętności przy użyciu kiepskiego ostrza.

– To stal z Toledo.

– To sztylet. Niezły do walk ulicznych, ale nie do rzucania. – Ogarniało mnie coraz większe oszołomienie. Z powodu strachu, głodu czy zagrożenia? Nie potrafiłem powiedzieć. – Oddaj mi moje noże.

Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, a potem kiwnął głową na strażnika o kamiennej twarzy stojącego nadal pod ścianą. Mężczyzna sięgnął pod swój dublet i podał mi mój zestaw wąskich noży do rzucania.

– Te?

– Te. – Tylko dwa z czterech, ale uznałem, że dwa zgubiły się podczas nocnego pościgu. Uniosłem związane ręce. – A więc?

– Mało jesteś uprzejmy, karzełku. – Mimo to młody biskup skinął głową i jego strażnik rozciął mi więzy. Przez dłuższą chwilę rozprostowywałem palce, by przywrócić krążenie w ścierpłych dłoniach, i masowałem nadgarstek obolały od uderzenia drzewcem piki przez bezbarwnego strażnika. Biskup sprawiał wrażenie coraz bardziej zniecierpliwionego.

– Jestem człowiekiem dość zajęтым... – zaczął.

– A ja martwym – przerwałem mu. – Z nas dwóch to ja jestem osobą, której czas jest cenniejszy. – Mówiąc to, wziąłem do ręki pierwszy z noży i cisnąłem go tuż obok ucha biskupa, tak blisko, że zafalowały jego kasztanowe włosy. Nóż utkwiał miękko w wiszącym za nim gobelinie.

Biskup nawet nie drgnął. Ze świstem posłałem drugi nóż w ślad za pierwszym, wbijając go głęboko

w ścianę. Odwrócił się, żeby spojrzeć, i zobaczył, że rzuciłem je tak blisko siebie, iż między dwa ostrza nie dałoby się wsunąć nawet kartki papieru.

– Imponujące – stwierdził. – Gdzie się tego nauczyłeś?

– Jako dziecko występowałem na jarmarkach – odparłem. – Chcieli, żebym fikał koziołki i żonglował. Zamiast tego zacząłem więc występować w numerze z rzucaniem nożami.

– Bardziej niebezpieczne niż żonglerka.

– Ale mniej poniżające.

Podniósł coś ze swojego intarsjowanego biurka i zobaczyłem swój zszargany egzemplarz Cyserona.

– Raczej rzadko spotyka się erudytów występujących na jarmarkach. Czytasz po łacinie?

– Słabo.

– Ale nie nauczyłeś się tego przy okazji wykonywania numeru z rzucaniem nożami.

– Nie, w szkole. Mój ojciec chciał dla mnie czegoś więcej niż występów z objazdową trupą. Sądził, że jeśli zdobędę wykształcenie, to pewnego dnia zostanę sekretarzem albo nauczycielem. Szkoda, że się mylił. Ale skąd te wszystkie pytania, Wasza Ekscelencjo? To bez znaczenia, gdzie nabyłem te wszystkie umiejętności, bo ucieczka nie jest jedną z nich, a zatem wciąż czeka mnie stryczek.

– Może nie. – Wstał i zaczął wyciągać noże ze ściany, a serce zabiło mi nagłą nadzieją. – Wiesz, kim

jestem, karzełku?

– Nie.

– Nazywam się Cezar Borgia, jestem biskupem Pampeluny. Moim ojcem jest kardynał Rodrigo Borgia.

– Ojcem? – Uniosłem brwi. – Czy tradycyjnie nie utrzymuje się, że jest on twoim wujem?

– Nigdy niczego nie utrzymuję niezgodnie z prawdą – odparł Cezar Borgia. – A mój ojciec po śmierci Innocentego będzie papieżem i może postępować, jak mu się podoba.

– Z tego, co ostatnio słyszałem, zapowiada się raczej odległe trzecie miejsce. – Jak młody biskup ma ochotę się podroczyć, to proszę bardzo, możemy się podroczyć. Jeśli istniała jakakolwiek szansa, że ujdę z tego z życiem, byłem gotów aż do świtu omawiać plotki, którymi żyła Stolica Apostolska. – Bodajże za kardynałem Sforzą i kardynałem della Rovere.

– Mój ojciec przekupił już Sforzę – oznajmił młody biskup. – Kosztowało go to cztery muły obładowane srebrem.

– Kościół chrześcijański da się zatem kupić taniej, niż sądziłem.

– Na szczęście dla mojego ojca. Przyjechałem z Pizy, żeby pomóc Jego Eminencji w zdobywaniu głosów, których potrzebuje, kiedy on sam czuwa przy łożu śmierci papieża. Miał dziś chwilę, przed powrotem do komnaty papieskiej, by wydać mi kilka instrukcji. Chce, bym kogoś zatrudnił.

Roześmiałem się.

– Na pewno nie mnie!

– Pozostawił tę decyzję mojemu uznaniu. Mój ojciec ma wrogów. Nie będą w stanie go dopaść, kiedy konklawe już się zacznie, mogą jednak próbować dopaść jego rodzinę. Mój brat Juan i ja potrafimy się o siebie zatroszczyć, ale mamy jeszcze jednego brata, który nie skończył nawet jedenastu lat. – Jego twarz złagodniała na moment. – I siostrę.

– Boże. Jego Eminencja twój ojciec nie próżnował.

– Moja rodzina narażona jest na ataki. Mamy strażników, ale goście przepuszczani przez strażę mogą się okazać zabójcami w przebraniu. Mój ojciec życzy sobie, bym zatrudnił strażnika, który będzie się trzymał blisko rodziny, stanowiąc ostatnią linię obrony. Kogoś, kto nie rzuca się w oczy.

– Prawdopodobnie lepiej będzie, jeśli zatrudnisz kogoś wyższego ode mnie.

– Tak bym właśnie zrobił – powiedział Cezar Borgia chłodno. Zza okien o ołowianych szprosach dobiegło nas odległe bicie dzwonów. – Ale mój ojciec chce również chronić swoją kochankę. Zgłupiał kompletnie na punkcie osiemnastolatki i nie chce, żeby postawny, młody strażnik włożył się za nią krok w krok w dzień i w nocy. Ze względu na nią taki karzełek jak ty będzie mu odpowiadał znacznie bardziej. A twoja zręczność w posługiwaniu się nożami bardzo odpowiada mnie. – Z brzękiem rzucił moją broń na stół.

– Nikt, kto przyjdzie po moją siostrę albo po kochankę mojego ojca, nie zaszczyci cię powtórным spojrzeniem, uznając cię najwyżej za błazna, który rozśmiesza Lukrecję, albo służącego, który nosi tren Giulii Farnese. Zmieni zdanie dopiero wtedy, jak już będzie mieć nóż w gardle.

– No, no. – Nagle zaschło mi w ustach. Głos dzwonów spotężniał, jakby zwielokrotniony dźwiękami dobiegającymi z kolejnej dzwonnicy. – Czy zadanie, którego wykonanie mi proponujesz... ocali mnie od stryczka?

– Jeśli wykonasz je zadowolająco. Być może już po wyborze nowego papieża zyskasz nawet stałą posadę. Nie mam nic przeciwko zatrudnianiu morderców, podobnie jak Jego Eminencja mój ojciec. – Cezar Borgia chwycił moje noże jedną ręką, ostrożnie obchodząc się z ostrymi krawędziami. – Przydają się.

– Owszem. – Pieczołowicie zaprojektowana i wyliczona konstrukcja prawdopodobieństwa mojej śmierci właśnie legła w gruzach. Dzwony w całym mieście biły jak oszalałe, ale nic nie mogło dorównać szaleństwu wzbierających we mnie emocji. Któż mógł się spodziewać, że nadzieja może spaść na człowieka tak nagle, tak gwałtownie zaprzeć mu dech w piersiach? – Tak, tak, bez wątpienia.

– Jak masz na imię, karzełku? Nie zdradziłeś tego moim strażnikom. Nawet Michelottowi, a ten nieźle potrafi człowieka postraszyć.

– Nazywam się Leonello i nikogo się nie boję. Na litość boską, dlaczego te dzwony tak biją?

– Dzwony? – Cezar Borgia niedbałym krokiem pokonał przestrzeń pokoju i otworzył okna. Do środka wdarła się szaleńcza, ogłuszająca kakofonia dźwięków. Rozdzwoniły się chyba wszystkie dzwony w całym Rzymie. – Sądzę, że papież właśnie wyzionął ducha, Bogu niech będą dzięki. Co oznacza, że mój ojciec musi przygotować się do udziału w pogrzebie, a ja do przekupienia konklawe. – Obrócił się na pięcie, zawirując purpurową szatą, i stanął twarzą do mnie, po czym wyciągnął ku mnie moje noże, podając mi je rękojeściami do przodu w stalowym bukiecie. – A zatem co odpowiesz na moją propozycję, Leonello?

– Mam pewien warunek.

Zmarszczył brwi.

– Twoja sytuacja raczej nie pozwala ci na stawianie warunków.

– Dom, o którym mówiłeś... Dom twojej siostry i kochanki twojego ojca... – ciągnąłem, nie zwracając na niego uwagi. – Czy jest tam biblioteka? I czy będę mógł z niej korzystać?

Roześmiał się.

– Jest. I będziesz mógł.

– A zatem, Wasza Ekscelencjo – złożyłem najbardziej wytworny dworski ukłon, biorąc swoje noże na powrót z jego dłoni – jestem do usług.

Rozdział 6

Habemus papam.

OFICJALNY KOMUNIKAT PO WYBORZE NOWEGO PAPIEŻA

Carmelina

Pieczony paw – powiedział Marco tęsknie. – Z płonącym dziobem i połączoną piersią. A na deser cukrowe różności w kształcie byka, byka Borgiów, rozumiesz? Barwione na czerwono...

– Nie, nie i jeszcze raz nie – zaprotestowałam. – Kardynał Borgia nie przywiązuje wagi do wykwinności posiłków nawet w najlepszych momentach, a to zdecydowanie nie jest najlepszy moment. Gotujesz na konklawe, a nie na przyjęcie weselne!

Ale Marco nie przestawał snuć marzycielskich wizji i w ogóle mnie nie słuchał. Kardynał Borgia w niesamowitym pośpiechu przygotowujący okazały i tłumny pogrzeb papieża Innocentego i następujące po nim papieskie konklawe nagle odkrył, że potrzebuje kucharza, który zapewni posiłki podczas przedłużającego się zazwyczaj głosowania. A będąc zbyt ostrożnym, by zatrudnić obcego kucharza, kiedy jego własny nagle zachorował, zapytał swoją kuzynkę, panią Adrianę, czy może mu pożyczyć szefa swojej kuchni, mistrza Marca Santiniego.

– Pomyśl tylko! – Marco przemierzał kuchnię w tę i z powrotem, wymachując rękami. – Gotowanie dla

kolegium kardynalskiego!

– Raczej dla jednego kardynała. Wszyscy inni członkowie kolegium sprowadzą własnych kucharzy, by nie ryzykować otrucia.

Wyjątkiem byli ci kardynałowie, którzy zadeklarowali wiarę w modlitwę, Boże wyroki i zasady moralne pozostałych duchownych biorących udział w konklawe, z ufnością zjadając posiłki dostarczane przez papieską kuchnię. Innymi słowy: ci kardynałowie, którzy nie mieli najmniejszych szans na otrzymanie papieskiej tiary i którym z tego względu nie groziło otrucie.

– ...co wieczór po oddaniu głosów kardynał Borgia wydaje kolację i wszyscy podziwiają mojego piezzonego pawia...

– Wszyscy są zbyt zajęci knuciem intryg i zawieraniem układów, by zwrócić choćby cień uwagi na twojego piezzonego pawia.

– ...zauważają, jak doskonałe są moje grzanki...

– Nie liczyłabym na to, że grzanki uda ci się zaserwować na ciepło, biorąc pod uwagę fakt, że nie wiadomo, przez ilu służących i próbowaczy będą musiały przejść. Zimne posiłki, Marco! Sałaty! I sosy, na których nie utworzy się kożuch, kiedy ostygną!

– ...a potem, jeśli choćby jeden z nich zapamięta moje imię i dania, które podałem...

Marcowi aż rozbłyły oczy, kiedy uderzył się wielką pięścią w otwartą dłoń. Wiedziałaam doskonale,

co widzi oczyma duszy: gotowanie nie tylko dla kuzynki kardynała, lecz dla samego kardynała. A może nawet dla przyszłego papieża, kimkolwiek ten miałby się okazać. Zdecydują o tym zgromadzeni na konklawe kardynałowie zamknięci razem na dzień, tydzień, miesiąc czy też ile tam miałoby zabrać uzyskanie większości. Podparłam podbródek dłonią i z rezygnacją spoglądałam na swojego kuzyna.

– Krokiety z farszem z jesiotra. – Marco pstryknął palcami. – Carmelina, przepis, pozwól mi rzucić okiem. Czy w farszu jest mięta, słodki majeranek i krwiściąg?

– Dodałabym też odrobinę dzikiego tymianku. – Przerzuciłam do zagiętej strony zbiór przepisów ojca i zajęłam się odczytywaniem zaszyfrowanych linijek (strona dwieście dwudziesta siódma, rozdział *Ciasta*). – I pamiętaj, żeby zwijać je jak rożki wafłowe, zobacz... Tylko że krokiety z jesiotrem są o wiele za wykwintne. Ja bym podała po prostu dobry pieczony drób.

Marco snuł zbyt ambitne plany, by w ogóle mnie usłyszeć, i z czasem zaraził mnie swoim entuzjazmem. W efekcie do późnej nocy wertowaliśmy przepisy mojego ojca i pakowaliśmy potrzebne półmiski, składniki, przyprawy i kuchenne utensylia, którymi zamierzał obarczyć świętę kardynała. Do rozpoczęcia konklawe pozostało jeszcze co najmniej dziesięć dni – musiał minąć okres tradycyjnej żałoby po śmierci papieża – ale Marco już teraz miał się przenieść do rezydencji kardynała Borgii.

– A ty tu będziesz w moim imieniu doglądać kuchni, dobrze? – zreflektował się Marco. – Trzymaj uczniów w ryzach. Będziesz musiała gotować tylko dla pani Adriany, pani Giulii i dzieci...

– Myślę, że pod twoją nieobecność zdołam nakarmić cztery osoby.

– Bez wątpienia – zaśmiał się Marco. – Dobrze, że nie jesteś mężczyzną, kuzyneczko, bo obawiałbym się o swoją posadę.

– Gdybym była mężczyzną, słusznie byś się obawiał – odparowałam. Mogłam się już z nim droczyć bez lęku, że zobaczę w jego oczach rozżalenie. Marcowi może i nie podobał się sposób, w jaki wpakowałam się w jego życie, ale ostatecznie był zbyt łagodny z natury, by długo chować urazę. – Naprawdę powinienes już iść, Marco. Zanim kardynał Borgia w ogóle zacznie myśleć o konklawe, musi odprawić uroczystości pogrzebowe, więc dziś wieczór na pewno będzie oczekiwał ciepłego posiłku.

Marco wstał i się wyprostował.

– Pamiętaj – powiedział, ujmując moją twarz w dłonie i potrząsając nią żartobliwie, by podkreślić swoje słowa. – Licz dwa razy wszystkie przyprawy albo pani Adriana potrąci ci z pensji.

– Nie dostaję pensji.

– Więc potrąci mi z mojej. – Stał, nadal trzymając moją twarz w dłoniach. – Wiesz, Carmelino, ciesz się, że nie jesteś mężczyzną. Wolę cię taką. Powinienem był

zwracać na ciebie baczniejszą uwagę, kiedy plątałaś się pod nogami w kuchni twojego ojca. Straszonym byłaś chudzielcem.

– Dalej jestem – zauważyłam. – Moja siostra ciągle mi powtarzała, że jestem cienka jak igła.

Marco nie słuchał.

– Powinienem...

Co? Ożenić się ze mną, kiedy byłeś uczniem? Przyjąć w posagu moje zręczne dłonie? Gdybyś to zrobił, być może i tak stalibyśmy w tej kuchni, ale mielibyśmy dzieci i zbyt bylibyśmy zajęci doglądaniem ich, żebym mogła mieć sposobność krycia cię, gdy gra w kości zaczynała cię odciągać od przyjęć, które miałeś przygotowywać. Nie, tak było lepiej.

– Czas się zbierać – powtórzyłam i by uwolnić się od jego dotyku, ostentacyjnie zaczęłam ścierać kurz ze stołu. Miałam nadzieję, że rychło w czas, by nie poczuł rumieńca rozgrzewającego mi policzki, które trzymał w dłoniach. Mój kuzyn był głupkiem, ale przystojnym, z tą czarną czupryną spadającą mu na oczy. A ja nie byłam całkiem niewrażliwa na dotyk przystojnego mężczyzny – nawet jeśli czerpiąc przyjemność z tego rodzaju dotyku, popełniałam daleko poważniejszy grzech teraz, niż gdy byłam młodą dziewczyną. Biorąc pod uwagę to, kim się stałam.

Nie miało sensu rozmyślanie nad tym, kim się stałam, skoro już przestałam być niewinną dziewczynką.

– Chcesz, żebym obstawił za ciebie zakład, kto

zostanie nowym papieżem? – zapytał Marco, wciskając się w swój dublet. – Obstawiają kardynała Sforzę, trzy do jednego!

Czułość w jego spojrzeniu, jak zauważyłam z pewnym rozbawieniem, już zniknęła.

Marco również zniknął – nazajutrz o świcie, kiedy rozpoczęły się uroczystości pogrzebowe, a w Kaplicy Sykstyńskiej przed zbliżającym się konklawe zbudowano ciasne, drewniane klitki do głosowania. Panująca w kuchni cisza wytrącała mnie z równowagi. Po całym tym zamieszaniu związanym z długo oczekiwaną śmiercią papieża teraz nie pozostawało nic innego jak czekać. Połowa moich uczniów – to znaczy uczniów Marca – nawet się nie pojawiła w kuchni, a ja sama zwolniłam resztę po podaniu drugiego śniadania. Pognali, żeby zobaczyć kondukt żałobny papieża Innocentego i poplotkować o tym, kogo konklawe wybierze na jego następcę.

Ile to wszystko miało jeszcze potrwać, tego nie wiedziała prawdopodobnie nawet sama święta Marta. Słyszałam o jednym konklawe, które ciągnęło się dosłownie latami, ale żyliśmy w czasach naznaczonych większym pragmatyzmem. Gdyby głosowanie przeciągało się ponad miarę, Marco mógłby sobie odpocząć, bo posiłki kardynałów zostałyby ograniczone do chleba, wody i wina do czasu wybrania przez nich nowego papieża.

Mimo to, kiedy już zaczęłam przygotowywać obiad

dla pani Adriany i jej stadka podopiecznych z rodziny Borgiów, nie mogłam się powstrzymać od wymyślenia jadłospisu.

– Co byś podała ogarniętym żądzą władzy duchownym cierpiącym na niestrawność wywołaną gorączką głosowania? – zapytałam świętą Martę, której zasuszoną rączkę umieściłam w ozdobnym pudełku na półeczce z przyprawami. Uznałam, że to znacznie godniejsze dla niej miejsce niż skrytka pod fartuchem, gdzie ją poprzednio trzymałam. A gdyby ktoś ją zobaczył... No cóż, połowa służących w tym domu nosiła przy sobie jakieś relikwie na szczęście. Nikt nie miałby powodu zakładać, że akurat moja została zdobyta nieco bardziej nielegalnie niż pozostałe. – Myślisz, że klarowny bulion byłby najlepszy? – ciągnęłam. – Coś bardzo lekkiego i rozgrzewającego na podrażniony żołądek i jeszcze bardziej podrażnione sumienie...

– Z kim rozmawiasz?

Odwróciłam się od blatu i zobaczyłam stojącą w kuchennych drzwiach panią Giulie, opartą jedną ręką o futrynę i pytająco przekrzywiającą złotą główkę. Dygnęłam, ale machnęła ręką jak zawsze.

– Nie chciałam ci przeszkadzać, Carmelino. Zeszłam tylko na dół po coś słodkiego do pogryzania. Dzwoniłam na pazia, ale jakoś nie przyszedł. Pewnie tłoczy się teraz na placu z całą resztą, czekając na biały dym. Uznałam więc, że mogę równie dobrze sama zejść

na dół. – Rzuciła tęskne spojrzenie w kierunku placu. – Też chciałabym tam być.

– A nie możesz, pani? – Weszłam do spiżarki w poszukiwaniu czegoś słodkiego. Skończył mi się jej ulubiony marcepan, ale miałam jeszcze pół zimnej tarty truskawkowej z polewą z miodu i cytryny.

– Obiecałam, że nie będę wychodzić z pałacu. – Skrzywiła się. – Pani Adriana, Lukrecja i ja mamy nie wychylać nosa za mury, dopóki uroczystości pogrzebowe i konklawe się nie zakończą. Mamy nie chodzić nawet do spowiedzi. Rodrigo mówi, że w tej chwili to zbyt niebezpieczne.

Zauważyłam, że zupełnie nieświadoma wrażenia, jakie to wywołuje, wymówiła imię wszechwładnego kardynała Borgii. Służący robili zakłady, jak długo synowa pani Adriany zdoła mu się opierać... Marco stracił tygodniową wypłatę, kiedy mimo upływu miesiąca Giulia jeszcze (z tego, co było nam wszystkim wiadome) się nie poddała. Może sama powinnam się założyć, że twierdza Farnese w końcu skapitułuje...

Pani Giulia wybrała truskawkę z wielowarstwowej tarty i wrzuciła ją sobie do ust.

– Co to jest? To, co teraz przygotowujesz?

– Część twojego najbliższego posiłku, pani. – Dodałam kilka szczypt cukru i zaczęłam wbijać do tego jajka. – Frittelle z czarnym bzem.

– Nie widzę tu żadnego czarnego bzu. Tylko ser.

– Kwiaty czarnego bzu moczą się w zimnym mleku.

Dodam je do ciasta z odrobiną szafranu, a potem zagniotę ciasto w kulki i usmażę je na maśle. Teraz potrzeba troszkę więcej cukru.

– Skąd wiesz? Przecież nawet nie spróbowałaś?

– Po prostu wiem.

Dodałam jeszcze szczyptę.

– Nie musisz tego odmierzyć?

– Potrzebowałam tylko szczyptę.

– I to też tak po prostu wiesz?

– Tak, pani.

– Możesz mi pokazać, jak to się robi? Kiedy Rodrigo wróci, będę mu mogła podać talerz własnoręcznie przyrządzonych frittelli. Myślę, że go to ucieszy.

– Jego Eminencja nie przywiązuje wagi do rozkoszy podniebienia. Jeśli chodzi o jedzenie, ma bardzo pospolite upodobania.

Prawdopodobnie tylko w tej dziedzinie jego upodobania były tak mało wyrafinowane. Jeśli chodzi o wina, ozdoby i kochanki, upodobania miał nad wyraz wyszukane.

– Nauczysz mnie? – Jej twarz przybrała błagalny wyraz. – Proszę!

Uległam i po chwili moja rozchichotana pani stała obok mnie gotowa do pracy, przepasawszy swoje jedwabie jednym z moich fartuchów. W jakim przedziwnym znalazłam się domu, którego pani nie tylko zaoferowała się potencjalnemu papieżowi jako

kochanka, ale i własnej kucharce jako uczennica.

– Zmieszaj te dwa kremowe sery, pani – poleciłam i zaczęłam jej pokazywać, jak powinna je zagnieść razem.

– Nie przeszkadzam ci, prawda? – Już zdążyła sobie ubrudzić fartuch serem. – Bardzo bym nie chciała, żebyś przeze mnie się z czymś spóźniła...

– Przy tak ograniczonej liczbie domowników nie mam w tej chwili żadnej pilnej pracy do wykonania. Przyłóż się bardziej do zagniatania, pani, bo na razie ten ser zaledwie poklepujesz... – Sięgnąłem po naczynie z bułką tartą. – Przez cały ranek zastanawiałam się, co podałabym kardynałom, gdyby do gotowania podczas konklawe wezwano mnie zamiast mojego kuzyna. To bardzo ryzykowna sprawa takie przyrządzanie kolacji dla kolegium zdenerwowanych staruszków knujących jak dzień długi.

– Kardynał Borgia nie jest taki znowu stary. – Pani Giulia spłoniła się na wspomnienie o czymś najwyraźniej bardzo rozkosznym. – Co byś podała na konklawe?

– Nic wyrafinowanego... Dodaj teraz odrobinę bułki tartej, a potem odmierzymy odpowiednią ilość kwiatów czarnego bzu. – Rozsypała bułkę tartą wszędzie wokół i przewróciła miseczkę z mlekiem, na szczęście już po tym, jak wyjęłam i odcedziłam moczące się w niej kwiaty. – Na początek, tak sobie myślę, podałabym prosty gęsty kleik ryżowy z mleczkiem

migdałowym. Jest raczej mdły w smaku, ale jednocześnie bardzo kojący, a przecież zanim to głosowanie dobiegnie końca, połowa kardynałów dorobi się wrzodów żołądka. No to teraz znów musisz mocno zagnieść całą tę masę na frittelle i wyłożyć ją na blat... Za szybko, za szybko! – Uratowałam ciasto przed upadkiem na podłogę, zanim podzieliło los mleka. – Po kleiku kapłon z różną skropiony odrobiną soku z limonki i niczym ponadto. Truciznę bez trudu można przemycić w ostrym sosie.

– A kardynał mówi, że puste przestrzenie w drobiowych tuszkach nadają się znakomicie do przekazywania innym kardynałom łapówek. – Giulia przysunęła sobie naczynie z mąką i zanurzyła w nim swoje różowe paluszki, posypując zdecydowanie zbyt hojnie blat, podłogę i własną suknię. – Wszystkie ptaki są podobno sprawdzane, ale mówi, że zawsze można ukryć kawałek papieru pod skrzydłem.

– A zatem kapłon, ale nie nadziewany. – Zabrałam jej mąkę, bo jeszcze chwila, a zaczęłybyśmy w niej brodzić. – Teraz rozwałkuj ciasto na blacie... Niezbyt mocno... Musisz zasklepić tę dziurkę tutaj, gdzie ciasto jest zbyt cienkie... – Z garści ciasta utoczyłam zgrabną, małą kulkę. – W taki sposób. Kapłon bez farszu, zwykła sałata i kwiaty ogórecznika... Ogórecznik dodaje odwagi, a tej z pewnością będą przed głosowaniem potrzebowali. I zwykłe cukrzane biscotti na deser, bo cukier wspomaga trawienie.

– Podejrzewam, że jest to niezwykle stresujące – powiedziała Giulia ze smutkiem w głosie. Spod jej miękkich dłoni wyszedł już cały stosik niekształtnych kuleczek ciasta. – Jak tylko papież umarł, kardynał Borgia zniknął jak zaklęty. – Moja pani westchnęła cicho. – Mam nadzieję, że później, niezależnie od tego, jak się to wszystko potoczy, znajdzie dla mnie trochę czasu.

Zamyśliłam się. Ciekawe, czy jej kardynał ma jakiegokolwiek szanse na objęcie zwierzchnictwa Kościoła. A jeśli tak, to w jakiej sytuacji znajdzie się jego kochanka, nawet tak piękna jak ta? Papież musi zachowywać przynajmniej pewne pozory cnotliwości. Nieślubne dzieci można przemycić jako siostrzenice i bratanków, ale jak ukryć kochankę? Giulii Farnese nie dałoby się raczej ukryć jako jakiejś tam siostrzenicy.

Nie śmiałam jednak zapytać.

– Bardzo dobrze – pochwaliłam zamiast tego jej kupkę bezkształtnych frittelli z kwiatami czarnego bzu, zastanawiając się jednocześnie, co ewentualnie innego mogłabym podać na obiad, gdyby w smaku okazały się równie koszarne, jak wskazywał na to ich wygląd.

– A zatem to ty musisz być konkubina – odezwał się niski głos spod drzwi.

Giulia i ja odwróciłyśmy się jak na komendę. Ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma opierał się o framugę bardzo niski człowieczek. Miał na sobie znoszony dublet i nędzne buty, a u jego stóp spoczywał

zakurzony węzełek, co ogólnie sprawiało wrażenie, jakby wszedł tu prosto z ulicy. Głęboko osadzone pod wydatnym czołem piwne oczy przewiercały Giulie chłodnym spojrzeniem.

– Nazywam się Giulia Farnese – rzekła, unosząc głowę w zdumieniu i otrzepując mąkę z pożyczonego ode mnie fartucha.

– Kardynalska konkubina – powiedział. – Wiem, kim jesteś. A ja jestem Leonello. – Ukłonił się ze zdumiewającą gracją. – Twój nowy osobisty strażnik.

Nie potrafiłam ukryć sceptycyzmu aż nazbyt zapewne widocznego w moim spojrzeniu i widziałam, że Giulia również ma z tym kłopoty. Karzeł w roli strażnika?

– Możecie powiedzieć to głośno. – Wyglądał na rozbawionego. – Ciut jestem za krótki na tę robotę.

– No cóż, ja tego nie powiedziałam. – Giulia pochyliła się i podniosła kota z oberwanym uchem, który pojawił się niepostrzeżenie i teraz przymilnie ocierał się o jej suknię. – Nie wydawało mi się to zbyt grzeczne. Chociaż nie było również grzecznie z twojej strony nazwać mnie konkubiną, panie Leonello.

– Po prostu Leonello. – Podniósł tobołek i wszedł do mojej kuchni, po czym zwinnie wpakował się na krzesło. Nogi dyndały mu jak dziecku. – A ty wszak jesteś konkubiną. Podobnie jak ja, co wyraźnie widać, jestem karłem. Karłem dość jednak zręcznie posługującym się nożami. Żaden napastnik nie

dostrzeże, że w ogóle tu jestem, zanim nie przypłaci tej wiedzy życiem.

– Zabijałeś już wcześniej? – Pytanie wymyknęło mi się mimowolnie.

– Tak – odpowiedział bez ogródek i bez pytania wziął sobie jabłko z miski, którą odstawiłam na bok z myślą o crostacie. Właśnie w tym momencie przestałam go lubić.

Giulia jednak obdarzyła go przyjaznym uśmiechem, nie przestając drapać pod brodą kocura, który mruczał i prężył się dla niej zupełnie jak jej kardynał.

– Czy kardynał Borgia wynajął cię, żeby mnie chronić?

– Tak, ciebie i jego córkę. Nie poznałem jeszcze córki.

Wyjął mały kozik z rękawa i zgrabnie obrał jabłko ze skórki. Paluchy miał krótkie i grube, ale jednocześnie nad wyraz zręczne. Operował nożem, nawet na niego nie patrząc, a jego baczne spojrzenie lustrowało Giulie od czubka głowy po czubki pantofli.

– Niegrzecznie jest się tak gapić – obsztorcowałam go sucho i błyskawicznie odsunęłam na bok frittelle Giulii, próbując naprawić co nieco pod jej nieuwagę.

– Widziałem cię już wcześniej – powiedział karzeł do Giulii, zupełnie mnie ignorując, i odgryzł kęs jabłka.

– Widziałem w maju twój orszak weselny... Dłuższą chwilę zajęło mi przypomnienie sobie twojej twarzy.

Przyznaję, że podczas przemarszu orszaku nie na nią patrzyłem.

Wzdrygnęłam się na to zamierzone grubiaństwo, ale Giulia tylko się roześmiała, nie sprawiając wrażenia obrażonej.

– Przynajmniej się do tego przyznajesz! Juan Borgia tylko ślini się po kątach, sądząc, że tego nie widzę.

– Jeszcze go nie spotkałem, ale coś mi się zdaje, że nie będzie to miłe doświadczenie. Czy poznałaś już jego starszego brata?

– Cezara Borgia? Nie, ale słyszałam, że powrócił z Pizy. Lukrecja go uwielbia. Jaki jest?

– Z pewnością nie jest to typ śliniącego się lubieżnika. – Leonello schrupał jabłko aż do ogryzka, po czym przeniósł wzrok z Giulii na mnie. – A kim ty jesteś, moja bardzo wysoka damo, oprócz tego, że jesteś kucharką?

– Tylko kucharką. – Zaczęłam topić bryłkę masła na patelni, przesuwając ją po niej, gdy zaczynała skwierczeć. – Właściwie nawet nie kucharką. Kuzynką kucharza.

– Carmelina Mangano – powiedziała Giulia ciepło. – Najlepsza kucharka w Rzymie. Jeśli mi nie wierzysz, spróbuj kiedyś jej tarty truskawkowej.

– Nie, bardzo dziękuję. – Obrzucił mnie sceptycznym spojrzeniem. – Daleko zawędrowałaś od domu. Wenecja?

– Skąd...?

– Akcent. Grałem w karty ze zbyt wieloma weneckimi żeglarzami.

Znów sięgnął do miski z jabłkami.

– Zostaw – prychnęłam. – To jest do crostaty z jabłek i pigwy.

– A, to bardzo przepraszam. – Wrzucił jabłko z powrotem. – A zatem weneckanka. Ale Mangano to chyba nie jest weneckie nazwisko?

– Sycylijskie – odparłam szorstko i wrzuciłam pierwszą porcję frittelli na gorące masło. – Mój ojciec urodził się w Palermo. Ale karierę zrobił w Wenecji.

– Kolejny kucharz bez wątpienia. – Leonello przeniósł spojrzenie na moje poznaczone kuchennymi bliznami dłonie, po czym podniósł wzrok. – Obciął ci włosy, żeby nie wpadały do garnków?

Dotknęłam włosów dłonią. Zakrywałam je, kiedy po kuchni plątali się Marco i pomywacze, ale kiedy miałam ją całą dla siebie, zdejmowałam noszoną zazwyczaj przepaskę. Czarne loczki sterczały we wszystkie strony.

– Mnie się podobają. – Giulia zauważyła moje niezręczne milczenie i wzięła mnie w obronę. – Na pewno w kuchni są znacznie praktyczniejsze. I założę się, że ich suszenie nie trwa godzinami, jak moich. Czy mogę usmażyć następną porcję frittelli?

– Z takimi włosami jesteś albo kucharką, albo zakonnicą, albo niedawno byłaś chora – ciągnął

karzełek, uśmiechając się do mnie szeroko, kiedy przekazywałam patelnię mojej pani. – Albo też gustujesz w przebieraniu się podczas karnawału za mężczyznę. Różne rzeczy się słyszy o weneckich kobietach...

Poczułam nagły niepokój. Przysięgam, że go wyczuł, bo przekrzywił głowę tak, jakby próbował odczytać moje myśli. Albo odkryć moje tajemnice.

– Po wyjeździe z Wenecji musiałam podróżować samotnie – powiedziałam w końcu, przenosząc wzrok na patelnię Giulii. Wrzuciła zdecydowanie zbyt dużo frittelli, które dymiły teraz w zdecydowanie niepożądany sposób. – Uznałam, że bezpieczniej będzie podróżować w męskim przebraniu. Trzeba je zamieszać, pani Giulio...

– Z pewnością – zgodził się karzeł, odchylając się na krześle tak, że kiwało się teraz na dwóch nogach. Mimo niskiego wzrostu i przerośniętej głowy był nieomal przystojny. Piuwe oczy uderzająco kontrastowały z ciemnymi włosami, a rysy twarzy mimo wydatnego czoła były męskie i regularne. Ale kiedy tak siedział przy moim stole i obracał w krótkich palcach wąski nóż, mój niepokój przerodził się w strach. Nie podobał mi się. Nie podobała mi się jego twarz, nie podobał mi się sposób, w jaki bawił się tym nożem, nie podobało mi się to, jak gapi się na mnie z niespieszną ciekawością, jakbym była jakimś nietypowym okazem, który należałoby zbadać. Święta Marto, miej mnie w swojej opiece, nie mogłam sobie pozwolić na to, by

ktokolwiek mnie rozgryzał dla zaspokojenia próżnej ciekawości! Nie mogłam sobie pozwolić na to, by zdemaskowano mnie jako kogoś innego niż kucharkę.

– Spaliłam frittelle – oznajmiła żałośnie Giulia, nieświadoma naszej wymiany spojrzeń. Trąciła przypalone kulki na patelni. – Może dałoby się zdrapać te przypalone kawałki... Pozwól, że spróbuję jeszcze raz.

– Następnym razem, pani Giulio – powiedziałam pogodnie, uniemożliwiając jej podpalenie całej kuchni. Jak udało jej się doprowadzić do tego, że te małe kluseczki były jednocześnie surowe i spalone? – Czy nie chciałabyś przedstawić panu Leonellowi panny Lukrecji?

– Tak, myślę, że należałoby to zrobić. Jest na górze z Jofrém i nauczycielem, tłumaczą Homera...

Giulia odwiązała fartuch, wzięła przyjaźnie pod ramię swojego nowego, małego strażnika i wyprowadziła go z kuchni. Leonello spojrzał na mnie przez ramię leniwie jak lew, po którym wziął imię.

Zostaw mnie w spokoju! – nieomal to wykrzyczałam. Po prostu zostaw mnie w spokoju!

Nie sądziłam jednak, by ten dziwnie niebezpieczny człowieczek miał taki zamiar.

Giulia

Widzę, widzę! – Głos małej Lukrecji przeszedł w pisk. Zamachała na mnie ręką. – Biały dym!

– Gdzie? – Wstałam tak gwałtownie, że robótka wypadła mi z rąk, i podeszłam szybko do balustrady tarasu, z którego Lukrecja wychylała się tak mocno, że dla bezpieczeństwa pospiesznie złapałam ją za rękaw nocnej koszuli.

– Tam, tuż powyżej placu Świętego Piotra...

– Biały dym? – Pani Adriana zaczęła się podnosić zza stołu, na którym bez przekonania rozgrywała z małym Jofrém partię szachów, ale znudzony głos powstrzymał nas wszystkich w pół gestu.

– To chmura.

Odwróciłam się do mojego nowego strażnika.

– Skąd możesz wiedzieć, skoro nie wystawiasz nosa z książki?

– Bo nawet jeśli doszło do wyboru papieża, nie wypuszczą białego dymu aż do świtu. – Leonello przewrócił stronę książki, którą bez pytania pożyczył z biblioteki pani Adriany. – Nikt nie dostrzeże białego dymu, dopóki nie zrobi się jasno, więc jaki sens ma rozpalanie ognia, zanim tłum tam na dole będzie mógł zobaczyć dym?

– Przestań się wymądrzać – ucięłam i opadłam na krzesło. Lukrecja wypuściła powietrze z płuc i z powrotem zajęła miejsce na swoim punkcie obserwacyjnym. Pani Adriana, podrygując papilotami, wróciła do gry w szachy, a mały Jofré ziewnął szeroko. Świat tonął jeszcze w ciemnościach, ale z powodu napięć ostatniego tygodnia i letniej duchoty, która nie

ustępowała nawet nocą, żaden z domowników nie mógł spać. Pierwsza wyszłam z łóżka, narzuciłam jedwabną seledynową narzutkę na nocną koszulę i na palcach wśliznęłam się do loggii na samym szczycie pałacu. Lukrecja zakradła się tutaj zaraz po mnie, z włosami zaplecionymi do snu w warkocz, ciągnąc za sobą śpiącego Jofrégo, a wkrótce dołączyła do nas pani Adriana w szerokiej, wydymającej się koszuli.

– Wy, dzieci, powinniście być teraz w łóżkach – powiedziała z przyganą w głosie, ale już po chwili poleciła przynieść świece, wino i talerze pieczonych kasztanów, by zadbać o nasze dobre samopoczucie, kiedy tak czujnie obserwowaliśmy Bazylikę Świętego Piotra. Skrzywiłam się, gdy zobaczyłam tacę z kasztanami, bo pomyślałam o biednej kucharce Carmelinie, która musiała zwlec się z łóżka i pognać na dół tylko po to, żeby nas nakarmić, ale może ona również nie spała? W ciągu tych sześciu ostatnich dni, kiedy to kolegium złożone z dwudziestu trzech kardynałów obradowało w ramach konklawe za zamkniętymi drzwiami Kaplicy Sykstyńskiej, służący równie często jak ja kręcili się w pobliżu okien, czekając na pojawienie się pióropusza białego dymu. Przez trzy dni z rzędu pojawiał się czarny dym i za każdym razem towarzyszył mu wybuch okrzyków rozczarowania, które podnosiły się na ten widomy znak, że kolejna runda głosowania nie zakończyła się wyłonieniem kandydata popieranego przez większość.

Biały dym oznaczałby, że mamy nowego papieża.

Bardziej niż kiedykolwiek obchodziło mnie, kto okaże się tym nowym papieżem.

– Sześć dni! – zirytowałam się. – Czy konklawe zazwyczaj tyle trwa? – Od wyboru ostatniego papieża minęło osiem lat i szczerze mówiąc nic z tamtych wydarzeń nie zapamiętałam. Jakie znaczenie miał papież dla dziesięciolatki dorastającej w niedużym, sennym Capodimonte?

– Ostatnie konklawe trwało zaledwie cztery dni. – Mój mały strażnik przewrócił kolejną stronę swojej książki. – Było też, oczywiście, takie konklawe, które trwało dwa lata, uznano jednak, że to nieco za długo. W końcu kardynałów zamknięto na cztery spusty, zdjęto dach z sali do głosowania i powiedziano im, że będą tak siedzieć pod gołym niebem, dopóki nie wybiorą papieża. Kilka gwałtownych ulew znakomicie wzmogło ich koncentrację.

Nigdy nie potrafiłam stwierdzić, kiedy Leonello żartuje. Cokolwiek mówił, nie zmieniał zwykłego, kulturalnego tonu głosu. I tylko szczególny błysk głęboko osadzonych piwnych oczu sugerował, że w duchu się śmieje. Po sześciu dniach przebywania w jego towarzystwie musiałam przyznać, że śmiał się głównie ze mnie, ale za bardzo go polubiłam, żeby się tym przejmować. Siedział teraz z nogami opartymi na niewielkim stoliku i przewracał krótkimi palcami stronicę tomiku wierszy przy świetle rzucanym przez

osadzone w lichtarzu świece. Ktoś mu znalazł czystą koszulę i używany dublet z bykiem Borgiów, które to części ubioru pospiesznie dopasowano do jego małego ciała, ale buty miał nadal nędzne.

– Lepiej, żeby to konklawe nie trwało aż dwa lata. – Podniosłam robótkę, ale za bardzo byłam roztrzęsiona, żeby nad nią teraz pracować. – Nie wytrzymam dłużej tej niepewności.

Leonello spojrział na mnie znad książki.

– Chcesz, żeby kardynał Borgia wygrał?

– Czyż nie wszyscy tego chcemy? – odpowiedziałam pytaniem.

Pani Adriana z pewnością. Nieustannie zerkając na czarne niebo nad bazyliką, z trudem koncentrowała się na grze w szachy. Z pewnością chcieli tego Lukrecja i jej bracia. Bez przerwy szeptali tylko o tym, że ich papa będzie wkrótce Il Papa. Nawet teraz Lukrecja znów wychylała się za barierkę loggii, wpatrując się w niebo.

– Wątpię, czy chcesz, żeby wygrał – powiedział karzeł. – Papież nie miewają kochanek, czyż nie?

– Mogą mieć dzieci! – Uniosłam głowę wysoko. – Papież Innocenty miał ich szesnaścioro.

– Och, błędy młodości to zupełnie co innego. Od młodego człowieka wręcz oczekuje się, że rozpoczynając swoją karierę, będzie utrzymywał jedną czy dwie kochanki. A im wyżej w hierarchii, no cóż... Kardynałowi może ująć płazem utrzymywanie takiego haremu. – Leonello szerokim gestem objął

pomieszczenie pełne kobiet i dzieci. – Ale umieszczenie tego haremu w Watykanie...

Rodrigo mnie nie porzuci. Nie po tych wszystkich godzinach, które spędziliśmy w jego opuszczonym pałacu na czarno-białym łożu... i na podłodze obok niego... i na rozgrzanej letnim słońcem trawie ogrodu, gdzie pszczoły zataczały się jak pijane, oszołomione wonią skąpanych w upale róż. Nie po tym, jak owinął sobie moje włosy wokół dłoni i wymruczał po katalońsku, jaka jestem piękna. Nie po tym, jak dał mi odczuć, jaka jestem piękna, gdy jego leniwe dłonie przesuwały się po moich nagich ramionach i niespiesznie badały delikatną skórę w zgięciu łokcia.

Nie widziałam go jednak od dnia, w którym wsadził mnie na mojego nowego konia, ucałował moją dłoń i wysłał mnie z powrotem do Palazzo Montegiordano. Papież umarł zaledwie kilka dni później, a mój kardynał zniknął w Watykanie, przygotowując uroczystości żałobne i następujące po nich konklawe. Dostałam jedynie krótki, napisany w pośpiechu liścik: „Nie wychodź z pałacu, dopóki pogrzeb i konklawe się nie skończą. Na ulicach nie jest bezpiecznie, a nie dopuszczę do tego, żeby tobie albo dzieciom coś się stało. Przyślę ci strażnika”. To chyba miało oznaczać, że mnie nie porzuci, nawet gdyby został papieżem. „Pragnę cię bardziej niż papieskiej tiary” – to były jego własne słowa.

Ale co ty właściwie wiesz o mężczyznach? –

szepnął bezlitośnie cichutki głosik w mojej głowie. Ostatnim mężczyzną, z którym wiązałaś swoją przyszłość, był Orsino Orsini, który cię sprzedał za obietnicę kariery. Kto ci zagwarantuje, że Rodrigo postąpi inaczej? Wszak w świecie chrześcijańskim tron papieski był najwyższym wyróżnieniem. Z pewnością wartym jednej zwyczajnej, złotowłosej dziewczyny, niezależnie od tego, jakie w trakcie miłosnych uniesień złożyło się jej obietnice.

Może na końcu nie zostanie mi nic poza Orsinem? Orsinem i jego niezdarnymi dłońmi, zezowatym spojrzeniem i drżącym głosem... Tylko że teraz wszyscy w Rzymie będą wiedzieli, że oddałam się najpierw człowiekowi, który został papieżem.

– Czy to prawda, *sorellina*? – ryknął na mnie Sandro nie dalej jak wczoraj po południu. Miałam wątplą nadzieję, że gdy wróci do Rzymu, nie dotrą do niego plotki na temat jego małej siostrzyczki, lecz nadzieja zbladła i zgasła w chwili, w której zobaczyłam Sandra wkraczającego do ogrodu Palazzo Montegiordano, gdzie wystawiałam swoje włosy na słońce. – Kardynał Borgia? Zmusił cię, prawda? Nigdy byś się nie oddała temu staremu skurwysynowi. Jeśli cię zmusił, to zapłaci za to głową! Zasadzę ją w doniczce bazylii, jak to było z Izabelą i Lorenzem...

– Sandro, przestań wrzeszczeć. To nie jest odpowiedni moment na melodramatyczne sceny. – Wzięłam głęboki oddech, żeby opanować ucisk

w żołądku, i zaczęłam składać swoje starannie przygotowane wyjaśnienia, ale mój brat wciąż miotał się po ogrodzie, patrzył na mnie wilkiem i co rusz wpadał mi w słowo, klnąc jak szewc.

– Nigdy nie sądziłem, że jesteś na tyle głupia, żeby złamać przysięgę małżeńską! I to dla człowieka, który miał więcej kochanek niż Zeus!

– Jaką przysięgę małżeńską? – wtrąciłam w rozgoryczeniu i wyszła na jaw kwestia udziału w tym wszystkim Orsina, w wyniku czego mój brat przestał (w dużej mierze) wyładowywać swoją wściekłość na mnie.

– Ten hiszpański dziwkarz ma szczęście, że siedzi teraz zamknięty w Kaplicy Sykstyńskiej – powiedział mój brat ponuro na odchodnym. – Inaczej bym go dopadł i wykastrował jak Abelarda. Stosuje się to w dwójnasób do tego pętaka bez kręgosłupa, który jest twoim mężem.

– Nic takiego nie zrobisz i świetnie o tym wiesz! Orsini i Borgiowie to bardzo potężne rody...

– Ale jeśli zamierzają w zмовie hańbić moją siostrę, to zaraz się dowiedzą, że nie ujdzie im to na sucho!

Mogłam tylko przełknąć ślinę i wymamrotać modlitwę w intencji bezpieczeństwa Sandra. Dobywanie sztyletu w obronie czci niewieściej... W pieśniach brzmiało to znakomicie, ale w realnym życiu robiło mi się niedobrze ze strachu na samą myśl o tym, że mój

starszy brat mógłby zginąć w jakimś zaułku tylko dlatego, iż wdał się w spór z jednym z najpotężniejszych rzymskich kardynałów.

Tak czy inaczej, rapiery i sztylety musiały poczekać do zakończenia głosowania. Wszystko sprowadza się do tego przekłętą głosowania! Wybrałam sobie kolejny słodki pieczony kasztan. Zawsze jem, jak się denerwuję.

Leonello nie odrywał ode mnie wzroku, unosząc jedną brew, jakby czytał w moich myślach równie łatwo jak w leżącej przed nim książce.

– Skończ z tą telepatią – zażądałam.

– Wszystkie karły znakomicie czytają w myślach. Nie wiedziałaś o tym, pani?

Rzuciłam w niego ostatnim pieczonym kasztanem.

– Boże. – Złapał go zręcznie. – Co ty, dziecko jesteś? Konkubina potencjalnego papieża powinna zachowywać większą powagę, stosownie do pozycji społecznej swojego kochanka, jeśli nie własnej.

Pani Adriana syknęła na to grubiaństwo, ale ja się już do niego przyzwyczaiłam. Pierwszego popołudnia, które spędził w moim towarzystwie, brzdąkałam na lutni, starając się zapamiętać palcowanie nowej pieśni. Leonello słuchał przez godzinę, próbując czytać, aż w końcu odłożył książkę i zatkał sobie uszy kciukami.

– Iście kocia muzyka – wyznał szczerze. – Ale muszę przyznać, że kiedy tak sobie brzdąkasz, wyglądasz czarująco.

Zachichotałam i położyłam łagodnie palce na

strunach.

– Koszmarnie mi idzie, co?

– Torquemada potępiłby bez wahania to, co robisz temu biednemu instrumentowi – stwierdził Leonello i za to właśnie go polubiłam. Spędziłam w jego towarzystwie ponad dwa tygodnie i po cichej usłudności reszty służby jego obcesowość była odświeżająca jak łyk wody cytrynowej w letni dzień.

– Myślisz, że Jego Eminencja mnie rzuci? – zapytałam cicho, ku własnemu zdumieniu, swojego nowego strażnika, nie wypuszczając robótki z rąk.

– Ja bym nie rzucił. – Leonello wrócił już do swojej książki. – Ale nikt nie zaoferował mi godności papieża.

Skrzywiłam się, po czym zakląłam cicho, niechcący wbiwszy sobie w palec igłę.

– Och, Święta Panienko, poddaję się. Lukrecjo, chodź tutaj. – Odrzuciłam robótkę na bok. – Pozwól, że cię uczeszę. Ten warkocz zaczyna się rozplatać.

Skuliła się na taborecie przede mną.

– Może Leonello mógłby dla nas pożonglować? – zapytała Lukrecja.

Leonello, nawet nie podniósłszy głowy nad książki, odparł:

– Nie.

– Nie wszystkie karty zonglują – powiedziałam, rozplatając jej warkocz. – Tak jak nie wszyscy kardynałowie mają piękne blond córeczki.

– Nie wszyscy, tylko najlepsi. – Podskoczyła lekko na swoim taborecie. – Och, chciałabym, żeby Cezar i Juan przyszli tu i powiedzieli nam, co się dzieje! Cezar zawsze wszystko wie.

Szczerze mówiąc, cieszyłam się, że nie płacze się tutaj żaden ze starszych synów Rodriga. Starszego brata Juana poznałam w końcu, kiedy przyszedł odwiedzić swoją siostrę tuż po śmierci papieża Innocentego. Cezar Borgia miał równie kasztanowe włosy jak Juan, ale był wyższy i bardziej opanowany. Wystarczył mu jeden rzut oka, by przejść nade mną do porządku dziennego. Jeszcze jedna dziwka mojego ojca – mógłby równie dobrze powiedzieć – zanim zniknął z Juanem, by zająć się jakimiś tajemniczymi sprawami Rodriga. Nie minął nawet dzień od śmierci papieża, gdy Juan już się przechwalał, jakie to pilne zadania będzie realizował dla swojego ojca podczas konklawe, ale Cezar kazał mu trzymać język za zębami i zabrał go do załatwiania jakichś – nielegalnych zapewne – spraw.

Noc ciągnęła się w nieskończoność. Siedziałam i rozczesywałam srebrnym grzebieniem loki Lukrecji, Adriana zdrzemnęła się na swoim krześle, a Jofré zapadł w głęboki sen z głową na szachownicy. Leonello przyjrzał się bierkom rozstawionym wokół głowy chłopca i przesunął jedną czy dwie.

– Mat w dwunastu ruchach, zaczynając od tego skoczka...

Lukrecja paplała beztrąsko i bez wytchnienia.

– Ojciec mówi, że kiedy zostanie papieżem, to o moją rękę będą błagać książęta! Don Gaspare nie będzie dla mnie wówczas wystarczająco dobrą partią, twierdzi mój ojciec, chociaż nie wiem, czy chciałabym zerwać zaręczyny. Jedne zaręczyny już zerwałam, w zeszłym roku z Juanem de Centenelles...

Kiedy jej ojciec zostanie papieżem. Nie „jeśli”, lecz „kiedy”. Westchnęłam, przesuwając grzebieniem po jej włosach.

– Jeszcze kasztanów, pani Giulio? – zabrzmiał głos od wejścia do loggii i gdy obróciłam głowę, zobaczyłam stojącą z talerzem w dłoni kucharkę Carmelinę. Podobnie jak ja włożyła na nocną koszulę narzutkę.

– Wyciągnęliśmy cię z łóżka – powiedziałam ze skruchą. – Proszę, wracaj już teraz do siebie! Jak będziemy potrzebowały, same przyniesiemy sobie wino i słodycze.

– Nie ma o czym mówić, i tak zawsze wstaję przed świtem. – Podeszła do stolika i postawiła talerz z kasztanami obok szachownicy, a jej wenecki akcent wybrzmiał czysto niczym tamtejsze szkło. – Jakbyś tylko... Och, święta Marto, miej nas w opiece!

Usłyszałam żalosne „meee” i zobaczyłam koziołka przepychającego się obok spódnicy Carmeliny. Wielkouche stworzenie o bielutkiej, wełnistej sierści rozejrzało się i zameczało tak smętnie, że aż pani Adriana obudziła się z głośnym chrapnięciem.

– Co to? – zapytała gwałtownie.

Zachichotałam.

– Obiad. – Carmelina obrzuciła koziołka ponurym spojrzeniem. – Od wczorajszego wieczoru ciągle ucieka z kuchni i włóczy się za kim popadnie. Można by sądzić, że jest na tyle sprytny, że zorientował się, że skończy na rożnie naszpikowany farszem, ale z tego, co wiem, kozy mają raczej ptasie mózdzki. – Nagle jakby się zamyśliła. – Mózdzek też mógłby być całkiem smakowity... Drobnoposiekany z majerankiem i pietruszką...

– Nie możesz go zabić! – zaprotestowałam. – Popatrz na tę mordkę!

Koziołek wydał kolejne żalosne meknięcie. Carmelina spojrzała na niego z góry, podpierając się pod boki.

– Jak dla mnie wygląda jak kolacja, pani Giulio.

– Ale nią nie będzie. – Złapałam koziołka i ułożyłam go sobie na kolanach. Lukrecja zachichotała, kiedy zaczął ją skubać za rękaw, a ja pogłaskałam go po miękko opadających białych uszach. – Oficjalnie go ułaskawiam.

– Gdzie się podziewałaś, kiedy to mnie aresztowali? – wymamrotał Leonello, a może tak mi się tylko zdawało, bo od razu schował się na powrót za swoją książką.

– Co w takim razie mam przygotować na obiad? – zapytała Carmelina z irytacją w głosie. – Skoro nie mamy pieczonego koźlęcia, zostaje nam zupa jarzynowa

z grzankami.

– Jak dla mnie to w zupełności wystarczy – powiedziałam przymilnie, tuląc koziołka. – A dla ciebie, Lukrecjo?

– Nie, nie, proszę, nie zabijajmy go!

Carmelina spojrzała surowo na koziołka.

– Tym razem ci się upiekło – prychnęła i odwróciła się do wyjścia.

– Którego kandydata na papieża popierasz, *signorina cuoca*? – Leonello spojrzał na nią znad swojej książki. – Naszego kardynała Borgię? Czy jednego z twoich Wenecjan, kardynała Girarda, Zena albo Michiela?

– To nie moja sprawa – ucięła krótko.

– Gdybyśmy zajmowali się tylko swoimi sprawami, życie byłoby bardzo nudne. – Leonello uśmiechnął się leniwie. – Ja na przykład uważam, że twoje sprawy są bardzo ciekawe.

Carmelina spochmurniała i wyszła. Moja ulubiona kucharka zdecydowanie nie przepadała za moim aniołem stróżem. Za każdym razem, gdy się do niej zwracał, sprawiała wrażenie, jakby chciała go pogryźć.

– Nie powinieneś jej dokuczać – skarciłam go, kiedy drzwi się za nią zatrzasnęły. – Niemądrze jest obrażać kucharkę... Skończy się na tym, że będziesz dostawać tylko przypalony gulasz.

– Nie mogę się powstrzymać. – Spojrzał na drzwi, za którymi zniknęła Carmelina. – Dam sobie głowę

uciąć, że skrywa niejedną tajemnicę.

– Wszyscy mamy swoje sekrety. Ty nie?

– Och, całe mnóstwo.

– A zatem zdradź mi jeden z nich. Od ponad dwóch tygodni jesteś moim cieniem, a ja nic o tobie nie wiem.

– Jesteś pewna, że nie podmieniono cię w kołysce na jakieś wiejskie dziecko, pani Giulio? Wysoko urodzonych dziewcząt nie ciekawi życie ich służących.

– Niech ci będzie, zachowaj swoje tajemnice. – Pogłaskałam zwierzę leżące na moich kolanach, odwracając jego uwagę od podskubywania mojego rękawa. – Zdradź mi przynajmniej, co czytasz.

– Hymny homeryckie. – Leonello z uczuciem przesunął dłonią po kunsztownie tłoczzonej skórzanej oprawie. – Jeśli zagrzeję w tym domu miejsce na dłużej, przestanę widzieć świat poza książkami.

– Lubię poezję. Zwłaszcza Petrarcę. W każdym razie gdy jestem w odpowiednim nastroju.

– Ja nigdy nie mam odpowiedniego nastroju na Petrarcę.

– A cóż jest nie tak z Petrarcą?

– Infantylnie tęsknoty ujęte w przesłodzone wersy przeznaczone dla nudnych blondynek.

– Po prostu nie masz poetyckiej duszy – zaczęłam mówić, ale nagle Lukrecja, która dotychczas przymilała się do siedzącego na moich kolanach koziołka, poderwała się, podbiegła do balkonu i krzyknęła:

– Biały dym! Tym razem to naprawdę biały dym,

widzę go!

Pani Adriana podniosła się z krzesła tak gwałtownie, że zrzuciła szachownicę. Mały Jofré obudził się z wzdrygnięciem, po czym runął jak długi, kiedy chcąc podejść do swojej siostry, potknął się o porozrzucane czarne i białe pionki. Leonello zerknął znad książki, a ja wetknęłam sobie swoje nowe zwierzątko pod pachę i pospiesznie podeszłam do balustrady, wyciągając szyję w stronę rysującej się w mroku gigantycznej sylwetki bazyliki.

Niebo poszarzało, a na wschodzie zaznaczyła się cieniutka różowa linia. Ciemności rozproszyły się akurat na tyle, by można było dostrzec unoszący się nad bazyliką pióropusz białego dymu.

Habemus papam. Mamy nowego papieża.

– *Deo gratias* – powiedział Leonello. Wydawał się rozbawiony.

– Leonello – w głosie pani Adriany dawało się wyczuć ogromne napięcie – idź do strażników i każ im natychmiast posłać kogoś na plac.

Nikt nie musiał pytać, po co. Podczas naszej rozmowy nowy papież przyoblekany był w przygotowane wcześniej szaty papieskie i przygotowywał się do swojego pierwszego wystąpienia w oknie, z którego miał udzielić swojego pierwszego papieskiego błogosławieństwa.

Kto został papieżem? – to pytanie huczało mi w uszach, kiedy schodziłam za piszczącą Lukrecją

i podskakującym Jofrém po schodach do holu wejściowego, by czekać na wiadomość. Kto został papieżem?

Nie miałam pojęcia, na co mieć nadzieję.

Ostatecznie Rodrigo wrócił, zanim posłaniec pani Adriany zdołał się przebić przez wiwatujący tłum wylewający się na rzymskie ulice. Wszyscy czekaliśmy w przedpokoju. Jofré podskakiwał tak długo, że w końcu pani Adriana wymierzyła mu klapsa. Lukrecja na zmianę modliła się i niecierpliwiła. Leonello bez końca rzucał nożami w ściany, układając ostrza we wzór gwiazdy, okręgu lub krzyża. Założyłam naszyjnik z perłą i szkarłatną suknię, którą miałam na sobie, gdy po raz pierwszy oddałam się Rodrigowi, i teraz przechadzałam się nerwowo przed oknami, popatrując raz po raz na pióropusz białego dymu. Koziołek chodził za mną krok w krok, podskubując mi rąbek sukni, a służący zebrali się w małe grupki i poszeptywali po kątach, nie próbując nawet udawać, że pracują.

Podwójne drzwi otwały się nagle i przedpokój wypełnił zgiełk ludzkich głosów i łoskot kroków. Do pałacu wdarła się fala paziów, strażników, służących i duchownych, którzy nie przestawali rozprawiać i gestykulować. Dwóch przystojnych młodych mężczyzn o kasztanowych włosach, jeden w szacie biskupiej, drugi w żołnierskiej półzbroi, stało dumnie po obu stronach potężnej, barczystej postaci odzianej w imponującą białą szatę wyszywaną złotem.

Juan Borgia uśmiechnął się szeroko, a Cezar uniósł dłoń i rzucił w powietrze zapisane ręcznym pismem zwitki papieru. Spłynęły z okna w tłum, gdy Ojciec Święty udzielał swojego pierwszego błogosławieństwa: „Wybraliśmy papieża, Aleksandra VI, Rodriga Borgia z Walencji”.

– Jestem papieżem! – krzyknął były kardynał, a jego niski głos przeszedł w iście byczy ryk triumfu. – Jestem papieżem!

Ruszył naprzód tym swoim energicznym krokiem, a haftowana kapa powiewała za nim jak sztandar zdobywcy. Służący, duchowni, krewni i dzieci podeszli do niego, lecz on rozepchnął ich wszystkich i podszedł do mnie. Postawiłam koziołka na śliskiej posadzce i wyprostowałam się, czując suchość w ustach.

– Jestem papieżem – powtórzył i pochwyił mnie w objęcia z takim entuzjazmem, że pantofle spadły mi ze stóp. Roześmiał się i jego śmiech przywodził na myśl gorące, kipiące wino, a ja roześmiałam się wraz z nim i uniosłam głowę, by ucałować go przed Bogiem, kongregacją, wszystkimi tymi pochlebcami i całą resztą. Przedpokój zawibrował szeptami, ale cóż mnie one mogły obchodzić? Rodrigo nie troszczył się o nie wcale, a teraz tylko jego opinia miała znaczenie.

Wśród całego tego zgiełku przycisnęłam usta do ucha mojego kochanka.

– Wasza Świętobliwość – wyszeptałam i schyliłam głowę, by ucałować jego pierścień.

Część druga
czerwiec 1493 – listopad 1494

Rozdział 7

Potrawy powinny być smaczne i miłe podniebieniu, a przy tym przyjemne dla oka.

BARTOLOMEO SCAPPI, MISTRZ KUCHNI

Carmelina

Signorina Carmelina! – Wysoki, pełen goryczy głos pomocnika zarządcy wwiercił mi się w ucho. Nie odpowiedziałam. Robiłam tartę z gruszek caravella, którą normalnie potrafiłabym przyrządzić z zawiązanymi oczami, ale tym razem postanowiłam podać jej miniaturową wersję niewiele większą od kciuka, co wymagało ogromnego skupienia. Starłam już gruszki na tarce i podsmażyłam je lekko na maśle, dodałam pastę z migdałów i kandyzowaną cytrynę...

– Signorina?

Łyżeczka nadzienia, zaledwie łyżeczka, do foremki zrobionej z bardzo cienkiego ciasta... Energicznie wytarłam ręce w fartuch. Ciasto wymaga pewnej ręki, a ja będę potrzebowała pasków cienkich jak listewki żaluzji, by zamknąć tartę od góry, a następnie polukrować ją cukrem i wodą różaną...

– Signorina! – Nieustępliwy palec szturchnął mnie w ramię, kiedy układałam właśnie ostatnią cieniutką listewkę ciasta. Maleńka tarta rozpadła mi się w rękach, a ja chwyciłam drewnianą warząchew z najbliższej miski i odwracając się na pięcie, zamachnęłam się nią

krótko.

– Święta Marto! – wrzasnęłam. – Zakradnij się tu jeszcze raz, a przyrumienię i uduszę twoją wątrobę w białym winie, po czym ją właśnie podam papieżowi i jego gościom!

Zarządca uchylił się przed warząchwią zaskakująco zwinnie jak na tak pulchnego człowiczka. Rudy pomywacz przeciskający się obok z całym naręczem patelni nie miał tyle szczęścia. Tak solidnie oberwał chochlą w ucho, że aż jęknął z bólu.

– Czego? – warknęłam, zdrapując z blatu do śmieci zniszczoną tartę. Miałam za sobą szereg długich dni, a koszmarne wieści, które właśnie dotarły do mnie z targu o tej biednej sprzedawczyni owoców zamordowanej w tak makabryczny sposób, jeszcze bardziej wytrąciły mnie z równowagi... A teraz tak niewiele dzieliło mnie od uchwycenia istoty tego przepisu!

– Chodzi znów o mistrza Santiniego. – Głos zarządcy zabrzmiał złowroźnie. – Jest w naprawdę opłakanym stanie.

Wymamrotałam pospiesznie modlitwę, po czym rzuciłam drewnianą łychę i wybiegłam na podwórze. Moje modlitwy najwyraźniej nie zostały wysłuchane: Marco był w tak kiepskiej formie, że zupełnie nie nadawał się do pracy. Opierał się o mur osłaniający od ulicy tusze i beczki z produktami wykorzystywanymi przez kuchnię i intensywnie zalatywał winem. Bardzo

podłego gatunku, sądząc po zapachu.

– Kuzyneczko... – jęknął błagalnie, łypiąc na mnie spod czarnej czupryny. – Moja słodka Carmelino...

– Daruj sobie te słodkie słówka. – Pospiesznie chwyciłam go pod ramię i podparłam, zanim kolana się pod nim ugięły. – Ile przepuściłeś?

Zerknął na mnie spode łba.

– A kto mówi, że w ogóle coś przepuściłem?

– Pijesz tylko wtedy, kiedy przegrywasz. A upijasz się w sztok tylko wtedy, kiedy ogrywają cię z kretesem. – Chwyciłam go za włosy i poderwałam mu głowę do góry, zanim zdążyła opaść na moją szyję. – Ile?

– Tyle co nic. – Zachwiał się ponownie, a buchające od niego opary wina zabiłyby woła. – Tylko dziesięć dukatów...

– Marco!

Prawie półroczna pensja.

– Zagrałem tylko raz, jedną małą partyjkę... – Rozejrzał się po twarzach otaczających go uczniów, zarządców i służących, zauważył znaczące spojrzenia i przewrócił oczami. Wszyscy znali sztuczki Marca równie dobrze jak ja, ale z jakiegoś powodu on sam zdawał się sądzić, że wszyscy mu wierzą, gdy mówi, iż zagrał tylko raz. – No co?

– Słodczy! – krzyknęłam. – Sto pięćdziesiąt kilogramów słodczy, które mamy dostarczyć na wesele panny Lukrecji!

Zaszurał butami, zbity z tropu.

– Och...

Zastanawiałam się, dlaczego mój kuzyn zawsze daje plamę właśnie przy weselach. Wystarczyło wspomnieć o przysiędze małżeńskiej, żeby jego poczucie odpowiedzialności natychmiast diabli wzięli. Z drugiej strony może wszyscy mężczyźni byli podobni? Marco, utrzymujący dzięki mnie chwiejną równowagę, wyglądał na zawstydzonego.

– Wszystko jedno. – Doskonale już wiedziałam, jak sobie dać radę bez mojego kuzyna. – Idź się wyspać, a potem... Och, święta Marto, łapcie go!

Potęźnie umięśnione ramię Marca zaczęło się ciężko ześlizgiwać z mojego ramienia.

Uczniowie gapili się na to wszystko z rozdziawionymi gębami. Co za bezużyteczne towarzystwo! Piera i kilka innych zgniłych jabłek, które zastałam w kuchni Marca po przyjeździe, już dawno zwolniono, lecz nowi wcale nie byli lepsi. Wszyscy, co do jednego, mieli ptasie mózdzki. Pani Adriana była kuzynką papieża, więc teraz przeniesiono ją do jeszcze bardziej luksusowego pałacu razem z jego córką i kochanką, ale nadal skąpiła na wynagrodzenia. Po co płacić doświadczonym służącym, kiedy można było za połowę ceny dostać kompletnie zielonych uczniów i młodzików bez żadnych umiejętności? W końcu to nie ona musiała przyuczać wszystkie te niezguły, tylko ja. A oni stali jak sieroty z opadniętymi szczękami, chociaż Marco niemal osunął się na ziemię, pociągając mnie za

sobą.

Jedynym, który się ruszył, był młody pomywacz, którego przypadkowo trzepnęłam warząchwią. Dał nura i chwycił mojego kuzyna pod ramię, zanim ten padł na ziemię niczym dwumetrowa pijana świnia.

– Przypomnij mi, jak masz na imię, chłopcze – warknęłam, bo to był jeden z tych nowych młodzików, którzy pojawiali się i znikali jak bezpańskie koty.

– Bartolomeo, signorina.

Wyglądał na jakieś czternaście lat, był cienki jak rozeń, ale jak na swój wiek wysoki, i miał szerokie, kościste ramiona. Zza sznurowania jego przyprószonej mąką koszuli wyglądał drewniany krzyżyk.

– A co ty właściwie robisz w kuchni? – zapytałam stanowczo. – Wysłałam wszystkich pomywaczy do pracy w pomywalni. Jest więcej garnków do wyszorowania niż pcheł na psie.

Wyglądał na zawstydzonego, wciskając chudy bark pod bezładne ramię Marca.

– Poszedłem za zapachem. – Mocno, z zachwytem wciągnął powietrze w nozdrza. – Co to jest, signorina?

– To jest przyzwoity wstęp do stu pięćdziesięciu kilogramów słodyczy na przyjęcie weselne, ot co.

Panna Lukrecja Borgia miała zostać hrabiną Pesaro i żoną pana Sforzy już za dwa dni, a przyjęcie weselne miało przyćmić wszystko, co Rzym do tej pory oglądał. Kuchnie papieskie oczywiście wykarmią olbrzymi tłum gości weselnych, który napłynie po zakończeniu

ceremonii, oraz podadzą prywatną kolację, którą papież zamierzał wydać dla swojej córki i jej męża... ale Giulia Farnese, niech Bóg błogosławi jej hojne, kapryśne serduszko, zatrzepotała rzesami, wbiła spojrzenie ciemnych oczu w papieża i poprosiła, abym ja i tylko ja przygotowała słodczy serwowane gościom po ceremonii. A ponieważ rok po nawiązaniu ognistego romansu papież nadal mruczał i prężył się dla swojej kochanki jak szesnastolatek, w mgnieniu oka spełnił jej prośbę.

Gdyby to Marco miał się tym zająć, przekartkowałby zestaw przepisów mojego ojca do końca (strona czterysta dwudziesta ósma, rozdział *Słodczy*) i raz dwa zrobił listę słodczy cieszących się zazwyczaj popularnością na tego rodzaju przyjęciach: gruszki w cukrze, kandyzowane wiśnie, słodkie biscotti. Prosta sprawa... ale mnie nie zadowalały proste rozwiązania. Zostawałam w kuchni do późna, utyłana w cukrze, z palcami lepкими od miodu, i podekscytowana wypróbowałam kolejne przepisy. Miniaturowe tarty z gruszek caravella i wygrzanych słońcem słodkich truskawek pokrojonych cienko jak opłatek. Czerwone cząstki pomarańczy ułożone warstwami i osłodzone miodem w formach z ciasta w kształcie gwiazd. Fiołki i kwiaty jabłoni zamknięte w skorupkach z krystalizowanego cukru. Jasne kandyzowane migdały pokrojone w cieniutkie piórka i uformowane w maleńkie słodkie łabędzie. Lekkie jak

mgiełka obłoczki karmelizowanego cukru rozpływające się na języku. A do tego ulubiony marcepan Giulii Farnese zwinięty w wymyślne kształty i zabarwiony kolorami Borgiów: żółcią i czerwienią. Delikatne, piękne i nad wyraz apetyczne, czyli właśnie takie, jaka powinna być stojąca przed ołtarzem panna, której uroda właśnie zaczyna rozkwitać. Mój ślubny prezent dla młodej Lukrecji Borgii – nawet jeśli miała się o tym nigdy nie dowiedzieć.

Sto pięćdziesiąt kilogramów słodkich przekąsek wymagało ogromnej ilości cukru. Kuchnię nieustannie wypełniały teraz rozkoszne aromaty. Po tylu godzinach nocnych eksperymentów prawie ich już nie czułam, ale młody Bartolomeo wyglądał tak, jakby w tym obłoku słodkości zaraz miał zemdleć z rozkoszy.

– Co to jest? – wyszeptał jeszcze raz bez tchu.

– Cukier, cynamon, kandyzowane orzeszki piniowe, woda różana, szafran, goździki, pasta migdałowa i pieprz – wyliczyłam bez zająknięcia. – Między innymi.

– Nie można dodawać pieprzu do deserów – zaoponował.

– Ależ można – prychnęłam. – Świeżo zmielony na podsmażonych brzoskwinkach z odrobiną śmietanki ubitej z wodą różaną...

Był to kolejny z moich nocnych wynalazków.

Bartolomeo wyglądał na zaintrygowanego.

– Mogę spróbować, signorina?

– Oczywiście, że nie. Dopilnuj, żeby mistrz Santini

znalazł się bezpiecznie w swoim łóżku, a potem wracaj do zmywania garów. – Odwróciłam się z powrotem do plotkujących pomywaczy i kuchcików i klasnęłam w dłonie. – Buzie na kłódkę, rączki pracują! Zaczynamy mieć opóźnienie, bęcwały, a te słodkości będzie zajadać nie tylko panna Lukrecja, ale też ambasadorowie z Mediolanu, Mantui, Ferrary i nie wiedzieć, kto jeszcze. Wracać do pracy!

Rozpierzchli się natychmiast, przyzwyczajeni już do słuchania moich poleceń. Rudy pomywacz prowadził Marca obok piwnic z winem. Mimowolnie potrząsnęłam głową z pełną urazy czułością, patrząc, jak Marco wleczony jest do łóżka, a kędzierzawa głowa opada mu bezwładnie. Normalnie widok pijanego do nieprzytomności szefa kuchni podkopuje jej morale, ale szczenięca skrucha Marca, kiedy przegrywał, i jego nieskrywana radość, gdy wygrywał, były tak ujmujące, że nie było w mojej kuchni takiej służącej, która miałaby mu za złe jego słabsze momenty i nie chciałyby go kryć pod jego nieobecność.

No cóż, przynajmniej dziś nie musiałam go specjalnie kryć. O ile tylko uda mi się podać słodyczne gościom weselnym panny Lukrecji, nikt w tej wrzącej kipieli odizolowanej od świata kuchni nie popadnie w tarapaty z powodu niedyspozycji Marca. A jeśli służące i pomywacze nie sarkali już na moje polecenia, to dlatego, że po roku pracy ze mną ramię w ramię wiedzieli doskonale, iż jeśli ktokolwiek był w stanie

dopilnować wydania na czas tego niekończącego się korowodu weselnych słodkości, to byłam to właśnie ja. Uśmiechnęłam się i odruchowo poklepałam trzymane pod spódnicą zawiniątko z rączką świętej Marty, po czym sięgnęłam po miseczkę z gruszkami caravella, by ponownie podjąć próbę przyrządzenia miniaturowych tart. Marco protestował, utrzymując, że nie da się zrobić tarty tak małej, by można ją było połknąć jednym kęsem – wierzch skazany był na szernienie w piecu, zanim nadzienie zdąży się upiec.

Ja i mój nos byliśmy jednak innego zdania.

Leonello

No i? – zapytała moja pani z troską w głosie. – Co sądzisz?

Zakręciła się przede mną w kółko i zawirowała spódnicą, a ja spojrzałem znad ostrzonego właśnie noża i obejrzałem ją uważnie od stóp do głów. Giulia Farnese, obecnie znana w całym Rzymie jako Giulia La Bella, Wenus Watykańska, ukochana papieża. Słynne włosy splotła z tyłu głowy w zawiłą masę złotych warkoczyków i miała na sobie suknię z zielonego i złotego hiszpańskiego brokatu z długimi falbaniastymi rękawami. Spod obszytego frędzlami rąbka sukni wystawały czubki wyszywanych złotem pantofli.

– Pięknie, oczywiście. – Wzruszyłem ramionami. – Zupełnie tak samo jak w sześciu poprzednich sukniach.

– Czy zielony nadaje mojej skórze ziemisty odcień?

– Giulia zakręciła się jeszcze raz. – Proszę, powiedz mi, że tak jest.

– Ale dlaczego, na litość, chcesz wyglądać ziemiście, pani? – Wsunąłem nóż z powrotem do pochwy ukrytej na nadgarstku.

– To dzień ślubu Lukrecji! Wszyscy mają patrzeć na nią, a nie na mnie czy na tę wystrojoną dziewczynę, która ma nieść jej tren, czy na kogokolwiek innego. W porównaniu z panną młodą muszę wyglądać pospolicie. – Giulia z impetem zamiotła suknią i skryła się znów za parawanem. – Bardzo pospolicie – wionął za nią jej głos.

– To załóż worek na głowę i skończmy z tym wreszcie – odparłem, wracając do swojej książki.

Za parawanem ku La Belli rzuciły się służące z kolejnymi naręczkami brokatu („Moja pani, a czy zastanawiałaś się nad szarym aksamitem ze złotym haftem?”), a ja usiadłem sobie wygodniej pod obwieszoną gobelinami ścianą, dyndając nogami wysoko w powietrzu i dostrzegając kątem oka złotą główkę Giulii podskakującą nad parawanem. Jej komnata wyglądała, jakby eksplodowała tutaj tęcza: na wielkim łożu z baldachimem leżały rozrzucone jedwabne, aksamitne i brokatowe suknie, z wyściełanych podnóżków zwisały pary rękawów niczym odcięte ręce, stojące pod ścianami ławy pokrywała piętnastocentymetrowa warstwa ozdobionych frędzlami rękawiczek, haftowanych czepków i wyszywanych

perelkami welonów. Ulubiony koziołek pani Giulii, który zdążył już osiągnąć leniwą dojrzałość i wieczyste ułaskawienie zdejmujące z niego groźbę marnego końca na różnie, leżał zwinięty w rogu, ze stoickim spokojem przeżuwał aksamitny pantofel. Służące uwijały się jak w ukropie, wbiegając do pokoju i zeń wybiegając: garderobiane, te zajmujące się bielizną osobistą i te od pielęgnacji, szwaczki, krawcowe, dwie służące wyznaczone do utrzymywania nieskazitelnej bieli skóry La Belli oraz trzy służące, których jedynym zadaniem było pielęgnowanie i układanie jej włosów – wszystkie zaróżowione z podniecenia. Dziś Lukrecja Borgia miała zostać żoną pana Giovanniego Sforzy, a do ołtarza miał ją prowadzić nie kto inny jak Giulia Farnese.

Decyzja ta skłoniła mnie do zastanowienia się przez chwilę, czy tym razem papież nie postradał swoich zazwyczaj bardzo wyostrzonych zmysłów. Trzynastoletnia Lukrecja była czarującym stworzeniem, blond dziewczątkiem o słodkiej twarzyczce – na tyle wysokim, by przypominać już kobietę, i na tyle świadomym swej kobiecej godności, by sunąć, a nie podskakiwać. Stając jednak obok La Belli, skazana była na odgrywanie postaci dalekiego drugiego planu.

– Nie ta – usłyszałem głos mojej pani, kiedy służące zabrały jej zielono-złotą suknię i zaczęły prezentować za parawanem inne propozycje. Biorąc pod uwagę jej obecny status najsłynniejszej kobiety w Rzymie, Giulia Farnese była zaskakująco skromna.

Ku ogromnemu rozczarowaniu całej służby płci męskiej nie było mowy, aby papieska konkubina paradowała półnago po pałacu. – Nie, ta sukienka też nie... Ta też...

– Żółtozielona sukienka! – zawołałem zza swojej książki. – Kolor kocich rzygów. Wciąż nie będziesz wyglądać na brzydulę, ale to dobry punkt wyjścia.

– Nie rozumiem, dlaczego musimy go wysłuchiwać – powiedziała za parawanem jedna ze służących, zapewne patykowata Pantisilea, której imię nie okazało się wcale tak nietrafione, jak wcześniej sądziłem. Królowa Amazonek Pentezylea brała wszystkich napotkanych mężczyzn do niewoli. Służąca Pantisilea zaciągała wszystkich napotkanych mężczyzn do łóżka. „Nigdy nie spałam z karłem” – wyznała mi radośnie przy pierwszym spotkaniu. „Chciałabyś spróbować?” – zaproponowałem. I całkiem niezłe się zabawiliśmy, ale teraz podejrzliwie łypała na mnie znad parawanu. – Co taki strażnik może wiedzieć o pięknych sukniach?

– Rozpaczliwie potrzebujemy opinii mężczyzny – oświeciła ją Giulia. – Uff, ależ to ciasne, poluzujcie trochę te sznurówki...

– On nie jest mężczyzną, pani – zaproponowała inna służąca.

– Przynajmniej jestem obiektywny – rzuciłem spod ściany. – To, czego ci trzeba, to para oczu, które nie dają się omamić twoją urodą.

– A zatem sądzisz, że nie jestem piękna, Leonello?

– Giulia zerknęła znad parawanu, rzucając mi, ku memu zadowoleniu, zranione spojrzenie wielkich oczu, zanim służące nie ściągnęły jej z powrotem na dół.

– Oczywiście, że jesteś. – W zamyśleniu przewróciłem stronę. – Ale pracuję u twego boku już prawie rok, pani, i niezależnie od tego, jak piękne freski ma się na ścianie, w końcu przestaje się je zauważać.

– Jesteś koszmarny – jęknęła Giulia. – Jego Świątobliwość twierdzi, że robię na nim takie samo wrażenie jak wówczas, gdy ujrzał mnie po raz pierwszy.

– I dlatego właśnie chcesz usłyszeć moją opinię, a nie opinię Jego Świątobliwości papieża.

Giulia wyleciała zza parawanu, tym razem wystrojona w haftowany żółtozielony jedwab.

– No i?

– Lepiej – orzekłem.

Chociaż niezupełnie... Nawet nieprzybrana klejnotami i odziana w suknię w kolorze kocich rzygów Giulia Farnese i tak przyciągnie wszystkie spojrzenia. Cnotliwe rzymskie niewiasty dzieliły się mniej więcej po równo na dwa obozy: te, które skwapliwie trzymały się z daleka od Oblubienicy Chrystusa i jej skandalicznej reputacji, oraz te, które łąsiły się do niej, gdyż ich mężowie mieli nadzieje na dowody łaski Jego Świątobliwości. Każda jednak rzymianka, niezależnie od tego, czy wyrażała się o Giulii pochlebnie, czy pogardliwie, gotowa była nabawić się kręczu szyi, byle tylko dostrzec każdy szczegół tego, co Giulia Farnese

miała na sobie. Jeśli pojawiła się na mszy w Bazylice Świętego Piotra w niebieskiej aksamitnej szacie, wszyscy sprzedawcy tkanin w mieście zaczęli zachwalać „papieski błękit”. Jeśli idąc do spowiedzi miała na głowie fantazyjną futrzaną czapeczkę założoną na bakier, to nie mijały dwa tygodnie, a każda kobieta w Rzymie aspirująca do miana dobrze ubranej obnosiła birettę à la Farnese. Bez wątpienia już jutro rano tłum kobiet rzuci się ku swoim krawcom po jedwabne suknie w kolorze kocich rzygów.

– Lepiej – powtórzyłem, kiedy moja pani zakręciła się z rozmachem. – Będziesz najmniej zbytkownie ubraną kobietą podczas tego Złotego Wrzodu.

– Wolałabym, żebyś nie określał tym mianem wesela Lukrecji. – Giulia skrzywiła się, kiedy służące wiązały jej rękawy. – To na pewno będzie bardzo piękna uroczystość.

– Z pewnością bardzo wystawna. – Jego Świątobliwość nie szczędził grosza na wesele swojej nieślubnej córki. Zerknąłem do stojącej obok ławy kołyski, w której leżała maleńka siostrzyczka panny młodej. – A ty, maleńka? Czy też za trzynaście lat będziesz miała takie wesele?

Spoczywające w herbowej pościeli niemowlę wcisnęło sobie piąstkę do buzi. Dopiero niedawno wzbogaciło papieski harem, urodziwszy się niemal co do dnia w dziewięć miesięcy po tym, jak Rodrigo Borgia został papieżem Aleksandrem VI, i nie było

w Rzymie człowieka, który na wieść o tym nie przeprowadziłby szybkich obliczeń.

– Dlaczego Laura nie miałaby mieć pewnego dnia takiego wesela? – Giulia odsunęła służące na bok, podeszła do bogato rzeźbionej kołyski i podniosła swoją córkę. Dziewczynka zakwiliła i opluła swojej matce ramię, ale Giulia beztrąsko przyklepała jedwab. – Ani hrabia, ani książę nie są zbyt dobrą partią dla papieskiej córki.

– Zanim jednak ona dorośnie na tyle, by móc myśleć o zamążpójściu, Jego Świątobliwość zbankrutuje z powodu wszystkich wcześniejszych wesel.

Trzynastoletnia Lukrecja była pierwszym nieślubnym dzieckiem Rodriga Borgii, które zawierało związek małżeński (a przynajmniej pierwszym nieślubnym dzieckiem, które utrzymywał w Rzymie), ale mówiło się już o hiszpańskiej narzeczonej dla Juana i neapolitańskiej księżniczce dla małego Jofrégo. Nie powinienem znać zamysłów Jego Świątobliwości, nie chciałem jednak dać zarzewieć swoim karcianym umiejętnościom, więc często grywałem z sekretarzami papieża. Czasem zamiast brzęczącej monety zastawiali papieskie tajemnice.

– Jego Świątobliwość dla zaoszczędzenia pieniędzy powinien po prostu umieścić ją w zakonie – zasugerowałem.

– Bzdura. Jeśli jest choć odrobinę podobna do mnie albo do swojego ojca, byłaby koszmarną zakonnicą.

Nieprawdaż, *Lauretta mia*? Popatrz, ma nos Rodriga.

– Ma dokładnie taki sam nos jak wszystkie niemowlaki.

Giulia nie zwróciła na mnie uwagi, hałaśliwie obsypując małą Laurę całusami, po czym włożyła ją wreszcie z powrotem do rzeźbionej kołyski.

– Och, nie, już jestem spóźniona!

– Zawsze się spóźniasz, pani – skarciła ją jedna ze służących i La Bella wyleciała z komnaty jak żółtozielony ptaszek, a jej świta pobiegła za nią.

Ześliznąłem się z ławy pod ścianą, przegoniłem białego koziołka, który tymczasem porzucił niemal kompletnie zjedzony pantofel i zabrał się za parę haftowanych rękawiczek, po czym wolnym krokiem poszedłem w ślad za moją panią. Zatrzymałem się na chwilę i pochyliłem nad kołyską, po części po to, by połaskotać małą Laurę, aż zaczęła chichotać, a po części po to, by przesądna niania ułożyła schowane za plecami palce w znak diabła – jak zawsze, gdy ten mały demon, czyli ja, za bardzo zbliżał się do jej podopiecznej.

Nowy papież nie był człowiekiem skłonny tracić czas. Natychmiast po wyniesieniu na tron Piotrowy przeniósł papieski seraj, w tym panią Adrianę, swoją córkę i swoją kochankę, do eleganckiego Palazzo Santa Maria in Portico, rzut kamieniem od samego Watykanu. Cały Rzym zatrzęsł się na wieść o tym skandalu i przyznam, że nawet ja uniosłem brew. Papieże już wcześniej utrzymywali kochanki i nieślubne dzieci,

a większość kardynałów miała przynajmniej jedno nieoficjalne domostwo, ale zawsze zachowywano pozory konieczne dla podtrzymania szacunku wobec stanowiska: konkubiny uchodziły za kuzynki, a nieślubni synowie za siostrzeńców. Papieża Aleksandra VI plotki nie obchodziły ani trochę, więc nie zachowywał nawet cienia pozorów, przenosząc otwarcie swoją faworytę do jej nowego domu, a ja zostałem przeniesiony siłą rzeczy wraz z pozostałymi służącymi i dobytkiem. Nie było człowieka, który na widok Palazzo Santa Maria nie westchnąłby lub nie zagwizdał z zachwytu: wysoko sklepione loggie okalające ogrody iskrzące się feerią barw niby klejnoty, marmurowe tarasy, pluskające fontanny, długie ciągi niewysokich stopni prowadzące do miejsc, z których rozciągały się zapierające dech w piersiach widoki na Rzym. Tak Dante w *Raju* opisywał Eden...

Teraz jednak miejsce to bardziej kojarzyło się z *Piekłem*. Być może z jednym z żywszych kręgów piekielnych, w których smażyli się skazani za bardziej energiczne grzechy. Zwątpienie, tak, rzucało się w oczy, kiedy schodziłem ku tłumowi załamujących ręce służących i zarządców z obłędem w oczach studiujących coraz bardziej wystrzępione pliki spraw do załatwienia. Próżność, bez wątpienia, widziałem ją wyraźnie, gdy družki panny młodej przeglądały się w każdej odbijającej światło powierzchni i próbowały udawać, że nie liczą perełek na staniku dziewczyny stojącej obok.

Gniew, och, powszechny, służące bowiem nie raz dostały porządnie po uszach za zbyt opieszale przyniesienie kielicha wina, a paziowie w zdenerwowaniu pokrzykiwali na siebie coraz piskliwiej.

Boże. Wesela.

– A ty dokąd, karle? – zapytał ktoś ostro i niegrzecznie, kiedy przepychałem się w tłumie do sklepionego przejścia obwieszzonego gobelinami. Objąłem spojrzeniem parę absurdalnie srebrnych pantalonów, złotą szatę z ozdobnie obręzionym brzeżkiem, która ciągnęła się po posadzce, i szeroki kołnierz obsyty perłami i czerwonymi spinelami.

– Widzę, że chyba zabłąkała się jedna z nałożnic sułtana.

Juan Borgia poczerwieniał pod swoim idiotycznym turbanem ozdobionym sięgającym pod sufit pióropuszem i ogromnym rubinem. Ujmująco grzeczny turecki książę przybył do Rzymu niedawno jako więzień i jego ekstrawaganckie szaty i pantalony zostały natychmiast podchwyczone przez wszystkich rzymskich fircyków. Człowiek patrzył na morze turbanów kołyszących się na mszy i nie miał pewności, czy jest w kościele, czy w meczecie.

– Nie spodziewam się po karle znajomości mody – powiedział, patrząc znacząco na moją źle dopasowaną liberię Borgiów. Po roku służby u papieża nadal nie miałem dubletu, który leżałby dobrze na moim

nieproporcjonalnym korpusie.

– Bycie karłem ma przynajmniej pewne zalety – odpowiedziałem księciu Gandii. – Nawet w nakryciu głowy tak głupim jak to nie musiałbym się pochylać, przechodząc przez drzwi. Postaraj się nie potknąć w tych zadartych butach, dobrze? Żeby panna młoda nie wyłożyła się jak długa, idąc ku swemu przysłanemu mężowi.

Złożyłem zamaszty ukłon i minąłem go. Nie było może przejawem rozsądku obrażanie ukochanego syna papieża, ale mój cięty język musiał co jakiś czas wyszlifować krawędzie na takim czy innym durniu, a Juan Borgia znakomicie zastąpił mi pijanych oberżystów i grasujących po tawernach oszustów.

Lukrecja Borgia miała przejść ulicami Rzymu w drodze do Watykanu, eskortowana w orszaku weselnym przez panią Giulię, brata udającego Turka oraz równo sto pięćdziesiąt rzymskich dam wystrojonych w swoje najlepsze szaty. Z pewnością tłumy gapiów będą oglądać tę procesję, komentować klejnoty, szaty i wystawność uroczystości i przepychać się do przodu w nadziei na to, że uczestnicy orszaku sypną groszem. Ciekawe, co właściwie ta ludzka ciżba sądzi o takiej pompie. Licząca setki osób świta narzeczonej z rodu Borgiów, podczas gdy większości rzymskich dziewczyn towarzyszyła tylko rodzina i przyjaciele. Diamenty, sobole i rasowe konie w podarkach ślubnych, kiedy większość dziewczyn

otrzymywała tylko wyszywane pasy lub sztukę sukna. Suknia ślubna warta piętnaście tysięcy dukatów, kiedy większość ojców, zarabiając rocznie może dwadzieścia pięć dukatów, mogło sobie pozwolić tylko na parę nowych rękawów, by przystroić najlepszą suknię swojej córki.

O ile znałem się na tłumach, to będą zachwycone tym przepychem. Nie tyle obrażone, co urzeczone. Borgiowie w mniemaniu większości śmiertelników, a także we własnym, zostali powołani na świat przez Boga, by wieść wystawne życie w imieniu ludu. Ich przepych był wyrazem woli Pana.

Chcąc uniknąć stratowania przez rozgorączkowany tłum, wymknąłem się z pałacu prywatnym wyjściem. Pomiedzy Palazzo Santa Maria i samym Watykanem zbudowano już przejście, dzięki któremu papież mógł odwiedzać swoją rodzinę i kochankę, a Rzym trząśł się od plotek również na ten temat. Co najmniej trzy razy w tygodniu Ojciec Święty całkiem otwarcie odprawiał swoją świętą i wybierał się na krótki spacer ze swoich papieskich apartamentów. Atłasowy, na wskroś kobiecy świat papieskiego seraju zmieniał się wówczas w zwykły, kipiący życiem rzymski dom, w którym Giulia Farnese składała żonine pocałunki, pani Adriana dysponowała dodatkowe nakrycie na stole, a Lukrecja podskakiwała w miejscu, domagając się swojej porcji ojcowskich pieśczot. Ojciec Święty mógł się odprężyć jak zwykły miejski kupiec, usiąść do dobrej kolacji ze

śliczną żoną z jednej strony i zmyślną teściową z drugiej, i ukochaną córeczką, która spiesznie dopełniała mu kielich winem. Zwykłe, szczęśliwe domostwo, działające jak narkotyki nawet na najpotężniejszego człowieka chrześcijańskiego świata.

Fakt, że kobieta pełniąca rolę żony papieża miała całkiem legalnego męża zesłanego chwilowo na wieś... No cóż, był to nic nieznaczący szczegół.

Przejęcie było nieoświetlone, ale wyłożone płytami i przyzwoicie zamieciono. Szedłem szybkim tempem, ocierając się jednym ramieniem o ścianę, i liczyłem kroki, wyjmując noże i w ciemnościach obracając je w palcach. Nowiutki zestaw noży, które otrzymałem od Jego Ekscelencji Cezara Borgii nazajutrz po wstąpieniu Rodriga na tron Piotrowy, kiedy to dostałem propozycję objęcia stanowiska stałego strażnika Giulii Farnese.

– Wysuwany przeciwko tobie zarzut morderstwa zostaje oddalony – raczył poinformować mnie młody biskup z kasztanowymi włosami rozwichrzonymi wokół niemal niewidocznej tonsury, odchylony do tyłu przy swoim biurku. – Oskarżenie może jednak zostać wniesione ponownie, jeśli te małe, krótkie rączki pozwolą sobie dla zabawy znów kogoś zabić. Zrozumiano?

– Dla zabawy. – Uśmiechnąłem się szeroko. – To mi się podoba.

– Uważaj, żeby nie spodobało ci się za bardzo. W związku z tym, że od dziś zabijanie będzie należało

do twoich codziennych obowiązków, być może miałbyś ochotę na nowe narzędzia. – I rzucił mi zwinięty zestaw nowych noży do rzucania, wykonany na wzór moich starych noży, ale liczący nie cztery, lecz dziesięć sztuk doskonale zrównoważonych maleńkich ostrzy, których długość wahała się od zaledwie dwóch do aż piętnastu centymetrów, zdolnych ukatrupić świnie. – Może tym razem nie będziesz kręcił nosem na stal z Toledo?

Dziś chciał, aby moja stal z Toledo była obecna na weselu jego siostry.

– Chcę, żebyś trzymał się blisko – powiedział. – Razem z innymi strażnikami obok tronu Jego Świątobliwości.

Skinąłem głową. Na weselu córki papieża pojawi się śmietanka arystokracji Rzymu i tuzina innych miast – między innymi Ferrary, Mediolanu, Mantui i Wenecji – a wśród niej znajdzie się niejeden wróg Borgiów. Gdyby któryś z nich zdecydował się z morderczymi zamiarami wysunąć z tłumu podczas składania przysięgi małżeńskiej, papieskie straże miały natychmiast otoczyć papieża, lecz moim zadaniem była ochrona innych celów: Lukrecji i Giulii.

– Bliźniacze gwiazdy na firmamencie Borgiów – zaciągnąłem przesadnie na wzór trubadurów i roześmiałem się gromko sam z siebie na myśl o swoich mrzonkach. Za dużo poezji. Za dużo tłumaczenia do świtu strof prowansalskich trubadurów, których ostatnio odkryłem. – Wrócę do starożytnych

Rzymian – obiecałem sobie solennie, gramoląc się na ostatni ciąg niewysokich stopni prowadzących do prywatnego wejścia do Watykanu. Komentarze Juliusza Cezara na temat wojen galijskich. Ta prosta, bezpośrednia łacina mogła wybić z głowy kwiecisty język naprawdę każdemu, a w bibliotece Palazzo Santa Maria znajdował się przepięknie wydrukowany techniką druku wklęsłego egzemplarz *Commentarii de bello gallico*. Znakomite książki pociągały mnie jeszcze bardziej niż ostrza z Toledo, które miałem ukryte za pasem, w cholewach butów i w pochwach na nadgarstkach.

– Och, *Gott im Himmel*, sądny dzień! – usłyszałem gorączkowe mamrotanie, gdy wchodziłem do nowych apartamentów Borgii, które wygospodarował dla siebie wśród starych, zatechłych komnat Watykanu. – To koniec, to naprawdę szczyt wszystkiego!

– Pan Burchard – powitałem radośnie papieskiego mistrza ceremonii. – Czemuż dziś tak nie w sosie?

Drobny Niemiec w przykurzonych czarnych szatach i kwadratowym nakryciu głowy wciśniętym na poskręcane włosy potrząsnął w moim kierunku plikiem list i zestawień.

– Kres wszelkiego porządku i rozsądku na tej danej nam przez dobrego Boga ziemi, ot co! *Gott im Himmel!*

Mógł mieć na myśli spóźnianie się gości weselnych, niewłaściwy kolor butów papieża lub próbę wkroczenia do sali podjętą przez paziów bez

rękawiczek. W ciągu kilku ostatnich miesięcy dobrze poznałem Johanna Burcharda, zasadniczo dlatego, że zawsze uwijał się jak w ukropie, jakby ziemia paliła mu się pod nogami albo świat miał właśnie dobiec końca, a może i jedno, i drugie, i z tego powodu nieustannie potrzebował kogoś, przed kim mógłby się wyzalić. Oczywiście nie mógł się skarżyć w obliczu papieża, a innych urzędników, gdy tylko ich osaczał, zazwyczaj wzywały pilne obowiązki, lecz ja miałem nóżki zbyt krótkie, by odpowiednio szybko znaleźć się poza zasięgiem jego donośnych lamentów.

– Damy – kontynuował oburzony ze swoim ciężkim niemieckim akcentem. – Damy weszły do sali jako pierwsze, zgodnie z planem, a zaplanowałem dla nich najpiękniejszą na świecie procesję. Wchodziłyby dwójkami, kłaniały się papieżowi i całowały jego but. Ale czy którakolwiek z nich mnie posłuchała? Nie! Wpadły bezładnie jak bydło wypuszczone z zagrody i żadna nie przystanęła nawet na chwilę, by się skłonić! To koniec, panie Leonello, absolutny koniec świata!

– Że but papieża nie został ucałowany? – drążyłem.

– Moralna zgnilizna! Tradycja upada, przyzwoitość upada, wręcz upada moralność i zanim się człowiek zorientuje, nadejdzie koniec! – Jeszcze raz przebiegł błędnym wzrokiem trzymane w rękach zestawienia. – Och, dlaczego zdecydowałem się zachować to stanowisko? Dlaczego?! Powinienem był złożyć dymisję, oto, co powinienem był zrobić. Powinienem

był zrezygnować jeszcze przed ślubem. Ponieważ nie istnieje żaden przyzwoity sposób wyprawienia oficjalnego wesela papieskiej córki, w którym uczestniczą również papiescy synowie i papieska konkubina! Żaden! Ponieważ w świetle prawa żadne z nich w ogóle nie powinno istnieć!

Spojrzałem na niego z pewną dozą sympatii. Nie chciałem wykonywać jego pracy, o nie. Ukrywać pod pozorem papieskiej legalności wyskoków Rodriga Borgii i jego potomstwa. Nie była to z pewnością praca dla takiego sztywnego Niemca ze Strasburga, który słyszał wyraźnie tętent kopyt czterech jeźdźców Apokalipsy, gdy papieski pantofel nie został odpowiednio ucałowany.

– Uśmiechnij się, Burchard – powiedziałem, szturchając go w ramię. – Jeszcze dwanaście godzin i będziesz mógł się upić.

Spojrzał na mnie z taką zgrozą, jakbym zasugerował, aby wziął udział w papieskim weselu nago.

– Dwanaście godzin? Myślisz, że to wszystko się skończy w ciągu dwunastu godzin? Oszalałeś? Sam wieczorny bankiet i następujące po nim tańce...

Zostawiłem Burcharda jego teutońskim cierpieniom i wśliznąłem się w tłum przyobleczonych w jedwab gości weselnych cisnących się już w wysoko sklepionej komnacie. Pierwszy z prywatnych przedpokojów, które papież zarezerwował dla siebie,

zamawiając wielkiego Pinturicchia, by wymalował go wspaniałymi, nowymi freskami. Pinturicchio pracował powoli, więc nie zanosiło się na ich rychłe ukończenie, ale na razie ściany obwieszono jedwabnymi gobelinami, podłogi okryto orientalnymi dywanami tak puszystymi, że ginęły w nich obcasy moich butów, każdy wspornik świeżo pozłocono, a nad głowami gości wysklepiał się wysoko rzeźbiony, okolony gzymsem sufit. Wniesiono tron papieski, który stał teraz na specjalnym podeście i górował nad wszystkimi zgromadzonymi, a na nim usadowił się już nie Rodrigo Borgia, lecz Aleksander VI. Zastanawiałem się, czy ktoś poza mną uznał za bardzo wymowne, że nie wybrał imienia apostoła ani człowieka cnotliwego – żadnego Pawła, Jana, Innocentego czy Piusa – lecz imię zdobywcy.

Chociaż papież Aleksander posiadał seraj, w którym mógł się schronić i odprężyć, rok sprawowania władzy papieskiej odcisnął się głębokimi zmarszczkami na jego twarzy. Rzucane spod ciężkich powiek spojrzenie było jednak równie czujne jak zawsze, gdy tak patrzył na gości weselnych, odsunąwszy ciężką, trójwarstwową papieską tiarę na tył głowy równie nonszalancko, jakby była na jego czarnych włosach zwykłą czapką. Rozsiadł się w swoich złoto-białych szatach, jak musiał się rozsiadać Aleksander Wielki, gdy przypatrywał się Dariuszowi i jego perskim hordom.

Dopóki nie weszła jego córka z jego kochanką

u boku. Wtedy na twarz Aleksandra wypłynął najdumniejszy, najczulszy uśmiech.

Procesja wkroczyła do pałacu z wielką pompą: zabrzmiały fanfary, księżę Gandii w swoich krzykliwych fatałaszkiach wsunął się na miejsce obok swojego ojca, Cezar Borgia wszedł prawie niezauważony w swoich szatach duchownego. Teraz już nie jako zaledwie biskup Pampeluny, lecz arcybiskup Walencji, ale nadal sprawiał wrażenie nie tyle duchownego, ile drzemiącego leniwie w słońcu lamparta. Goście kręcili się, wyciągali szyje i rozprawiali w podnieceniu... a jednak w chwili, w której weszła panna młoda, zapadła niemal idealna cisza. Uginająca się pod ciężarem klejnotów trzynastolatka wsunęła się do zatłoczonej sali i ze zdenerwowania przystanąła na chwilę w progu.

Z miejsca, w którym stałem wciśnięty między papieskie strażę, dostrzegłem, jak Lukrecja Borgia przełyka ślinę, a jej gładkie gardziółko porusza się za kołnierzem obszytym perłami i szmaragdami. I zobaczyłem Giulie stojącą tuż za nią, jak dotyka palcem jej łokcia i szepcze cichutko coś, czego nie sposób było z tej odległości usłyszeć. „Głowa wysoko. – Wyobrażem sobie jej słowa. – Jesteś córką papieża, więc noś głowę wysoko! Nie martw się o sukienkę. Naszyto na nią tyle szlachetnych kamieni, że sama się ułoży pod własnym ciężarem”. Przez wiele poprzedzających wesele dni Giulia uczyła w ogrodzie

Lukrecję poruszania się w jej sukni ślubnej wartej piętnaście tysięcy dukatów. „Musisz sunąć, a nie walczyć z materią sukni. Poruszaj się razem ze swą suknią, a nie przeciw niej. O właśnie, proszę, jaka jesteś piękna!”.

Nie była piękna, była po prostu młoda. Bolesnie młoda. I nieomal zapadała się pod ciężarem sztywnego, obszytego klejnotami brokatu, ozdobnego nakrycia głowy i zwojów pereł. Nauki Giulii opłaciły się jednak, gdyż Lukrecja uniosła głowę i z gracją wpłynęła do sali, poruszając się w swojej ciężkiej sukni jak uwięziony we wnykach młody łabędź. W tłumie rozszedł się szmer podziwu, a Giulia uśmiechnęła się z dumą i podążyła za nią.

Boże. Tyle zamieszania, tyle oczekiwań, tyle wydatków, a sama ceremonia zaślubin skończyła się, zanim się na dobre zaczęła. Lukrecja uklękła przed ojcem na złotej poduszce i zwróciła się twarzą do swojego narzeczonego, Giovanniego Sforzy, hrabiego Pesaro, sprawiającego względnie sympatyczne wrażenie dwudziestosześcioletka z długim nosem i modną bródką. Wyglądał na całkiem zadowolonego, kiedy słuchał monotonnego głosu notariusza, a ja dostrzegłem, że Lukrecja popatruje na niego kątem oka.

– Znamienity panie, czy gotów jesteś poślubić jako swoją prawowitą małżonkę obecną tutaj znamienitą pannę Lukrecję Borgię, która przysięga zostać twoją żoną?

– Tak – odpowiedział Giovanni Sforza –

z najszczerzą chęcią.

Lukrecja Borgia powtórzyła swoje śluby zdecydowanym głosem (tego również nauczyła ją Giulia), wymieniono obrączki, nagie miecze pochyłono ceremonialnie nad głowami państwa młodych, wygłoszono krótkie kazanie na temat małżeństwa... i już było po wszystkim. Burchard odetchnął z ulgą, a ja żałowałem, że nie pojawił się jakiś skrytobójca, który ożywiłby tę nieco senną ceremonię.

Po tym wszystkim uroczystości przeniosły się do Sala Reale, wysoko sklepionego pomieszczenia, w którym czekały już siedziska, tapicerowane ławy i wystrojeni w liberie paziowie z tacami pełnymi słodyczy. Goście rozmawiali i przechadzali się, uwolnieni z duszących konwenansów Burchardowskiej etykiety i ciasnej sali, w której odbywała się właściwa uroczystość. Zgodnie z otrzymanymi rozkazami krążyłem bez wyraźnego celu, nie spuszczając z oka swoich podopiecznych. Kiedy wniesiono pierwsze dania, Lukrecja usztywniona powagą chwili siedziała już między ojcem i swoim świeżo poślubionym mężem. Giulia przechadzała się w tłumie, roześmiana i rozluźniona, przyciągając wszystkie spojrzenia. Małego Jofrégo w jego rozcinanym aksamitnym dublecie próba zachowywania się po książęcemu kosztowała tyle wysiłku, że aż wytrzeszczał oczy. Cezar, mroczny, rozparty w fotelu, wznosił swój kielich ku siedzącej na drugim końcu pomieszczenia siostrze,

która na ten widok po raz pierwszy tego wieczoru zdobyła się na niewymuszony uśmiech. Nadal żadnych skrytobójców, za to przed gości wyszła trupa wymalowanych i zamaskowanych komediantów i odegrała jedną z tych bezmyślnych komedijek, które wydają się nieodłączną częścią każdego wesela, a ja pomyślałem o tym, jak bardzo spodobałoby się to Annie.

Gdyby moja przyjaciółka żyła, przemyciłbym ją do środka, by mogła podziwiać to zgromadzenie arystokracji. Może załatwiłbym jej tymczasową pracę służącej? Ale oczywiście Anna nie mogłaby się tutaj znaleźć. Nie mogłaby się wpatrywać w zdobioną klejnotami suknię panny młodej ani zdumiewać się tym, jak papież sadowi się na tronie, emanując tą swoją hiszpańską arogancją. Bo przecież gdyby nie śmierć Anny, nie znalazłbym się w orbicie Borgiów.

Po komedii została wystawiona propozycja bardziej klasyczna, a mianowicie łacińska sztuka autorstwa Plauta, którą papież przerwał w połowie, znudzony i spochmurniały. Giulia Farnese zsunęła się ze swojego krzesła, przycupnęła na stopniu u stóp jego tronu i skrycie wsunęła dłoń do jego rękawa, gdzie palce kochanków spotkały się i splotły, on spojrzał na nią z góry z uśmiechem, a trubadur pospiesznie zaczął recytować sielankę. Papieski żywioł okiełznany łagodnym kobiecym uśmiechem.

Słyszałem głos Anny, lecz nie mogłem już

przypomnieć sobie jej twarzy. Minęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni myślałem o człowieku, który mi umknął – człowieku w masce, który pomógł ją zabić. Ale przecież dopadłem dwóch pozostałych. Nie ma potrzeby szukać trzeciego. Zwłaszcza po tym, jak Cezar Borgia ostrzegł mnie, co się stanie, jeśli moje noże narobią jakichkolwiek kłopotów z powodów wykraczających poza ochronę bezpieczeństwa jego rodziny. Z pewnością nie byłem bohaterem; wymierzenie sprawiedliwości mordercy w masce nie było warte ryzyka powtórnego podniesienia przeciwko mnie zarzutu morderstwa.

Sielanka skończyła się muzycznym i oratorskim popisem, a przez salę przetoczyła się salwa śmiechów i oklasków. Kobiety piszczały i przeciskały się do roznoszonych tac ze słodyczami, a ja rozpoznałem maleńkie karbowane tarty z różanym lukrem, które przygotowała *signorina cuoca*, i jej barwione na różne kolory marcepanowe przekąski. Nigdy nie zdołałem pojąć, jak ta oschła i sztywna jak kij od szczotki kobieta rzucająca mroczne spojrzenia spod ciemnych weneckich loków mogła produkować takie zwiewne smakowitości. Siedząca na podeście Lukrecja wydawała się zbyt podniecona, by móc cokolwiek przełknąć, ale Giulia wyciągnęła rękę i wsunęła plasterk kandyzowanej gruszki do papieskich ust swego kochanka, który bez pośpiechu zdjął wargami resztki cukru z koniuszków jej palców.

Zacząłem się zastanawiać z irytacją, co jest ze mną nie tak. Miałem wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłem: pieniądze w sakiewce, które nie zależały od zmiennego, karcianego szczęścia, rozkosze podniebienia na każde skinienie, miękkie łóżko, całe stosy książek, w których mogłem się zatopić bez reszty, i podobne temu przedstawienia, które mogłem podziwiać lub wykpić. A mimo to ogarniało mnie coraz większe przygnębienie. Nie potrafiłem się otrząsnąć z myśli o Annie. Nie tęskniłem za nią... Pamiętałem, jak czasem działał mi na nerwy jej chichot, jak nieświeży bywał jej oddech i jak jej bezkrytyczny zachwyt poczynaniami wielkich tego świata prowokował mnie do kpin nierzadko doprowadzających ją niemal do łez. Nie tęskniłem za nią tak naprawdę... lecz może brakowało mi skupionej, celowej furii, która popchnęła mnie do pościgu za jej mordercami. Głupiec – zadrwiłem sam z siebie. Głupiec, który jest niezadowolony tylko dlatego, że się nudzi.

Może jednak miękkie łóżko, łatwe pieniądze i dobre jedzenie nie wystarczały mi do szczęścia? „Czego pragniesz najbardziej?” – zapytał mnie Cezar Borgia podczas naszego pierwszego spotkania.

Książek. Być wysokim. I być poważanym.

Oczywiście osiągnięcie choćby jednego z tych trzech celów nie byłoby złym wynikiem na tym nieszczęsnym padole. Biblioteka Borgii była oszałamiająca. Jeśli czasem zaczynałem się nudzić –

a pilnowanie czyjegoś bezpieczeństwa potrafiło być nużącym zajęciem skazującym na wielogodzinną bezczynność – to dobra książka była w stanie w dużej mierze zająć mój niespokojny umysł.

– Hej, karzełku! – Ambasador Mediolanu przystanął na środku sali, przerywając swój chybotliwy przemarsz z jednego jej końca na drugi. – Pożongluj trochę, karzełku!

– Nie.

Sprośne komedyjki dobiegły końca, niebo na zewnątrz pociemniało i goście jeden po drugim zaczęli kierować się do drzwi, rzucając tęskne spojrzenia za siebie ku miejscu, w którym papieża otaczał najściślejszy krąg wrogów i sprzymierzeńców. Wiedziałem, że była to prywatna kolacja, na którą zaproszono dwudziestu, może trzydziestu gości i każdy z obecnych ambasadorów odnotował w pamięci, kto na niej został. Kto coś znaczył, z kim się liczone. Kardynał della Rovere tryskający nienawiścią do rywala, który pokonał go w walce o papieską tiarę, kardynał Sforza emanujący samozadowoleniem z powodu sprzedaży swojego głosu podczas konklawe za wprowadzenie Lukrecji Borgii do klanu Sforzów, Adriana da Mila, która choć raz uśmiechała się promiennie zamiast liczyć swoje dukaty...

Prezenty ślubne: zastawa stołowa z litego srebra, wiele sztuk mediolańskiego brokatu, dwa ogromne pierścienie od księcia Mediolanu. Giovanni Sforza

wsunął na palec narzeczonej perłowy pierścień, po czym uniósł jej dłoń, by go zademonstrować pod pozorem dwornego ukłonu, a Lukrecja na chwilę zapomniała o swojej sztywnej godności i zachichotała jak dziecko, którym przecież była. Giulia opuściła swoje krzesło i otwarcie usiadła na kolanie papieża, czule muskając jego czarne loki, a on celowo upuścił kandyzowaną wiśnię między jej powabne piersi. Kochanka spojrzała na niego z udawanym gniewem, ale on tylko opuścił głowę, po czym uniósł ją triumfalnie, trzymając wiśnię w zębach. Zaśmiała się cicho, lekko zarumieniona, i nie było na sali mężczyzny, który nie patrzyłby na to z zazdrością. Porzuciłem swoje miejsce pod okrytą gobelinem ścianą i kaczym krokiem skierowałem się ku prowadzącym na zewnątrz schodom, marząc o odrobinie świeżego powietrza. W tłumie nie ukrywali się najwyraźniej żadni skrytobójcy, a nawet jeśli, lada moment będą zbyt pijani, by kogokolwiek zadźgać.

Rozległy plac Świętego Piotra pogrążony był już w ciemnościach, lecz nadal kręcili się po nim mieszkańcy Rzymu, którym niespieszno było do łóżek. Kobiety zbierały się w grupki, poszeptywały i piszczwały, kiedy goście weselni wychodzili na zewnątrz w swoich wspaniałych jedwabiach. Niektórzy przystawali na chwilę, by rzucić w tłum garść monet, które gromadka dzieci zbierała gorączkowo pod jasno oświetlonymi oknami Watykanu. Dostrzegłem wysoką postać stojącą

w cieniu w pewnym oddaleniu od papieskiej gwardii, która trzymała straż przy świetle pochodni, i podniosłem rękę w geście pozdrowienia.

– *Signorina cuoca!* – Idąc ku niej po bruku, poczułem w powykręcanych mięśniach ud ukłucie bólu. Dla moich zdeformowanych nóg był to bardzo długi dzień. – Dlaczego nie przyglądasz się ukradkiem uczcie razem z resztą służących?

Nie odpowiedziała mi, tylko rozejrzała się po placu, krzywiąc się gorzko i krzyżując ręce na drobnych piersiach.

– Spójrz na to! – rzuciła, wskazując coś ruchem głowy.

Nie zobaczyłem nic z wyjątkiem rozległej, wybrukowanej przestrzeni, na której tłoczyli się żebracy i nieroby.

– Na co?

Kucharka zrobiła kilka wściekłych kroków w stronę placu, pochyliła się, podniosła coś i cofnęła się z irytacją.

– Patrz! – krzyknęła i podetknęła mi rękę pod nos.

Na jej dłoni zobaczyłem coś małego i spłaszczonego, czego rozpoznanie zajęło mi dłuższą chwilę. Była to jedna z jej truskawkowych tart – tych, które uformowała w miniaturowe różyczki z cienkimi cukrowanymi plasterkami truskawek zawijających się i nachodzących na siebie niczym płatki róży wokół pręcików kwiatu zaimitowanych nitkami szafranu. Teraz

połowy płatków brakowało, podobnie jak szafranowego środka, a tarta była niemal kompletnie zgnieciona.

– Rzucali moimi słodyczami z okien – warknęła. – Sądząc po tych rozdeptanych na bruku resztkach, wyrzucili prawie połowę! Nazarli się, a resztę wywalili jak śmieci!

Z rozmachem cisnęła zdeformowaną tartę na pograżony w ciemnościach plac, mamrocząc jedno ze swoich weneckich przekleństw, a jeden z żebraków pokuśtykał o kuli, by ją podnieść.

– Oto szczodrość dla tłumu – powiedziałem. – Słodkie tarty zamiast chleba. No cóż, Borgiowie rzeczywiście lubują się w ekstrawagancji. Nawet w swoich aktach dobroczynności.

– Wszystko można było znieść na dół w koszach! I rozdać! – Ze złością wytarła ręce w fartuch. – A nie wyrzucić przez okno jak resztki dla psów! Sto pięćdziesiąt kilogramów słodyczy, z czego przynajmniej połowa wylądowała rozgnieciona na ziemi! Spędziłam nad nimi wieki... Każdej z tych tart poświęciłam tyle czasu, że można w nim było dwa razy odmówić różaniec. Ostatniej nocy w ogóle nie zmrużyłam oka. Ja...

Jej kanciaste ramiona opadły, a ja zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle zauważyła, z kim rozmawia. Carmelina Mangano przeważnie skwapliwie unikała mojego towarzystwa. Być może dlatego, że zazwyczaj nie udawało mi się oprzeć pokusie potargania jej

piórek, które nietrudno jej było nastroszyć.

– Rozchmurz się – powiedziałem, celowo poklepując ją poufale po biodrze. – Chyba nie pożałujesz rzymskim żebrakom smaku twoich pyszności? A może owoce twojej pracy zarezerwowane są tylko dla wielkich tego świata?

– Gdyby chociaż wielcy zechcieli ich pokosztować!
– Z jasno oświetlonych okien nad naszymi głowami buchnęła muzyka i śmiechy i Carmelina podniosła głowę. – Podejrzewam, że zabawa przeciągnie się aż do świtu.

– Przynajmniej do momentu, w którym panna młoda pójdzie do łóżka.

– Takie to małe, a już została żoną.

– Och, na razie nie będą jej zmuszać do spółkowania z panem Sforzą. Zgodnie z dekretem papieża małżeństwo nie zostanie skonsumowane przed upływem co najmniej kolejnych sześciu miesięcy z uwagi na jej młody wiek.

– Dobry ojciec.

– Pragmatyczny. Jeśli małżeństwo nie zostanie skonsumowane, może je unieważnić, gdyby pojawiła się lepsza partia.

– Czyli co? To wszystko się zmarnuje? Suknia ślubna za piętnaście tysięcy dukatów, przyjęcie weselne i moje słodczy?

Jeszcze raz zerknęła z goryczą na plac zasłany rozgniecionymi ciastkami.

– A jakież znaczenie może mieć takie niewielkie marnotrawstwo dla papieża?

Była to najbardziej cywilizowana wymiana zdań, jaką odbyliśmy do tej pory, ta patykowata obraźliwa kucharka i ja. Podejrzewałem, że ciemność i zmęczenie potrafią nadać rys serdeczności każdej rozmowie z powodu zwykłego wyczerpania. Jej głos brzmiał niemal przyjaźnie... w każdym razie dopóki rozmawialiśmy na tematy neutralne. Przyjęcia weselne, jedzenie, a zatem coś, co nie dotyczyło jej samej.

Co w gruncie rzeczy było dziwne, bo nie spotkałem dotychczas kobiety, która nie lubiłaby rozprawić o sobie, o ile tylko mężczyzna chciał tego słuchać. Choćby taki mały mężczyzna jak ja.

– Podejrzewam, że nie zadałeś sobie trudu spróbowania któregośkolwiek z moich deserów. – Carmelina spojrzała na mnie z ukosa, nadal wyzywająco krzyżując ręce na piersiach. Pochodnie gwardii papieskiej wydobyły z mroku jej wydatny nos i długą szczękę. – Jesz jak ptaszek, panie Leonello!

– Jestem zmuszony do wstrzemięźliwości w jedzeniu i piciu. – Wskazałem gestem swój krótki tułów. – Karły, niestety, mają skłonności do tycia. Oto skutki apetytu dorosłego człowieka w karłowatym ciele. Wyznaję jednak, że spróbowałem kilku z tych tart. Mam na myśli te maleństwa z czerwoną pomarańczą i miodowym lukrem. Gorzkie do przełknięcia, a jednak tak słodkie.

Jak ty – prawie mi się wymknęło. Twarz i ciało miała *signorina cuoca* ciemne, chude i kanciaste, całkowicie pozbawione apetycznych krągłości i nadobnej bieli, które świat uważał za kwintesencję piękna. Miała jednak pazur, którego brakowało piękniejszym kobietom, ostry posmak tak cierpki i orzeźwiający jak łyk cytrynowej wody w upalny dzień. Zacząłem się zastanawiać, czy jej skóra smakuje cytryną. Skrzywiła się jednak, zanim zdążyłem wymyślić jakąś czarującą puentę, więc tylko przekrzywiłem głowę.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Te tarty z czerwoną pomarańczą, które ci smakowały... – zaczęła. – Kobieta na targu, która co tydzień sprzedaje mi owoce... Kupiłam od niej pełne sześć skrzynek czerwonych pomarańczy. A właśnie kilka dni temu usłyszałam od pomywaczy, że już nie żyje. Znaleziono ją z poderżniętym gardłem, rozkrzyżowaną, z rękoma przebitymi nożami. – Carmelina się przeżegnała. – Zostawili ją tak rozpiętą, żeby umarła we własnej budce z owocami. Niech święta Marta ma w opiece jej duszę.

– Rozkrzyżowaną... – powtórzyłem. – Z przebitymi rękoma?

– A tak się cieszyła, że sprzedała mi te wszystkie pomarańcze. Nie mogłam się już doczekać, aż opowiem jej, jakie znakomite ciastka z tego wyszły... – Carmelina westchnęła. – Dobranoc, panie Leonello.

Jeszcze długo po tym, jak zniknęła, stałem na placu, patrząc w przestrzeń.

Jedna kobieta z poderzniętym gardłem, przybita do stołu... A teraz dwie?

To nic nie znaczy – powiedziałem sobie. Kobiety ginęły w Rzymie co noc, z gardłami poderzniętymi przez zazdrosnych mężów, zwykłych rzezimieszków albo wściekłych dłużników. Wiele kobiet. W wielkim planie tego pełnego przemocy miasta nie znaczyło to dokładnie nic.

A nawet jeśli obie zginęły w podobnych okolicznościach, zamordowane w podobny sposób... to co? Jeśli człowiek się odpowiednio postara, znajdzie podobieństwa między dwiema dowolnymi śmierciami. Te dwie śmierci były zwykłym zbiegiem okoliczności. Trzeba było przynajmniej trzech, żeby można było mówić o jakimkolwiek powtarzającym się wzorcu.

Nie potrafiłem jednak przestać myśleć o trzecim mordercy. Człowieku, którego dotąd nie znalazłem. Człowieku w masce.

Uznałem, że nie zaszkodzi, jak rozpytam się trochę o tę znaną Carmelinie kobietę, o tę nieszczęsną sprzedawczynię pomarańczy.

Kopnąłem w cień jedną z rozplaszczonych tart Carmeliny, czując do siebie coś w rodzaju urazy. Bo ta kobieta była martwa, tymczasem ja poczułem się nagle dziwnie ożywiony. Niemal radosny. Nuda prysła.

O świcie zobaczyłem, jak goście weselni wytaczają

się chwiejnie w ciemność. Towarzysz piękności o odsłoniętych ramionach ciągle gmerał jej w dekolcie, wzorem papieża wydłubując zza jej stanika kandyzowane wiśnie. Pani Adriana spała w lektyce na siedząco z rozdziawionymi ustami. A ubrany w szaty duchownego Cezar Borgia niósł w ramionach swoją głęboko uśpioną, spowitą w ustrojoną klejnotami suknię siostrzyczkę do jej dziewiczego łóżka.

Rozdział 8

Wielka piękność i wielka cnota rzadko idą w parze.

FRANCESCO PETRARCA

Giulia

Miałam najdoskonalsze i najpiękniejsze dziecko na świecie.

– Może i jest ładna, ale daleko jej do doskonałości – skomentował Leonello, kiedy mu o tym powiedziałam w trakcie długiego, leniwego popołudnia po zakończeniu przyjęcia weselnego. Większość domowników jeszcze spała, a ci nieliczni, którzy już się obudzili, pokładali się po kątach jak powalone byki, jęcząc cicho z powodu nadmiaru wypitego dzień wcześniej wina. Wesela są strasznie wyczerpujące, nieprawdaż? – Kiedy to dziecko jest głodne, a zazwyczaj jest głodne, wrzeszczy głośniejszym niż wenecka handlarka ryb – ciągnął Leonello. – Dlaczego nie wyślesz jej z mamką na wieś, jak robi to większość matek? Cały pałac wreszcie by się wyspał.

– Wysłać Laurę na wieś? Nigdy.

Kiedy po raz pierwszy ułożyli mi córkę w ramionach, była tylko oślizgłą płataniną wierzgających nóżek i wymachujących rączek, czerwoną żabuchną z jednym uchem zagadkowo zwiniętym i zupełnie sklejonym. Zamartwiałam się tym uchem strasznie! Przecież moja córka nie mogła

dorastać z takim zwiniętym uchem! Nie minęła godzina, a ja już kołysałam ją z troską, zakochana w niej na zabój, zapewniając ją, że będę jej splatać włosy w śliczne precelki po obu stronach głowy, by nikt nigdy nie mógł się śmiać z jej uszka. Byłam gotowa zabić każdego, kto by się ośmielił. Zrozumiałam to, zanim skończyła dzień życia. Ale uszko się samo rozwinęło, czerwień noworodka ustąpiła brzoskwińowej gładkości, a Laura stała się najpiękniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek się narodziło. Dla mnie oczywiście nie miało to żadnego znaczenia, bo Laura była moją córką i uwielbiałabym ją niezależnie od tego, czy byłaby śliczna, czy całkiem pospolita.

Cieszyłam się jednak z tego uszka. Te splecione precelki po obu stronach głowy na nikim tak naprawdę dobrze nie wyglądają, prawda?

– Włosy jej rosną – powiedziałam, przewracając się w trawie na plecy i unosząc moją bystrooką dziewczynkę wysoko w powietrze. – Myślę, że będzie miała tak samo jasne włosy jak ja.

– Skoro nazwałaś ją Laura, to lepiej, żeby tak było. Czy naprawdę musiałaś nadać jej imię po najświetniejszej blond nudziarce w światowej historii słabej poezji? – zajęczał Leonello. – Poczekaj tylko, zrobi się starsza, włosy jej ściemnieją, a potem przez resztę życia będzie zaciskać zęby, kiedy ludzie będą pytać, dlaczego nie jest złotowłosa jak Laura Petrarcki.

– Bzdura. Będzie miała prześliczne jasne włosy jak

ja i pokażę jej, jak płukać je w odwarze z szafranu i cynobru.

Opuściłam Laurę na piersi i pocałowałam jej puszystą główkę, rozkoszując się ciepłem słońca. Leżałam na miękkiej trawie w otaczającym pałac ogrodzie, fontanna pluskała gdzieś po prawej stronie, słońce świeciło z góry, a lekka bryza owiewała mi rozkosznie nagie ramiona, szyję i stopy. Zeszłam na dół w przejrzystej koszuli bez rękawów, nic na nią nawet nie narzucając i ciesząc się swobodą ruchów po wszystkich tych długich godzinach wczorajszego przyjęcia weselnego w ciasno zasznurowanym staniku i obcisłych rękawach.

– Piegi ci wyskoczą – zauważył Leonello ze swojej skrytej w cieniu pod ścianą ławy, opierając buty na tapicerowanym taborecie i kładąc książkę grzbietem do góry na kolanach. Mój ulubiony koziołek spał obok niego, co jakiś czas budząc się z drgnięciem jedwabistych uszu, by poskubać pączki płożącego się po ścianie wina. – Spalisz się na słońcu i obsypiesz piegami, a wtedy już nie będziesz niczyją kochanką.

– W ogóle mnie to nie obchodzi. – Obchodziło mnie tylko to, że wesele wreszcie się skończyło, a wraz z nim całe to zamieszanie i gorączkowe przygotowania. Chociaż minęło już południe, pani Adriana nie wyszła jeszcze ze swojej komnaty, a kochana Lukrecja oczywiście nadal mocno spała, co stwierdziłam, zwłókszy się z własnego łóżka i zajrzawszy do jej

komnaty. To właśnie ja owinęłam ją dziś rano kołderką po tym, jak pomogłam służącym uwolnić jej śpiące ciało ze sztywnej, wyszywanej klejnotami sukni i ułożyć w jedwabnej pościeli. Miała mieszkać nie ze swoim mężem, lecz razem ze mną w Palazzo Santa Maria, dopóki nie dorośnie na tyle, by małżeństwo mogło zostać skonsumowane. I naprawdę się z tego cieszyłam.

– Śliczna – wymruczała, zapadając w sen. Kochałam ją prawie tak mocno jak Laurę.

– Jest wykończona – wyszeptałam do Rodriga, który przyszedł przejściem do Palazzo Santa Maria, by dopilnować bezpiecznego powrotu córki do łóżka po zakończeniu uczyty weselnej.

– Mam nadzieję, że ty nie jesteś wykończona – powiedział z tym błyskiem czarnych oczu, od którego nieodmiennie ugięły się pode mną kolana, a potem zanurzył dłonie w moich włosach, zaciągnął mnie z powrotem do mojego łóżka i kochał się ze mną z taką werwą, jakby to ktoś inny nie spał przez ostatnią dobę. Kiedy obudziłam się bardzo późnym rankiem, już go nie było, ale przecież nigdy nie zostawał. Papież był zawsze zbyt zajęty, by gdziekolwiek, nawet w moim łóżku, zabawić dłużej. Ale we wgnieceniu poduszki, w którym spoczywała jego głowa, zostawił dla mnie nową, perłową bransoletkę.

– Czy Ojciec Święty przeznaczył te perły dla dziecka? – zagadnął Leonello, kiedy zdjęłam bransoletkę z nadgarstka i owinęłam ją podwójnie

wokół pulchnej nóżki Laury. – Widzę, że dominikanie mają rację, kiedy gromią ekstrawagancje nowobogackich hiszpańskich papieży i ich rozpustnych haremów, w których nawet dzieci obsypywane są klejnotami.

– Chcę, by Laura dorastała wśród pięknych przedmiotów. Zasługuje na nie. Spójrz na tę skórę, jest wprost stworzona do noszenia pereł! Prawda, *Lauretta mia*, że jesteś śliczna? – Usiadłam w trawie i obsypałam pocałunkami jej szyjkę. – Chcesz ją potrzymać?

– Nie.

– Proszę, tylko podtrzymuj jej główkę.

– Nie chcę jej trzymać!

– Uważaj, bo kopie.

– Boże.

Leonello odłożył książkę, a ja włożyłam Laurę w jego krótkie rączki. Trzymał ją na wyciągnięcie ramion, robiąc upiorne miny przypominające procesję diabelskich masek karnawałowych, a Laura wpatrywała się w niego z absolutną fascynacją.

Zaśmiałam się.

– Widzisz? Lubi cię.

– Okazuje pożałowania godny brak rozsądku.

Leonello wykrzywił potwornie twarz i spojrzał na Laurę spode łba niczym gargulec z dachu. Laura zapiszczała z zachwytu i zamachała rączkami, a ja się uśmiechnęłam. Nikt by nie podejrzewał, że karzeł może być znakomitą akuszerką, ale gdy rodziłam przed

dwoma miesiącami, Leonello okazał się niesłuchanie pomocny. Niby nic nie robił, siedział po prostu w kącie, ignorując podejmowane na rozmaite sposoby próby wyrzucenia go z pokoju i zauważając co jakiś czas, że rodzenie dziecka to obrzydliwa sprawa, ale... szczerze mówiąc, miał rację. Rodzenie dziecka jest nie tylko obrzydliwe, ale i nudne. Całe to oddychanie, chodzenie po schodach, te położne mówiące, kiedy oddychać, kiedy przeć, a kiedy się modlić (jakbym w takich bólach mogła sobie przypomnieć jakiegokolwiek modlitwy!). Nie potrzebowałam modlitw, tylko czegoś, co odwróciłoby moją uwagę, a Leonello, lekceważąc próby wykurzenia go, zajął się zabawianiem mnie, wyrzucając z siebie serię obsceniczných dowcipów opowiadanych tym jego bezbarwnym, monotonnym głosem, który sprawiał, że wszystko wydawało się jeszcze zabawniejsze. Śmiałam się niepohamowanie mimo bólu i przysięgłabym, że dzięki temu Laura przyszła na świat znacznie szybciej.

– Świetnie sobie z nią radzisz. – Położyłam się w trawie na boku i oparłam brodę na dłoni. – Powinieneś się ożenić i postarać o własne dziecko.

– Nie wydaje mi się.

– Dlaczego nie?

– Czy to nie jest oczywiste? – zapytał głosem suchym jak pieprz.

– Jesteś wykształcony, inteligentny i masz cudowny głos. Gdybyś choćby czytał poezję zamiast się z niej naigrawać, kobiety mdlałyby z zachwytu. – Krytycznie

zlustrowałam go wzrokiem. – Mógłbyś się jednak nieco lepiej ubierać. W tym czerwonym kolorze Borgiów nie wyglądasz najlepiej. Lepsza byłaby zieleń. Albo czern. W czerni wyglądałbyś złowieszczo i jednocześnie stylowo.

– Stylowo – powtórzył, wykrzywiając się straszliwie do Laury.

– A może turban? – zachichotałam. – Na pewno w turbanie mógłbyś ukryć co najmniej kilka noży. I koronkowe mankiety...

– Koronkowe? Koronkowe? Boże. W ozdobne fatałaszkę możesz sobie przebierać swoje dziecko albo koziołka, kobieto. Mnie zostaw w spokoju!

Nasze śmiechy przerwał chłodny głos.

– Czy w tym pałacu nie obudził się jeszcze nikt poza karłami, kozami i chichoczącymi dziewczkami?

– Nie – odparł Leonello, podnosząc wzrok na naszego gościa. – Wszyscy jesteśmy pogrążeni w czarodziejskim śnie niczym księżniczka w wieży oplecionej krzewem ciernistym. Ofiary nie tyle uroku czarownicy, ile tego zbytowego, wystawnego wesela. Witamy w seraju. Kogóż tu szukasz, nadobna pani?

Podążyłam za jego wzrokiem i zobaczyłam kobietę stojącą pod sklepieniem loggii tuż nade mną. Miała może czterdzieści pięć lat, kasztanowe włosy i wysoką, szczupłą sylwetkę przyodzianą w rdzawy aksamit i parę jedwabnych rękawów w śliwkowym kolorze. Na swój upudrowany i dobrze zakonserwowany sposób była

naprawdę piękna. Nigdy wcześniej jej nie spotkałam, ale uniosła podbródek i spojrzała na mnie z góry w boleśnie znajomy sposób.

– Ach – rzekła, lustrując mnie spojrzeniem od stóp do głów. – Więc to ty jesteś La Bella, jak sądzę?

– Nazywam się Giulia Farnese. – Uniosłam się z taką swobodą i opanowaniem, na jakie tylko było mnie stać, otrzepując pogniecioną koszulę ze ździebeł trawy. – A ty jesteś...?

Oczywiście doskonale wiedziałam, kim jest.

– Vannozza dei Cattanei. – Głos miała zimny. – Twoja poprzedniczka.

– W rzeczy samej – powiedziałam, jakby nie robiło to na mnie żadnego wrażenia, i powstrzymałam chęć przyglądzenia włosów.

Rodrigo opowiadał mi nieco o swoich byłych kochankach – z rozbawieniem, w którym kryła się odrobina dezaprobaty: „Dlaczego kobiety zawsze muszą to wiedzieć?”. Była więc kurtyzana z Walencji, która dała mu jego pierwszego syna. Syna, który zmarł w Hiszpanii razem z kurtyzaną... Była żona usłużnego winiarza z Madrytu, z którą miał dwie córki. Ale przede wszystkim była kobieta, którą utrzymywał u swego boku przez dziesięć lat. Kobieta, która pozwoliła mu zostać ojcem Cezara, Juana, Lukrecji i Jofrégo. „Chociaż co do Jofrégo, zawsze miałem wątpliwości. Wtedy już Vannozza zaczynała się mną nudzić” – powiedział mi Rodrigo, rysując kciukiem kółko na moim nagim

ramieniu. Zaśmiałam się. „Jak ktokolwiek mógłby się tobą znudzić?”. Mój papież bywał momentami denerwujący, uparty i porywczy, ale nudny? Nigdy.

Zawsze jednak, gdy wspomiano Vannożę, chichotał, potrząsając głową z niewątpliwą sympatią i wzbudzając moje zaciekawienie postacią mojej poprzedniczki. Nabrałam nawet ochoty na jej poznanie. Choć wołałabym, by nie następowało to w chwili, w której stałam jak pasteczka, ubrana tylko w poplamioną trawą koszulinę, z włosami splecionymi w warkocz.

Jeszcze raz obrzuciła mnie spojrzeniem, którego wyraz doskonale znałam. Tak samo spojrzał na mnie jej najstarszy syn, Cezar, gdy spotkał mnie po raz pierwszy. „Jeszcze jedna dziwka mojego ojca” – jakby miał te słowa wypisane na czole.

– Pani – powiedziałam w końcu, opanowując chęć ukrycia za plecami nagich rąk. – Czy mogę ci zaproponować wodę cytrynową? A może wino?

– Nie, dziękuję, przyszedłam się zobaczyć ze swoją córką.

– Lukrecja jeszcze śpi. – Uśmiechnęłam się. – Była wczoraj przepiękną panną młodą, ale obawiam się, że całe to podekscytowanie strasznie ją wyczerpało.

– Skąd mogłabym o tym wiedzieć? Nie pozwolono mi uczestniczyć we wczorajszych uroczystościach. Ale ty doskonale o tym wiesz.

Oczywiście, że wiedziałam, i również mnie to

zdumiało. Cóż to za historia, by matka nie mogła wziąć udziału w weselu własnej córki? Ale Rodrigo potraktował to całkiem zwyczajnie. „Ci Sforzowie to dumne sukinsyny. Uważają, że Vannoza jest zbyt nisko urodzona, by mogła się z nimi równać! Ja także, ale papieska tiara pozwala im przymknąć na to oko. Vannoza świetnie rozumie takie sprawy. Nie poczuje się urażona prośbą, by trzymała się z daleka”.

Najwyraźniej się mylił.

– Przykro mi – powiedziałam w końcu. – Rozumiem, że była to kwestia polityczna.

– Czyżby? – Uniosła swoje wyskubane brwi. – A ja myślę, że to była kwestia tego, co odpowiadało Rodrigowi. Ale oczywiście dla niego tym właśnie jest polityka.

Policzki mi zapłonęły. Nie byłam przyzwyczajona do tego, by ktokolwiek nazywał mojego kochanka Rodrigiem – z wyjątkiem mnie samej oczywiście. Dla świata był papieżem Aleksandrem VI. Dla swoich dzieci był ojcem – a teraz, coś za zbieg okoliczności, Ojcem Świętym. Dla swoich duchownych był Jego Świątobliwością. I tylko dla mnie był Rodrigiem, a imię to szeptałam w miękkiej pełni nocy, kiedy zatapiał dłonie w moich włosach i przyciągał mnie do siebie.

– To było piękne wesele – powiedziałam w końcu. – Lukrecja wyglądała jak królowa.

Ale Vannoza dei Cattanei utkwiła już spojrzenie swoich kasztanowych oczu w Leonellu i zawiniątku,

które nadal trzymał w rękach.

– Twoja córka? – zapytała, schodząc z loggii do ogrodu. – Lukrecja powiedziała mi, że w końcu urodziłaś.

– Tak. – Sięgnęłam po moją córkę, ogarnięta nagłym instynktem opiekuńczym, a Laura zamachała swoją pulchną niemowlęcą rączką, kiedy Leonello mi ją oddawał. Przesunął się nieco na swojej ławie pod murem, usuwając swą niewielką, prowokującą postać w cień i wtapiając się w tło.

Spojrzenie Vannozy prześliznęło się po moim dziecku.

– Mała jest – powiedziała w końcu moja poprzedniczka. – Lukrecja w tym wieku była znacznie większa. I znacznie bardziej różowa. Już w kołysce była prawdziwą pięknnością.

Wzięłam głęboki wdech, po czym spokojnie wypuściłam powietrze, zmuszając się do uśmiechu i przybrania miłego wyrazu twarzy. Matka zawsze mi powtarzała, że nic nie broni przed grubiaństwem równie skutecznie jak niezmacona uprzejmość.

– Tak, Lukrecja jest prawdziwą pięknnością – zagruchałam do Vannozy dei Cattanei. – Szkoda, że nie jest podobna do ciebie. Myślę, że wdała się raczej w Rodriga... Wiesz, ma to charakterystyczne dla niego ciepło i ten sam rozbawiony głos... – Aż zadrżałam z zadowolenia. – Bardzo atrakcyjny.

Oczy jej rozbłysły. Może moja nieskalana

uprzejmość rzeczywiście zwyciężyła jej grubiaństwo. Na własnej skórze przekonałam się, że działa to najlepiej, kiedy pod warstwą miodu kryje się odrobinka dziegciu.

– Na twoim miejscu karmiłabym się nadzieją, że twoja córka wyrośnie na kobietę równie piękną jak moja – warknęła Vannozza. – Będzie znacznie bardziej użytecznym pionkiem, kiedy za kilka lat Rodrigo zacznie ją wystawiać do mariażu. Ciekawa jestem, czy pozwolą ci wziąć udział w jej weselu, Giulio La Bella? Może to następna konkubina Rodriga będzie ją prowadzić do ołtarza? Będą przypuszczalnie w podobnym wieku.

Nadałam swojemu uśmiechowi wyraz słodkiej łagodności.

– Och, Vannozzo... Czy mogę się tak do ciebie zwracać? Naprawdę nie rozumiem, skąd w tobie tyle jadu. W końcu nie zabrałam ci Jego Świątobliwości. Z tego, co zrozumiałam, dawno już ze sobą skończyliście.

– Owszem, Rodrigo skończył ze mną. – Z jej twarzy opadła cienka maska uprzejmości. Nareszcie. – Tak samo, jak kiedyś skończy z tobą. Zastanawiam się, moja droga Giulio, czy utrzymasz się tak długo jak ja... Dziesięć lat i czworo dzieci? – Jeszcze raz omiotła mnie spojrzeniem. – Wątpię. Jeszcze jedno dziecko, a będziesz pękata jak beczka cydru.

– Lepsza krągła i soczysta brzoskwinia – odparłam

– niż stara suszona śliwka.

– Lepszy smukły łabędź niż mały, gruby kapłon.

Vannoza wygładziła sobie suknię w talii, wciąż wąskiej po czterech porodach, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy mogłabym poprosić Leonella, żeby ją zadźgał. Wystarczyłby jeden z tych jego małych ostrych noży umieszczony dokładnie pomiędzy jej wypudrowanymi piersiami. Mogłabym chyba utrzymywać, że działałam w obronie własnej?

– Rodrigo kocha moje krągłości – powiedziałam zamiast tego tak niewinnie, jak tylko potrafiłam. – Szkoda, że go nie widziałas, gdy nosiłam pod sercem Laurę. Nie odrywał rąk od mojego brzucha.

Ani od pozostałych części mojego ciała... Mój papież nie był człowiekiem przekonanym o konieczności wstrzymania się z nocnymi czułościami w ostatnich miesiącach ciąży. Dzięki niech będą Przenajświętszej Pani, bo moim ciężowym zachciankom na słodkości towarzyszyły zachcianki zupełnie innej natury.

– Tak, Rodrigowi podobają się brzemiennie kobiety – powiedziała Vannoza, jakby czytała mi w myślach. – Dzięki temu znów czuje się młody. Podejrzewam, że nawet stare byki odkrywają na widok młodej jałówki, że mogą jeszcze trochę pobrykać.

– Muu – zamuczałam, kładąc sobie Laurę na ramieniu i poklepując ją po małych pleckach. – Jesteś pewna, że nie masz ochoty już sobie pójść

i powyżłościwić się na kimś innym? Lukrecja jest naprawdę bardzo zmęczona po weselu. Dobra matka pozwoliłaby jej pospać.

Vannozza zacisnęła wargi.

– Każdej matce powinno być wolno uczestniczyć w weselu jej własnej córki. Powinnam była tam być i to ja powinnam była ją odprowadzić do ołtarza, a nie dziwka jej ojca, która przez pół uczyty wrzuca sobie wiśnię za stanik i chichocze.

– Wydajesz się świetnie poinformowana, biorąc pod uwagę, że cię tam nie było. Powiedz mi, czy wiedziałaś, że to ja uczyłam Lukrecję, jak ma się poruszać w sukni z trenem? To wymaga sporo wprawy, by zaprezentować go w pełnej okazałości, nie potykając się o niego, a ta suknia ślubna była bardzo ciężka. Ćwiczyłyśmy w tym ogrodzie godzinami, aby Lukrecja była odpowiednio przygotowana na dzień ślubu. – Uniosłam brodę. – Lukrecja odwiedza cię dość często. Czy każde jej odwiedziny wykorzystujesz tylko do tego, by narzekać i sączyć jej do ucha zjadliwe komentarze na temat jej ojca? Dlaczego to ja uczyłam ją poruszać się w sukni z trenem, a nie jej matka?

Vannozza spuściła wzrok i zawiesiła spojrzenie na oczku wodnym pluskającym na środku ogrodu. Mój ulubiony koziołek podszedł, aby poskubać mech rosnący nad jego brzegiem, a ona patrzyła na niego, obracając mechanicznie pierścień, który miała na palcu. Wspaniały pierścień z szafirem osadzonym w ciężkiej

złotej oprawie wyrzeźbionej na kształt liści akantu. Zastanawiałam się, czy to prezent od Rodriga.

– Papież się tobą zmęczy – powiedziała spokojnie, spoglądając na pierścień. – Dopilnuj, żebyś miała z tego coś poza biżuterią. Ja mam dom i trzy świetnie prosperujące gospody, miałam trzech szanowanych mężów i stały dochód. To trwa dłużej niż miłość. W każdym razie miłość Rodriga.

Poczułam ukłucie niechętniej litości. W końcu to mogło być wesele Laury... Pewnego dnia będzie wesele Laury. Cóż bym zrobiła, gdyby to mnie zabroniono przyjść na wesele własnej córki? Zawahałam się, ale wtedy Vannozza dei Cattanei znów utkwiała we mnie spojrzenie, w którym było dwa razy więcej jadu niż wcześniej.

– Przynajmniej nie zabierze ci córki tak jak mnie – powiedziała. – Wiesz, dla Rodriga liczy się tylko krew Borgiów. A to dziecko, które trzymasz, nie należy do jego rodu.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Poderwałam głowę, a cała litość wyparowała ze mnie w mgnieniu oka. – Cały Rzym wie, kim jest ojciec Laury.

– Tak, Rzym uwielbia plotki. – Uśmiechnęła się. – Ale gdyby to dziecko było z rodu Borgiów, nigdy nie nadano by jej nazwiska Orsini. Cofam to, co przed chwilą powiedziałam. Następna konkubina Rodriga nie poprowadzi twojej córki do ołtarza z tego prostego powodu, że twoja mała Orsini nigdy nie będzie warta

strategicznego małżeństwa zaaranżowanego przez Borgię.

– No cóż, oczywiście, że otrzymała nazwisko Orsini. Wiesz, co mówi prawo.

Rodrigo wyjaśnił mi to, gdy byłam w ciąży. Istniejące nieślubne dzieci to jedno, ale żaden papież zasiadający na Stolicy Piotrowej nie może oficjalnie uznać nowo narodzonego dziecka. Nie ucieszyło mnie to specjalnie, ale takie jest prawo.

– Myślisz, że prawo powstrzymałoby Rodriga Borgię? – Vannozza wyglądała na rozbawioną.

– Skandal...

– Żaden skandal go nie obchodzi i nigdy nie obchodził. Gdyby naprawdę spółdził to dziecko, znalazłby sposób na obejście prawa. I byłby z tego dumny. – Vannozza uśmiechnęła się. – Widzisz, Rodrigo kocha swoje dzieci. Ale tego nie kocha. To tylko kukułcze jajo w jego gnieździe.

Poczułam się, jakby ktoś mi wbił nóż w piersi. Obronnym gestem przycisnęłam mocniej maleńkie ciało Laury, która poirytowana, zaczęła się wiercić. Uznałam jednak, że prędzej pozwolę Najświętszej Paniencie wziąć mnie żywcem do nieba – albo diabłu porwać mnie do piekła, gdybym za bardzo nagrzeszyła – niż dam się wyprowadzić z równowagi tej pomarszczonej, mściwej krowie, która przede mną stała.

Prawda była taka, że moja córka urodziła się dziewięć miesięcy po tym, jak po raz pierwszy poszłam

z Rodrigiem do łóżka... A tydzień wcześniej poszłam do łóżka ze swoim mężem, jeśli to dziwaczne spółkowanie pod ścianą mogło się liczyć jako pójście do łóżka. Oczywiście, że ojcem Laury musiał być Rodrigo! To śmieszne, by sądzić, że ta niezdarna dłubanina Orsina, który z trudem przebijał się przez zwały moich spódnic, mogła okazać się bardziej owocna niż wszystkie te leniwe godziny, które spędziłam w ramionach mojego papieża. Nigdy nie miałam wątpliwości, kto był ojcem Laury.

A Rodrigo...?

– Dlaczego nie zajmiesz się własną córką zamiast mojej? – zdołałam powiedzieć. – Komnata Lukrecji znajduje się na szczycie schodów we wschodnim skrzydle pałacu, jeśli już upierasz się, żeby ją obudzić.

– Dziękuję. – Po raz ostatni wymieniliśmy długie, krytyczne spojrzenia. Nie spuściłam wzroku, nie przygładziłam włosów, nie bawiłam się pierścionkami, zdecydowana nie okazywać po sobie w żaden sposób, że ugodziła mnie celnie. Wytrzymałam jej spojrzenie, aż w końcu jej brwi drgnęły w sposób, który przywiódł mi na myśl Cezara, i Vannozza ominęła mnie, kierując się ku schodom.

Stukot butów Vannozzy dei Cattanei i szelest jej śliwkowo-rudych aksamitów powoli się oddalały. Koziółek zabeczał w ślad za nią. Patrzyłam na fontannę i kołysałam rytmicznie na ramieniu Laure, która zaczęła kwilić. Poczułam u swego boku małą, pocieszającą

obecność.

– Czy powinienem zaaranżować jakiś śmiertelny wypadek? – zasugerował Leonello. – Może szybki cios w głowę? Potem wystarczy kilka razy wyrznąć w sufit, żeby spadło parę kamieni i uwiarygodniło tragiczny wypadek. Powinnaś wiedzieć, że to ulubiona metoda skrytobójców.

Prawie go nie słyszałam, przyglądając się swojej ślicznej córeczce. Rodrigo rzadko obdarzał ją czymś więcej niż przelotnym uśmiechem, ale przecież mężczyźni rzadko zachwycają się dziećmi, prawda? Nie należało tego oczekiwać. Ale naprawdę ją kochał. Naprawdę! Kiedyś będzie miała wesele w papieskich apartamentach, tak jak jej siostra Lukrecja. Wesele w zdobionej klejnotami sukience, ślub z narzeczonym ze szlacheckiego rodu i posag godny córki papieża. Ponieważ była córką papieża. Miała nos Rodriga!

Ale nie jego nazwisko. Nagle ogarnęła mnie gorzka i mroczna nienawiść do Vannozzy dei Cattanei za to, że zmałała moje szczęście.

– Jeśli jest to jakimkolwiek pocieszeniem... – Leonello zatknął swoje małe rączki za pas, odchylił głowę do tyłu i popatrzył na mnie – to przy tobie sprawiała wrażenie starej, poszarzałej, zgorzkniałej pudernicy.

Oparłam policzek na puszystej główce Laury.

– Obawiam się, że w ogóle mnie to nie pociesza.

Carmelina

Ostatnim spojrzeniem obrzuciłam rząd małych tuszek.

– To wystarczy – orzekłam i obróciłam się ku posłusznemu rządowi ubranych w fartuchy uczniów. – A teraz weźcie każdego ptaka i nadzieicie go fenkułem i pokrzywą...

– Dlaczego pokrzywą? – przerwał mi piskliwy chłopięcy głos.

Spojrzałam na rudego pomywacza o imieniu Bartolomeo, który odwrócił do mnie przez ramię piegowatą buzię zamiast szorować stos zatłuszczonych naczyń.

– Pokrzywa uniemożliwia muchom złożenie jaj – odpowiedziałam. – A teraz wracaj do garów!

– Przepraszam, signorina.

Mogłoby się zdawać, że położył uszy po sobie, ale nie miałam wątpliwości, iż za chwilę zada kolejne pytanie. Uwijał się z pracą szybciej niż pozostali pomywacze, ale te pytania! Dlaczego mąka orzechowa jest słodsza niż inne mąki? Dlaczego w dniu maselnicy jest wywiercona mała dziurka? Dlaczego najlepszy bekon jest z wieprzy hodowanych w lesie, a nie ze świń tuczonych w zagrodzie? Pytania o rzeczy, które pomywacza w ogóle nie powinny interesować! Zdecydowanie popierałam odrobinę entuzjazmu dla własnej pracy, ale miałam pod sobą całą kuchnię,

w której naprawdę nie brakowało roboty! Nie mogłam przez cały boży dzień zaspokajać próżnej ciekawości pomywacza! Święta Marto, daj mi cierpliwość!

– Wypchajcie tuszki pokrzywą – ciągnęłam swój wykład dla uczniów, których akurat powinno to bardzo interesować. – A potem powieście, żeby skruszały. A jeśli zobaczę, że wiszą zbyt blisko siebie, to nafaszeruję pokrzywą was.

Uczniowie rozbiegli się jak stado bezgłowych, ale przynajmniej dobrze zorganizowanych kurczaków. Z wnętrza kuchni dobiegały pokrzykiwania kuchcików przygotowujących pospiesznie obiad. Marco miał wolne popołudnie, co oznaczało, że sączy chłodne wino i gra w kości w winiarni na sąsiednim placu. Szkoda, bo w letnim upale obficie spływający potem służący stali przy ogniu bez koszul, a żaden mężczyzna nie wyglądał bez koszuli lepiej niż wysoki, postawny kucharz.

Oczywiście byłam na tyle rozsądna, by nie wpatrywać się maślanymi oczami w mężczyzn, jak robiły to przy takiej pogodzie wszystkie służące szukające tylko wymówek, by co chwila wpadać do kuchni i pożerać ich wzrokiem. Nie było w tym nic złego, dopóki chodziło o dziewczęta, którym w głowie było tylko małżeństwo, ale kobieta mająca pod swoimi rozkazami cały legion opryskliwych uczniów i bezczelnych pomywaczy nie miałaby ani odrobiny poważania, gdyby jej podkomendni sądzili, że można sobie z nią poradzić uśmiechem i kilkoma zalotnymi

słówkami.

Zabrałam się do inspekcji najnowszej dostawy ledwie co upolowanych dzikich kaczek i żurawi, które w formie sterty dziobów i bezwładnie zwisających płetwiastych nóżek leżały na wyszorowanym blacie. Wypatroszone pierzaste worki, które tylko czekały na to, by dzięki magii przypraw i umiejętności przeobrazić się w wykwinną potrawę. Żaden widok nie cieszył mnie na równi ze stosem martwych ptaków! Może z wyjątkiem jadłospisu dzisiejszej kolacji składającej się z niewielkich dzikich ptaszków równie nieopierzonych jak moi uczniowie...

Dobiegł mnie znów głos Bartolomea, który zataczając się pod ciężarem czystych patelni, mijał właśnie Ottaviana.

– Ottaviano... Dlaczego dzikie kaczki faszeruje się kwiatami fenkułu, a nie zwykłym fenkułem, jak kury?

– Nie mam pojęcia – burknął Ottaviano bez zainteresowania.

– Żadnych pogaduszek! – huknęłam, komponując jadłospis na wieczór. – Buzie na kłódkę, ręczki pracują!

– Przepraszam, signorina. – Nastąpił moment ciszy, a potem usłyszałam głośny szept. – Ugo, dlaczego kwiaty fenkułu, a nie...

– I żadnych szeptów!

Gromadziłam już potrzebne składniki i robota paliła mi się w rękach. Pieczone na różnie gołąbie z sałatką z zimnych szparagów (strona dwudziesta

druga, rozdział *Salaty*), półmisek anchois z oliwą, octem i oregano...

– Signorina... – Głos Bartolomea rozbrzmiał gdzieś w okolicach mojego ramienia. – Nie chciałbym przeszkadzać, ale...

– Najwyraźniej chciałbyś.

Zakorkowałam na powrót oliwę, uderzając w korek spodem dłoni.

– Chodzi o tę ostatnią kurę na haku, signorina – upierał się. – Nie jest świeża.

– A od kiedy to pomywacze wtykają nosy w mój drób? – Spiorunowałam go wzrokiem. – A poza tym każdą z nich sprawdziłam osobiście, gdy tylko zostały przywiezione. Oczywiście, że ta ostatnia kura na haku jest świeża.

Przestępował z nogi na nogę, wycierając namydlone dłonie o brudną koszulę. Pochylił głowę, a jego twarz zaczerwieniła się gwałtownie, przybierając kolor jego włosów.

– Nie jest – powiedział cicho.

Spojrzałam na niego z ukosa, świadoma, że wszyscy uczniowie i pozostali pomywacze przerwali pracę i obserwują nas z uciechą. Bunt... Równie niebezpieczny w kuchni jak na pokładzie statku.

– No cóż, sprawdźmy, pomywaczu. – Wytarłam ręce w fartuch i podeszłam sztywno do ostatniej kury, która wisiała martwa i wypchana pokrzywą na swoim haku, po czym zaciągnęłam się jej zapachem. – Jak dla

mnie pachnie świeżo. Może byłbyś łaskaw mi wyjaśnić, co pozwala ci sądzić, że masz lepsze powonienie od mojego?

Zdjął kurę z haka i obrócił ją w milczeniu wnętrzem ku górze. Powąchałam jeszcze raz: pokrzywa, fenkuł, sól, pieprz. Wszystko w najlepszym porządku...

A może jednak nie?

Jeszcze raz powoli wciągnęłam powietrze w nozdrza. Pod mieszanką przypraw, niczym smużka dymu z ognia, który ledwie co się tlił, delikatny, najdelikatniejszy zapaszek zgnilizny.

– Hm. – Wzięłam ptaka i rzuciłam go jednemu z pomywaczy. – Do śmieci. Bartolomeo, chodź ze mną.

– Przepraszam, signorina. – Ruszył za mną truchtem, gdy sztywnym krokiem wyszłam ze spiżarni do głównej kuchni. – To nie pachniało właściwie.

– Było jednak tylko lekko nadpsute. Nie musiałoś o tym wspominać.

Przestąpił z nogi na nogę i przeczesał palcami rozwichrzone włosy.

– Ale to nie pachniało tak, jak powinno pachnieć.

– Mmm. – Obrzuciłam sokolim spojrzeniem drżącą w upale kuchnię, ale wszyscy kuchcikowie pracowali tak, jak powinni. Znalazłam miseczkę z mieszanką przypraw przygotowaną do sosu do pieczeni i podsunęłam ją Bartolomeowi pod nos. – Co tutaj wyczuwasz?

Posłusznie pociągnął nosem, marszcząc go przy

tym niemiłosiernie.

– Głównie przyprawy korzenne.

– Chciałabym, żebyś wymienił poszczególne przyprawy.

– Cynamon – powiedział natychmiast i powąchał jeszcze raz. – Gałka muszkatołowa... Coś, co pachnie jak gałka muszkatołowa, ale jest nieco bardziej leśne...

– To goździki. Co jeszcze?

– Imbir, cukier. To żółtawe coś, co znajduje się w kwiatkach... Szafran. Coś jeszcze... – Ponownie, nie mając pewności, pociągnął nosem. – Coś w rodzaju pieprzu? Ale to nie pieprz.

– Jesteś pewien? – zapytałam złowrogo.

Wyglądał na trochę przestraszonego, ale mimo to potrząsnął głową.

– To nie pieprz.

– No cóż, masz rację. To aframon, nazywany też rajskim ziarnem, bardzo droga, importowana przyprawa. – Odsunęłam miseczkę na bok i podparłam się pod boki. – Skąd przyjechałeś do Rzymu, Bartolomeo?

– Z Dumenzy – wymamrotał chłopak, przestępując z nogi na nogę. – To taka mała miejscowość na północy, w Lombardii. Ojciec zmarł w zeszłym roku. Przyjechałem tutaj, żeby zamieszkać z moim wujem. Jest garbarzem.

– To dlaczego nie pracujesz w jego garbarni? Silny z ciebie chłopak.

– Bardzo kiepsko mi szło. Musiał mi znaleźć inną pracę.

– Dlaczego?

– Przez zapachy! – wybuchnął Bartolomeo. – Rzygałem po całej garbarni! Czy wiesz, signorina, jak pachnie garbarnia? Mocz, gnój, wołowe skóry z resztkami gnijącego mięsa... Ten smród prawie mnie zabił.

– Hm. – Przez chwilę bębniłam palcami na biodrze, po czym podjęłam decyzję. – Załóż to – poleciłam, rzucając mu zawiniątko.

Złapał je, wzdrygając się z zaskoczenia. Czysty fartuch, dokładnie taki jak te, które noszą inni uczniowie.

– Signorina...

– Jesteś kilka lat w tyle za innymi uczniami i zobaczysz, że trudno ci będzie nadgonić – ostrzegłam. – Wszyscy zaczęli w wieku dziewięciu, dziesięciu lat, jak jest to przyjęte.

Nie miałam bladego pojęcia, jak zdołam to załatwić z Markiem. Nie mówiąc już o pani Adrianie, która bez wątpienia chciałaby zobaczyć stosowną opłatę za ucznia... Ale mój rudowłosy pomywacz miał coś, co zdarza się nadzwyczaj rzadko: kucharski nos. Podejrzewałam, że nawet lepszy od mojego, i nie zamierzałam dopuścić, by się zmarnował.

– Signorina... – wyjąkał, z niedowierzaniem wpatrując się w fartuch.

– Nie stój tak z rozdziawioną gębą, chłopcze! Zakładaj fartuch. A te przyprawy, które dla mnie wywachałeś... Założę się, że nie wiesz, jakie mają zastosowanie ani w jakich proporcjach należy je stosować.

Twarz rozbłysła mu jak pochodnia.

– Nie, signorina.

– No to chodź tutaj i pozwól, że ci to wyjaśnię. Cztery i pół części cynamonu na jedną część imbiru i gałki muszkatołowej, dwie części goździków i zaledwie szczypta aframonu...

Rozdział 9

Wszystko albo nic.

DEWIZA ŻYCIOWA CEZARA BORGII

Leonello

Stojąc w loggii na szczycie pałacu, usłyszałem szorstki okrzyk dobiegający z podwórca:

– Juan!

Nie odwróciłem głowy. Stałem w samej koszuli, z ręką uniesioną u boku i zamkniętymi oczami, oddychając równomiernie. Przez podeszwy butów wyczuwałem rozgrzane płyty posadzki. Promienie słońca wpadające z lewej strony pod otwartymi łukami loggii rozpałały mi ramię, a cień, który padał na drugie, wcale nie dawał chłodu.

– Juan! – odezwał się ponownie ten sam głos, tym razem bliżej, po czym wyrzucił z siebie kanonadę katalońskich przekleństw. Zignorowałem go, wziąłem głęboki wdech i do połowy wypuściłem powietrze z płuc. Otworzyłem oczy i cisnąłem ostrzem z Toledo ukrytym w mankiecie prosto do celu: w bok wołowych żeberk zwisających pod łukiem na drugim końcu loggii.

Uśmiechnąłem się, zanim jeszcze, przebiegnąwszy kłusikiem długość loggii, mogłem sprawdzić celność rzutu. Czułem, że ostrze zagłębiło się w mięso tak jak trzeba, zatapiając się aż po rękojęść tuż między trzecim

a czwartym żebrem. Gdyby chodziło o człowieka, przebiłoby jeden z ważnych narządów.

Usłyszałem, jak drzwi za mną otwierają się gwałtownie przy akompaniamencie wściekłego szelestu szat.

– Mały człowieku – powitał mnie ostry głos – widziałeś mojego głupkowatego brata?

– Obawiam się, że nie, Wasza Ekscelencjo. – Odwróciłem się, by złożyć ukłon Cezarowi Borgii, arcybiskupowi Walencji. – Księżę Gandii przemieszcza się z takim tłumem, że nie sposób go przeoczyć. – Grupa noszących się dumnie młodych mężczyzn takich jak on, jaskrawo poprzebieranych, bezustannie przepychających się i zaśmiewających jak stadko rozochoconych rasowych źrebaków, których we właściwym czasie nie wywałaszono. – Węszył tutaj wczoraj – dodałem. – Spodobała mu się jedna ze służących pani Adriany.

– Podoba mu się wszystko, co ma cycki i od razu nie ucieka – uciał Cezar. – Myślę, że zmuszony okolicznościami byłby skłonny zrezygnować z cycków. Owiec też bym nie wykluczał.

– To możliwe.

Przyjrzałem się młodemu arcybiskupowi. Dopiero za kilka miesięcy miał ukończyć osiemnaście lat, ale jeśli wierzyć plotkom krążącym po winiarniach i u rzymskich bukmacherów, przeznaczony był mu kapelusz kardynalski. W przeciwieństwie do swojego

brata nie otaczał się orszakami służących, księży, pochlebców i dworaków przysługujących człowiekowi jego stanu. Teraz był sam, jeśli nie liczyć jego kompletnie wypranego z barwy i wyrazu strażnika o imieniu Michelotto, który zdążył się już wtopić niczym posąg we framugę drzwi, podczas gdy jego pan podszedł do mnie niecierpliwym krokiem. Pociągała, ciemna twarz młodego arcybiskupa osadzona była niczym kamienna rzeźba na jego purpurowej szacie, a ręce zastygły w charakterystyczny sposób, który nauczyłem się już rozpoznawać. W ciągu tego roku miałem okazję niejednokrotnie obserwować dzieci papieża i zauważyłem, że o ile szczęśliwe pokazywały światu ten sam czarujący uśmiech, o tyle rozżłoszczone nie mogły się bardziej od siebie różnić. Lukrecja nigdy nie okazywała gniewu, Juan wściekał się i miotał, Jofré tracił rezon i zaczynał się dąsać, natomiast Cezar robił się nienaturalnie spokojny.

– Jakież kłopoty, Wasza Ekscelencjo? – zapytałem obojętnie.

Zignorował moje pytanie, krzyżując ręce na piersiach.

– Co to jest? – Ruchem głowy wskazał bok wołu kołyszający się na lekkim, letnim wietrze pod sklepieniem loggii.

– Ćwiczenia. – Stałem na palcach, by wyszarpnąć nóż spomiędzy dwóch żeber. – Dotychczas żaden zabójca nie próbował dokonać zamachu na panią Giulię

czy panią Lukrecję, ale nie oznacza to, że również jutro żaden się nie objawi. Każdego dnia poświęcam godzinę czy dwie, by ćwiczyć tutaj rzuty.

Pomijając ćwiczenia, była to godzinka lub dwie ciszy, niezwykle cennej w tym zgiełkliwym haremie, na który składali się prowadzący nieustanne pogaduszki służący, szeleszczące sukniami kobiety i chichoczące dzieci.

Cezar Borgia zmierzył wzrokiem mój dyndający na haku cel, na którym w upale roiło się od much. Po kilkudziesięciu poprzednich rzutach ociekał krzepnącą krwią.

– Nie możesz ćwiczyć na tarczach strzelniczych?

– Tarcze strzelnicze nie mają żeber, Wasza Ekscelencjo. Ostrze ześlizguje się po kości, więc dobrze jest ćwiczyć na czymś, co ma szkielet.

Poza tym przywłaszczyłem sobie ten woli bok z kuchni za plecami tej drażliwej kucharki (a raczej skłoniłem jednego z krzepkich służących, by to dla mnie zrobił) i kiedy później będę go zwracał, dostąpię przyjemności obserwowania, jak rzeczona kucharka wpada we wściekłość. W złości robiła się prawie ładna.

– A dlaczego taka niewielka odległość? – Arcybiskup wyprzedził mnie, kiedy skierowałem się na powrót ku drugiemu krańcowi loggii, oddalonemu może o dwadzieścia kroków. – Michelotto potrafi cisnąć człowiekowi nóż w oko z odległości dwukrotnie większej. Prawda, Michelotto?

Spod drzwi dobiegło niewyraźne burknięcie. Jak na Michelotta była to obszerna wypowiedź.

– Nie muszę trafiać człowieka w oko z dwukrotnie większej odległości. – Taki dystans był poza tym prawie niemożliwy do osiągnięcia dla moich krótkim rączek, ale niech mnie diabli porwą, jeśli się do tego przyznam. – Każdy zabójca, który próbując się zbliżyć do pani Giulii, minie wszystkich strażników, znajdzie się naprawdę blisko niej. Znacznie większe jest prawdopodobieństwo, że będę zabijał z bliska.

– Codzienne godzinne ćwiczenia przy tak niewielkiej odległości? – W głosie Cezara Borgii zabrzmiała lekka pogarda. – A cóż w tym trudnego?

Podąłem mu najdłuższy z moich noży.

Ważył go przez chwilę w rękę, zakręcił z łatwością w dłoni, by sprawdzić równowagę, a potem przymrużył oko, by ocenić dystans. Wypuścił ostrze z dłoni i zaklął, gdy nóż ześliznął się, trafiając w cel pod kątem, i zabrzączał na posadzce.

Obróciłem żebra w jego stronę.

– Spróbuj jeszcze raz, panie.

Gestem dłoni odsunął drugi z moich noży.

– Wiem już, co miałeś na myśli, mówiąc o żebrach, karzełku. – Założył ręce na plecach i przyglądał się, jak rzucam pozostałe noże jeden po drugim w rytmie, który stał się dla mnie równie naturalny i kojący jak bicie własnego serca. – Jak często musiałbym rzucać, by móc ci dorównać?

– Codziennie. – Ostrze z mankietu wyleciało z cichym brzękiem, po czym utkwilo między pierwszym i drugim zębem. – Na małych i dużych celach. – Ostrze z drugiego mankietu zagłębiło się między drugim i trzecim zębem. – W dzień i w nocy. – Ostrze z cholewy buta znalazło się między trzecim i czwartym zębem. – W ciszy i w zgiełku. – Ostatnie ostrze odbiło się od celu. Skrzywiłem się. – To taka umiejętność jak każda inna. I jak każdą inną należy ją ćwiczyć.

– Poćwicz na moim bracie – wymamrotał Cezar Borgia. – Powieszę ci go do góry nogami i możesz go pokłuć, jak ci się żywnie podoba.

Dygresji natury osobistej wymamrotanych przez szlachcica do karła nie należy uznawać za część rozmowy. Najlepiej zachowywać się tak, jakby się nic nie słyszało.

– Nie widziałem księcia Gandii od wczoraj – powiedziałem więc. – Podejrzewam, że znajdziesz go w burdelu. Młodość musi się przed ślubem wyszumieć.

Papieża nie zadowalał znakomity mariaż jednego z jego dzieci. Juanowi Borgii znaleziono odpowiednią dla niego partię, a mianowicie hiszpańską księżniczkę będącą kuzynką samego króla Ferdynanda, i jedynym pozytywnym z mojego punktu widzenia aspektem całej tej historii było to, że księżę Gandii popłynie do Hiszpanii, by objąć w posiadanie narzeczoną i księstwo, co oszczędzi nam kolejnego nieprzyzwoicie wystawnego wesela w Rzymie.

– Lepiej dla mojego brata, żeby się zwałókl z tych swoich dziwek, bo potrzebuję papieskiej gwardii, a mój ojciec będzie oczekiwał od Juana, że będzie nią dowodził – powiedział arcybiskup Walencji krótko i obrócił się na pięcie, zamiatając podłogę swoją purpurową szatą.

– Jakież kłopoty w mieście, Wasza Ekszelencjo?

Zawahał się, ale odpowiedział:

– Powiedz pani Adrianie, żeby nie wypuszczała dziś mojej siostry z pałacu i miała ją na oku. Tłum głupców gromadzi się w Borgo... Mówią, że jakąś dziewczynę rozpięto w tawernie jak Chrystusa na krzyżu, i teraz wszyscy sądzą, że to Żydzi składają ofiary diabłu.

Mimo upału poczułem zimny dreszcz przebiegający mi po pokrzywionym krzyżu.

– Rozpięto? – powtórzyłem, zaskoczony spokojem brzmiącym w moim głosie.

– Dziewkę z gospody zgwałcono na stole i poderżnięto jej gardło. Rozkrzyżowano ją i obie dłonie przebito nożami. – Cezar rozpostarł ręce niczym mroczny Chrystus w szatach duchownego. – Normalnie nie miałoby to żadnego znaczenia. Codziennie giną tu kurwy i dziewczki z zajazdów. Ale teraz można rzucić oskarżenie na hiszpańskich Żydów, więc nagle musi to być pogańska ofiara.

– Nie wspominając o tej handlarce owocami, którą zamordowano na targu nie tak dawno temu – dodałem. – Mówi się, że zginęła tak samo: rozkrzyżowana,

z poderżniętym gardłem.

Cezar spojrział na mnie z ciekawością czającą się w ciemnych oczach.

– A jakie to ma dla ciebie znaczenie, panie Leonello?

– Żadnego. – Zacząłem sznurować przód swojego dubletu. – Chociaż wątpię, by byli to Żydzi. Zbyt są wdzięczni za to, że udało im się wydostać bezpiecznie z Hiszpanii, by chcieli narobić sobie tutaj kłopotów.

– Oczywiście, że to nie Żydzi – prychnął Cezar. – Mimo to powiesz mojej siostrze i tej złotowłosej chichotce mojego ojca, żeby nie ruszały się dziś z domu. Niech się nie płaczą po ulicach, kiedy dochodzi do zamieszek. – Przesunął dłońią po niewielkiej łysince pośród kasztanowych włosów, która była najmniejszym możliwym ustępstwem na rzecz tonsury duchownego. – Jeśli Juana nie da się wyciągnąć z tych jego burdeli, to sam wezmę gwardię papieską i dopilnuję, żeby dziewczyny się pozbyto, a wszystkich niezadowolonych wyślę do domów z roztrzaskanymi czaszkami.

– Przecież zamierzałeś to zrobić od samego początku, Wasza Ekscelencjo – powiedziałem mu. – Wolałbyś sam rozegnać gromadzące się tłumy i w ten sposób przysłużyć się Jego Świątobliwości. Przyszedłeś poszukać tu księcia Gandii tylko po to, byś mógł powiedzieć papieżowi, że zrobiłeś co w twojej mocy, by go znaleźć.

Cezar Borgia uśmiechnął się lodowato

półgębkiem.

– Bystre lwiątko – powiedział. – Jakież to inne mądre myśli przechodzą ci przez tę przerośniętą głowę?

Myślę, że to twój brat Juan mógł zamordować tę dziewczynę w Borgo – miałem na końcu języka. A przed nią handlarke owoców o imieniu Eleonora i jeszcze dziewczynę o imieniu Anna. Imię Juana Borgii narzuciło mi się momentalnie, gdy tylko znów zacząłem rozmyślać o zamaskowanym mordercy po tym, jak Carmelina opowiedziała mi o śmierci zaprzyjaźnionej przekupki. W końcu co właściwie wiedziałem o człowieku, którego szukałem? Wiedziałem, że był młodzieńcem z domu Borgiów gustującym w wycieczkach po ubogich dzielnicach i szastaniu pieniędzmi, ciągnącym za sobą strażnika i służącego, których zadaniem było pilnowanie, by nie napytał sobie biedy. Z pewnością pasowało to do aroganckiego młodego księcia Gandii. Mimo to nie zdołałem się pozbyć wątpliwości. Ktokolwiek krzyżował te dziewczyny, folgował żądzom znacznie bardziej mrocznym i dziwnym niż zwykły gwałt, a żądze Juana Borgii były w najwyższym stopniu pospolite. Nie wydawało mi się, by starczało mu wyobraźni na obmyślenie makabrycznych rytualnych mordów. Nie mówiąc już o cierpliwości czy inteligencji...

– Chyba dość daleko odpłynąłeś myślami, lwi człowieczku – zauważył Cezar Borgia.

Jeśli nie Juan, to kto? Być może jeden z jego

zuchwałych, gwałtownych młodych przyjaciół...

Moje myśli przerwał dobiegający od drzwi krzyk:

– Leonello! – Wściekły kobiecy głos zmroził panujący upał. – Co, na świętą Martę, robisz z moim bokiem wołowym?

– *Signorina cuoca* – powitałem wysoką postać z gniewnie zmarszczonymi czarnymi brwiami. – Cóż za fatalny moment.

– To było na dzisiejszą kolację! – krzyknęła Carmelina, wskazując mój wielki, upstrzony przez muchy cel. – To miało się znaleźć na rożnie!

– Dla własnej wygody uznaj, że zostało wstępnie nabite. – Uniosłem skromnie dłonie. – Nie musisz dziękować.

Wymamrotała jakieś weneckie przekleństwo i ruszyła na mnie jak nawałnica, po czym zauważyła stojącą w cieniu postać Cezara Borgii i jego strażnika.

– Wasza Ekscelencjo – wymamrotała i dygnęła poniewczasie.

– Nie ma o czym mówić. – Gestem dłoni nakazał jej wyprostować się, a na jego twarz wypłynął nieczęsty uśmiech. – To lepsze niż teatr. Czy potrzebujesz wsparcia, panie Leonello?

– Naprawdę przepraszam – zaczęła, nie podnosząc wzroku, ale Cezar zbył jej przeprosiny wzruszeniem ramion. Posłał w moim kierunku leniwe pozdrowienie i już go nie było, jakby ktoś go zdmuchnął ze sceny, a Michelotto jak widmo podążył za nim.

Carmelina już pędziła, aby przyjrzeć się mojej namiastce celu.

– Zapaskudzony i porozdzierany na strzępy... Co za tupet! Ponakłuwany co najmniej sto razy, teraz już na pewno nie będzie taki soczysty, jak powinien...

Cezar już dawno zniknął za drzwiami, a ja nadal stałem bez ruchu, stukając czubkiem buta o pęknięcie kafelka. Stuk, stuk, stuk.

Znaleziono kolejną kobietę rozkrzyżowaną na stole, z dłońmi przebitymi dwoma nożami. Anna była pierwsza. Potem handlarka z targu, chociaż niewiele udało mi się na jej temat dowiedzieć. A teraz ta.

Jedną – przypomniałem sobie swój wcześniejszy tok myślenia – można jeszcze uznać za przypadek. Dwie to zbieg okoliczności. Ale trzy?

Przed oczami mignął mi znów zamaskowany zabójca Anny. Kimkolwiek był.

Odwróciłem się i poszedłem w stronę wiszącej tuszy, pod którą awanturowała się Carmelina. Pokurczone mięśnie rozbolały mnie od chodzenia przez godzinę ćwiczeń w tę i z powrotem wzdłuż loggii i nie mogłem się doczekać, aż sam runę na plecy i rozprostuję nogi, co znakomicie koło ból kości, ale nie mogłem sobie na to pozwolić pod czujnym spojrzeniem innych. Poza tym w Carmelinie Mangano, kiedy tak na mnie krzyczała, można się było dopatrzyć pewnej cierpkiej urody, więc specjalnie dla niej jeszcze się wyprostowałem.

Chciałem też zadać jej kilka pytań. Przynajmniej tym razem należało ją jakoś ułagodzić, a nie dodatkowo rozdrażniać.

– Naprawdę przepraszam za to, że zepsułem wołowinę przeznaczoną na pieczeń, *signorina cuoca*. – Przyjrzałem się wołowym żębrom. – Ale czy nie znajdujesz ani słowa uznania dla moich umiejętności? Osiem z dziesięciu ostrzy w jednej linii, jedno pod drugim, precyzyjnie umieszczonych między żębami! Nie co dzień człowiek widzi takie rzeczy.

– Ty w ogóle nic już w życiu nie zobaczysz, jeśli będziesz dalej robił najazdy na moją kuchnię w poszukiwaniu odpowiednich celów. – Zaczęła wyszarpywać ostrza spomiędzy żeber i rzucać nimi we mnie.

– A zatem zamordowano kolejną dziewczynę – zagadnąłem, czyszcząc jedno po drugim ostrza, którymi we mnie ciskała. – Tak samo jak tę zaprzyjaźnioną z tobą handlarkę owoców. Jak ona miała na imię?

Doskonale wiedziałem, jak miała na imię.

– Eleonora. – Carmelina przeżegnała się. – Nie była moją przyjaciółką. Zamieniałyśmy po prostu czasem kilka słów na targu. Wiedziała jednak, że wyrzucę każdą brzoskwinie, która będzie choćby lekko obtłuczona, więc zawsze zostawiała dla mnie najlepsze owoce...

– A teraz kolejna dziewczyna. – Oparłem się o balustradę. – Myślisz, że zrobili to Żydzi?

– Raczej zaprosiła do domu niewłaściwego mężczyznę. Dlatego właśnie kobiety giną. Pijani mężczyźni, a nie Żydzi. – Carmelina wyszarpnęła ostatni z moich małych noży. – I mogę się założyć, że większość tych hiszpańskich Żydów jest zbyt zmęczona i zakurzona, by oddawać się czasochłonnym satanistycznym rytuałom.

– Wydajesz się życzliwa naszej najnowszej grupie uchodźców, moja droga damo.

Grupa była nad wyraz liczna. Żydzi uciekali z Hiszpanii przed karzącą dłońią Torquemady. Nie miałem natomiast pojęcia, przed czym uciekała *signorina cuoca*, choć uważałem to za niemal równie interesujące jak schemat, który zaczynałem dostrzegać w historii Anny, Eleonory i tej następnej dziewczyny. Martwej dziewczyny.

– Miałem przyjaciółkę, która została zamordowana w zeszłym roku w bardzo podobny sposób jak twoja znajoma Eleonora. – Rozłożyłem wszystkie dziesięć noży na kamiennej balustradzie, układając je starannie od największego do najmniejszego. – Wątpię, czy ktokolwiek zwracał sobie głowę obarczaniem Żydów winą za jej śmierć. Zapomniano o niej, gdy tylko wywieziono ciało. Jak o większości dziwek takich jak ona i twoja Eleonora.

– A kto mówi, że była dziwką? – Carmelina fartuchem odgoniła muchy od wiszącej tuszy. – Mężczyźni szafują tym słowem bez namysłu.

Dziewczyna od czasu do czasu zaprasza sobie mężczyznę do domu, a jeśli ten zostawi jej monetę czy dwie...

– Miała jakąś rodzinę, która ją teraz opłakuje? –
Starłem plamkę wołowej krwi z największego noża
i wypolerowałem ostrze. – Męża?

– Nie.

Anna też nie.

Powtarzalny wzorzec. Czy Cezar Borgia wspomniał przy mnie o tym ostatnim morderstwie celowo, świadomy, że to zabójstwo Anny wciągnęło mnie w jego orbitę? Ale przecież nigdy nie opowiadałem mu, jak zginęła Anna. Nie wspomniałem choćby, jak miała na imię, nawet podczas tej pierwszej, badawczej rozmowy.

Podciągnąłem się i usiadłem na balustradzie obok swoich noży, a Carmelina odruchowo położyła mi dłoń na ramieniu.

– Ostrożnie, panie Leonello... Tu jest naprawdę wysoko.

Obrzuciła spojrzeniem pięć wysokich pięter dzielących nas od ziemi.

– Martwisz się o mnie? – Nasze głowy znalazły się teraz na niemal równym poziomie i właśnie z tego powodu tu usiadłem. – Jak miło.

– Za to, co zrobiłeś moim ślicznym zeberkom wołowym, własnoręcznie mogłabym zrzucić cię z loggii – odparowała. – A teraz, jeśli mogę cię

przeprosić...

Przykryłem jej palce dłonią, zanim zdążyła zdjąć mi je z ramienia.

– To ty powinnaś zachować ostrożność, *signorina cuoca*. Wiem już o trzech kobietach, które zabito w taki sam sposób. Gdybym był kobietą taką jak ty, nie ufałbym obcym mężczyznom.

– Co masz na myśli, mówiąc „kobietą taką jak ty”?

Przekrzywiła głowę, ale nie cofnęła dłoni. Twarz miała upstrzoną świeżutkimi letnimi piegami, a widoczne pod zakasanyimi rękawami szczupłe, umięśnione ramiona pokryte tu i ówdzie bliznami sprawiały wrażenie na wskroś praktycznych. Jej palce były splecione z moimi, a czarny loczek wysunął się zdecydowanie spod przepaski i spłynął na jej brązową szyję.

– Kobietą taką jak ty – powtórzyłem, pochłaniając ją wzrokiem. – Ujmując rzecz bardziej precyzyjnie: ty jesteś kobietą taką jak one. Kobietą niskiego stanu, wybacz. Dwie służące z gospody i jedna przekupka... Kobiety pracujące. Precyzyjnie rzecz ujmując: żadna z nich nie była dziwką...

– Nie jestem dziwką! – Spróbowała się wyszarpnąć.

– Żadna kobieta na moim stanowisku nie może sobie na to pozwolić! Czy wiesz, co się wygaduje w kuchni, kiedy kobieta zasłuży sobie na opinię takiej, co chętnie rozkłada nogi?

– Przestań się tak srożyć, Carmelino. Nie jest moją

intencją obrażanie cię... ani tych zamordowanych kobiet. Jak sama powiedziałaś, mężczyźni nadmiernie szafują słowem „dziwka”. – Przepraszając ścisnąłem jej dłoń. – Chodzi raczej o kobiety, które w pracy spotykają bardzo wielu mężczyzn. Kobiety, których nikomu nie będzie brakować, jeśli zginą. Kobiety nieposiadające w rodzinie nikogo ważnego. Kobiety takie jak ty.

Czy na przestrzeni roku dzielącego śmierć Anny od śmierci Eleonory były jakieś inne kobiety, które zostały zamordowane w ten sam sposób? O niczym takim nie słyszałem, ale też niespecjalnie nadstawiałem ucha. Czy były więcej niż trzy ofiary?

Carmelina zadrżała lekko i się przeżegnała.

– Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie – powiedziała trzeźwo i wydawało się, że zapomniała, iż jej druga ręka nadal spoczywa w mojej. Jej nieufność w stosunku do mnie przygasła... Tę sztuczkę miałem doskonale ograć. Wszyscy z łatwością zapominają, że karzeł może być zagrożeniem. Jej palce były w dotyku ciepłe i szorstkie. Pachniała świeżym chlebem, który tego popołudnia pieczono zapewne w kuchni, a ja zacząłem się zastanawiać, czy by jej nie pociągnąć, żeby usiadła na balustradzie obok mnie. Mógłbym sprawić, by zapomniała o niepokoju dręczącym ją na myśl o martwej handlarce owoców, rozbawić ją, obsypać komplementami i flirtować z nią tak długo, by w końcu móc się pochylić i skraść jej całusa. Naprawdę lubiłem

wysokie kobiety. A jak się bardzo postarałem, to one również nabierały do mnie sympatii. Carmelina mogłaby mnie polubić.

Więc oczywiście musiałem wszystko zepsuć.

– A jednak coś cię różni od tych zamordowanych kobiet – rzuciłem łagodnie. – Żadna z nich raczej nie miała rodziny. A ty masz w Wenecji ojca, który ponoć łatwo wpada w gniew, prawda?

Szarpnęła głową i zobaczyłem, jak jej gwałtownie rozszerzone oczy wypełnia nieufność.

– Skąd...?

Uśmiechnąłem się.

– Twój kuzyn Marco lubi gry hazardowe. Co więcej, lubi rozmawiać. Zwłaszcza kiedy wygrywa, a mogę cię zapewnić, że nie zdarza się to często. Na tyle jednak często, że można poskładać z tych przypadkowych informacji kilka interesujących faktów. Powiedz mi, czy twój ojciec nadal pracuje w Wenecji? Czy zdołał sobie już załatwić posadę szefa kuchni na dworze doży, czy jednak nie, biorąc pod uwagę, że ukradł mu wszystkie przepisy?

– Nie twój interes!

– Nie przypuszczam, by ojciec ci wybaczył, nawet jeśli nie puścił się w pogoń za tobą aż tutaj – ciągnąłem, nie zwracając uwagi na jej słowa. – Jaki kucharz wybaczy drugiemu kradzież dzieła swojego życia?

Próbowała wyszarpnąć dłoń, ale tylko zacisnąłem mocniej chwyt i przytrzymałem ją zdecydowanie.

Miałem krótkie ramiona, ale silne ręce i dziwaczne palce o nadzwyczaj ruchomych stawach, pozwalające na zgoła żelazny uścisk.

– Coś ty taka płochliwa, *signorina cuoca*? – Przekrzywiłem głowę, nawet w tym momencie nie przestając się zastanawiać, dlaczego drażnię ją szorstkim słowem zamiast pocałować. – W końcu kradzież przepisów to nie taki znów grzech. Za takie coś nikt by cię nie zakuł w dyby. Chyba że masz na sumieniu parę innych grzechów poza kradzieżą przepisów? Coś, za co rzeczywiście mogą cię zakuć w dyby. – Przyjrzałem się uważnie białkom jej wytrzeszczonych oczu i się uśmiechnąłem. – Masz, prawda? Co zrobiłaś? Okradłaś pana? Spaliłaś składzik, żeby sprzedać zgromadzone w nim zapasy? Zamordowałaś ucznia?

Wyrwała mi się.

– Nie wściubiaj nosa w nie swoje sprawy, karle.

– A niby dlaczego? Ciekawisz mnie, Carmelino. Ludzie kryjący tajemnice zawsze mnie interesowali.

– Nie mam żadnych tajemnic.

– Och, ależ masz.

Wymaszerowała sztywno wyprostowana.

– Przyślę moich pomywaczy po tę tuszę – rzuciła przez ramię. – I jeśli kiedykolwiek ukradniesz jeszcze coś z mojej kuchni, to cię wywałaszę!

– Nie mogę się doczekać! – krzyknąłem za nią i zaśmiałem się w duchu, bo odpowiedziało mi już tylko trzaśnięcie drzwi. Zeskoczyłem z balustrady

i poświęciłem chwilę na rozciągnięcie swoich pokurczonych nóg.

Kucharka skrywająca tajemnicę. Morderca w masce.

– Ciekawe – powiedziałem głośno i pogwizdując, zabrałem się do wsuwania błyszczących toledańskich ostrzy z powrotem do ich ukrytych pochew.

Giulia

Dziękuję ci, Sandro – wyszeptalam, kiedy brat wcisnął mi chusteczkę do ręki. Uniosłam ją do oczu, by otrzeć łzę.

– Ty obłudnico – szepnął.

Dzięki niech będą Najświętszej Paniencie za zdechłe ryby i cuchnący muł. Zazwyczaj nie uszczęśliwiał mnie ich wiercący w nosie smród, ale dziś byłam niezmiernie wdzięczna za koszmarny fetor odpadków i kociego ścierwa napływający nieustannie od Tybru. Juan Borgia odpływał pod żaglami ku swemu hiszpańskiemu księstwu i równie hiszpańskiej narzeczonej, a ode mnie oczekiwano, że wraz z resztą żegnającej go rodziny taktownie uronię choćby jedną łzę. Chociaż ja wiedziałam, że nigdy bym się na to nie zdobyła, gdyby nie dobywający się od rzeki smród. Juan wyjeżdża z Rzymu? Na usta cisnęły mi się hymny dziękczynne i z trudem hamowałam się, by radośnie nie machać dłonią.

Oczywiście nie tylko ja cieszyłam się w głębi

ducha, ale na zewnątrz wszyscy pograżyli się w iście hiszpańskim przygnębieniu – i dostojństwie. Widziałam, jak Rodrigo na osobności pożegnał się z Juanem wśród niedokończonych fresków prywatnych apartamentów papieskich: obu ogarnęła typowo katalońska uczuciowość, kiedy tak się ściskali i całowali w policzki. Nie zabrakło też dobrych rad, pouczeń i przestróg, wygłaszanych wśród dojmującego zapachu farby i mokrych tynków.

– Pisz do nas często – pouczył Juana papież, emanując całym dostojństwem swego urzędu wraz z jego boskim „my”. – Słuchaj don Ginesa Fery i Mossena Jayme Pertusy, oni cię nie zwiodą... Złóż Ich Królewskim Mościom wyrazy najgłębszego szacunku...

– Złożę, Wasza Świątobliwość. – Juan niecierpliwie zaszurał butami o zadartych czubkach.

– I zajmij się swoją narzeczoną! Oczekujemy, że najszybciej jak to możliwe powije syna, gałązkę Borgiów na królewskim drzewie Hiszpanii. – Rodrigo ujął twarz Juana w dłonie i stłumił głos, przeobrażając się z ojca świata chrześcijańskiego w ojca zdecydowanie bliższego świata doczesnemu. – I księżniczka nie jest zbyt dobra dla mojego syna!

María Enríquez de Luna. Czy miała pojęcie, jaki dostał się jej mężczyzna? Wszystkie dziewczyny marzą o młodym, przystojnym mężu, ale w mężach chodzi o coś więcej niż ładną buzię. Przystojne rysy okolonej kasztanowymi kędziorami twarzy Juana nie

rekompensowały jego niewybaczalnych zwyczajów: zajeżdżania koni na śmierć, molestowania służących, kręcenia się w pobliżu Piazza degli Ebrei w nadziei na spotkanie Żydów, z których można byłoby się ponatrząsać. Nie wspominając o obnoszeniu dubletów ozdobionych koronkami i frędzlami jednocześnie. Może jednak María Enríquez de Luna potrafił go okiełznać? Albo przynajmniej zatrzymać w Hiszpanii na dłużej.

– Oczy ci błyszczą – szepnął do mnie Sandro.

– Wcale nie. – Przycisnęłam mocniej chusteczkę do twarzy.

– Ja też nie będę za nim tęsknił. – Sandro zmarszczył nos. – Wiesz, że spotkałem go, jak przechadzał się nocą ze swoimi kompanami, upijając się i mordując koty w ciemnych zaułkach?

– A cóż ty robiłeś w tych ciemnych zaułkach, bracie?

– Przemykałem się dyskretnie w odwiedziny do kochanki oczywiście. I jest to absolutnie uzasadniony powód spacerowania ciemną uliczką. Oto bieży Paolo ku Francesce w mroku nocy...

– Ciii...

Prywatne pożegnania dobiegły końca i ksiązę Gandii ruszył uroczyście ku nabrzeżu, przy którym czekały na niego cztery załadowane galery płynące do Barcelony. Tego pięknego letniego poranka pół Rzymu przybyło, by zobaczyć, jak odpływa. Tłum cisnął się na Campo de' Fiori i poniżej wspaniałego blankowanego

gmachu Castel Sant'Angelo. Rodriga tak liczne przybycie mieszkańców musiało ucieszyć. Początkowo planował z okazji odjazdu Juana bardziej kameralne, rodzinne spotkanie, ale po tym, jak miastem wstrząsnęła historia tej biednej zamordowanej dziewczyny, którą znaleziono rozkrzyżowaną na stole... No cóż, mój papież uznał, że mądrze będzie dać ciżbie coś innego, czym będzie się mogła zdumieć. Już od jutra miasto będzie plotkować przede wszystkim o złotej szacie Juana i szmaragdzie zdobiącym nakrycie jego głowy, który wielkością dorównywał mojemu oku, a nie o satanistycznych ofiarach, żydowskich czarach i krwi niewinnych dziewic rozlewanej pod osłoną nocy. Zamówiłam msze za duszę tej biednej zmasakrowanej dziewczyny. Cóż za odrażająca śmierć w tym mieście, które przecież nosiło miano świętego.

Przeżegnałam się i spróbowałam odsunąć od siebie myśli o zabitej dziewczynie. Ktokolwiek ją zamordował, ona była już u Boga. Cezar Borgia prowadził stado duchownych, górując nad nimi wszystkimi wzrostem. Ile bym dała, by usłyszeć myśli kryjące się za tą nieprzeniknioną twarzą... Jedno było pewne: nie opłakiwał wyjazdu swojego brata! Moja teściowa ruszyła pospiesznie naprzód razem z Lukrecją i podskakującym Jofrém, ja postąpiłam za nią, wsparta na ramieniu Sandra, za mną zaś ruszył tłum kompanów Juana, przepychających się i walczących o pierwszeństwo. Na szczęście większość tych młodych

gburów zabierał ze sobą do Hiszpanii... No i była jeszcze Vannoza dei Cattanei, która właśnie teraz posyłała Juanowi pożegnalny pocałunek. Musiała przekupić moich krawców, by dowiedzieć się, co założyć, bo wystroiła się w dokładnie ten sam odcień słonecznie żółtego ałtasu, przyozdobionego jednak znacznie większą ilością pereł oraz złotych i srebrnych haftów. Wyglądała jak cytryna, a ze skrzywienia jej ust można byłoby sądzić, że właśnie zjadła jej cząstkę. Uchwyciwszy moje spojrzenie, dumnie odrzuciła głowę do tyłu. Posłałam jej najśłodszy z moich uśmiechów.

Mój papież... Trzeba przyznać, że wyglądał wspaniale w całym swym papieskim majestacie i wytwornych szatach powiewających wokół jego lektyki, lecz jego smagła twarz była równie nieruchoma jak twarz Cezara, a to oznaczało, że z trudem powstrzymywał łzy. Ukochany syn Rodriga (choć Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego!) wyfruwał z gniazda. Wkrótce trzeba też będzie wypuścić Lukrecję, by mogła dołączyć do swojego męża... A po tym, jak sądziłam, przyjdzie kolej na Jofrégo. Małego Jofrégo, który stał na nabrzeżu tuż obok Lukrecji, u boku swojego papieskiego ojca. Oboje przygryzali wargi. Małe, słodkie owieczki. Owieczki z owczarni Borgii szybko jednak dorastały.

Juan Borgia zsiadł z konia, zamasyście machnąwszy szamerowanym złotem rąbkiem szaty, i uchylił kapelusza w stronę tłumu, który ryknął

z entuzjazmem. Ukląkł, energicznie zsuwając z głowy kapelusz w kaskadzie piór i pereł, a przystojny Cezar Borgia postąpił z kamienną twarzą naprzód, by udzielić mu błogosławieństwa.

– Założę się z tobą o arcybiskupstwo, że on tylko rusza ustami – szepnęłam do Sandra. – Tych dwóch specjalnie za sobą nie przepada.

– Kain i Abel – powiedział mój brat, okraszając to jednym ze swoich łobuzerskich uśmieszków. – Połączeni więzami krwi, opętani nienawiścią...

– Nie posuwałabym się tak daleko. Na razie nikt jeszcze nikogo nie zabił. Chociaż było blisko, kiedy w zeszłym roku Juan odebrał Cezarowi ulubionego konia, któremu potem złamał nogę na przeszkodzie.

– ...uwieszeni u swych gardeł na wieki...

– Święta Panienko, Sandro! – Stłumił chichot, a ja rzuciłam pełne poczucia winy spojrzenie na mojego papieża, który zupełnie się nie przejmował tym, co ludzie gadali na jego temat, ale niepomrotnie irytowały go plotki rozpowszechniane na temat jego dzieci. – Dopilnuję, żeby dostało ci się arcybiskupstwo, tylko się już wreszcie zamknij!

– Nie waż się prosić Ojca Świętego o jakiegokolwiek względy w moim imieniu!

– Zwracam ci uwagę, że włączenie cię do kurii rzymskiej nie było moim pomysłem. Nominował cię na to stanowisko, ponieważ cię lubi, Sandro.

– Jak on śmie mnie lubić? Jak go nie lubię...

Cały mój starszy brat, w zaskakującym tempie pnący się po szczeblach kościelnej hierarchii... Chociaż posadę w kurii przyjął dopiero po tym, jak przez równe dwa tygodnie błagałam go i namawiałam.

– Nie chciałem go przyjmować. – Sandro spochmurniał. – I nie chcę zawdzięczać już nic więcej hojności Jego Świątobliwości, więc nie waż się o nic go prosić.

Spojrzał wilkiem na złoto-białą postać mojego niesionego w lektyce papieża, który teraz, gdy błogosławieństwo dobiegło końca, unosił właśnie dłoń, by nakreślić znak krzyża nad zgromadzonym tłumem. Mojego brata wciąż nieszczególnie cieszył mój status. Bo któremu starszemu bratu przeszłyby przez gardło słowa: „To moja młodsza siostra, konkubina papieża”. Doprawdy uważałam za cud, że Sandro zdobył się na niechętnie przyzwolenie. Podczas wyboru papieża i następujących po nim uroczystości Sandro ciskał gromy i przysięgał zemstę temu „hiszpańskiemu dziwkarzowi”, grożąc mu kastracją, dekapitacją i torturami, choć upierałam się nieodmiennie, że sama z radością wybrałam dla siebie tę rolę. Przez wiele dni musiałam go błagać, by spotkał się z Rodrigiem, a mój przebiegły papież był na tyle sprytny, że nie pojawił się w swym papieskim rynsztunku, lecz w pomiętej koszuli i dublecie jak zwykły rzymski kupiec, poklepując moją dłoń jak każdy czuły mąż i nalewając wino mojemu zaciętemu bratu jak każdy gościnny gospodarz. Moi

dwaj najukochańsi mężczyźni jedzący pierwszy wspólny posiłek kilka tygodni po tym, jak uspokoiło się szaleństwo towarzyszące wyborowi nowego papieża.

– Zostaw to mnie – powiedział Rodrigo beztrąsko, po czym pozostawił mnie krążącą nerwowo przed drzwiami komnaty, w której jedli, obgryzając paznokcie i zastanawiającą się, czy mój ukochany brat już zawsze będzie trzymał się ode mnie z daleka, uważając mnie za nierządnicę. Mężczyźni!

Lecz gdy Sandro wreszcie wyszedł, nie był już purpurowy na twarzy, tylko zmieszany i nieco nachmurzony.

– Wcale mi się to nie podoba, *sorellina* – oznajmił.
– Ani trochę. Więc nie rozumiem, dlaczego już nie jestem wściekły. On...

– Wiem. – Stałam na palcach, by ucałować brata.
– Dziękuję ci, Sandro.

A jeśli chodzi o resztę rodziny Farnese... No cóż... Co zrobili, dowiedziawszy się, że przeskoczyłam z łóżka męża do łóżka Jego Świątobliwości? „Powinniśmy wyrzec się ciebie z powodu wstydu, który nam przyniosłaś” – pisał do mnie mój brat Angelo w jednym ze swoich wielu wściekłych listów... zanim papież nie wyswatał mu narzeczonej z rodu Orsinich dysponującej okazałym posagiem. „Nigdy bym nie uwierzył, że któraś z moich sióstr potrafi się zachowywać jak zwykła dziewczyna z oberży” – napisał lodowato mój drugi brat... po czym w końcu listu

zapytał, czy nie poprosiłabym papieża, by zapłacił za naprawę naszego podupadającego zamku nad jeziorem. „Zawsze byłaś kapryśna i próżna, a teraz jesteś zwykłą dziwką!” – napisała moja siostra Gerolama... lecz w ostatnim liście błagała mnie o przysługi dla swojego suchego florenckiego męża.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o wychwalaną pod niebiosą moralność tego rodu. Od dnia swego ślubu ani razu nie pojechałam do domu w Capodimonte i nie zamierzałam się tam prędko pojawiać. W końcu moja rodzina wcale nie chciała mnie oglądać. Chcieli tylko zobaczyć rzeczy, które mogłam im załatwić, a tych można było zażądać listownie, bez nieprzyjemnej konieczności znoszenia towarzystwa mojej niemoralnej osoby.

Tłum ryknął potężnie, wytrącając mnie z rozmyślań. Juan Borgia wszedł na pokład galery o pozłacanym dziobie, która miała go zabrać do Barcelony, i zatrzymał się na chwilę, by pomachać wysadzonym szmaragdami kapeluszem w stronę nabrzeża. Och, czy nie mógłby się nieco pospieszyć i wreszcie odpłynąć? Ileż mogłam tu stać i markować rzewne łzy?

– Cztery galery powiozą go do Barcelony? – zadrwił Sandro, kiedy wiosła uniosły się płynnym, powolnym ruchem i statki wypłynęły niezgrabnie z doku jak tęgie matrony w obszernych spódnicach.

– Załadowane klejnotami, futrami, brokatami,

dywanami, gobelinami, licznymi prezentami dla narzeczonej i jeszcze liczniejszymi prezentami dla króla Ferdynanda i królowej Izabeli... – Stałam na palcach, by zobaczyć, jak galery wypływają z portu, i wreszcie pozwoliłam sobie na promienny uśmiech. – A mówi się, że to kobiety zawsze za dużo zabierają w podróż.

– Jak sądzisz, ile mu zajmie przepuszczenie wszystkiego, co znajduje się na tych czterech galerach?

– Przynajmniej sobie pojechał. – Zamachałam radośnie. – A jeśli będę bardzo grzeczna i Najświętsza Panienska raczy odpowiedzieć na moje modlitwy, więcej się tu nie pojawi.

– A od kiedy to jesteś taka grzeczna?

– Och, ty na pewno nie będziesz mi prawić morałów, Alessandro Farnese. Jak ma na imię twoja ostatnia miłość? Battestina, prawda?

– Silvia – wyznał mój brat. – Battestina zrobiła się zbyt zaborcza.

– Powinieneś wysłać do mnie swoją kochankę na nauki. Ja nigdy nie jestem zaborcza.

Tłum zaczął się już rozchodzić w poszukiwaniu nowej rozrywki, lecz papież został, patrząc ze swej lektyki w przestrzeń ponad błyszczącą taflą wody, ciasno otoczony papieską gwardią. Sandro wymknął się niepostrzeżenie, mamrocząc coś o obowiązkach związanych z kurią („Czy czasem nie masz na myśli zobowiązań wobec tej twojej nowej Silvii?” – wyszeptalam), a Borgiowie zostali, dopóki statek Juana

nie zniknął im z oczu za zakolem rzeki. Rodrigo odszukał mnie nagle zmętiałym spojrzeniem i pospiesznie podniósł do oczu ciężką dłoń, a ja posłałam mu pocałunek.

Teraz, kiedy byłam już oficjalnie kobietą upadłą, kobietą lekkich obyczajów, nierządnicą czy jak tam kto chciał mnie nazwać, ludzie lubili mi przypominać o ciężarze grzechu, który niosłam na swych barkach. Głównie braciszkwowie z zakonów żebrzących i cnotliwe niewiasty, które tak naprawdę ekscytowały się takimi sprawami znacznie bardziej niż ja. Nie miałam serca wyjaśniać im, że jakoś nie czuję tego przytłaczającego mnie brzemienia. Rodrigo miał rację: dlaczego miałabym obawiać się ognia piekielnych jako cudzołożnica, skoro mogłam otrzymać rozgrzeszenie z ust samego Ojca Świętego (między jednym a drugim pocałunkiem)? Któż miał wyższe kwalifikacje, by odpuścić mi moje grzechy, niż sam Wikariusz Jezusa Chrystusa?

Należało jednak zauważyć, że status kochanki wiązał się z określonymi obowiązkami. Żona mogła bywać kapryśna i humorzasta lub cierpieć na bóle głowy – kochanka musiała być zawsze czarująca, ożywiona i gotowa do zabawiania swego wybrańca. Żona musiała tylko się ubrać i być gotowa, by stawić czoła kolejnemu dniu, gdy tymczasem ja musiałam być gotowa stawić czoła również kolejnej nocy.

Gdybym była porządną żoną, bez wątpienia Orsino

zdążyłby się już mną znudzić i zawracałby mi głowę może raz w tygodniu. Przychodziłby do mojej komnaty i nie fatygując się nawet zdejmowaniem mi koszuli nocnej, zwał się na mnie na krótkie rżnięcie, a potem przetaczał na bok i zaczynał chrapać. Wszyscy wiedzieli, że mężowie nudzą się swoimi żonami, którym w gruncie rzeczy nocne igraszki wcale nie miały sprawiać przyjemności. Ale Rodrigo... No cóż. Mimo woli roześmiałam się cichutko. Powiedzmy, że gdy szło o namiętność, Ojciec Święty był nieco inny. Co więcej, nigdy nie wiedziałam, kiedy najdzie go chęć na skorzystanie z sekretnego przejścia łączącego Watykan z Palazzo Santa Maria. Nawet jeśli nie mógł zjeść kolacji ze mną i Lukrecją, po północy udawało mu się czasem wymknąć na godzinkę czy dwie przeznaczone na wizytę w moim łóżku, więc zawsze dokładałam starań, by być odpowiednio przygotowana: aksamitną suknię zmieniałam na zwiewną koszulkę, włosy przeczesywałam delikatnie wodą różaną, by układały się gładko, a nie sterczały we wszystkie strony po rozpleceniu wymyślnych fryzur, w które upinano je za dnia, smarowałam całe ciało balsamem o zapachu moreli (szczególną uwagę zwracając na łokcie i pięty) i dopiero wówczas opatulałam się jedwabną pościelą na moim wielkim łóżu z baldachimem, nie mając pojęcia, czy będzie mi dziś dane przespać całą noc, czy nie.

Dziś wiedziałam jednak, że zobaczę się w nocy z moim papieżem, więc bardziej niż zwykle

pospieszyłam się z wodą różaną i kremami, zawahawszy się tylko przez chwilę, gdy Pantisilea wręczyła mi zapieczętowany list.

– Kolejny, pani. Powiesz mi, co w nim jest?

– Oczywiście, że ci nie powiem. Możesz już iść do łóżka, Pantisileo.

– Giermek na mnie czeka.

Puściła oko i w znakomitym nastroju wyfrunęła z komnaty. Poczekalam, aż zamkną się za nią ciężkie drzwi, po czym otworzyłam list. Całkiem się polubiłyśmy, odkąd przeciągnęłam ją na swoją stronę, skłaniając do porzucenia lojalności względem mojej teściowej. To Pantisilea potajemnie szmuglowała listy, które otrzymywałam co jakiś czas od męża.

Złamałam pieczęć i przebiegłam wzrokiem dziecinne bazgroły. Najwyraźniej pisał listy własnoręcznie, o czym świadczyła dobitnie fatalna pisownia, chyba jeszcze gorsza niż Lukrecji. Orsino pisał, że czuje się dobrze i ma nadzieję, że ja również mam się dobrze. W Carbognano zorganizowano ostatnio świetne polowanie. Wczoraj udało mu się ustrzelić jeleń z okazałym porozem. Mówi się o możliwej inwazji Francuzów...

Całe strony niezgrabnych uprzejmości, nieróżniące się specjalnie od tych z poprzednich listów. Westchnęłam, przytknęłam stronicę do płomienia świecy i pozwoliłam im spłonąć w płytkim naczyniu, w którym trzymałam garść maczanych w miodzie

mostaccioli Carmeliny, a w każdym razie trzymałabym je, gdybym nie zjadła ich wszystkich za jednym posiedzeniem. List zajął się momentalnie i spłonął, pozostawiając po sobie tylko kupkę popiołu. Lekko przygryzłam paznokieć kciuka. Biedny Orsino. Dlaczego wciąż do mnie pisał, skoro nawet się nie widzieliśmy od czasu tego dziwaczego spółkowania w stajni? Jeśli nie pragnął mnie na tyle, by domagać się swoich wyłącznych praw do mnie albo uznać moją córkę, skoro już przy tym jesteśmy (a nie była jego i z pewnością o tym wiedział – nie przyjechał do Rzymu nawet na jej chrzest!), to dlaczego pisał? Odpisywałam mu tylko dlatego, że mimo wszystko było mi go żal. Odczuwałam wobec niego litość, a od czasu do czasu niejasne wyrzuty sumienia. Moje odpowiedzi były krótkie i formalne, a Pantisilea przekazywała je w tajemnicy, by nie dowiedziała się o nich moja teściowa, która mogłaby powiedzieć o tym mojemu papieżowi. Gdyby Rodrigo się dowiedział, niechybnie skazałby mojego męża na wymyślną torturę zwaną strappado.

A może tylko zaśmiałyby się drwiąco? Tak czy inaczej, naprawdę nie chciałam się o tym przekonywać. Nie znajdowałam w sobie ciepłych uczuć dla Orsina, ale też nie chciałam, by stała mu się krzywda.

– Witaj, moja perło.

Uśmiechnęłam się, słysząc za sobą głęboki głos. Rzym znalazł dla mnie mnóstwo przydomków: La Bella,

co było w gruncie rzeczy bardzo pochlebne, Wenus Watykańska, co było dość pochlebne, Oblubienica Chrystusa, co w sumie wcale mi nie pochlebiało, ale Leonello był przekonany, iż jest to tak śmieszne, że boki zrywać, aż w końcu nabrałam mrocznych podejrzeń, że sam wymyślił to miano. Jednak tylko Rodrigo nazywał mnie swoją perłą.

– Wasza Świątobliwość – powiedziałam miękko i zdmuchnęłam wszystkie świece z wyjątkiem jednej. Przeszłam boso po wełnianym dywanie, podniosłam dłoń mojego papieża do ust i ucałowałam papieski pierścień. Skinął głową poważnie jak zawsze, po czym podniósł mnie w swoich krzepkich ramionach i zaniósł do łóżka. Powtarzał ten rytuał nieodmiennie. Kiedy jesteś drobna, wydaje się, że wszyscy mężczyźni mają ochotę cię podnieść i gdzieś zanieść, prawda? Zawsze traktowano mnie jak laleczkę.

– Dziwne – powiedział Leonello, gdy podzieliłam się z nim tym spostrzeżeniem. – Ja mam nieco inne doświadczenia z byciem niedużym.

Dzisiaj jednak mój papież najwyraźniej nie miał ochoty na miłość. Położył głowę na moich piersiach i z roztargnieniem całował mnie w szyję, a ja oparłam policzek na jego głowie i owinęłam sobie jego czarne kędziory wokół palców.

– Myślisz o Juanie – powiedziałam w końcu.

– Juan. – Rodrigo był teraz tylko ponurym profilem w półmroku rozświetlanym zaledwie

pojedynczą, migoczącą świecą: orli nos, potężna klatka piersiowa, smutny głos. – Odszedł jak Pedro Luis. Pedro był taki młody, kiedy... – Głos Rodriga załamał się, jak zawsze, gdy mówił o swoim urodzonym w Hiszpanii pierworodnym synu, który zginął w pierwszej bitwie, którą dowodził. – Mówiono, że był odważny. Bardzo odważny. Czy już ci o tym opowiadałem?

– Wielokrotnie.

– Juan jest odważny. Jak Pedro Luis. Będzie wspaniałym kondotierem.

Miałam rozliczne wątpliwości co do tego, czy siedemnastolatek, który z najwyższym trudem porzuca swoje ulubione zajęcia w rodzaju molestowania służących i ścigania kotów w ciemnych zaułkach, ma zadatki na następcę Achillesa, ale nie byłam na tyle głupia, by się nimi dzielić.

– Juan wyjechał, lecz nie umarł, wiesz o tym doskonale – powiedziałam więc, gładząc włosy Rodriga. – Wróci.

– Wcale mi się nie podoba to, że wyjechał! Żadne z nich nie powinno wyjeżdżać! Chcę mieć swoją rodzinę tutaj, przy sobie.

– I to mówi mężczyzna, który pewnej nocy niemal zagadał mnie na śmierć, perorując o tym, jak to jego dzieci zapoczątkują powstanie wspaniałej sieci połączonych ze sobą linii dynastycznych całego świata! – Żartobliwie przygryzłam płatek ucha Rodriga. – Jak mają stworzyć wielką sieć czegokolwiek, jeśli wszystkie

tutaj zostaną?

– Jeszcze tego nie wymyśliłem – przyznał.

Roześmiałam się.

– Dopóki więc nie opracujesz idealnego rozwiązania, Wasza Świątobliwość, pozostaw Juana Hiszpanii, a Hiszpanię Juanowi. Cezar...

– Następny papież z rodu Borgiów – oznajmił Rodrigo, kiwnąwszy głową. – Jedyne problem polega na tym, że mnie już nie będzie, żebym mógł tego dopilnować.

– „Mamy nowego papieża, Cezara Borgię, papieża Aleksandra VII” – wyrecytowałam. – To wcale do niego nie pasuje. Jest raczej tym rodzajem Aleksandra, któremu pisany jest podbój świata.

– Juan może podbić świat. Jest krewki, stworzony do walki. Cezar ma chłodniejszą głowę, a takie potrzebne są w Kościele.

– Nie sądzę, by pragnął Kościoła.

– Na pewno ktoś w Kościele nie chce jego. – Rodrigo zaśmiał się drwiąco. – Ktoś w podły sposób próbował udaremnić nominację Cezara do kolegium kardynalskiego. Ta dziewczyna zamordowana w Borgo, ta z podciętym gardłem... Obym przyrósł do tronu papieskiego, jeśli to sprawka Żydów. Sądząc z tego, co znaleziono przy zwłokach dziewczyny, ktoś dołożył starań, by zszargać reputację Cezara. Może kardynał della Rovere? Jest wystarczająco zbulwersowany koncepcją jednego Borgii na Stolicy Piotrowej, nie

mówiąc już o dwóch...

Rodrigo ciągnął dalej, na wpół wściekły, na wpół ubawiony, rozprawiając ponuro o jakimś sztylcie, który być może należał do Cezara, ale nie chciałam znać szczegółów. Nie miałam ochoty rozmyślać o zamordowanej nocą kobiecie. Nie wtedy, gdy leżałam bezpieczna w ramionach mojego papieża.

– Jeśli zatem Cezar ma być następnym papieżem z rodu Borgiów – zmieniłam temat – a Juanowi pisane jest dowodzenie papieskim wojskiem, co pozostaje Jofrému?

– Neapol. – Rodrigo spochmurniał i zabębnił palcami po moim ramieniu, wbijając wzrok w sufit. Kazał na nim wymalować fresk przedstawiający złotowłosą Europę uprowadzaną przez Zeusa, który przybrał postać byka. Europa była całkiem podobna do mnie, a szeroki grzbiet byka okryty był kapą w kolorach czerwieni i żółci, kolorach Borgiów. – Muszę zrobić coś w sprawie Neapolu.

– Teraz?

Gilgotałam go tak długo, aż zaczął się zwijać. Ten mój papież miał urocze łaskotki. Bezlitośnie celowałam w czuły punkt w okolicach talii, ale on jedną silną ręką złapał mnie za oba nadgarstki, skrępował i przycisnął do swojej szerokiej piersi, szepcząc z taką papieską mocą, od której mury zadrżały.

– Ekskomunikuję cię, figlarko, jeśli przez ciebie zacznę tu piszczeć.

– A ja będę błagać mego Ojca Świętego o wybaczenie. Na kolanach oczywiście.

– W takim razie ekskomunikuję cię dla samej przyjemności ujrzenia tego. – Ucałował mnie w czubek nosa, uśmiechając się wreszcie, ale myślami krążył nadal wokół Neapolu. Przynajmniej porzucił ponure rozmyślenia o Juanie i nieszczęsnym nieboszczyku Pedro Luisie. – Myślę, że Jofré zwerbuję dla mnie Neapol. Król Ferrante ma kilka wolnych, próżnujących księżniczek. Jeśli wesprę go w oporze przeciw Francji i Hiszpanii, odda jedną z nich Jofrému.

– Nie mów mi, że Hiszpanii marzy się teraz Neapol! – Skrzywiłam się. – Właśnie oddałeś jej kontynent! – Tej wiosny nie mówiono o niczym innym, jak o nowym rajy odkrytym przez tego żeglarza z Genui, którego nazwiska nie potrafiłam zapamiętać. Raju, nad którym władzę Rodrigo oddał głównie Hiszpanii. Znacznie bardziej niż mapy i traktaty interesowały mnie przywożone z tego nowego świata dziwne rzeczy: niezwykle rośliny, smagli niewolnicy i przedziwne, jaskrawo ubarwione ptaki, które podobno potrafiły mówić. Rodrigo zdobył jednego z takich ptaków jako prezent dla Lukrecji, ale jak do tej pory ptaszek nie chciał nic powiedzieć i tylko siedział ponuro na swojej żerdce, próbując udziobać w palec każdego, kto go karmił. W skrytości ducha ochrzciłam go imieniem Vannoza.

Przesunęłam pieszczotliwie palcami po piersi

Rodrigo.

– A zatem Jofré pozyska Neapol dzięki małżeństwu z neapolitańską księżniczką. Lukrecja pozyska Mediolan dzięki mężowi z rodu Sforzów. A jaką rybkę zamierzasz złowić z pomocą Laury?

– Nie wiem. Może Francję? Zaczyna sprawiać kłopoty.

Uśmiechnęłam się. Vannozza całkiem się myliła. Rodrigo snuł już plany co do Laury, plany równie wielkie jak te, które opracował dla każdego z jej dzieci.

– Francuski książę... – zaczęłam, oczyma duszy widząc świetlaną przyszłość swojej córki, ale Rodrigo był już myślami gdzie indziej.

– Francja będzie musiała jeszcze chwilę poczekać. Najpierw Neapol. – Zdecydowanie zabębnił palcami po mojej dłoni, a jego ciche zamyślenie przysło w ogniu podejmowania decyzji. Nigdy jeszcze nie widziałam mojego papieża zmęczonego. – A co do kolegium kardynalskiego... Potrzebuje dopływu świeżej krwi, by trochę potrząsnąć tymi starymi gąsiorami w ich czerwonych kapeluszach. I tak już czas, by Cezar został kardynałem. A co z twoim bratem? Czy miałby ochotę na czerwony kapelusz?

Uniosłam głowę z papieskiego ramienia.

– Sandro?

– Tak, czemu nie? Żarty się go trzymają i nie spodziewam się po nim niczego wielkiego, ale jest zabawny. A poza tym z przyjemnością oddam mu

przysługę. – Rodrigo wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Widzisz, on mnie nawet lubi, a raczej lubiłby mnie, gdybym nie spał z jego siostrą, więc koniec końców mogę tylko obserwować, jak żałuje, że nie może mnie uderzyć ani przyjąć czegokolwiek, co chciałyby mu zaoferować. I jak twardo odmawia, zachowując przejmująco chłodny dystans. – Pochylił się i przesunął wargami po moim ramieniu. – Bardzo to odświeżające po wszystkich tych śliskich pochlebcach, z którymi zazwyczaj mam do czynienia.

– Jeśli naprawdę chcesz mu zaoferować czerwony kapelusz, skłonię go, by go przyjął. – Mój brat odrzucił kilka lukratywnych propozycji złożonych mu przez papieża, choć błagałam go i namawiałam, by tego nie robił. Ale oferta mianowania kardynałem... To zapewniłoby mu przyszłość. Byłby zabezpieczony do końca życia i zostałby wielkim człowiekiem, a tego właśnie dla niego chciałam: sukcesu, szczęścia, wszystkiego, co najlepsze. Może dlatego, że był jedynym członkiem mojej rodziny, który nie wyciągał do mnie chciwej łapy teraz, gdy zyskałam możliwości oddawania przysług?

Nie lubiałam jednak o nie prosić. Rodrigo w swej serdecznej hojności mógł obsypywać prezentami mnie i przy okazji moją rodzinę, ale nigdy o nic nie prosiłam. Nie byłam dziwką, choć i tak nazywał mnie Rzym, nie zawsze pozostając przy ładniejszych przydomkach, takich jak Wenus Watykańska. Niekiedy jeszcze

przysparzało mi to zgrzyzot. Urodziłam się w rodzinie szlacheckiej i odebrałam stosowne wychowanie. Przygotowano mnie do odegrania roli matki dzieci mego męża i ozdoby jego domu. Czasem zastanawiałam się, jak mogłam odejść tak daleko od tego scenariusza.

Choć nierzadko miałam wrażenie, że wcale nie odeszłam tak daleko. W końcu byłam przecież ozdobą domu mojego mężczyzny i wydałam na świat jego dziecko! Ogólnie rzecz biorąc, dni spędzane na opiece nad dzieckiem, przymierzaniu sukien, chodzeniu na msze i zasiadaniu do rodzinnej kolacji nie różniły się specjalnie od życia, które miałam wieść po zawarciu małżeństwa.

Wszystko to stało się bardzo skomplikowane.

Westchnęłam i Rodrigo uniósł czubkiem palca mój podbródek.

– Chodź do mnie – wyszeptał.

– Tak, Wasza Świątobliwość – odszepnęłam, a on przyciągnął mnie do siebie.

Kiedy Rodrigo kochał się ze mną po raz pierwszy, nie miałam najbledszego pojęcia, co właściwie robi. Z tego wszystkiego, co przekazały mi szeptem moja matka i jej rozmaite pobożne, sprośne albo zwyczajnie koszarne służące, wiedziałam, że cały proces uprawiania miłości powinien być na początku bolesny, a potem albo przyjemny, albo nudny, ale tak czy inaczej przede wszystkim krótki. Mężczyźni brali sobie kobiety dla własnej przyjemności i była to czynność mało

wyrafinowana. W wykonaniu Rodriga nie było to ani krótkie, ani mało wyrafinowane.

– Co robisz? – zapytałam, oblewając się rumieńcem i krzyżując ręce na piersiach, gdy tego pierwszego razu zaczął się we mnie wpatrywać.

– Podziwiam – odpowiedział, odsuwając łagodnie moje ręce.

Podziwiał nie tylko te części mnie, które wszyscy zdawali się zauważać: włosy, piersi i inne oczywistości.

– Skóra po wewnętrznej stronie twoich nadgarstków przypomina atlas – powiedział którejś nocy, powoli masując kciukiem tętniące krwią żyłki, aż serce zaczęło mi bić szybko jak wiosenny deszcz. – Wiesz, że masz dołeczki w kolanach? – Powiódł wokół nich palcami. – I w łokciach? – Przesunął dłoń ku górze, wzdłuż linii moich żeber, powiódł palcami wzdłuż ramienia i zsunął je na łokieć. – I masz jeszcze jeden dołeczek u samego dołu kręgosłupa... – Poczułam dotyk jego ust, gdy niespiesznie odsunął moje włosy na bok i powiódł wargami wzdłuż moich pleców aż do karku, a całe moje ciało zadrżało ze szczęścia w oczekiwaniu na długą noc podziwu.

Wciąż nie wiedziałam, czy to Rodrigo robił wszystko źle, czy cała reszta. Faktem jest jednak, że mój śniady, postawny, sześćdziesięciodwuletni kochanek potrafił tak długo podziwiać fragment skóry na moim biodrze, iż ten niemal odrywał się od mojego ciała, próbując podążyć za jego dłonią, więc w końcu

uznałam, że wolę to niż przystojny profil lub młodą twarz. W końcu mnóstwo młodych dziewcząt musiało poślubiać starych mężczyzn, a ja miałam przynajmniej tyle szczęścia, że dostał mi się mężczyzna posiadający władzę, osobowość i charyzmę, a przy tym niezwykle przydatne zamiłowanie do obsypywania mnie prezentami i uprawiania miłości. Przypadł mi mężczyzna, którego namiętność po roku przebywania ze mną ani odrobinę nie przygasła.

Tak, naprawdę należało to uznać za szczęśliwe zrządzenie losu.

– Mój papieski byk – zażartowałam, przesuwając ustami po jego wargach, a jego potężna klatka piersiowa, o którą się opierałam, zawibrowała od śmiechu. Było to jednocześnie bluźnierstwo i żart z podtekstem. Rodzaj dowcipu, który lubił. Zsunęłam się po nim w dół powolnym ruchem, ocierając się o niego pachnącą morelami skórą, a moje włosy zamigotały w świetle świec. Jego ciemne oczy rozbłysły w mroku. Pochłaniał mnie wzrokiem, dopóki podniecenie nie zmusiło go do zamknięcia oczu i nie wydarło mu jęku z piersi.

– Moja perło – wyszeptał, jedną ręką wodząc wokół dołeczka u dołu mojego kręgosłupa, a drugą trzymając mnie za kark, po czym owinął sobie pasmo moich włosów wokół dłoni i przyciągnął mnie do siebie. Nasze usta zderzyły się, opiły pocałunkami i zderzyły ponownie. Na moim malowanym suficie

Europa ujeżdżała swojego byka. Pod nim ja ujeżdżałam swojego.

– Rodrigo? – zapytałam cicho już po. – Czy mogę cię o coś zapytać?

– Wy kobiety zawsze przypuszczacie atak na mężczyznę, gdy jest najbardziej bezbronny! – Rodrigo miał nadal zamknięte oczy i senny głos, w którym słyszałam nutę rozbawienia. – Czego pragniesz, moja perło? Diamentów? Możesz dostać, ile tylko chcesz.

– Nie. – Oparłam się podbródkiem na jego ramieniu. – Chcę, by nasza córka nosiła nazwisko Borgia, a nie Orsini.

Przez moment milczał.

– To wbrew wszelkim przepisom prawa, Giulio.

– Możesz zmienić prawo. – Uśmiechnęłam się i pocałowałam go w szyję. – W końcu jesteś Ojcem Świętym!

– Nazwisku „Laura Orsini” absolutnie nic nie brakuje. – Otworzył oczy w ciemnościach. – Więc zostawmy ten temat, Giulio.

– Ale wszyscy wiedzą, że ona jest twoją córką, a nie Orsina. Dlaczego nie przyznać tego oficjalnie? – Swoim urokiem potrafiłam skłonić Rodriga do wszystkiego, więc na pewno mogłam i tym razem postawić na swoim. – „Laura Borgia”, tylko sobie wyobraź...

– Nie!

Utkwiłam w nim wzrok pośród otaczających nas ciemności. Nasze ciała były nadal splecione w czułym

uścisku, moja jasna skóra przyciśnięta do jego śniadego ciała pod kołdrą, moje włosy spowijały nas oboje, ale jego głos smagnął mnie jak biczem.

– Rodrigo, przecież nie możesz wątpić, że Laura...

– A dlaczego miałbym wierzyć, że jest moja, Giulio? W tym samym czasie spałaś z tym zezowatym młokosem!

Żołądek gwałtownie podszedł mi do gardła.

– Ja nie...

– Nie kłam – przerwał mi obcesowo.

– Nie kłamię – odparłam skonsternowana. – Powiedziałam ci przecież, że spałam z mężem. Powiedziałam ci to w dniu, w którym do ciebie przyszedłam... Powiedziałam, że już nie jestem dziewczyną, a ty powiedziałeś, że to nie ma dla ciebie żadnego znaczenia!

Rodrigo usiadł na łóżku, w ciemnościach zarysowała się jego potężna sylwetka. Miał zimny głos.

– Miałoby to dla mnie o wiele większe znaczenie, gdybyś zechciała wspomnieć, że spałaś ze swoim mężem i ze mną w tym samym cholernym tygodniu. Musiałem to jednak usłyszeć od Adriany, kiedy już to wreszcie wyciągnęła z tego małego tchórza, którego nazywa swoim synem.

Adriana. Ta skwaśniała stara papla.

– Powiedziałam ci, że spałam z Orsinem tylko raz!
– usłyszałam swój podniesiony głos. Jak ta rozmowa mogła przerodzić się w kłótnię? Rodrigo i ja nigdy

wcześniej się o nic nie kłóciliśmy. – Raz!

Mój papież wściekłym gestem odrzucił kołdrę i wstał.

– To ty tak mówisz.

– Bo taka jest prawda. – Usiadłam i naciągnęłam kołdrę na piersi. – Czy Adriana ci tego nie powiedziała przy okazji oczerniania mnie?

– Adrianie zawsze leży na sercu moje dobro. – Rodrigo z irytacją sięgnął po swoją szatę. – Najwyraźniej nie mogę powiedzieć tego samego o tobie.

– Przecież nie sądzisz chyba... Jak śmiesz... – Gniew zdławił mi słowa w gardle, które zapłonęło nagle żywym ogniem. Zanim zdołałam się opanować i wykszusić ripostę, mój papież przerwał mi zdecydowanie.

– A swoją drogą, kto ci nakładł do głowy tych głupot o nazwisku Laury?

– Vannozza – odparłam. – Powiedziała, że gdybyś naprawdę chciał, znalazłbyś sposób na obejście prawa. I miała rację, mógłbyś to zrobić!

Wybuchnął nieprzyjemnym śmiechem.

– Ta moja żona naprawdę lubi się wtrącać w nie swoje sprawy.

Wyprysnęłam z łóżka, z braku sukni okrywając się włosami.

– Żona?

– Stała u mego boku przez ponad dziesięć lat, Giulio. Pod każdym względem, z wyjątkiem nazwy, była

moją żoną.

– Kim zatem ja jestem? – wyjąkałam.

– Wszystko jedno. – Rodrigo przeczesał włosy palcami. – Prawo jest prawem, Giulio, i nie będę go nagiął tylko po to, by przypieczętować swoim nazwiskiem wynik twojej głupoty.

– Ona nie jest wynikiem! – krzyknęłam. – To Borgia! Ten jeden raz z Orsinem, tylko jeden raz wobec tych wszystkich razy...

– Nie chcę o nim słyszeć – warknął Rodrigo i wzdrygnęłam się na dźwięk słyszalnego w jego głosie gniewu, gdybym nagle nie pojęła.

– Myślisz, że mogłabym woleć Orsina niż ciebie? Tylko dlatego, że jest młody i... – Już miałam powiedzieć „przystojny”, ale nie wydawało się to zbyt taktowne. – Tylko dlatego, że jest młody? Czy dlatego po tym, jak już dowiedziałeś się o wszystkim od Adriany, nigdy o tym nie wspomniałeś?

Prychnął pogardliwie, ale odwrócił wzrok.

– Rodrigo. – Wzięłam wielką rękę mojego papieża w dłoń, a moje zranione serce zmiękło odrobinę, choć z gniewu nadal waliło jak młotem. – Wiesz, że jeśli o to chodzi, nie masz się czego bać, ja...

– Jesteśmy papieżem, Giulio Farnese, i nie boimy się niczego. – Wyrwał rękę z mojej dłoni i obrócił się na pięcie niczym byk, który za chwilę ma wypaść na arenę. Och, Najświętsza Panienko, pojawienie się papieskiego „my” nie wróżyło nic dobrego. – Już

późno. Wiele pracy przed nami. Życzymy ci dobrej nocy.

Poczułam się tak, jakby mnie ktoś uderzył. Łzy napłynęły mi do oczu i serce ścisnęło się bólem, ale zdołałam się opanować.

– A Laura? – wyszeptałam bezwiednie.

– Będzie nadal nosić nazwisko Orsini. – Rodrigo spojrział na mnie przez ramię i dostrzegłam w jego spojrzeniu żelazny błysk. – Naprawdę, Giulio, masz dużo szczęścia, że urodziłaś dziewczynkę. Gdybyś urodziła syna, byłbym na ciebie znacznie bardziej wściekły!

– Wasza Świątobliwość – zdołałam powiedzieć bezbarwnym głosem, próbując ukryć, jak bardzo zraniły mnie jego słowa. Wściekle uniósł podbródek, co nie było tak naprawdę pożegnaniem, a już na pewno nie czułym pocałunkiem, którym zazwyczaj pieczętował nasze rozstanie, po czym zatrzasnął drzwi za sobą, zostawiając mnie stojącą na środku komnaty z rękoma przyciśniętymi do piersi, nagą, zziębniętą i nieszczęśliwą. Zacisnęłam powieki i poczułam łzy spływające gorącymi strużkami po policzkach. Mój papież dawał mi perły, diamenty i aksamitne suknie. Dał mi srebrny gryzaczek dla Laury i zamierzał dać czerwony kapelusz kardynalski dla mojego ukochanego brata – ale nie dał mojej córce nazwiska.

Tego nie chciał mi dać.

Najwyraźniej nawet Wenus Watykańska nie mogła

mieć wszystkiego.

Rozdział 10

O wiele bezpieczniej budzić strach niż miłość.

NICCOLÒ MACHIAVELLI

Carmelina

Wstydź się! – zgromiłam Bartolomea. – Nie nadajesz się nawet do tego, żeby pozamiatać podłogę w mojej kuchni! Hańbisz zaszczytną profesję kucharza i umrzesz jako nędzny nieudacznik niepotrafiący ugotować nawet jajka!

Byłam, rzecz jasna, zachwycona swoim nowym uczniem.

– Co zrobiłem nie tak? – Bartolomeo przyglądał się strapiiony leżącemu przed nim twardemu niczym kamień jajku. – Widziałem, jak moja mama to robiła...

– Obserwowanie kogoś i robienie samemu to dwie zupełnie różne rzeczy.

Mali chłopcy może i obserwowali swoje matki w kuchni, ale nie przykładali do tego wagi, bo i dlaczego mieliby przykładać? Większość chłopców nie zostawała kucharzami. Kiedy przychodzili do mnie jako uczniowie, nie mieli zasobu podstawowej wiedzy, jaki miałyby każda dziewczyna, bo przecież każda dziewczyna wie od małości, że to jej domeną będzie prowadzenie kuchni w domu jej przyszłego męża. Kładłam nacisk na to, by wszyscy moi uczniowie zaczynali od podstaw. No dobrze, uczniowie Marca, ale

ponieważ to ja ich uczyłam, podczas gdy on oddawał się planowaniu jadłospisu, mogłam robić wszystko po swojemu (przez połowę czasu ja również układałam jadłospisy). Młody Bartolomeo musiał czuć się upokorzony, kiedy pokazywałam mu, jak trzymać nóż albo ubijać śmietanę na sztywno, zwłaszcza że inni uczniowie w jego wieku zagniatali ciasto, przyrządzali sosy i kpili z niego bez litości, lecz drobne upokorzenia miały zbawienny wpływ na duszę, w czym święta Marta na pewno by się ze mną zgodziła. Została co prawda sprowadzona do wyschniętej rączki mieszkającej w pudełku na przyprawę, ale jakoś ta degradacja nie wydawała się jej przeszkadzać.

– Jajko powinno się gotować tyle czasu, ile zajmuje odmówienie wyznania wiary, i ani chwili dłużej. – Wskazówkę tę zaczerpnęłam wprost ze zbioru przepisów mojego ojca (strona trzysta trzecia, rozdział *Dania wielkopostne*). Rzuciłam Bartolomeowi kolejne jajko, a on złapał je w ostatniej chwili, gdy już miało się rozprysnąć na jego umączzonej koszuli. – Spróbuj jeszcze raz.

Westchnął głęboko, wrzucił jajko do rondelka i zaczął modlitwę:

– *Credo in unum Deum...* – przerwał, gdy jeden z uczniów zachichotał nad garnkiem z gotującym się sosem pomarańczowym. Kiedy Bartolomeo był jeszcze pomywaczem, roznosiła go ciekawość i nieustannie zarzucał mnie pytaniami. Stracił rezon, odkąd został

uczniem najniższej kategorii. – *Credo in unum Deum...*

– Nie słyszę cię! – zagrzałam.

– *Patrem omnipotentem, factorem caeli et terrae...*

– Może być – powiedziałam, kiedy jego kolejne jajko zeszło z ognia idealnie miękkie. – A teraz powtarzaj to tak długo, aż nie będziesz zakłócał pracy mojej kuchni dukaniem modlitw, ty kapuściany łbie.

– Dlaczego na mnie krzyczysz, signorina? – wybuchnął. – Na nikogo innego tak nie krzyczysz!

Bo nikt inny nie zaprezentował równie obiecujących talentów, ot co. Po pierwszym dniu, który Bartolomeo spędził w kuchni w roli ucznia, padłam na kolana przed wyschniętą rączką świętej Marty i podziękowałam jej za zmiękczenie serca Marca na tyle, by pozwolił mi zatrzymać Bartolomea. Mój były pomywacz miał nie tylko nos prawdziwego kucharza, ale też miękki nadgarstek, który zapowiadał dobre sosy, i wrodzone wyczucie pozwalające mu ocenić, jak długo obsmażać kawałek mięsa. Nigdy jednak nie przyszłoby mi do głowy podzielić się z nim tymi przemyśleniami.

– Podważasz moje metody? – Wskazałam drzwi prowadzące na kuchenne podwórko. – Jeśli tak, to proszę bardzo, możesz odejść, Bartolomeo. Możesz wrócić do garbarni swojego wuja i zapachu szczyń. Tego właśnie chcesz?

Zacisnął szczęki i spojrzał na mnie z rozzaleniem.

– Nie, signorina.

Lekki opór – bardzo dobrze. Kucharze z odrobiną

przekory radzili sobie w życiu lepiej niż ulegli.

– Ugotuj kolejne jajko – poleciłam. – I proszę cię uprzejmie, nie kwestionuj więcej moich poleceń.

– Tak jest, signorina.

Pacnęłam go jeszcze raz po łapach i poszłam dalej, z trudem skrywając uśmiech, gdy usłyszałam za plecami miarowe, zdeterminowane mamrotanie *Credo*. Naprawdę podoba mi się to przyuczanie nowego ucznia! Odświeża smak jak zucie listków mięty między kolejnymi daniami podawanymi na długim przyjęciu.

Naturalny w kuchni gwar przybrał dziś tony niższe i cichsze niż każdego normalnego popołudnia. Pani Adriana zapowiedziała w zeszłym tygodniu, że ponieważ Rzym jest nadal zdecydowanie zbyt duszny jak na październik, zamierza odpocząć, udając się na kilka tygodni do wód w Viterbo, dopóki ten niespotykany o tej porze roku upał wreszcie nie zelżeje. Pani Giulia tak długo wydymała swoje wiśniowe usteczka, aż w końcu papież uznał, że spędzenie tygodnia na wsi u jej boku jest bardzo miłym pomysłem, w związku z czym cały dom został rzucony w wir przygotowań do podróży. Marco wyjechał do Viterbo już zawczasu z połową pomywaczy, służących, cukierników i najlżejszym podstawowym sprzętem kuchennym: patelniami, moździerzami i kotłami załadowanymi na wozy lub przytroczonymi do mulich grzbietów. Bezustannie przywoływał mnie, by przynieść mu jeszcze zapomniane miedziane butelki na oliwę albo chusty do

odcedzania. Miałam dojechać z całą resztą, kiedy wyprawia się w końcu pani Giulia, jej teściowa i Lukrecja. Marzyłam już o chłodnej ciszy i zieloności Viterbo, o świeżej bryzie, która zdmuchnie letni smród kociego truchła, spalonych słońcem cegieł i spoconych ciał. Wprowadzi się lżejsze, letnie menu, by ostudzić krew i pobudzić przytępiiony upałem apetyt: schłodzone wina i świeżo wyciskane soki z morwy lub cierpkiej brzoskwini, sałaty z endywii i kaparów, kurczak serwowany na zimno z limonkami i zaledwie odrobiną octu różanego, lekkie jak obłok omlety z kozim mlekiem i kawałkami trufli...

– Signorina? – Jeden z zarządców stanął w sklepionym przejściu, nie wchodząc nawet do mojej kuchni. Wszyscy już zostali przeze mnie nieźle przeszkoleni, odkąd jeden z podzarządców potracił mnie, kiedy zsuwałam kocioł z ognia, przez co zupa jarzynowa rozlała mi się po całej podłodze. Pogoniłam go na zewnątrz, przy każdym kroku waląc go po głowie solonym linem. Od tamtego czasu nie miałam z zarządcami żadnych kłopotów. – Signorina, pani Giulia mnie przysłała. Potrzebuje paczki szafranu do swojej płukanki do włosów.

– Zużywa mój szafran przy każdym myciu włosów. – W gruncie rzeczy wcale mi to nie przeszkadzało. Przecież nie ja musiałam płacić za szafran, a poza tym bardzo lubiłam panią Giulję. Sposób, w jaki potrafiła spałaszować za jednym posiedzeniem cały koszyk

moich frittelli, rozmiękczyłby serce każdego kucharza. – Sama jej zaniosę – zawołałam, rozwiązując brudny fartuch i chwytając nieotwartą paczuszkę szafranu.

Konkubina papieża spoczywała wygodnie na stosie aksamitnych poduszek rozłożonych na trawie w centralnej części ogrodu, zawinięta w kilka ręczników, wystawiając do słońca swoje bosa białe stópki. Czubek jej głowy sterczał ze słomkowego kapelusza bez denka, na którego ogromnym rondzie rozłożyła mokre włosy do wyschnięcia w południowym upale. Jej twarz zastygła w całkowitym bezruchu w stwardniałej białej masce z jakiejś tajemniczej gliniastej mazi, gdy tymczasem ona sama polerowała sobie paznokcie kawałkiem miękkiej skóry, pochylając się od czasu do czasu, by posłać pocałunek dziecku gaworzącemu u jej boku w koszyku wyposażonym w parasolkę chroniącą od słońca. Służące krążyły wokół niej niczym pszczoły wokół swojej matki: jedna pumeksem ścierała suchą skórę z pięt malutkich stóp swojej pani, druga pęsetą wyskubywała jej włosy, by podwyższyć gładkie, białe czoło, trzecia niczym wiedźma pochylała się nad garnkiem z bulgoczącą miksturą do włosów, odpędzając od siebie tego nieznośnego koziołka. Jakież to utrapienie być taką pięknoscią. Jeśli o mnie chodzi, to wołałabym poświęcić upływające godziny na przyrządzenie jakiegoś pracochłonnego sosu, a nie na pielęgnację idealnej linii włosów czy usuwanie skórek przy paznokciach.

– Carmelina! – Ukryte za sztywną maską żywe, ciemne oczy pani Giulii rozjaśniły się tak, jakby od rana nie mogła się doczekać spotkania ze mną i dopiero teraz mogła uznać swoje życie za spełnione. Widziałam inne kobiety stosujące tę sztuczkę graniczącego z uwielbieniem powitania (moja siostra ćwiczyła ją wielokrotnie przed lustrem), ale Giulia Farnese była zbyt serdeczna i prostolinijna, by skrywać nieszczerłość. – Przyniosłaś mi szafran? – zapytała. – Nie uwierzyłabyś, co potrafi zrobić z moimi włosami... Robię sobie płukanek z szafranu, cynobru i siarki, a raczej Pia ją robi, i dzięki temu uzyskuję mnóstwo jasnozłoty refleksów i odrobinę pasemek w kolorze czerwonego złota, które wyglądają po prostu znakomicie. – Aż podskoczyła z zadowolenia. – Przepraszam tylko, że ciągle ci zużywam zapasy. Byłabym niepokieszona, gdybyś przez to musiała przestać przyrządzać te małe szafranowe biscotti. Uwielbiam je. Przyniosłaś może kilka?

– Obawiam się, że nie, pani Giulio.

– To dobrze, bo znów zrobiłam się nieco zbyt pulchna. Siadaj, siadaj!

– Powinnam wracać do kuchni, pani Giulio...

– Ach, bzdura, możesz sobie zrobić godzinę przerwy. – Oddała paczuszkę nitek szafranu służącej przygotowującej płukanek do włosów. – W końcu zawsze jem, kiedy wystawiam włosy na słońce, a ponieważ nie mogę jeść, dopóki odrobinę nie schudnę,

możesz mi dotrzymać towarzystwa. – Przechyliła złotą główkę na bok, patrząc na mnie uważnie, gdy siadałam. – Nie ma jednak sensu stosować szafranu na tak pięknych, ciemnych włosach jak twoje. Czego by tu spróbować zamiast tego...?

– Nalewki z wapna palonego i ołowiu – podrzuciła służąca o imieniu Pia, kolejny raz z impetem zamieszawszy w garncu z płukanką. – Dobrze się sprawdza na ciemnych włosach, pani.

– Ale nie podoba mi się myśl o zanurzaniu włosów w metalu... A tobie? Płukanka z rozmarynu i szaławii, to właśnie stosowałyśmy w Capodimonte. – Pani Giulia gestem przywołała służące, które wesoło zaczęły się krzątać za moimi plecami i rozplatać mi włosy. – Musimy ci też nałożyć maseczkę... Wydaje się bardzo dziwna i sztywna, ale niesamowicie wybiela skórę.

– Nie potrzebuję wybielać sobie skóry! – zaprotestowałam, próbując odpędzić służące. Jak żyję, żadna służąca nie zajmowała się moimi włosami. Zawsze to moja siostra szarpała mi loki grzebieniem, narzekając, że się plączą. – Nie jestem wielką damą, pani Giulio, nie...

– Bardzo proszę, siedź spokojnie. – I faworyta papieża własnymi rączkami zaczęła mi rozsmarowywać krem na policzkach. – Nie marszcz tak nosa. Wiem, że to brzydko pachnie, ale to tylko mąka z fasoli, białko kurzego jaja, kozie mleko i może jeszcze kilka innych składników. Niektórzy uważają, że dobrze jest dodać do

tej mikstury gołębie wnętrzości, ale nie chciałabym kłaść sobie na twarzy czegoś równie odrażającego, a ty? Niesamowite, jak obrzydliwa potrafi być pielęgnacja urody. Mężczyźni sądzą, że kobieta zawsze tylko niczym Wenus wklepuje w swym buduarze pachnące kremy i rozpyła wokół siebie oszałamiające perfumy... Pojęcia nie mają!

– Zawsze powtarzam, że od tych maseczek i śmierdzących paskudztw lepiej ich trzymać z daleka – zgodziła się inna służąca.

Pani Giulia oparła się i odchyliła głowę do tyłu, a służąca zaczęła wczesywać szafranowo-cynobrową miksturę w jej wilgotne włosy. Inna służąca zaczęła wmasowywać w moje włosy coś pachnącego ziołami. Moje sztywne loki już odrosły i znów sięgały ramion, a ich długość pozwalała je nawet zaplatać. Leonello, za każdym razem, gdy tylko mnie zobaczył, wciąż z uporem przedstawiał na ich temat jakieś osobliwe teorie. „Niech zgadnę – powiedział wczoraj, kiedy spotkaliśmy się na dziedzińcu. – Jesteś zakonnicą, która zbiegła z klasztoru!”. Dwa dni wcześniej wysunął równie dziwne podejrzenie: „Jesteś śpiewaczką *cantus planus*, która chciała uchodzić za chłopca, by śpiewać w męskim chórze. Z pewnością jesteś na to wystarczająco płaska”. A tydzień wcześniej: „Ha, mam! Jesteś wenecką kurtyzaną, która podnieca klientów, przebierając się za mężczyznę! Z tego, co mówią o weneccjanach...”. A ja za każdym razem

odpowiadałam: „Podróżowałam do Rzymu sama i aby zapewnić sobie bezpieczeństwo, wybrałam męskie przebranie. O czym doskonale wiesz, bo opowiadałam ci o tym święta Marta wie, ile razy!”.

Ale mały pan Leonello zawsze tylko uśmiechał się znacząco. Odkąd wywęszył, że uciekłam z Wenecji z przepisami mojego ojca, chciał poznać pozostałą część tej historii. Niech święta Marta ma mnie w opiece, jeśli się dowie, przed czym uciekałam. Wydałby mnie dla samej przyjemności przekonania się, czy ma rację. Co za potworny karzeł!

No cóż, dostałam nauczkę za to, że nie miałam się przy nim na baczności. Tam w loggii na górze sądziłam, że wcale nie jest taki zły. Może nawet sympatyczny. I wtedy mnie ukąsił, jak wąż wyczekujący w trawie swej ofiary.

Nie zamierzałam dopuścić, by się to powtórzyło. Pani Giulia może sobie lubić swojego strażnika, ale ja od tamtej pory w jego obecności nie zamierzałam się odzywać choćby słowem. Był zdecydowanie zbyt inteligentny jak na takiego karzełka i nie potrzebowałam, żeby ta jego inteligencja skrupiła się właśnie na mnie.

Wszystkie służące mościły się teraz na trawie, wykremowane i wymalowane podebranymi pani Giulii kosmetykami. Sprawiały wrażenie gotowych na solidną porcję plotek.

– Czy tak jest zazwyczaj? – wyszeptałam do

chudziutkiej Pantisilei, która klapnęła obok mnie, bezwstydnie wybierając z pojemniczka resztki maseczki swojej pani i wklepując je sobie w policzki. Nie znałam służących pani Giulii choćby w połowie tak dobrze jak swoich dziewczek kuchennych i służących podających do stołu. W ścisłej hierarchii służących pracujących w pałacu zajmowaliśmy zupełnie inne miejsce niż te wyperfumowane, emanujące kobiecością dziewczęta. Nigdy wcześniej nie widziałam jednak, by w jakimkolwiek domu szlachetnie urodzona pani dzieliła się kosmetykami i plotkowała ze swoimi służącymi.

– Nie uwierzycie, jakie zrobiło się zamieszanie w kolegium kardynalskim – paplała Giulia Farnese. – Można by sądzić, że chciały nas najechać wszystkie zastępy piekielne...

Kiedy służące zaczęły szeptać jedna przez drugą, doszłam do wniosku, że to jednak nie było zwyczajne, a w każdym razie nie poza granicami tego zamkniętego świata, który Leonello nazywał papieskim serajem. Mój ojciec służył na dworach wielu wysoko urodzonych weneckich dam i rzeczywiście niektóre z nich od czasu do czasu zwierzały się swoim służącym, ale były zdecydowanie mniej chętne do wysłuchiwania zwierzeń drugiej strony. Ich uwaga była zarezerwowana tylko dla rozmówców równych im statusem.

Ale może papieska faworyta nie miała sobie równych? Odkąd stała się najsłynniejszą kobietą

w Rzymie, nie odwiedzały jej kobiety równe jej urodzeniem i stanem. Jedynymi, którzy ją odwiedzali, byli mało znaczący panowie oraz uprzejmi aż do przesady duchowni i ich urzędnicy, a więc ludzie, którzy chcieli zaskarbić sobie łaskę papieża i którzy z pewnością nie przyprowadzali ze sobą żon i córek. Gdyby była kurtyzana, mogłaby mieć przyjaciółki wśród innych kobiet lekkich obyczajów, ale tego pokroju kobiet nigdy nie wpuszczono by do domu, w którym mieszkała nietknięta jeszcze przez mężczyznę córka papieża. Zdałam sobie sprawę, że Giulia Farnese znalazła się na ziemi niczyjej: zbyt grzeszna dla dam i zbyt cnotliwa dla nierządnic. Nic dziwnego, że zaprzyjaźniła się ze służącymi i wpadała do mojej kuchni po tarty i wskazówki dotyczące gotowania. Z jakimi innymi kobietami miałyby rozmawiać?

– A zatem biedna Francesca jest w ciąży? – pytała właśnie. Rozmowa zesłała najwyraźniej z plotek dotyczących możliwych tego świata na plotki dotyczące domowników. – Mówiłam jej, że ten strażnik to niezłe ziółko. Nie podejrzewam, żeby chciał się z nią ożenić.

– Nie. I pani Adriana ją wypędziła – dorzuciła Pantisilea, bezwstydnie grzebiąc pośród flakonów z perfumami swojej pani. – Wszystkie dobrze wiemy, że nikt nie będzie trzymał służącej, która brzuch ma już pod brodą.

– Jak ty to robisz, że twój brzuch jest nadal płaski, skoro gziszesz się na prawo i lewo...?!

– Mam swoje sposoby – odparła z wyższością Pantisilea. – Trzeba je mieć, jak się chce pobaraszkować trochę z mężczyzną, a przy tym zachować posadę!

Służące pokiwały skwapliwie głowami. Większość z nich była młoda i głupia – niech święta Marta broni, by pani Adriana zatrudniała przyuczone służące, skoro mogła znacznie taniej wziąć nieokrzesane wieśniaczki! – i ta banda chichotek mogła wcale nie wiedzieć, że od służących nie oczekuje się plotkowania ze swoją panią czy korzystania z jej perfum, ale nawet te niedoświadczone dziewczęta wiedziały, że jak służąca nie będzie pilnować, żeby jej się w brzuchu nic nie zalęgło, to straci posadę.

– Francesca brała specjalną miksturę – wyszeptęła Pia. – Dostała ją od staruchy, która przysięgała, że jeśli będzie ją piła co niedzielę, odśpiewując przy tym krótkie zaklęcie, to nie zajdzie...

– Żadna z tych mikstur nie działa, prawda?

Mimowolnie zerknęłam za siebie – i nie ja jedna. Nic tak nie pobudzało księży do ciskania gromów na wiernych jak kobiece sposoby zapobiegania ciąży.

– No cóż, nie pytajcie mnie, jak to się robi – powiedziała kochanka papieża. – Może i jestem złą kobietą, ale nie mam pojęcia, jak zapobiegać pojawianiu się kolejnych dzieci, wyjąwszy możliwie długie karmienie piersią tego, które już przyszło na świat. Tak w każdym razie twierdzi moja teściowa. – Pani Giulia wyjęła małą Laurę z koszyka i ułożyła jej pulchne

ciałko na swoich kolanach. – Oczywiście ta stara wiedźma musiała mi to powiedzieć za pierwszym razem, gdy karmiłam Laurę piersią. „Nic równie szybko nie odbiera kobiecie młodości i urody jak kolejne porody, kochanie, więc postaraj się unikać kolejnych ciąż, jeśli chcesz zachować figurę i pozycję”.

Nie mogłyśmy powstrzymać śmiechu na widok tej bezbłędnej parodii, choć niejedna z nas na wszelki wypadek znów zerknęła za siebie.

– To grzech – powiedziała zdecydowanie jedna ze służących, żegnając się. – Grzechem jest próbować zmniejszyć liczbę dzieci, które się urodzi. Trzeba przyjmować to, co Bóg zsyła!

Reszta dziewcząt była już jednak pogrążona w prowadzonych szeptem rozmowach. Może miało to jakiś związek z tymi sztywnymi, białymi maskami, które większość z nas miała na twarzach? Mogłyśmy ukryć zaciekawienie i podekscytowanie, nie ujawniać emocji, które budziło w nas to, o czym mówiłyśmy, a o czym – jak twierdzili księża – nie powinna mówić żadna kobieta.

– Jeśli potrafisz doprowadzić do tego, żeby mężczyzna nie spuścił się w tobie... – szeptała jedna z dziewcząt – no wiesz, kiedy kończy... To wtedy nie zajdziesz. Jeśli skończy gdzieś indziej...

– Ha, żeby tylko skłonienie mężczyzny do tego było takie proste!

Wszystkie zgodnie zachichotały. Ciekawe, czy pod maskami rumieniły się równie mocno jak ja.

– To wszystko ma związek z księżycem – powiedziała Pantisilea głosem nieznoszącym sprzeciwu. W końcu była naszą nadworną ladacznicą, i to najmiłą ladacznicą, jaką świat widział. – Chodzi mi o czas, kiedy jesteśmy gotowe do poczęcia. Obserwujesz księżyc i według niego planujesz schadzki...

– Są bardziej niezawodne sposoby niż ten. – Mój głos zdumiał mnie samą. Wszystkie te przyobleczone w białe maski twarze jak na komendę zwróciły się w moją stronę, a ja potarłam z zakłopotaniem policzków, który już zaczynał się łuszczyć. – Tak, są takie.

– Skąd wiesz? – zapytała obrażona Pantisilea. W końcu to ona była ladacznicą i nie mogła tolerować, by jakaś kuchenna miotła wchodziła w jej kompetencje.

– Wenecja jest miastem kurtyzan – powiedziałam. – Była taka jedna, którą nazywano La Turca, cała była lśniąco czarna. Najjaśniejsza Rzeczpospolita Wenecka nie widziała droższej kurwy... Znałam jedną z dziewczyn, którą zatrudniła jako służącą. Tego i owego się nauczyłam.

– No to zamieniamy się w słuch! – Giulia ucałowała pulchną rączkę Laury, wokół której mała owinęła sobie pasmo matczynych włosów. – Kocham moje dziecko, ale nie chcę ośmiu kolejnych. No, dalej!

Zawahałam się przez chwilę, zastanawiając się, jakiego kalibru grzechem jest udzielanie najśłynniejszej rzymiance rad dotyczących ograniczania liczebności papieskich bękartów, które mogłaby powić.

– Trzeba wziąć limonkę i przekroić ją na pół – powiedziałam w końcu. – A potem... – Pozostała część instruktażu nie wymagała już słów.

Prawie wszystkie nosy w naszym małym kółku zmarszczyły się z niedowierzaniem.

– Nie wydaje się to szczególnie wygodne – zawyrokowała w końcu Pantisilea.

– Limonki neapolitańskie – doradziłam. – Są mniejsze. Droższe, oczywiście, ale w końcu kupujemy dobre limonki do faszerowania kurczaków. Nic zatem nie stoi na przeszkodzie, aby nafaszerować samą siebie wysokiej jakości składnikami. – Wzruszyłam ponownie ramionami. – Tamta służąca powiedziała, że nie jest to sposób bezwzględnie niezawodny, ale podejrzewam, że żaden nie jest.

– Poza zachowaniem dziewictwa. – Pani Giulia uśmiechnęła się, a maska przy jej oczach popękała. Giulia Farnese nie potrafiła wygłosić dwóch zdań i się nie uśmiechnąć. – A tego chyba żadna by nie chciała.

– Ja na pewno nie – powiedziały cztery służące jednocześnie i wszystkie wybuchły niepohamowanym śmiechem.

Ja też nie. Kiedy miałam siedemnaście lat, przystojny uczeń mojego ojca zawrócił mi w głowie i odebrał mi wianek w spiżarni, za stosem skrzynek z pomarańczami. Wszystko to było bardzo pospieszne i spocone, ale po kilku razach zaczęłam widzieć w tym jakiś sens. Niestety akurat wtedy uczeń pochwalił się

nieodpowiedniemu przyjacielowi, przez którego informacja o tym doszła do uszu mojego ojca. Potem było mnóstwo krzyków i przewracania ław, nie wspominając już o rzucaniu pomarańczami. Kiedy kurz opadł, mój głupi kochanek został zwolniony i odesłany do domu, a ja dostałam tęgą burę. Ojciec wrzeszczał bez końca, jak trudno będzie teraz, gdy zostałam tak zbrukana, znaleźć mi męża. Wielokrotnie wtedy plułam sobie w brodę, że nie potrafiłam pohamować swoich bezwstydných żądz, ale teraz żałowałam już tylko tego, że nie wybrałam sobie kochanka potrafiącego zachować większą dyskrecję. Gwarna kuchnia była najgorszym pod słońcem miejscem do utrzymywania tajemnic, a odrobina przyjemnego obściskiwania się za skrzynkami z pomarańczami nie była warta zszarganej reputacji.

– A zatem... – Pani Giulia utkwiała we mnie wyciągnięty palec wskazujący, a jej ciemne oczy się rozjaśniły. – Kto czerpie korzyści z twoich doświadczeń z przepołowionymi limonkami, Carmelino? Masz ukochanego?

– Powiedz, powiedz! – podniosło się chóralne wołanie.

– Oczywiście, że nie. – Poklepałam się po zeszywniałej twarzy. – Czy już nie czas to zmyć?

– Nie zmieniaj tematu! – Giulia wyplątała z włosów piąstkę swojego dziecka i pomachała nią w moją stronę. – Poczekaj, już wiem! Leonello, prawda?

Sięgałam właśnie po ręcznik, żeby umyć twarz, i prawie go upuściłam.

– Leonello?

– Nie odrywa od ciebie wzroku. Za każdym razem, gdy wchodzisz do pokoju, wbija w ciebie spojrzenie i nie spuszcza cię z oczu, dopóki nie wyjdiesz.

Bo próbuje rozgryźć wszystkie moje sekrety, oto dlaczego.

– Nie Leonello – odpowiedziałam wreszcie i zaczęłam szorować policzki ręcznikiem. – Nie mogę znieść tego małego nędznika.

– Jest karłem. – Jedna ze służących zmarszczyła nos. – A poza tym jest zwyczajnie okrutny. Powiedział, że mam haczykowaty nos, i tak długo stroił sobie ze mnie żarty, aż wszyscy zarządcy zaczęli się śmiać. I to tylko przez to, że zapytałam, czy to prawda, iż karły się rodzą całe owłosione jak małe niedźwiadki...

– I nosi przy sobie te wszystkie noże. Bałabym się, że jak tylko zaciągnie mnie do łóżka, to mnie zadźga.

– Ale jest inteligentny – przerwała im Giulia. – I zabawny. Zawsze potrafi mnie rozśmieszyć...

– Ja z nim spałam – powiedziała Pantisilea. – Jest niski, ale jak się leży, to nie ma to tak dużego znaczenia...

– Ja bym nie mogła – stwierdziłam. Za nic na świecie nie poszłabym do łóżka z Leonellem.

– No to pewnie ten twój przystojny kuzyn, nie? – uśmiechnęła się szeroko kolejna służąca, nie dbając

o to, że pęka jej wysychająca maska. – Chodzisz po kryjomu do łóżka z mistrzem Santinim, przyznaj się...

– Oczywiście, że nie.

Gdybym tylko zdradziła cokolwiek tym zaśmiewającym się pannom, to chociaż tak wiele dzieliło je od pomywaczy i kuchcików, przed upływem tygodnia i tak wszyscy pomywacze i kuchcikowie świetnie by o wszystkim wiedzieli. Nie zamierzałam żadnej z nich wyjawiać, że w swoim pokoiku przechowywałam od niedawna słuszny zapasik neapolitańskich limonek z myślą o tych rzadkich okazjach, kiedy Marco wygrywał w kości i wracał do domu zwycięski i w nastroju na miłość. W takie noce wtulał się w moją szyję i szeptał, że jestem śliczna, nawet pomimo tego, iż jestem wysoka jak mężczyzna. Podejrzewałam, że większość mojego uroku brała się stąd, iż nie nagabywałam go o małżeństwo, jak zrobiłaby to każda inna dziewczyna na moim miejscu. Od przyjazdu do Rzymu odrzucałam jego zaloty, co było przejawem zdrowego rozsądku, ale jeśli chciałam zatrzymać Bartolomea jako swojego ucznia, potrzebowałam, by Marco wyświadczył mi przysługę... A po tym, jak Marco rzucił mnie w pościel niczym rozochocony polowaniem pies gończy, rozpromieniony po ostatniej wygranej w kości, łatwo było wybrać odpowiedni moment, by wyszeptać, jak moglibyśmy przeszmyglować nowego ucznia pod okiem pani Adriany bez żadnych opłat. Poza tym, o ile Marco

faktycznie od czasu do czasu kręcił mi się pod drzwiami, jak miał ochotę trochę pofiglować, to przynajmniej rozumiał potrzebę zachowania dyskrecji.

– Żadnego szczypania mnie w tyłek i cmokania, kiedy wszyscy nas widzą – powiedziałam stanowczo przy okazji tego pierwszego razu, kładąc swój nos na poduszce dokładnie naprzeciw nosa Marca. – Jeśli pomywaczom przyjdzie do głowy, że daję szefowi kuchni, zaczną się chichoty i żarciki za plecami. Jeśli dowiedzą się służące, to pomyślą, że trzymasz mnie tutaj tylko jako dziwkę, i za nic w świecie nie skłonię ich do żadnej pracy.

– Przysięgam milczeć jak grób – uśmiechnął się szeroko mój kuzyn.

Oczywiście gdyby sprawa się wydała, on sam nie spotkałby się wcale z potępieniem... Nieograniczony dopływ ślicznych służących był jednym z ogromnych przywilejów wiążących się ze stanowiskiem szefa kuchni. Taka była jednak kolej rzeczy i wyrzekanie nie miało sensu, więc po prostu zdzierałam koszulę przez głowę i oddawałam się przyjemności. Podejrzewam, że liczyło się to jako grzech, w każdym razie tak na pewno orzekliby wszyscy księża. Ale Marco oddał mi przysługę, biorąc mnie do siebie. Nie wspominając już o fałszowaniu ksiąg rachunkowych dla pani Adriany, by wyglądało na to, że opłata za naukę Bartolomea została wniesiona. Uznałam, że mądrze będzie sprawić mu tę odrobinę przyjemności, kiedy miał ochotę na miłość.

A poza tym był czysty i słodko pachniał, a gdy zdejmował ubranie, naprawdę przyjemnie było na niego popatrzeć.

Podejrzewałam, że to była właśnie ta grzeszna część. Chociaż jak obrabowało się kościół, to pożycie pozamałżeńskie wydawało się w nieznacznym tylko stopniu wpływać na ogólną sumę grzechów.

Jedna ze służących pisnęła z zachwytem, dostrzegłszy mój mimowolny delikatny uśmiech.

– To z mistrzem Santinim śpisz, przyznaj się, Carmelino! Nic w tym złego. Jest prawie równie przystojny jak Cezar Borgia...

– Z nim też spałam – oświadczyła Pantisilea.

– Z mistrzem Santinim czy z arcybiskupem Borgia?
– zapytałam, by odwrócić ich uwagę od niewygodnego tematu mojego domniemanego kochanka.

– Z oboma. I mówię wam, Marco Santini jest przystojny, ale arcybiskup... – Wśród służących rozległy się westchnienia. Wszystkie oszalałyśmy na punkcie przystojnego arcybiskupa Walencji. Musiałam przyznać, że nawet moje rozsądne kolana ugięły się pode mną, kiedy obdarzył mnie przelotnym uśmiechem ten jeden raz, gdy w loggii na górze przyszedłam nawrzeszczyć na Leonella. Przez moment poczułam się zazdrosna o Pantisileę, ale pani Giulia tylko potrząsnęła głową.

– Nie mam pojęcia, co wy wszystkie widzicie w Cezarze – skarciła nas. – Naprawdę, wystarczy

przystojna twarz, żebyście zupełnie straciły głowę! Jest zimny jak trup, mówię wam. Po tym, jak zobaczyłam jego reakcję na tę koszmarną sprawę...

– Jaką koszmarną sprawę? – Pytanie wyrwało mi się mimowolnie.

– Tę biedną dziewczynę, którą znaleziono zamordowaną w Borgo. – Pani Giulia się skrzywiła. – Tę, którą odkryto rozkrzyżowaną na stole, z dłońmi przybitymi nożami do blatu.

Wszystkie wzdrygnęłyśmy się i przeżegnałyśmy pospiesznie.

– Usłyszałam to bezpośrednio od Ojca Świętego... Nie mówiłabym wam tego, ale za tydzień i tak całe miasto będzie o tym gadać. – Pani Giulia mocniej przytuliła małą Laurę, jakby nagle poczuła zimny powiew. – Jego Świątobliwość kazał gwardii papieskiej pozbyć się ciała tej biednej dziewczyny, bo zrobiło się wokół tego wielkie poruszenie. Jeden z noży, którymi przebite były ręce tej dziewczyny, był zwykłym kuchennym nożem, ale ten drugi był dobrym sztyletem. Stał z Toledo, kunsztownie zdobiona rękojeść z szafirem wielkości gołębiego jaja.

Spojrzałyśmy po sobie tępo. Każda z nas wielokrotnie widziała ten nóż. Wszystkie widziałyśmy go na własne oczy, jak spoczywał na biodrze Cezara Borgii, kiedy ten miał na sobie świecki strój, porzuciwszy szaty duchownego.

Słońce stało jeszcze wysoko, lecz nagle poczułam

chłód.

– No cóż, to jeszcze o niczym nie świadczy... – powiedziała drobna Pia to, o czym wszystkie pomyślałyśmy.

– Oczywiście, że nie. – Pani Giulia gestem dłoni odsunęła niepokojącą, niewypowiedzianą myśl na dalszy plan. – Ktoś ukradł nóż, by oczernić Cezara, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Chodzi jednak o jego reakcję. Nie sądzicie, że normalny człowiek szalałby z wściekłości na wieść o tym, iż ktoś rozpowszechnia takie oszczerstwa? Ojciec Święty był bez wątpienia wściekły. Nie obchodzi go, gdy ludzie rozprowadzają obrzydliwe plotki na jego temat, ale niech tylko ktoś się ośmieli zaatakować jego dzieci... – Giulia potrząsnęła głową. – Nawet Juan się rozgniewał, przysięgając zemstę człowiekowi, który się tego dopuścił. Ale Cezar tylko się uśmiechnął i włożył sobie z powrotem sztylet za pas. A kiedy Juan zapytał go, jak zgubił sztylet... znacie ten jego sarkazm, którym uwielbia dopiekać innym... Cezar odpowiedział tylko: „Nie zgubiłem go”.

Znów spojrzałyśmy po sobie. Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach i ścisnął mnie za serce. Jakbym słyszała zimny głos młodego arcybiskupa, w którym nie sposób było doszukać się cienia emocji.

– Jaki człowiek ma za nic to, że całe miasto uważa go za mordercę? – zapytała pani Giulia. – Jego Świątobliwość chciał wszystko zatuszować... O ile w ogóle da się zatuszować coś takiego... A Cezar

powiedział tylko: „Niech sobie gadają”. Za tydzień cały Rzym będzie o tym huczał, wszyscy będą mówić o tym sztylcie, a Cezara to nie obchodzi! Jest przystojny – podsumowała Giulia – ale to wąż.

– Faktycznie, giętki i zwinny jak wąż – przyznała Pantisilea. – I powiem wam od razu, że niektóre z jego upodobań są bardzo, ale to bardzo dziwaczne. W łóżku znaczy się. Nie żeby w moim przypadku to akurat musiało być łóżko, ale żadnej z tych rzeczy nie chciałabym robić jeszcze raz, prawdę mówiąc. Nie wyobrażacie sobie, w jakich miejscach miałam siniaki...

Giulia zakryła uszy.

– Żadnych więcej szczegółów, proszę!

– A ja bym się chciała dowiedzieć coś więcej – powiedziała jedna ze służących i dziwna, niepokojąca atmosfera prysła. Nasze kółeczko zatrzęsło się od dławionych chichotów i pogawędka potoczyła się jakby nigdy nic. Pani Giulia odchyliła głowę do tyłu, jej wilgotne blond włosy zsunęły się po szerokim rondzie kapelusza, i mokrą szmatką zaczęła ścierać z twarzy łuszczącą się maskę.

– Zróbmy się na bóstwa przed wyjazdem do Viterbo, dobrze? – zaproponowała wesoło. – To idealne miejsce na romantyczne schadzki... Miłość w objęciach letniej bryzy, wśród oszałamiającego zapachu kwiatów! Pia, potrzebujesz dobrej maski z tymianku i fig, żeby wyleczyć te poparzenia słoneczne, których się nabawiłaś na rynku... Pantisilea, pasta wybielająca z mięty

i rozmarynu, jeśli naprawdę chcesz, żeby twoje zęby ślicznie kontrastowały z tą piękną oliwkową cerą... Carmelina, mleczko z ogórka i pietruszki i kompres z ciepłych ręczników to niezawodny sposób na miękką skórę...

Wydawało się, że moja pani czuje ulgę, że ktoś odwrócił jej myśli od mrocznych spraw w rodzaju sztyletów wbijanych komuś ciemną nocą. A potem podniosłam wzrok i zobaczyłam Leonella, który stał jak sparaliżowany w połowie prowadzących do ogrodu schodów. Nie uśmiechał się.

– Zajmujesz się teraz podsłuchiowaniem? – zachnęłam się, zdrapując z twarzy resztki maski. Ale on tylko spojrział na mnie bez wyrazu, a potem odwrócił się i bez słowa opuścił ogród.

Leonello

Z mroku, w którym tonęło sklepienie przejście, wychynął ku mnie zamaskowany mężczyzna.

Wyprostowałam się gwałtownie na swojej kamiennej ławie pod ścianą i zamarłam, nie śmiąc odetchnąć. Pomyślałam wbrew logice, że o wszystkim się dowiedział. Dowiedział się, że zadawałam pytania, usłyszał, że prowadzę dochodzenie w sprawie kobiety, która zmarła przybita do stołu. Mówi się, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Dokąd zatem mogła zaprowadzić mnie? Boże.

Zacząłem się zastanawiać, czy zamaskowany

mężczyzna również moje dłonie przyszpili nożami do podłogi, zanim chwyci mnie za włosy i odchyli mi głowę do tyłu, by odsłonić gardło.

Mój umysł zamarł, lecz dłonie nie. Małe ostrze wyskoczyło z mankietu prosto w dłoń, drugą ręką wyciągnąłem nóż wetknięty do cholewy buta, a tymczasem mężczyzna w czerni podszedł do mnie bezgłośnie, patrząc na mnie błyszczącymi oczami zza maski zasłaniającej połowę twarzy.

– Nie zabijaj mnie, mały lwie – powiedział Cezar Borgia. – Mój ojciec nie byłby ci za to wdzięczny.

Syn papieża odrzucił maskę na bok, odsłaniając znajomą szczupłą twarz. Nawet mimo maski powinienem był rozpoznać starannie przyciętą kasztanową brodę, węzową gibkość i wiecznie obecny za nim cień Michelotta o pustym spojrzeniu. To tylko Cezar Borgia. A jednak dłonie nie wypuściły toledańskich ostrzy. Z wysiłkiem zmusiłem się, by wsunąć nóż do cholewy, a kiedy spuściłem wzrok, zobaczyłem, że moje dłonie drżą.

– Nieroztropnie jest zbliżać się do uzbrojonego mężczyzny, mając twarz zasłoniętą maską, Wasza Ekscelencjo – powiedziałem, a mój chłodny i odległy głos odbił się dziwnym echem w sklepionej komnacie pozbawionej okien. – Wasza Eminencjo, chciałem powiedzieć. Proszę mi wybaczyć. Nie przyzwyczaiłem się jeszcze do czerwonego kapelusza.

Podobnie jak cały Rzym. Papież wyniósł do

godności kardynalskiej całą grupę swoich popleczników, chcąc zapewnić sobie dodatkowe głosy w kolegium kardynalskim. Wcześniejsi papieże również stosowali tę politykę, ale nie zdarzyło się jeszcze, by jednym z nowych kardynałów był bękart papieża, liczący sobie przy tym zaledwie osiemnaście wiosen...

A ponadto na temat tego właśnie młodziana zaczęły krążyć po mieście dziwne i przerażające plotki.

– Ja sam nie przyzwyczałem się jeszcze do czerwonego kapelusza. – Nowy kardynał Borgia podniósł wzrok na kamienne łuki oświetlone długimi świecami z pszczelego wosku rzucające dziwne, migotliwe cienie na stojące pod ścianami ławy. – A przyjechałem w masce, bo od czasu do czasu lubię się wybrać na długą przejażdżkę. Lepiej, jeśli wrogowie mojego ojca nie wiedzą, że można spotkać mnie bez obstawy.

– A co z twoimi własnymi wrogami? – wymknęło mi się mimowolnie.

Uśmiechnął się.

– Nie mam wrogów.

Oczywiście, że nie.

– Przybyłeś prosto z Rzymu, Wasza Eminencjo?

– Tak. Przywiozłem wieści dla ojca od ambasadorów Francji i Hiszpanii.

– Tyle godzin w siodle tylko po to, by przywieźć jakieś wiadomości?

– Mówiłem, że lubię długie przejażdżki.

Owszem, mówił. Cezar Borgia często wyprawiał się sam, zabierając ze sobą tylko Michelotta w roli strażnika. W przeciwieństwie do swojego brata, który nigdzie nie udawał się bez świty zbirów i pochlebców, i do młodziutkiej Lukrecji, której towarzyszyła zawsze Giulia Farnese, pani Adriana i co najmniej kilka innych chichoczących kobiet należących do papieskiego seraju. Najstarszy syn papieża wydawał się jednak preferować własne towarzystwo.

Podobnie jak ja, oczywiście. O ile jednak wiedziałem cokolwiek o preferujących samotność mężczyznach – wszak byłem jednym z nich – to lubili dotrzymywać sobie sami towarzystwa głównie dlatego, by uniknąć konieczności wyjaśniania innym swoich działań.

Co robisz, Wasza Eminencjo, w trakcie tych wszystkich spędzanych w samotności godzin?

Tymczasem Cezar Borgia ściągnął rękawiczki do konnej jazdy, rzucił je na ławę pod ścianą i odprawił Michelotta.

– Czy Jego Świątobliwość jest w środku?

– Z panią Julią. Narzekał, że jest zbyt gorąco, ale przekonała go, by zażył kąpieli dla zdrowia i poprawy nastroju. Może im to... chwilę zająć.

Po drugiej stronie drzwi moja pani zaśmiała się cicho, po czym dobiegł nas szmer, plusk i bulgotanie wody. Gorące źródła Viterbo były słynne. Kąpali się tutaj starożytni Rzymianie, dowcipkując swoją

zdyscyplinowaną, dźwięczną łaciną, a nie naszym leniwym, ordynarnym włoskim, i nasiąkając pod gołym niebem zbawczymi wodami siarkowymi. Papież Mikołaj V polecił zbudować potężne termy i teraz zamiast rozstłonecznionego nieba i zwieszających się nad głową gałęzi mieliśmy blankowaną stertę marmuru i kamienia. Amatorzy kąpieli schodzili po niskich kamiennych stopniach i przemykali pod sklepieniem korytarzy w ręcznikach, by dotrzeć do samych upiornie gorących źródeł. Giulia Farnese z szelmowskim uśmiechem przepchnęła swojego papieskiego kochanka pod łukiem drzwi i jednym machnięciem białej rączki odesłała całą jego świtę, po czym drzwi zamknęły się przy akompaniamencie jej pisku, kiedy to Ojciec Święty ściągnął z siebie koszulę i odsłaniając smagłą, potężną pierś, osobiście wrzucił dziewczynę do bulgoczącego basenu. Po odjeździe księcia Gandii doszło między nimi do kłótni, ale teraz wydawali się już pogodzeni.

– Gdzie reszta? – zapytał Cezar Borgia, rozglądając się po sklepionym przedsionku. – Świta Ojca Świętego?

Pod ścianami leżały dublety i koszule, porzucone buty i pasy, stopy śnieżnobiałych ręczników, a do tego szachownica i dzban wina. Siedziałem sam na złożonym płaszczu pod srebrnym lichtarzem, mając na kolanie książkę spoczywającą grzbietem do góry.

– Zabrali się do innego zespołu źródeł, bo Jego Świątobliwość wyraźnie zaznaczył, że tutaj życzy sobie

zostać sam.

Leniwie przesunąłem pionek na stojącej obok mnie szachownicy. Ostatni gracz porzucił rozgrywkę w połowie. Czarne wygrywały w ośmiu ruchach.

– A ty nie masz ochoty na kąpiel, panie Leonello? – Cezar Borgia niedbałym wzruszeniem ramion zrzucił płaszcz, który opadł na podłogę obok maski.

– Swoją pierwszą ofiarę zabiłem w łaźni parowej – odparłem ku własnemu zaskoczeniu. – Od tej pory jakoś mnie to nie pociąga.

– Łaźnia czy zabijanie?

– Jedno i drugie.

Usiadł na ławie pod ścianą obok mnie. Przesunąłem kolejny pionek na szachownicy, a Cezar przyjrzał się ustawieniu bierok.

– Czarne wygrywają w dziewięciu ruchach.

– W ośmiu.

– Zagrajmy.

Nie była to prośba.

– Z przyjemnością, Wasza Eminencjo.

Basowy śmiech papieża zadudnił zza zamkniętych drzwi prowadzących do pokoi kąpielowych, a ja usiadłem pod nimi z synem papieża, który zręcznie rozstawił bierki na planszy.

– Czarne czy białe? – zapytałem i z niewytłumaczalnych powodów nagle zaschło mi w ustach.

W ciemnym przedsionku zaśniły zęby Cezara.

– Czarne.

Obróciłem szachownicę. Rzeźbione w kości słoniowej bierki stały w szeregach naprzeciw pionów i figur z hebanu... ale ja widziałem tylko krew wzbierającą w dołeczku na policzku słodkiej martwej dziewczyny... i czarną maskę leżącą na kamiennej posadzce... i sztylet z szafirem osadzonym w rękojeści.

Wziąłem głęboki wdech i przesunąłem pierwszy pion.

– No dalej – powiedziałem. – Pytaj, panie.

– Pytać o co?

– Czy naprawdę zabiłem swoją pierwszą ofiarę w łaźni parowej.

Cezar Borgia był inteligentny. Jeśli miałem poprowadzić tę rozmowę tak, jak chciałem, musiałem wzbudzić w nim zaniepokojenie.

– Dobrze, panie Leonello. – Cezar Borgia przesunął swój czarny pion na spotkanie mojemu. – Zabiłeś?

– Tak – powiedziałem. – Miałem siedemnaście lat. Poszedł za mną po tym, jak zakończyliśmy grę w karty. Przegrał do mnie swoje ostatnie skudy i był wściekły.

– Posłużyłeś się nożem?

Kolejny czarny pion przesunął się naprzód.

– Nieudolnie... Ten człowiek poślizgnął się na mokrej podłodze i znalazł na tyle nisko, że mogłem uderzyć. – Posłałem skoczka na pole szachowej bitwy. – Dźgałem go, dopóki nie zaczął przypominać kawałka

sera.

– Kiepsko – powiedział Cezar. – Tylko czysto wykonane zabójstwo zasługuje na uznanie.

– Czy nie zasługuje na uznanie każde zabójstwo, z którego człowiek wychodzi cały i zdrowy?

– Nie. Zabijanie to umiejętność jak każda inna. Należy ją ćwiczyć do momentu, w którym przychodzi łatwo i naturalnie.

– A kim była twoja pierwsza ofiara, Wasza Eminencjo?

– Nie walczę nożem, lecz krzyżem.

Cezar przesunął gońca w moją stronę, delikatnie pogładziwszy wieńczącą figurę mitrę biskupią.

– A jednak zabiłeś. – Nie odrywałem wzroku od planszy, pilnując, by nie spojrzeć na leżącą na podłodze maskę. Ale widziałem ją, o tak, widziałem ją bardzo wyraźnie. – Znam to spojrzenie.

Patrzył na mnie przez chwilę ponad szachownicą, po czym wzruszył ramionami.

– Rzezimieszek. Chciał mnie obrabować.

– Czy również posłużyłeś się nożem?

– Nieudolnie. – Ponowny błysk zębów. – Poderżnąłem mu gardło dopiero za czwartym razem. Ale miałem zaledwie szesnaście lat.

– Młody.

– My, Borgiowie, szybko dojrzewamy. – Wysunął naprzód królową. – Musimy. Wszyscy młodo umieramy.

– Twój ojciec nie. – Jakby w odpowiedzi zza

zamkniętych drzwi dobiegł nas kolejny wybuch tubalnego śmiechu, któremu towarzyszył gardłowy pomruk Giulii. Sądząc po odgłosach, Rodrigo Borgia aż kipiał życiową energią.

– Wyjątek od rodzinnej reguły. – Cezar zbył tę uwagę lekceważąco. – Mój starszy brat, Pedro Luis, zmarł młodo. Podobnie jak jedna z moich przyrodnic sióstr mieszkająca w Hiszpanii. – Wydawał się uderzająco niewzruszony ich losem. – Ja zapewne będę następny.

– Nie wydaje się, by cię to niepokoiło.

– Lepiej zginąć młodo w siodle niż umrzeć na starość we własnym łóżku.

– Może. – Dotknąłem palcem damy, lecz zamiast niej przesunąłem gońca. – Powiedz mi, dlaczego zabiłeś tego swojego rzezimieszka. Przecież mogłeś go po prostu przegonić.

– Rozwścieczył mnie. Poza tym chciałem wiedzieć, jak to jest.

– Zabijać?

– Tak. Wiedziałem, że będę musiał to zrobić prędzej czy później. I pomyślałem: dlaczego nie?

Cezar zbił mi piona.

Ja zbiłem mu skoczka.

– Pamiętasz jego twarz?

– Nie. A czy ty pamiętasz swojego pijaka z łaźni?

– Nie pamiętam twarzy mężczyzn, których zabiłem.

– Prawda. Gwizdnąłem w zamyśleniu, bębniąc palcami

po rzeźbionej koronie mojej białej damy. – Jedyłą, którą zapamiętałem, była twarz kobiety. – Nieprawda.

– Kobiety?

– Dziwki – skłamałem, z wahaniem dodając kolejne szczegóły, jakby te złe wspomnienia wytręcały mnie z równowagi. – Już po wszystkim próbowała mnie obrabować. Wszyscy próbują obrabować karła. Zacząłem z nią walczyć, wyciągnęła mały nóż. Wyrwałem go jej... – Wzruszyłem ramionami. – Kobiety umierają inaczej niż mężczyźni.

Czarna wieża wysunęła się naprzód, zbijając mojego skoczka.

– Czyżby?

Nie miałem pojęcia i nigdy nie zamierzałem sprawdzać.

– Naprawdę – skłamałem i zaśmiałem się gorzko. – Suka zasłużyła na swój los, ale nie mogę zapomnieć jej twarzy. Czy zabiłeś kiedyś kobietę, Wasza Eminencjo?

Pytanie zawisło pod sklepieniem komnaty i opadło w ciszy jak kropla spadająca na lustro wody i marszcząca je falą okręgów. Wszystko zastygło na niemal nieuchwytną chwilę, a potem...

– Uważaj – powiedział Cezar Borgia uprzejmie, przesuwając swojego skoczka. – Twój król jest w opałach.

Odsunąłem króla w bezpieczne miejsce.

– Przyjmuję zatem, że odpowiedź brzmi: nie.

– Przyjmuj, co chcesz, małe lwiątko. Powiem ci tak:

kobiety niewarte są trudu zabijania.

– Niektórzy mogliby się nie zgodzić. Czy znalazłeś człowieka, który przybił te dziwki do stołów?

– Jak długo tłuszcza siedzi cicho i nie szemra o diabelskich ofiarach, kogo to obchodzi, czy go znajdziemy?

– Myślałem, że płoniesz chęcią odnalezienia go, Eminencjo. Choćby po to, by odkryć, jak doszło do tego, że przy ostatniej dziewczynie posłużył się twoim sztyletem.

Obracałem w myślach tę informację, odkąd podsłuchiłem przypadkiem rozmowę Giulii Farnese i jej służących. Początkowo sądziłem, że to tylko złośliwe pomówienie, nieróżniące się od innych złośliwych pomówień rozpowszechnianych zazwyczaj na temat wielkich tego świata. Ale plotka rozniosła się po mieście lotem błyskawicy i zacząłem się zastanawiać, czy nie ma w niej prawdy.

– Ach. – Cezar wydawał się rozbawiony, przesuwając gońca o jedno pole. – Sądzisz, że to zrobiłem?

– Nie. – Poświęciłem piona. – Nie byłbyś tak głupi, by zostawić na miejscu zbrodni sztylet naprowadzający na twój trop.

– Może byłem nie tyle głupi, co arogancki? – zasugerował. – Może chciałem zobaczyć, jak daleko mogę się posunąć, unikając mimo wszystko kary?

– Ciekawa koncepcja. – Usta miałem wyschnięte jak

papier. – Czy pierwsze trzy dziewczyny nie wzbudziły wystarczającego zainteresowania?

– Trzy? – Rzucił puste spojrzenie. – Sądziłem, że były tylko dwie.

– Trzy.

Pierwsza była Anna. Wyglądało na to, że rzeczywiście była pierwsza, z czterokrotnie niezdarnie poderżniętym gardłem. Nic mi nie było wiadomo, żeby jakieś dziewczyny zostały przybite do stołu przed nią. Po niej kolejna dziewczyna, o której nawet nie wiedziałem, zabita kilka miesięcy później. Potem znajoma Carmeliny sprzedająca owoce na targu i w końcu ta dziewczyna z Borgo. I każda kolejna dziewczyna – zgodnie z informacjami, które wydobyłem w kilku poufnych rozmowach ze strażników Borgiów, leniwych konstabli miejskich i właścicieli oberży, w których znaleziono ciała – zabita była zręczniejsz niż jej poprzedniczka. Cięcia, którymi podrzynano im gardła, były coraz czystsze.

„Zabijanie to umiejętność jak każda inna” – rozbrzmiały mi w głowie ciche słowa Cezara. „Należy ją ćwiczyć do momentu, w którym przychodzi łatwo i naturalnie”.

– Z drugiej strony – powiedział Cezar Borgia pogodnie, przyglądając się uważnie szachownicy – być może mój sztylet został skradziony przez jakichś wrogów mojego ojca i wykorzystany do podburzenia ludu przeciwko mnie. Kardynał della Rovere bez

drgnienia powieki poświęciłby życie niejednej dziwki, gdyby w ten sposób mógł uniemożliwić mi otrzymanie godności kardynała.

– To istotnie wydaje się bardziej prawdopodobne – zgodziłem się.

To rzeczywiście było bardziej prawdopodobne, więc dlaczego w tym zimnym, kamiennym pomieszczeniu pocilem się tak obficie?

– Tak czy inaczej, dlaczego ktokolwiek miałby się tym przejmować? – Cezar wzruszył ramionami. – To były tylko dziwki.

– Tylko dziwki – powtórzyłem jak echo. – W rzeczy samej, jakie to może mieć znaczenie?

Cezar Borgia utkwiał we mnie spojrzenie swoich czarnych oczu. Odwzajemniłem je i się uśmiechnąłem.

– Nie jesteś wystarczająco uważny, lewku – powiedział i gestem wypielęgowanej dłoni wskazał szachownicę. – Obawiam się, że wygrywam w sześciu ruchach.

– Istotnie. – Przewróciłem swojego króla pstryknięciem palców. – Jeszcze jedna partia, Wasza Eminencjo? Może zechcesz się ze mną podzielić wieściami od ambasadorów Francji i Hiszpanii...

Kiedy rozstawiałem ponownie bierki, rozmawialiśmy już swobodnie, nie podnosząc głosu. Groźby ze strony Francji. Najwyraźniej ich król zagroził inwazją, by poprzeć zbrojnie swoje roszczenia do tronu Królestwa Neapolu.

– Do tego niewesołe wieści z Hiszpanii... Juan przybył do Barcelony i udało mu się już wszystkich obrazić. Włóczy się po mieście, rżnie dziwki, wdaje się w bójki i zabija bezpańskie psy. Mogę sobie tylko wyobrazić kipiący wściekłością list, jaki Ojciec Święty do niego napisze.

– Ja również.

Drugą partię wygrałem. Cezar Borgia wstał i przeciągnął się lekko jak kot.

– Jesteś dobrym graczem, panie Leonello. Walczysz jak prawdziwy Rzymianin: okrążasz obrońców przeciwnika i przypuszczasz nagły, precyzyjnie wymierzony atak na tyłach.

– Ty walczysz jak Hiszpan, Wasza Eminencjo. Nigdy się nie cofasz. Nigdy.

Uśmiechnął się. Odpowiedziałem uśmiechem.

– Wygląda na to, że La Bella nie wypuści mojego ojca z objęć przed zmrokiem – zauważył. – Jak to możliwe, że jeszcze go nie zamordowała?

Nie mówiąc już nic więcej, świeżo upieczony kardynał Borgia wyszedł wolnym krokiem z przedsionka. W jego dłoni kołysała się swobodnie czarna maska zakrywająca połowę twarzy.

Podniosłem z szachownicy rzeźbionego w kości słoniowej gońca i postawiłem go na dłoni. I zacząłem się zastanawiać w skupionym podnieceniu łowcy, które poczułem po raz pierwszy, gdy ścigałem zabójców Anny, czy w końcu znalazłem swojego trzeciego

mordercę.

Człowieka w masce.

Rozdział 11

Za małą iskrą wielki płomień bucha.

DANTE ALIGHIERI

Giulia

Widzisz? – Przycisnęłam plecy do pleców Lukrecji i podniosłam rękę, by porównać, dokąd sięgają nasze głowy. – Jesteś wyższa ode mnie. Urośłaś od ślubu.

– Naprawdę? – Szczupła twarzyczka rozjaśniła się, kiedy córka mojego papieża popatrzyła po sobie. – Tak mi się wydawało, że moje sukienki są jakby krótsze...

– Obszyjemy dół każdej z nich pasem haftowanego materiału – obiecałam. – Zyskasz w ten sposób kilka centymetrów, które przykryją pantofle, a do tego poczucie, że wszystkie suknie są jak nowe. – Odwróciłam się do dwóch krawcowych, które krzątały się po komnacie z próbkami tkanin i ustami pełnymi szpilek. – Dopilnujcie też, żeby odpowiednio dopasować jej staniki! Dodatkowe sznurówki i zaszewki pod biustem... Rośniesz nie tylko w górę – powiedziałam Lukrecji.

Spuściła wzrok na swoje pączkujące piersi, które pojawiły się nagle kilka miesięcy temu i zostały powitane z zachwytem.

– Nie rosną wystarczająco szybko! – rzuciła oskarżycielsko pod ich adresem, ale westchnęła radośnie, kiedy krawcowe podeszły z przewieszonymi

przez ramiona próbkami wzorzystego aksamitu i zaczęły je po kolei jej pokazywać. Lubiłam swoją komnatę najbardziej właśnie wówczas, gdy panował w niej taki uroczy, przytulny bałagan: suknie rozrzucone tu i ówdzie, szwaczki i służące jak rozświergotane ptaszki przebierające w stosach tkanin, rozmarzona Lukrecja wirująca na samym środku i oglądająca się ze wszystkich stron i oczywiście psioczący na coś Leonello.

– Nie jestem wieszakiem na ubrania – poskarżył się mój strażnik z kąta, w którym zazwyczaj przesiadywał, zrzucając jakiś zabłąkany rękaw ze swoich butów opartych o taboret. – Czy mogłybyście, drogie panie, przestać mnie obwieszać fatałaskami? Boże.

Jego ponure spojrzenia nie mogły jednak konkurować z całą tą bieraniną, igłami, szpilkami i jedwabiami, usłyszałam więc tylko wymamrotane cicho przekleństwo i Leonello wrócił do swojej książki.

Na początku listopada wszyscy wróciliśmy z Viterbo do Rzymu. Rzymu, w którym wreszcie zapanowały jesienne chłody, kiedy więc wjeżdżałam kłusem przez bramy miasta otoczona pierścieniem strażników, wiatr targał grzywę mojej ślicznej jabłkowej klaczy. Nawet w pałacu było teraz chłodno mimo gorących węgli tłących się w piecykach i ciężkich okiennic zakrywających wszystkie okna. Moje zwiewne koszulki nocne zastąpiła ciepła, podbita sobolami symara. A może wydawało mi się, że jest tak zimno

tylko dlatego, że w moim wielkim łóżku było tak pusto? Mój papież wysłał nas do Rzymu, ale sam wyjechał, kipiąc energią, by załatwić jakieś papieskie sprawy w Pitigliano. Grzałam się jednak w ciepłe jego listów. Gdy dałam za wygraną w kwestii nazwiska Laury, Rodrigo zrobił się znów słodki i namiętny, na swój sposób przepraszając za kłótnię, którą wywołał ten temat. Nie żeby kiedykolwiek rzeczywiście mnie przeprosił, ale mężczyźni posiadający władzę nigdy za nic nie przepraszają, prawda?

– Naprawdę jestem wyższa niż ty! – Lukrecja uśmiechnęła się do mnie, kiedy krawcowe zaczęły mierzyć rąbek jej sukni. – Myślisz, że będę wyższa niż Sancha Aragońska?

– Ambasador Neapolu opisał ją jako dziewczynę drobnej budowy.

Lukrecja i ja chłonęłyśmy wszystkie informacje, które udawało nam się zdobyć na temat Sanchy Aragońskiej, szesnastoletniej nieślubnej córki przyszłego króla Neapolu i przyszłej panny młodej, która miała stanąć na ślubnym kobiercu z małym Jofrém Borgią, zgodnie z planem mojego papieża, wiążąc poprzez małżeństwo Neapol z państwem kościelnym. Planowany ślub miał zostać ogłoszony dopiero podczas świąt Bożego Narodzenia, ale i tak wszyscy już o tym mówili.

– Mówią też, że jest ładna... – Lukrecja spojrzała niechętnie na swój biust. – I zmysłowo zaokrąglona!

– Ale ciemna. – Objęłam Lukrecję w talii i uniosłam małe, rzeźbione lusterko tak, by odbijały się w nim twarze nas obu. – Zatem nie zdoła przyćmić nas, dwóch blond piękności. Na ślub Jofrégo musisz mieć nową sukienkę... Nowe rąbki starych sukni świetnie się sprawdzają na co dzień, ale na weselu Sanchy i Jofrégo będą obecni wszyscy, którzy coś znaczą. Myślę, że dobrym wyborem będzie bladozielony jedwab i rękawy ze srebrnego brokatu. Będziesz wyglądała jak syrena...

Widoczna w lusterku twarzyczka Lukrecji rozjaśniła się, ale tylko na chwilę.

– Czy myślisz, że ojciec pozwoli mojemu panu Sforzy towarzyszyć mi na weselu? – zapytała nieśmiało.

– Może po prostu zapytaj – rzuciłam. – A tymczasem sprawdźmy, jak będzie wyglądać ta suknia z żółtymi rękawami...

– Pytałam! On tylko powtarza, że mój mąż powinien się trzymać ode mnie z daleka, dopóki nie dorosnę. Ale ja już dorosłam! Mam czternaście lat i jestem wyższa od ciebie!

Służące popatrzyły po sobie, więc je ofuknęłam. Lukrecja buntowniczo otarła oczy grzbietem dłoni. Leonello przewrócił stronę, jakby nagle w swoim kącie ogłuchł. Naciągnęłam do końca żółty jedwabny rękaw na ramię Lukrecji.

– Ojcom zazwyczaj z trudem przychodzi dostrzeżenie, że ich córki stały się kobietami – wymamrotałam uspokajająco.

– Jestem hrabiną Pesaro, a nigdy nie przebywałam z moim mężem pod jednym dachem. Nie wspominając już o łóżku! – Lukrecja wyduła dolną wargę. – Jestem kobietą zamężną, a nadal mieszkam w domu swojego ojca, ucząc się francuskich czasowników, greckich przekładów i... i pieśni Machauta. Wszyscy się ze mnie śmieją, jestem tego pewna. Myślą, że pan Sforza mnie nie chce... Myślą, że nie chce, żebym mieszkała z nim w Pesaro, bo jestem brzydka albo nieślubna, albo...

– Bzdura. – Zaczęłam wiązać jedwabne sznurówki jej rękawa i wyciągać bufki cieniutkiej koszulki przez modne rozcięcia. – Widziałam go na weselu. Na twój widok aż wybałuszył oczy.

– Caterina Gonzaga powiedziała, że patrzył na ciebie!

– Caterina Gonzaga to głupia gęś. – Uniosłam czubkiem palca delikatny podbródek Lukrecji i popatrzyłam jej w oczy. – Za kilka tygodni pan Sforza przybywa do nas z wizytą. Wtedy się przekonasz. Będzie zbyt zajęty gapieniem się na ciebie przez stół, by w ogóle dostrzec moją obecność.

W cichości ducha uznałam, że gdyby rzeczywiście się na mnie gapił, zakrzuszę się w odpowiednim momencie i oddalę do swej komnaty, by pozwolić świeżo poślubionym małżonkom przeprowadzić przy kolacji poufną rozmowę.

– Podczas tej wizyty nie będzie mu wolno zostać na noc, prawda? – Lukrecja zaczęła bawić się mankietem. –

Ze mną.

– Nie – przyznałam, biorąc drugi żółty rękaw i podchodząc do jej drugiej ręki.

W tej kwestii otrzymałam już bardzo wyraźne polecenia od Jego Świątobliwości. „Trzymaj tego łajdaka Sforzę z daleka od łóżka mojej córki” – napisał do mnie z Pitigliano. „Chcę, by to małżeństwo jeszcze przez jakiś czas pozostało nieskonsumowane. Nie obchodzi mnie, jak bardzo się do niej pali. Z całą pewnością może jeszcze poczekać”.

– Czy nie mogłabyś porozmawiać z ojcem na ten temat? – poprosiła żałośnie Lukrecja. – Żeby pozwolił mi zostać prawdziwą żoną...

– Porozmawiam – obiecałam, ale nie żywiłam wielkich nadziei, że Rodrigo mnie posłucha. Czasem mój papieski byk był uparty jak wół.

Z drugiej strony równie uparta była jego córka. Wydeła dolną wargę, jeszcze raz przyglądając się sobie uważnie w lusterku.

– Chcę mieć nową sukienkę również na odwiedziny mojego męża – zdecydowała. – Coś zalotnego... Coś, w czym będę wyglądała dojrzałej. Sprawię, że oszaleje na moim punkcie do tego stopnia, by następnego ranka porwać mnie na swoim koniu do Pesaro niezależnie od woli mojego ojca.

– Gdyby to zrobił, bardzo szybko ktoś z papieskiej gwardii pchnąłby go nożem – powiedział Leonello z za swojej książki.

– A zatem umrze, a ja wstąpię do zakonu – oznajmiła Lukrecja ponuro. – Wolę zostać zakonnica niż znosić drwiny Sanchy Aragońskiej z powodu bycia nietkniętą żoną.

– To ona będzie nietkniętą żoną – powiedziałam, rzucając za plecami Lukrecji ostrzegawcze spojrzenie mojemu strażnikowi. – Wszak poślubi Jofrégo, a on jest kochanym chłopcem, ale na razie tylko dzieckiem, i wątpię, by podczas nocy poślubnej udało mu się wykazać męskością. A jeśli ona również pozostanie dziewicą, nie ośmieli się drwić z ciebie z jakiegokolwiek powodu.

– Naprawdę?

Lukrecja, by na mnie spojrzeć, przechyliła na bok blond główkę osadzoną na smukłej szyi, będącej jej największą ozdobą. Rysy miała drobne, oczy nie błękitne, lecz szarobłękitne, a na jej skórze co chwila wyskakiwały pryszczki, ale łabędzia szyja każdemu skinieniu głowy przydawała niezwyklego wdzięku.

– Naprawdę – upewniłam ją. – A jeśli dla pana Sforzy chcesz wyglądać dojrzałej i nieco zalotnie, to myślę, że uda nam się coś z tym zrobić. Popatrzmy... – Zaczęłam przebierać w próbkach tkanin. – Ciemnozielony jedwab... Nada twojej cerze zbyt ziemisty odcień. Żółty aksamit... Nie, za bardzo zbliżony do koloru twoich włosów. Różowy, wzorzysty brokat... Zdecydowanie nie, zbyt dziewczęcy... – Miałam teraz pod ręką cały zespół krawcowych, które

zajmowały się wyłącznie strojeniem mnie, i taką ilość próbek tkanin i wzorów haftów, która wystarczyłaby na sto sukien. Szanowane rzymianki nie chciałyby zostać przyłapano na rozmowie ze mną, nie chciały nawet chodzić tą samą stroną ulicy co ja, ale bez wątpienia zwracały uwagę na wszystko, co na siebie zakładałam. A skoro już miałam ustanawiać nowe trendy w modzie, to nic nie stało na przeszkodzie, by robić to dobrze, więc projekt każdej nowej sukienki miałam starannie zawczasu przemyślany; minęły już czasy, gdy po prostu narzucałam na siebie cokolwiek ładnego. Całą tę świeżo zgromadzoną wiedzę mogłam teraz wykorzystać ku pożytkowi Lukrecji. – Musimy opracować twój nowy wizerunek – obwieściłam. – Coś, co pokaże, że jesteś już dorosła. Jesteś zbyt młoda na czerń, ale może głęboki granat. – Narzuciłam jej na ramiona wytworny, delikatny francuski jedwab. – Tak, to jest to.

– Wycięcie aż dotąd? – Lukrecja obciągnęła materiał na pączkującym biuście.

– Powiedzmy: dotąd. – Z powrotem podciągnęłam jej stanik do góry. – Ale z czarną francuską koronką na brzegu. To już będzie naprawdę zalotne. Mam nadzieję, że ta francuska inwazja nie dojdzie do skutku. Wtedy już na pewno nie dostaniemy więcej tej koronki...

– Niech Bóg broni, byście panie zostały bez koronki – powiedział Leonello z za swojej książki, ale nie zwróciłyśmy na niego uwagi.

Posadziłam Lukrecję i przez godzinę po wyjściu

krawcowych rozpieszczałam ją, wyskubując jej brwi w idealne łuki i pokazując, jak odrobina dyskretnie zaaplikowanego pudru pozwoli jej zamaskować czerwone krostki, które czasem pojawiały się na jej skórze.

– Myślę, że jeśli ubierzesz się w seledynową suknię na wesele Jofrégo, to ja wybiorę morską zieleń. Nikt nie będzie mógł się równać z dwiema oszałamiającymi urodą blondynkami ubranymi w dopasowane kolorystycznie stroje!

– Tak naprawdę wcale nie chcę, by Sancha wyglądała brzydko – wyznała Lukrecja, której powrócił zwykły, pogodny nastrój. – Jofré zasługuje na śliczną żonę.

– Oczywiście, że tak – zgodziłam się. – Ale nie będzie ładniejsza niż ty. To po prostu niemożliwe. No to teraz zrób rybkę, wciągnij policzki do środka, o właśnie, a ja ci pokażę, jak nałożyć róż, by kości policzkowe wydawały się bardziej wydatne. Tylko odrobinę, uważaj, nie chcemy, by Jego Świątobliwość cokolwiek zauważył. Ekskomunikuje mnie za to, że wymalowałam jego córkę jak kurtyzanę. Nie ma sensu wyjaśnianie mężczyźnie, że gładka, jasna skóra taka jak moja i twoja potrzebuje odrobiny koloru. Mężczyźni zupełnie się nie znają na takich sprawach, a o duchownych to już w ogóle szkoda mówić...

– Byłaś dla niej bardzo miła – pochwalił mnie Leonello, kiedy Lukrecja w końcu wybiegła

w podskokach, zaróżowiona i promieniejąca, aby poćwiczyć kroki taneczne, bo zwróciłam jej uwagę, że nawet ojciec nie zabroni jej zatańczyć z panem Sforzą.

– Tak sądzisz? – Stanowczym gestem wyprosiłam pozostałe służące z komnaty i założyłam ręce za wysokie rzeźbione oparcie krzesła. Nagle poczułam się bardzo zmęczona tą kobiecą krzątaniną. – Jakoś mi się nie wydaje.

– To dziecko spędziło całe swoje życie w otoczeniu dominujących hiszpańskich braci i jeszcze bardziej dominującego hiszpańskiego ojca. Nie wspominając już o zgorzkniałej, starej suce, która jest jej matką, a która jest chyba jeszcze gorsza, niż gdyby nie było jej w ogóle. – Leonello podniósł wzrok na mój wymalowany sufit. – Ani siostry, ani żadnej innej przyjaznej kobiety z wyjątkiem pani Adriany, która zawsze bierze stronę jej ojca. Ale teraz ma ciebie, najbardziej olśniewającą kobietę w Rzymie, a przecież ty mogłabyś ją odepchnąć jak natrętnego szczeniaka. A tego nie robisz. Przeciwnie, pomagasz jej stać się kobietą.

– Ale nie prawdziwą kobietą. – Oparłam policzek na skrzyżowanych rękach. – Nie mogę jej pomóc stać się prawdziwą żoną, którą chciałaby być. Ale w końcu ja również nie jestem prawdziwą żoną, więc jak mogłabym jej w tym pomóc?

– Błagać Jego Świątobliwość w wyjątkowo uroczy sposób na tych swoich kolankach, co mają podobno

takie śliczne dołeczki?

– Skąd wiesz, że mam dołeczki w kolanach? – zapytałam, odrywając się na chwilę od głównego tematu.

– Podśluchałem, jak jeden ze strażników zapłacił twojej służącej Taddei pięć skudów tylko za to, by usłyszeć, jak wyglądasz w kąpieli.

– Już ja powiem Taddei do słuchu – fuknęłam, ale bez przekonania. Moje służące mnie lubiły, plotkowały ze mną, a nawet zwierzały mi się, ale wszystkie bezwstydnie mnie wykorzystywały: podkładały mi kosmetyki, kradły z mojej garderoby apaszki, buty i inne drobiazgi, których braku, miały nadzieję, nie zauważę, a nawet sprzedawały pukle moich włosów na miłosne amulety. Zazwyczaj udawałam, że tego nie zauważam. Jak mogłam je obwiniać za to, że próbują sobie dorobić, gdy nadarza się ku temu okazja? Urodziłam się w dobrej rodzinie i wiodłam beztrudne życie, ale moje służące mogły liczyć tylko na swoje wynagrodzenie (a moja teściowa wypłacała najlichsze wynagrodzenie w całym Rzymie). Jeśli Pantisilea chciała wziąć sobie fiołkę perfum, by uwieść kolejnego kochanka, albo jeśli Taddea chciała zarobić parę groszy, opisując, jak wyglądam w kąpieli, to proszę bardzo. – Z papieżem też porozmawiam – dodałam. – Wstawię się za Lukrecją, chociaż to nic nie da. On już podjął decyzję. Nie chce, by to małżeństwo zostało skonsumowane.

– Najwyraźniej. – Leonello zaznaczył sobie miejsce

w książce i odłożył ją na bok. – Dopóki Lukrecja jest dziewicą, papież może unieważnić to małżeństwo na rzecz lepszego mariażu.

– Dopóki Lukrecja jest dziewicą, pozostaje córką Jego Świątobliwości, a nie żoną Sforzy.

– A więc ta twoja śliczna główka przydaje się do czegoś poza hodowaniem bujnych splotów.

– Jesteś koszmarny – skwitowałam, ale się roześmiałam. – Wstań, Leonello.

– Dlaczego?

– Ponieważ jestem panią tego domu i wydałam ci polecenie.

– Płacą mi za to, żeby cię chronić, a nie słuchać.

– Będę się dąsać – ostrzegłam. – A nie chcesz widzieć, jak się dąsam. Ojciec Święty mówi, że tymi swoimi dąsami mogłabym rozwalić bramy miasta.

– Kimże jestem, by sprzeciwiać się Ojcu Świętemu.
– Leonello wstał, a ja podniosłam sznurek do odmierzania tkanin, który zostawiła jedna z krawcowych.

– Rozłóż ręce – poleciłam i przyłożyłam sznurek, by zmierzyć rozpiętość jego ramion.

– Czy mierzy się mnie, by odpowiednio dopasować narzędzia tortur? – zapytał, gdy mierzyłam jego nadgarstki, obwód klatki piersiowej i długość pleców. – Zapewniam cię, że nie jest to konieczne. Jeśli chcesz mnie ukarać za moje grubiaństwo, wystarczy, że uniemożliwisz mi dostęp do biblioteki.

– Obiecałam ci nową liberię – przerwałam mu. – Wiem, że odmawiasz noszenia czerwono-żółtego munduru noszonego przez pozostałych strażników, i nie mam do ciebie o to pretensji, bo w czerwonym rzeczywiście nie jest ci do twarzy. Ale w tych zszarganych butach i niedopasowanym dublecie przynosisz mi wstyd. Wyrobiłam sobie w Rzymie opinię osoby wyznaczającej kanony mody i nie pozwolę, by jakiś niechlujny strażnik mi ją zepsuł.

– Boże, nikogo nie obchodzi, co ja noszę. Ubranie na pewno nie jest pierwszą rzeczą, na którą się zwraca uwagę, gdy akurat o mnie chodzi.

– Bzdura. Mógłbyś się świetnie prezentować, gdybyś tylko chciał. Wszystkie panny by mdlały. – Pomyślałam o Carmelinie, która nie wiedziała, gdzie oczy podziać, kiedy zaczęłam ją nagabywać o Leonella. – Jest coś, co mógłbyś dla mnie załatwić, kiedy już skończę – dodałam niewinnie. – Czy możesz zejść do kuchni i porozmawiać z Carmeliną?

– A o czym chcesz, żebym porozmawiał z naszą krewką kucharką?

Błysk zainteresowania w jego orzechowych oczach, o tak, dostrzegłam go z ogromnym zadowoleniem. No cóż, Carmelina była atrakcyjna na swój patykowaty sposób. Ze swoją długą, chudą, nieustannie gniewnie zmarszczoną twarzą nie była ładna, ale miała piękne ciemnobrązowe oczy, które rozbłyskiwały przy każdej zmianie wyrazu twarzy,

i zawsze ciągnął się za nią urzekający aromat cynamonu, miodu lub szaławii. Ziołowe płukanki z rozmarynu, które jej wciskałam, okiełznały dzikość jej kręconych włosów. Dałam jej cały flakon i kazałam przysiąc na duszę świętej Marty, że będzie tej płukanki stale używać.

– Poproś Carmelinę, żeby do mnie przyszła, gdy będzie miała odrobinę spokoju między posiłkami – rzuciłam, mierząc lewą nogę Leonella i starając się, by moje słowa zabrzmiały naturalnie i niezobowiązująco. – Swoją drogą, widziałeś, co zrobiła z włosami? Pewnie nie zauważyłeś... Mężczyźni nigdy nie zwracają uwagi na takie rzeczy. Tak, powiedz jej, żeby do mnie przyszła, żeby porozmawiać o wizycie Sforzy.

– O jadłospisie? – zapytał Leonello. – Jest panem małego, prowincjonalnego miasteczka, który w wolnym czasie zabawia się polowaniami. Zje wszystko, co zostało na tyle celnie trafione, by nie odkuśtykać mu z talerza.

– Nie, Carmelina może zaplanować taki jadłospis, jak jej się podoba. Musi tylko wiedzieć, że dania pana Sforzy mogą wymagać kilku dodatkowych przypraw.

Kłęknięłam, by zmierzyć obwód kostek Leonella. Jego nogi nawet w butach wyglądały na pokręcone i zaczęłam się zastanawiać, ile bólu kosztuje go samo chodzenie. Nigdy nie widziałam, żeby kuśtykał, ani nie słyszałam, żeby narzekał, ale nagle nabrałam przekonania, że ból jest stałym elementem jego

codziennosci.

– A jakiej to dodatkowej przyprawy potrzebuje pan na Pesaro? – Mój strażnik wydawał się rozbawiony. – Może nieco soli? Z tego, co zdążyłem mu się przyjrzeć, wydawał się bardzo mdły i nijaki. Gdybyś powiedziała małej Lukrecji, że jej mąż jest kompletnym nudziarzem, może nie rwałaby się tak do przypieczętowania swojego małżeństwa w łóżku.

– To o jego chęci się martwię, a nie jej. – Wzięłam ostatnią miarę i się wyprostowałam. – Chodzi o to, że dostałam już list od Jego Świątobliwości... Napisał mi, że jeśli hrabia Pesaro okaże podczas swej wizyty zbyt duże zainteresowanie wdziękami Lukrecji, ma zapaść na pewną... niedyspozycję.

Leonello wytrzeszczył oczy.

– Ojciec Święty chce, żebyś otruła jego zięcia?

– Nie! Co też ci chodzi po głowie? Mam po prostu dopilnować, by pan Sforza dostał rozwolnienia, gdyby nasza go chęćka na amory.

Leonello odrzucił ciemną głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– Sprytnego mamy papieża – przyznał. – Jeśli coś może powstrzymać mężczyznę od myśli o zmysłowych przyjemnościach, to jest to właśnie ból brzucha.

– Carmelina będzie wiedziała, czego dodać, jeśli okaże się to konieczne. – Wstałam i zwinęłam sznurek do zdejmowania miary. – Nadal myślisz, że byłam miła dla Lukrecji, Leonello? Jej ojciec ma zamiar nie

dopuścić do tego, by zbliżyła się do swojego męża, a ja mu w tym pomagam.

Mój strażnik przyjrzał mi się uważnie swoimi ciemnymi oczami.

– Wiesz, mogłabyś zlekceważyć jego polecenia. W końcu nie będzie go tutaj, kiedy przybędzie pan Sforza.

Pomyślałam o wszystkich tych słowach, którymi ja i Rodrigo obrzuciliśmy się w złości, gdy wybuchła awantura o Laurę i Orsina. Płakałam po tym przez dwa tygodnie wypełnione lodowatą ciszą, obawiając się, że straciłam swojego papieża, który prawdopodobnie pocieszył się w ramionach jakiejś kurtyzany. „On pragnie, byś była urocza, moja droga, a nie buntowała się przeciw niemu” – powiedziała mi pani Adriana, a ja czułam się zbyt nędznie, by móc się odciąć. Z pewnością teraz znów było uroczo... ale to się mogło szybko zmienić, gdybym sprzeciwiła się Ojcu Świętemu i wzięła stronę jego córki.

– Nie ośmielę się – usłyszałam własne, skierowane do Leonella słowa, odkładając sznurek. – Po prostu nie. Widzisz, jestem zwykłą, głupiutką dziewczyną, niezbyt odważną. Teraz w sali czeka na mnie co najmniej osiem osób, które chcą mnie poprosić, abym im coś załatwiła u Jego Świątobliwości. A nieuprzejmie jest kazać pochlebcom czekać zbyt długo, prawda?

Carmelina

Czym ty ich nakarmiłaś?

Spojrzałam z góry na wstrętnego Leonella sięgającego mi ledwie do łokcia. Stałam dyskretnie u zakrętu schodów i chociaż widok częściowo zasłaniali mi ubrani w liberie służący, zerknęłam z ukrycia na coraz bardziej rozochoconych gości dojadających właśnie resztki potraw przygotowanych przeze mnie na kolację.

– Zwykłym jedzeniem – odparłam wymijająco.

– Dosypałaś do niego jakichś narkotyków? – Leonello stanął na czubkach palców i wyciągnął szyję, by przebić się wzrokiem przez mur służących. – Boże. Popatrz tylko na nich.

– Dobrze się bawią!

– Można to i tak ująć.

Pani Adriana ściągnęła z Ferrary chór śpiewaków o słodkich głosach, który miał zabawić pana Sforzę i jego świtę po wieczornym posiłku, ale jakoś nie wyglądało na to, by wzbudzali czyjeś zainteresowanie. Wszyscy goście byli zbyt zajęli śmianiem się i flirtowaniem. Do dużej sali wbiegli jak pijane motyle; kobiety w jaskrawych atłasach obracały się kusząco, zamiatając spódnicami i obwieszczając, że mają ochotę zatańczyć, a mężczyźni kładli ręce na piersiach i przysięgali dozgonną wierność każdej kobiecie znajdującej się w ich polu widzenia. Jakaś dama w bladym błękitcie zgubiła pantofel, a kiedy mężczyzna stojący u jej boku klęknął, aby nasunąć go z powrotem

na jej kokieteryjnie wysuniętą stópkę, musnęła palcem jego ucho i wyszeptła coś niemal bezgłośnie. Pani Adriana miała zalotników po obu bokach i obaj recytowali poematy na cześć jej urody i walczyli o przywilej przysunięcia jej krzesła. Cezara Borgię otaczały co najmniej cztery kobiety, które odrzucały loczki i wydymały usteczka, podczas gdy on siedział swobodnie rozparty w ciemnym aksamitnym stroju nieprzypominającym ani odrobinę szat duchownego. Jeśli chodzi o pana Sforzę, gościa honorowego, Adriana da Miła bardzo jednoznacznie umieściła solidny mur w postaci własnego ciała spowitego w ciemnoniebieski aksamit między nim a jego żoną, ale nie powstrzymało to małżonków od wymiany ponad jej głową ukradkowych spojrzeń.

– Śpiewacy! – mówiła głośno pani Adriana, przekrzykując śmiechy i szeptane pokątnie żarty. – Śpiewacy przygotowali dla waszej rozrywki znakomity wybór pieśni miłosnych.

– Kiepski wybór – gwizdnął Leonello. – Należałoby trzymać się ponurych pieśni liturgicznych przypominających o mękach piekielnych.

Nie miało to żadnego znaczenia, bo z tego, co zdążyłam się zorientować, i tak nikt ich nie słuchał. Wszystkich zgromadzonych gości unosiła fala zalotnych chichotów i kokieteryjnych spojrzeń, wyrafinowanych komplementów i ukradkowych pieśczoł, a Lukrecja i jej mąż żeglowali najwyżej ze

wszystkich, zamknięci w kruchej, szklanej bańce i wpatrzeni w siebie bez słowa nad głową pani Adriany. Nawet Cezar Borgia uśmiechnął się, gdy zobaczył światło w oczach swej siostry.

– A przecież ten wieczór rozpoczął się tak fatalnie – wyszeptałam, kiedy rozległy się pierwsze słodkie nuty.

Dobra kolacja, jeśli ma się udać, wymaga niczym dobry chleb pewnych istotnych składników: odrobiny dobrej woli, krzyny radosnego nastroju, szczypty śmiechu i kapki romantyzmu. A wystarczyło jedno szybkie spojrzenie na pana Sforzę, gdy tego popołudnia zsiadał na dziedzińcu z konia, by stracić nadzieję na to, że ten wieczór rozwinie się pomyślnie. Z chmurnym obliczem wszedł szybkim krokiem do pałacu, a jego prowincjonalni watażkowie z Pesaro stłoczyli się za nim jak zapuszczone koguty. W towarzystwie pani Giulii, pani Lukrecji i otaczającego je kolorowego wachlarza wypielegnowanych dam jeszcze silniej niż zwykle sprawiał wrażenie nieogolonego wyrzutka i nawet z dołu, z kuchni, słyszałam, jak skarży się głośno Cezarowi Borgii, uderzając rękawiczkami o dłoń i żądając informacji, kiedy Ojciec Święty najmie żołnierzy Sforzy przeciwko Francuzom. Do młodej żony, której nie wolno mu było dotknąć, prawie się nie odezwał. Przewidywałam kwaśny, niezręczny wieczór, podczas którego hrabia Pesaro będzie patrzył na wszystkich wilkiem, a pani Lukrecja będzie wiedła w oczach, pozbawiona jego zainteresowania.

A tymczasem...

– Czego ty im dodałaś do jedzenia? – powtórzył pytanie Leonello.

– Niczego nadzwyczajnego! – To była zwykła kolacja, naprawdę. Oczywiście pozwoliłam sobie na odrobinę fantazji. Zamiast po prostu przejść na stronę jedenastą, rozdział *Przekąski*, zaaranżowałam bufet według własnego pomysłu. Kwiaty cedru w cukrze i kandyzowana skórka pomarańczy zamiast zwyczajowych serów i przyprawianych owoców... Podałam też pieczonego pawia na pierzynie z płatków róży ze słodkimi kandyzowanymi orzeszkami piniowymi i pałeczkami cynamonu zamiast zwyczajnego kwaskowatego sosu... Świeże ostrygi podsmażone na maśle, po czym umieszczone z powrotem w swoich skorupkach i skropione delikatnie sokiem z pomarańczy... Grillowanego okonia morskiego w sosie zaimprovizowanym z różowego wina, ikry łososia i wiórków truflowych... – Mistrz Santini pozostawił w mojej gestii przygotowanie jadłospisu. – Wzruszyłam ramionami. – Ostatnio często to robi.

– Co ci przyszło do głowy? Plan polega na tym, by trzymać pana Sforzę z dala od łóżka jego żony. Po samych tych ostrygach nawet marmurowej rzeźbie kutas by stanął. – Leonello przekrzywił swoją wielką głowę i spojrzał na mnie. – A może w ogóle nie myślałaś o naszym dobrym hrabim Pesaro, co? Może *signorina*

cuoca zamarzyła o własnym kochanku? – Energicznie położył dłoń na sercu. – To o mnie chodzi, prawda? Nie potrafiłaś dłużej hamować pociągu do mego niewielkiego ciała i w końcu nieugaszona żądza znalazła swój wyraz w jedzeniu.

– Nie bądź śmieszny – ofuknęłam Leonella. Coś jednak rzeczywiście znalazło swój wyraz w jedzeniu, bo na własne oczy zobaczyłam rosnące wśród gości podniecenie, gdy podkrađłam się na galerię, by zerknąć na towarzystwo zgromadzone w niewielkiej sali rozbrzmiewającej coraz głośniejszymi śmiechami. Lekko podpici i coraz śmielsi we flirtach goście rozpierali się przy stole ozdobionym wieńcami z bluszczu i zimowych lilii wśród ogryzionych ości i opróżnionych z ostryg muszli, z trudem opanowujący się pod surowym spojrzeniem pani Adriany. Jeden z przybocznych hrabiego otoczył ramieniem rudowłosą piękność i włożył jej do ust ostrygę, a ona zamknęła oczy i przełknęła ją, wydając dźwięk będący czymś pośrednim między chichotem a jękiem. Cezar Borgia rozparł się przy stole pomiędzy dwiema bezwstydnie uwodzicielskimi damami, które na zmianę karmiły go kandyzowanymi kwiatami. Brodaty żołnierz z Pesaro otoczył ramieniem oparcie krzesła pani Giulii, błagając ją o rozpuszczenie włosów. Pani Adriana kazała zarządcom przestać podawać wino, lecz gdy tylko się odwróciła, pan Sforza wyskubał pączek róży z dekoracji zdobiącej pieczonego pawia i rzucił go na

kolana pani Lukrecji. Widziałam, jak się spłoniła, po czym rzuciła mu filuterne spojrzenie. Może i hrabia Pesaro zaczął posilek, aż kipiąc od drażliwych pytań na temat Francuzów i swojej umowy z papieżem, lecz kończył go, nie mogąc oderwać wzroku od swojej młodej żony. Patrzył i patrzył, a ja ze swojej galerii na górze widziałam wyraźnie, jak jego spojrzenie mięknie, gdy tymczasem ona promieniała niczym święta w bocznym ołtarzu, rozkwitając w swych ciemnoniebieskich jedwabiach urodą młodości.

Wszyscy goście powstrzymywali mniej lub bardziej swoje zapały, otuleni słodką melodią podawaną przez ferraryjskich śpiewaków, ale widziałam dłonie splatające się pod osłoną sukien, wargi szepczące do nadstawianych ochoczo uszu, a połączenie ziemnego aromatu trufli i morskiego zapachu kawioru wydawało się znacznie silniejsze niż słodkie dźwięki łacińskich pieśni miłosnych. Pan Sforza dotknął łokcia Lukrecji, zwracając jej uwagę na początek nowej pieśni, i zobaczyłam, jak młoda żona wstrzymuje oddech.

No to pięknie.

– Swoją drogą, co ty tutaj robisz? – Leonello podniósł głowę i spojrział na mnie uważnie. – Nie powinnaś szorować garów? Faszerować kurczaka? Znęcać się nad pomywaczami?

– Zarządca powiedział, że rozlali już całe wino, więc przyniosłam więcej – powiedziałam, podnosząc dzban, który wzięłam ze sobą jako wymówkę w drodze

na schody, by jeszcze raz zerknąć na salę. – A teraz wybacz, bo o czymś zapomniałam.

Konkretnie chodziło o olejek koperkowy do pucharu pana Sforzy, bo to właśnie ten specyfik niezawodnie rozluźniał kiszki, a jedyną rzeczą, która w tej chwili mogła skłonić hrabiego Pesaro do oderwania wzroku od młodej żony, było możliwie długie posiedzenie w wychodku.

Zeszłam na dół do swojej komnaty po flakon olejku, który na polecenie mojej pani niechętnie odłożyłam do wykorzystania w stosownej chwili, po czym podparłam się pięściami pod boki i zerknęłam na wysuszoną rączkę świętej Marty. Zdawało mi się, że złoty pierścień na jej palcu pobłyskuje na mnie z dezaprobatą, i mogłabym przysiąc, że jeden z jej pokurczonych, wyschłych palców wyprostował się lekko i wskazał wyraźnie w moją stronę.

– No co? Jeśli pani Giulia poleca mi wywołać u jednego z gości rozwolnienie, to naprawdę nie mam wyboru! Ona też nie była tym uradowana, więc do mnie nie miej pretensji.

Święta Marta, a w każdym razie jej dłoń, dalej wyglądała na niezadowoloną. Nie mogłam zrozumieć, jak odcięta ręka może wydawać się niezadowolona. Zamknęłam jednak z trzaskiem pudełko na przyprawę, z pochmurną miną odstawiłam je na półkę i wsunęłam za grzebień i niewielki flakon płukanki do włosów, do której przyjęcia zmusiła mnie pani Giulia.

– Nie przypominam sobie, żebym prosiła cię o radę – powiedziałam swojej świętej patronce, wsuwając do rękawa flakon z olejkiem koperkowym. – Albo o to, żebyś otwierała swoje pudełko, skoro już przy tym jesteśmy, więc trzymaj się ode mnie z daleka i nie wtykaj nosa w moje sprawy!

– No i co, widziałaś go? – Kiedy tylko znalazłam się na powrót w tętniącej życiem kuchni, wszystkie służące rzuciły się na mnie, płonąąc z ciekawości. – Pana Sforzę! Czy z bliska jest przystojny?

– Wszyscy ci buńczuczni prowincjonalni pankowie wyglądają tak samo.

Energicznie zawiązałam sobie w pasie czysty fartuch.

– Signorina Carmelina nigdy nie przygląda się mężczyznom – roześmiała się jedna ze starszych służących. – Czy jeszcze tego nie zauważyłyście? Nie uznaje istnienia czegokolwiek, czego nie da się ugotować w garnku albo upiec na rożnie!

Spojrzałam na nie spode łba, a one roześmiały się dobrodusznie. W gruncie rzeczy moja reputacja ogromnie mnie cieszyła. Marco nie złamał słowa i utrzymywał w sekrecie nasze okazjonalne dyskretne fikołki po jego wygranych w karty, więc w oczach całej reszty byłam niedotykałką madonną kuchni, która nie zwracała najmniejszej uwagi na przystojne twarze i czarujące uśmiechy. Opinia niedotykałkiej i nieromantycznej znakomicie mi służyła, przynajmniej

gdy chodziło o utrzymanie kuchennej hierarchii.

– Buzie na kłódkę, ręczki pracują – zakomenderowałam i klasnęłam w dłonie, a dziewczyny rozpięchły się posłusznie.

Kolacja została wydana, ale wciąż miałyśmy przed sobą wiele godzin pracy: Marco i kuchcikowie byli już zajęci przygotowywaniem tac ze słodkimi przekąskami, które zostaną wysłane na górę jako przegryzki na poprawę trawienia, a uczniowie i pomywacze rzucili się już do ścierania, zamiatania, czyszczenia i szorowania. Chwyciłam pozostałą na talerzu ostrygę i połknęłam ją w mgnieniu oka, patrząc, jak Bartolomeo zatacza się pod ciężarem naręcza brudnych misek i ociera upstrzone piegami czoło, pocąc się przy rozpalonych piecach.

– Wlej do glinianej miski sporą porcję śmietany i ubij ją na sztywno – poleciłam, chwytając go za rękaw i zjadając jednocześnie kolejną ostrygę. Naprawdę, nie chwaląc się, jeśli chodziło o te ostrygi, to przeszłam samą siebie. – Podamy bitą śmietaną razem z biscotti.

– Tak, signorina.

– Ottaviano, miej oko na pomywaczy. Chcę, żeby wszystkie te patelnie zostały natychmiast umyte i wytarte. Tommaso, kości i resztki z pawia, wrzuc je do garnków i niech się gotują, będzie z tego bulion. Bruno, Ugo, podłogi... – Pomywacze krzatali się w rytm mojego klaskania jak adiutanci generała, a ja stanęłam u boku Marca i zręcznymi ruchami dłoni wraz z nim

zaczęłam układać na talerzach biscotti w cukrze i kandyzowane orzechy, a do tego pokrojone na plastry i oblane miodem owoce.

– ...wszyscy wiemy, dlaczego tak naprawdę ten człowiek tutaj przyjechał! – kłócił się mój kuzyn z trzema swoimi podkomendnymi podającymi do stołu, kiedy donieśli kolejne talerze z majoliki i puchary do postawienia na tacach. – Pan Sforza nie wpadł tak po prostu, by sprawdzić, czy jego umowa z papieżem nadal obowiązuje. Chce wreszcie pójść ze swoją żoną do łóżka! Cztery do jednego, że dziś wieczorem wśliźnie się do jej komnaty...

– Postawię dwadzieścia skudów – odpowiedział szybko jeden ze służących. – Tam na górze pani Adriana siedzi nad tą parką jak smok pilnujący skarbcza!

– Smoka można zgładzić. – Marco zgniótł w garści kandyzowane orzeszki piniowe i przylepił ich drobne kawałeczki do miękkiej brzoskwini w przyprawach. – Miłość znajdzie drogę, zawsze ją znajduje. Pożegnaj się ze swoimi dwudziestoma skudami.

Jeśli nie chciałam, by Marco splukał się bardziej niż zwykle, musiałam znaleźć sposobność, by mu szepnąć, żeby się wycofał ze swojego zakładu. *Pazzo*. Wrzuciłam sobie do ust plasterki słodkiej brzoskwini. Cóż za głupiec z tego mojego kuzyna! A jednak cały czas spojrzenie ześlizgiwało mi się na jego szerokie barki i mięśnie poruszające się pod koszulą, gdy podnosił pierwszą z ciężkich tac. A moje służące

myślały, że nigdy nie przyglądam się mężczyznom...

– Signorina! – zawołał Bartolomeo żałośnie ze spiżarni. – Czy śmietana jest już wystarczająco ubita?

Ręka zwisała mu martwo u boku, wiotka i bezwładna jak wnętrzności świeżo wypatroszonej świni.

– Zbierz pianę z wierzchu, dosyp miążkiego cukru, dolej nieco wody różanej i ubijaj tyle czasu, ile zajmuje odmówienie różańca. – Zanurzyłam palec w glinianej misce. Słodka, apetyczna, kremowa, ale o niewystarczająco jeszcze lekkiej konsystencji. – A potem wyłóż to na talerz z gałązkami rozmarynu. Nie patrz na mnie tak żałośnie, chłopcze! Chcesz któregoś dnia być tak silny jak mistrz Santini?

Bartolomeo zawiesił zmęczone spojrzenie na ramionach Marca i zaczął z takim zapałem ubijać śmietanę, jakby była jego najgorszym wrogiem. Uśmiechnęłam się, chociaż dotarło do mnie, że zaserwowanie gościom bitej śmietany nie było wcale takim znakomitym pomysłem. Kolejne danie dla kochanków... Kiedy ostatnio posłałam bitą śmietanę pani Giulii i jej papieżowi, większość znalazła się na pościeli, jakby Ojciec Święty posłużył się nią, by wymalować swoją kochankę jak malarskie płótno. Gdybym zachowała miseczkę na później, może Marco na mnie również zechciałby nieco pomalować...

Wszystko jedno. Wiedziałam, co mam tutaj do zrobienia, i nie miało to nic wspólnego z próżniaczym

fantazjowaniem o łożkowych igraszkach.

– Gdzie jest kielich pana Sforzy? – zapytałam Marca i nadałam swojej aranżacji ostateczny kształt, dokładając rodzyunki z Koryntu i słodkie kasztanowe frittelle.

– Tam. – Wskazał głową srebrny puchar wystawiony dla gościa honorowego. – Czy śpiewacy już zaczęli?

– I tak przez te wszystkie śmiechy i flirty w ogóle ich nie słyhać. Połowa gości obściskuje się po kątach, a druga połowa jest pijana.

– No cóż, pozwólmy zatem przynajmniej uczniom podsłuchać śpiewaków – powiedział Marco wyrozumiale, gdy wyniesiono resztę słodczy. – Jeśli uda im się znaleźć jakąś szczelinę w drzwiach.

Uczniowie gromadą wybiegli na górę, pokrzykując radośnie i uciszając się pospiesznie. Na palcach wykradli się za kuchenne drzwi i weszli po marmurowych stopniach pałacu w poszukiwaniu dogodnego miejsca pozwalającego pochwycić melodyjne tony. Pomywacze skończyli już zmiatać resztki cukru i zmywać plamy tłuszczu, które podczas długiej biesiadnej nocy w nieunikniony sposób krasily podłogę. Chłopcy obracający różna otaczali paleniska, a Marco zniknął, aby zamknąć piwnice z winami. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, więc sięgnęłam po srebrny puchar.

– Carmelino?

Odwróciłam się ku drzwiom kuchni. Giulia Farnese stała z trenem morelowej jedwabnej sukni przerzuconym przez ramię i przekrzywiła złotą główkę. Wyczułam raczej, niż usłyszałam, stojących za mną i gapiących się na nią pomywaczy. Chłopcy od roznów aż rozdziawili gęby, kiedy ten bajeczny, złoty feniks pojawił się tak nieoczekiwanie w chaosie brudnych misek, patelni i chochli.

– Puchar pana Sforzy – powiedziała cicho konkubina papieża. – Wezmę go.

– Tak, pani. – Dygnęłam, podając jej mały flakon olejku koperkowego, którego zawartość miałam właśnie wlać do wina. – Wiem, co chcesz powiedzieć... Widziałam, w jakim jest nastroju. Wiem, co mam zrobić...

– Zapomnij o tym. – Ujęła ciężki srebrny puchar w obie dłonie i się uśmiechnęła. – Myślę, że tego wieczoru Lukrecja może się cieszyć swoim mężem, jak jej się podoba, nie sądzisz?

– Ale pani Adriana! – wyksztusiłam. – Czy ona nie...

Giulia przyjrzała się wystawionym pucharom.

– Który jest jej?

Wskazałam.

– Widziałam ją na górze... Będzie wszystkich śledzić jak jastrzęb. Zwłaszcza pana Sforzę...

Giulia wyjęła mi z dłoni flakonik i niby to od niechcienia wylała jego zawartość do kielicha.

– Może nie.

Poczułam, że wzbiera we mnie niepohamowany śmiech. Może to przez to, że dodałam za dużo różowego wina do tego sosu z trufli i kawioru, ale nie mogłam powstrzymać chichotu, który mi się wyrwał.

– Czym ty ich wszystkich nakarmiłaś? – wyszeptała moja pani.

– Dlaczego wszyscy ciągle o to pytają?

– Bo zanim jeszcze zjedzono ostatnią ostrygę, Lukrecja i pan Sforza próbowali się chwycić pod stołem za ręce. Co w tym momencie było i tak najniewinniejszą czynnością, jaka miała miejsce pod tym stołem!

Nic już nie odpowiedziałam, dusząc się ze śmiechu, a pani Giulia wzięła dwa kielichy wina i wyszła na paluszkach z kuchni.

– Z czego się tak śmiejesz? – zapytał Marco, unosząc głowę.

– Z niczego. Spróbuj tego. – Wsunęłam mu do ust ostatnią ostrygę, która została z przyjęcia, przyciskając mu wargi palcami, by nie uronić ani kropelki kwaskowatego sosu, a Marco spojrzał na mnie, unosząc w zdumieniu brwi.

– To jest... pyszne – oznajmił, przełykając.

– Wiem.

Wkrótce na dół dotarła wiadomość, że pani Adriana źle się poczuła i wcześniej opuściła przyjęcie. Po tym fakcie najwyraźniej reszta gości przestała się hamować. Wśród zduszonych śmiechów, pokątnych

poszeptywań i żwawych szelestów sukien przyjęcie w sali momentalnie dobiegło końca i kiedy ponownie wysunęłam głowę zza zakrętu schodów, zobaczyłam damę w bladobłękitnej sukni splecioną w uścisku z mężczyzną, który wcześniej nakładał jej zgubiony pantofel, jak całowali się i przepychali kokieteryjnie na wiodących w górę schodach, podczas gdy inna para obściskowała się w szerokich drzwiach prowadzących do sali. Po panu Sforzy i Lukrecji Borgii nie pozostał nawet ślad.

– Dobrze – powiedziałam głośno i zesłam beztrąsko na dół, by włożyć ostatni brudny garnek do stosownej balii i zapędzić radośnie pozostałe służące i pomywaczy do pracy. – Nie ociągajcie się – wybulgotałam i ruszyłam w podskokach ciemnym korytarzem.

Czy to koścista Pantisilea ścisnęła się nie z jednym, ale z dwoma strażnikami na klatce schodowej?! Wsunęłam się do swojego cichego pokoiku pachnącego oliwą i ucieszyłam się, że rączka świętej Marty nie wyszła z pudełka, by mnie skarcić. Tak naprawdę sądziłam raczej, że jest ze mnie zadowolona. Poklepałam ją, a potem sięgnęłam po coś jeszcze, co leżało na półce za jej pudełkiem: limonkę.

– Mistrz Santini? – Wyglądający na znękanego pomywacz przerwał na chwilę zamiatanie podłogi, by odpowiedzieć na moje pytanie. – Powiedział, że wychodzi odetchnąć świeżym powietrzem i się wysikać.

– Chłopak prychnął. – Pewnie dlatego wszedł najpierw do swojego pokoju po płaszcz, sakiewkę i kości.

– Och. – Mój głos zabrzmiał matowo i bezbarwnie.

Pomywacz popatrzył na mnie zdezorientowany, a ja machnęłam tylko ręką, by zamiatał dalej. Był jednym z ostatnich, którzy zostali w kuchni. Większość pozostałych poukrywała się już we wszystkich ciemnych kątach, jakie udało im się znaleźć. Spod ustawionego na kozłach stołu usłyszałam podniecone „miau” i zobaczyłam kocura z poszarpanym uchem ocierającego się w ekstazie o drobną kotkę polującą zazwyczaj na myszy w piwnicach na wino.

– Ty też? – syknęłam.

Wszystkim domownikom, włącznie z cholernym kotem, zgotowałam szal namiętności, a mnie nie miała z tego skapnąć nawet odrobinka?

Przyszła mi do głowy jakaś mętna myśl, by wyjść posmucić się na dachu i ochłoniąć odrobinę w nocnym powietrzu, ale właśnie gdy wlokłam się po schodach prowadzących po wschodniej stronie pałacu, dostrzegłam błysk światła świecy po drugiej stronie loggii.

– Ciii... – Dobiegł mnie cichy dziewczęcy śmiech. – Nie tak głośno, usłyszą nas! – Po czym płomień świecy zachybotał i prawie zgasł, a wysoka, ciemniejsza postać przywarła do dziewczyny i pochyliła ku niej głowę. Wstrzymałam oddech i wtopiłam się na powrót w cień, a w kolejnym błysku światła papieska córka

przemknęła obok mnie w szeleście jedwabnych spódnic, z twarzą zaróżowioną podnieceniem, ciągnąc za rękę swojego męża. Dwudziestosiedmioletni, wysoki, ciemnowłosy hrabia Pesaro obnosił zgrabnie przyszyzoną bródkę i modne wąsy. Biegł za swoją młodą żoną jak chłoptaś i uśmiechał się lekko, a oczy błyszczały mu pożądaniem. Śmiejąc się cicho, zniknęli w komnacie pani Lukrecji. Usłyszałam szcęk zamykających się drzwi.

Moje rozgoryczenie mimowolnie złagodniało i bezwiednie uśmiechnęłam się w ciemnościach. Może lepszym pomysłem niż wychodzenie na dach było wślizgnięcie się z powrotem do kuchni i zrobienie grzanego wina dla niedawno poślubionych małżonków? Tylko jednego kielicha. W końcu kochankowie rzadko kiedy potrzebują więcej niż jednego kielicha.

– Szpiegujesz moją siostrę, dziewczyno?

Krzyknęłam ze strachu i obróciłam się na pięcie. Chociaż dotarł do mnie sens wypowiedzianych słów, jakaś część mnie spodziewała się zobaczyć Leonella, bo to on potrafił bezszelestnie pojawić się za mną i wyszczerzyć zęby w tym swoim zawadiackim uśmiechu tylko dlatego, że wiedział, jaki to we mnie wywołuje przestach. Ale oczy, które błysnęły ku mnie z najgłębszego cienia, znajdowały się na tej samej wysokości co moje. Cezar Borgia, którego twarz przypominała w tej chwili nóż, wbił we mnie nieustępliwe spojrzenie.

– Wasza Eminencjo. – Dygnęłam pospiesznie, a serce nadal waliło mi jak młotem. Stał za nim ten przerażający strażnik, ten Michelotto, kompletnie bezbarwny i niemal pozbawiony głosu, a kiedy obaj wyszli z cienia, nie wiedziałam już, którego boję się bardziej. – Proszę o wybaczenie, Eminencjo. Nie chciałam przeszkadzać. A teraz, jeśli pozwolisz...

– Nie pozwolę. Czy szpiegowałaś moją siostrę?

– Eee... nie. Chciałam przynieść jej grzane wino. – Pod jego spojrzeniem serce zabiło mi gwałtowniej. Oczy przyzwyczyły się już do ciemności. Widziałam jego szczupłą jak ostrze sylwetkę przyodzianą w ciemny aksamit, który czynił go tylko jednym z cieni, opierającym się teraz o ścianę z założonymi rękami i rozczochranymi włosami. – Podgrzane wino z przyprawami.

– Wiem, czym jest grzane wino – uciał Cezar Borgia.

Zapadła krótka cisza. Zastanawiałam się, czy powinnam wrócić do kuchni, ale nie odprawił mnie i uznałam za roztropne się nie ruszać. Przypominało to mierzenie się z wijącym się wężem, zupełnie odmienne od spotkania z szarżującym bykiem. Juan Borgia przypominał raczej byka i na jego widok należało po prostu możliwie szybko zejść z drogi. W przypadku węża trzeba jednak zastygnąć w bezruchu, ruszając się tylko na wyraźne polecenie.

– A zatem panna młoda stała się żoną. – Spojrzał na

drzwi, za które pani Lukrecja wciągnęła swojego męża.
– Ojciec Święty nie będzie z tego zadowolony.

A to czemu...? Ale nie byłam na tyle głupia, by zapytać na głos. Nie miałam pojęcia, dlaczego młody kardynał Borgia pozwala sobie na głośne rozmyślanie w obecności służącej. Może dopadła go melancholia na widok tego, jak jego mała siostrzyczka wytycza swoją przyszłość jako kobieta dorosła? Sam jednak fakt, że wybitny Książe Kościoła raczy rozmyślać na głos w obecności zwykłego człowieka, nie powinien w żadnym wypadku sugerować owemu człowiekowi, iż oczekuje się od niego odpowiedzi.

A jednak znów na mnie spojrzął, jakby usłyszał moje niewypowiedziane pytanie.

– Trudno mi odmówić czegokolwiek mojej siostrze – powiedział. – Sforza to dupek, ale jeśli ona go pragnie, będzie go miała. – Uśmiechnął się i w ciemnościach błysnęły jego białe zęby. – Oczywiście, jeśli stwierdzę, że nie potraktował jej dziś w nocy odpowiednio delikatnie, poderżnę mu gardło.

Na takie dictum nie przyszła mi do głowy żadna odpowiedź.

– Ojciec Święty obwini panią Giulie – powiedziałam ku własnemu zaskoczeniu. – Obarczył ją odpowiedzialnością za dopilnowanie, by dziś wieczór wszystko przebiegło właściwie.

– Czy lubisz panią Giulie? – Spojrzął na mnie leniwie.

– Tak.

– Wystarczy, że potrzepocze trochę rzęsami, żeby jej wybaczył. – Cezara najwyraźniej nie interesowała Giulia Farnese i przypominałam sobie jej uwagi, że może i jest przystojny, ale przy tym zimny jak trup. – Gdyby Ojciec Święty posmakował dziś ostryg i pawia, wiedziałby, że nie miała najmniejszych szans dopilnować, by cokolwiek przebiegło właściwie.

Poczułam, jak wzbiera we mnie rozgrzewająca serce duma.

– To były moje ostrygi i paw. – Nie mogłam się powstrzymać. – Być może Ojciec Święty powinien winić mnie, Wasza Eminencjo.

– Jesteś kucharką?

– Tak.

Normalnie spuściłabym wzrok i przypisała wszystkie zasługi Marcowi. Ale w spojrzeniu Cezara Borgii było coś, co zmuszało do wyznania prawdy.

Postąpił krok naprzód, nadal równie widmowy. Zlustrował mnie chłodnym spojrzeniem i mogłam mieć tylko nadzieję, że nie widzi żyły pulsującej szaleńczo u nasady mojej szyi.

– Kucharka – powiedział wreszcie z namysłem. – Nieźle gotujesz, trzeba przyznać. Czyż nie byłoby zatem słuszne, że skoro potrafiłaś tak rozpalić zmysły, na tobie powinien spocząć obowiązek ich ukojenia?

– Grzane wino pani Lukrecji... – wykszusiłam, czując suchość w ustach.

Jego palce zamknęły się na moim nadgarstku niczym stalowe kajdany.

– Zapomnij o grzonym winie.

Nie zapytał mnie o imię, gdy odprawiał swojego przerażającego strażnika i prowadził mnie do najbliższej komnaty. Wątpiłam, by moje imię w ogóle go obchodziło, i tak naprawdę mnie również nie obchodziło, czy je zna. W pokoju znajdowała się tylko jedna dopalająca się świeca, dębowy stół inkrustowany złotem, dwa ciała idące zgodnie w jego stronę i brak konieczności podawania imion.

Jednym gwałtownym ruchem zrobił miejsce na blacie i posadził mnie na nim, zanim jeszcze moich uszu dobiegł brzęk czegoś delikatnego i kosztownego, co właśnie roztrzaskiwało się na podłodze. Kiedy przycisnął ustami moje wargi, nie było w nich namiętności, lecz czysta ciekawość. Próbował mnie, a ja smakowałam jego, jakby był nieznanym sosem, w którym umoczono łyżkę. Wyczułam ostry, morski posmak ostryg i kawioru, odurzający, ziemny aromat trufli, musujące wino i cukrowane kwiaty. Jego szczupłe, twarde ciało przywarło do mnie mocno. Całe dnie pociałam się nad rozgrzаныmi paleniskami i sięgałam do gorących pieców, a jednak nadal czułam wewnętrzny chłód. Nietykalna madonna kuchni, którą obchodziła wyłącznie praca. Nawet gdy sięgał po mnie Marco, to nie ja rozpalałam jego żądze, lecz wygrana w karty lub brzęk monet zdobytych w szczęśliwym

zakładzie.

Byłam zmęczona własnym chłodem.

Cezar Borgia objął dłonią gładką skórę mojego nagiego ramienia, z którego zdążył już zsunąć się rękaw, i krew zawrzała mi w żyłach jak grzane wino. Zamknęłam oczy, zanurzając nos w zagłębieniu jego obojczyka i przeczesując dłońmi jego splątane włosy. Przesunął usta niżej, na moją pierś, i pieścił ją przez chwilę, przesuając zębami po skórze i znajdując dłonią odsłonięte kolano pod rąbkiem sukni. Odrzucił mi spódnicę i prześlizgnął się dłonią wyżej, wzdłuż mojego nagiego uda. Zsunęłam dublet z jego szczupłych barków, a on chwycił mnie za nadgarstki i położył plecami na blacie. Rozłożył mi ręce szeroko i przyspilił je do blatu całym ciężarem swojego ciała, pochylając się nade mną złowieszczo.

– Spójrz na mnie! – rozkazał, ale ja już na niego patrzyłam. Dlaczego miałabym nie patrzeć? Syn papieża był nad wyraz urodziwy. W świetle świec jego skóra miała kolor bursztynu, a oczy jego były czarne jak smoła. – Dziwne – powiedział. – Zazwyczaj na mnie nie patrzą. Przerazam je.

Objęłam go nogami w pasie, zamykając w uścisku.

– Bo jesteś diabłem, Wasza Eminencjo?

– Tak. – Nadal przyciskał mi nadgarstki mocno i boleśnie do blatu. – Ciebie również powinienem przerażać.

– A jednak mnie nie przerażasz.

Kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo... Pamiętałam sztylet z szafirem w rękojeści, sztylet i miejsce, w którym go znaleziono, i wszystkie plotki szeptane po całym Rzymie o tym, kto mógł się nim posłużyć. Tydzień, dzień czy choćby godzinę temu sama myśl wydałaby mi się wręcz groteskowa, wszystkie te szepty o synu papieża mordującym w wolnym czasie dziewczki z oberży. Teraz jego oczy przepalały moje i może rzeczywiście budził we mnie lęk... ale nadal chciałam na niego patrzeć.

Z kamienną twarzą odwzajemnił moje spojrzenie. Nagle gwałtownie zacisnął palce i stalowe kajdany niemal odcięły mi dłonie. Krzyknęłam raptownie z bólu.

I wtedy zaczął.

Leonello

Namiętność potrafi wypełnić dom jak dym. Wyczuwałam ją za każdym razem, gdy papież przybywał sekretnym przejściem, by odwiedzić swoją perłę. Spojrzenia, które jej rzucał ponad potrawami podanymi na kolację, gdy rozmawiał z Adrianą da Mila i Lukrecją, spojrzenia tak wymowne, że rzęsy Giulii opadały pod ich ciężarem. Sposób, w jaki pieścił kciukiem wewnętrzną stronę jej nadgarstka, kiedy brał ją za rękę, by wyprowadzić z pokoju, zupełnie jakby gra wstępna mogła rozpocząć się w dowolnej chwili. Ochoczy, zalotny uśmiech, którym go obdarzała, gdy zamykały się za nimi drzwi jej komnaty. Potem można

było usłyszeć ciche dźwięki dobiegające zza zamkniętych drzwi: miękki okrzyk namiętności, niski, gardłowy śmiech, które wydawały się rozprzestrzeniać po pałacu jak pożar opanowujący nerwy podnieceniem. W takie wieczory Lukrecję ogarniała niejasna tęsknota, która łatwo przeradzała się w zgryźliwość, a pani Adriana rozmarzała się i zaczynała przytupywać nogą do jakiejś niesłyszalnej muzyki, jakby przeżywała raz jeszcze jakieś wspomnienia z czasów, gdy była młoda, beztrocka i zupełnie niezainteresowana tym, ile dukatów wydała lub zaoszczędziła danego dnia. W takie wieczory służące chichotały i flirtowały ze strażnikami, a samotni mężczyźni zadowalali się własną dłonią, jęcząc na myśl o pokucie, jaką zada im spowiednik.

Nigdy jednak nie widziałem, by namiętność wypełniła dom do tego stopnia.

Zarzewie Lukrecji Borgii było czymś słodszy i delikatniejszy, raczej płomyczkiem świecy niż oszałamiającą burzą ogniową, którą papież i jego Wenus potrafili rozniecić w pałacu, ale wcale nie mniej przez to niebezpiecznym. Frywolna, radosna, roześmiana miłość rozchodziła się od niej jak fale, przesiąknięta zapachem trufli i karmiona ostrygami, wypełniona musującym winem rzeka, która odurzyła najpierw jej męża, później gości, a w końcu cały dom.

– Leonello! – W odpowiedzi na moje pukanie pani Giulia otworzyła drzwi swojej komnaty i się uśmiechnęła. Włosy La Belli były nadal wysoko upięte

w kunsztowne zwoje i sploty z okazji przyjęcia wydanego dla hrabiego Pesaro i jego świty, ale ciasno zasnuowaną suknię zastąpiła już luźną, podbitą futrem neapolitańską szatą, która od czasu zawarcia ostatniego aliansu z Neapolem stała się bardzo modna. – Późno już – rzekła moja pani. – Odprawiłam cię godzinę temu... Dlaczego nie poszedłeś spać?

Bo gdybym poszedł teraz do łóżka, kręciłbym się tylko niespokojnie, otoczony wonią namiętności, którą młodziutka Lukrecja i jej mąż roztaczali w całym domu, namiętności, która ogarnęła już kilka innych par potajemnych kochanków splecionych za kolumnami i przemykających ku zacienionym zakątkom ogrodu. Dziś wieczorem wszyscy byli zakochani – wszyscy z wyjątkiem mnie – i gdybym poszedł do łóżka, zapadłbym w niespokojny sen o kobietach przybitych do stołów i przyobleczonych w czerń mężczyznach pochylających się nade mną w uśmiechniętych maskach.

Nie chciałem jednak myśleć o takich rzeczach, więc na pytanie mojej pani wzruszyłem tylko lekko ramionami.

– Tobie mógłbym zadać to samo pytanie – odparowałem. – Dlaczego ty nie poszłaś jeszcze do łóżka, pani Giulio?

– Opiekowałam się moją teściową – odparła, trochę zbyt szeroko i zbyt niewinnie otwierając oczy. – Biedactwo, dostała boleści. Dopadło ją to zupełnie nagle i niespodziewanie.

Prychnąłem.

– A kiedy już ułożyłam ją na spoczynek, odkryłam, że cóż, ja też nie mogę zasnąć. – Giulia zaczęła bawić się rękawem, założyła za ucho zabłąkany kosmyk włosów, a w końcu zaczęła skubać skórki kciuka. – Tęsknię za Jego Świątobliwością.

Być może dziś wieczorem nie byłem jedyną osobą w pałacu skazaną na niespokojny sen w pustym łóżku.

– Dlaczego to zrobiłaś? – Nie potrafiłem się powstrzymać od zadania jej tego pytania. – Dlaczego sprzeciwiłaś się papieżowi tylko po to, by pomóc Lukrecji?

– Tego wieczoru przy stole wyglądała tak... – Twarzyczka Giulii straciła zwyczajny wyraz roztańczonej wesołości i nabrała wyrazu smutnej powagi. Na ucztę była bardzo cicha, świadomie wycofując się na dalszy plan, by Lukrecja mogła zajaśnieć pełnią blasku. – Sprawiała wrażenie tak pełnej nadziei. Przepelnionej miłością. Myślę, że musiałam wyglądać tak samo, gdy wychodziłam za Orsina, ale dla mnie nie skończyło się to tak dobrze. Mam nadzieję, że Lukrecji powiedzie się lepiej... Tak czy inaczej, zasługuje na szansę. W końcu jest przecież mężatką... To grzech trzymać ją z dala od jej męża, jeśli oboje się pragną...

Słowa mojej pani brzmiały tak, jakby już zawczasu starała się przygotować argumenty na odparcie przyszłej awantury.

– Myślę, że jesteś odważniejsza, niż sądzisz, pani.

– Ja też tak myślę – powiedziała, ponownie się rozpromieniając. – Tak naprawdę jestem z siebie całkiem zadowolona. Spróbuję zachować to poczucie do momentu, w którym Rodrigo napadnie na mnie, grożąc mi ekskomuniką. – Przeszedł ją mimowolny dreszcz na samą myśl, czy to o ekskomunice, czy to o gniewie papieża, ale obie te myśli szybko od siebie odsunęła. – Wejdz na chwilę do mojej komnaty, Leonello... Czy nie jesteś zbyt zmęczony? Nie wyglądasz na śpiącego.

– Chciałem sobie znaleźć jakąś książkę – skłamałem.

Miałem tak naprawdę nadzieję, że kiedy już dopilnuję, by moja pani zaszyła się bezpiecznie we własnym łóżku, zejść na dół i znajdę sobie dziewczynę. Służącą z kuchni, która nie wymknęła się jeszcze z jakimś innym kochankiem, a może nawet tę długonogą wenecką kucharkę z niewyparzoną gębą, jeśli uda mi się ją skłonić, by porzuciła nienawiść do mnie na godzinę czy dwie. W każdym razie jakąś dziewczynę, która chciałaby ze mną wychylić butelkę wina, a może coś więcej. Wszyscy sądzą, że karzeł nie może mieć kobiety, o ile jej nie zapłaci, ale gdy miałem ochotę na kobietę, zazwyczaj udawało mi się jakąś znaleźć. To nie namiętność przywodziła je do mojego łóżka, lecz ciekawość, ale z mojego doświadczenia wynikało, że ta potrafiła być równie silna jak miłosna pasja. Kobiety patrzyły na mnie i nie umiały przestać się zastanawiać

nad tym, czy taki karzeł potrafi się wykazać w łóżku męskością. Chciały się dowiedzieć, czy bez dubletu wyglądam równie dziwnie jak w nim. A poza tym byłem mały, zabawny i potrafiłem je rozśmieszyć, więc nikomu nie działa się krzywda, prawda?

I o ile tylko wychodziłem przed świtem, gdy śmiech i ciekawość przeradzały się w dotkliwe zażenowanie, o ile tylko udawaliśmy, że nigdy do niczego nie doszło, mogło nam się udać niezłe zabawić.

– Skoro oboje i tak nie śpimy, możesz przecież na chwilę wejść do środka. – Pani Giulia spojrzała na mnie miło. – Mam dla ciebie prezent i mogę ci go wręczyć właśnie teraz.

– Prezent?

Zamrugalem oczami i wszedłem za nią do przytulnego wnętrza jej prywatnej komnaty. Były tam jeszcze dwie służące: jedna drzemała pod ścianą na ławie, na której rozłożona była nocna koszula jej pani przygotowana do przebrania przed snem, druga ziewała, grzebiąc pogrzebaczem w piecyku. Spojrzały na mnie sennie, wzdrygnęły się lekko z zaskoczenia i zaczęły wstawać, ale pani Giulia zatrzymała je gestem dłoni.

– Odprężcie się – rzekła. – Chyba potrafię sobie sama rozpuścić włosy! – Najpierw jednak poklepała leżący na ławie pod ścianą spory pakunek owinięty w nieskazitelne płótno, w które owijano zazwyczaj jej nowe suknie przychodzące od krawców. – Miałam nadzieję, że będę mogła ci to dać wcześniej –

powiedziała, wkładając mi pakunek w rękę. – Ale uszycie butów trwało dłużej, niż się spodziewałam.

– Butów? – powtórzyłem zaskoczony.

– Twoja nowa liberia. – Popchnęła mnie lekko w stronę parawanu stojącego na drugim końcu komnaty wytwornie wymalowanej w sceny z porwania Sabineek. Najpiękniejsza z postaci, jak zdarzało się to często w komnatach, które zostały przepysznie wymalowane i ozdobione specjalnie dla kochanki papieża, wyglądała jak Giulia. – Przymierz to wszystko, nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jak wyszło.

Z zakłopotaniem wycofałem się za parawan i rozwinąłem płócienne opakowanie. Jeśli włożyła mi do środka strój błazna albo czapkę z dzwoneczkami... Przez parawan dobiegały mnie pojedyncze słowa jej rozmowy ze służącymi. Jedną z nich zapytała, jak się czuje jej chora matka, po czym wysłuchiwała zwierzeń drugiej, która miała nadzieję na poślubienie jednego ze strażników Borgiów.

– Porozmawiam o nim z panią Adrianą. Myślę, że coś nam się uda wymyślić. Czy jest przystojny?

Po chwili wysunąłem się z za parawanu, przełykając ślinę. Zaschło mi w ustach i nie potrafiłem przestać popatrywać na własną postać. Pani Giulia przerwała pogawędkę i odwróciła się, by na mnie spojrzeć, służące poszły za jej przykładem, a ja poczułem, jak serce podchodzi mi do gardła. Nie śmieję się. Proszę, tylko się nie śmieję. Od dawna nikt się ze mnie nie

śmiał... Wciąż byłem karłem, lecz w tym domu cieszyłem się szacunkiem. Obawiano się moich umiejętności i szeptano o nich po kątach, a jeśli jakiś zuchwały strażnik lub jakaś niegrzeczna służąca gapili się na mnie zbyt natarczywie, miałem prawo położyć temu kres bezlitosną uwagą bez obawy, że poniosę karę, bo w tym domu ceniono mnie wyżej od nich. Od dawna nikt się na mnie nie gapił... Jeśli La Bella spojrzy na mnie z wysokości swej urody i wybuchnie tym swoim beztróskim śmiechem...

Roześmiała się... Roześmiała się i klasnęła w dłonie.

– Boże – powiedziała cicho, a malujący się w jej oczach czysty, nieklamany podziw rozluźnił nieprzyjemny ucisk w moim żołądku. – Panie Leonello, wiedziałam, że jesteś przystojnym mężczyzną!

– Wcale nie. – Jakoś znów zdołałem wydobyć z siebie głos, lecz nie potrafiłam oderwać od siebie wzroku. – Aksamitne piórka nie zmienią kulawej kaczki w pawia.

– Cicho. – Okrążyła mnie, przyglądając mi się uważnie. – Pozwól, że ci dopasuję wiązania na ramionach... Dziewczęta, przynieście moje lustro!

Dwie służące przyniosły lustro i postawiły je pod takim kątem, bym mógł się przejrzeć. Na widok własnego odbicia z wysiłkiem przełknąłem ślinę. Liberię, którą wybrała dla mnie pani Giulia Farnese, uszyto z surowego, pozbawionego ozdób czarnego

aksamitu. Poważny, gładki dublet pasował jak rękawiczka na mój dziwacznie ukształtowany tors. Zaszewki przy rękawach zostały tak zmyślnie zrobione, że poszerzały moją sylwetkę w barkach, dzięki czemu głowa wydawała się mniej nieproporcjonalna. Koszula była biała niczym świeżutki śnieg i tylko przy mankietach odznaczał się niewielki, czarny haft.

– Żadnej koronki – zaznaczyła Giulia zza moich pleców. – Obiecałam przecież. I widzisz, w każdym mankiecie masz aż dwie wszyte pochewki na te swoje małe noże.

Dostałem ciepłe, czarne nogawice, które znakomicie pasowały na moje krótkie nogi i nie marszczyły się, czarne buty do kolan i pasek z delikatnej, czarnej skóry, do którego przyszyto kilka kolejnych pochewek na moje ostrza z Toledo. Herb domu, byk Borgiów i papieskie klucze, zostały dyskretnie umieszczone w formie niewielkiej naszywki na jednym z rękawów.

– Z butami było najtrudniej – powiedziała pani Giulia, poprawiając sznurowania moich rękawów w taki sposób, by na ramieniu widoczny był tylko niewielki wycinek oślepiająco białej koszuli. – Kazałam szewcowi skroić je na wzór twojej starej pary i nieco udoskonalić. Podeszwy są dodatkowo wzmocnione pod sklepieniem stopy i do tego są usztywnienia wewnętrznego szwu aż do kolana.

Czułem już, że w tych elastycznych butach minie

wiele godzin drogi, zanim rozbolą mnie stopy.

– Sprawdź jeszcze, czy możesz swobodnie wykonywać ruchy ramion. Za mocno związane? Wiem, że jeśli masz rzucać tymi swoimi nożami, to potrzebujesz pełnego zakresu ruchów. – Pani Giulia cofnęła się o krok i kiwnęła głową, gdy wzięłam zamach. – Kazałam zrobić cztery dublety. Ten z czarnego aksamitu jest na wyjątkowe okazje, ten z solidnego czarnego płótna do noszenia na co dzień przy letniej pogodzie, czarna wełna na miesiące zimowe, a czarna skóra na podróż albo wówczas, gdy zechcesz zapewnić sobie lepszą ochronę. Pamiętam, że powiedziałeś kiedyś, iż mocna skóra znakomicie chroni przed ostrzem.

Oczy mnie zapiekły i obraz w lustrze się zamazał. Odbijała się w nim chłodna sylwetka mężczyzny, surowego, poważnego i niebezpiecznego, którego oczy, skonstrastowane z głęboką czernią, straciły zwykłą, niczym niewyróżniającą się barwę piwną na rzecz niepokojącej zieleni. Wyglądałem... Wyglądałem... Boże.

– Słowo „przystojny” wydaje się pewnym nadużyciem – zdołałem wykszusić.

– Nie sędzę. – Giulia przekrzywiła główkę w lustrze. – Myślę, że twój ojciec musiał dobrze wyglądać.

– Nie, raczej nie.

Mój ojciec był zbyt zmęczony i sterany, zbyt

zmalretowany życiem, by dobrze wyglądać.

– A zatem twoja matka. Czy to po niej masz te ciemne włosy?

– Nie wiem. Nigdy jej nie poznałem.

– Przykro mi. – W głosie Giulii zabrzmiała skrucha. – Panie, świeć nad jej duszą.

– Nie umarła. Z tego, co wiem, prawdopodobnie nadal żyje. – Do całości mojego stroju dopasowano rękawiczki. Na niewyobrażalnie miękkiej skórze również wyszyto byka i klucze. – Widzisz, moja matka była dziwką i normalnie nie miałaby pojęcia, któremu ze swoich klientów zawdzięcza brzuch, ale zanim skończyłem kilka miesięcy, zorientowała się, że ojcem musiał być karzeł, który zonglował jabłkami i orzechami na jarmarcznym przedstawieniu w Borgo. Zapłacił jej podwójnie, żeby nie zwracała uwagi na jego kalectwo i od czasu do czasu pobaraszkowała z nim trochę... Zostawiła cudaczne dziecko z jego cudacznym ojcem i zabrała się na dobre.

Zapadła krótka cisza. Nie patrzyłem w odbijające się w lustrze oczy mojej pani, tylko jedną po drugiej naciągnąłem swoje nowe rękawice. Pasowały idealnie, skrojone tak, by odpowiadać dziwnemu, przypominającemu trójząb rozstawieniu moich krótkich palców.

– Twój ojciec musiał być dobrym człowiekiem – powiedziała w końcu cicho Giulia Farnese.

– Dlaczego to powiedziałaś, pani?

– Bo masz w sobie zbyt wiele dobroci, byś mógł nie zaznać jej jako dziecko, Leonello.

Roześmiałem się i zgiąłem palce obleczone w nowe rękawiczki. Taka miękka skóra. Nie usztywni mi palców, gdy będę musiał zręcznie chwycić za rękojeść noża.

– Nikt nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi na moją dobroć, pani Giulio, ale dziękuję. I tak, mój ojciec był dobrym człowiekiem.

Tak naprawdę zbyt dobrym na ten świat. Pamiętam jego oczy w kolorze zszarzałego błękitu, zupełnie inne niż moje, smutne i niespokojne pod czapką z dzwoneczkami, którą zakładał na występ. Myślę, że zbyt dużo pił, przez co upuszczał ciągle te swoje orzechy i piłki podczas żonglowania, ale ludzie śmiali się tym głośniej, więc nie miało to żadnego znaczenia. Nigdy nie podniósł na mnie ręki, nawet gdy był pijany. To on upierał się, bym się kształcił, chociaż z trudem znajdował na to pieniądze, a ja byłem niewdzięcznym szczeniakiem, który przede wszystkim w ogóle nie chciał chodzić do szkoły. „Będą mnie prześladować inni chłopcy! – buntowałem się. „Chłopcy będą cię prześladować, gdziekolwiek pójdiesz” – powiedział mój ojciec, ciągnąc mnie za sobą. „A jesteś zbyt inteligentny, Leonello, żeby się to miało zmarnować. Pewnego dnia możesz zostać nauczycielem! Albo urzędnikiem!”.

Zastanawiałem się, czy dziś byłby ze mnie dumny.

Ogólnie rzecz biorąc, zapewne nie.

Pani Giulia odprawiła obie służące.

– Idźcie sprawdzić, czy nie potrzebuje was pani Adriana, dobrze? Zaopiekujcie się nią, jeśli nadal boli ją brzuch. – Drzwi zatrzasnęły się za nimi, a ona uklękła na finezyjnym, wełnianym dywanie, a jej podbita futrem suknia ułożyła się w fałdach wokół niej. Zaczęła przetrząsać porzuconą stertę moich starych ubrań w poszukiwaniu toledańskich noży ukrytych w sekretnych pochewkach. – Gdzie jest teraz twój ojciec? – wymamrotała i zaczęła mi jeden po drugim podawać małe noże.

– Nie żyje. – Wsunąłem najkrótsze ostrze do jego nowego domu w mankiecie. – Od jakichś piętnastu lat.

– Co się stało?

– To, co przydarza się wielu z nas. – Wsunąłem kolejny nóż na jego miejsce w cholewie buta. – Trzech pijaków w winiarni. Uznali, że skopanie go będzie zabawne... Jeden z nich musiał kopnąć za mocno. Kiedy wreszcie wróciłem ze szkoły, pluł już krwią.

– Znalazłeś ich? Tych mężczyzn, którzy...

– Oczywiście przysiągłem sobie, że ich znajdę. Znajdę i zemszczę się krwawo, o tak. Jak jednak mogłem ich znaleźć, mając za jedyną wskazówkę opis: „trzech pijaków”? Chociaż nie powtrzymało mnie to od podejmowania prób. – Rozciągnąłem usta w uśmiechu. – Byłem głupim chłopakiem.

Zaległa cisza. Nie chciałem patrzeć na panią Giulie.

Uduszę cię, jeśli mi powiesz, że ci mnie żal. Chwyć cię za to śliczne gardziołko tymi oto rękami w nowiutkich rękawiczkach i wycisnę z ciebie litość aż do ostatniej kropli.

Ale La Bella nic nie powiedziała. Nie wstając z kolan i nie ruszając się znad sterty ubrań, spojrzała na mnie. Aby to zrobić, musiała odchylić nieco głowę do tyłu, jakbym był mężczyzną normalnego wzrostu. Jej wielkie, ciemne oczy wypełniła cisza. Przekazując mi ostatni z moich noży, patrzyła nie na mnie, lecz przeze mnie, a ja nadal chciałem ją udusić. Chciałem być okrutny, nazwać ją głupią dziwką i doprowadzić do łez. Jak śmiesz mnie rozumieć? Jak śmiesz wyciągać ze mnie moje sekrety? Czyż nie to czyniły jednak najlepsze dziwki? Te, które rozumiały mężczyzn aż po czubki swoich obdarzonych intuicją palców? Najlepsze dziwki wcale nie były głupie. I ona również nie była.

Zdławiłem w sobie okrucieństwo, wsunąłem ostatni sztylet do pochewki na nowym pasku i spojrzałem w lustro. Zobaczyłem mrocznego mężczyznę, niebezpiecznego mężczyznę, a nawet mężczyznę przystojnego. Mężczyznę, z którego więksi mężczyźni śmialiby się na własną zgubę.

– Lepiej zabierz stąd to lustro – powiedziałem. – Bo zrobię się równie próżny jak ty, pani Giulio.

– Mam nadzieję, że cię nie uraziłam, panie Leonello – rzekła cicho.

– Przeciwnie, moja śliczna pani. – Odwróciłem się

i złożyłem nienaganny, pozbawiony wyrazu ukłon nad jej dłonią. – Dziękuję ci.

Rozdział 12

Niewdzięczna i perfidna Giulio!

WYJĄTEK Z LISTU RODRIGA BORGII DO GIULII FARNESE

Giulia

Był to nieodmiennie zły znak, kiedy Rodrigo tracąc panowanie nad sobą, zaczął używać papieskiego „my”.

– Cały Kościół chyli przed nami czoła, a my nie możemy skłonić do posłuszeństwa jednej bezmyślnej ladaczniczki? – ryczał. – Jakby nie było wystarczająco dużo problemów z Francuzami!

– Przykro mi jak zawsze, jeśli obraziłam Waszą Świątobliwość – wymamrotałam, wbijając wzrok w swoje złożone dłonie.

– Obraziłaś nas? – wrzasnęła, miotając się w tę i z powrotem, jakby zbyt potężny gniew zmuszał go do nieustannego ruchu. – Ty durna, nieodpowiedzialna, przygłupia dziewczyno, wszystko zniszczyłaś!

Tym razem nie czekałam, aż pani Adriana albo jakiś inny życzliwy informator przekaze mojemu papieżowi, że jego córka i jej mąż skonsumowali swoje małżeństwo. Natychmiast po tym, jak pożegnałam pana Sforzę, patrząc, jak ściska dłoń Lukrecji z wysokości końskiego grzbietu, a ona bezwstydnie nadstawia twarzączkę na pałacowym dziedzińcu do pożegnalnego pocałunku, usiadłam, by własnoręcznie napisać do

Rodrigo. A kiedy tydzień później otrzymałam wiadomość, że powrócił do Rzymu, nasmarowałam i wypachniłam każdy centymetr swojej skóry, założyłam na szyję wielką perłę w kształcie gruszki, która była pierwszym prezentem od mojego papieża, zasznurowałam się w nową, jedwabną suknię w kolorze lawendy ze wstawkami ze srebrnego brokatu i pozostawiwszy włosy rozpuszczone i spływające mi kaskadą aż do stóp, tak jak lubił – czekałam. Gdy już Jego Świątobliwość Aleksander VI wpadł do mojej komnaty w Palazzo Santa Maria, twarz miał tak pociemniałą z gniewu, tak wyraźnie kontrastującą z jego białymi szatami, że mógłby uchodzić za Maura. Jeszcze zanim pierwszy wściekły ryk wybuchł na mnie niczym kipiący gejzer, wszystkie służące rzuciły się do drzwi.

– Lukrecja jest dorosłą kobietą – powiedziałam, kiedy mój papież przerwał dla zaczerpnięcia oddechu. – Wystarczająco dorosłą, by podjąć swoje obowiązki żony. Jak sam napisałeś, podpisałeś i zaświadczyłeś w jej kontrakcie małżeńskim.

– Nie baw się w notariusza, Giulio Farnese – prychnął, nie przestając krążyć po komnacie. Jedna z moich służących, uciekając w popłochu, upuściła koszulę, którą właśnie naprawiała. Kopnął ją wściekle na bok. – Znałaś doskonale nasze życzenia w tej kwestii. Miała pozostać dziewicą, a ten łajdak Sforza miał trzymać łapy przy sobie!

– Pomyślałam o przymierzu Jego Świątobliwości

ze Sforzami i Mediolanem. – Staralam się, by w moim cichym głosie brzmiała uspokajająca, kojąca uległość. – Pan Sforza zaczął żywić przekonanie, że chcesz się go pozbyć...

– I oczywiście, że to rozważaliśmy! Hrabia Pesaro, ha. Jest nieudacznym kondotierem i prowincjonalną marionetką i sądzi, że jest wart papieskiej córki? – Błysnął papieski pierścień, gdy Rodrigo uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Wkupiłem Juana i Jofrégo do rodów królewskich i Lukrecja zasługuje na to samo!

– A zatem Wasza Świątobliwość rzeczywiście zamierza unieważnić to małżeństwo?

– Teraz już raczej nie możemy tego zrobić – warknął na mnie. – Nie po tym, jak małżeństwo zostało skonsumowane! Ty pustogłowa idiotko, mieszająca się do naszej polityki...

– Cezar również tam był. – Nie mogłam się powstrzymać, by nie zwrócić na to uwagi, choć starałam się, by w moim głosie nie pobrzmiwała rozpacz. – Znał twoje życzenia dotyczące małżeństwa Lukrecji. Dlaczego na niego nie krzyczysz za to, że nie powstrzymał pana Sforzy? – Doprawdy, mężczyźni. Pod ręką była niania i starszy brat, żeby dopilnować Lukrecji, a jej złe zachowanie to i tak moja wina? W głowie się nie mieści.

– Cezar zawsze weźmie stronę siostry, nie naszą – prychnął Rodrigo. – Sądziliśmy, że możemy liczyć na to, iż przynajmniej ty zastosujesz się do naszych życzeń!

Znów zaczął na mnie pomstować, więc spuściłam wzrok. Odrobina skruchy nie zaszkodzi: oto skruszona Magdalena gotowa klęknąć u jego stóp i przycisnąć wargi do papieskich butów.

– Lukrecja jest szczęśliwa, Wasza Świątobliwość – zaryzykowałam, gdy tylko urwał na chwilę, by wściekle zaczerpnąć oddechu. – Taka szczęśliwa. Pan Sforza jej się podoba. Z wzajemnością.

– Ona nie ma za zadanie być szczęśliwą! Jest naszą córką. Będzie robiła, co się jej każe!

– Zawsze. – Zerknęłam zza zasłony rzęs. – Ale z pewnością Wasza Świątobliwość cieszy się, widząc, jak jest szczęśliwa w małżeństwie, które sam dla niej zaaranżował?

Nie tyle szczęśliwa, ile wręcz promieniejąca. Gdy tylko orszak Sforzy z dostojnym stukotem kopyt opuścił dziedziniec, podekscytowana Lukrecja zarzuciła mi ręce na szyję.

– Dziękuję ci – wyszeptała. – Jeśli teraz przez jakiś czas go nie będzie, dam radę to znieść. Nie jestem już beзуyteczna!

Przez kilka ostatnich tygodni nuciła bezustannie po całym pałacu, wyszywając z ogromną żoniną pilnością koszulę, którą zamierzała podarować swojemu mężowi przy jego kolejnej wizycie.

– Mężowie lubią dostawać prezenty, które żony samodzielnie dla nich przygotowały – poinformowała mnie, z powagą kiwając głową, a ja bardzo uważałam,

by się nie uśmiechnąć.

Ojciec Lukrecji również się nie uśmiechał. Jego mroczna twarz jeszcze bardziej spochmurniała, a oczy się zwężyły, marszcząc się w kącikach w sposób, od którego włosy zjeżyły mi się na głowie.

– Jesteś naszą konkubiną, Giulio Farnese. – Jego głos przeszedł z wściekłego ryku w zimną sentencję wyroku. – Nie jesteś naszym doradcą ani naszym ambasadorem. I z pewnością nie matką naszej córki Lukrecji. Ani żadnego z naszych dzieci.

Ukłuło mnie to boleśnie. Oczy mnie zapiekły, lecz tylko wściekle przygryzłam policzek od środka. Nie rozplączę się tu przed nim. Na pewno nie.

– Nie jestem, Wasza Świątobliwość – zdołałam wymówić, nie odrywając od niego spokojnego spojrzenia. – W przeciwieństwie do twoich ambasadorów i doradców mam na względzie jedynie twoje szczęście. Szczęście twoje i twojej rodziny.

– Marna to pociecha – warknął. – Rozczarowujesz mnie, Giulio.

Przynajmniej rozczarowuję jego, a nie „ich”.

– Ta myśl przysparza mi bólu.

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam delikatnie grzbietu jego dłoni, ale odsunął ją zniecierpliwiony.

– Muszę dopilnować wielu spraw. – Odwrócił się zdecydowanie. – Nie czekaj na mnie dziś wieczorem.

Nie miałam zamiaru ponownie czekać na niego dwa tygodnie z nadzieją, że wreszcie powściągnie swój

gniew, jak miało to miejsce po naszej kłótni na temat Laury i Orsina. Chwyciłam za jego wyszywany rękaw i zatrzymałam go.

– Z pewnością do obowiązków Ojca Świętego należy karanie winowajców?

– Tak.

Niecierpliwie próbował strząsnąć mój uścisk.

– A zatem ukarż mnie. – Opadłam przed nim na kolana, a moje suknie rozpląły się wokół mnie falą. – Zbłądziłam, Wasza Świętobliwość, i muszę to odpokutować. Ukarż mnie za moje przewinienie.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie z góry. Puściłam jego rękaw i pochyliłam głowę tak nisko, że moje włosy spłynęły kaskadą na jego stopy: prawdziwa Magdalena klęcząca u nóg Chrystusa. Wszystkie Magdaleny wyobrażone na obrazach miały zawsze cudowne włosy, prawda? Pokuta po prostu nie wygląda odpowiednio malowniczo, jeśli nie towarzyszy jej powódź bujnych splotów.

– Wybacz mi, Ojczy, bo zgrzeszyłam – wyszeptałam. Milczał. Nie poruszył się jednak, więc sięgnęłam powoli, bardzo, bardzo powoli po jego dłoń. Podniosłam ją do ust, pozwalając, by mój oddech delikatny niczym tchnienie wiatru owionął koniuszki jego palców, i ucałowałam jego pierścień. – Ukarż mnie – wyszeptałam i zza woalu włosów rzuciłam mu powłóczyście, pożądliwe spojrzenie.

Jego ręka opadła na moją głowę w geście

papieskiego błogosławieństwa, którym na moich oczach obdarzał wiernych setki razy. Ale tym razem dłoń owinęła się wokół moich włosów i bolesnym szarpnięciem poderwała mnie na nogi.

– Zasługujesz na to – wyszeptał.

– Zasługuję – odszepnęłam i delikatnie musnęłam jego usta koniuszkami zębów.

Objął mnie tak mocno, że łzy stanęły mi w oczach, rzucił mnie na pokryte ałtąsem łóżko i tyle z mojej nowej lawendowej sukni ze srebrnymi brokatowymi wstawkami, bo drogi jedwab został rozerwany jednym potężnym szarpnięciem. Otoczyłam go ramionami i ścisnęłam udami, pojękując cicho, gdy jego usta pozostawiały zachłanne ślady na moich ramionach.

– Flirciara – wymamrotał w moją pierś, wściekle zduszając mimowolny wybuch śmiechu. – Flirciara i intrygantka...

– A zatem ukarż mnie za moje intrygi – wyszeptałam, przygryzając płatek jego ucha i drapiąc paznokciami skórę na jego plecach, a on wszedł we mnie z jęknięciem, w którym było tyle samo furii, co pożądania.

– Wielkie nieba! – westchnęłam już po wszystkim, kuląc się u jego boku. – Powinnam częściej wywoływać w tobie gniew, Wasza Świątobliwość. – Pochylił głowę ku moim piersiom i tak długo drażnił je zębami, aż zaczęłam krzyżeć, i to wcale nie z bólu. Wciąż czułam mrowienie skóry. – Zaczynam żywić przekonanie, że

podoba mi się ten rodzaj kary.

Mruknął tylko, a w jego oczach nadal czaił się niebezpieczny błysk, lecz przyciągnął do siebie moją głowę i oparł ją na swoim ramieniu.

– Więcej z tobą kłopotów, niż jesteś tego warta, Giulio Farnese.

– A zatem postaram się dać ci więcej za twoje strapienia.

– Więcej? – Uniósł gęste, ciemne brwi. – Więcej czego?

– Nie wiem – odparłam poważnie. – Muszę się nad tym zastanowić.

Zaśmiał się znów tym swoim dobrze mi znanym śmiechem, w którym pobrzmiwało rozbawienie szaleństwem tego świata.

– Moja Lukrecja... Naprawdę jest taka szczęśliwa? – zapytał.

– Tak.

– Jest żoną Sforzy – zaburczał. – Ale przede wszystkim jest moją córką!

– Zawsze będzie przede wszystkim twoją córką. Kocha cię. Ale pokocha również swojego męża... Będziesz musiał się nią podzielić.

– Nie lubię się niczym dzielić, moja perło. Powinnaś dobrze o tym wiedzieć.

Uszczypnął mnie w pierś, mocniej niż zazwyczaj, ale serce wypełniła mi otucha. Lukrecja była szczęśliwa, a ja byłam nadal perłą jej ojca. Dopóki nią byłam,

wszystko mogło mi być odpuszczone.

Ale czy na pewno?

– Mój ojciec wydaje się poirytowany – poskarżyła się Lukrecja po Nowym Roku. – Ty też to zauważasz?

– Niepokoją go kłopoty z Francją – rzuciłam lekko.

– Och, Francja. – Lukrecja jednym zamaszystym ruchem główki lekceważąco odsunęła na dalszy plan wszystkie francuskie sprawy, unosząc koszulę, którą nadal wyszywała dla swojego pana na Pesaro. Istniała spora szansa, że koszula będzie gotowa na długo przed tym, jak obdarowany przyjedzie ją odebrać. Przebywał wciąż ze swoimi żołnierzami, dwojąc się i trojąc, by zapewnić im żołd. Przynajmniej znalazł czas, aby napisać do żony. Lukrecja w nieskończoność rozpływała się nad tymi listami, czytając mi na głos fragmenty, bym mogła się zachwycić bystrością umysłu jej męża, stylem wysławiania się i niewyrafinowaną obcesowością, która była doprawdy tak przyjemna po wszystkich tych pustych, wymyślnych komplementach dworaków. – Nie chcę, by Francuzi nas najechali. Giovanni nigdy nie zdoła mnie zabrać do Pesaro, jeśli będzie musiał teraz walczyć!

– Może do tego nie dojdzie.

Większość z nas zdawała sobie jednak sprawę, że jest to możliwe. Rządzący Królestwem Neapolu stary król Ferrante zmarł, nad czym nikt specjalnie nie płakał. Miał okropny zwyczaj trzymania swoich wrogów w klatkach i przechadzania się wśród nich, jakby byli

okazami w objazdowej menażerii, tak w każdym razie słyszałam, co w przypadku króla nie było szczególnie krzepiącym zwyczajem. Opłakiwany jednak czy nie, zniknął ze sceny, pozostawiając pusty tron. Mój papież przez kilka tygodni niespokojnie ważył swoją decyzję i w końcu podarował neapolitańską koronę nie francuskiemu królowi, lecz synowi króla Ferrante. Francja, jak doszło naszych uszu, nie była zadowolona.

Nadal sądziłam jednak, że nie jest to jedyny powód, dla którego Jego Świątobliwość był ostatnio tak rozdrażniony. Być może „rozdrażniony” nie było właściwym słowem.

Chłodny? No cóż, nie. W każdym razie nie dla Lukrecji. Nigdy nie potrafił się gniewać na nią zbyt długo. Nie dla Cezara, który całkowicie zignorował niezadowolenie swojego ojca i z werwą wziął się do pełnienia swoich obowiązków członka kolegium kardynalskiego. Nie dla Juana, który zaczął słać z Hiszpanii nadąsane listy, w których dopytywał się natrętnie, kiedy wreszcie będzie mógł wrócić do domu. Nie dla małego Jofrégo...

Może był chłodny tylko dla mnie.

– Jeśli już nie mogę jechać do Pesaro, to chciałabym, żeby chociaż ojciec pozwolił mi pojechać na wesele Jofrégo – złościła się Lukrecja, szarpiąc splątaną nitkę haftu. – Wszyscy tam będą!

Mój papież miał koronować nowego króla Neapolu w Castel Nuovo, a natychmiast po tym miało zostać

zawarte małżeństwo papieskiego syna z nieślubną córką nowego króla – na wypadek, gdyby Neapolitańczykom przyszło do głowy wycofać się z przymierza z papieżem, gdy tylko dostaną to, czego chcą.

– Twój ojciec nie chce, żebyś odbywała podróże tak dalekie jak ta do Neapolu.

– Ale ty jedziesz. I pani Adriana.

Nadąsana Lukrecja wydeła usteczka.

– Opowiem ci wszystko z najdrobniejszymi szczegółami o Sanchy Aragońskiej i innych neapolitańskich damach – obiecałam. – Będą wiedziały, że próbując przyćmić nas dwie, stawiają sobie zadanie niemożliwe do wykonania.

Lukrecja rozpromieniła się natychmiast, błyskając dołączkami w policzkach.

– No cóż, nawet jeśli Sancha jest piękną, jej wesele na pewno nie będzie tak urocze jak moje.

Nie było.

– Czy to możliwe, że to wszystko przeze mnie? – poskarżyłam się Leonellowi. – Czy jestem przekleństwem każdego wesela? Moje było farsą, Lukrecji było wykańczające, a to jest po prostu fatalne.

– Wygląda na to, że rzeczywiście od początku zbierały się nad nim chmury – zgodził się mój strażnik.

Od momentu, w którym mój papież wysłał mnie przodem do Neapolu z resztą świty, lało jak z cebra. Jechałam cztery dni i cztery noce zamknięta w powozie z Leonellem, panią Adrianą i tym zrzędlwym, niskim

Niemcem o nazwisku Burchard, mistrzem ceremonii, którego wysłano z misją pouczenia Neapolitańczyków co do wszystkich niuansów skomplikowanych podwójnych uroczystości koronacyjno-ślubnych. Burchard przez równe cztery dni jęczał, że nowy król Neapolu z pewnością upuści krucyfiks podczas przysięgi albo założy niewłaściwe nakrycie głowy do swojej korony, a Leonello najpierw tak długo zabawiał się dokuczaniem uszczypliwymi uwagami pani Adrianie, że wreszcie nawet ona straciła swoje łagodne usposobienie, a potem wziął się do dręczenia Burcharda, życzliwie zwracając jego uwagę na wszystkie możliwe nieszczęścia, o których Burchard wcześniej nie pomyślał. Kiedy wreszcie dojechaliśmy do neapolitańskiego Castel Nuovo, byłam przesiąknięta wilgocią, zakatarzona i gotowa ich wszystkich udusić. Wyczekiwałam niecierpliwie okazji ujżenia cudów Neapolu, słynnych świątyń, tętniącego życiem portu górującego nad miastem Castel Nuovo z jego podwójnymi wieżami połączonymi białym marmurowym łukiem triumfalnym, ale gdy nasz powóz piątego dnia wtoczył się wreszcie po rozmięklej drodze do Castel Nuovo, miasto było nadal spowite ponurą mgłą. Kwiaty we wnękach wszystkich tych słynnych świątyń były zbite w sterty łądyg, a biały marmurowy łuk ginął w powale nisko wiszących chmur. Gdy w końcu przybył mój papież, w obliczu nerwowych, chaotycznych przygotowań do zawarcia przymierza

przeciw Francji nie miał dla mnie ani chwili. Koronacja ciągnęła się w nieskończoność. Z trudem rozumiałam ciężki neapolitański dialekt, a biedny Burchard właściwie bez przerwy jęczał to swoje „*Gott im Himmel*” i wyglądał, jakby zaraz miał zemdleć.

Nie on jeden. Zanim wreszcie na ołowianych skrzydłach nadleciał dzień wesela, z wielkiego, czerwonego nosa ciekło mi już nieprzerwanie. Biskup zmusił nas do wystawania na zewnątrz w deszczu, podczas gdy błogosławił nas monotownie i kropił wodą święconą – jakby wody nie było już wystarczająco dużo! – a ja smarkałam w zasadzie nieustannie w brokatowy rękaw. Giulia La Bella, no rzeczywiście. Goście weselni wlekli się, ubłoceni po kostki, z determinacją zachowując wesołość, do surowej kaplicy Castel Nuovo, ja zaś w ogóle nie czułam się dziś jak Wenus Watykańska. Nasiąknięta wilgocią jak gąbka, ubłocona, z plamami na twarzy i pociągająca nosem, zdecydowanie w nie najlepszym wydaniu w różowej sukience, której rąbka nie byłam w stanie nie powalać. A tego właśnie ranka naprawdę chciałam błyszczeć, bo Sancha Aragońska była niezaprzeczalną pięknnością.

Była również, o ile się szczególnie nie pomyliłam, wyjątkowym utrapieniem. To szesnastoletnie ciemnowłose i niebieskookie stworzenie o oliwkowej skórze i ponętnych kształtach stąpało posuwicie w niebieskiej brokatowej sukni i nawet ryk szalejącej na zewnątrz burzy nie potrafił ostudzić żaru spojrzeń, które

rzucała w kaplicy na prawo i lewo. Uśmiechała się zalotnie do biskupa i trzepotała rzęsami w kierunku Cezara, który stał milczący i opanowany w swoim kardynalskim szkarłacie. Błyskała perłowymi zębami ku mojemu papieżowi, który wydawał się rozbawiony, ale nawet nie spojrzała na biednego małego Jofrégo, który wytrzeszczając z przejęcia oczy, klęczał u jej boku przed ołtarzem na złotej poduszce, o dobrą głowę niższy od niej. Grzeczny dwunastoletni chłopiec, całkiem przystojny ze swoimi kasztanowymi włosami i w aksamitnym dublecie z rozcinanymi rękawami, lecz przy swojej opanowanej narzeczonej sprawiał wrażenie nerwowego i nadmiernie ruchliwego. Przy swoich braciach i siostrze również, prawdę mówiąc. Jofré z jakiegoś powodu wyglądał tak, jakby posklejano go z resztek, które zostały po ulepieniu nieodgadnionego Cezara, zawadiackiego Juana i czarującej Lukrecji. Rodrigo nie obdarzał Jofrégo czułością na równi z pozostałymi swoimi dziećmi. Pamiętam, że kiedyś wspomniał, iż Jofré prawdopodobnie w ogóle nie jest jego synem. Jakby to była wina Jofrégo, że oschła, długonosa Vannoza dei Cattanei oglądała się za innymi!

– Biedny Jofré – wymamrotałam mimowolnie i kichnęłam w rękaw.

– Tak – przytaknęła nieoczekiwanie stojąca u mojego boku pani Adriana, nie podnosząc głosu. – O ile tylko potrafię to ocenić, ta mała jest niezłą

rozpustnicą. Miejmy nadzieję, że zyskana dzięki niej pomoc Neapolitańczyków w starciu z Francją jest tego warta.

Kiedy odczytywano jej nowy tytuł księżnej Squillace, rzuciła kolejne roziskrzone spojrzenie na mojego papieża, po czym skłoniła uroczyście głowę, by ucałować jego but.

– Leonello! – wyszeptalam do swojego strażnika, który aż wyciągnął szyję, by rzucić okiem na piersi młodej małżonki. – Żadnych lubieżnych spojrzeń!

– Powiedz to swojemu papieżowi. – Leonello posłał mi jasne i ostre jak szkło spojrzenie, po czym obdarzył mnie szerokim uśmiechem będącym kwintesencją drwiny.

W ciągu tych kilku ostatnich miesięcy Leonello był w mojej obecności chłodniejszy, zjadliwszy i i bardziej niż zwykle zdystansowany. Doskonale wiedziałam dlaczego. Bolało go, że zwierzył mi się w chwili słabości, gdy podarowałam mu nowe stroje. Nie byłam na tyle głupia, by okazać mu litość ze względu na przeszłość, o której mi opowiedział, ale i tak miał do mnie żal. Jakoś tak wyszło, że to ja byłam winna sekretów, które mu się wymknęły, ale czyż nie tak było zawsze? Mężczyzna popełniał błąd albo też sądził, że go popełniał, a ostatecznie i tak wszystkiemu winna była kobieta.

Sancha Aragońska zakołysała spódnicą i kilkoma innymi rzeczami, po czym usadowiła się z powrotem na

swojej złotej poduszce. Papież oczywiście wydawał się zadowolony, że neapolitańskie piersi prezentowane są mu tak szczerze, i to nie tylko piersi Sanchy, ale i wszystkich innych dam, przy czym rzymskie damy również zaczęły mizdrzyć się i stroszyć piórka. Kolejny raz żałośnie pociągnęłam nosem, ubolewając, że z powodu deszczu moje oczy przybrały postać wodnistych szparek, a moja chusteczka stała się przemoczoną kulką. Zanim przysięgi zostały do końca wyrecytowane, ceremonialny miecz opuszczony nad głowami panny młodej i jej niedużego męża, a goście wyprowadzeni z kaplicy po spiralnych schodach do znajdującej się powyżej sali, byłam już gotowa oddać wszystkie perły we włosach i na szyi za możliwość padnięcia na spokojne łoże i wyzionęcia ducha albo przynajmniej smarkania i kichania bez świadków. Ale papieska konkubina publicznie musiała być zawsze piękna, opanowana i żwawa, więc dzielnie wydmuchałam zakatarzony nos i posłałam pocałunek Jofrému, który schodził ze stopni ołtarza ze swoją świeżo poślubioną żoną.

Po długiej uczcie on i Sancha z wdziękiem odtanńczyli pawanę. Jofré przeprowadzał ją z uroczą miną przez skomplikowane układy, choć nie był wystarczająco wysoki, by móc ją unieść przy obrotach zagranej później volty. Do tego tańca poprowadził swoją nową siostrę Cezar Borgia, a jej dróżki sfrunęły za nimi na parkiet jak wir wielobarwnych kwiatów.

– Nie przyłączysz się, Giulio? – zapytał mnie Rodrigo, usadowioną w zwałach własnych spódnic na krześle u jego boku. – Naprawdę chciałbym popatrzeć, jak tańczysz.

Wiedziałam, że powinnam spróbować, ale do kataru doszły mi już lekkie zawroty głowy i ogólnie rzecz biorąc, byłoby lepiej, gdyby kochanka papieża nie przewróciła się przed całym tym neapolitańskim dworem jak pijana dojarka na dożynkach.

– Obawiam się, że nie jestem w stanie, Wasza Świątobliwość – powiedziałam przepraszająco, zdobywając się na najpiękniejszy z możliwych uśmiechów. Najpiękniejszy z możliwych wyglądał jednak dość nędznie pod załzawionymi oczami i nosem czerwonym jak wiśnia. Przez twarz Rodriga przemknął wyraz zniecierpliwienia (w końcu ten mężczyzna nigdy nie chorował i nigdy nie brakowało mu energii!), po czym mój papież odwrócił się, wzruszając ramionami, by oglądać wirujące i pochylające się damy. Widziałam, jak jego oczy lustrowały obfite kształty Sanchy Aragońskiej, potem szczuplejszą, jasnowłosą postać Cateriny Gonzagi o łabędziej szyi, a następnie dwie ciemne neapolitańskie piękności, które w obecności papieża chichotały i stroszyły piórka jak pawice... A potem na powrót przeniósł wzrok na Caterinę – żonę hrabiego Ottaviana da Montavecchio i uznaną piękność papieskiego dworu. Bładolicą, piękną, wyższą ode mnie i prawie równie jasnowłosą, noszącą się jak cesarzowa

i równie wydekoltowaną jak panna młoda. Caterina Gonzaga pod spojrzeniem Rodriga skłoniła głowę i obróciła się z wdziękiem, błyskając kostką. Rodrigo uśmiechnął się szeroko.

Poczułam nagłe ukłucie zimna. Przez prawie dwa lata udawało mi się utrzymać miłość papieża. Och, nie byłam na tyle głupia, by sądzić, że był mi całkowicie wierny. Tacy chutliwi mężczyźni nigdy nie dochowują wierności, prawda? Matka zawsze mi powtarzała, że męża, który ma przygody na boku, przy odrobinie modlitwy i ogromnej dozie cierpliwości da się znieść. Chociaż wątpię, czy miała na myśli właśnie papieża, gdy wygłaszała to konkretne kazanie... Tak czy inaczej, miałam na tyle oleju w głowie, by nie robić Rodrigowi awantur, gdy od czasu do czasu zdarzało mu się zabawić z jakąś kurtyzaną na prywatnym przyjęciu lub wziąć do łóżka jakąś chętną ślicznotkę w te noce, kiedy z powodu comiesięcznych kobiecych przypadłości byłam niedysponowana. Chociaż czasem zdarzały mu się zmysłowe przygody, nigdy nie oglądał się za innymi – zawsze wystarczał mu wyłącznie mój widok. Rok temu tylko mnie podziwiałby w tańcu, a gdy muzyka by już ucichła, pociągnąłby mnie na swoje kolano i wyszeptał, że żadna Neapolitanka nie może się ze mną równać. Rok temu nie przyglądałby się, jak Caterina Gonzaga majestatycznie skłania główkę pod jego spojrzeniem rasowego łowcy, podczas gdy on snuje polityczne intrygi z królem Neapolu, tylko z rzadka obdarzając

mnie nieobecny, symboliczny uśmiechem.

Rok temu nie dałam mu jednak jeszcze dziecka, którego ojcostwa nie był pewien. Nie sprzeciwiłam mu się otwarcie w kwestii małżeństwa jego córki. Nie miałam czerwonego nosa i zapuchniętych oczu... Znow bezradnie kichnęłam w rękaw.

– Wygląda na to, że nasz Ojciec Święty dobrze się bawi – zauważył stojący u mego boku Leonello.

Spojrzałam na niego ostro i jego piwne oczy napotkały moje, świdrując je niczym jego noże, przesywając je aż do myśli, które starałam się ukryć.

– Tak, bardzo – powiedziałam pogodnie. – A ty, Leonello? Czy ty się dobrze bawisz?

– Znośnie. Nikt jeszcze nie poprosił mnie, żebym czymś poząnglował.

– Nie śmieliby. – Musiałam to powiedzieć. – Nie przy tym, jak wyglądasz w swojej nowej liberii.

Zerknął na mnie z rozdrażnieniem, ja zaś powstrzymałam chęć powiedzenia mu, że powinien być dumny, a nie poirytowany. Z rozzalonego syna ladacznicy i kiepskiego zonglera stał się tą chłodną, twardą, przystojną, choć niewysoką osobistością w ścisłym otoczeniu papieża! Ugryzłam się jednak w język. Mężczyźni, wysocy czy niscy, nie lubią być pouczeni, prawda?

Czy właśnie w ten sposób straciłam Rodriga? – zastanowił się cichy głos w mojej głowie. Mówiąc mu, że mam lepsze rozeznanie w kwestii małżeństwa

Lukrecji?

Nie straciłam Rodriga. To niemożliwe. Tylko dlatego, że dziś wieczór oglądał się nieco za innymi...? No cóż, a dlaczego miałby się nie oglądać? Z zakatarzonym nosem i zażawionymi oczami nie byłam kuszącą rozrywką. Z pewnością nie mogłam się mierzyć z iście królewską Cateriną Gonzagą. Dlaczego musi być nie tylko wyższa ode mnie, ale do tego i szczuplejsza? Nie wyglądała zupełnie na kogoś, kto musi sobie odmawiać słodyczy, sera i wina, by wcisnąć się w swoje sukienki. Och, nie mogłam znieść tej chudej jak tyczka kobiety, której utrzymanie linii nie sprawiało żadnych kłopotów! Niech no tylko parę razy urodzi. Wtedy zobaczymy, czy dalej będzie zachęcać Cezara, by zmierzył obwód jej talii dłońmi, czy dalej będzie rzucać te królewskie spojrzenia przez ramię, by upewnić się, że Rodrigo ją obserwuje! Kichnęłam cztery razy pod rząd, szukając po omacku chusteczki. Och, dlaczego nie mogę po prostu umrzeć? Odgryzłam ponuro kęs liguryjskiego sera. Zawsze jem, kiedy źle się czuję.

Kolejne tańce, kolejne pieśni, kolejne nieprzystojne żarty, które plenią się zawsze na uroczystościach weselnych, zwłaszcza gdy zbliża się pora udania się nowożeńców do łóża. Nie sądziłam, by mogło tam dojść do prawdziwego zbliżenia. Jofré starał się prezentować dostojnie, ale z każdym wykrzyczanym przez weselników dowcipem oblewał się coraz głębszym rumieńcem i wyglądał tak bardzo, tak ogromnie

dziecinnie.

– Pani Giulio – wymamrotał, szukając schronienia przed spojrzeniem własnego ojca i dłonią mierzwiącą mu od niechcienia włosy. – Co będzie, jak nie będę wiedział, co robić?

Otarłam nos i spojrzałam na najmłodszego syna mojego kochanka. Nie znałam Jofrégo tak dobrze jak Lukrecji. Rodrigo nigdy nie miał dla niego czasu, ale zatrudnił armię nauczycieli, którzy mieli przysposobić go do pełnienia w przyszłości roli książątka Borgiów i pionka na papieskiej szachownicy, więc rzadko spotykałam Jofrégo w pałacu. Zawsze był jednak miłym stworzeniem, włóczęgą się za Lukrecją i bawiącym się czasami z moim ulubionym koziołkiem. Nic nie mogłam poradzić na to, że jego rozszerzone błagalnie brązowe oczy bardzo mnie w tym momencie wzruszyły.

– Co mam robić? – wyszeptał ponownie.

– Pocałuj ją i powiedz jej, że jest piękna – odszepnęłam mu. – Spodoba jej się to.

– Tak, ale jak jeszcze mam ją zadowolić? Cezar zaproponował, że znajdzie mi wcześniej dziwkę, żeby mnie nauczyła kilku rzeczy, ale byłem zbyt zakłopotany, by się na to zgodzić. A Juan napisał mi aż z Hiszpanii długi list wypełniony dobrymi radami, ale połowy z tego kompletnie nie rozumiem...

– Twoi bracia mają dobre intencje, ale to idioci.

Matko Święta, kto wie, jakie upiorne informacje Juan uznał za stosowne przekazać swojemu małego

bratu przed jego nocą poślubną! Kto mógł przypuszczać, że Juan w ogóle potrafi pisać? Wyciągnęłam rękę i przygładziłam włosy Jofrégo. Lukrecji jej młody wiek mógł oszczędzić ceremonii nocy poślubnej, ale chłopiec nie będzie miał tyle szczęścia. Od każdego syna Borgii będzie się oczekiwać dowiedzenia męskości niezależnie od wieku... Bez wątpienia Juan i Cezar baraszkowali ze swoimi pierwszymi dziewczynami już w kołysce!

– Nie słuchaj, co inni gadają – powiedziałam Jofrému zdecydowanie. – Radziłabym, żebyś ze swoją żoną po prostu spokojnie zapadł w głęboki sen. W końcu macie za sobą długi, uciążliwy dzień – przerwałam, by dwukrotnie kichnąć – a na całą resztę będziecie mieli jeszcze mnóstwo czasu.

– Naprawdę?

– Pani Giulio! – Caterina Gonzaga przystanęła przede mną w chwili, w której Sancha Aragońska zniknęła w rozchichotanym tłumie swoich neapolitańskich dam, a papież, śmiejąc się, wstał ze zdobnego krzesła, by odprowadzić ją na górę i udzielić błogosławieństwa przed nocą poślubną. – Z pewnością zechcesz nam towarzyszyć w rozbieraniu panny młodej? – zagruchała Caterina ze swoim lombardzkim akcentem, ponownie przesuwając dłonią po swojej szczupłej talii.

Tylko pod warunkiem, że będę mogła później pościelić ci w trumnie! Buntowniczo obdarzyłam ją swoim najmiłszym uśmiechem, którego słodycz została

nieco zrównowazona napadem kichania, jaki mnie dopadł sekundę później. Nawet jeśli Sancha Aragońska wyglądała jak flądra, nie zasługiwała na to, żebym ją całą obkichała przed jej nocą poślubną. Miałam nadzieję, że Rodrigo ze mną zostanie – przecież widział chyba, jak marnie się czułam – ale wraz z królem Neapolu wchodził już po schodach za chichoczącymi damami. Nachyleni ku sobie wymieniali lubieżne uśmieški. Pomachałam Jofrému krzepiąco swoją kompletnie mokrą chusteczką, zanim uniosła go fala sprośnych życziwców.

– Tutaj jesteś, kochanie. – Spojrzałam podrażnionymi, załzawionymi oczami na tęgą postać Adriany da Mila, która usadowiła się obok mnie, dzierżąc w dłoni, niech Najświętsza Panienka zawsze obdarza ją swoimi łaskami, czystą chusteczkę. – Wydmuchaj dobrze nos, zanim wrócą.

Zatrąbiłam z wdzięcznością. Sala u stóp naszego podestu niemal opustoszała, gdy dworzanie ruszyli hurmem na górę odprowadzić do łoża parę nowożeńców. Zostało tylko kilku niedobitków: pary korzystające z chwili prywatności, by oddać się namiętnym pocałunkom i pokątnym obmacywankom, i kilku młodzików nieprzytomnych od nadmiaru wina, którzy osunęli się na stoły, lądując nosami w talerzach z pokrojonym w plastry melonem albo ze stertą rogalików w miodzie. Bystrooki zarządca obrzucił spojrzeniem przewrócone kielichy i porozrzucane

chaotycznie talerze i klasnął w dłonie, po czym służący rzucili się gromadnie, by pospiesznie uprzątnąć to i owo przed powrotem weselných gości na hulankę, tańce i picie, które bez wątpienia miały trwać aż do rana. Nie sądziłam, by udało mi się wytrwać do północy, a co dopiero do rana.

– Może przydałoby się też odrobinę przypudrować ten nosek. – Pani Adriana przyjrzała mi się uważnie. – Mówiąc bez ogródek, nie wyglądasz najlepiej, moje dziecko.

– Poczekajmy do jutra. – Zatrąbiłam w chusteczkę jak rasowa gęś. – Jutro już będę martwa. Będiesz mnie mogła ułożyć bladą i śliczną w trumnie i pudrować mi nosek do woli.

– Może wypad na wieś dobrze by ci zrobił? Wyjedź z Rzymu na kilka tygodni, zostaw za sobą upały. Bez wątpienia zabawianie Jego Świątobliwości potrafi być bardzo wyczerpujące. Może krótkie wytchnienie od jego względów również by ci się przydało?

Spojrzałam znad chusteczki na swoją teściową. Siedziała spokojna, przyodziana w szmaragdowozieloną suknię, upierścienione dłonie złożyła na podołku i uśmiechała się łagodnie. Spuściłam wzrok, złożyłam jej wyperfumowaną chusteczkę w staranny kwadracik i gestem kazałam Leonellowi się oddalić, by nie słyssał tego, co właśnie chciałam powiedzieć. Nie zamierzałam później wysłuchiwać jego uszczypliwych komentarzy na temat tej właśnie rozmowy.

– Dlaczego, teściowo? – zapytałam wreszcie. – Czy próbujesz się mnie pozbyć?

– Przeciwnie. – Przekrzywiła głowę. – Mój kuzyn zaczyna się rozglądać za nową spódniczką.

Odwrociłam wzrok, próbując zachować kamienną twarz. Trudno jednak zachować kamienną twarz, kiedy człowiek ma tak zapuchnięte oczy i nos.

– Nieprawda. Wcale się nie rozgląda.

– Owszem. Wszystko na to wskazuje.

– Podejrzewam zatem, że jesteś zadowolona!

– Dlaczego, na litość boską, tak sądzisz, Giulio Farnese?

Podobnie jak ona podniosłam nieco głos.

– Bo nigdy mnie nie lubiłaś, Adriano da Mila.

Moja teściowa i ja opanowałyśmy reguły nieufnej koegzystencji. Ona była zbyt przepełniona samozadowoleniem, by się ze mną kłócić, ale ja nigdy tak naprawdę nie zapałam do niej sympatią mimo wszystkich prozaicznych pogaduszek, które prowadziłyśmy w domu w ciągu tych dwóch lat. Nigdy do końca nie zapomniałam o tym, jak w dzień po uroczystościach weselnych odegrała rolę rajfurki młodej żony własnego syna.

– Przeciwnie, moja droga, bardzo cię lubię – odpowiedziała mi pani Adriana z nieoczekiwanym uśmiechem. – I właśnie dlatego chcę ci pomóc utrzymać względy mojego kuzyna. Czy z myślą o tym mogę ci udzielić pewnej rady?

Wytrzeszczyłam na nią oczy. Starsi zawsze chcą udzielać młodym rad, prawda? U naszych stóp służący zbierali brudne talerze z ogryzionymi kośćmi, okruchami chleba i roztopionymi lodami owocowymi. Potrawy podane na tym przyjęciu weselnym nawet w połowie nie dorównywały pysznościom, do których przyzwyczaiał mnie utalentowane dłonie Carmeliny.

– Dlaczego miałabyś udzielać mi rad? – zapytałam w końcu. – Zawsze bierzesz stronę Rodriga! Nawet wówczas, gdy idzie o twojego własnego syna! Dlaczego miałabyś mi pomóc, skoro już twój drogi kuzyn zdecydował, że mnie nie chce?

– Bo jestem po stronie Rodriga, moja droga, i widzę, że twoja obecność jest dla niego dobra. – Poklepała mnie po ręce. – Te chciwe flądry, które wybierał na kochanki przed tobą... Och, wzdrygam się na samo wspomnienie. Vannozzy też nigdy specjalnie nie lubiłam. Tej kobiecie nie wystarczyły klejnoty, musiała mieć jeszcze posiadłości. Co rok nowa willa! – Młasnęła z dezaprobatą. – A ty, moja droga Giulio, jesteś inteligentna, dyskretna i łagodnego usposobienia i nie próbujesz dla siebie i swojej rodziny wyłudzić od niego wszystkich możliwych klejnotów, przysług i prebend. Wydaje się, że zadowala cię samo bycie z nim.

– Bo tak właśnie jest! – Staralam się przybrać pogardliwy wyraz twarzy, ale musiałam kichnąć.

– Jeśli pozwolisz Rodrigowi teraz odejść, wpadnie

w łapy jakiejś zachłannej ladacznicy w rodzaju tej lombardzkiej suki Cateriny Gonzagi – ciągnęła moja teściowa. – Będzie się obnosić po Watykanie jak królowa we wszystkich klejnotach, które zdoła od niego wyciągnąć, a nazwisko Borgia stanie się pośmiewiskiem w całym Rzymie.

Na samą myśl o Caterinie Gonzadze opierającej się na ramieniu Rodriga miałam ochotę kopać i gryźć.

– A co, twoim zdaniem, powinnam z tym zrobić?

Adriana przechyliła głowę na bok jak ciekawska kwoka.

– Słyszałaś z pewnością, że rozłąka rozpala uczucia?

– Słyszałam – odparłam ostrożnie.

Nachyliłyśmy ku sobie głowy. Nie żeby Adriana tak znów bardzo chciała się zbliżyć do mojego siąkającego nosa, ale...

Wkrótce potem mój papież w doskonałym nastroju wmaszerował z powrotem do sali. Ogorzała twarz wystająca z papieskich szat wydawała się rozbawiona, gdy wymieniał porozumiewawczy uśmieszek z na wpół pijanym królem Neapolu.

– Ta twoja córka, szelma, puściła do nas oczko, jak już ją rozebrali i położyli do łóżka!

Założę się, że to zrobiła. Ale przystroiłam się w najpromienniejszy z uśmiechów i popłynęłam ku mojemu bykowi.

– Wasza Świątobliwość! – wymruczałam,

wykrzesując z siebie resztki energii. Mój czerwony nos został tymczasowo ukryty pod warstwą pudru, która mogła starczyć tylko do następnego kichnięcia, ale na dłużej nie była mi potrzebna. Swój urok osobisty musiałam przywołać tylko na chwilę. – Wasza Świątobliwość, właśnie się dowiedziałam! – ciągnęłam, gdy mój papież odwrócił się do mnie. – Pani Adriana powiedziała mi, że postanowiłeś pozwolić panu Sforzy zabrać Lukrecję do Pesaro, by mogła zobaczyć swój nowy dom!

– Myślałem o tym – zaczął. – Nie podjąłem jeszcze ostatecznej decyzji...

Ale ja już kiwałam energicznie głową.

– Bardzo mądrze, Wasza Świątobliwość, bardzo mądrze. Wiesz, że zawsze po wiośnie wybucha w Rzymie zaraza, nie wspominając już o dokuczliwym upale. A jeśli nadejdą Francuzi... no cóż, lepiej, by zaszyła się gdzieś bezpiecznie na prowincji. Chociaż z pewnością teraz, gdy mamy u boku nowych sprzymierzeńców, nie ośmielą się zaatakować! – Błysnęłam dołączkami w kierunku króla Neapolu, który dobrodusznie zatopił spojrzenie w moim staniku, po czym odszedł chwiejnym krokiem w poszukiwaniu własnej kochanki. – Lukrecja będzie zachwycona, że w końcu będzie mogła zobaczyć Pesaro. I ja również! – Pieszczotliwie splotłam palce z palcami Rodriga. – Chociaż oczywiście ogromnie będę tęsknić za Waszą Świątobliwością.

– Tęsknić za mną?

Już patrzył znów na łabędzioszyją Caterinę, która sfruwała właśnie ze schodów z komnaty nowożeńców, rozdając wszystkim wokół swoje wyniosłe spojrzenia, lecz teraz nagle zmarszczył brwi i przeniósł wzrok z powrotem na mnie.

– Kochanej Adrianie i mnie nawet nie przyszłoby do głowy, by odesłać twoją córkę do jej nowego domu bez odpowiedniej eskorty. – Wyciągnęłam rękę i wzięłam moją teściową pod ramię bardziej niż zwykle ochoczo. – Bez obaw, dopilnujemy, by odpowiednio się tam urządziła. Nie powinno to potrwać dłużej niż... powiedzmy... kilka miesięcy?

Czułam, że zaraz kichnę, i znów zaczęło mi ciec z nosa, więc po raz ostatni uśmiechnęłam się olśniewająco, dygnęłam przed moim papieżem i odeszłam swobodnym krokiem, nachylając się ku teściowej.

– Adriano, musimy wziąć ze sobą do Pesaro Carmelinę Mangano... Wiesz, główną pomocnicę kucharza. Być może będę musiała przez kilka miesięcy obejść się bez mojego papieskiego byka, ale nie poradzę sobie bez jej miodowych mostaccioli! – Niemal usłyszałam, jak po naszym odejściu Rodrigo marszczy brwi, i właśnie wtedy dodałam możliwie naturalnym tonem, który miał jednak dotrzeć do odpowiednich uszu: – I domyślam się, że po tylu miesiącach już nie możesz się doczekać spotkania z synem, Adriano. Swoją drogą,

jak sobie radzi drogi Orsino?

Dobiegło mnie już tylko mruknięcie Leonella.

– Boże.

Leonello

Bóg wie, że mam na sumieniu grzechy. Błuznierstwo, cudzołóstwo, kradzież. Chciwość, gdy idzie o rzeczy w rodzaju dobrego wina i drukowanych woluminów. Kilka łagodnych form herezji. Zabójstwo, oczywiście, do tego zabójstwo bez skrupułów. Ale z pewnością – z absolutną pewnością – moje grzechy nie zasługiwały na karę dwóch dni zamknięcia w turkoczącym powozie z panią Adrianą, hrabiną Pesaro, Oblubienicą Chrystusa i jej dzieckiem na dobitkę (które krzyczało znacznie głośniej, niż musiał krzyżeć nasz Pan). Po dziesięć godzin z rzędu przez dwa kolejne dni te trzy kobiety omawiały wyższość podbicia futrzanego nad aksamitnym w odniesieniu do neapolitańskich szub oraz kwestię ostrych czubków aktualnie modnych pantofli.

– Niebieski hiszpański brokat z wyszywanymi wstawkami – powiedziała Giulia, kołysząc rytmicznie dziecko na ramieniu. – W zeszłym miesiącu na mszy widziałam ubraną w to jedną z młodych Moscarich i teraz sama bym chciała taką mieć. Jednak nie z tymi ozdobnie obrębianymi rękawami, nie sądzę, by można było sobie pozwolić na takie zwisające rękawy, jeśli nie jest się bardzo wysokim, bo inaczej po prostu ciągnie

się rękawami po ziemi...

– Nie, to jedna z dziewcząt z rodziny Mocenigo miała takie ozdobne rękawy – sprostowała Lukrecja. – Luciana Moscari miała na sobie różowy atłas ze złotym haftem. Takie rumiane dziewczyny nie powinny nosić różu. Wyglądała jak malina. Ale podobał mi się jej niewielki kołnierz z kuny...

– Benedetta Bellonci miała kołnierz z kuny – poprawiła ją Adriana da Mila.

– Nie, Benedetta Bellonci miała sobolowy kaptur z podszewką z zielonego aksamitu. I najbardziej groteskowe patynki, jakie świat widział...

– To jak spis okrętów u Homera – zwierzyłem się jednemu ze strażników z eskorty pana Sforzy, kiedy zatrzymaliśmy się, by napić konie. – Tylko że chodzi o suknie. A nawet gdyby chodziło o statki, to i tak jest to najnudniejszy rozdział *Iliady*!

– Lepsze to niż jazda w deszczu – zauważył strażnik, czego potwierdzeniem była jego ociekająca wodą, zabłocona liberia. – Siedzisz sobie suchy i bezpieczny z najpiękniejszymi kobietami Rzymu, więc nie oczekuj, że się nad tobą użalę, panie Leonello! Gdybym był na twoim miejscu, dałbym nura pod spódnicę pani Giulii i nie wychylałbym się stamtąd, choćbym miał się udusić...

Być może sprawiły to moje żarliwe modlitwy, ale trzeciego dnia naszej podróży z Rzymu do Pesaro słońce weszło na niebie czystym i bezchmurnym. Nie

przepadałem za końmi, ale porzuciłem powóz, rozpaczliwie łaknąc świeżego powietrza, stukotu końskich kopyt w jasnym świetle czerwcowego poranka, a nade wszystko ciszy.

– Będziemy cię musieli wsadzić na muła razem z bagażem – powiedział z powątpiewaniem jeden z poganiaczy. – Nie możesz jechać konno, nie z takimi krótkimi nogami... Nawet się nie zorientujesz, jak koń cię przerzuci przez głowę.

– Mogę jechać nawet na kozie – przyrzekłem solennie. – Mogę ujeżdżać samego diabła, o ile tylko nie będą temu towarzyszyły dyskusje o siatkach na włosy i zdobionych rękawach.

Pani Adriana została w swoim powozie, ale obie młodsze damy przesiadły się na siodła. Lukrecja dosiadła małego białego dzianeta, na którym jeździła w tę i z powrotem między powozem a czołem orszaku, gdzie jechał jej pan hrabia ze swoimi żołnierzami. Pani Giulia jechała wolniej na swojej jabłkowitej klaczy, a zabłąkane kosmyki unosiły się wokół jej twarzy jak złote wstążki w ciepłej bryzie. Ja sam przycupnąłem na obładowanym mule, wciśnięty między juki, mając przed sobą sznur trzech innych objuczonych mułów powiązanych jeden za drugim i wiedzionych przez znudzonego strażnika. Muły cuchnęły przenikliwie jak sterty łajna, a z drogi podnosił się kurz wierzący wściekle w nosie, ale słońce grzało mnie w plecy, a gdy unosiłem wzrok znad rozkołysanej defilady mulich

zadów, przed moimi oczami roztaczał się nieskończony, złotozielony wiejski krajobraz.

– Czemu tak rozdziawiasz usta, Leonello? – zapytała Giulia, przechodząc z kłusa do stępa. – Przecież to tylko wieś. Owce, pasterze i chaszczce. Przecież musiałeś wcześniej przejeżdżać przez wieś!

Zawahałem się, nie odrywając wzroku od zakurzonego horyzontu rozkołysanych traw i zabłąkanych kóz. W ciągu tych ostatnich kilku miesięcy nie czułem się szczególnie swobodnie w towarzystwie La Belli. Od tamtej nocy, kiedy tak głupio podzieliłem się z nią historią swoich narodzin i zobaczyłem w jej oczach litość... Nie chciałem, by ktokolwiek się nade mną litował, i po tym wszystkim czułem ukłucie żalu za każdym razem, gdy na nią spojrzełem. Ale teraz, pod tym ciepłym czerwcowym słońcem, z nogami dyndającymi po bokach muła, czułem się dziwnie szczęśliwy. Zwyczajny chłopak na wakacjach. Chociaż w całym swoim życiu nigdy nie wyjechałem na wakacje.

– Nigdy wcześniej nie byłem tak daleko od Rzymu – wyznałem, dziwnie upojony. – To wszystko jest bardzo osobliwe dla chłopaka z miasta.

– Wychowałam się niedaleko stąd. – Giulia wskazała na zachód, w każdym razie tak mi się wydawało, że tam jest zachód. Skąd taki mieszcuch jak ja miał znać kierunki, gdy dotychczas jedynymi punktami odniesienia były najbliższy kościół, plac albo

kapliczka? Nie miałem pojęcia, jak ci wieśniacy to robią. – W Capodimonte, to w tamtą stronę. Jest tam więcej drzew niż tutaj – powiedziała odrobinę tęsknie. – I wielkie jezioro Bolsena. Jest piękne. – Zmarszczyła nosek i podniosła głowę, nie bacząc na piegi, które zdążyły już złotymi płatkami pokryć jej policzki. – Nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale tęskniłam za wsią.

Już teraz znacznie mniej przypominała rozpieszczoną kochanicę papieża: włosy upakowane niedbale w siatce, kurz na sukni z rozcięciami do konnej jazdy, żadnej widocznej perły. Mieszkańcy wiosek, którzy ściągnęli w swoich przykurzonych koszulach, by pogapić się z pobocza drogi na przejeżdżający orszak, jednak i tak ją rozpoznawali. Kobiety pokazywały ją sobie palcami i szeptały, a mężczyźni brali bosonogie dzieci na barana, by popatrzyły na skrzącą się procesję koni, powozów, objuczonych mułów i strażników w barwach pana Sforzy.

– To hrabia Pesaro – biegł szept, ale w tym kraju nie brakowało podobnych mu pomniejszych panków, więc nikt nie zaszczycił Sforzy ponownym spojrzeniem, choćby nawet jeszcze dumniej paradował on na czele pochodu na swoim okrytym ozdobnym czaprakiem koniu. – To córka papieża! – szept wzmagął się w podnieceniu, a nowa hrabina Pesaro unosiła dłoń i skłaniała się w siodle, łaskawa, lecz nieprzystępna, bardzo świadoma swej godności teraz, gdy była żoną i wielką panią. – A to jest papieska konkubina! –

szeptano wreszcie, a ludzie wyciągali szyje, by spojrzeć choć raz na kobietę, która skusiła Wikariusza Jezusa Chrystusa do złamania ślubów, Giulia natomiast śmiała się i rozsyłała pocałunki jak prosta dziewczyna na jarmarku.

Czekało nas jeszcze kilka dni drogi do Pesaro, ale tego dnia pod wieczór mój muł zgubił podkowę.

– Nie mogę się teraz zatrzymywać i przeładowywać sakw na inne muły tylko po to, by zrobić ci miejsce – powiedział przepaszająco strażnik, kiedy ześliznąłem się sztywno na ziemię po wypchanych jukach. – Obawiam się, że oznacza to dla ciebie powrót do powozu, panie Leonello.

– Może jechać ze mną – zaproponowała pani Giulia, wstrzymując swoją klacz w błysku szkarłatnego czapraka i srebrnej grzywy.

– Zdecydowanie nie – powiedziałem. – Znów zaczniesz mówić o poezji albo tkaninach na sukienki i wtedy będę cię musiał zamordować. A zgodnie z poleceniami otrzymanymi od kardynała Borgii mam ci zapewnić bezpieczeństwo, a nie cię mordować, więc w sumie sędzę, że będzie lepiej, jak umieszczę się na jakimś wozie.

Giulia roześmiała się i gestem nakazała jednemu ze strażników znalezienie wozu, do którego dałoby się mnie wcisnąć.

– Jestem zaskoczona, że obchodzę Cezara na tyle, by wydał ci jakieś dotyczące mnie rozkazy. Zazwyczaj

patrzy na mnie jak na powietrze.

– Nie obchodzisz go. – Rozmasowałem sobie powykręcane nogi, czując, jak mięśnie zaczynają się rozluźniać. – Nie obchodzi go nic poza jego rodziną. Ale nie uda mu się w pełni skupić uwagi Jego Świątobliwości na kwestii Francji, dopóki nie dopilnuje wszystkich związanych z tobą spraw. Stąd moje rozkazy.

– Znów Francja! – Pani Giulia się skrzywiła. – Naprawdę sądzisz, że zaatakują?

– Wydaje się, że myślą tak ludzie mądrzejsi ode mnie.

– Nikt nie jest mądrzejszy od ciebie, Leonello.

Normalnie bym się z nią zgodził, ale zaczynałem sądzić, że Cezar Borgia bije mnie na głowę. Zamieniłem z nim kilka słów w dniu, w którym przyjechał pożegnać się z siostrą. Wsadził Lukrecję do powozu znacznie uprzejmiej niż panią Giulie, ucałował ją w oba policzki i wyszeptał coś tkliwie po katalońsku, który oni wszyscy rezerwowali na bardzo osobiste rozmowy. Potem jednak zwrócił się do mnie. Miał na sobie dublet i nogawice, równie czarne jak moje i pasujące do niego znacznie bardziej niż szkarłatna szata kardynała, a sztylet z szafirem w rękojeści kołysał się na jego biodrze jak zawsze.

– Pilnuj mojej siostry – rozkazał mi, mocno przytrzymując wodze. – I tej małej chichotki mojego ojca. Będzie bardzo tęsknił za nimi obiema, ale zyska czas, by skupić się na bardziej palących kwestiach.

– Czy to prawda, Wasza Eminencjo? – Nie mogłem się powstrzymać od zadania tego pytania. Rzym huczał od pogłosek, ale to kolegium kardynalskie dysponowało prawdziwą wiedzą, która z dużym opóźnieniem docierała do uszu mieszkańców Wiecznego Miasta. – Że Francuzi koncentrują oddziały?

– Nie tylko koncentrują oddziały, lecz mobilizują wielką armię. – Cezar Borgia powiedział to tak, jakby rozmawiał o pogodzie. – Dowodzi nimi król Francji i chociaż jest najbrzydszym człowiekiem świata chrześcijańskiego, nie jest głupcem, gdy idzie o wojnę. Mówią, że aby poprzeć swoje pretensje do tronu Neapolu, przywiedzie ze sobą trzydzieści tysięcy zbrojnych.

Gwizdnąłem cicho. Staliśmy nieco z boku na rojnym dziedzińcu, podczas gdy pan Sforza jeździł w tę i z powrotem, rozstawiając swoich żołnierzy najpierw tak, potem siak, a kobiety wychylały się z okna powozu, chcąc już jak najszybciej odjechać. Słyszałem, jak mała Laura zaczyna płakać, a Giulia uspokaja ją fragmentem piosenki.

– Czym dysponujemy, by stawić im opór?

– Papieskim wojskiem – powiedział Cezar Borgia.

– Takim, jakie mamy.

– A kto je poprowadzi, Wasza Eminencjo?

Zadałem to pytanie tylko z uprzejmości i Cezar na nie nie odpowiedział. W każdym razie nie odezwał się słowem, ale w jego oczach dostrzegłem taki ogień, że

aż dreszcz mnie przeszedł. W tej iskrze krył się nie tylko płomień, lecz żądza. Pałący, wilczy głód.

– Kto będzie dowodził siłami zbrojnymi przeciw Francuzom? – powtórzyłem.

Cezar Borgia wzruszył ramionami, znów beznamiętny i nieobecny, a jego wielki czarny koń zaczął skubać go za rękaw.

– Czy powinienem zaproponować cię, lwiatko? Cóż to byłoby za widok dla Francuzów.

Zastanowiłem się, czy to możliwe, bym dostrzegł w jego spojrzeniu tę żarłoczną bestię, której na imię Ambicja. Nie podejrzewałem, że chłopak, który przed ukończeniem osiemnastego roku życia został kardynałem, z niezliczoną ilością prebend, posiadłości i zajazdów sypiących mu hojnie groszem, mógł mieć jeszcze jakiegokolwiek ambicje. Czego jeszcze można było chcieć na tym wielkim świecie?

Zawsze jest coś.

– Nie mam ochoty dowodzić armią, Wasza Eminencjo – powiedziałem wreszcie. – Nie lubię dekować się na tyłach, pozwalając, by inni zabijali za mnie. Jeśli już trzeba kogoś zabić, robię to sam.

– Podobnie jak ja.

A kiedy ostatni raz ktoś zginął z twoich rąk? To pytanie prześladowało mnie od początku zimy do nastania nowego roku i nadejścia wiosennego ocieplenia – od momentu, gdy rozegrałem w Viterbo partię szachów z człowiekiem, który zrzucił maskę,

odsłaniając twarz najstarszego syna papieża. Kiedy ostatni raz widziałeś życie gasnące w ludzkich oczach, Wasza Eminencjo? I czy mogły to być oczy przybitej do stołu dziewczki z gospody?

Gdybym po zabiciu don Luisa i strażnika Borgiów kontynuował swoją misję, gdybym nadal ścigał zamaskowanego mężczyznę, z którym poszli na dziwki... Gdybym dopadł tego mężczyznę i ściągnął mu maskę... Czy jego twarz również należałaby do najstarszego syna papieża? Jakby to było pytanie, które kiedykolwiek mógłbym zadać, i morderstwo, które kiedykolwiek mógłbym pomścić, choćbym nawet uzyskał odpowiedź.

A jednak chciałem ją uzyskać, choć w głębi duszy miałem nadzieję, że to nie Cezar. W sumie go lubiłem. Zawdzięczałem mu życie, noże i swoją obecną pomyślność. No i był znakomitym partnerem do szachów.

Giulia znów się zaśmiała, wytrącając mnie z moich ponurych rozważań.

– ...a ty co myślisz, Leonello?

Zamrugąłem, zbierając myśli.

– Co myślę o czym, pani Giulio?

– Co myślisz o nowym sonecie pana Sforzy oczywiście! Tym ku czci Lukrecji...

Lukrecja uniosła dumnie głowę. Musiała zawrócić i przytrzymać swojego małego dzianeta obok klaczy Giulii, podczas gdy ja siedziałem zatopiony w swoich na

wpół heretyckich rozważaniach na temat jej ukochanego brata.

– Mój pan mąż porównuje mnie do bogini Wiosny
– westchnęła córka papieża. – Jakie to romantyczne...

– Proszę mi wybaczyć, pani – powiedziałem pospiesznie. Bezbarwne wierszyki pana Sforzy były już znane wszystkim mieszkańcom pałacu, a w każdym razie tym, którzy nie umykali wystarczająco szybko, kiedy trafiona miłosną strzałą mała hrabina przychodziła szukać publiczności gotowej wysłuchać ostatniej rymowanki jej męża. Rozejrzałem się, szukając wyjścia z opresji, i dostrzegłem znajomą czarną głowę na przodzie kolejnego przetaczającego się obok wozu. – Pani Giulio, myślę, że pojedę ze sprzętem kuchennym. Lepsze patelnie od poezji...

Signorina cuoca mało zachęcająco pociągnęła nosem, kiedy podsadzono mnie na ławkę obok niej.

– Jedź sobie gdzieś indziej, panie Leonello. Gdzieś, gdzie cię chcą.

– A kiedy będę miał przyjemność trochę cię podenerwować? – Oparłem buty na ławce obok jej butów, a wóz szarpnął i potoczył się dalej. – Nigdy. Co to jest? – zapytałem, kiedy ostentacyjnie zatopiła nos w pliku zapisanych drobnym maczkiem stron. – Zaszifrowane, jak rozumiem. Czary? To właśnie dlatego uciekłaś z Wenecji, ha! Oskarżona niesłusznie przez zazdrosnego kochanka, uniknęłaś kary za uprawianie czarów, przekupując dozorcę więziennego,

i nie miałaś innego wyboru, jak uciec do Świętego Miasta!

Utkwiła we mnie spojrzenie wytrzeszczonych nagle oczu.

– Skąd wiesz?

Brwi podjechały mi do góry.

– Nie mów mi, że zgadłem... – Wskazałem palcem na zaszyfrowane strony. – Poważnie?

– Nie. – Zmrużyła kpiąco okrągłe jeszcze przed chwilą jak spodki oczy. – To tylko przepisy, idioto.

– Och. – Uchyliłem czapki. – Dobrze odegrane, signorina. Szkoda, podobała mi się ta teoria z czarami. Nie martw się, mam mnóstwo innych. Może jesteś na przykład Żydówką, która uchodzi z Hiszpanii przed inkwizycją?

Paplałem dalej, obserwując, jak bębni palcami po udzie i udaje, że nie zwraca na mnie uwagi. Mijaliśmy właśnie przydrożną gospodę. Na widok połyskujących sztandarów Sforzy pijacy poderwali się pospiesznie od stołów. Kilku padło na kolana, reszta mrużyła tylko oczy, chwając się na nogach. Zobaczyłem dwie dziewczki, które dygając nieprzytomnie, co przywodziło na myśl dwa jabłka kołyszące się w miednicy, chłoneły każdy szczegół sukienki Lukrecji, włosów Giulii i ozdobnego powozu z tarczą herbową zaprzęzonego w dwa sycylijskie konie jednakowej maści. Nie były szczególnie ładne, te dziewczki z gospody, ale po kilku łykach dobrego wina wszystkie dziewczyny wydają się

ładniejsze. Jak Anna, której dołączki wydawały się tym głębsze i słodsze, im więcej się piło. Dziwne, że ledwie pamiętałem twarz Anny, a jednak wciąż powracała do mnie w myślach...

Zobaczyłem, jak jadące przede mną Giulia i Lukrecja skierowały swoje konie na rosnącą wzdłuż drogi trawę, by uniknąć kurzu wzbijanego przez konie idące w zaprzęgach. Wciąż rozpływały się nad marnym sonetem hrabiego Pesaro.

– „Bądź pozdrowiona, o jasna bogini wiosenna”...

Wariujesz, karle – mówiłem sobie czasami. Bo nie miałem żadnego, kompletnie żadnego powodu, by sądzić, że człowiek w masce był najstarszym synem papieża. Przybicie kobiety do stołu musiało być dziełem działającego w afekcie szaleńca. Zupełnie nie pasowało do chłodnego rozmysłu, z jakim działał Cezar Borgia. Z pewnością każde popełnione przez niego morderstwo musiało mieć swój cel. Musiało być morderstwem kogoś, kto zagrażał albo jemu, albo jego ambicjom, albo jego rodzinie. Tak dalece wyrastał ponad Annę i jej podobne, że w jego oczach były zapewne nie większe od żuczków uwijających się pod stopami.

Ale czyż to nie aroganci tego świata rozdeptują żuczki? Po prostu dlatego, że mogą? „Zabijanie to umiejętność jak każda inna” – powiedział mi Cezar nad szachownicą, wspominając swoje pierwsze zabójstwo. „Należy ją ćwiczyć tak długo, aż zaczyna przychodzić łatwo i naturalnie”. Czy Anna i jej następczynie mogły

być po prostu ćwiczeniem? Cezar musiał być bardzo młody w chwili śmierci Anny, ale przecież utrzymywał, że zabił swojego pierwszego rzezimieszka w wieku szesnastu lat – i był niezadowolony z tego, jak niezręcznie tego dokonał. Każde kolejne zabójstwo tych kobiet dokonywane było coraz czyściej.

Może mimo wszystko nie były to zbrodnie w afekcie? Był w nich pewien rodzaj pragnienia, mroczny zamiysł przeprowadzenia kolejnego zabójstwa w dokładnie taki sam sposób jak poprzedniego. Cezarem Borgią rządziły mroczne żądze, o których wiedziałem. Sam widziałem w jego oczach czarne płomienie, kiedy zegnał nasz orszak i rozmawiał ze mną o dowodzeniu papieską armią. Ponieważ nie pozwolono mu poprowadzić papieskiej armii, być może znalazł dla nich inne ujście...

– „Róże oplatają twą gibką kibić”...

Jeśli jednak Anna i pozostałe kobiety były tylko zimnym zaspokojeniem niespełnionych ambicji, zimnym samoucziem subtelności mordu, jeśli ofiary wybrano właśnie dlatego, że nikt by po nich nie płakał, czemu przypisać pozostawienie przy ostatnim cieie sztyletu, który wzbudził tyle domysłów? Ani przez moment nie wierzyłem, by Cezar zrobił coś podobnego z czystej lekkomyślności.

Może się znudził? Czyż sam tego nie powiedział, drażniąc się ze mną? „Może byłem nie tyle głupi, co arogancki? Może chciałem zobaczyć, jak daleko mogę

się posunąć, unikając mimo wszystko kary?”.

Powinienem się zapewne zastanowić, dlaczego w ogóle miałyby mi coś takiego mówić, ale ten jeden element całego tego nieprzeniknionego chaosu w ogóle mnie nie zastanawiał. Cezar Borgia lubił gry, i to każdego rodzaju, rozgrywane szachowymi i ludzkimi pionkami. Drażnienie mnie – niezależnie od tego, czy kłamał, czy mówił prawdę – było jeszcze jedną grą służącą jego rozrywce. Być może ostatnią grą finalizującą serię morderstw, bo wydawało się możliwe, że kolejnych już nie będzie. Przez całą zimę nadstawiałem ucha, od niechcienia rzucając między kartami pytania podczas gry ze strażnikami Borgiów, gwardzistami papieskimi i strażnikami miejskimi. Próbowiałem nawet pozyskać zaufanie stalwookiego Michelotta, ale ten tylko patrzył na mnie nieruchomo jak ślepy posąg. Nie znaleziono już więcej przybitych do stołu kobiet z poderżniętym gardłem. Ani jednej od ostatniego lata, kiedy to pod sklepieniami Viterbo rozegrałem z Cezarem Borgia partię szachów i obserwowany przez porzuconą na posadzce maskę zadałem mu pytanie, czy stoi za morderstwami nieszczęśnych kobiet.

Pytanie, na które mi skrupulatnie nie odpowiedział.

– „Cichy twój głos jak piórka synogarlicy”...

Posłyszawszy niesione wiatrem słowa deklamowane przez małą hrabinę Pesaro, Carmelina podniosła wzrok znad zaszyfrowanych stron

z przepisami.

– Co to za poezje, o których ciągle mówi pani Lukrecja?

– Nie pytaj, bo wyrecytuje ci cały sonet – powiedziałem w roztargnieniu. – Za sprawą miłości pan Sforza odkrył w sobie talent poetycki i stanął w szranki z Dantem, by usłyszeć swe strofy w wykonaniu młodej żonki. Nawet powieszony do góry nogami skleciłbym lepsze wersy.

– Poezja – prychnęła Carmelina, po czym przewróciła stronę w zbioru przepisów. – Dzięki niech będą świętej Marcie, że do zwyczajnych dziewczyn nikt takich wierszy nie wypisuje.

– Poezja cię nie wzrusza?

Oderwany na chwilę od niewesołych myśli, otworzyłem szeroko oczy.

– Byłabym znacznie bardziej wzruszona, gdyby jakiś mężczyzna zrobił mi kolację – odparła. – Ale oczywiście nikt nigdy nie gotuje dla kucharek.

Wóz trząsł się i podskakiwał na wybojach, a ja zacząłem się przyglądać Carmelinie z namysłem. W sakwach i skrzyniach pobrzękiwały zapakowane garnki, kuchenny sprzęt potrzebny w każdej podróży, i Carmelina odwróciła się, by zacisnąć nieodpowiadający jej wymaganiom supeł na jednej ze skrzynek. Spochmurniała i między jej prostymi, czarnymi brwiami zaznaczyła się znajoma linia, ale z wyrazu jej twarzy wywnioskowałem, że jest równie

zadowolona jak ja, iż oto siedzi sobie pod gołym niebem i podąża w nieznaną.

– Czy mogę ci zadać pytanie? – zapytałem.

– Przyjechałam do Rzymu do pracy, Leonello. Nie dlatego, że jestem czarownicą, Żydówką albo wypędzoną kurtyzaną!

– Nie, nie o to chodzi. – Próbowałem się do niej uśmiechnąć, ale gdy tylko zaczynałem być uroczy, nasza nieprzystępna kucharka natychmiast nabierała podejrzeń. No cóż, szybko chwyciła? – Służące w Palazzo Santa Maria... Wiem, że mają... trudności z księciem Gandii...

– Już nie, skoro wyjechał do Hiszpanii – prychnęła Carmelina. – Wszystkie służące z pałacu przez tydzień podśpiewywały z radości.

– Mogę sobie wyobrazić. – Kiedy szło o służące, Juan Borgia uważał papieski seraj za własny. Czasami zastanawiałem się, czy to możliwe, by to on był człowiekiem w masce. Z pewnością znajdował upodobanie zarówno w kobietach niskiego stanu, jak i w tych, które mu się sprzeciwiały, a do tego był gwałtownego usposobienia. Nie starczało mu jednak cierpliwości, by doścignąć, zabić i właściwie oprawić zwierzynę, więc co tu mówić o kobietach? Leniwe przebijanie mieczem bezpańskich psów w ciemnych zaułkach wiele mówiło o tym, ile wysiłku skłonny był włożyć w przemoc. I chociaż mógł zgwałcić dziewczynę, jakoś nie potrafiłem sobie wyobrazić, by

później poderżnął jej gardło. Rzuciłby jej monetę i uznałby się za nadzwyczaj wspaniałomyślnego, że zaszczycił ją swoją uwagą. – A czy służące miały kłopoty z Cezarem Borgią? – zapytałem, nie dzieląc się swoimi przemyśleniami.

Twarz Carmeliny przybrała jeszcze podejrzliwszy wyraz.

– A czemu chcesz wiedzieć?

– Z czystej ciekawości. – Jeśli Cezar Borgia rzeczywiście odczuwał te mroczne, niewypowiedziane żądze, które doprowadziły do śmierci Anny i wszystkich pozostałych kobiet, być może służące domu Borgiów zauważyły znaki ostrzegawcze. – Czy unikały zalotów Cezara tak samo jak Juana?

– Nie. – Carmelina się zawahała. – Tak.

– To jak w końcu?

– Księżę Gandii jest łajdakiem, ale jak mu dogodzisz, to może i rzuci ci monetę czy dwie – odpowiedziała z wahaniem. Dokładnie tak, jak sądziłem. – I nie trwa to długo – dorzuciła, prychając. – Beatrycze, praczka, powiedziała, że dłużej się wykręca mokrą koszulę.

Nie mogłem się nie roześmiać. Zdecydowanie nie było to w stylu mojego skrupulatnego, zadającego sobie wiele trudu mordercy.

– A Cezar?

– Nie płaci. Nigdy. I się nie spieszy.

– Czy jest brutalny? – Mężczyzna lubujący się we

krwi mógł też znajdować upodobanie w siniakach. Gdy był akurat w łagodnym nastroju.

Carmelina mimowolnie objęła dłonią nadgarstek i potarła go.

– Skąd mam wiedzieć?

Przyjrzałem się jej uważnie.

– Czy ty się właśnie nie zaczerwieniłaś?

– Nie bądź śmieszny.

Podniosła przepisy na wysokość oczu i ukryła za nimi twarz, udając, że czyta. Pociągnąłem je z powrotem na dół.

– Zaczerwieniłaś się. Nie mów mi, że baraszkowałaś na sianie z kardynałem Borgią, *signorina cuoca*.

– Dlaczego miałby się oglądać za pałacową kucharką, kiedy ma dla siebie najdroższe rzymskie kurtyzany?

– Dlaczego unikasz odpowiedzi? – Uśmiechnąłem się szeroko, widząc jej pochmurną minę. – Poza tym wszyscy wysoko urodzeni pankowie lubią od czasu do czasu zabawić się z dziewczyną z ludu i kardynał Borgia nie jest tu żadnym wyjątkiem. Takie celowe unurzanie się w błocie, jakąż to rozkosznie brudna przyjemność...

Dopełniłem wulgarne słowa obscenicznym gestem i oczy Carmeliny zapłonęły gniewem.

– Czy to cię właśnie bawi, Leonello? Możliwość usłyszenia najdrobniejszych szczegółów? – Potrząsnęła z obrzydzeniem głową. – Nie zawracaj mi głowy

swoimi zboczeniami.

– Nie pytam bez powodu – powiedziałem i poczułem zaskakujące dla mnie samego ukłucie niepokoju. Nie uśmiechałem się już. – Czy on cię skrzywdził?

– Nie. – Spojrzała mi prosto w oczy. – Był łagodny jak baranek.

– Kłamiesz. – Znowu poczułem podniecenie i napięcie towarzyszące rozpoczęciu łowów. – Co on ci zrobił? Uderzył cię? Związał?

Uśmiechnęła się.

– Wiesz, myślę, że dobrze mi zrobi krótka przechadzka.

Arogancko uniosła spiczasty podbródek i oddała mi pole, zsuwając się z wozu i idąc naprzód, by dołączyć do swojego rudego ucznia, który po zakurzonej drodze kopał jakiś kamień.

Łagodny jak baranek, akurat. Kopnąłem butem w deski pod nogami. Kłamczucha. Ten gest, to nieświadome, mimowolne objęcie nadgarstka. Czy oznaczało siniaka, który dawno się już zagoił? Powiedzmy, taki rodzaj siniaka, który powstaje, gdy komuś się przyciśnie ręce do stołu?

Jakie to miało znaczenie? Nawet gdyby mi powiedziała, że Cezar Borgia lubił nieco posiniaczyć swoje kochanki, to niczego by nie dowodziło. Nawet jeśli lubił nosić maskę i wyprawiać się Bóg jeden wie na jakie samotne awantury. Nawet jeśli jego sztylet

znaleziono wbity w dłoń tej ostatniej dziewczyny i to on go tam umieścił. Nawet gdyby mi wyznał, co uczynił, to co mógłbym zrobić z tą wiedzą? Był synem papieża. Nie było siły, która mogłaby go postawić przed obliczem sprawiedliwości.

Zastanawiałem się jednak czasem, czy rzeczywiście obchodziła mnie sprawiedliwość. Pragnąłem wiedzy, rozwiązania zagadki, która tej zimy zaprzętała moje myśli. Chciałem, by zamaskowany mężczyzna zdjął maskę i pokazał mi swoją twarz – niezależnie od tego, do kogo należała. Chciałem, by pstryknięciem palców przewrócił swojego szachowego króla, przyznając się do porażki.

– Leonello! – Giulia ponownie zawróciła ku mnie swą filigranową klacz i kłusowała teraz obok wozu. – Leonello, posłuchaj tego fragmentu napisanego przez hrabiego Pesaro: „O wiosno, jasna i piękna”...

– Błagam, przestań – jęknąłem, z trudem odrywając myśli od splątanego węzła bezsensownych podejrzeń. Boże, nic dziwnego, że kwestia morderstwa zaabsorbowała mnie tej zimy do tego stopnia. Inaczej nie zostałoby mi nic z wyjątkiem wiejskiej poezji.

– Caterina Gonzaga chce nas odwiedzić w Pesaro – mówiła właśnie Lukrecja Giulii, z ponurym wyrazem twarzy, wychylając się ze swego aksamitnego siodła. – Musimy dopilnować, żebyśmy wszystkie miały nowe suknie. Nie dopuszczę do tego, by ktoś mnie przyćmił w moim własnym domu, moim nowym domu! A ty

wiesz doskonale, że ona zawsze pcha się naprzód, jakby była królową! Założę się, że jej mąż nigdy nie pisał dla niej wierszy...

– Zabijcie mnie – poprosiłem. – Proszę, zabijcie mnie, zanim znów zaczniecie gadać o strojach.

Ale karłów nikt nigdy nie słucha.

Rozdział 13

Porównywać ją z Tobą to jakby porównywać latarnię ze słońcem.

RODRIGO BORGIA, PORÓWNUJĄC CATERINĘ GONZAGĘ DO
GIULII FARNESE

Carmelina

Dokąd idziemy, signorina?

– Na targ rybny. Pospiesz się, Bartolomeo! – Przyspieszyłam kroku, owijając się ciasniej płaszczem, a mój uczeń puścił się truchtem. W szarym przedświcie Pesaro dopiero zaczynało się budzić. Rzym o tej godzinie tętniłby już życiem: rzemieślnicy spieszyliby, by otworzyć swoje warsztaty, pijacy po nocnych hulankach chwiejnym krokiem wracaliby do domów, a żebracy obstawialiby najkorzystniejsze do zarobku ulice.

– Dlaczego idziemy na targ rybny, signorina? – Bartolomeo posłusznie targał ogromny kosz, który mu wcisnęłam, gdy wychodziliśmy z pałacowej kuchni. – Zarządca Palazzo Ducale powiedział, że zamówił dla ciebie jesiotra, którego dostarczą świeżego prosto pod drzwi...

– To oznacza tylko tyle, że zarządca dostaje łapówkę od handlarza jesiotrów. Sama zobaczę, co jest dostępne, bardzo dziękuję.

Pani Lukrecja przyzwyczajona była jeść najlepsze rzeczy, a ja miałam zamiar dopilnować, by nie uległo to

zmianie po tym, jak się już zadomowi w nowym pałacu. Młoda żona, która uczy się zarządzać gospodarstwem swego męża, powinna mieć przynajmniej pełny żołądek. Może pieczone gołębie w jeżynowym sosie i zwykła, krucha, rzymska pizza, która przypomni jej dom rodzinny...

– Ładny mamy dzień, signorina – zaryzykował Bartolomeo. Miał teraz piętnaście lat i od czasu, gdy pierwszy raz rzuciłam mu fartuch ucznia, urósł o dobre dwadzieścia centymetrów. Wciąż miał tak mlecznoblada skórę, że piegi pokrywające mu twarz i szyję wyglądały jak ciemne drobinki cynamonu, ale po setkach godzin ubijania białek i przenoszenia wołowych żeber ramiona, choć szczupłe, miał już dobrze umięśnione. Odkąd biedna Eleonora sprzedająca na targu owoce w tak makabryczny sposób dokonała żywota na własnym straganie, uznawałam za rozsądne zabierać ze sobą na zakupy młodego, silnego ucznia. Lepszy wysoki, czujny Bartolomeo niż pękaty jak beczka, zalatujący skwaśniałym winem kucharz Sforzów, który był kompletnie do niczego. – Wygląda na to, że będziemy mieli słoneczny poranek – ciągnął mój uczeń.

– Jak dla mnie w tej mgle mało co wygląda.

Minęliśmy właśnie rynek, na którym kilku żebraków i pijaków kuliło się pod murami, odsypiając nocne depresje i rozczarowania. Rozmiarami nie dorównywał nawet w jednej trzeciej rzymskiej Piazza Navona, ale w oczach rzymianina wszystko w Pesaro

wydawało się małe. Widziałam, jak pani Lukrecji zrzedła mina, gdy po raz pierwszy ujrzała swój nowy dom. „Och! – wykrzyknęła – jest bardzo...”. Dziewczynie przyzwyczajonej do tych wszystkich wspaniałości Świętego Miasta, jego wrzawy, przepychu i wystawności, Pesaro mogło się wydawać nieco prowincjonalne. Sytuacji nie poprawiało to, że dotarliśmy wraz z kolejną falą letnich deszczy. Gwałtowne podmuchy wiatru zrujnowały kunsztowną koafiurę pani Lukrecji i przygniotły do ziemi wyniesione na jej powitanie proporce. Z biegiem dni niebo się jednak wypogodziło, a pani Giulia zaczęła się rozplýwać w gorliwych zachwytach nad urokami Pesaro: błękitną zatoką i meandrującym ujściem rzeki, przysadzistą romańską katedrą i ołtarzem poświęconym jakiemuś posepnemu wąsatemu świętemu. No i nad Palazzo Ducale. Byłam ciekawa, czy mają przyzwoity targ rybny, więc przecinając rynek, przyspieszyłam jeszcze kroku.

– Mówi się, że wkrótce czeka nas francuska inwazja – rzucił Bartolomeo, zegnając się. Był łagodny i pobożny. Taki typ chłopaka, który radośnie spowiada się co tydzień swemu księdzu, nie mając nigdy na sumieniu żadnych ciężkich grzechów. Typ, który uznaje, że papież Borgia i wszystkie jego grzechy są czymś znacznie przekraczającym ludzkie pojmowanie, wobec czego spokojnie pokłada wiarę w Bogu Ojcu. Ktoś, kto posiada sumienie tak czyste i spokojne, jakim sama już

od dawna nie mogłam się cieszyć. – Tak w każdym razie słyszałem od ludzi pana Sforzy, a oni dostają wszystkie wieści o Francuzach prosto z Mediolanu.

– Hm.

Francja niepokoiła mnie znacznie mniej niż moja nowa kuchnia. Palazzo Ducale pana Sforzy był odpowiednio okazały z zewnątrz, godnie prezentując wszystkie te swoje fontanny, arkady i przyozdabiające je herby, ale kuchnia... brak słów. Uczniowie próbujący znaleźć miejsce dla wszystkich kociołków, roznów i chochli, które przywieźliśmy z Rzymu, wciąż uderzali głowami o niskie belki, a ja nie miałam pojęcia, jak uda mi się przyrządzić bitą śmietanę, nie dysponując odpowiednio zimnym pomieszczeniem, w którym śmietana by się nie zsiadła. Pani Giulia nalegała jednak, by zabrać nas ze sobą, więc musieliśmy się wszyscy tutaj jakoś urządzać do czasu, aż będziemy mogli wyrwać się z tego zaścianka i wrócić do Rzymu, w którym być może obyczaje upadły, ale przynajmniej miałam wystarczająco dużo miejsca na łyżki.

Pierwszy raz zostałam prawdziwą *maestra di cucina*. Jakoś wydawało mi się, że będzie to znacznie bardziej podniosłe wydarzenie. W kuchni z odpowiednim systemem odpływowym może by i było. W każdym razie aż do powrotu do Rzymu kuchnia pozostawała pod moimi rozkazami. Adriana da Mila nie uważała, aby konieczne było branie do Pesaro dwóch kucharzy, a pani Giulia się uparła, żeby wziąć mnie,

więc Marco został w Rzymie, by zatroszczyć się o Palazzo Santa Maria.

– Nie rozumiem, dlaczego zostałem pominięty – mruknął mój kuzyn z rozdrażnieniem na wieść o tym. – Moje tarty są równie dobre jak twoje, kuzyneczko!

– Wiesz doskonale, że o to nie prosiłam – zauważyłam. – A poza tym będziesz miał teraz całe lato na grę w kości, i to bez mojego zrzędzenia.

– Zawsze to jakaś korzyść – przyznał i ta myśl udobruchała go na tyle, że tej nocy zapukał do mojego pokoiku na ostatnie igraszki przed moim wyjazdem. – Będę za tobą tęsknił – mruknął już po wszystkim, staczając się ze mnie tuż przed tym, jak zasnął.

– Jesteś po prostu zbyt leniwy, żeby znaleźć sobie inną kochankę – odparłam ostro.

Taki przystojny mężczyzna jak Marco mógł mieć dziewczyn na pęczki, ale znalezienie takiej, która nie zaczęłaby prędko napomykać o małżeństwie, było zupełnie inną kwestią. Marco nie mógł się ze mną ożenić i oboje doskonale o tym wiedzieliśmy, więc jako kochanka byłam dla niego bardzo wygodna.

– Czy myślisz, signorina, że Francuzi zdecydują się nas najechać? – mówił Bartolomeo. – Ci Francuzi to okrutnicy. Nadziewają dzieci na piki, bezczeszczą kościoły, zasalają pola...

– Sól – pomyślałam głośno, kiedy obchodziliśmy szubienicę, na której w zeszłym tygodniu powieszono miejscowego bandytę. Jego truchło nadal kołysało się

na stryczku, teraz już niemal do czysta obdziobane przez ptaki, chociaż na kości udowej nadal ucztował samotny kruk. Po wizycie na targu rybnym będę musiała znaleźć dobry słony ser i krążek parmezanu. Nie mogłam żyć bez parmezanu. Moja dusza nieśmiertelna, tak... Ta była już prawdopodobnie stracona, biorąc pod uwagę, że podobnie jak Francuzi bezcześciłam kościoły. Moja moralność, cóż... Ta również była w opłakanym stanie po wszystkich tych godzinach, które spędziłam z Markiem pod kołdrą. Nie wspominając tej mrocznej i bardzo dziwnej godziny, którą spędziłam z Cezarem Borgią... Zapewne ta jedna godzina dołożyła mej duszy dobry wiek smażenia się w smole. Znacznie bardziej byłam jednak skłonna obywać się bez duszy i bez moralności niż bez parmezanu.

Najstarszy syn papieża nie odwiedził mnie już więcej, ale i wcale tego nie oczekiwałam. W końcu byłam tylko służącą. Nie zawracał sobie głowy nawet poznaniem mojego imienia, a kiedy już skończył, pożegnał mnie tylko spokojnym skinieniem głowy, zostawiając mi kilka siniaków w dziwnych miejscach. I chociaż był taki ładny, w gruncie rzeczy nie chciałam powtarzać tego doświadczenia. Spółkowanie z Cezarem Borgią było czymś zupełnie innym niż przyjazne łożkowe igraszki z Markiem. Przypominało raczej obcowanie z huraganem: podniecające i jednocześnie przerażające. Coś, po czym człowiek pozostaje poobijany i wyczerpany. Coś, co można wspominać,

uśmiechając się w głębi ducha, lecz czego nie ma się szczególnej ochoty powtarzać.

Cezar Borgia... Temu jakakolwiek moralność była zupełnie obca!

– Signorina... – Głos Bartolomea wyrwał mnie z zamyślenia. – A jeśli Francuzi...

– Bartolomeo – przerwałam mu, odsuwając własne myśli na bok. – Co zamierzasz zrobić, jeśli Francuzi rzeczywiście zaatakują?

– No cóż...

– Nic. To właśnie zrobisz. Ponieważ ani ze mną, ani z tobą nie ma to nic wspólnego. – Znad rzeki powiało chłodnym wiatrem i owinęłam się ciaśniej płaszczem. – Jak nas najadą, to najadą i już. Osobiście mam nadzieję, że zostaną po swojej stronie gór, razem ze swoim koszmarnym jędzeniem. Już francuscy żołnierze przekłuwający dzieci pikami są wystarczająco źli, ale jakby tego było mało, oni przywiozą ze sobą swoje zjełczałe masło i spalone pieczenie, a wtedy niech święta Marta ma nas w swojej opiece.

To powstrzymało mojego ucznia od dalszych wywodów przynajmniej do chwili, w której zanurzyliśmy się w zgiełkliwej krzątaninie targu rybnego.

– Jest większy, niż myślałem. – Bartolomeo aż zamrugał oczami.

– Większy – zgodziłam się – ale targi rybne na całym świecie wyglądają tak samo. I tak samo śmierdzą.

Ten sam odór soli i gnijących fląder, te same rybie łuski opalizujące na ziemi w bladym świetle poranka, ten sam widok rzucających się w wiadrach żywych karp i rozwieszonych na widoku martwych. Otoczyła nas ostra mieszanka przenikliwych głosów rybaków, którzy sprzecali się i targowali opryskliwie, i okrzyków handlarzy, którzy zachwalali swoje towary, jakby sprzedawali perły.

– Ostrygi! Świeże ostrygi z dna morza!

– Barweny! Pierwsze barweny w tym roku!

– Dorady! Dorady!

Niebo nad horyzontem dopiero zaczynało różowieć, ale przekupnie już przekrzykiwali się zajadle.

– Pesaro ma zarówno wybrzeże morskie, jak i ujście rzeki – wyjaśniłam, unosząc nieco i zawijając spódnicę, by nie ubrudzić jej rybią łuską. – Przez to mają dobry targ rybny. Ryby morskie są lepsze niż słodkowodne, ale ryby morskie, które wpływają do słodkiej wody w poszukiwaniu pokarmu, są prawdziwą rozkoszą dla podniebienia.

– Dlaczego?

– Bo tak. – Przecież wszyscy to wiedzieli, prawda?

– Bierz ten kosz.

– Tak jest, signorina.

– I rozglądaj się! – dodałam przez ramię, kiedy przepychaliśmy się przez tłum rybaków i handlarzy. – Każdy kucharz powinien sam się rozeznąć, co jest dostępne na targu, żeby wiedział, z czym ma do

czynienia.

– A mistrz Santini nie chodzi. Nigdy nie widziałem, żeby sam poszedł do jatek albo na targ rybny.

– Jest *maestro di cucina*, więc może sobie pozwolić na to, by wysłać mnie w swoim zastępstwie.

Tak naprawdę Marco ani razu nie poszedł do jatek ani na targ rybny, bo był po prostu leniwy. Mój ojciec nigdy nie złożył stałego zamówienia u żadnego handlarza ryb, wytwórcy sera czy winiarza, dopóki osobiście nie przeprowadził inspekcji jego zakładu i nie spróbował każdej jednej partii, by się upewnić, że otrzymuje najlepszy, najświeższy towar najwyższej możliwej jakości. I nawet później przeprowadzał kontrole z zaskoczenia, by mieć pewność, że nie wciska mu się towaru pośledniej jakości. A tak, jak robił mój ojciec, tak robiłam i ja. Marco wolał jednak o świecie siedzieć w miłej, ciepłej kuchni niż wlec się do zimnego, cuchnącego doku, żeby popatrzeć na ryby. Uwierzyłyby zarządcy na słowo, że dostaje najlepszego jesiotra w Pesaro. Jeśli wyjątkowo mobilizował się, by obejrzyć podroby albo posmakować oliwy z nowego tłoczenia, to można było mieć pewność, że w grę wchodzi odbywające się gdzieś w pobliżu wyścigi konne albo przynajmniej karty.

To, że od czasu do czasu chodziłam z tym mężczyzną do łóżka, nie oznaczało, że nie widziałam jego przywar.

– Jesiotr. – Stałam przed szklistookimi rybami

ułożonymi w błyszczącą, ciemnozieloną stertę. Kiedy sprzedawca ruszył do mnie ze szczerbatym uśmiechem, wyciągając owłosioną, potężną dłoń pokrytą rybią łuską, osadziłam go chłodnym spojrzeniem. – Złowione wczoraj czy dzisiaj, signor? Jak dostaniesz świeżego jesiotra, Bartolomeo, i będziesz go odpowiednio przechowywał, to wytrzyma nawet rok. Nie, nie mam pojęcia dlaczego! Powąchaj! Świeże? – Wyczulony nos mojego ucznia niesłychanie się przydawał na targu rybnym, gdzie przekupnie ustawicznie próbowali upchnąć kupującym towar nie pierwszej świeżości pod świeżym połowem.

Usłyszawszy opinię Bartolomea, klepnęłam jesiotra lekceważąco i wykonałam wulgarny gest w kierunku sprzedawcy, który obrzucił mnie przekleństwami, po czym z uczniem za plecami przepchnęłam się do następnego straganu z wiadrami.

– No dobrze, barweny. – Wskazałam mu. – W Wenecji mówią na barweny *barbari*. Nie, nie wiem dlaczego. Pamiętasz przepis na ich grillowanie? Bardzo dobrze, tylko barwenę zostawia się razem z łuską, a potem obtacza się ją w mące. A to jest turbot, robi się z niego znakomitą galaretę. Jego też nie trzeba skrobać z łuski, ale trzeba go kupować żywego. Nie wiem. Galareta smakuje tym lepiej, im mniej czasu upłynęło od zabicia ryby. Makrela... Bądź tak dobry i powąchaj. Świeża? Dobrze. Te są za duże. Oczywiście, że ryby mogą być za duże. Do grillowania i smażenia muszą być

mniejsze. Bartolomeo, jeszcze raz zapytasz mnie dlaczego, a cię uderzę!

– Tak jest, signorina – burknął, uginając się pod ciężarem wyładowanego teraz po brzegi kosza, a koniuszki uszu poczerwieniały mu, przybierając barwę jego włosów. Nagle zatrzymałam się tak gwałtownie, że stanął mi na stopie.

– Uważaj. To coś wyjątkowego. – Pochyliłam się i z zachwytem wciągnęłam w nozdrza zapach małych, prawie przezroczystych rybek. – To są stynki, i do tego naprawdę dobre. Prawdopodobnie przywiezione z jeziora Bolsena. Weźmiemy je dla pani Giulii.

– Dlaczego? – zapytał Bartolomeo i pośpiesznie dodał: – Dlaczego dla pani Giulii, o to mi chodzi. Nie lubi barweny? Przecież jej wszystko smakuje.

– Urodziła się nad jeziorem Bolsena i jako dziecko z pewnością zajadała się stynkami. Przypomną jej dom rodzinny i się uśmiechnie. Dzięki takim właśnie posiłkom kuchnia słyszy potem wyrazy uznania. – Urwałam, patrząc uważnie na swojego ucznia. Miał nos prawdziwego kucharza, wiedziałam to prawie od razu. Ale kucharz potrzebował też innych cech i czas było się dowiedzieć, czy Bartolomeo je ma.

– Czy chcesz być kucharzem, Bartolomeo?

– Tak, signorina – odparł bez wahania.

– Dlaczego?

Jedna trzecia moich uczniów odpowiadała, że ojciec ich zabije, jak nie skończą terminu. Kolejna jedna

trzecia mówiła, że to lepsza płaca i lepsza praca niż w przypadku rzeźnika albo wytwórcy świec. Pozostali obwieszczali, że pewnego dnia chcieliby gotować dla księcia Mediolanu i sownie się wzbogacić. Bartolomeo sprawiał wrażenie zakłopotanego, niespokojnie przestępując z nogi na nogę.

– Chcę przeżyć całe swoje życie wśród pięknych aromatów – powiedział w końcu.

– Ha. A jak myślisz, co sprawia, że najlepsi kucharze są najlepsi? Jakie umiejętności? Jakie cechy?

Większość moich uczniów mamrotała coś o nauczaniu się wszystkich przepisów na pamięć. Bartolomeo zawahał się, po czym przecesał włosy dłonią i zaśmiał się bezradnie.

– Nie wiem – powiedział. – Nie wiem jeszcze wystarczająco dużo, by wiedzieć.

Spojrzałam na niego surowo, bardzo zadowolona.

– No cóż, Bartolomeo, jest jedna rzecz, która różni świętych kucharzy od zwyczajnie dobrych. – Tych rzeczy było tak naprawdę znacznie więcej, ale uczniowie nie przyswajali naraz dużych porcji informacji. – Przede wszystkim musisz znać naturę tych, dla których gotujesz: ich historię, ich upodobania, ich nastroje. Nie wystarczy używać tych samych przepisów z książki, których nauczyłeś się jednego po drugim na pamięć. Powinieneś podać im jedzenie, którego łakną, chociaż sami tego nie wiedzą.

Skinął głową.

– Jak tamtego wieczoru, kiedy pan Sforza przyjechał na ucztę, a ty podałaś okonia w truflach z kawiozem i wszyscy zaczęli się obściskować. – Uśmiechnął się szeroko. – Tamtego wieczoru pierwszy raz całowałem się z dziewczyną. Z Marią, praczką, na podwórzu stajennym.

Przypomniał mi się stalowy uścisk dłoni przytrzymujących mnie w całkowitym bezruchu i dotyk przesuwających się po mojej skórze chłodnych ust. Zignorowałam to wspomnienie.

– To nieistotne. Powiedz mi teraz... – Odwróciłam się z powrotem do wiadra i zamieszałam stynki końcami palców. – Jak przygotowałbyś takie stynki?

– Smażone – odparł szybko. – Najlepsze są smażone na maśle.

– Ale jak przygotowałbyś stynki dla pani Giulii? – zapytałam. – Mieszkasz w jej domu już od roku. Wiesz już co nieco na temat jej upodobań. Co się jej najbardziej spodoba?

Zawahał się, nieświadomie przesuwając palcem po drewnianym krzyżyku, który nosił zawsze na szyi. Sięgnął do wiadra, zbadał ryby dotykiem i pochylił się, by je powąchać.

– Tak, smażone – powiedział powoli. – Bo po smażonym jedzeniu ludziom poprawia się samopoczucie... A pani Giulia jest ostatnio smutna, tak mówi jej służąca. Bo Ojciec Święty ogląda się...

– Nie musimy wiedzieć, dlaczego jest smutna –

warknęłam. – To byłoby wściubianie nosa w nie swoje sprawy, a dobry kucharz nigdy nie jest wścibski. Więc smażone stynki, tak?

– Ale z innym sosem. Ty, signorina, lubisz sosy z odrobiną pomarańczy, ale pomarańcza jest do tego zbyt kwaskowata. – Zmarszczył brwi. – Zielony sos. Pietruszka, krwiściąg, szczaw, szpinak, rukola... Może odrobina mięty. Drobnio zmielone z migdałami...

– Jakimi migdałami? – przerwałam.

– Mediolańskimi, są najlepsze.

– Dlaczego? – drążyłam.

– Po prostu są – powiedział nieobecny głosem, a ja powstrzymałam się od uśmiechu. – Zielony sos, do polania. Bardzo prosty i bardzo świeży. Przypomni pani Giulii o życiu na wsi, które wiodła przed zamążpójściem... Powiedziałaś, że dorastała nad jeziorem Bolsena? Znowu poczuje się jak mała dziewczynka. To ją... – wzruszył ramionami – uszczęśliwi.

– Może zatem miałbyś ochotę przygotować dla niej danie na dzisiejszy wieczór? – Odwróciłam się od jego osłupiałej twarzy i wyrecytowałam handlarzowi ryb zamówienie. Burknął potwierdzająco i zaczął wyławiać z wiadra świeże stynki. – Pamiętaj tylko, że będę ci patrzeć na ręce – zagroziłam, odwracając się z powrotem do swojego ucznia. – Jak tylko zobaczę, że coś partaczysz, zabiorę ci to. Zrozumiano?

– Tak jest, signorina.

Stał przede mną, ściskając kosz w objęciach, i walczył z szerokim uśmiechem, który groził przepołowieniem mu twarzy na pół. Miał prawo się uśmiechać... Był o cały rok młodszy niż jakikolwiek inny uczeń, którego kiedykolwiek poprosiłam o przygotowanie dania na stół dla państwa. Był również, o ile się zbytnio nie myliłam, jedynym wśród nich, który miał szansę stać się pewnego dnia naprawdę dobrym kucharzem.

– A zatem myślę, że dziś wieczorem zaserwujemy dania z ryb – ciągnęłam, pozwalając Bartolomeowi zrównać się ze mną, gdy skierowaliśmy się ku następnemu sprzedawcy. – I duży wybór miejscowych owoców.

Zaczęłam układać jadłospis. Żadnej pizzy, jak początkowo myślałam. Przez pizzę pani Lukrecja mogłaby tylko bardziej zatęsknić za domem. W końcu musiała poznać swój nowy dom, a czy istniał lepszy sposób przekazania jej tej wiedzy niż jedzenie? Sałata z młodych cebulek i miejscowych ogórków. Jesiotr ze słonego morza Pesaro i pstrąg z jego słodkiej rzeki. Winogrona i brzoskwinie z jego sadów i białe melony z jego grządek. A na koniec małe ciasteczka nadziewane dojrzałymi miejscowymi morelami. Orzeźwiająca letnia kolacja ze wszystkiego, co Pesaro miało do zaoferowania, spożywana w pałacowym ogrodzie wśród zapachu morskiej bryzy.

– Żadnych stynek dla pani Adriany – pomyślałam

głośno, zatrzymując się przy straganie z solonym linem.

– Uważa, że są za drogie...

– Może flądra? – powiedział Bartolomeo szybko. – Sama jest jak stara flądra, więc jej się spodoba.

Palnęłam go w ramię, dławiąc śmiech.

– Nigdy nie mów źle o chlebodawcy!

– No cóż, flądra jest tańsza niż stynka i to ją ucieszy. – Niezrażony przełożył wypełniony po brzegi kosz na drugie ramię. – Jeśli pozwolisz, signorina... Usłyszałem przepis od kucharza niemieckiego ambasadora, kiedy ten przyjechał do pani Giulii prosić ją, by załatwiła mu przysługę u Jego Świątobliwości. Flądra gotowana na wolnym ogniu w jakimś słodko-kwaśnym sosie z białym winem, octem i odrobiną masła, podawana na grzankach... To takie poprawiające nastrój jedzenie, jakie pani Adriana lubi.

– Nie wierz nigdy w to, że Niemiec potrafi przyrządzić dobry sos – prychnęłam. – Ich sposób na wszystko? Dodać więcej masła. Ale może z odrobiną pieprzu i cynamonu...

Leonello

Mała hrabina Pesaro z szelestem zajęła miejsce, starannie ułożyła ręce przed sobą i przechyliła głowę pod właściwym kątem.

– Teraz możecie patrzeć!

Nie zwracałem sobie głowy zamykaniem oczu, ale reszta zgromadzonych odjęła dłonie od twarzy

i wybuchnęła oklaskami. Córka papieża stała w białej jedwabnej sukni wymalowanej w kwiaty. Niezwiązane włosy rozsypywały się jej na plecach, wieniec róż zdobił czoło, a na sukni niosła całe naręczce kwiatów. Wytrzymała chwilę w tej pozycji, z rozchyłonymi wargami, i zastygła w pół kroku. Miałem wrażenie, że chciałyby, żeby w tym momencie zawiął wietrzyk i jak na komendę rozwiął jej włosy.

– Wiosna! – krzyknął pan Sforza. – Z tego obrazu... tego gościa z Florencji... A może z Mantui? Wiecie, o którego mi chodzi...

– Botticelli – wymamrotałem.

– Mistrza Botticellego – ciągnął hrabia Pesaro, nie zwracając na mnie uwagi. – Oto moja gołąbka! Jesteś wiosną Botticellego!

– Mój pan mąż ma całkowitą rację.

Lukrecja wyszła z roli i dygnęła ślicznie, a towarzystwo ponownie zaklaskało. Nie było to szczególnie barwne towarzystwo – pan Sforza i kilku jego kapitanów o twarzach kompletnie pozbawionych wyrazu, pani Adriana, Giulia La Bella ze swoim ukochanym koziołkiem na kolanach i kilka ich ulubionych towarzyszek... – o ile nie wspomnieć pewnej siebie jasnowłosej Cateriny Gonzagi i jej męża, hrabiego Ottaviana da Montecchio, którzy przybyli niedawno, w drodze powrotnej z Rzymu na północ do swoich posiadłości w San Lorenzo. Ich obecność dodała spokojnym zazwyczaj po kolacji wieczorom odrobiny

pikanterii.

– Caterina Gonzaga jest wielką piękną – wyjaśniła Giulia grupce nowych dam Lukrecji, które zgromadziły się na naradę wojenną, gdy tylko obwieszczono rychłe przybycie hrabiny. – A do tego jest bardzo ambitna. Nosi się tak dumnie, jakby była Królową Niebieską, a na dodatek przez całe wesele Jofrégo robiła słodkie oczka do Jego Świątobliwości. Byłam wtedy tak przeziębiona, że naprawdę nie byłam w stanie pogonić tej dziwki tak, jak na to zasługiwała. Choćbym miała całą Florencję pozbawić brokatu, tym razem nie dam się przyćmić.

W swojej nieodmiennej czerni trzymałam się z tyłu i patrzyłam, jak wszystkie damy po kolei obcałowują na powitanie Caterinę Gonzagę, słodko przy tym gruchając. Zauważyłam, że ilość pocałunków i komplementów była wprost proporcjonalna do stopnia wzajemnej antypatii. Giulia i Lukrecja jeszcze przed kolacją porównały swoje nowe pierścienie i bransoletki z biżuterią hrabiny, przy kolacji rozpływały się nad nowymi sukniami, a po niej z szelestem spódnic udały się do tandetnie wymalowanej prowincjonalnej salki śliczną trójcą, w której żadna z kobiet ani na chwilę nie odwracała się do drugiej plecami. Pan Sforza i brzuchaty hrabia Cateriny Gonzagi oraz pozostali mężczyźni usiedli przy blasku świec i zaczęli omawiać ponuro kampanię francuską i armię ciągnącą na południe z Francji do Sabaudii, a tymczasem damy

prowadziły lekką konwersację i snuły plany zupełnie innej kampanii.

– Och, ci Francuzi! – wykrzyknęła w końcu Lukrecja, kiedy rozmowa zesła niezgrabnie na kwestię tego, którzy kardynałowie zostali przeciągnięci na stronę wroga. – Nie chcę już o nich słyszeć, dopóki we własnej osobie nie staną mi pod drzwiami. A tymczasem proponuję zabawę...

Zabawa miała polegać na tym, że każda dama zaprezentuje się przed towarzystwem jako słynne dzieło sztuki i zostanie oceniona przez mężczyzn, którzy orzekną, która z nich jest najpiękniejsza.

– Nie miałam czasu, by się przygotować – zachnęła się Caterina Gonzaga, po królewsku unosząc głowę, lecz została zignorowana.

– Ja miałam – powiedziała Lukrecja z wyższością, błyskając dołączkami w stronę swojego męża.

– No cóż, nie jest to sprawiedliwe – stwierdziła hrabina, rozgniewana jak każda urażona królowa, ale Giulia stanęła w obronie Lukrecji.

– Coś zaimprovizujemy. Przecież to połowa przyjemności!

– Czy jakikolwiek konkurs kobiecej urody okazał się kiedykolwiek dobrym pomysłem? – wtrąciłem. – Czy nikt już tutaj nie pamięta, jak zaczęła się wojna trojańska?

– Przecież nie będziemy chyba jeszcze dodatkowo walczyli z Trojanami, prawda? – zdziwił się jeden

z nieokrzesanych kapitanów pana Sforzy. – Trojanie...
Oni są z Francji?

Boże. Mój jęk utonął w pospiesznej krzątaninie przygotowujących się kobiet. Pełniąca obowiązki gospodyni Lukrecja zaprezentowała swój żywy obraz jako pierwsza i teraz siedziała zadowolona, z satysfakcją szeleszcząc białą suknią. Pan Sforza, wciąż nią zauroczony, chwycił jej rączkę w swoją szorstką dłoń i podniósł do ust, a ona odwzajemniła mu uśmiech, gładząc się drugą ręką po brzuchu. Wiosna Botticellego została odmalowana z powiększonym brzuchem uwypuklającym się pod kwiecistą sukienką... Zastanawiałem się, czy to możliwe, by papieska córka była już w ciąży. Szybko się uwinąłeś, panie Sforza. Chociaż papież będzie wściekły... W oczach swojego teścia Sforza nie spisywał się zbyt dobrze. Hrabia Pesaro bowiem, o ile nie gościł akurat w łóżku swojej żony, wahał się nieustannie między przyłączeniem swoich wojsk do oddziałów swej sprzymierzonej z Francuzami mediolańskiej rodziny a przyłączeniem ich do armii papieskiej. Z tego, co ostatnio słyszałem, papieża znużyły wreszcie wszystkie te namysły i kazał mu robić, jak mu się żywnie podoba. Tak więc jeśli szło o papieża, przymierze ze Sforzami zdecydowanie straciło swój urok.

– Moja kolej – powiedziała Caterina Gonzaga, unosząc się dumnie jak cesarzowa.

Wśród szeptów i chichotów służące wyprowadziły

ją za parawan, by mogła zmienić suknię, a mężczyźni ukradkiem podjęli dyskusję o Francji. Giulia przesuwała palcami po wielkiej, zawieszanej na szyi perle, a śliczny uśmiech – Bóg jeden wie za sprawą jakich myśli – zupełnie zniknął z jej twarzy. Następnie polecono nam zamknąć oczy.

– Już! – oznajmiła rozkazująco hrabina. – Patrzcie na mnie!

Ciekawe, czy miała te słowa wyryte jako dewizę na wszystkich swoich pieczęciach. Zrobiła na mnie jak najgorsze wrażenie. Jeszcze przed kolacją zapytała nad moją głową, czy karzeł żongluje albo fika koziołki, a potem przez cały posiłek rzucała mi resztki jedzenia z talerza, jakbym był psem. Giulia natomiast przez cały posiłek prosiła ją, by raczyła przestać, i z każdą kolejną prośbą jej głos przybierał coraz bardziej lodowate tony.

Mimo wszystko nie można było zaprzeczyć, że Caterina Gonzaga była piękną. Mnóstwo jasnych włosów i jeszcze jaśniejsza skóra, jasnoszare oczy błyszczące niczym srebro... I właśnie dlatego mogła sobie pozwolić na wybuchy gniewu, kapryśność i złośliwość. Uroda wszystko usprawiedliwia. Łatwo było o tym zapomnieć, żyjąc obok Giulii Farnese, która bez wątpienia była piękną, lecz przy tym nigdy na nikogo się nie złościła, nikogo nie obrażała, nie stawiała żądań ani nie wpadała w histerię. Nie miała w sobie królewskiej godności Cateriny Gonzagi, ale znacznie łatwiej było z nią żyć.

Hrabia Ottaviano da Monteverchio pochrapywał już w najlepsze na tyłach sali, gdy jego żona wyszła zza parawanu i zapozowała. Publiczność zaczęła bić brawo, lecz tym razem aplauz był powściągliwszy, gdyż kobiety starały się klaskać na tyle oszczędnie, na ile tylko pozwalały wymogi grzeczności, a mężczyźni byli zbyt zajęci wytrzeszczaniem oczu, by trafić jedną ręką w drugą. Hrabina nie pojawiła się przed oczami zebranych całkiem naga, jednak jej cieniuteńka koszulka i rozpuszczone jasne włosy spływające wstęgą na biodra pozostawiały wyobraźni niewiele miejsca. Jedną ręką skromnie zakryła piersi, drugą ujęła pasmo włosów, by zakryć łono, i nieskończenie łagodnym wzrokiem bogini zapatrzyła się w przestrzeń nad naszymi głowami.

Pani Adriana cmoknęła z dezaprobatą, mężczyźni wymienili lubieżne uśmiešky, a Lukrecja dźgnęła swojego męża łokciem pod żebro. Nikt się nie odezwał, aby odgadnąć zagadkę, ale hrabinie przedłużająca się cisza wydawała się zupełnie nie przeszkadzać.

– Narodziny Wenus – przerwałem ją w końcu. – Również Botticelli. Chociaż brakuje ci muszli, na której mogłabyś stanąć, pani Caterino, i powinnaś zdjąć z dłoni ten rubin. Wenus wyszła z morza strojna jedynie we własną urodę.

– Och, ten? – zapytała fałszywa Wenus niby od niechcienia i porzuciła pozę, by pokazać swą dłoń (i możliwie dużą część biustu), a rubin zaśnił w świetle

świec. – Nie mogłam się zdobyć na to, by go zdjąć. Bardzo go cenię. Rozumiecie chyba... to prezent od Jego Świątobliwości. Okazał się bardzo szczodrym gospodarzem, kiedy wraz z mężem gościliśmy ostatnio w Rzymie.

Błyszczące triumfem spojrzenie przeniosła na Giulie i zobaczyłem, że Lukrecja i pani Adriana również zerknęły na nią nieznacznie. Mojej pani nawet powieka nie drgnęła. Zdjęła tylko dłoń z koziołka śpiącego na jej kolanach i lekko pogłaskała wielką perłę zdobiącą jej szyję.

– Nigdy nie dbałam o rubiny – rzekła. – Tak łatwo je dziś sfałszować, biorąc pod uwagę wszystkie te znakomite szklane imitacje, które przyjeżdżają do nas z Wenecji. Naprawdę, słyszałam, że dobrą podróbkę rubinu można dostać za garść dukatów i żadna kobieta się nie pozna! Ale perły... Te znacznie trudniej wcisnąć nieświadomej niczego ofierze... Och, czy przyszła teraz kolej na mnie?

Skutecznie zamknęła usta tej suce Gonzadze, która wymaszerowała za parawan, by przebrać się z powrotem w swoją suknię, planując jednocześnie – byłem tego pewien – oddanie swojego rubinu najbliższemu jubilerowi celem dokonania dokładnych oględzin. Wydawało mi się, że Giulia gwałtownie zamrugała oczami, odsuwając koziołka z kolan, by wstać, i zacząłem się zastanawiać, czy walczy z napływającymi łzami. Wiedziałem, że listy od Jego

Świątobliwości nadchodzą raczej nieczęsto.

– Obawiam się, że najlepsze prace mistrza Botticellego zostały już zajęte – powiedziała. – Szkoda, że chyba już nie maluje... Słyszałam, że we Florencji jakiś szalony mnich głosi konieczność zachowania skromności i teraz połowa artystów w mieście wyrzeka się malarstwa, uznając je za bezbożnie frywolne...

– Girolamo Savonarola – wymamrotałem ze swojej pogrążonej w cieniu ławy pod ścianą. Wówczas jeszcze nazwisko to nie budziło we mnie niepokoju, chociaż powinno było.

– W przypadku tak wielkich malarzy jak mistrz Botticelli wydaje się to ogromną stratą. – Giulia wzruszyła ramionami. – W każdym razie dziś wieczór będzie musiał mi wystarczyć mistrz Rafael.

Odwróciła się plecami do zebranych i klękła, a złote światło świec rozbłysło na jej splecionych włosach. Z łagodnym wdziękiem podniosła dłoń, by rozsznurować suknię, i poczułem, jak obecni w sali mężczyźni wstrzymali oddech. La Bella wysunęła jedną rękę z rękawa i pociągnęła suknię w dół z jednej strony, odsłaniając nagie perłowe ramię, po czym uniosła je w błagalnym geście. Obróciła głowę, ukazując profil, i zastygła ze spuszczoneymi rzęsami.

Nikt się nie odezwał. Wszystkich wydawała się zadowalać sama możliwość patrzenia – z wyjątkiem hrabiny, która nagle zaczęła sprawiać wrażenie bardziej poirytowanej niż królewskiej. I Lukrecji, która – jak

zauważyłem nagle – z niemal niedosłyszalnym westchnieniem zaczęła miąć swoją kwiecistą sukienkę.

Giulia wytrzymała w przybranej pozie jeszcze chwilę, po czym uniosła powieki i spojrzała na nas przez ramię. W jakiś niewyjaśniony sposób z nagim ramieniem i do połowy odsłoniętymi plecami wydawała się znacznie bardziej obnażona niż ta suka Gonzaga w swojej przezroczystej koszulce.

– Obawiam się, że nikt z was nie zna tego obrazu. – Giulia wyprostowała się i wsunęła nagie ramię z powrotem do dyndającego rękawa. – Wątpię, czy już w ogóle zaczął być malowany. Mistrz Rafael przybył w zeszłym roku, by namalować mój portret, ale przekonał mnie, bym zapozowała mu również do innego dzieła, właśnie w ten sposób. Chce namalować Przemienienie Pańskie i pomyślał o mnie, wyobrażając sobie postać zanoszącej prośby matki. Oczywiście na obrazie będą także aniołowie, apostołowie i święci.

Giulia zasznurowała z powrotem suknię i wstała, aby wrócić na krzesło. Wzięła uśpionego koziołka, pocałowała go w nos i podniosła wzrok. Mężczyźni nadal nie odrywali od niej wzroku, a Caterina Gonzaga wyglądała, jakby zjadła cytrynę.

– A zatem która z nas wygrywa? – zapytała Caterina bezceremonialnie i zobaczyłem, jak pani Adriana rzuca krytyczne spojrzenie znad swojej robótki. – Ja czy Giulia Farnese?

Lukrecji tym razem już zupełnie zrzędła mina, a ja

szybko zeskoczyłem ze swojej ławy.

– Może najlepszym sędzią tego konkursu mógłby okazać się karzeł? – odezwałem się pospiesznie, wmaszerowując przed towarzystwo. – W końcu ktoś lepiej potrafi ocenić piękno niż ktoś, kto jest tak brzydki jak ja? – Rozpostarłem ramiona, a sala zaszemrała tłumionym śmiechem. Pan Sforza roześmiał się głośno. – Myślę, że przy całym uznaniu dla urody La Belli i naszego pięknego gościa – ukloniłem się w ich stronę – musimy koronę najpiękniejszej przyznać hrabinie Pesaro. Choć złota tarcza oszałamia pełnią swej chwały, najpiękniejsze pozostaje słońce, które dopiero wschodzi.

– Myślę, że wschodzące słońca są blade i nieciekawe – zauważyła hrabina sotto voce, ale jej głos utonął w skwapliwych brawach, które jako pierwsza zaczęła bić pani Adriana. Lukrecja rozchmurzyła się nieco, a ja ucieszyłem się, słysząc, że znów podjęto temat francuskiej inwazji. Ogólnie rzecz biorąc, był to temat znacznie bezpieczniejszy niż porównywanie urody trzech kobiet obecnych w tym samym pomieszczeniu.

– Znakomicie, moja droga – szepnęła pani Adriana do Giulii, kiedy mężczyźni zaczęli domagać się wina i map, głośno spierając się o to, którą drogą król Francji ruszy na Neapol.

– Myślisz, że naprawdę dostała ten pierścień od Rodriga? – odszepnęła Giulia. – Widziałam, jakie robiła do niego oczy na weselu Jofrégo...

– Może i tak, ale wartość tego rubinu jest nieporównanie niższa niż wartość twoich pereł. Jeśli się nawet z nią przespał, to zapewniam cię, że szybko o tym zapomniał...

– A mówi się, że kobiety nie znajdują się na polityce – zauważyłem, kiedy pani Adriana poklepała Giulie po ramieniu i wyszła z sali. – Czy to takie ważne, by zachować względy Ojca Świętego?

Giulia zamruwała. Inne damy zaczynały już ziewać, gotowe w każdej chwili zacząć wymykać się do łóżek, pozostawiając mężczyznom swobodę spierania się o Francuzów choćby do świtu. Usiadłem na taborecie u stóp Giulii i odchyliłem się, opierając się na łokciu, a Giulia zdumiona popatrzyła na mnie z góry.

– O co ci chodzi, Leonello?

– Ojciec Święty jest ponad czterdzieści lat od ciebie starszy, a przy tym wybuchowy i niewierny, do tego brzuch będzie mu rósł już tylko bardziej, aż w końcu zacznie wyglądać jak worek prosa. – Wyciągnąłem rękę w kierunku leżącego na jej kolanach koziołka i pstryknąłem go palcem w jedwabiste ucho. – Dlaczego więc o niego walczysz?

Wzruszyła ramionami.

– Jest wszystkim, co mam.

– To bzdura, moja droga pani. Masz męża, masz dziecko, masz rodzinę. Mogłabyś pozwolić Jego Świątobliwości skutecznie rozejrzeć się za kimś nowym i usunąć się do cichego życia mężatki, którego, jak mnie

nieodmiennie zapewniasz, zawsze pragnęłaś. A tymczasem siedzisz tu, prowadząc niczym francuski generał kampanię o odzyskanie swojego papieskiego kochanka, a ja zastanawiam się dlaczego. – Uniosłem pytająco brew, zastanawiając się, dlaczego to mówię, i nie przejmując się niczym na tyle, by się powstrzymać. – Czy chodzi o klejnoty? Wątpię, żeby twój młody mąż mógł ci zapewnić te świecidełka, do których jesteś przyzwyczajona. Nie możesz znieść myśli o tym, że kolejne urodziny mogłyby minąć niepodkreślone stosownym sznurem szafirów? A może tęsknisz za samym Ojcem Świętym... Być może jest coraz starszy i grubszy, ale język musi mieć zwinny, sądząc z wydawanych przez ciebie odgłosów dobiegających zza drzwi alkowy. Zakładałem, że udajesz na pokaz, ale może nie? – Na policzki La Belli wypłynęły dwa krwiste rumieńce, ale nie pozwoliłem jej dojść do głosu. – A może jednak nie odpowiada ci życie w małżeństwie, nawet jeśli do tego właśnie zostałaś wychowana? – Jeszcze raz pstryknąłem koziołka w ucho. – Mówi się, że z najgorszych żon są najlepsze kurwy.

– Skończyłeś? – zapytała cicho.

– Och, znasz mnie. Mógłbym gadać bez końca.

– Z pewnością to potrafisz, gdy masz okazję być okrutny. Jesteś w tym doskonały. – Przyjrzała mi się uważnie i lekko potrząsnęła głową. – Dlaczego, Leonello?

– Bo jesteś tutaj – powiedziałem bez ogródek. – Bo

jestem znudzony, bo muszę chodzić za tobą cały dzień w tej prowincjonalnej dziurze, kiedy wolałbym raczej...

Znaleźć mordercę. Ostatnio zacząłem sądzić, że Cezara Borgię powinienem jednak wykluczyć. Przecież syn papieża musiał mieć lepsze rzeczy do roboty niż uganianie się za kobietami niskiego stanu, by je mordować. Jeśli w służbie Borgiów był ktokolwiek, kogo można było podejrzewać o nieczne czyny, to znacznie bardziej prawdopodobnym kandydatem był Michelotto z tą swoją twarzą bez wyrazu. Sądząc ze wszystkiego, co do tej pory usłyszałem, ten człowiek mordował ludzi w sposób równie naturalny, jak kot zabijał myszy. Michelotto był jednak sługą swojego pana. Nigdy nie odezwał się słowem, nie uczynił jednego ruchu, jeśli nie otrzymał polecenia od Cezara. Czy miał motywację, by popełnić morderstwo z własnej inicjatywy, a nie na rozkaz swojego pana? Prawdopodobnie nie...

– Gdzie wolałbyś być? – zapytała pani Giulia.

– Nigdzie – odpowiedziałem beztrąsko. – Pokręcone karzełki mają pokręcone duszyczki, to wszystko. Nie wiedziałaś o tym, moja pani dziwko?

– Myślę, że ucałuję Laurę na dobranoc i sama się położę. – Giulia postawiła koziołka na podłodze i wstała, strzepując z aksamitnej sukni kłaczki białej sierści. – Nie będę cię już potrzebowała, Leonello.

– Dziś w nocy? – rzuciłem wyzywająco. – Czy w ogóle? Przypuszczam, że teraz mnie oddalisz. I muszę

powiedzieć, że będę tęsknił za papieską biblioteką.

– Dlaczego miałabym cię oddalać? – Odwróciła głowę przez ramię pod tym samym kątem jak wówczas, gdy przedstawiała z odsłoniętym ramieniem żywy obraz Przemienienia Pańskiego. – To, że mścisz się bez powodu, nie oznacza, że ja również muszę. Przy okazji, dziękuję ci za przyznanie Lukrecji korony najpiękniejszej. To było bardzo miłe.

– Przynajmniej tyle mogłem zrobić – powiedziałem. – Przez to twoje głupawe pozowanie z gołym ramieniem jej mąż stwardniał jak pika.

Poruszona La Bella zerknęła na Lukrecję, doprowadzając mnie do szału – wszystkie moje zniewagi odbijały się jak groch od jej kamiennej twarzy, a zaboląła ją myśl, że mogła skrzywdzić Lukrecję!

Moja pani odpłynęła cicho, a ja wykrzywiłem się do koziołka.

– Ktoś już dawno temu powinien cię przerobić na pieczeń – obwieściłem mu, a ta nędzna kreatura zameczała tylko i zaczęła mi skubać aksamitny rękaw.

– Czy Giulia poszła już do łóżka? – zapytała Lukrecja panią Adrianę, szeleszcząc suknią w różany wzór.

– Tak, i to w bardzo złym nastroju. – Adriana spojrzała na mnie karcąco. – Leonello był dla niej raczej niemiły.

– Niegrzecznie jest podsłuchiwać – rzuciłem w przestrzeń.

Pani Adriana pociągnęła nosem i odwiodła Lukrecję ode mnie w stronę pieca.

– Nie sądziłam, by jakikolwiek mężczyzna na świecie mógł być niemiły dla Giulii. – Lukrecja zignorowała mnie, nachylając się ku utrefionej w loczki głowie pani Adriany. – Nawet mój ojciec... Nawet kiedy jest wściekły, wystarczy, że ona zmarszczy nosek, a on się cały rozplęwa. To niesprawiedliwe.

– Nic nie jest sprawiedliwe, kochanie.

Adriana pogładziła swoją byłą podopieczną po włosach.

Mała hrabina Pesaro skubała wymalowaną różę na swojej sukni. Jej głos był bardzo cichy, ale słyszałem całkiem dobrze. Wyjąłem z kieszeni talię kart i udawałem, że bez reszty pochłania mnie ich skomplikowane tasowanie. Może i niegrzecznie było podsłuchiwać, ale byłem w tym znakomity.

– Tyle godzin spędziłam nad przygotowaniem tej sukienki i co? Czy ktoś na mnie patrzył? – zapytała z pretensją w głosie Lukrecja i Adriana westchnęła. – Nie, wszyscy patrzyli na nią. Zawsze patrzą tylko na nią. Jestem wyższa od niej i mam błękitne oczy, a to znacznie lepiej niż ciemne, i może moje włosy nie są takie długie, ale przynajmniej nie robię się taka pulchna od zajadania się biscotti, lecz i tak to na nią patrzą. Mimo że jestem córką papieża i hrabiną Pesaro. Mimo tego, że to mój dom.

– Oczywiście, że to twój dom – łagodziła pani

Adriana. – A Giulia jest twoją przyjaciółką.

– Wiem. – Lukrecja kręciła nerwowo loczek jasnych włosów. – Gdyby nie ona, nigdy by mnie tutaj nie było przy moim panu Sforzy. Ale nie przeszkadzałyby mi, gdyby od czasu do czasu to na mnie ludzie zwrócili uwagę. Zwłaszcza w moim własnym domu. – W jej głosie pojawiła się nuta rozżalenia. – Napiszę do ojca i powiem mu, że Caterina Gonzaga wygrała nasz konkurs piękności. Napiszę mu też, że jest wyższa i powabniejsza niż Giulia.

– I wtedy on być może weźmie ją sobie za kochankę – powiedziała Adriana. – Naprawdę chcesz dzielić jego względy z tą pyszałkowatą Lombardką, a nie z Giulią, która jest tak przemiłą towarzyszką przy obiedzie? Kto ci pożycza biżuterię, gdy tylko o to poprosisz? Kto nauczył cię poruszać się w sukience z trenem przed twoim weselem?

Hrabina Pesaro westchnęła i pani Adriana objęła ją ramieniem.

– Do łóżka, kochanie – powiedziała i wyszły bez słowa, szeleszcząc sukniami i pozostawiając mężczyznom poważne rozważania na temat francuskiej inwazji. „Rozważania” brzmią znacznie bardziej serio niż „plotki po pijaku”.

Koziołek Giulii popatrzył na mnie, przełknął frędzel, który właśnie odgryzł od leżącej na krześle poduszki, i zameczał żałośnie.

– Nie mecz na mnie – powiedziałem mu. – Nie

czuję się winny.

A może jednak tak właśnie się czułem. Może byłem naprawdę szorstki dla mojej małej, biednej, rozchichotanej pani, która prawdę mówiąc w całym swoim życiu ani razu nie była w stosunku do mnie okrutna, lekceważąca czy choćby bezmyślna. Ostatnio nawet mniej chichotała. Tego lata, zamartwiając się sprawami związanymi z papieżem, stała się cicha i zamyślona.

Pokręcone karzełki naprawdę mają pokręcone duszyczki.

Rozdział 14

Gdzie skarb mój, tam serce moje.

WYJĄTEK Z LISTU GIULII FARNESE DO RODRIGA BORGII

Carmelina

Carmelino! Carmelino, posłuchaj tego! – Woda w ogromnej wannie z marmuru o niebieskim żyłkowaniu zachlupotała gwałtownie, kiedy pani Giulia zawołała mnie do parującej łazienki. Odstawiłam talerz z tartami, które przyniosłam dla papieskiej faworyty do skubania podczas mycia włosów. Siedziała teraz w wannie, ledwo widoczna w obłokach pary wypełniającej małą komnatę wyłożoną niebieskozielonym marmurem, a mokre kosmyki jej włosów unosiły się na powierzchni gorącej wody jak złote wodorosty. Nad taflą błyskały różowo gołe ramiona pani Giulii, a za nią stała z podwiniętymi rękawami służąca, masując jej skórę głowy. Podeszłam do wanny, stąpając uważnie po śliskiej posadzce wyłożonej mozaiką w rzymskim stylu przedstawiającą wijące się ryby i syreny, a pani Giulia uśmiechnęła się do mnie promiennie. – Dostałam list od Jego Świątobliwości. – Pomachała grubym plikiem kartek. – Tylko posłuchaj! – Odchrząknęła, po czym niskim, imponującym basem, naśladowując kataloński akcent papieża, wyrecytowała: – „Wszyscy mówią, że gdy stanęłaś obok niej – ma na myśli tę przemądrzałą kurwę Caterinę Gonzagę – to

jakby blask słońca przyćmił światło latarni”.

– Bardzo dobrze – pochwaliłam, wymieniając porozumiewawcze uśmiechy ze służącą myjącą włosy pani Giulii. Pękaty hrabia Ottaviano da Monteverchio podczas krótkiego pobytu w Palazzo Ducale nikogo nie obraził, czego nie można było powiedzieć o jego żonie. Pani Caterina Gonzaga kręciła nosem na pałac, narzekała, że moje smażone z cytryną sardynki są zbyt słone, a w swojej komnacie zostawiła prawdziwy chlew. Gdyby się wraz ze swym mężem nie zabrała do ich posiadłości w położonym na północy San Lorenzo, służące zaczęłyby pluć jej do wina.

– Pisząc o niej Rodrigowi, wychwalałam ją pod niebiosa – powiedziała Giulia z rozkoszą. – Nie ma sensu sprawiać wrażenia zbyt zazdrosnej o inną kobietę. Mężczyźni już są wystarczająco próżni, sądząc, że walczymy ze sobą jak kocice o ich względy, prawda? Nawet jeśli rzeczywiście walczymy jak kocice o ich względy. Ależ ta miłość jest skomplikowana! Gdyby to nie było takie przyjemne, nikt by się tym w ogóle nie zajmował. – Giulia ucałowała list, niebaczną, że rozchlapująca się woda rozmazuje atrament. – Dostałam odpowiedź prawie od razu, następnym posłańcem. Nazwał siebie „osobą, która kocha mnie bardziej niż kogokolwiek innego na świecie”. Czy to nie urocze?

– Jego Świątobliwość ma talent do ładnego wystawiania się w listach. – Rok czy dwa lata temu byłabym dogłębnie wstrząśnięta samą myślą

o omawianiu stylu i zawartości listów miłosnych Ojca Świętego. Z jakiegoś powodu wstrząs jednak ustąpił. – Nie ukrywa swoich uczuć, prawda, pani Giulio?

– Nigdy nie ukrywa żadnych uczuć. A niektórzy zastanawiają się, dlaczego chce go zatrzymać przy sobie. – Giulia La Bella prychnęła niby to z gniewem, ale rozpogodziła się natychmiast, gdy tylko wróciła do przeglądania listu. – W dalszej części przekazuje mi wszystkie rzymskie plotki. Juan się upiera, żeby wrócić do domu z Hiszpanii. Teraz, gdy jego żona jest w ciąży! Czy potrafisz sobie wyobrazić, że Juan zostanie ojcem? W głowie się nie mieści! A Dziwka Aragońska zamienia życie biednego Jofrégo w piekło. Ona i Caterina Gonzaga z pewnością dobrze by się rozumiały... – Giulia przekartkowała kolejne strony. – O, proszę. Mój papież oskarża mnie o to, że jestem bez serca, dobrze się bawiąc bez niego. – Oczy rozblęły jej łagodnie. – Tęskni za mną.

– Nie sądzę, by ktokolwiek tęsknił za mną, gdyby mnie zabrakło – wyznałam szczerze, podnosząc znów majolikowy talerz z tartami i podając go Giulii do wanny. – Przynajmniej dopóki nie nadeszłaby pora posiłku.

– A co z twoim tajemniczym przyjacielem? – Oczy pani Giulii załśniły. – Tym, dla którego poznałaś sekretne zastosowanie limonek? Możesz mi przypomnieć, jak się nazywał?

Powstrzymałam uśmiech.

– Nigdy ci nie zdradziłam jego imienia, pani.

– No to zdradź mi teraz. I usiądź wreszcie i zjedz kilka tych tart za mnie. Znowu przytyłam i muszę zrzucić trochę ciała przed powrotem do Rzymu, więc na razie dla mnie żadnych słodkości. A to naprawdę szkoda, bo zawsze jem, kiedy się kąpię. – Giulia patrzyła z zazdrością, jak sięgam po jedną z tart. Tarty z pigwą i ricottą, prosto ze strony czterysta dwunastej, rozdział *Słodycze*. – Dlaczego to nie ty jesteś gruba, tylko ja? Kucharki powinny być grube!

– Nigdy nie są – odparłam. – Prawdziwi kucharze są zbyt zajęci bieganiem tam i nazad z kociołkami, różnami i łopatami do chleba, by mieć czas na jedzenie. Wszyscy żywimy się łyżeczką tego, kęsem tamtego i okrawkiem owamtego. Nigdy nie zatrudniaj grubego kucharza, pani. Albo ma zbyt duże wzięcie, albo jest zbyt leniwy, by ruszyć zadek.

– Jestem pewna, że to dobra rada, ale chciałabym usłyszeć coś więcej o tym twoim mężczyźnie. Czy jest kucharzem? Czy jest przystojny...?

– Pod wodę i spłukujemy, pani Giulio – zadyrygowała służąca.

– Nikt ma nie mówić nic interesującego, dopóki się nie wynurzę – ostrzegła pani Giulia, odłożyła list i zanurzyła się z bulgotem pod wodę. Wiła się przez chwilę, spłukując mydło z włosów, nad powierzchnią wody ukazywał się to łokieć, to kolano, po czym wynurzyła się jak syrena. – Skoro nie chcesz mi

powiedzieć, Carmelino, jak się nazywa ten twój kochanek, to posłuchaj listu, który piszę do swojego. Lubi dobre, dramatyczne listy miłosne, a nie jestem pewna, czy uchwyciłam właściwy ton: „Moje szczęście zależy od Jego Świątobliwości, więc niezdolna jestem w pełni rozkoszować się urokami Pesaro”...

Zanim zdążyła skończyć, aromatyczną chmurę pary smagnął zimny powiew. Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam przyodzianą w aksamit tęgą postać Adriany da Mila wchodzącą do rozgrzanej łazienki. Wstałam pospiesznie ze stołka. Kochanka papieża nie widziała nic złego w pogaduszkach ze służbą, ale jej teściowa nie lubiła patrzeć, jak opłacany przez nią czas jest marnowany. Pani Adriana jednak ledwie zaszczyciła spojrzeniem mnie i nagle niesłychanie zapracowaną służącą, która stała szeroki uśmiech z twarzy i zajęła się wyciąganiem z wanny mokrych splotów La Belli. Trzymając w ręku kolejny list, pani Adriana popatrzyła na Giulię.

– Od Jego Świątobliwości? – zaśmiała się Giulia. – Przysięgam, że pisze już co drugi dzień!

– Nie, to z Capodimonte. Twoja rodzina. – Twarz pani Adriany była nieoczekiwanie poważna. Popatrzyła na mnie i na służącą. – Wyjdźcie.

Dygnęłam bez słowa i wycofałam się pospiesznie.

– Posłuchajmy – szepnęła służąca i obie przywarłyśmy do na wpół otwartych drzwi.

– Złe wieści od twojej rodziny, kochanie – dobiegł

nas głos pani Adriany. – Obawiam się, że chodzi o twojego brata.

– Sandro? – wyszeptała Giulia tak cicho, że prawie jej nie usłyszałam. – Och, nie...

– Nie, nie kardynał Farnese. Twój drugi brat, Angelo. Zaraził się bardzo złośliwą gorączką. Twoja rodzina sądzi...

Usłyszałam głośny plusk wody w wannie.

– Carmelina! – zawołała Giulia. – Pia! Wracajcie! Wiem, że obie tam podsłuchujecie!

Wbiegłam do środka z kolejnym dygnięciem akurat w chwili, w której moja pani podnosiła się z wanny. Woda rozprysła się na wszystkie strony, a talerz z tartami poleciał z brzękiem na marmurową posadzkę.

– Pia – powiedziała pani Giulia do służącej – sprowadź nianię Laury i przygotuj je obie do drogi.

– Nawet nie myśl o wyprawie do Capodimonte – zaprotestowała pani Adriana. – Jego Świątobliwość nigdy się na to nie zgodzi. Nie teraz, gdy armia francuska każdego dnia posuwa się dalej na południe...

– To nie ma nic wspólnego z Rodrigiem.

– Oczywiście, że ma. Myślisz, że pozwoli ci wyruszyć tak nagle w podróż, bez opieki i bez pozwolenia?

– Carmelino, czy będziesz tak dobra i znajdziesz mi Leonella? – Spojrzenie pani Giulii spoczęło na mnie, gdy przykucnęłam na podłodze, by pozbierać resztki

potłuczonego talerza. – Wiem, że nie możesz znieść jego widoku, i szczerze mówiąc ja też nie mogę, taki był ostatnio dla mnie okropny, ale potrzebna mi jego ochrona podczas podróży. Oczywiście towarzyszący mi zazwyczaj strażnicy i słudzy jadą również. Proszę, przekaż to zarządcy.

– Dobrze, pani Giulio – odpowiedziałam natychmiast.

– Ty też jedziesz. Nie zamierzam zatrzymywać się w zajazdach, więc będę potrzebowała kogoś do gotowania w drodze. Weź ze sobą tego swojego ucznia, jeśli potrzebujesz kogoś, kto pomoże ci przy ciężkich pracach.

– Giulio, proszę. – Szeroka twarz pani Adriany zaczęła się już pocić w obłokach pary wciąż unoszącej się znad wanny. – Naprawdę nie możesz...

– ...nie stawić się przy łożu śmierci własnego brata? – wybuchnęła Giulia, stojąc naga i mokra na mozaikowej podłodze, a ociekające wodą włosy przywarły jej do pleców. – Nie, nie mogę, też tak uważam. Proszę, uściskaj Lukrecję ode mnie i wyjaśnij jej, dlaczego nie miałam czasu podziękować panu Sforzy za jego gościnność.

Pani Giulia odwróciła się, szarpnięciem przerzucając do przodu mokre włosy, i zaczęła je pospiesznie splatać w warkocz, wołając jednocześnie do służącej:

– Tylko suknia do konnej jazdy i kilka zmian

bielizny, Pia, nic więcej!

Pani Adriana ścisnęła ją za ramię. Mówiła cichym głosem, którego nie powinnam była usłyszeć, gdyby nie to, że całymi dniami wsłuchiwałam się w mamrotanie swoich nadąsanych pomywaczy.

– Giulio, moja droga, Rodrigo był na ciebie wściekły, gdy poprzednio mu się sprzeciwiłaś w kwestii małżeństwa Lukrecji. Myślisz, że znów ci wybaczy, kiedy ledwo co ochłonął po twoim ostatnim nieposłuszeństwie? Przynajmniej poproś go najpierw o pozwolenie. A potem możesz pojechać do brata z pełną obstawą papieskiej gwardii.

Giulia wzięła głęboki wdech, a ja zastanowiłam się przez chwilę, czy rumieńcom na jej policzkach była winna tylko gorąca woda.

– Carmelino – powiedziała cicho, a ja pospiesznie rzuciłam się ku niej. – Idź i znajdź Leonella i sługi. Za godzinę wszyscy wyjeżdżamy.

Giulia

Ledwie zeskoczyłam z siodła, Sandro chwycił mnie mocno i poderwał z zakurzonych kamieni dziedzińca.

– *Sorellina* – wyszeptał. – Nie sądziłem, że papież zezwoli ci na podróż, kiedy Francuzi...

– Nie jestem własnością papieża. – Poczułam, że oczy mnie pieką, i ukryłam twarz w ramieniu starszego brata. – Angelo... czy on...?

Szczupła, przystojna twarz Sandra ściągnęła się

boleśnie.

– Choroba zabrała go dziś rano.

Serce mi się ścisnęło. Nieomal zajeździłam swoją biedną siwą klacz w drodze nad jezioro Bolsena, napadałam na Carmelinę, Leonella i całą resztę świty za każdym razem, gdy proponowali postój na sen, odpoczynek lub napojenie koni – i po co to wszystko? Mój brat nie żył. Nie widziałam go od dnia swojego wesela. Prawie o nim nie myślałam z wyjątkiem tych kilku chwil, w których czułam irytację, kiedy pisał z prośbą o wyłudzenie od papieża pieniędzy lub łask, lecz teraz odszedł, odszedł na dobre, a mnie nie było dane naprawić naszych stosunków.

– Ciii... nie płacz. – Sandro przesunął kciukiem pod moimi wzbierającymi łzami oczami. – Przyjechałaś i tylko to się liczy.

Tak dziwnie było być w domu. Bardzo dziwnie. Z powrotem w pełnym przeciągów ośmiobocznym zamku z mojego dzieciństwa, nieco już podniszczonym i kruszącym się na blankach, obmywanym z trzech stron wodami jeziora, przez co w każdej komnacie słychać było szum fal uderzających o brzeg. Chłodna komnata, którą jako dziewczyna dzieliłam z Gerolamą, wyglądała tak samo jak zawsze. Na samym środku stało łóżko z baldachimem, w którym przepychałam się z nią o sprawiedliwą część kołdry i wyobrażałam sobie, kim będzie mój przyszły mąż. Jezioro miało ten sam zapach, na zakurzonych ulicach stare kobiety w czerni

plotkowały na stopniach domów, dzieci biegały, krzycząc i walcząc drewnianymi kijami, a muły wlekły się, objuczone rybami rzucającymi się jeszcze w śmiertelnych spazmach. Tak samo wyglądała stara sukienka, którą znalazłam w panińskiej szafie. Po raz ostatni miałam ją na sobie jako niewinna dziewczyna, która nigdy nawet nie słyszała o Orsinie Orsinim ani Rodrigu Borgii.

Jakie to dziwne.

– Na jak długi pobyt powinniśmy się przygotować?
– zapytał Leonello.

Spojrzałam na niego zdziwiona. Był mi zupełnie obcy – fragment jednego życia kompletnie nie na miejscu w drugiej, jakże odmiennej egzystencji. Wyróżniał się tutaj jak ladacznica w kościele. Nie pasował jak wulgarne słowo w modlitwie. Jak francuska armia w Rzymie.

– Nie wiem – odparłam matowym głosem i podeszłam do pozostałych członków swojej rodziny.

Angelo nigdy nie był mi tak bliski jak Sandro. Kiedy się urodziłam, był już prawie dorosłym mężczyzną, zbyt ważnym i zajęтым, by zwracać uwagę na kolejną siostrę, którą należało tylko wyposażyć i wydać za mąż. Zanim zostałam kochanicą papieża, a przez to osobą, którą można było poprosić o przysługę, nigdy nie miał dla mnie czasu. Nigdy mu tego do końca nie wybaczyłam i nie chciałam wracać do Capodimonte, by go odwiedzić. Myślałam, że będę

miała jeszcze mnóstwo czasu, by wybaczyć mu później... Ale już nie miałam.

Utył przez te ostatnie dwa lata. Kiedy tak leżał otoczony świecami na marach, sztywne jak z wosku fałdy przedwcześnie powstałego podwójnego podbródka wrzynały mu się w kołnierz. Jego żona łkała cicho, przyciskając do siebie dwie małe córeczki. Siedziała obok niej moja siostra, Gerolama, wyczerpana, z zaczerwienionymi oczami. Wstała i nieoczekiwanie uścisnęła mnie zamiast obsztorcować jak zwykle.

Takie dziwne.

Usiadłam na czuwanie przy zwłokach Angela, a Sandro i mój trzeci brat witali gości z Capodimonte, którzy przyszli z kondolencjami. Znajome twarze, znane mi od dzieciństwa, dlaczego więc przyglądali mi się tak chciwie?

– No wiesz, wszyscy o tobie słyszeli – powiedziała Gerolama z nutą dawnej szorstkości w głosie.

Słyszeli o mnie... Oczywiście. Byłam młodziutką Giulią Farnese, która wyjechała z domu, by wyjść za mąż jak wszystkie dziewczęta, lecz potem została papieską kurtyzaną. Byłam powszechnie znana. Byłam powszechnie znana od prawie dwóch lat, ale przez cały ten czas ani razu nie odwiedziłam domu rodzinnego i nie miałam okazji zobaczyć przyglądających się, plotkujących i szepczących pokątnie sąsiadów. Gdy następnego dnia szliśmy powoli przez miasto w orszaku

pogrzebowym, więcej ludzi patrzyło na mnie niż na mary, na których spoczywał Angelo. Prowadziłam papieską córkę do ołtarza w Watykanie, ale nie szłam za trumną swojego brata... Nie tak się tutaj załatwiało te sprawy. Czekałam w kościele w pożyczonej czarnej sukni, która na mnie nie pasowała, okrywszy skromnie głowę, i obserwowałam, jak przechodzą obok mnie księża, później trumna, wreszcie moi bracia, a jednak ludzie nadal patrzyli na mnie, jakbym miała co najmniej dwie głowy.

Podczas mszy żałobnej Sandro stał obok mnie, dostoyny i nieprzystępny w swoich szkarłatnych szatach. Pod osłoną jego czerwonego rękawa nasze palce splótły się mocno.

– Kardynał Farnese. – Usłyszałam, jak ktoś chichocze podczas *Kyrie eleison*. – Nigdy nie widziałem bardziej zniewieściałego kardynała... Dostał czerwony kapelusz tylko dlatego, że jest szwagrem Borgii!

Sandro odwrócił się gwałtownie, piorunując śmiałka spojrzeniem.

– Trzymaj ten plugawy jęzor na wodzy! – warknął, a ksiądz urwał w pół słowa i w kościele zapadła martwa cisza. Wszyscy na nas patrzyli. Wbiłam wzrok w podłogę, ale Sandro tylko spojrział jeszcze raz złym okiem.

– *Kyrie eleison, Christe eleison...* – podjął ksiądz, ale zdążyłam jeszcze usłyszeć ciche śmiechy za naszymi plecami.

Pozostałą część mszy pamiętam jak przez mgłę. Nic z niej nie usłyszałam, patrzyłam tylko tępo na ołtarz. Sam kościół był taki sam jak zawsze: zezowata Madonna, przed którą jako dziecko podczas mszy zwijałam się z nudów, stopnie, które co tydzień przeskakiwałam co dwa, żeby się wyspowiadać, kapliczka, przed którą podpity braciszek zakonny próbowała mnie obłapiać, kiedy miałam dwanaście lat. Taki sam jak zawsze był cmentarz, na którym spalona letnim słońcem trawa zakwitała maleńkimi żółtymi kwiatuskami. Przy grobie Angela przykucnęłam, by zerwać jeden z tych kwiatków, i stanęłam, obracając go w palcach i przyglądając się suchymi oczami, jak opuszczano trumnę do ziemi. Jego żona łkała obok mnie... Czy naprawdę tak go kochała? Nie miałam pojęcia. Jakie to dziwne mieć męża, którego się kocha, i może nawet ze wzajemnością.

– Dziwka – wyszeptał ktoś w tłumie za moimi plecami.

– Czy wracasz teraz do Rzymu? – zapytał Sandro nazajutrz po tym, jak odprowadziliśmy brata do grobu. Znalazł mnie na najwyższej wieżyczce, jak spoglądałam na marszczącą się błękitną taflę jeziora. Tyle godzin spędziłam tutaj w swoim zniszczonym słomkowym kapeluszu bez denka, wystawiając włosy na słońce. Wówczas nie mogłam sobie pozwolić na kosztowne płukanki z szafranu i cynobru. Sandro oparł się łokciem o kamienny parapet i popatrzył na mnie uważnie.

– Powinnam wrócić do Rzymu. – Otrzymałam już list od pani Adriany, ostrzegającej, że Rodrigo jest na mnie wściekły. Nie o to, że pognałam jak na skrzydłach, by stanąć przy łożu śmierci brata, lecz o to, że zrobiłam to bez pozwolenia, nie biorąc pod uwagę zagrożenia ze strony nadciągających francuskich oddziałów. O Francuzach tak naprawdę w ogóle nie pomyślałam. Kiedy dostajesz wiadomość, że ktoś z rodziny stoi nad grobem, nawet jeśli chodzi o brata, z którym łączyły cię dość chłodne stosunki, po prostu jedziesz. Rodrigo też nie myślałby o francuskiej armii, gdyby dostał wiadomość, że któreś z jego drogocennych dzieci jest śmiertelnie chore, a jednak był na mnie wściekły za to, iż zrobiłam to, co on zrobiłby na moim miejscu! W głowie się nie mieści! – Ale jeszcze nie chcę.

– Dobrze. – Sandro zmierzwił mi włosy. – Nienawidzę patrzeć, jak skaczesz tylko dlatego, że ten stary kozioł w mitrze zameczał.

Spojrzałam na niego z dezaprobatą.

– Sądziłam, że uzgodniliśmy, iż nie będziesz obgadywał Ojca Świętego za jego plecami.

– No, w twarz na pewno bym mu tego nie powiedział. Okazuje się, że nie potrafię go wystarczająco znieubić. Ale... – w głosie Sandra zabrzmiał ton zadowolenia – ...cieszy mnie myśl o tym, że nasz Ojciec Święty gotuje się ze złości jak odtrącony uczeń, bo wymknęłaś się na niezapowiedziane wakacje.

– Pogrzeb w rodzinie... Trudno to nazwać wakacjami, Sandro!

– ...jak Menelaos piekł się, gdy Helena wyjechała do Troi z Parysem...

Nie mogłam powstrzymać śmiechu. Od śmierci Angela Sandro był tak smutny i mizerny, że cieszyłam się, widząc, jak przynajmniej odrobinę powraca mu dawny wigor. Smutek zupełnie do niego nie pasował.

– Zostaniesz więc przez jakiś czas? – dążył Sandro. – Pomyślałem, że ja też mogę zostać, przynajmniej na chwilę wymigać się od czekających w Rzymie obowiązków. Wszyscy i tak uważają mnie za pyszałkowatego błazna, który nie zasłużył na kapelusz kardynalski. Tylko podtrzymam zatem panującą na mój temat opinię.

– Rzeczywiście jesteś pyszałkowatym błaznem – powiedziała mojemu bratu. – Jesteś najgorszym kardynałem, jakiego widział świat chrześcijański.

– Pod każdym względem wzoruję się na Ojcu Świętym – rzekł Sandro nabożnie. – Włącznie z wytwornym pałacem i nieślubnymi dziećmi. Wiesz, że Silvia jest w ciąży? Mój pierwszy bastard! Robię postępy!

– Och, Sandro.

– Ciągle ma ochotę na ostrygi – rzucił beztrąsko. – Czy ty też miałaś ochotę na ostrygi? Są strasznie drogie. Może mówi, że ma na nie ochotę, bo wie, że w tym stanie niczego bym jej nie odmówił. Chciałaby

chłopca... Już planuje, że pewnego dnia zostanę papieżem. Wtedy ona zostanie rzymską La Bellą, a nasz syn pojmie za żonę hiszpańską księżniczkę albo neapolitańską królową jak synowie Borgii. Nie miałem serca mówić jej, że twój ulubiony koziołek ma większe szanse na to, że wybiorą go na papieża, niż ja.

– Powinieneś jej przede wszystkim powiedzieć, że bycie La Bellą to nie tylko klejnoty i przepych.

Po pogrzebie Angela na rąbku sukni znalazłam płwocinę. Mężczyźni patrzyli na mnie łakomie, a ich żony odciągały ich za łokcie. Kilka przyjaciółek, z którymi zaśmiewałam się w dzieciństwie – dziewczyn, z którymi szeptałam i szturchałam się w drodze do konfesjonału, gdy wyobrażałyśmy sobie sukienki, które pewnego dnia będziemy nosić, i przystojnych mężów, za których pewnego dnia wyjdziemy – spojrzało na mnie jak na powietrze, gdy próbowałam się z nimi przywitać. W Rzymie byłam rozpustnicą, ale przynajmniej ważną, kimś, u kogo zabiegało się o względy i poparcie. Tutaj, w tym małym, zaściankowym Capodimonte, niewierna żona była po prostu kurwą, niezależnie od tego, jak wpływowym byłby człowiek, z którym zdradziła męża. Nic dziwnego, że żadna z moich przyjaciółek, zamężnych i cieszących się szacunkiem, nie chciała mieć ze mną nic wspólnego.

– Boże. – Usłyszałam głos Leonella całkowicie wyprany z emocji po dwóch tygodniach pobytu. – Sądziłem, że Pesaro jest nudne i zacofane. Teraz wydaje

się tętniącym życiem ośrodkiem kultury i oświecenia.

Wszyscy słudzy zdawali się uważać, że mój strażnik jest wcieleniem diabła, sądząc po tym, jak krzyżowali palce, odczyniając urok za każdym razem, gdy obok nich przechodził. Nie poprawiało sytuacji to, że w odpowiedzi robił zeza i syczał na nich jak wąż. Moja siostra uważała Leonella za potwornego i zdecydowanie zbyt grubiańskiego karła, ale Sandro go lubił. Wieczorami grywali w karty, a w każdym razie grywali, zanim obowiązki kardynała nie wezwały w końcu Sandra z powrotem do Rzymu. Leonello zazwyczaj wygrywał.

Dostawałam listy. Od Lukrecji skarżącej się, że ojciec obwinia ją o to, iż nie zatrzymała mnie w Pesaro, i naprawdę, czym sobie zasłużyła, żeby ją w to wciągać? Od pani Adriany piszącej to, co zwykle – tak w każdym razie zakładałam, bo darłam jej listy bez otwierania. Od Orsina... Polował, miał się dobrze, miał nadzieję, że ja też mam się dobrze, i skoro jestem tak blisko, czy nie zechciałabym odwiedzić go w Bassanello, zanim będzie musiał wyruszyć ze swoimi oddziałami na Francuzów? I oczywiście dostawałam listy od mojego papieża.

– Nie taki dobry list jak ostatnio, pani Giulio? – zapytała Carmelina, przynosząc talerz nadziewanych śliwką focaccii na dach, na którym siedziałam, patrząc znów na taflę jeziora i bujając Laureę na kolanie, bo zupełnie nie miałam ochoty czytać wściekłych gryzmołów Rodriga.

– Nie taki dobry, nie – odpowiedziałam. – To zawsze zły znak, kiedy w listach zaczyna przeklinać nie tylko po katalońsku i po włosku, ale i po łacinie.

Carmelina zerknęła na mnie z zaciekawiona. Miesiąc temu wpadłabym w panikę na samą myśl o tym, że Rodrigo jest na mnie wściekły... Miesiąc temu wpadłam w panikę. Teraz trudno mi było nawet zachować pozory, że mnie to obchodzi. Rzuciłam list na bok i uniosłam Laurę, żeby mogła zobaczyć jezioro błyszczące poniżej błękitem.

– To jezioro Bolsena, *Lauretta mia*, czyż nie jest piękne? Jutro cię tam zabiorę, żebyś się mogła popluskąć...

– Jak długo tutaj zostaniemy, pani Giulio? – zapytała Carmelina i usłyszałam jej niezadane pytanie: „Pani Giulio, dlaczego tutaj zostajemy?”. W Pesaro Leonello zadał mi pytanie o mojego papieża: „Dlaczego walczysz, żeby go zatrzymać przy sobie?”. Nie wiedziałam wówczas, jak na nie odpowiedzieć, ale tutaj miałam czas, by to dogłębnie przemyśleć.

– Wiesz co, Carmelino? – zwróciłam się do niej w zamyśleniu. – Przez całe moje życie uczono mnie zadowalać innych: matkę, księży, męża. – Tylko że to wszystko się nie sprawdziło, więc postawiłam sobie za cel zadowolenie Rodriga Borgii. Nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, by przestać podejmować kolejne próby, gdy zaczął się oglądać za innymi. I dokąd doprowadziła mnie ta nieprzeparta chęć zadowalania

innych? Do tego, że bałam się odetchnąć, obawiając się, iż mogę go rozzłościć, jeśli ośmielę się stanąć po stronie jego córki lub pojechać na pogrzeb własnego brata! – Jestem zmęczona próbą dogodzenia wszystkim – obwieściłam. – Przynajmniej raz spróbuję dogodzić samej sobie i naprawdę nie obchodzi mnie, czy rozzłoszczę Ojca Świętego albo teściową. Chcę mieć trochę czasu dla siebie, czasu za zabawę z Laurą, na siedzenie na słońcu, spanie, myślenie i jedzenie. Wezmę więc kolejny talerz tych łakoci, Carmelino, i zostaniemy w Capodimonte tak długo, aż przyjdzie mi ochota stąd wyjechać.

Uśmiechnęła się do mnie szeroko.

– Jak sobie życzysz, pani.

Miesiąc... Sześć tygodni. Carmelina najechała kuchnię jak francuska armia i jakość posiłków znacznie się poprawiła. Pantisilea była tak zajęta wskakiwaniem do łóżka wszystkim miejscowym chłopom, że zaczęła chodzić z podkrążonymi oczami. Gerolama i jej mąż wrócili do Florencji.

– Nie żeby Florencja była dziś szczególnie przyjemnym miejscem! – Pociągnęła nosem. – Ten szalony mnich, Savonarola, wszystkich podburza! Nie chodzi o to, że nie ma racji co do większości spraw, bo bez wątpienia świat jest miejscem przepełnionym złem i chciwością, ale teraz oczekuje od nas wszystkich, że spalimy nasze porządne meble, nasze ładne ubrania i zaczniemy żyć jak bracia z zakonów żebraczych!

– Absurd – zgodziłam się.

Ale szalony dominikanin wydawał mi się równie odległy jak wszystko inne. Nie potrafiłam się zainteresować nawet postępującą coraz bardziej na południe francuską armią, chociaż podczas mszy słyszałam ponure szepty, że dotarli aż do Parmy (a może to była Bolonia?), gwałcąc i mordując tamtejszych mieszkańców. Nic nie mogło zmienić Capodimonte, nawet Francuzi. Tutaj nic nigdy nie ulegało zmianie. Kiedyś doprowadzało mnie to do szału, ale teraz nie byłam już taka pewna, czy to źle.

Dostałam kolejny list od męża. Dostałam kolejny list od papieża, który musiał usłyszeć o listach Orsina, bo na jednej krótkiej stronie przeszedł od irytacji do wściekłości. Zaczął: „Niewdzięczna, wiarołomna Giulio!”, a potem już było tylko gorzej.

Stracisz go – ostrzegała część mnie, która nadal martwiła się tym, jak go udobruchać. Stracisz go i gdzie się wtedy podziejesz?

Tutaj. Bo jeśli Rodrigo się mną zmęczy, będę mogła odzyskać to życie albo jakieś bardzo do niego podobne, z moim mężem w Carbognano albo Bassanello. I chociaż jako panna marzyłam o luksusowej egzystencji w Świętym Mieście, teraz odkrywałam, że brakuje mi tego starego życia. Wolałam spokojne posiłki z rodziną niż pałac, w którym roiło się od ambitnych dworaków, śliskich ambasadorów i snujących intrygi kardynałów. Lubiłam spędzać

godziny odwiedzin nie z pochlebcami próbującymi wkraść się w łaski papieża, lecz z wdową po Angelu, którą starałam się odwieść od pomysłu usunięcia się do klasztoru. Z Sandrem i jego żwawą, drobnutką kochanką Silvia, którą zaczął przywozić ze sobą z Rzymu, kiedy tylko miał ochotę wymigać się od swoich kościelnych obowiązków. A ponad wszystko lubiałam spędzać dni z Laurą. Całe dni, dzień po dniu. Czesalam jej włosy, zabierałam ją nad jezioro i uczyłam pierwszych modlitw, skoro była już na tyle duża, że zaczęła wymawiać słowa. Matkowałam jej sama, nie musząc powierzać jej na wiele godzin niańce tylko dlatego, że wymagane było moje uczestnictwo w kolejnej watykańskiej uczcie.

Lubiłam być zwyczajna. Znów byłam Giulią Farnese, nie La Bellą, nie Wenus Watykańską, nie Oblubienicą Chrystusa.

Lato przeszło w jesień. Mój papież już dawno nie był po prostu rozzłoszczony – teraz był naprawdę rozwścieczony...

– Dostałem polecenie, by przyjechać tutaj i przywieźć mu cię pod groźbą ekskomuniki – oznajmił Sandro z grymasem rezygnacji na twarzy podczas swoich kolejnych odwiedzin.

– A które z nas ma zostać ekskomunikowane?

– Oboje, jeśli natychmiast nie stawimy się u Ojca Świętego. – Sandro popatrzył na mnie z namysłem. – Małe wakacje to jedno, *sorellina*, ale co ty właściwie

zamierzasz?

– Nie wiem – wyznałam.

Wydawało mi się, że nic już nie wiem, z wyjątkiem tego, iż nie mam jeszcze ochoty ponownie stawać u boku Rodriga tylko dlatego, że wrzasnął. Chociaż tęskniłam za nim... Czasem nocą w wielkim, zimnym łóżu tęskniłam za gorącym uściskiem jego ramion. Nadal jednak potrzebowałam czasu na zastanowienie. Spacerowałam z Laurą brzegiem jeziora i kiwałam głową rybakom, aż w końcu zaczęli mi się kłaniać nieśmiało, uchylając czapek. Podjęłam stary zwyczaj matki, która gromadziła jedzenie i używane ubrania i zabierała je do rozdania żebrakom przycupniętym przed kościołem. Sam kościół pilnie potrzebował remontu.

– Jeszcze jedna wiosenna burza – przyznał ksiądz – a ta wieża zawali się do środka przez dach!

Zaczęłam przyglądać się planom, rozmawiać z murarzami, przygotowywać zgrubne szacunki i wyłudzać od mojego brata pieniądze na naprawy. Nad jeziorem co roku organizowano letni festiwal. Nasza rodzina zawsze mu przewodziła, więc i ja zajęłam swoje miejsce, by pomóc przy rozdawaniu nagród. Kiedy wyjęłam sakiewkę będącą nagrodą za największą złowioną rybę w sezonie, kilka spośród zgromadzonych kobiet uśmiechnęło się do mnie.

– Nie możesz tak zwlekać w nieskończoność – ostrzegła mnie Gerolama przy okazji swoich kolejnych

odwiedzin. – Ojciec Święty nie będzie czekał na ciebie w nieskończoność!

– Sądziłam, że będziesz zadowolona – odparłam szorstko. – Czy to nie ty powtarzałaś mi ciągle, że jako papieska dziwka jestem plamą na honorze rodziny?

Gerolama zamrugała niepewnie.

– Poza tym – dodałam – chciałabym dopilnować remontu wieży kościelnej. To ogromna przyjemność móc przyczynić się do powstania czegoś większego niż obrus na ołtarz. I ważniejszego niż perfekcyjnie rozjaśnione słońcem włosy.

Czułam się... władna. Nie tylko ładna. Zdтна do czegoś wykraczającego poza zwykłą rolę elementu dekoracyjnego. Poczułam to jeszcze silniej następnego dnia, kiedy usłyszałam dobiegający z kuchni krzyk i potok weneckich przekleństw. Gdy wbiegłam do środka, zobaczyłam moją zazwyczaj niewzruszoną Carmelinę skuloną na blacie stołu, w ucieczce przed wijącym się leniwie na kamiennych płytach posadzki wężem.

– To tylko zaskroniec – roześmiałam się. – Przypelzają znad jeziora i ciągle któryś pcha się do domu. Nie ma się czego bać!

– Zabij go, Bartolomeo! – wrzasnęła Carmelina, nie zwracając na mnie uwagi.

– Oszalałaś? – Jej rudowłosy uczeń wdrapał się na stół obok niej, ściskając drewniany krzyżyk na szyi. – Nienawidzę węży!

– Jest nieszkodliwy – ofuknęłam ich. – Wy dwoje! Nie wzdragacie się przed przerabianiem tych obrzydliwych węgorzy z Tybru na potrawkę, a boicie się zaskrońca?

Chwyciłam syczące stworzenie w szczypcie kuchenne i wyrzuciłam na podwórze. Carmelina wbiła we mnie zaskoczony spojrzenie.

– Święta Marto – wymamrotała, gramoląc się z blatu. – Giulia La Bella? Powinno być Giulia La Coraggiosa.

Giulia Odważna? Podobało mi się to.

Być może istotnie było aktem odwagi napisanie do mojego papieskiego kochanka, że myślę o tym, by odwiedzić Orsina, zanim zjadę z powrotem do Rzymu. „Napisał z prośbą, bym przyjechała się z nim zobaczyć przed jego wyjazdem wraz z oddziałami z Bassanello”. Kiedyś napisanie takiego listu zajęłoby mi wiele godzin. Męczyłabym się nad każdym słowem, zastanawiając się, czy nie zdenerwuje Rodriga. Teraz napisałam po prostu nagą prawdę, bo nie miałam ochoty kłamać. Chociaż rzeczywiście poczułam się nieco winna, gdy dostałam jego odpowiedź, bo moja szczerość chyba prawie zabiła papieża. Niemal usłyszałam wściekły ryk dobiegający mnie aż z Rzymu.

„Nie mogliśmy uwierzyć, że potrafisz okazać taką niewdzięczność!” – pisał w swoim następnym liście, a każda litera niemal rozdzierała kartkę. „Po tym, jak tyle razy zarzekałaś się, że będziesz posłuszna naszym

poleceniom i nie będziesz się zbliżać do Orsina! A teraz robisz coś dokładnie przeciwnego! Ryzykujesz życiem, jadąc do Bassanello, mając na celu, bez wątpienia, oddanie się znów temu ogierowi!”.

Ogierowi. W głowie się nie mieści. Już dawno powinnam była zacząć starać się zadowalać nie Rodriga, lecz siebie. Nawet jeśli był wściekły, obdarzał mnie znacznie większą uwagą teraz, niż kiedy ostatnio byłam w Rzymie!

W końcu nie pojechałam do Bassanello. Zamiast tego Orsino przyjechał do mnie.

Leonello

Ostrożnie! – zawołałam za małą Laurą Orsini.

Córka Giulii Farnese biegała sobie nad brzegiem jeziora Bolsena, brązowa i naguteńka jak malutka nimfa wodna, a jej sukieneczka leżała rzucona obok mnie w cieniu wysokiego dębu, gdzie siedziałem, pilnując swojej małej podopiecznej. Chociaż był już listopad, zimowe chłody jeszcze nie nadciągnęły i nadal było na tyle ciepło, że można było sobie pozwolić na baraszkowanie nago nad wodą. Przynajmniej jeśli chodziło o Laurę.

– Nie powinnaś jej pozwalać tak biegać! – gderwała wstrząśnięta bratowa pani Giulii. – To nieprzyzwoite!

– Ja też pływałam w tym jeziorze nago, kiedy byłam w jej wieku – odparła Giulia. – I nic mi się nie stało. Daj jej biegać, jest jeszcze mnóstwo czasu, by ją

nauczyć, jak zachowuje się dama.

– Każ jej przynajmniej zakładać sukienkę w obecności mężczyzn!

Tym ostatnim słowom towarzyszyło ponure spojrzenie w moją stronę, ale Giulia zupełnie je zlekceważyła, a ponieważ tego popołudnia udała się na jedną ze swoich zaskakująco częstych misji dobroczynnych do żebraków z Capodimonte, na mnie i na kilka opiekunek spadł obowiązek zabrania jej córki krętą ścieżką schodzącą z zamku niczym schody nad chłupoczące poniżej jezioro do miejsca, w którym korzenie dębów przebijały się wśród ostrych przybrzeżnych skał. Zmęczony paplaniną opiekunek, odesłałem je z powrotem do zamku, a jezioro rozciągało się teraz przede mną błękitne i błyszczące pod równie błękitnym sklepieniem nieba. Nade mną ćwierkały drozdy, a na przeciwległym brzegu rysowały się sięgające ku niebu kościelne wieże. Mimo wciąż utrzymujących się letnich temperatur liście na gałęziach dębu nad moją głową zaczęły się już marszczyć i czułem, jak szeleszczą pode mną, kiedy przekręcałem się na rozłożonym na ziemi płaszczu. Nadeszła jesień.

I czy La Belli się to podobało, czy nie, jej letnia idylla dobiegała końca.

– Leo, Leo! – dobiegł pisk Laury z wody. – Ziuwie!

Byłem już biegłym interpretatorem dziwnego, typowego dla osiemnastomiesięcznego dziecka słownictwa Laury. Ziuwie oznaczały żółwie.

– Nie wspominaj o tym signorinie Carmelinie, kiedy cię zabiorę do kuchni na drugie śniadanie – doradziłem jej znad *Medytacji* Marka Aureliusza. – Przymaszeruje tutaj z siatką i zanim się zorientujesz, ten mały żółwik, którego trzymasz teraz w ręku, pojawi się na twoim talerzu.

Laura zachichotała. Zwijające się ze śmiechu małe diabłątko przykucnęło w płytkich strumyczkach przy brzegu i przebijając w miękkim mule palcami stóp, ostrożnie wypuściło żółwia z powrotem do wody. Przez pół lata uczyła się nad jeziorem chodzić i biegać, opalając się przy tym od stóp do głów, a jej miękkie blond loczki spłowiwały od słońca, przybierając barwę jasnego złota.

– Nie głębiej niż do kolan! – ostrzegłem, kiedy zaczęła się pluskać dalej od brzegu. – Wiesz, co powiedziała twoja matka.

– Dobrze, Leo.

Dobrze, Leo. Laura mnie lubiła... Oczywiście byłem dorosłym mężczyzną, ale jakimś szczęśliwym zrządzeniem losu niewiele wyższym od niej, co nieodmiennie ją fascynowało. Stawiała swoje pierwsze nieporadne kroki, trzymając się kurczowo moich krótkich paluchów, a ja bez oporów jej na to pozwalałem. Była ujmującym stworzonkiem, zbyt jeszcze małym, by rozumieć, jak można być okrutnym. Zamierzałem się tym cieszyć jak długo się da.

– Leonello!

Głos pani Giulii. Jeszcze zanim podniosłem wzrok znad książki, pomyślałem, że brzmi dziwnie. Dziwnie zduszony. Odnalazłem wzrokiem jej postać posuwając się ostrożnie wzdłuż brzegu omywanego falami jeziora i dostrzegłem za nią inną postać: młodego, może dwudziestoletniego mężczyzny, jasnowłosego i błękitnookiego, którego młodzieńcza patykowatość nie przekształciła się jeszcze ostatecznie w męską szczupłość. W ciągu dwóch lat w służbie La Belli nigdy dotąd nie byłem zmuszony stanąć w jej obronie i jakoś nie wydawało mi się, by ten pierwszy raz miał nastąpić właśnie teraz. Nie w przypadku człowieka, którego ochoczo prowadziła do własnej córki.

– Laura – powiedziała, pochylając się, i dziewczynka rzuciła się matce w ramiona jak mała brązowa małpka. Giulia podniosła ją, pogładziła jasne loczki i odwróciła się do młodego mężczyzny z uśmiechem, który był... nerwowy? – Lauro, przedstawiam ci Orsina Orsiniego.

Boże. Odłożyłem książkę na bok, z większym niż dotąd zainteresowaniem przyglądając się temu niespodziewanemu gościowi. Nigdy nie spotkałem tego młodego żonkosia, któremu rogi przypawił sam papież.

– To ona? – Chłopak miał wdzięczny, tenorowy głos, który z nerwów prawie wiązał mu w gardle.

– Tak. *Lauretta mia*, to jest twój... To znaczy to jest mój... – I na tym skończyły się kurtuazje. „Twój

ojciec”? Ale jeśli chodziło o ojców, Laura знаła tylko prostoduszną postać papieża o rozigranych wesołością oczach. „Mój mąż”? Ale z tego, co było mi wiadome, pani Giulia widziała go po raz ostatni wiele miesięcy przed narodzinami Laury. – Orsino Orsini – powiedziała w końcu La Bella i dygnęła z córeczką w ramionach, unikając wszystkich tych komplikacji.

Błękitne spojrzenie Orsina Orsiniego przeskoczyło na dziewczynkę noszącą jego nazwisko. Może szukał w niej rysów własnej twarzy? Uznałem to za bezcelowe. Wszak wszystkie śliczne, malutkie blondyneczki są do siebie podobne. To tylko próżność każe się mężczyznom upierać, że ich latorośle ich przypominają. Laura była po prostu rozradowanym dzieckiem w ramionach swojej matki i nie miała w sobie nic, co uzasadniałoby przypisanie jej do rodu Orsinich lub Borgiów.

– Jest piękna – powiedział Orsino wreszcie. Wyciągnął palec ku policzkowi Laury, ale ona wtuliła się tylko w szyję matki, nagle onieśmielona. Orsino też wydawał się onieśmielony, patrząc na Giulję. – Ty też jesteś piękna. Tak piękna, jak cię zapamiętałem.

– Dziękuję. – Jeśli się spodziewał, że zarumieni się jak dzierlatka, to chyba nie wiedział, ile pewności siebie zdobyła jego żona w ciągu dwóch ostatnich lat. – Dobrze wyglądasz, Orsino. Urosłeś.

– Tak. Jestem wyższy o całe pięć centymetrów. – Wyprostował się. – To przez te wszystkie godziny w siodle, dzięki temu jestem znacznie silniejszy. Wiesz,

że jestem kondotierem? Jeżdżę wszędzie z moimi żołnierzami...

Giulia uniosła głowę, badając uważnie wzrokiem jego profil.

– Złamałeś nos?

– Tak. – Zakaszłał. – Ja... To znaczy... No cóż, doszło do potyczki... Moich ludzi ze zbirami z Mediolanu...

Prychnąłem, niezbyt cicho. Orsino spojrział na mnie z góry, jakby to jakiś krzak nieoczekiwanie się ozwał.

– Co to? – zapytał Giulie.

– Coś, co twierdzi, że jesteś kłamcą – odparłem, uprzedzając moją panią. – Nie złamałeś tego nosa w żadnej potyczce, mój panie Orsini. Widzisz, ja i kardynał Farnese często ucinamy sobie pogawędki podczas gry w karty i nie zawsze są to tylko ploteczki z kolegium kardynalskiego. Zdradził mi kilka kłopotliwych zapewne dla ciebie sekretów...

Giulia uniosła brwi.

Orsino zaczerwienił się i dotknął swojego skrzywionego nosa.

– To był twój brat – przyznał. – Sandro na mnie napadł. Po tym jak... no cóż...

– Po tym, jak się dowiedział, że zgodziłeś się wypożyczyć swoją młodą żonę jako dziwkę – podrzuciłem usłudźnie. – Brat pani Giulii dopadł cię podczas polowania, ściągnął cię z konia i złamał ci nos

i dwa żebra.

– Naprawdę? – Sądząc po głosie, Giulia była całkiem zadowolona. – Sandro nigdy mi o tym nie wspominał. Co tutaj robisz, Orsino? Powinieneś teraz maszerować ze swoimi ludźmi na Francuzów. Dostałam twój ostatni list.

A zatem pisali do siebie. Ciekawe. Nie wydawało mi się, żeby papież mógł być z tego zadowolony. Z drugiej strony w tym momencie ani Giulia, ani jej przedłużająca się nieobecność nie wprawiały go w szczególnie dobry nastrój. A jej zdawało się to ani trochę nie obchodzić, co uważałem za jeszcze ciekawsze.

– Posłałem ludzi w drogę beze mnie i wróciłem do Bassanello. A potem tutaj. – Wbił wzrok w swoje buty, noskiem ryjąc kreskę w mulistym brzegu, a potem starannie ją zacierając. – Ja... chciałem cię zobaczyć.

Giulia utkwiała w nim nieruchome spojrzenie ponad spowitą jasnymi loczkami główką Laury. Uśmiech mojej pani zgasł, a wraz z nim nerwowe mruganie oczami. Patrzyła teraz na niego wzrokiem tak beznamiętnym i pozbawionym wyrazu, jakim marmurowa bogini patrzyłaby w przestrzeń ponad głowami swoich wyznawców.

– Nigdy nie byłaś w Bassanello, prawda? – ciągnął Orsino, wciąż nie podnosząc oczu na żonę. – Nie robi dużego wrażenia... W gruncie rzeczy to tylko kilka wzgórz i warownia. To Carbognano chciałbym ci

któregoś dnia pokazać... Jest piękne. Mamy tam zamek. Z zewnątrz może się wydawać prosty i mało ozdobny, choć wieńczą go blanki, ale w środku jest piękny. Jest w nim sala z malowidłami na suficie.

– Och, cóż za wyrafinowanie. Pakujmy się natychmiast, pani! Musimy to zobaczyć!

– Słyszałam o Carbognano. – Giulia rozejrzała się w poszukiwaniu sukienki porzuconej przez Laurę i kucnęła, żeby ją podnieść. – Czy to miasto, które otrzymałeś, mój panie, od Jego Świątobliwości w zamian za wypożyczenie na dłuższy czas swojej żony? – Głos miała spokojny i niewzruszony, niezabarwiony złością ani jakimikolwiek innymi uczuciami, lecz Orsino mimo to oblał się purpurą.

– W pobliżu jest jezioro – ciągnął uparcie. – Lago di Vico. Nie takie duże jak to – szerokim gestem objął błękitny bezmiar jeziora Bolsena – ale bardzo ładne. Latem wieje znad niego przynosząca ulgę bryza. I robimy bardzo dobrą oliwę, nie wspominając już o uprawie orzechów laskowych.

– A zatem nie tylko malowidła na suficie, ale i orzechy laskowe – rzuciłem w przestrzeń. – Czyż można sobie wyobrazić podobny przepych?

Orsino spojrział na mnie, czerwony po cebulki włosów.

– Słuchaj, możesz już odejść.

– Nie ty mi będziesz rozkazywał – odparowałem. – Nie ty mi płacisz. A jeśli spróbujesz usunąć mnie siłą, to

szybko się zorientujesz, że znacznie trudniej mnie ruszyć, niż mógłby na to wskazywać mój wzrost.

Miałem nadzieję, że spróbuje.

Orsino już otworzył usta, ale wtrąciła się Giulia.

– Leonello, proszę. Orsino jest tutaj gościem. – Posłała mi ostrzegawcze spojrzenie, a potem odwróciła się z powrotem do męża, przybierając niemal zachęcający wyraz twarzy. – O czym to mówiłeś? Lago di Vico, Carbognano...

Wyglądało jednak na to, że moja wzgarda odebrała mu resztki odwagi. Patrzył tylko na nią błagalnie, a ona westchnęła cicho i klęknęła, żeby włożyć małej Laurze przez blond główkę porzuconą sukienkę.

Orsino niepewnie przestąpił z nogi na nogę. Zapadło niezręczne milczenie. Giulia wciskała rączki Laury w rękawy jej sukienki, chociaż mała wierciła się i złościła.

– Nie jubię – powiedziała buntowniczo. – Nie jubię.

– Czego nie lubi? – zapytał Orsino.

– Ubrań. – Giulii udało się w końcu upchnąć rączki swojej córeczki w rękawach. – Cokolwiek bym na nią wkładała, to albo to natychmiast zdejmuję, albo w ubraniu i we wszystkim wchodzi do jeziora. Naprawdę szkoda, bo przecież połowa przyjemności z posiadania córki polega na ubieraniu jej w śliczne sukienki, prawda?

Giulia wyprostowała się i zdecydowanie chwyciła Laurę za rączkę.

– Spodobałoby się jej jezioro w Carbognano – powiedział Orsino. – Jeśli je kiedykolwiek zobaczy oczywiście. Świetnie się w nim pływa.

– Naprawdę? – Przez kamienną twarz Giulii przemknął cień uśmiechu. – A zatem może zechciałbyś przespacerować się z nami i opowiedzieć mi o nim nieco więcej.

Wyglądał, jakby kompletnie go zatkało.

Giulia obejrzała się na mnie przez ramię. Tutaj na wsi zrezygnowała z wyrafinowanych fryzur, włosy miała zwinięte na karku i okryte siateczką. A na jej nosie i dekolcie pojawiło się tyle piegów, że wyglądała jak obsypana złotym piaskiem.

– Czy zechciałbyś na nas tutaj poczekać, Leonello?

– Nie – odpowiedziałem, upychając Marka Aureliusza pod dubletem i wstając. – To Borgiowską monetą płacone jest moje wynagrodzenie, pani Giulio, a papież wolałby zapewne, by jego konkubina nie oddalała się ku zachodzącemu słońcu ze swoim mężem bez przyzwoitki.

Powiedziałem to umyślnie, patrząc na Orsina. Zarumienił się i odwrócił wzrok ku jezioru. Giulia podeszła do mnie bliżej, szeleszcząc zakurzonymi wełnianymi spódnicami i ścisząc głos.

– Cóż to może komu szkodzić, Leonello? On chce tylko porozmawiać.

– Chce odzyskać swoją żonę – odparłem. – Chociaż nic w tym kierunku nie zrobi. Trzeba mieć nie byle

odwagę, by stanąć przeciwko Borgiom, nie wspominając już o papieżu, a ten chłopak ma tyle odwagi co oskubany kurczak. Cofam to, co powiedziałem w Pesaro. Rozumiem już, dlaczego zostawiłaś przystojnego młodzieńca dla starzejącego się duchownego, i to bynajmniej nie z powodu klejnotów.

– Orsino Orsini jest moim mężem. – W oczach Giulii rozbłysły iskierki gniewu.

– Ale nie ojcem Laury, jak sędzę, pomimo wątpliwości papieża. – Uniosłem brwi i uśmiechnąłem się szeroko. – Na twoim miejscu modliłbym się na kolanach, by okazała się nieślubnym dzieckiem Borgii, a nie prawowitą dziedziczką Orsinich. Wystarczającym obciążeniem jest już tchórzliwy mąż. Tchórzliwa latorośl jeszcze bardziej pogorszyłaby sprawę.

Giulia Farnese uderzyła mnie. Nie był to jeden z tych lekkich policzków, jakie wymierza się nieposłusznym służącym albo kapryśnym dzieciom. Uderzyła mnie z całej siły, a cios jej drobnej rączki raził mnie w twarz jak piorun. Zachwiałem się i upadłem, w ostatniej chwili opierając się na łokciach.

– Możesz za nami iść albo nie, ty pokręcony mały sukinsynu – powiedziała. – Jak ci się żywnie podoba.

Odwróciła się z impetem i wróciła do zaskoczonego Orsina, który siedział w kucki, rozmawiając z wciąż jeszcze onieśmiałoną Laurą.

– Nieco dalej rozciąga się z brzegu uroczy widok na miasto – obwieściła Giulia, sięgając po wyciągniętą

rączkę Laury. – Idziemy?

Orsino wyglądał, jakby również miał ochotę wziąć Giulię za rękę, ale zamiast tego chwycił drugą rączkę Laury.

Usiadłem powoli, patrząc, jak odchodzą, i otrzepałem ubłocone ręce. Na eleganckich czarnych spodniach miałem szlam z jeziora. Boże, jak ja tęskniłem za Rzymem. Gotów byłem oddać wszystkie uroki wsi za obskurne zaułki, zgiełkliwe winiarnie i odrażający fetor miasta.

Kiedyś sądziłbym, że Giulia Farnese by się ze mną zgodziła. Elegancka konkubina papieża w swoich aksamitach i klejnotach, tańcząca do świtu, wydająca przyjęcia i maskarady, organizująca parady. Ale po lecie spędzonym w małym, sennym Pesaro i jeszcze mniejszym i senniejszym Capodimonte, w którym wydarzeniem tygodnia była niedzielna msza...

Promienie popołudniowego słońca rozbłyły na trzech jasnych głowach postaci oddalających się brzegiem jeziora. Młody Orsino wyglądał, jakby coś opisywał, wymachując wolną ręką. Giulia słuchała uważnie, przekrzywiając nieco główkę, co tak schlebiało wszystkim mężczyznom. Laura podskakiwała między nimi, huśtając się na ich rękach. Mąż, żona, dziecko – mała trójca rodzinnego szczęścia.

Jeśli postanowiła tutaj zostać – czy to w Capodimonte, czy to w Carbognano – być może nie byłem jej już potrzebny. Niewątpliwie z czystej

uprzejmości znajdzie dla mnie jakieś stanowisko na pocieszenie. Co oznaczało, że znów będę bezrobotny, bo nie zamierzałem gnić na wsi na łasce Giulii Farnese tylko po to, by zapewnić sobie pełny żołądek.

– No to ładnie – westchnąłem i poszedłem do zamku, żeby oczyścić ubranie z błota.

Rozdział 15

Ojcowie i inni krewni, którzy brutalnie kneblują swoje córki!
SIOSTRA ARCANGELA TARABOTTI, *L'INFERNO MONACALE*

Carmelina

Tęsknię za Rzymem – powiedziałam ze złością zmumifikowanej rączce. – Tęsknię za miastem, tęsknię za porządną kuchnią z porządną spiżarnią na śmietaną, a nie jakimiś ciasnymi kącikami, w których przez szpary okienne ciągnie lodowatym chłodem, tęsknię za tym serem z Sardynii w ciemnej skórce, można go dostać tylko od tego jednookiego handlarza, który nie dostarcza swoich towarów na tak zapadłą prowincję! A jeśli będę musiała usmażyć jeszcze jedną porcję tych wstrętnych stynek z jeziora, to chyba zacznę krzyczeć!

Słyszałam, jak święta Marta zgadza się ze mną przez płótno zaciąganego sznureczkami woreczka. Nie nosiłam jej już pod wierzchnią spódnicą. Zawiesiłam ją na uchwycie razem z wywieszonym do suszenia rozmarynem, żeby mogła nadzorować przygotowania do kolacji. Stwierdziłam, że święta Marta lubi zajmować dogodne stanowisko obserwacyjne. Mogłabym przysiąc, że udawało jej się zawsze znaleźć jakiś sposób, by wypaść mi z sakiewki, jeśli nosiłam ją zbyt długo pod spódnicą, nie pozwalając jej oglądać świata. Na samą myśl o tym przechodził mnie dreszcz i żegnałam się pospiesznie, ale z biegiem czasu najdziwniejsze rzeczy

powszednieją i wkrótce nabrałam zwyczaju wieszania małej sakiewki razem z suszącymi się ziołami w miejscu, z którego rozciągał się ładny widok na tę ciasną kuchenkę. Też bym chciała mieć ładny widok, jakbym ostatnich kilka wieków spędziła zamknięta w relikwiarzu, nie mając w polu widzenia nic jadalnego poza opłatkiem, i to też tylko od czasu do czasu.

– Jestem pewna, że ty też tęsknisz za miastem – powiedziałam do świętej Marty, sięgając po pęczki zieleniny zebranej w ogrodzie. Miejscowe targi oferowały tak niewiele towarów luksusowych, że zmuszona byłam eksperymentować ze skromniejszymi składnikami niż te, do których byłam przyzwyczajona. Sałatki ze zwykłymi listkami mniszka lekarskiego zamiast drogich sałat, które mogłam dostać w Rzymie. Małe, na jeden kęs poduszcзки z sera doprawione miętą i cytryną z ogrodu zamiast drogich przypraw sprowadzanych z Wenecji. Comber z królika zamiast piersi pawia. – Gotowanie w domu na prowincji z pewnością pobudza do kreatywności, ale to nie to samo co zastawianie stołu dla papieża, prawda? Nie wspominając o trudnościach, z jakimi wiąże się tu zdobycie dobrego szafranu. Przynajmniej pani Giulia przestała mi podkradać zapasy do płukanek...

– Z kim rozmawiasz, signorina? – Rozległ się za mną głos Bartolomea, gdy sięgałam po fartuch. Reszta domowników pod palącym letnim słońcem Capodimonte opaliła się na brąz, ale Bartolomeo tylko

spiekał się na różowo, łuszczył się i znów spiekał, chociaż była już jesień.

– Z nikim. Zaczynaj siekać tamte cebulki.

– Mówisz znów do tej małej torebki, prawda? – Mój uczeń uśmiechnął się szeroko, sprawdził ostrość swojego noża i z rozmachem przepołowił pierwszą cebulkę. Mając tu w Capodimonte tak niewiele do roboty, przepędzaliśmy letnie dni na doskonaleniu jego umiejętności posługiwania się nożem. Sporo mu jeszcze brakowało, aby mógł mi dorównać szybkością, ale już teraz w jego piegowatych dłoniach nóż zamieniający cebulkę w posiekany stosik wyglądał jak rozmazana plama. – Co jest w tej torebce, tak swoją drogą? Ottaviano podejrzewał zawsze, że są tam suszone jądra wszystkich uczniów, których zabiłaś i zjadłaś.

– Nie twoja sprawa. Siekaj dalej – odburknęłam, kiedy Bartolomeo przerzucił sobie nóż za plecami i uśmiechnął się do mnie szeroko, gdy udało mu się go złapać. – Proszę, mniej gadaj, a więcej pracuj! – Sięgnęłam po jabłko i zaczęłam je obierać, tworząc jedną długą strużynę tylko po to, by pokazać mu, jak niewiele jeszcze umie. – Przygotujemy chleb z wędzoną cebulą, barwę pod skorupką z soli i gęstą zupę szparagową na bulionie. To powinno wystarczyć na kolację.

– Tak jest, signorina. – Śledził wzrokiem coraz dłuższą wstążkę strużyny spływającą z mojego noża. – Ile osób mamy na kolacji?

– Pani Giulia, jej siostra, jej brat z żoną...

Drugi brat, nie kardynał Farnese, który znów powrócił do Rzymu w związku ze zbliżaniem się francuskiej armii. Tęskniłam za młodym kardynałem, żartownisiem o wyrobionym podniebieniu, który podzielał uznanie swojej siostry dla mojego jedzenia.

– Nie jestem aż tak dumny, by kobieta nie mogła zarządzać moją kuchnią – kusił mnie w zeszłym miesiącu, a w jego ciemnych oczach igrało to samo rozbawienie co w oczach pani Giulii. – Pomyśl o tym, signorino Carmelino!

Warto o tym pomyśleć. Byłabym panią w swojej własnej kuchni i do tego gotowałam dla kardynała! Nawet jeśli liczył sobie tylko dwadzieścia sześć lat i więcej miał w sobie z błazna niż z kardynała, to z pewnością byłby to znaczący krok naprzód. Jednak już w Palazzo Santa Maria byłam niemal szefową kuchni – kuchni, którą zresztą bardzo polubiłam. Pomywacze, którzy na jedno moje skinienie skakali jak posłuszne żabki, nieograniczony papieski budżet na rzadkie przyprawy, importowane sery i wszystko inne, co tylko zapragnęłam zobaczyć w swojej spiżarni, pani Giulia i jej niekończący się apetyt na moje tarty... Nie wspominając o Marcu, a nie byłam wcale taka pewna, czy pozwoliliby mi opuścić dom pani Giulii – i to nie dlatego, że bez mojego towarzystwa w łóżku nie mógł się obejść, bo przecież gdy tylko miał ochotę na łóżkowe figle, mógł sobie wziąć dowolnie wybraną

służącą. Byłam poza Rzymem od tak dawna, że prawdopodobnie sypiał już z którąś z pałacowych służących, ale ta myśl nie wzbudziła we mnie najmniejszej nawet zazdrości.

Nie, Marco mógł się obyc beze mnie w łóżku, ale w kuchni? To już zupełnie inna sprawa. Mój kuzyn był leniwy, a moja obecność gwarantowała, że nie będzie musiał się przepracowywać. Nie byłby szczęśliwy, gdybym się przeniosła na zieleńsze pastwiska, bo zmusiłoby to go znów do samodzielnego załatwiania porannych rybnych sprawunków. A wciąż zawdzięczałam mu to, że mnie przyjął do swej kuchni, gdy przyjechałam do Rzymu.

Z końcowym zawijaszem odrzuciłam długą wstążkę obierki z jabłka i rzuciłam nią w Bartolomea, po czym zaczęłam przetrząsać kruche pędy szparagów odłożonych już na bok do zblanszowania. Prawdę mówiąc (a było to coś, co rozważałam wyłącznie w towarzystwie świętej Marty i własnego sumienia), to nie za samym Markiem tęskniłam, lecz za obecnością mężczyzny w moim łóżku. Rozciągnięte na mnie gładkie, ciepłe męskie ciało, pocałunki i śmiechy, ostrzejszy zapach męskiego potu... Puszczało do mnie oko kilku strażników z Capodimonte, ale nie dałam się skusić. W końcu miałam swoje wymagania. Strażnicy śmierdzieli gotowaną skórą i skwaśniałym piwem. Od ucieczki z Wenecji miałam tylko dwóch kochanków: szlachcica i kucharza. Może kucharze i szlachcice nie

mają ze sobą wiele wspólnego, ale mężczyźni jednego i drugiego rodzaju cudownie pachną. Cezar Borgia pachniał olejkiem sandałowym, skórą i perfumami, Marco zaś goździkami, ziołami i oliwą. Nie przewidywałam intymnych spotkań z kolejnymi szlachciami, ale mogłam się przynajmniej rozejrzeć za kolejnym kucharzem zamiast zaciągać do łóżka strażników tylko dlatego, że czułam się samotna. Kucharze nie tylko uroczo pachną, lecz mają też nadzwyczaj zręczne palce. Jeśli potrafi się obrać jabłko, nie przerywając długiej strużyny, sznurówka kobiecej sukni nie przedstawia żadnej trudności. Nie wspominając o wyrobionych zmysłach kucharza, gdy idzie o smaki i zapachy ciała: sól potu, woń mydła, ciężki aromat pożądania wrzącego we krwi i wydobywającego się na wierzch niczym gorący olej wypływający na powierzchnię sosu... Dłonie mi znieruchomiały na desce do krojenia.

– Założę się, że potrafię obrać jabłko tak jak ty. – Bartolomeo spojrział na miskę owoców. – Mogę spróbować?

– Nie. – Sięgnęłam po kolejne szparagi. – Siekaj dalej te cebulki do chleba. Potem ci pokażę, jak wycinać romby w cieście. Wiesz przecież, że wygląd jest równie ważny jak smak.

– Tak jest, signorina. – W jego głosie zabrzmiała odrobina buntu, ale posłuchał mnie. – Czy mąż pani Giulii również zostaje na kolację?

Włożyłam do garnka dwie garści zielonych pędów szparagów, by ugotować je z kilkoma plasterkami szynki.

– Zostaje.

Bartolomeo gwizdnął przeciągle, zmuszając mnie do karcącego uniesienia brwi.

– Żadnego plotkowania o chlebobawcach!

– Słowa nie powiedziałem.

Potrząsnął jednak głową i prawdę mówiąc, potrząsali głowami wszyscy domownicy, odkąd przed dwoma dniami przyjechał Orsino Orsini. Myślę, że brata pani Giulii kusilo, aby w ogóle odmówić mu prawa wstępu z obawy, iż pod jego nieobecność może sobie swoją żonę po prostu zabrać. Boże broń, by rodzina Farnese straciła stały dopływ papieskich przywilejów uzyskiwany dzięki siostrze, którą tak ochoczo okrzyknęli ladacznicą!

– Słyszałam, że Orsini chce ją zaciągnąć do Bassanello – zdradziła w zaufaniu jedna ze służących. – Za włosy!

– Myślisz, że Jego Świątobliwość do tego dopuści?
– prychnął główny zarządca. – Wyśle oddziały przeciwko Orsinowi Orsinemu, by ją odzyskać...

Pewnego dnia usłyszałam, jak pan Sandro zapytał panią Giulie przy stole, co ma zamiar zrobić, ale tym razem Oblubienica Chrystusa nie wyglądała na skórą do zwierzeń, więc dalej nikt nic nie wiedział.

– Co do pani Giulii – zaczął Bartolomeo. – Czy

myślisz, że ona naprawdę...

– Nic nie myślę – uciełam, po czym zamieszałam szparagi i dodałam pół kubka kipiącego bulionu wołowego. – Z wyjątkiem tego, że chciałabym, by pan Orsini był nieco bardziej konkretny, gdy każe przekazać kuchni, że jedzenie było „cudowne”, bo jak mam karmić człowieka, którego upodobań w ogóle nie znam? Tylko to nas, Bartolomeo, w tej chwili obchodzi.

– Tak jest, signorina.

– Dziś wieczór pan Orsini nie będzie twoim jedynym zmartwieniem – oznajmił z kwaśnym rozbawieniem jakiś głos u wejścia do kuchni. – Właśnie przyjechała jego matka.

Odwróciłam się, nadal po łokcie w szparagach, i zobaczyłam Leonella opierającego się o futrynę z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Żałowałam, że pani Giulia podarowała mu tę atramentowoczną liberię – niech to będzie jasne: doskonale na niego pasowała, ale bardziej niż kiedykolwiek przypominał diabła. I wtedy dotarły do mnie jego słowa.

– Przyjechała pani Adriana?

– We własnej osobie, razem z oddziałem papieskiej gwardii. Nie wspominając maruderów, których pozbiali po drodze, jakichś weneckich panów, arcybiskupa i ich świty uciekającej przed francuską armią i błagającej teraz o nocleg. – Leonello wzruszył ramionami. – Dziś wieczorem będziesz miała więcej gęb do wykarmienia, niż się spodziewałaś, *signorina*

cuoca.

– Po co, na litość, pani Adriana tu przyjechała? – Zamrugałam, wycierając ręce w fartuch. – Mogłabym dla niej przyrumienić i udusić świeżą flądre... Flądre dla flądry...

– Sądziłem, że mamy nie zadawać pytań na temat naszych chlebobawców, signorina – rzekł Bartolomeo niewinnie, na co obrzuciłam go obelżywym spojrzeniem.

– A poza tym o co tu pytać? – stwierdził Leonello głosem suchym jak pieprz. – Pani Adriana przyjechała, aby zaciągnąć La Bellę z powrotem do Rzymu oczywiście, i to jeszcze przed pojawieniem się Francuzów.

Bartolomeo nadział pieróg farszem z sera i cebuli.

– Czy naprawdę Francuzi są już tak blisko?

– Z tego, co słyszałem, nie więcej niż dwa dni stąd drogą na Montefiascone.

Wzdrygnęłam się mimowolnie.

– Tak blisko?

– Och, nie powinnaś się martwić, *signorina cuoca*. Jeśli wpadniesz w ręce Francuzów, zostaniesz po prostu kilkakrotnie zgwałcona. To ja i ten twój młody uczeń mamy się czego obawiać. Jego zabiją, a mnie ubiorą w błazeńskie wdzianko i każą mi tańczyć dla swojego króla.

– Bardzo śmieszne. – Jednym gwałtownym ruchem przedarłam garść szparagów na pół.

– Nie strosz się, moja damo. Nie musiałem cię ostrzegać zawczasu, że będziesz miała przy stole kilkunastu dodatkowych gości, prawda? Ale jednak oto jestem. Z czystej uprzejmości. I radzę ci również, żebyś już zaczęła pakować tę żalostną imitację kuchni ze wszystkim, co przywiozłaś z Rzymu, bo dzień podróży powrotnej zbliża się, jak sądzę, nieuchronnie. My tu gadu-gadu, a tymczasem pani Adriana przypuszcza już atak na Oblubienicę Chrystusa w jej buduarze i absolutnie nie wygląda na kogoś, kto da się zbyć wymówkami. – Leonello przekrzywił głowę i jego piwne oczy błysnęły w moją stronę. – Czy nie zasłużyłem zatem na słowa podziękki?

– Dziękuję – powiedziałam z urazą. Nadal nie przepadałam za małym strażnikiem mojej pani z jego badawczym spojrzeniem i jeszcze bardziej badawczymi pytaniami, ale ostatnio sprawiał wrażenie, jakby stracił zainteresowanie dręczeniem mnie. Od tygodni, albo wręcz od miesięcy, nie słyszałam żadnych przycinków na temat powodów, które mogły mnie przywieść do Rzymu. Teraz celem jego kąśliwych uwag stała się pani Giulia i chociaż nigdy nie życzyłam jej źle, cieszyłam się, że zostawił mnie w spokoju. Spojrzałam na Leonella nieomal z sympatią. – Skoro już jesteś tak skory do pomocy, panie Leonello, to może mi powiesz, ilu gości zasiądzie w takim razie dziś wieczór do stołu?

– Myślę, że dwudziestu. Ta grupa z Wenecji jest liczna i najwyraźniej mają o sobie wysokie mniemanie.

Nie wydaje się szczególnie dostojne umykanie Francuzom z drogi w tak tchórzliwy sposób, ale starają się zachować resztki godności. Swoją drogą, przyjechał też arcybiskup, który przywiózł własnego kucharza. Nie je nic, czego nie stworzył jego własny *maestro di cucina*, więc przypuszczam, że dziś wieczorem będziesz miała w kuchni towarzystwo.

– A niech mnie święta Marta palnie łyżką! – jęknął Bartolomeo.

Palnęłam go w ramię.

– W mojej kuchni nikt oprócz mnie nie przeklina. No dobrze, zrobimy potrawkę z tych kapłonów, które trzymałam na jutrzejszy obiad... Idź do spiżarni i przynieś je tutaj. Nie, czekaj. Najpierw złap tego bezużytecznego zarządcę i każ mu zebrać dodatkowych służących i przysłać ich tutaj. – Bartolomeo tego lata wyrósł na bardzo przydatnego pomocnika i z jego wsparciem mogłam z łatwością wydać posiłek dla pięciu osób, ale już nie dla dwudziestu. Potrzebowałam dodatkowych rąk do pracy.

Pchnęłam Bartolomea w stronę wyjścia, a Leonello wyszedł z kuchni wolnym krokiem, pogwizdując leniwie. Zaczęłam pospiesznie gromadzić przyprawy potrzebne do kapłonów. Może do tego łopatka dzika? Żaden wenecki arcybiskup zasiadający przy moim stole nie odejdzie od niego z przekonaniem, że jadłospis załatuje prowincją. Poza tym jeśli miałam dzielić kuchnię z osobistym kucharzem Jego Ekscelencji, to

zamierzałam mu natychmiast pokazać, że nie ma do czynienia z żadną napuszoną kuchareczką mieszającą w rondlach. Więcej niż jeden kucharz w kuchni to przepis na katastrofę. Musisz natychmiast wyraźnie oznaczyć swoje terytorium, bo inaczej ani się obejrzysz, jak ten drugi zacznie sobie rościć prawa do twoich przypraw. Albo, niech Bóg broni, dotykać twoich noży. Chociaż zawsze istniała możliwość podzielenia się nowymi przepisami, kiedy terytorium zostało już wyraźnie oznaczone, a granice uzgodnione... Ożywiona dyskusja na temat przewagi weneckich sosów do podlewania pieczonego prosięcia nad rzymskimi była czymś, co potrafiło urozmaicić długi nudny wieczór siekania i mieszania. Może kucharz arcybiskupa był z Mediolanu? Słyszałam bardzo interesujące rzeczy o wypiekany tam chlebie na zakwasie...

I wtedy właśnie usłyszałam u mych drzwi nieznoszący sprzeciwu głos, ostry i wybrzmiewający czystym i dźwięcznym weneckim akcentem. Zupełnie takim samym jak mój.

– To ty uchodzisz w tym domu za kucharkę, dziewczyno? Mój dobry pan, Jego Ekscelencja, będzie sobie życzył grzańca, by ukoić żołądek po długiej podróży, więc przyniesiesz mi tu gałkę muszkatołową, cukier, laski cynamonu i najlepsze czerwone wino, jakie macie w tych waszych piwnicach. Tylko migiem.

Odłożyłam na stół paczuszkę cynamonu, którą właśnie zamykałam. Ostrożnie odstawiłam na bok

miseczkę zmieszanych przypraw i machinalnie otrzepałam koniuszki palców z drobinek cukru. Odwróciłam się powoli jak sparaliżowana, by stanąć twarzą w twarz ze stojącym w drzwiach mężczyzną. Mężczyzną o pociągłej twarzy i nosie wydatnym jak mój, imponującym wzroście i ostrym spojrzeniu wszystkowiedzących oczu – takich samych jak moje. Ręce wystające z podwiniętych rękawów były, jak moje, całkiem pozbawione włosów i opalone od częstego sięgania do gorących pieców, a dłonie, jak moje, poznaczone śladami draśnięć nożem i poparzeń, które mówiły światu: „Jestem kucharzem”.

Wbiłam wzrok w twarz swego ojca, a on wzdrygnął się gwałtownie i wytrzeszczył oczy.

Czy przez te dwa lata z okładem tak bardzo się zmieniłam? On wyglądał zupełnie tak samo, chociaż wyhodował brzuch wylewający mu się teraz ze spodni. Mimowolnie przypomniałam sobie, jak mówiłam pani Giulii, że żaden wybitny kucharz nie ma czasu utyć. Mogłam chyba zatem założyć, że mój ojciec dobrze sobie radzi. Nigdy wcześniej nie miał tyle wolnego, by zapuścić brzuch.

– Kiedy ostatnio o tobie słyszałam – zaczęłam nieprzytomnie – pracowałeś dla wnuka siostry doży, ojcze. Nie dla arcybiskupa.

– Carmelina – wydusił z siebie, nadal oszołomiony.

– Matka jest z tobą? – zapytałam głupio.

Wszystkie moje lęki, że podczas pracy w Rzymie

pewnego dnia mogę się natknąć na ojca lub kogoś, kto mnie zna... Całe to ukrywanie się po spiżarniach, gdy tylko Palazzo Santa Maria odwiedzali goście z Wenecji... A teraz mój ojciec był tutaj, nie w tym wielkim mieście pielgrzymów, przez które przewijało się tylu podróżnych, ale na tej zapadłej prowincji.

– Twoja matka jest bezpieczna w Wenecji – odpowiedział mój ojciec odruchowo, wciąż patrząc na mnie, jakby zobaczył ducha. – Jego Ekscelencja zabrał mnie ze sobą do Florencji, udając się z misją do brata Savonaroli. W drodze powrotnej opóźniliśmy się, a teraz armia francuska...

Głos mu zamarł. Mistrz Paolo Mangano, najlepszy kucharz w Wenecji, który postawił mnie pierwszy raz do siekania cebuli, kiedy miałam trzy lata, który wrzeszczał na mnie, że się guzdram zamiast migiem przynieść mu oliwę, i który zdzielał mnie w ucho za upuszczenie jajka i garbował mi skórę chochlą za dyskutowanie z nim na temat najlepszego sposobu przyrządzania sosu królewskiego. Mistrz Paolo Mangano, prawdziwy sukinsyn, niech święta Marta i wszyscy święci wybaczą mi wyrażanie się w ten sposób o własnym ojcu. Prawdziwy sukinsyn, który nigdy nie znalazł dla mnie dobrego słowa, lecz mimo to zrobił ze mnie kucharkę. Przynajmniej tyle mu zawdzięczałam i czułam dziecięcą, nieprzepartą chęć, by podbiec do niego i pochylić głowę.

Zamiast tego podniosłam leżący najbliżej nóż.

– A więc zwracasz się przeciwko swojemu ojcu, głupia dziewucho? – Zmrużył oczy i widziałam, jak zbiera myśli. Mój ojciec nigdy nie tracił na długo rezonu, tego można było być pewnym. – Ale przecież tego się właśnie mogłem spodziewać po takiej zdradzieckiej, tępej flądrze jak ty. Sądziłem, że do tej pory już zdechłaś w jakimś burdelu.

– Ja też za tobą tęskniłam, tato. – Mówił ostrą jak kryształ wenecką gwarą uliczną, którą zawsze posługiwał się w kuchni, lecz nie w rozmowie ze swoimi dystyngowanymi klientami, i nieświadomie odpowiedziałam mu tym samym dialektem. W głębi duszy wrzeszczałam ze strachu, ale głos, który wydobył mi się z krtani, był spokojny. Ten rozdział życia, w którym zwieszałam głowę, gdy ojciec chłostał mnie ostrym słowem, był już zamknięty.

Zrobił krok naprzód, rozkładając potężne ramiona.

– Idziesz ze mną, głupia dziewucho.

– Nie. – Zrobiłam krok w tył, nie wypuszczając z ręki noża. – Podejdź bliżej, a zacznę krzyczeć.

– To sobie krzycz. A ja powiem twoim poczciwym chlebowcom, że udzielają schronienia zbiegłej dziwce, która w Wenecji jest nadal poszukiwana za obrabowanie kościoła Świętej Marty. – Zrobił kolejny krok i podniósł głos. – Jesteś żałosną karykaturą córki, ale nadal jesteś moja. I jeśli mówię, że idziesz ze mną, to twoim obowiązkiem jest słuchać. Jestem twoim ojcem...

– A ja jestem kucharką pani Giulii Farnese –

odparowałam bez zastanowienia. – Samej konkubiny Ojca Świętego. Mam potężnych przyjaciół...

– Papieskiej cipy? – Nie do wiary, że ktoś, kto potrafił tak gładko i dwornie omamiać klientów, tak upiornie rysztockowym językiem posługiwał się w kuchni. Mówił coraz głośniej, aż w końcu jego krzyk przeszedł w ryk, który tak dobrze zapamiętałam. – Powinienem był wiedzieć, że skończysz, gotując dla innej kurwy! Jeśli sądzisz, że ona cię ochroni... No cóż, będzie zbyt zajęta rozkładaniem nóg dla Francuzów, kiedy w końcu przyjadą i wyrzną to miasto w pień! Nas już tu dawno nie będzie, a ty zostaniesz skierowana z powrotem do...

– Nie wrócę tam! – odwrzasnęłam. – Nie tam. Nigdy!

Kant rozstawionego na kozłach stołu wbił mi się w biodro. Odsunęłam się nieco i obeszałam go.

– Ależ owszem, wrócisz. – Głos mojego ojca przeszedł z ryku w jedwabisty szept. Ta zmiana intonacji była jedną z jego najskuteczniejszych sztuczek sięgających postrach wśród uczniów. Często sama stosowałam tę technikę. – Ale najpierw chcę dostać z powrotem moje przepisy, głupia dziewucho. Oddaj mi je.

– Nie mam ich.

Ręka mi spotniała na rękojeści noża.

– Kłamliwa suka – powiedział niemal czule. – Oddaj mi je, a może udam, że cię nie widziałem zamiast donieść na ciebie arcybiskupowi, na profankę

i uciekinierkę...

– Nie mam twoich cennych przepisów! – krzyknęłam. – Zostawiłam je w Rzymie, kiedy pani Giulia postanowiła wyjechać na wieś. A wiesz dlaczego? Ponieważ już ich nie potrzebuję, ojcze, bo teraz opracowuję własne przepisy, lepsze niż twoje. Bo teraz jestem już lepszą kucharką niż ty, i sam papież je przygotowane dla niego przeze mnie jedzenie, i...

I wtedy mój ojciec rzucił się na mnie przez stół, potężnie zamachując się swoją kucharską łapą, a ja cofnęłam się w uniku. Nie dosięgnął końca mojego warkocza, ale ja potknęłam się o rąbek własnej sukni, a on w ułamku sekundy był już na mnie, ciągnąc mnie za węzeł fartucha. Chwytając za nóż, nie wiedziałam jeszcze, czy jestem zdolna zagrozić nim własnemu ojcu... W końcu nigdy wcześniej, kiedy mnie bił, nie ośmieliłam mu się sprzeciwić. Ojcowie biją dzieci, a kucharze biją pomywaczy. Tak już się kręci ten świat i nigdy nie myślałam tego podważać, po prostu przyjmowałam karę jak wszyscy inni pracujący w kuchni i przyrzekałam poprawić się w przyszłości niezależnie od tego, czy chodziło o zwarzony sos, czy spalone żeberka jagnięce. Ale teraz machnęłam nożem na oślep, zatapiając go głęboko w jego ramieniu, i poczułam dziwną radość, kiedy kropelki krwi rozprysły się łukiem po podłodze.

– Boli? – wrzasnęłam i jeszcze raz machnęłam nożem, tym razem chybiając. – A może bardziej boli to,

że ty utknąłeś, gotując dla arcybiskupa, a twoja córka obsługuje papieża?

Mój ojciec wydał ryk i uderzył mnie w bok głowy otwartą twardą dłonią. Gwiazdy zamigotały mi przed oczyma.

– Podnosisz rękę na człowieka, który cię spłodził?
– Rzucił mnie na ścianę i poczułam, jak wieszaki do suszenia ziół wbijają mi się boleśnie w łopatki. Nóż wysliznął mi się z ręki i z brzękiem spadł na podłogę. – A gdzie „czcij ojca swego”, Carmelino Mangano?

– Kiedy obrabowało się kościół – zdołałam wyksztusić mimo zawrotów głowy – naruszenie jednego czy dwóch przykazań nie robi już, ojcze, specjalnej różnicy.

Znów wymierzył mi cios, tym razem zwijając dłoń w pięść jak wówczas, gdy rozprawiał się ze złodziejskimi handlarzami ryb, którzy próbowali go oszukać na dostawie linów czy karp. Myśli przebiegały mi przez głowę w panice jedna po drugiej jak przerażone wiewiórki. Pobije czy nie pobije mnie do nieprzytomności, ale wywlecze na górę i zamknie. Obudzę się w kajdanach, w drodze do Wenecji...

Drugi cios nie dosięgnął jednak celu. Mój ojciec znów wrzasnął, tym razem z zaskoczenia, i pacnął się w kark. Mała płócienna torebka spadła z potrąconego w tej przepychance wieszaka do suszenia ziół wiszącego tuż nad jego głową i wylądowała mu dokładnie między łopatkami – a za nią istna kaskada glinianych słoiczków

z przyprawami, które spadły wraz z całą półką. Mój ojciec wrzasnął jeszcze raz i zamachnął się na skorupy miseczki z suszonym rozmarynem, która roztrzaskała mu się na głowie, a ja wyśliznęłam się z jego uścisku i rzuciłam się rozpaczliwie po podłodze, by chwycić nóż. Namacałam rękojeść, ścisnęłam ją spotniałymi palcami i gorączkowo zaczęłam się cofać, a ojciec ruszył na mnie, zasłaniając potężną sylwetką światło. Miałam wystarczająco dużo czasu, by pomyśleć, że wolę umrzeć tutaj niż zostać zaciągnięta z powrotem do Wenecji i zmierzyć się z czekającym mnie tam losem. Z dwójga złego wolałam już nakreśloną przez Leonella perspektywę wielokrotnego gwałtu w wykonaniu francuskiej armii.

– Jeśli nie pozwolisz mi odejść, nadzieję cię jak pieczone prosię na rożen – warknęłam, gramoląc się na nogi.

Ale nie było mi dane spróbować. Głośny, matowy dźwięk rozbrzmiał jak echo kościelnego dzwonu i mój ojciec padł u mych stóp jak worek mąki. Za nim, dzierżąc w ręku wciąż uniesioną żeliwną patelnię, stał Bartolomeo.

Gapiliśmy się na siebie przez chwilę, dysząc ciężko.

– Signorina – wyksztusił mój uczeń i z brzękiem upuścił patelnię. – Usłyszałem krzyki... Czy on próbował wziąć cię siłą?

– Można i tak powiedzieć. – Mój uczeń zamrugał

niepewnie, a ja zdałam sobie sprawę, że nadal mówię z gęstym weneckim akcentem ze swojego dzieciństwa. Dobrze. Zapewne niewiele zrozumiał z tego, co wykrzykiwaliśmy z ojcem. Strząsnęłam z siebie wenecki dialekt jak niechciany płaszcz i rozpaczliwie starałam się nadać swojej opowieści pozory sensu. – Zszedł na dół, by zrobić grzańca dla arcybiskupa, a potem... – Dobry Boże, jak to wytłumaczyć? Przeżegnałam się drżącą ręką. – Mniejsza o to. To już bez znaczenia.

W głowie mi się jeszcze kręciło od ciosu – i z nerwów. Trzęsłam się cała i w uszach mi dzwoniło, ale zobaczywszy ze strachem na wpół otwarte za Bartolomeem drzwi, zmusiłam umysł do działania. Jeśli Bartolomeo przybiegł na dźwięk krzyków mojego ojca i naszej szarpaniny, to zaraz pojawią się inni... Święta Marto, nie zostawiaj mnie teraz – wymamrotałam niemal bezgłośnie i chwyciłam ojca za jedną z beładnych rąk.

– Bartolomeo, weź go z drugiej strony, szybko... Pomóż mi go stąd zabrać!

Bartolomeo nawet okiem nie mrugnął i bez protestów zarzucił sobie potężne ramię mego ojca na szyję. Wspólnymi siłami zaciągnęliśmy go, wleczonego kolanami po ziemi, do najdalszej spiżarni, w której zarządca majątku Farnese przechowywał zapasowe butle z oliwą i rozmaite różności.

– A jeśli się obudzi? – bąknął Bartolomeo. – Jeśli zacznie krzyczeć...

– Zaknebluj go. – Skręciłam fartuch w imitację sznura i wsadziłam go ojcu w zęby. Czy zakneblowanie własnego ojca było większym grzechem niż pobicie go do nieprzytomności? Czułam się, jakbym popełniała świętokradztwo, ale nie powstrzymało mnie to od związania mu dodatkowo rąk i nóg mocnym szpagatem, którego używałam do wiązania dzikiego ptactwa. Jak się wiązało kurczaki, to można i skrępować własnego ojca.

– Zostaw go – wydyszałam. No i zostawiliśmy największego kucharza Wenecji w postaci haniebnej kupy mięsa na zimnej podłodze. Na potylicy, w miejscu, w które Bartolomeo trafił patelnią, rósł mu już guz wielkości sporej śliwki, ale oddychał spokojnie. Aby zabić mojego ojca, trzeba było czegoś więcej niż patelni.

– Czy nie powinniśmy donieść... – zaczął mój uczeń, gdy wycofywaliśmy się ze spiżarni.

– Nie ma czasu. – Zatrzasnęłam zasuwkę i dla pewności zatoczyłam pod drzwi beczkę solonych śledzi, po czym odwróciłam się na pięcie i ruszyłam z powrotem do kuchni. – Pomóż mi to posprzątać, szybko!

– Ale arcybiskup będzie oczekiwał, że dostanie tego grzańca z rąk własnego kucharza...

– Ja mogę go zrobić, a on się nie pozna. Szybciej!

Chwilę później pojawił się zarządca, wiodąc za sobą ogonek zaciekawionych służących, lecz Bartolomeo już ścierał z podłogi ostatnie krople krwi

mojego ojca, a ja, podniósłszy zawiniątko z rączką świętej Marty, zaczęłam zmiatać potłuczone skorupy z resztkami przypraw.

– Nic się nie stało – rzuciłam spokojnie w odpowiedzi na podejrzliwe spojrzenie zarządcy. – Już obsztorcowałam tego tu niezdarnego ucznia za to, że zrzucił przyprawę. Wszystko będzie gotowe na czas. A poza tym – dodałam szeptem przeznaczonym już tylko dla uszu Bartolomea, gdy zarządca niechętnie wyszedł, a służące wbiegły do kuchni, by nam pomóc – podwajam ci wynagrodzenie.

– Nie dostaję żadnego wynagrodzenia – zauważył mój uczeń.

– To się zmieni.

– Nie ma takiej potrzeby, signorina. – Bartolomeo uśmiechnął się szeroko, wciskając do rękawa zakrwawioną ścierkę, którą starł podłogę, zanim ktokolwiek zdążył zadać jakiegokolwiek niewygodne pytanie. – Gdybyś tylko jeszcze kiedyś potrzebowała, abym dzielił kogoś w łeb patelnią, jestem do usług.

– Dobry z ciebie chłopak.

Podniecenie wywołane lękiem i wzburzeniem zaczynało ustępować i wstrząsnął mną zimny dreszcz. Bok twarzy zapulsował bólem, a kiedy dotknęłam policzka, w który dzielił mnie ojciec, aż się skrzywiłam. Zaczynałam już puchnąć... Za kilka godzin będę miała czarnego siniaka. I lepiej, żebym miała jego stosowne wyjaśnienie.

Będę musiała wytłumaczyć znacznie więcej niż siniaka, jeśli ktoś się dowie, że zamknęłam ojca razem z zapasową oliwą.

Przynajmniej dziś byłam jednak bezpieczna. Tego wieczoru mogłam trzymać swoich ludzi z dala od spiżarni, a gdyby ojciec się obudził, knebel powstrzymałby go od wrzasków. Arcybiskup nie będzie szukał swojego kucharza, o ile tylko posiłek pojawi się na czas, a i słudzy arcybiskupa nie będą tęsknić za mistrzem kuchni, o to mogłam się założyć. Nie będą przecież schodzić do kuchni! Mój ojciec nigdy nie bratał się z resztą służących. Uważał, że nie należy do tej samej klasy ludzi co zwykli służący i strażnicy, i z tego powodu bezwzględnie trzymał się od nich z dala. Nie, nikt nie będzie tęsknił za moim ojcem aż do jutra, kiedy to weneckie towarzystwo zacznie się zbierać do wyjazdu.

Modliłam się bezgłośnie do świętej Marty, nieprzytomnie szykując gałkę muszkatołową i czerwone wino na przeklętego grzańca dla arcybiskupa. Nie mógł sobie wybrać na powrót z Florencji jakiegoś innego tygodnia? Święta Marto, błagam, wydobądź mnie z tego. Już raz mi dziś pomogłaś... Naprawdę trudno się było nie zastanowić, jak to możliwe, że półka z przyprawami spadła w tak stosownym momencie. A teraz, jeśli możesz, proszę, zabierz mnie stąd, zanim mój ojciec się obudzi i powie im wszystkim, kim jestem.

Giulia

Opowiedz mi jeszcze raz – ponagliłam. –
O Carbognano.

Orsino zmrużył oczy w ten miły sposób, który tak mi się podobał.

– Opowiadałem ci o nim już z pięć razy.

– Jeszcze raz, proszę!

Uśmiechnęłam się lekko, gdy mój mąż zaczął opisywać swój zamek z pokrytą freskami salą i długą galerią i otaczające zamek senne miasteczko położone wśród pól i leszczynowych zagajników. W ciągu tych kilku ostatnich dni pozbył się nieśmiałości, co widać było zwłaszcza w tak ciche popołudnia jak to, kiedy przed kolacją pukał z wahaniem do drzwi mojej komnaty, a ja machnięciem dłoni zapraszałam go do środka, by posiedział ze mną i moimi służącymi, gdy zajmowałyśmy się szyciem. Pantisilea nalewała nam wina i pilnie nadstawiała uszu z nadzieją na pochwylenie czegoś pikantnego, ja zaś krzywym ścięgiem biedziłam się nad obrusem przeznaczonym na ołtarz – i rozmawialiśmy. O niczym szczególnie ważnym. Zwykła rozmowa, jaką prowadzi każde normalne małżeństwo.

Lubiłam to.

– Przy zamku jest też oczywiście ogród. Głównie zioła do kuchni, ale chciałbym polecić, by obsadzono go kwiatami.

Mój mąż już się tak nie peszył, kiedy patrzył na mnie tymi swoimi błękitnymi oczami, a głos miał bardziej zdecydowany niż wcześniej, gdy zacinął się i jąkał. Był teraz już nie chłopcem, lecz młodym mężczyzną, przystojnym w swoim najlepszym, dopiero co wyczyszczonym dublecie i wysokich, świeżo wypolerowanych butach. Mężczyzna, który przybył w konkury, jeśli pominąć fakt, że Orsino zabiegał o względy własnej żony. W ciągu tych kilku ostatnich dni bardzo mnie to wzruszało.

– Czy lubisz róże, Giulio? – zapytał mnie, wciąż rozwodząc się nad planami zamkowych założeń ogrodowych.

– Zasadniczo można bezpiecznie założyć, że kobiety lubią róże! – zażartowałam z niego.

Oczyma duszy zobaczyłam ten nieduży ogród: zalane słońcem miejsce, w którym pani na zamku może usiąść w słomkowym kapeluszu, by omówić ze swoim zarządcą zadania na dany dzień i popilnować swoich dzieci.

Orsino mówił teraz o swoich koniach i o świetnym polowaniu, jakie można byłoby zorganizować na terenach otaczających zamek. Któregoś innego wieczoru z radością wysłuchałabym jego paplaniny, ale akurat tego popołudnia czasu było mało. Kolacja miała zostać wkrótce podana, a dziś przy stole mieliśmy dodatkowego gościa: godzinę wcześniej zajechała powozem moja teściowa. Powitałam ją w holu, gdzie

wymieniłyśmy uprzejmości, po czym odprowadziłam ją do jej komnaty, by mogła zmyć z siebie trudy podróży. Absolutnie nie roiłam sobie, że będzie czekać aż do kolacji ze skarceniem mnie albo swojego syna. Albo nas obojga jednocześnie.

– ...a w jeziorze czaple i kaczki, na które można polować z jastrzębiami – mówił Orsino. – Mógłbym zdobyć dla ciebie małego drzemlika, gdybyś chciała się nauczyć...

– Mężu – przerwałam łagodnie. – Może powinieneś to po prostu powiedzieć.

Odchrząknął z zakłopotaniem.

– Powiedzieć co?

Odstawiłam kielich i gestem dłoni odpędziłam Pantisileę razem z jej czujnie nadstawionymi uszami, gdy niby to mimochodem podeszła bliżej.

– To, o co chciałeś mnie poprosić, przyjeżdżając do Capodimonte.

Obrócił swój kielich w dłoniach.

– Wiesz, czego pragnę...

– Tak, ale chcę, żebyś to powiedział. – Mój głos zabrzmiał zdecydowanie. – Obawiam się, że kobiety takie właśnie są.

Przełknął i zaryzykował.

– Chcę, żebyś wróciła ze mną do Carbognano. – Zdołał nawet spojrzeć mi w oczy. – To dobre miejsce do życia, Giulio. Najpierw będę musiał dołączyć do moich ludzi w Bassanello, ale wrócę do ciebie, jak tylko walki

się skończą. – Uśmiechnął się nieśmiało. – Wiesz, że chcę, żebyś się tam przeniosła.

Och, część mnie również tego chciała. Zaprowadzić moją Laureę nad jezioro, z dala od oślizgłej polityki Watykanu, która rządziła krótkim dzieciństwem Lukrecji. Mogłabym żyć na uboczu, już nie jako ladacznica, już nie jako ta, którą opluwa się na ulicach. Z czasem moja sława by przygasła i stałabym się tylko kolejną młodą kobietą żyjącą na łonie rodziny, zabierającą córkę na mszę i zjadającą się tymi małymi smażonymi stynkami, za którymi tak przepadałam. Jadłabym ich tyle, ile bym chciała, bo nie musiałabym już trzymać linii tylko po to, by nieustannie podsycać męską namiętność.

Ale...

– Gdy papież każe ci odesłać mnie z powrotem do Rzymu, to co wówczas zrobisz? – zapytałam.

Zamrugął niepewnie.

– Może papież nie każe ci wracać... Powiedziałaś, że jego listy są pełne jadu...

– Ale nadal mnie pragnie. – Przez tę przedłużającą się nieobecność stał się czulszy... i to przecież chciałam osiągnąć, gdy tego lata wyjeżdżałam z Rzymu. Teraz wyglądało jednak na to, że wyszło mi odrobinę za dobrze. – Co zrobisz, jeśli sam po mnie przyjedzie, Orsino, a nie tylko pośle twoją matkę?

Zapadła długa cisza, w której mój mąż przygryzł wargę. I wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Zanim

zdążyłam posłać Pantisileę, by je otworzyła, do środka wsunęła się postać o tęgiej, wypudrowanej, otoczonej loczkami twarzy i przenikliwym spojrzeniu.

– Pani Adriana da Mila – zaanonsował Leonello niepotrzebnie.

– Dobry wieczór, dzieci. – Moja teściowa się rozpromieniła i z zadowoleniem zmrużyła oczy, widząc, że towarzyszą nam służące. Niech Przenajświętsza Panienska broni, bym kiedykolwiek została sam na sam z moim własnym mężem! – Cudownie znów cię widzieć, Orsino. Giulio, kochanie, zdecydowanie zbyt długo nie było cię już w Rzymie! Ogromnie za tobą tęsknię i nie ja jedna.

Nie zaproponowałam jej wina ani miejsca do siedzenia. Usiadła bez zaproszenia i sięgnęła po wino.

– Wielkie nieba, ależ jestem zmęczona – westchnęła, gestem dłoni odsyłając służące.

Skinęłam na Leonella, by również wyszedł, a on bez komentarza zostawił naszą trójkę i zamknął za sobą drzwi. Normalnie ucieszyłaby mnie jego obecność, uszczypliwość mojego strażnika służyła mi bowiem za tarczę przeciw mojej teściowej, ale od dnia, w którym uderzyłam go nad jeziorem, prawie z nim nie rozmawiałam. I w gruncie rzeczy nie chciałam, by oglądał tymi swoimi przenikliwymi oczkami awanturę, która już wisiała w powietrzu jak ciężkie burzowe chmury zbierające się nad jeziorem, przyginając plecy Orsina i unosząc buntowniczo moją brodę, podczas gdy

Adriana sadowiła się jak puchaty, przyobleczony w aksamit kot.

– Jego Świątobliwość kazał nam się spieszyć, kiedy wyruszaliśmy z Rzymu – ciągnęła jedwabistym głosem – i muszę powiedzieć, że tempo było zabójcze! Podgrzej mi to wino na piecyku, dobrze, Orsino? Kochany chłopak. Może mógłbyś teraz zostawić mnie na słówko z Giulia? Muszę z nią przedyskutować kilka spraw na osobności.

– Myślę... – Orsino zarumienił się, biorąc kielich matki, ale nie spuścił wzroku. – Myślę, że powinienem zostać.

– Doprawdy, mój drogi chłopcze...

– Mój mąż może usłyszeć wszystko, co chciałybyś mi powiedzieć – przerwałam i uśmiechnęłam się przelotnie do Orsina.

Adriana spojrzała na naszą dwójkę i wzruszyła ramionami.

– Jak sobie życzycie. Mam dla ciebie list, Giulio, od Jego Świątobliwości. Naprawdę bardzo go rozgniewałaś, wiesz o tym.

– Tak. Wiem.

– Ale nie słyhać w twoim głosie, żebyś się tym szczególnie przejęła, kochanie.

– Bo się nie przejęłam. – Giulia La Coraggiosa, przypomniałam sobie, jak nazwała mnie Carmelina. – W końcu nie jestem jego własnością – powiedziałam i zerknęłam na Orsina, który stał przy piecyku,

ogrzewając wino dla swojej matki.

– Może i nie, ale Jego Świątobliwość mimo to gorączkowo dąży do tego, by cię odzyskać. – Pani Adriana uśmiechnęła się lekko. – Kardynałowie i ambasadorowie dniem i nocą naciskają go w sprawie Francji, a jego obchodzi tylko to, by bezpiecznie sprowadzić cię z powrotem do Rzymu.

– Hm.

Podniosłam na powrót swój nieudolny obrus ołtarzowy i zaczęłam pruć krzywy ścieg. Orsino wziął głęboki wdech. Posłałam w jego kierunku myśl szybką niczym strzała: Krzyknij na nią! Niech zna swoje miejsce! Ale on tylko w milczeniu przemierzył komnatę i podał matce kielich.

– Dziękuję ci, kochanie. – Adriana dmuchnęła na powierzchnię ogrzanego wina. – Posłuchaj, Giulio. Twój powrót do Rzymu nie jest już tylko kwestią tego, czego chce Ojciec Święty. To kwestia bezpieczeństwa. Naprawdę nie wolno ci tutaj zostać, kiedy pojawi się armia francuska... Słyszałaś, jaki był los innych miast, przez które przechodzili? Mężczyzn mordowano, kobietom obrzynano palce dla pierścionków, gwałcono ministrantów. Znasz Francuzów. Dzieciom w wieku Laury roztrzaskiwano głowy o kamienie...

Ukłułam się igłą w palec i skrzywiłam. Ostatnio skutecznie udawało mi się odsuwać na bok myśli o Francuzach, biorąc pod uwagę wszystkie moje pozostałe zmartwienia.

– Czy armia naprawdę jest już tak blisko?

– Nie więcej niż kilka dni drogi stąd na północ, kochanie. Straż przednia może być już nawet bliżej.

– A zatem przygotowuję się do jutrzejszego wyjazdu – zdecydowałam.

Organizowanie własnego życia tak, by zadowolić siebie, a nie innych, to jedno, ale niepotrzebne ryzykanctwo nie miało sensu. Jedna z okiennic oblużowała się na nocnym wietrze. Wstałam z tapicerowanej ławy pod ścianą i przeszłam przez pokój, by ją zamknąć. W Capodimonte było nadspodziewanie jak na tę porę roku ciepło, chociaż był już listopad, lecz noce były przejmująco zimne. Miałam nadzieję, że Francuzi zamarzną w swoim obozie.

– Cieszę się, że posłuchałaś głosu rozsądku, Giulio. – Moja teściowa uśmiechnęła się promiennie. – Rozmawiałam już na dole z twoją siostrą. Ona również zamierza jutro wyjechać. Wyjedziemy razem z nią o wschodzie słońca, po czym ruszymy do Rzymu. W tę i z powrotem przez posiadłości papieskie w moim wieku... Naprawdę, czasem się czuję jak kuferek na listy...

– Nie do Rzymu. – Odwróciłam się i spojrzałam na męża i na teściową. – Orsino właśnie mnie zaprosił, abym towarzyszyła mu do Carbognano.

– Doprawdy? – Adriana spojrzała na swojego syna, który stał, gapiąc się na mnie nagle rozbłyśniętymi oczyma. – Drogi chłopcze – zacmokała. – Wiesz, że

nigdy do tego nie dojdzie.

– Dlaczego nie? – zapytałam wyzywająco. – Nawet papież nie może ekskomunikować mężczyzny za to, że odebrał sobie swoją prawowitą żonę...

– Ekskomunikować? – wyjąkał Orsino.

– Ciągłe grozi, że mnie ekskomunikuje – odparłam niedbale, bagatelizując tę groźbę. – To bez znaczenia.

– Niektórzy sądzą, że to ma znaczenie – wymamrotała Adriana.

– Nie wtrącaj się!

Czułam, jak wzbiera we mnie złość i cisną mi się do gardła te wszystkie gniewne słowa, które zawsze w sobie tłumiłam, te wszystkie słowa skierowane do mojej teściowej, mojego męża, mojej rodziny – do wszystkich, którzy spiskowali, aby wsadzić mnie papieżowi do łóżka. Rodrigiem kierowała przynajmniej chęć posiadania mnie, namiętność stara jak świat i jasna jak słońce. A co kierowało nimi? Nawet jeśli miło spędzałam czas w objęciach Rodriga, nie usprawiedliwiało to ich chciwości!

Adriana zlekceważyła mnie, nie spuszczać wzroku z syna.

– Naprawdę mam nadzieję, że nie spałeś z nią podczas tych niemądrych odwiedzin, Orsino. Poprzednim razem Ojciec Święty bardzo źle to przyjął... Z najwyższym trudem przekonałam go, by w ramach kary nie odbierał ci Carbognano i Bassanello. Nie wolno ci palcem jej tknąć. Taka została zawarta

umowa i doskonale o tym wiesz.

Orsino spłonął się.

– Ona... Ona jest moją żoną... Nie ma nic złego w tym, jeśli my... – Urwał, czerwony jak zachodzące słońce. – Chciałem tylko powiedzieć...

– Och, świetnie. – Poklepała go po ramieniu. – Nie spałeś.

– Tak czy inaczej, to nie twoja sprawa – powiedziałam kwaśno.

Oczywiście, że zastanawiałam się po przyjeździe Orsina do Capodimonte, czy ma zamiar dopominać się prawa spania w moim łóżku. Moja rodzina umieściła go ostentacyjnie w komnacie możliwie najbardziej oddalonej od mojej, ale przecież gdyby tylko chciał, mógłby nocą przemknąć się korytarzem do mojego łóżka. Sama zastanawiałam się, czy nie przemknąć się do jego komnaty, lecz uznałam, że mu się to nie spodoba – przyzwoitej żonie nie przystoi taka śmiałość i brak ogłady. Postanowiłam zatem poczekać na niego. Natrętnie narzucało mi się wspomnienie innych ciemnych schodów i innych migoczących świec oświetlających Lukrecję przemycającą pierwszy raz męża do swojej komnaty. Większość kobiet mogła spać otwarcie ze swoimi mężami – ja i Lukrecja musiałyśmy odwiedzać naszych w głębokiej tajemnicy...

Przynajmniej jednak mąż Lukrecji zdobył się na odwagę, by wśliznąć się do komnaty swej żony. Mój mąż nie. Wyglądało na to, że teraz również nie

zdobędzie się na odwagę, by powiedzieć swojej matce, gdzie może wsadzić swój wścibski nos.

– Orsino – powiedziałam. – Popatrz na mnie. Nie na nią. Na mnie.

Zamrugął niepewnie, gdy nasze spojrzenia się spotkały.

– Czy chcesz, żebym pojechała z tobą do Carbognano?

– Tak – wyszeptał. – Chryste, tak.

– Drogi chłopcze... – zaczęła Adriana.

– Bądź tak miła, Adriano, i zamknij się – przerwałam jej, nie spuszczając wzroku z Orsina. – To są sprawy między mężem i żoną.

Zacisnęła wargi i wbiła wzrok w trzymany w rękach kielich, a ja sięgnęłam po dłoń Orsina i mocne bicie jego serca przeniknęło mnie na wskroś.

– Pojadę z tobą – powiedziałam i poczułam, jak mój własny puls przyspiesza. – Pojedziemy do Carbognano jutro i będę twoją żoną, będę dbać o ognisko domowe na twoim zamku i rodzić twoich synów. Pozostaje jednak pytanie: co zrobisz, gdy przyjedzie po mnie papież?

Kolejna długa cisza. Mój mąż przygryzł wargi.

Powiedz, że zabarykadujesz bramy i nie pozwolisz mu mnie wziąć, Orsino. Powiedz, że wolałbyś raczej zostać ekskomunikowany niż oddać swoją żonę. Powiedz cokolwiek.

Wiedziałam już, że mogę stawić czoła mojemu

papieżowi. Mogłam stawić mu czoła i wiedziałam, że to zrobię. Lecz tylko z moim mężem stojącym za mną murem.

– Jeśli pošlemy mu dziecko... – palnął Orsino. – Jeśli dostanie z powrotem swoje dziecko, może pozwoli ci...

– Co? – Puściłam jego rękę. W głowie mi nie powstało, że może powiedzieć coś takiego. – Nie oddam swojej córki!

– Giulio... – Orsino spojrzał na mnie błagalnie. – Muszę wiedzieć. Czy ona jest jego dzieckiem? Czy moim?

– Och, Matko Święta! – wybuchłam i nieoczekiwanie dla samej siebie zaczęłam krzyczeć, co swoją drogą przyniosło mi ogromną ulgę. – Nigdy się tego nie dowiemy, Orsino, nigdy się tego nie dowiemy i bardzo mi przykro, ale jakie to ma teraz znaczenie?! Ona jest Laurą, oto kim jest! Jest najcudniejszą dziewczynką, jaką każdy mężczyzna mógłby mieć za córkę! Co jest z wami, mężczyznami, nie tak? Dlaczego ty i Rodrigo nie chcecie mieć z nią nic wspólnego, dopóki nie zyskacie dowodu, że jest z waszej krwi? Jaka jest w tym wszystkim jej wina? Nie zasługujesz nawet na to, by być jej ojcem!

– Ja... przepraszam... – wyjąkał Orsino.

– I słusznie, że przepraszasz – skomentowała Adriana. – Naprawdę, Orsino. Laura jest kochanym maleństwem. I nie jest przecież twoim pierworodnym

synem i dziedzicem! Na to będzie jeszcze mnóstwo czasu później.

Odwróciłam się do mojej teściowej.

– Twój plan polega więc na tym, żebym wróciła do papieża, aż ten się mną zmęczy, a potem zamieszkała sobie spokojnie z twoim synem i zaczęła mu rodzić mnóstwo prawowitych dziedziców?

Głos Adriany był bardzo łagodny.

– Wydaje mi się, że to bardzo rozsądny plan.

Byłam bliska rzucenia w nią obrusem ołtarzowym.

– Co z ciebie za matka?!

– Praktyczna. – Spojrzenia jej i Orsina spotkały się, a mnie równie dobrze mogłoby w ogóle nie być w tym pokoju. – Mój drogi chłopcze, chcę tylko tego, co dla ciebie najlepsze. Jesteś podobny do swojego ojca... Był słodki jak miód, lecz nie miał pojęcia, jak sobie zapewnić pozycję na tym świecie, i ty też go nie masz. – Przez twarz Adriany przemknął wyraz smutku, a Orsino poczerwieniał jak dojrzały granat. – Potrzebujesz pomocy, by zrobić karierę, Orsino, pomocy i opieki, a jak zdołasz ją sobie zapewnić, jeśli rozgniewasz Ojca Świętego?

– A zatem pošlesz mnie po prostu do człowieka, który przyprawia rogi twojemu synowi? – krzyknęłam.

– I to wszystko dla jego dobra?

– Aby zapewnić powodzenie swojemu dziecku, matka robi to, co musi.

– Jestem pewna, że bardzo jesteś z siebie dumna!

– Nie bardzo. – Potrząsnęła siwiejącą głową. – Ale na świecie nie wszystko jest czarne albo białe, Giulio Farnese. Co, jak sądziłam, już wiesz.

Cofnęłam się od niej o kilka kroków, podeszłam do Orsina i ujęłam jego dłonie.

– Nie musisz jej słuchać. Ona się myli co do ciebie. Myli się. Powiedz jej to!

Jego palce były zimne i wiotkie. Spojrzał na mnie przelotnie i wbił spojrzenie w noski swoich butów.

– Może ma rację.

– Co?

I wtedy zza drzwi odezwał się niepewny głos.

– Pani Giulio...

Obróciłam się na pięcie, puszcżając dłonie Orsina.

– Co? – krzyknęłam z furją.

Długa twarz Carmeliny Mangano wychynęła ostrożnie zza framugi.

– Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, pani... Czy chciałabyś jednak, żebym opóźniła kolację? Dania są gotowe już od godziny, jeśli masz tylko życzenie je zjeść...

– Dziękuję ci, Carmelino. Za chwilę siądziemy do stołu. – Próbując rozprostować palce, wygładziłam przód swojej luźnej neapolitańskiej sukni, po czym zaprosiłam kucharkę gestem do środka. – Powiem ci od razu, skoro już tu jesteś – powiedziałam, starając się, by głos mi nie zadrżał. – Wyjeżdżamy jutro rano. – Spojrzałam na Orsina. – Do Rzymu.

– Naprawdę?

Moja kucharka zamruwała z niedowierzaniem.

– Tak. Jeśli się uda, to o świcie... – Urwałam zaskoczona, gdy Carmelina wyprostowała się i zwróciła ku mnie twarz. – Matko Święta – westchnęłam, mimowolnie tracąc wątek – co ci się stało?

Jej prawy policzek był jednym potężnym sińcem.

Zawahała się. Powieki jej zadrżały, jakby pośpiesznie przerzucała w głowie różne możliwe wyjaśnienia, i w końcu wymamrotała coś o jednym z podróżnych z Wenecji, których przyjął pod swój dach, kiedy błagali o nocleg. Nie wiedziałam, co o tym sądzić, ale zbyła mnie, gdy zapytałam o imię tego człowieka.

– Po prostu jeden z kucharzy, pani. To bez znaczenia, skoro jutro i tak wyjeżdżamy. – Carmelina zawahała się i powieki jej zadrżały raz jeszcze. – Jeśli nie proszę o zbyt wiele... Czy możemy wyjechać drogą na Montefiascone? Wenecjanie również jutro wyjeżdżają, a jeden z ich strażników powiedział mi, że pojedą prawdopodobnie tą drugą drogą. Jeśli pojedziemy drogą na Montefiascone, nie będziemy musieli z nimi podróżować...

– Oczywiście.

Dygnęła pośpiesznie i odeszła, całym ciałem wyrażając ulgę. Odwróciłam się z powrotem do Orsina i Adriany, wbijających we mnie nieruchome spojrzenia.

– Miłej kolacji obojgu wam życzę. Czeka mnie

masa pakowania.

Na twarzy Adriany odmalowało się zamyślenie.

– Zrobiłaś się bardzo niezależna, Giulio Farnese, czyż nie?

– Może i tak – powiedziałam i spojrzałam na Orsina. – W końcu mam już dwadzieścia lat... Nie jestem taką głupią gąską jak kiedyś.

Mój mąż skulił się żałośnie.

– Giulio...

Spojrzałam na niego, tego mojego męża w jego niebieskim duplecie, który tak pasował do koloru jego oczu. Pełnych miłości oczu wypełnionych łzami. Byłam wzruszona, gdy w ciągu tych ostatnich dni tak zabiegał o moje względy. Na tyle wzruszona, że wyobraziłam sobie siebie u jego boku. Prawdziwą żonę, nie tylko z nazwy.

– Giulio – powtórzył. – Przyjmę cię z powrotem... Kiedy papież już nie... Chodzi mi o to, że kiedy on... – Orsino odchrząknął. – Nasze życie w Carbognano i nasze własne dzieci... Wyhoduję w ogrodzie takie róże, jakie sobie tylko wymarzysz...

– Wolałabym, żebyś wyhodował sobie kręgosłup – powiedziałam i zatrzasnęłam drzwi za sobą.

Rozdział 16

Francuzi włamywali się do domów i wyrzucali mieszkańców, jedli i pili wszystko, co udało im się znaleźć, spalając drewno na opał i za nic nie płacąc.

JOHANN BURCHARD

Carmelina

Jesteśmy bezpieczni! – Bartolomeo wdrapał się za mną na wóz, taszcząc ze sobą tobołek z ubraniami i wielki kosz. – Zaczynał się kręcić, więc walnąłem go jeszcze raz patelnią.

– Powiedz mi, że go nie zabiłeś! – chlipnęłam. Miejsce w piekle zostało mi już prawdopodobnie przydzielone. Nie chciałam, by ten przydział stał się nieuchronny, dodając do brzemienia swoich grzechów zamordowanie ojca.

– Nie jest martwy, ale ogłuszony jak wół w rzeźni. Jeszcze przez dobrych parę godzin będzie leżał jak zabity. – Oczy Bartolomea zalśniły w przedświcie. – Znaleźć też go nie znajdą. Nie przy całym tym zamieszaniu z wyjazdem pani Giulii. Wszyscy są zbyt zabiegani, żeby zauważyć, że brakuje osobistego kucharza któregoś z gości. – Mój uczeń machnął ręką w kierunku tłumu zgromadzonego na dziedzińcu: trzydziestu strażników siedziało już w siodłach na kręcących się koniach, służące wносиły ostatnie zawiniątka z ubraniami albo szkatułki z listami,

zmęczona pani Adriana wdrapywała się do powozu, który przywiózł ją tutaj zaledwie wczoraj wieczorem. Przy takim harmidrze mój uczeń mógłby wykrzykiwać swoje słowa gromkim głosem, a i tak nikt by go nie usłyszał, lecz mimo to ograniczył się do teatralnego szeptu, pochylając się ku mnie w ciasno zapakowanym wozie. – Zanim ten wenecki sukinsyn się obudzi albo zostanie znaleziony, albo ktoś w ogóle zacznie go szukać, my już dawno wyjedziemy, signorina. I to w przeciwnym kierunku.

Uśmiechnął się do mnie szeroko, promieniejąc z podniecenia, a ja pozazdrościłam mu dobrego nastroju. Sama czułam się po prostu chora.

– Nikomu ani słowa o tym wszystkim – ostrzegłam go po raz przynajmniej czwarty, wciskając niewielkie zawiniątko z ubraniami głębiej między skrzynie, które załadowałam patelniami, kociołkami, przyprawami i innymi najpotrzebniejszymi w kuchni rzeczami zabranymi z Rzymu na ten w zamierzeniu krótki letni wyjazd. – Ani słowa mistrzowi Santiniemu, kiedy wrócimy do Rzymu, ani Ottavianowi, ani jakemukolwiek innemu uczniowi. Ani handlarzowi ryb, kiedy cię pošlę na targ po jesiotra, ani nawet twojemu spowiednikowi, kiedy pójdziesz na mszę. Wiem, że to wbrew naturze takiego dobrego, uczciwego chłopca jak ty nie mówić księdzu czegoś takiego...

– Ja również tkwię w tym po uszy, signorina – przerwał mi. – I tak samo jak ty nie chcę kłopotów. Nie

powiem o tym ani swojemu spowiednikowi, ani nikomu innemu.

– Przysięgnij – naciskałam.

– Na głowę świętej Marty.

– Przysięgnij na jej rękę.

Zdjęłam małą torebkę z otaczającego talię paska, na którym znów bezpiecznie wisiała. Bartolomeo zerknął do środka i się wzdrygnął.

– To właśnie tam masz, signorina? Rękę świętej?

– Prawdopodobnie jest fałszywa – skłamałam. – Przysięgnij mimo wszystko. Ona cię usłyszy.

Nieufnie położył dłoń na torebce i przysiągł.

– Dobrze – powiedziałam i ledwo zdołałam odłożyć wyschniętą rączkę, musiałam się wychylić przez tylną klapę wozu i zwymiotować na dziedziniec, chociaż w moim podrażnionym żołądku nie było już prawie nic.

– Od tego wyschniętego czegoś w torebce każdemu by się zrobiło niedobrze. – Głos mojego ucznia brzmiał tak radośnie, że byłam gotowa go zabić. – Smaczny, kojący posiłek, tego ci potrzeba, signorina. Zapakowałam dla nas kosz z jedzeniem na drogę!

Mój uczeń poklepał wielki kosz, który dźwigał razem z ubraniami. Bardzo spodobało mu się pakowanie wiktuałów na posiłki spożywane pod gołym niebem nad brzegiem jeziora, które tak lubiła rodzina Farnese. Ja jednak, jeśli szło o wydawanie jedzenia, wolałam solidne stoły od koszy piknikowych. W żołądku

wszystko mi się przewracało i znów dostałam torsji.

– Jesteś pewna, że nie masz ochoty na odrobinę zabaglione? – zapytał Bartolomeo z nadzieją. – Ubiłem dziś rano. Żółtka jaj, mediolańskie migdały przetarte przez sito i odrobina słodkiego białego wina...

– Mam nadzieję, że użyłeś trebbiano z Pistoï – powiedziałam, ocierając wargi. – To najlepsza odmiana do zabaglione.

– Oczywiście, że użyłem trebbiano z Pistoï. Do tego odrobina cynamonu, drobny cukier, kropla wody różanej...

Mój uczeń poklepywał mnie teraz po plecach, jakbym była narowistym koniem. Powinam go odsunąć – kucharz nigdy nie powinien okazywać słabości przy swoich pomocnikach – ale byłam zbyt wyczerpana. Pulsująca bólem twarz była napuchnięta jak orzech, który przez całą noc moczył się w zimnym mleku, a do tego tej nocy spałam na siedząco na stole ustawionym pod spiżarnią, czujnie nadstawiając przez sen uszu, czy czasem mój ojciec nie zaczyna się kręcić. Ciągłe budził mnie sen, że ojciec zdołał jakoś otworzyć zasuwkę od wewnątrz i znów po mnie szedł. Szedł zabrać mnie z powrotem do tamtego miejsca.

Nawet jeśli teraz uda mi się uciec, nadal będzie mógł po mnie wrócić – wyszeptał cichy głosik w mojej głowie, gdy Bartolomeo trajkotał dalej, podając listę składników. Gdy tylko go znajdą w tej spiżarni, doniesie na mnie. Teraz już wie, dla kogo pracuję. Mogę wrócić

do Rzymu, a za miesiąc czy dwa staną w drzwiach strażnicy, którzy przyjdą mnie aresztować za profanację.

Zamierzałam martwić się tym później. Nie miałam wyboru – już teraz miałam na głowie zdecydowanie zbyt dużo zmartwień, żeby choćby myśleć o uzupełnieniu tej listy jakimikolwiek nowymi pozycjami.

I wtedy na dziedzińcu pojawiła się pani Giulia. W chłodnym porannym powietrzu jej oddech zamieniał się w obłoczek białej pary. Tuż za nią dreptała Pantisilea. Mała Laura drzemała w ramionach swej niani, owinięta zapasowym futrzanym płaszczem. Siostra pani Giulii, Gerolama, szła za nimi, wyrzucając z siebie potok skarg. Giulia zignorowała ją i śladem pani Adriany poszła do powozu. Miała podkrążone oczy i wyglądała na równie zmęczoną i wyczerpaną jak ja. Za nią poszedł Leonello, przyobleczony w czerń nieodłączny mały cień La Belli; pomógł jej wsiąść, po czym wdrapał się sam. Wydawało mi się, że kiedy zniknęła w środku, dostrzegłam znów na jej szyi aksamitny połysk wielkiej papieskiej perły. Nie nosiła jej przez całe lato, lecz teraz ją założyła i jakoś wydało mi się, że Orsino Orsini nie będzie towarzyszył swojej żonie w tym powozie. Stał na dziedzińcu z gołą głową mimo panującego chłodu, a Giulia spojrzała na niego przez okno powozu, jakby zadawała mu pytanie. Otworzył usta, ale zaraz je zamknął, i wyglądał na zdruzgotanego. Giulia wzięła Laurę na kolana i nie

spojrzała już więcej na swego męża.

Kapitan straży spiął konia i kłusem wyjechał z dziedzińca w stronę drogi na Montefiascone. Wydawało mi się, że w oknach widzę obserwujących tę scenę służących i resztę rodziny pani Giulii, ale nie zwracałam uwagi na twarze. Chciałam już tylko zobaczyć drogę rozciągającą się przede mną i wiodącą mnie coraz dalej od człowieka zamkniętego w spiżarni.

Zanim słońce weszło na dobre, ścisk w żołądku prawie zupełnie ustąpił. Powietrze było chłodne i suche, słońce świeciło jasno, a my poruszaliśmy się całkiem żwawo po zakurzonej drodze. Bartolomeo zrobił się niespokojny i wyskoczył z wozu, by pobiec przez chwilę wzdłuż kolumny, podrzucając w powietrze przypadkowy kamyk. Strażnicy nawoływali się z koni. Pani Giulia siedziała z brodą opartą na dłoni, patrząc przez okno powozu gdzieś daleko przed siebie. Słyszałam, jak w drugim wozie rozmawiają służące. Mogłabym jechać z nimi, ale dobry kucharz zawsze podczas podróży jedzie ze swoim sprzętem.

Ojciec mnie tego nauczył.

Odchyliłam głowę i oparłam ją o drewnianą skrzynię z patelniami i talerzami, i z nożami, bez których nigdzie się nie ruszałam. Z każdym obrotem kół wiozących mnie coraz dalej i dalej od mojego ojca otaczający mnie obłok ślepego strachu zaczynał się rozpraszać. Przecież ojciec nie będzie mnie ścigał aż do Rzymu. Po mojej ucieczce z Wenecji ludzie pewnie

zaczęli gadać, zwłaszcza jak weźmie się pod uwagę, co ukradłam i wzięłam ze sobą, ale do tej pory plotki na pewno już dawno ucichły. Gdybym została zaciągnięta z powrotem do Wenecji jako profanatorka ołtarzy, którą należy ukarać publicznie na oczach wiwatującego tłumu... To byłby dopiero skandal. Jaki arcybiskup chciałby wtedy zatrudnić mojego ojca jako kucharza?

Nie. Być może ojciec w pierwszym odruchu chciał mnie schwytać, ale skoro znalazłam się daleko i już nie tak łatwo było mnie złapać... No cóż, uznałam za znacznie bardziej prawdopodobne, że kiedy go znajdą skrupowanego w tej spiżarni, przełknie gniew i wymamrocze jakąś wymyśloną naprędce historyjkę. Kto chciałby zrujnować wypracowaną z takim wysiłkiem reputację jednego z najlepszych weneckich kucharzy dla ukarania jakiejś nieposłusznej córki?

Nie Paolo Mangano.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Przynajmniej miałam okazję powiedzieć ojcu w twarz, że jestem lepsza od niego. Jakie to miało znaczenie, czy mi uwierzył, czy nie? Ja wiedziałam, że to prawda.

Wciąż jeszcze uśmiechałam się i śniłam na jawie, myśląc, że ostatecznie zabaglione z mlekiem migdałowym brzmi całkiem smaczkowicie, gdy rozległ się pierwszy krzyk. Wystawiłam głowę przez tylną klapę wozu, wypatrując swojego ucznia.

– Bartolomeo! Koń się przewrócił czy...

Bartolomeo stał zmartwiał, z szeroko otwartymi

oczami. Podążyłam za jego wzrokiem i zobaczyłam coś, czego początkowo nie rozumiałam: dwóch strażników na czele naszej niewielkiej kolumny zwisało z siodeł, zalewając się krwią. Kolejny z krzykiem chwycił się za ramię i wataha żołnierzy w brudnych zbrojach rzuciła się na nas ze wszystkich stron, z przenikliwym krzykiem spinając konie.

Zobaczyłam kapitana straży, który jechał obok powozu i zgięty w siodle próbował flirtować z panią Julią – teraz wyprostował się gwałtownie, obracając głowę na wszystkie strony. Zaczął wykrzykiwać rozkazy, ale już dwóch kolejnych ludzi jadących na tyłach osunęło się w siodłach, a z powozu dobiegł mnie krzyk siostry pani Giulii. Krzyczały też służące jadące w wozie z tyłu i zobaczyłam obcego żołnierza z posiwiąłą głową, bez ucha, jak sięga do wozu z szerokim uśmiechem i wyciąga za włosy jedną ze służących. Jej krzyk zadzwonił mi w uszach, a wtedy do wozu wskoczył z powrotem Bartolomeo, odpychając mnie na tył, bym zniknęła z pola widzenia napastników. Zdążyłam jeszcze tylko zobaczyć sztandary łopoczące na porannym wietrze, gdy żołnierze zaciskali wokół nas pętlę. Sztandary, na których widniały francuskie lilie.

– Leż! – krzyknął Bartolomeo. – Leż i nie ruszaj się, signorina, nie wychylaj się! – Otwierał już najbliższą skrzynię, wymacując noże, które zapakowaliśmy tak starannie, a ja wyszarpywałam je razem z nim. Słyszałam krzyki kolejnych kobiet i głosy

Francuzów kraczących w tym odrażającym, bezbarwnym języku, który zgrzytał w uszach jak metal, i zapragnęłam poczuć w dłoni rękojeść noża. Słyszałam, jak kapitan straży pani Giulii wywrzaskuje rozkazy i nagle się krztusi, i nie wiedziałam, czy uciszyło go ostrze, czy cios, ale nie widząc go nawet, wiedziałam, że dławi się własną krwią. – Leż! – krzyknął jeszcze raz Bartolomeo, popychając mnie, ale w wozie nagle pociemniało i zobaczyłam francuskiego żołnierza, który jak małpa gramolił się do środka przez tylną klapę.

Uśmiechnął się szeroko na mój widok i powiedział coś w tej potwornej francuskiej mowie, zwijając język jak wąż, i wszystkie dobiegające z zewnątrz przerażone głosy wrzeszczały teraz w mojej głowie, mieszając się ze wszystkimi plotkami, jakie kiedykolwiek usłyszałam na temat francuskiej armii: jak palili kościoły wypełnione modlącymi się zakonnicami, jak roztrzaskiwali o ołtarze dziecięce główki, jak gwałcili kobiety, a potem obrzynali im palce, żeby zdjąć pierścionki...

Bartolomeo rzucił się na niego rozpaczliwie z gołymi rękami, ale francuski żołnierz niemal od niechcienia zepchnął go z wozu. Dostrzegłam na zewnątrz błysk zbroi, żołnierzy zsiadających z koni, wszechobecnych żołnierzy. Zaczęłam grzebać gorączkowo w skrzyni, lecz moje noże, tasaki, zaostrzone różna i igły do zaszywania drobiu

wyślizgiwały mi się ze spotniałych palców. Rzuciłam się na niego z pazurami, ale Francuz tylko zdzielił mnie wierzchem dłoni, wymierzając cios w moją napuchniętą już i zsiniałą twarz, aż mi świece stanęły przed oczami. Jak przez mgłę poczułam szorstką dłoń chwytającą mnie za włosy i opadłam na kolana, gdy pociągnął mnie do przodu. Poczułam wbijającą mi się w uda tylną klapę wozu i runęłam w kurz drogi, kiedy wywlókł mnie wreszcie z wozu na ziemię.

Połowa służących próbowała uciec z wozu stojącego przede mną, a trzech francuskich żołnierzy otoczyło je jak psy pilnujące owiec, szturchając je czubkami pik i śmiejąc się, gdy krzyczały. Inni żołnierze bardziej wprawnie przetrząsali kolejne wozy albo poganiali przed sobą obezwładnionych strażników, dowodzeni przez człowieka, jak sądziłam, kapitana, na którego lśniącej niczym zwierciadło przyłbicy powiewał niebieski pióropusz. Trzech czy czterech naszych strażników wciąż stawiało opór, stojąc w nierównym szyku przed wozem pani Giulii, ale jej konie zostały już odcięte od uprzęży i odprowadzone na bok, a powóz tkwił jak statek, który osiadł na mieliźnie. Kapitan naszej straży zwałił się na przekrzywione koło, zalewając je krwią sączącą się z rozchlastanego gardła. Bartolomeo leżał w pyle na brzuchu tuż obok mnie.

Żołnierz, który wywlókł mnie z wozu, spojrzał na mnie pobieżnie, po czym splunął na drogę i wrócił do przetrząsania skrzyń. Czując, jak pulsuje mi napuchnięta

twarz, pomyślałam głupio, iż może powinnam podziękować ojcu za to, że mnie uderzył. Tak mnie oszpecił, że nawet Francuzi nie chcą mnie zgwałcić. To by było na tyle, jeśli chodzi o przepowiednie Leonella.

Leonello przewidział też inne rzeczy. Że Francuzi są blisko, naprawdę niedaleko, na drodze prowadzącej do Montefiascone. Drodze, którą pojechaliśmy tylko dlatego, że namówiłam panią Giulie na jazdę inną drogą, niż wybierała się grupa, w której podróżował mój ojciec. To moja wina, to wszystko moja wina, Boże, przebacz, to moja wina, to...

– Bartolomeo... – Podpełzłam do ucznia, który leżał bez ruchu; jego włosy odcinały się od białej drogi równie jaskrawo jak strużka krwi wypływająca z naszego ugodzonego strażnika. – Bartolomeo, usiądź. Usiądź, nie po to poświęciłam cały rok na uczenie cię gotowania, żeby Francuzi zamordowali cię na drodze! Usiądź i powiedz mi, co wchodzi w skład zabaglione, usiądź, proszę...

Był tak przerażająco nieruchomy. Za mną jakaś kobieta krzyczała coraz głośniejszym głosem, a w tle słychać było ten kpiący francuski śmiech. Moja wina, moja wina.

– O proszę, co my tutaj mamy? – Francuski kapitan przeszedł na włoski, choć mówił z silnym akcentem.

Oparł się łokciem o łęk siodła i zająknął do powozu. Ostatni nasi strażnicy rzucili broń, a teraz na gest kapitana jakiś żołnierz szarpnięciem otworzył drzwi

powozu.

– *Viens ici!* – warknął.

Po krótkiej chwili z powozu wyszła, potykając się, pani Adriana. Moja chlebodawczyni nie wyglądała już jak najbardziej zaufana kuzynka papieża, zadowolona z siebie, bystrooka matrona, która lustrowała uważnie moje listy zakupów do kuchennej spiżarni, by wytknąć mi wszystkie pozycje, na których mogłabym zaoszczędzić. Kiedy tak wbijała wzrok we francuskiego dowódcę, wyglądała na starą – starą i przestraszoną. Kwaśna jak ocet siostra pani Giulii wyszła niepewnie jako następna, ale teraz nie było już w niej goryczy, lecz jedynie strach, kiedy tak łkała i tuliła się do Pantisilei. Potem wyszła niania małej Laury, bełkocząc modlitwy. Pani Giulia wyszła jako ostatnia, przytulając mocno córeczkę i zanurzając śliczną twarz w futerku małej.

– Znakomicie – rzekł francuski kapitan swoim odpychającym, twardym włoskim, patrząc na wykwintne płaszcze, pantofle z tłoczonej skóry i obszyte futrem rąbki sukni stojących przed nim kobiet. – Naprawdę znakomicie. Czy nie macie dość rozumu, bogate damy, by nie podróżować w tak niespokojnych czasach?

Adriana da Mila wyprostowała się.

– Jego Świątobliwość Ojciec Święty jest moim kuzynem i podziękuję wam...

Kapitan ryknął śmiechem, a żołnierze mu natychmiast zawtórowali.

– A ja jestem królem Francji!

– Jak śmiesz tak traktować...

Nie wyjmując stóp ze strzemion, wymierzył pani Adrianie cios butem, trafiając ją w szczękę. Osunęła się na ziemię, krztusząc się, jedna ze służących wydała urywany krzyk, a francuski kapitan zaśmiał się pogardliwie. Jego ludzie też się zaśmiali, a kłocowaty żołnierz z ramieniem spryskanym krwią sięgnął do pani Giulii.

– Nie tylko bogate, kapitanie, ale i piękne! Popatrz na tę...

Pani Giulia szarpnęła się, lecz ręka żołnierza już spadła z jej ramienia. Nierozumiejące spojrzenie wbił w nóż wystający mu z gardła.

Nóż pojawił się tak nagle, jakby tam wyrósł. Ornamentowana rękojeść ukazała się nad górną krawędzią przerdzewiałego napierśnika, a toledańska stal rozplątała gardło Francuza tak elegancko, jakby to było jabłko. Wydawało się, że na ten widok wszyscy zamarli: śmiejący się kapitan, otaczający go żołnierze, stłoczone kobiety – wszyscy wbili wzrok we francuskiego żołnierza, który wydał powolny bulgot i niespiesznie osunął się na piach. Z powozu wyszła spokojnie mała postać w czerni, dzierżąc w obu dłoniach noże.

Leonello zgładził kolejnego żołnierza, zanim jeszcze w ogóle rozpoznali w nim zbierającą swe żniwo Śmierć – maleńkie ostrze ulotniło się z jego krótkich palców i pojawiło w miękkim gardle żołnierza

stojącego tuż obok ugodzonego chwilę wcześniej. Twarz karła była pusta i przerażająco spokojna, kiedy tak szedł przed siebie, a jego piwne oczy wyszukiwały nowy cel nawet wówczas, gdy sięgał po kolejny nóż kryjący się w pochwie zaszytej w cholewie buta. Ostrze poszybowało jak maleńki anioł i żołnierz krzyknął, równie przerażony, co zaskoczony, lecz Leonello już nie zwracał na niego uwagi, namierzając wzrokiem kolejnego, a jego powolny, nieuchronny, beznamiętny marsz wydawał się nie do powstrzymania. Dotarł do pani Giulii i jedną ręką przesunął ją za siebie, a drugą cisnął jednym z ciemnych toledańskich noży we francuskiego kapitana.

Nóż odbił się od hełmu mężczyzny i ten dźwięk jakby poderwał wszystkich do działania. Kapitański koń stanął dęba, sam kapitan zaczął krzyczeć po francusku, żołnierze rzucili się naprzód, lecz twarz Leonella nawet nie drgnęła. Jakiś żołnierz chwycił panią Giulie za ramię, ale podszedł zbyt blisko. Krzyknął, gdy nóż błyskawicznie podwójnym cięciem rozchłastał mu udo i pachwinę. Leonello zawirował i cisnął w powietrze ten sam nóż, kiedy inny żołnierz chwycił Adrianę da Mila za włosy i poderwał ją na nogi, lecz ostrze chybiło o włos i ze świstem utkwilo w drodze. Wtedy francuski kapitan ryknął komendę i Leonello zdążył posłać w powietrze jeszcze tylko jeden nóż, zanim wszyscy hurmem rzucili się na niego. Mały mężczyzna upadł pod wściekłym naporem francuskich żołnierzy, ale nawet

wówczas widziałam jeszcze, jak sięgał po sztylet u pasa i wymierzał jednemu z napastników cios w kolano.

Po czym zniknął.

Bartolomeo jęknął i poruszył się na ziemi. Odruchowo skuliłam się nad nim, osłaniając nas oboje przed wzrokiem napastników, jeśli Bóg i święta Marta będą łaskawi, lecz nie mogłam oderwać przerażonego spojrzenia od zawieruchy, która rozpętała się wokół powozu. Piszczącą i wrzeszczącą siostrę pani Giulii włókł jakiś inny francuski żołnierz, malutka Laura zanosila się płaczem, Leonello był już tylko zbitą kupką pod butami i drzewcami pik. Francuski kapitan przeklinał i podjudzał swoich podkomendnych i doprawdy nie mam pojęcia, jak ten dzwięczny, srebrzysty głos zdołał się przebić przez tę ogłuszającą wrzawę:

– Co to wszystko ma znaczyć!?

Widziałam już Giulie Farnese jako obsypaną klejnotami i z godnością przechadzającą się w tłumie kardynałów Wenus Watykańską. Widziałam ją jako namiętną kochankę, nagą w kąpieli, zaróżowioną i dojrzałą do zjedzenia jak brzoskwinka. Widziałam ją jako czułą matkę dowodzącą ze swoim dzieckiem. Jako przyjaciółkę wszystkich, która zawsze miała czas na żarty i plotki. Nigdy wcześniej nie widziałam jej jednak jako zimnej i doprowadzonej do furii królowej.

Nie, kogoś więcej niż królowej. Królowe czerpią swą dumę tylko z urodzenia, a La Bellę umiłował sam

Bóg.

Podąła rozszlochaną Laurę pochlipującej niani, lecz nawet na nią nie spojrzała. Rozchyliła płaszcz, odsłaniając bogatą suknię, odrzuciła do tyłu głowę w geście absolutnej, zimnej furii, a jej złote włosy zalśniły jak monety w porannym słońcu. Wielka perła na jej szyi rozbłysła jak łańcuch potwierdzający godność urzędu. Jej spojrzenie przeszło francuskiego kapitana jak miecz i ruszyła ku niemu w swoim lodowatym majestacie: śmiertelnie obrażona bogini gotowa ciskać gromy na każdego śmiertelnika, który ośmielił się wzbudzić jej gniew.

– Jestem Giulia Farnese – prychnęła, a jej słowa przecięły powietrze niczym kolejna seria latających noży. – Wszyscy o mnie słyszeliście. Jestem Giulia La Bella, Wenus Watykańska, Oblubienica Chrystusa. Jestem kochanką papieża. Dotknijcie tylko swoimi brudnymi paluchami mnie lub kogoś, kto należy do mojej świty, a zostaną wam odcięte. Za nimi pójdzie reszta waszych nędznych, przerażonych szczątków, a wasze dusze będą jęczeć udręczone w piekle przez całą wieczność, pozbawione Bożej łaski, gdy mój papież ekskomunikuje was za to, że ośmieliliście się tknąć to, co ukochał najbardziej na świecie.

– Madame... – Spojrzenie kapitana przeskoczyło z perły na falujące poniżej białe piersi, a potem na jej słynne złote włosy. Boże, oby tylko słyszał wcześniej o jej włosach, zaczęłam się modlić mimowolnie, wciąż

skulona nad leżącym na ziemi Bartolomeem. Proszę, oby słyssał o złotej kochance papieża. Inaczej, zdarłszy z niej suknię, będą sobie przekazywać panią Giulie między sobą jak nas wszystkie. – Madame... – zaczął znów francuski kapitan ostrożnie – jeśli możesz dowieść...

– Czy w ten sposób zwracasz się do kobiety o mojej pozycji? – przerwała mu lodowato. – To są właśnie francuskie maniery?

Kapitan ściągnął z głowy hełm. Na wielkim koniu, z ekstrawaganckim pióropuszem i potężnym głosem z silnym francuskim akcentem sprawiał imponujące wrażenie. Teraz zaś wydawał się niewiele starszy od Bartolomea.

– Madame, bardzo przepraszam...

– I słusznie. Czy we Francji jest przyjęte, chłopcze, prowadzić walkę z bezbronnymi kobietami? – Giulia obróciła się powoli, omiatając wściekłym spojrzeniem kapitana i jego ludzi, a jej nozdrza zafalowały z zimną pogardą. – Wy tam, natychmiast wypuście moją służącą. Nie zniosę, bym musiała obsługiwać się sama. Wypuście również mojego strażnika.

– Madame, on zabił trzech moich...

– Otrzymał rozkazy bezpośrednio od Jego Świątobliwości, samego Ojca Świętego, by zabić każdego, kto mógłby mi zagrozić. Twój ludzie, możesz być tego pewien, wiją się teraz w piekle za to, że ośmielili się mnie obrazić. – Ściągnęła cienkie brewki. –

Wypuście go.

Żołnierze ruszyli się, zanim jeszcze francuski kapitan zdążył wyszczenąć komendę. Serce mi się ścisnęło, kiedy zobaczyłam na ziemi małą postać Leonella zwiniętego w kulkę i daremnie próbującego ochronić twarz i podbrzusze. Dojrzałam wypływającą gdzieś spod niego jasną strugę krwi i serce znów mi się ścisnęło, lecz później dostrzegłam drgnięcie jego połamanych palców. Przynajmniej żył.

– Carmelina... – wyszeptał ogłupiały Bartolomeo.

– Ciii... – syknęłam.

Spojrzenie Giulii nie zmieniło się, kiedy omiotła nim swojego strażnika. Szarpnięciem usunęła brzeg sukni od jego małego, zmasakrowanego ciała i spojrzała z powrotem na francuskiego dowódcę.

– Ponieważ okaleczyłeś mojego osobistego strażnika i przetrzebiłeś moją straż, żądam eskorty – obwieściła. – Sądzę, że te niechlujne prostaki, których nazywasz żołnierzami, będą musiały wystarczyć.

– Madame Farnese... – zaczął francuski kapitan.

Giulia po prostu go zignorowała, wyszarpnęła zza paska parę haftowanych rękawiczek i zaczęła je naciągać, palec po palcu.

– Ponieważ mój powóz został zniszczony, będę potrzebowała konia. – Wskazała głową siwego wałacha kapitana. – Ten się nada.

Usłyszałam, jak żołnierz, który wyciągnął mnie z wozu, szepcze do drugiego:

– Czy to jest papieska kurwa?

– Zachowuje się, jakby sam Bóg miał ją w swojej opiece – zaburczał drugi, ale spuścił wzrok natychmiast, gdy tylko spoczęło na nim spojrzenie Giulii. Przyjrzała mu się pogardliwie jak gnidzie, po czym przeniosła wzrok na mnie. Wydawało mi się, że dostrzegłam błysk ulgi, a może to był strach, ale jej zimna arogancja nie zelżała nawet na chwilę, kiedy jedno po drugim odnajdywała wzrokiem swoich służących. Francuski kapitan próbował coś powiedzieć, ale osadziła go tym samym pańskim zniecierpliwieniem, którym papież zwykł osadzać próbujących mu przerwać kardynałów.

– Możecie zająć swoje miejsca – powiedziała, gestem dłoni wskazując nas wszystkich, od służących, przez kilku pozostałych przy życiu strażników, do przerażonej siostry i zmartwiałej teściowej. – Nikt was nie tknie. Jesteśmy teraz gośćmi króla Francji, a wszyscy wiemy, że Francuzi nie wypowiadają wojen kobietom. – Odwróciła się i uniosła brwi, nie odrywając wzroku od kapitana tak długo, aż spłonął się i niezgrabnie zsiadł z konia. Patrzyła na niego tak długo, aż w końcu złożył dłonie, podstawił je pod jej stopę i podsadził ją na siodło. – Nosze dla mojego strażnika, natychmiast, i dajcie tu tego rzeźnika, co u was służy za chirurga. Chcę, żeby mój strażnik został dobrze opatrzony, zanim zostanie ruszony z miejsca choćby o centymetr. Zakładam, że zobaczymy się z waszym generałem? – zapytała bez zainteresowania,

poprawiając suknię. – Jeśli mam już zostać wzięta do niewoli, to przynajmniej przez żołnierza odpowiednio wysokiego rangą. I możesz być pewien, kapitanie, że zamienię z nim słówko na temat tego, co tutaj zaszło.

– Madame...

– Poślij straż przednią, żeby dopilnowali, by czekały na mnie odpowiednie wygody. Po tak uciążliwej podróży będę oczekiwała kąpieli różanej i dobrego posiłku. I żadnych pomyj, które wy, Francuzi, nazywacie winem, piję tylko słodkie białe wina z Ischii. Dopilnuj, żeby twój dowódca został odpowiednio poinformowany.

– Spojrzała na młodego kapitana z lekkim zaskoczeniem. – Możesz odejść.

Wciąż wyglądał na zmieszanego, lecz odwrócił się i po francusku zaczął wydawać swoim ludziom rozkazy. Zaczęli się zbierać i ściągać swoich i naszych zabitych. Zobaczyłam, jak pani Adriana bierze Laurę w ramiona i uspokaja ją, po czym odwraca się, by wejść do wozu ze służącymi, skoro powóz nie nadawał się już do dalszej jazdy. Żołnierz, który zaczął odciągać siostrę pani Giulii, wyglądał na lekko zażenowanego, kiedy z przepaszającym uśmiechem przekazywał ją za panią Adrianą. Leonello nadal leżał bezwładnie skulony na ziemi. Pantisilea ostrożnie zaczęła go rozprostowywać, a dwaj żołnierze zaczęli improwizować nosze. Papieska konkubina spięła konia i nie oglądając się na boki, pojechała naprzód.

– Wstawaj – wymamrotałam do Bartolomea,

ciągnąc go za rękę. – Wstawaj i żebyś mi nawet nie ośmielił się zerknąć na tych cholernych francuskich żołnierzy.

– Co? – Rozejrzał się wokół, wciąż oszołomiony ciosem, który wyrzucił go z wozu. Do jutra będzie miał na twarzy takiego samego siniaka jak ja. Przynajmniej będzie jakieś jutro. – Co się stało? – wybełkotał mój uczeń.

– Jesteśmy jeńcami francuskiej armii – odpowiedziałam ponuro, pomagając mu wdrapać się z powrotem na wóz. – Dobra wiadomość jest taka, że nie jesteśmy martwi. O ile się nie mylę, La Bella właśnie ocaliła nam wszystkim życie.

Giulia

Od Montefiascone, gdzie obecnie stacjonowała francuska armia, dzieliła nas w istocie spora odległość, i długie godziny, które tego dnia spędziłam w siodle, pozwoliły mi opracować przepis na rozwiązanie tej sytuacji. Był to mój własny przepis i nie dałoby się go znaleźć w żadnym ze zbiorów receptur Carmeliny. Zmieszaj arogancję Juana Borgii ze złośliwością Vannozzy dei Cattanei, dorzuć ostry język mojej (niesparaliżowanej strachem) siostry Gerolamy, dodaj solidną porcję królewskiego narcyzmu Cateriny Gonzagi i dopraw wybuchowym usposobieniem przekupki. Z każdym uderzeniem kopyt mojego konia o ziemię dławiłam przerażenie ściskające mnie za

gardło i przeistaczałam się w wyniosłą, szlachetnie urodzoną sukę.

Narzekałam na to, że mój pożyczony koń zbyt mocno wybija w kłusie. Wymusiłam na francuskim kapitanie półgodzinny postój tylko po to, bym mogła wytrząsnąć kamyczek z buta. Drwiłam z francuskich żołnierzy, że są brudni i nieogoleni. Wzgardziłam chlebem i serem zaoferowanym mi do jedzenia w południe, po czym przez trzy kolejne godziny narzekałam na pusty żołądek. Wydymałam i przygryzałam wargi, wypinałam biust, błyskałam perłami i co trzecie zdanie wspominałam o moim papieżu, a przez cały ten czas byłam świadoma – przerażająco świadoma – istnienia mojej wystraszonej córki, łkającej siostry, posiniaczonej teściowej, pobitych strażników, ciasno do siebie przytulonych służących i biednego, bohaterskiego, zakrwawionego małego strażnika. Wszystkich nas otaczał złowróżbny krąg francuskich żołnierzy, którzy w każdej chwili mogli się zwrócić przeciwko nam, obrabować nas, zgwałcić lub poderżnąć nam gardła, gdyby tylko przestali wierzyć w to, że jestem więźniem o ogromnej wartości, z którym należy się obchodzić w aksamitnych rękawiczkach.

Wszystkie wymyślone skargi i zażalenia zamarły mi na wargach, kiedy zbliżając się do Montefiascone, wyjechaliśmy z za wzgórza i zobaczyłam rozłożoną przed nami obozem francuską armię. Rozlało się przed nami morze brudnych dubletów, koni, pik, namiotów

i wozów, wśród których powiewały francuskie lilie i unosił się zapach krwi. Od miesięcy mówiło się o francuskiej armii, o spustoszeniu, jakie siała, przeszedłszy przez Sabaudię w swoim niepowstrzymanym marszu na południe – były to jednak tylko pogaduszki przy stole, znacznie mniej realne niż wino w moim kielichu i okrywający mnie jedwab, znacznie mniej interesujące niż odpowiedź na pytanie, jakie to pyszności poda mi Carmelina przy okazji następnego posiłku. Teraz byłam w samym środku tego wszystkiego, pochłonięta przez morze tych obmierzłych, zarośniętych brudem, przeklinających mężczyzn, prowadzona przez środek obozu na jego obrzeża. Byłam na tyle blisko, by poczuć śmierdzące cebulą i próchnicą oddechy tysięcy żołnierzy, by zobaczyć ogniska, końskie łajno i błoto, by poczuć ciężar obleśnych, ciekawskich spojrzeń, które lepiły się do mnie, gdy kłusowałam środkiem z eskortą swoich strażników. Chłonełam widok ciągniętych przez konie śmiercionośnych dział, które potrafiły pluć żelazem tak zawzięcie, że w ciągu kilku godzin mogły obrócić miejskie umocnienia w perzynę. Widziałam budzące grozę francuskie piki, na które nadziewano niemowlęta w całej Sabaudii. Widziałam bestialskie rumaki bojowe, które jednym kopnięciem potrafiły przedziurawić człowiekowi czaszkę. I teraz to wszystko było tak koszmarnie realne.

– Potęga francuskiej armii, madame – odezwał się

kapitan, zauważając moje milczenie; po raz pierwszy od wielu godzin pozwoliłam zapaść ciszy. – Założę się, że nigdy nie widziałas niczego podobnego.

– Armia papieska robi znacznie większe wrażenie – powiedziałam znudzonym tonem. – Czymże są nędzni żandarmi wobec świętych wojowników papieża?

– To tylko straż przednia naszej armii, madame.

Przełknęłam ślinę.

Francuski kapitan skwitował moje milczenie pogardliwym uśmiechem i popędził wierzchowca. Mogłam tylko spiąć konia i pojechać w ślad za nim. Na przedmieściach Montefiascone jakiś francuski żołnierz podszedł do drzwi winiarni i zagwizdał lubieżnie, gdy przejeżdżałam. Skóra mi ścierpła, lecz wyprostowałam się w siodle i odsunęłam kaptur z głowy, by odsłonić wysoko upięte włosy. Im więcej ludzi mnie zobaczy, tym szybciej rozejdą się wieści, że papieską ukochaną wzięto do niewoli. Im szybciej się rozejdą, tym szybciej dotrą do Rodriga. A wtedy powinnam się modlić, żeby nie był zbyt zajęty ani zbyt na mnie wściekły, by mnie ocalić.

Najpierw jednak powinnam się modlić, by francuski generał okazał się bardziej *chevalier* niż mężczyźni, którzy rzucili się na mój orszak jak wilki.

– Bazylika Świętej Małgorzaty – powiedziałam, gdy dotarliśmy z rozłożonego pod miastem obozu do samego Montefiascone i zobaczyłam ogromną, na wpół ukończoną kopułę słynnej katedry wyrastającą ponad skromnie pokryte dachówkami budynki. – Chcę tutaj

odpocząć i się pomodlić.

– Madame, generał d’Allegre będzie sobie życzył zobaczyć cię...

– Może tu przyjechać, by mnie powitać, jeśli sobie życzy – rzekłam, pociągając nosem. – Giulia La Bella nie stawia się na rozkaz jak jakaś dziewczka na posyłki.

– Generał jest człowiekiem zajęтым!

Całkowicie go zlekceważyłam. Kiedy wyszliśmy już wąskimi, wijącymi się uliczkami na otwarty plac i zobaczyłam niskie stopnie wiodące do bazyliki, bez uprzedzenia wstrzymałam konia i ześliznęłam się z siodła. Nie miałam pojęcia, czy otaczający mnie pierścień żołnierzy rozstąpi się, gdy do niego podejdem.

Ale się rozstąpił.

– Sprowadźcie moje służące – zawołałam, nie odwracając się i pstrykając palcami ponad ramieniem. – I mojego strażnika. Położymy go przed ołtarzem świętej Małgorzaty i będziemy się modlić o jego szybki powrót do zdrowia.

– Kapitanie... – zaoponował jeden z żołnierzy.

– Pozwólcie tej suce wejść samej do kościoła, jeśli sobie życzy – powiedział kapitan po francusku, a ja obróciłam się ku niemu szybko i zwinnie jak kotka.

– Może, *mon capitaine*, powinieneś się upewnić, że twoi jeńcy nie mówią po francusku, zanim zaczniesz ich tak wulgarnie obrażać.

Moja znajomość francuskiego była raczej skromna, a wszystko, co wiedziałam, podsłuchałam

przy Lukrecji, która biedziła się nad językami pod okiem rozmaitych nauczycieli, ale mój zasób obelg był imponujący w każdym języku, więc pozwoliłam kapitanowi poznać wszystkie znane mi przekleństwa po francusku, włosku, łacińsku i katalońsku. Kiedy już udało mi się wydrwić jego maniery, wygląd, pochodzenie, męskość i kompetencje, i to na tyle głośno, by wszyscy jego podwładni mieli sposobność to usłyszeć, wyglądał jak przekłuty pęcherz z dwoma purpurowymi uszami.

– Proszę, madame, jeśli tylko chcesz, poczekaj w katedrze – wymamrotał, a ja westchnęłam ciężko, choć bezgłośnie, kiedy mojej wymęczonej świecy pozwolono zejść z wozów. Gdy szturchając i popychając, wprowadzono ich do katedry i wyproszono na zewnątrz pozostałych wiernych, ja klęczałam już przy ołtarzu, żegnając się ostentacyjnie i wspominając głośno raz po raz o błogosławieństwach i łaskach Ojca Świętego w Rzymie. Francuzi, nie tracąc czasu, zatrzasnęli drzwi i ustawili pod nimi kilku mamroczących gniewnie wartowników.

Gdy tylko sobie poszli, poderwałam się z kolan i rzuciłam ku córce.

– *Lauretta mia...* – Ścisnęłam ją tak mocno, że miałam wrażenie, iż jej maleńkie kosteczki aż zatrzeszczały. Nie wydała z siebie ani słowa protestu, tylko wtuliła twarzyczkę w moją szyję, a mnie łzy napływały do oczu, gdy raz po raz całowałam jej złotą

główkę. – Nie pozwolę, by cokolwiek ci się stało – wyszeptałam. – Przysięgam, przysięgam...

– Dzielna dziewczyno – powiedziała pani Adriana drżącym głosem i uścisnęła mnie po raz pierwszy w długiej historii naszej znajomości. – Kochana, dzielna dziewczyno, nie zapomnę, czego dziś dokonałaś...

– Nie ma na to czasu. – Szybko otarłam oczy i rozejrzałam się po katedrze.

Nic nie chroniło jej przed wpływem żywiołów, nawa zasłana była zeschniętymi liśćmi przypominającymi skrawki papieru, a zza rusztowania na wpół ukończonej kopuły wyzierało ciemnobłękitne jesienne niebo. Moi ludzie zbili się drżący w ławkach i na stopniach ołtarza, połowa mamrotała modlitwy, druga połowa szeptała między sobą z przerażeniem malującym się na twarzach. Niania Laury wybuchła płaczem, Carmelina usiadła obok zezowatej figury świętej Małgorzaty i ukryła twarz w dłoniach, a rudy chłopak z kuchni siedzący u jej boku bezskutecznie próbował ją zmusić do zjedzenia czegoś z piknikowego kosza. Leonella strażnicy porzucili na zaimprovizowanych noszach przed ołtarzem świętej Łucji. Umieściłam sobie Laurę na biodrze, podbiegłam do niego i padłam na kolana.

– Najświętsza Panienko, niech on wyzdrowieje. Leonello...

Mój mały lew był jedną wielką nieprzytomną raną. Zmiażdżony nos pokrywała zaschła krew, twarz miał

napuchłą i spurpurowiałą od razów, a wszystkie palce jednej dłoni połamane i spuchnięte. Zwinięty w kłębek, rzeźił przez otwarte usta, a spod niego, nie wiadomo z której rany, wyciekała powoli cienka strużka krwi. Przeżegnałam się.

– Leonello...

Skulony jak chore dziecko wydawał się taki maleńki. Nie większy od podrostka, a jednak bez wahania stanął w mojej obronie. Zasłonił mnie sobą i ruszył na spotkanie z całą francuską armią, nie mając nic poza garścią noży.

– Idiota – szepnęłam mu w nieprzytomne ucho i dotknęłam jego zakrwawionego czoła. – Powinieneś być po prostu pozwolić im mnie wziąć.

Czy jednak bylibyśmy tutaj, gdyby pozwolił? Kupił mi czas, chwilę na opanowanie się i obwieszczenie mojego imienia i pozycji, zanim chaos i szaleństwo nie zamknęły Francuzom uszu na wszystko inne.

– Opiekowałam się nim w wozie najlepiej, jak potrafiłam. – Pani Adriana klękła obok mnie. – Co najmniej dwukrotnie ugodzono go nożem... Jeśli nie uda się ściągnąć chirurga...

– Och, uda się – powiedziałam ponuro, siadając obok niego. Nie zamierzałam pozwolić, by mój strażnik umarł. Nie po tym, czego dokonał. – W międzyczasie, Adriano, namocz, proszę, chusteczkę w tamtej chrzcielnicy i umyj mu twarz. Pia, wypakuj jedną z moich koszul i podrzyj ją na bandażę. Carmelino, na

pewno w tym koszyku mamy jakieś wino...

Na pojawienie się francuskiego generała czekaliśmy dwie godziny. Poważny, brodaty generał Yves d'Allegre o stalowoszarych włosach wmaszerował do katedry długimi krokami kawalerzysty na czele grupy dowódców. Poczułam ucisk w żołądku, lecz uniosłam podbródek i spojrzałam na nich chłodno ze stopni ołtarza, na których ustawiłam się specjalnie, by zyskać przewagę wysokością. Adriana popędziła pozostałych, by ustawili się w rzędach za moimi plecami, tworząc moją własną falangę.

– Generał? – zapytałam, zanim jeszcze skończył przedstawiać swoich dowódców. Zmarszczyłam nos, jakby obwieścił mi, że jest chłopcem stajennym. – Dlaczego nie przyjmuje mnie sam król Karol? To obraza dla kogoś o mojej pozycji i nie będę...

– Jego Królewskiej Mości tutaj nie ma, madame. – Generał d'Allegre mówił poważnym, modulowanym basem i posługiwał się włoskim znacznie lepiej niż jego młody kapitan. – Król Karol maszeruje z głównymi oddziałami naszej armii, pozostawiając mi dowodzenie strażą przednią.

Odetchnęłam nieco lżej. Wszyscy znaleźmy pogłoski o nienasyconym apetycie króla Karola na kobiety, te chętne i te odporne. Podobno opisywał je później w książce, oceniając ich wygląd i biegłość w sztuce miłosnej. Nie miałam zamiaru stać się przedmiotem recenzji w nic niewartej francuskiej

księdze podbojów.

– Wiele słyszałem o urodzie Giulii La Belli – ciągnął generał d’Allegre. Jego spojrzenie prześliznęło się po mnie powoli. – I widzę, że w tym, co słyszałem, nie było ani odrobiny przesady.

Dwóch stojących za nim dowódców parsknęło śmiechem. Serce zabiło mi gwałtownie, ale zdołałam zachować kamienną twarz.

– Czy masz w zwyczaju łączyć komplementy z atakami, generale? Napadać na podróżujące bezbronne kobiety? Trzech z mych strażników zabito, moje służące natarczywie zaczepiano, siostrę i teściową poraniono, a mojego osobistego strażnika niemal zaszlachtowano! Nie wspominam już o utracie koni i wszystkiego, co twoi ludzie postanowili ukraść z moich bagaży dla siebie...

– Proszę o wybaczenie, madame. – W jego uśmiechu nie było śladu skruchy. – Gdyby cię rozpoznano, moi ludzie zawarliby z tobą znajomość znacznie uprzejmiej. Zapewniam cię, że Francja nie ma w zwyczaju toczyć wojen z kobietami.

– A zatem natychmiast pozwolisz mi wrócić do Rzymu. – Zabębniłam palcami, dokładając starań, by moje pierścienie odpowiednio zabłyśły. Im zbytkowniej wyglądałam w wytwornych szatach i klejnotach podarowanych mi przez Rodriga, tym lepiej. – Ojciec Święty będzie bardzo niezadowolony z powodu narażenia mnie na takie niewygody...

– Obawiam się, że nie mogę cię jeszcze zwrócić do Rzymu, madame.

Poczułam w ustach kwaśny, zjełczały posmak strachu, lecz tylko z niezadowoleniem wydełam wargi.

– I ty uważasz się za dżentelmena, *mon général*?

– Wykonuję rozkazy mojego króla. – Generał d’Allegre rozłożył ręce we wdzięcznym wyrazie przeprosin, lecz jego spojrzenie pozostało twarde i zimne. – Być może Jego Królewska Mość będzie chciał cię poznać, zanim podejmie dalsze decyzje co do twojego powrotu. W końcu darzy piękne kobiety wielkim podziwem... i nie chciałby pozostawić cię z przekonaniem o francuskim braku gościnności.

Och, jacy wszyscy byliśmy uprzejmi. Oczyma duszy widziałam już odnoszący się do mnie wpis w królewskiej księdze podbojów: „Numer dziewięćdziesiąt sześć: wszędzie jasne włosy, zręczne dłonie”. Święta Panienko, ratuj.

– A może Jego Królewska Mość pozwoli mi wyprawić cię od razu do Rzymu? Któż to może wiedzieć, madame? – Generał d’Allegre dostrzegł moje milczenie i wykrzywił wargi. – Tymczasem jestem zaszczycony, pełniąc obowiązki gospodarza. Dziś wieczór zjesz ze mną kolację.

Nie sądziłam, by było to zaproszenie.

– Moja zacna teściowa Adriana da Mila i ja będziemy zachwycone, mogąc ci towarzyszyć.

Poczułam, jak stojąca u mego boku Adriana

dzielnie unosi podbródek.

– Nie śmiałybym odrywać twojej *belle-mère* od jej obowiązków wobec członków twojej wyprawy – powiedział generał gładko, nawet przez chwilę nie patrząc w jej stronę. – Tego wieczoru będę wraz z moimi dowódcami zaszczycony, mogąc zabawić samą *La Belle Farnese*.

Stojący za nim dowódcy parsknęli tłumionym śmiechem. Młody mężczyzna z okrutnie modnymi wąsami pochylił się do drugiego i coś mu szepnął, a żaden z nich nie starał się ukryć spojrzeń, którymi lustrowali nie tylko mnie, lecz i stojące za mną rzędem służące: pobladłą Carmelinę, biuściastą nianię Laury i biedną Pantisilę, z której uleciała cała zalotność.

– Jeśli tego wieczoru mam być twoim gościem, to życzyłabym sobie wygodnego zakwaterowania dla członków mojej wyprawy – warknęłam. – Odpowiednich łóżek i jedzenia oraz wystawionych dla ich ochrony straży.

– Oczywiście, madame.

– Życzę sobie również dobrego chirurga dla mojego strażnika – dodałam władczo. – Jego rany muszą zostać natychmiast opatrzone.

– To może się okazać trudniejsze – powiedział generał d’Allegre beznamytnie. – Twój karzełek zadał poważne rany kilku moim żołnierzom. Obawiam się, że moi chirurdzy zajęci są opatrywaniem tych właśnie ran.

Dostrzegłam kwaśne spojrzenia, którymi pozostali

Francuzi obrzucili Leonella, i w cichości ducha podziękowałam Najświętszej Paniencie, że jest nieprzytomny. Gdyby nie powściągnął ciętego języka, to sądząc z wyrazu ich twarzy, z rozkoszą z miejsca wykończyliby go na jego zaimprovizowanych noszach, nie zważając na świętość tego miejsca. „Żaden mężczyzna nie lubi wychodzić na głupca” – przypomniałam sobie słowa mojego strażnika. „A już zwłaszcza za sprawą karła”.

Jeśli rany Leonella nie zostaną opatrzone przez chirurga, Francuzi nie będą musieli nawet sięgać po miecze.

– Znajdziesz chirurga – oznajmiłam francuskiemu generałowi, pozwalając, by mój podniesiony głos rozbrzmiał królewskim gniewem. – Mój strażnik zostanie natychmiast opatrzony. Jeśli sądzisz, że Ojciec Święty będzie zadowolony na wieść o tym, jak nas potraktowałeś...

Przez chwilę ciągnęłam w podobnym tonie, krążąc po podeście ołtarza, wznosząc upierścienione dłonie ku niebu i ogólnie rzecz biorąc, malowniczo wpadając w furję. Młody francuski kapitan tracił rezon, gdy tylko wpadałam w gniew, ale generał d'Allegre stał niewzruszenie, obserwując falowanie moich piersi i zupełnie nie zwracając uwagi na moje słowa. Przypomniałam sobie, w jaki sposób mój papież potrafił odegrać budzącego sympatię patriarchę, przebiegłego dyplomatę lub majestatycznego rybaka

ludzi, porzucając jedną rolę i wchodząc w drugą zależnie od charakteru publiczności. Zmień taktykę, moja perło – usłyszałam w głowie jego kataloński bas i urwałam w połowie kolejny napad złości. Podniosłam dłoń do piersi i zatrzepotałam upierścienionymi palcami, jakbym próbowała się opanować, po czym podniosłam wzrok na generała d'Allegre.

– Wybacz mi – powiedziałam z żalonym westchnieniem, którego wcale nie musiałam udawać, mając żołądek ściśnięty w drżące supły. – Cała ta sytuacja zupełnie wytrąca mnie z równowagi. Jestem pewna, że to rozumiesz.

– Oczywiście, madame. – Kolejny francuski ukłon. – Porozmawiamy o tym dziś wieczorem.

– *Oui, mon général.* – Spuściłam wzrok, niemal niedostrzegalnie zatrzepotawszy rzęsami. – Dziś wieczorem.

Francuski generał i jego dowódcy spojrzeli na mnie i niemal usłyszałam krótkie mlaśnięcia języków za wąskimi wargami. Przez krótką, przerażającą chwilę pomyślałam, że otaczają mnie węże.

Rozdział 17

Ani wam w myśli, ile [to] krwi kosztuje.

DANTE ALIGHIERI

Leonello

Sufit. Kamienne łuki. Pajęczyny. Na nich się skupiłem.

Płynące skądś ciepło. Łuna. Mrugałem tak długo, aż niewyraźna łuna przybrała kształt piecyka migoczącego żarem i rozpraszającego nieco ponury chłód.

Miękkość. Zrzucone na mnie koce.

Ból. O nim im mniej, tym lepiej.

Zamknąłem oczy i przełknąłem kilkakrotnie ślinę w zaschniętym, drapiącym gardle.

– Nie chciałem zostać oskarżony o brak oryginalności – powiedziałem zaskoczony tym, jak słabutki wydobył się ze mnie głos – ale gdzie ja jestem?

– Montefiascone. Zakrystia bazyliki Świętej Małgorzaty.

Jasna plama klejnotów przysunęła się do mego boku, więc znów zamrugałem, próbując rozproszyc mgłę zasnuwającą mi wzrok. Oczy – co było nie tak z moimi oczami? Ugodzono mnie w pierś, w bok i w biodro, może też w ramię, ale nie w oczy, więc co się z nimi stało?

– Generał d’Allegre zaproponował przeniesienie nas do cieplejszych kwater, ale uznałam, że możemy być bezpieczniejsi na świętej ziemi – ciągnął głos. – Na moje polecenie dostarczyli nam koce, piecyki i opał i przenieśli nas wszystkich do zakrystii i mniejszych kaplic, żeby nas zabrać spod tych nagich krokwi. – Mój wzrok wyostrzył się powoli, pozwalając mi dostrzec wyraźną już twarz Giulii Farnese. – Bardzo cię boli, Leonello?

– Czasem ból jest bardziej rozdzierający, czasem mniej.

Bolało mnie ramię, bok, biodro, tępy ból wgryzał się aż do kości jak cierpliwa bestia, z każdym oddechem przypominając mi przeszywająco o połamanych żebrach. Przy każdym wdechu słyszałem i czułem szmer, jakby ktoś wypełnił mi płuca pergaminem, a kiedy splunąłem na bok, zobaczyłem krew. Bardzo niedobrze. Najbardziej jednak doskwierała mi ręka. Uniosłem ją, by przyjrzeć się jej z bliska. Prawie nie przypominała ręki. Wszystkie palce miałem połamane po tym, jak Francuzi zmiażdżyli mi je butami, próbując mnie zmusić do wypuszczenia noży. Najmniejszy palec odstawał pod tak dziwnym kątem, że sam jego widok sprawiał ból, do tego był purpurowy, pokryty plamami i dziwacznie spłaszczony.

– Jak świetnie się składa, że do rzucania nożem nie potrzebuję małego palca – zdołałem zauważyć. – Inne wystarczy chyba włożyć w łupki, ale tego raczej nie da

się uratować.

– Próbuję sprowadzić dla ciebie chirurga – powiedziała moja pani. – Francuzi odmówili... To wszystko wymówki. Poczuli się po prostu upokorzeni, że zabiłeś tylu ich ludzi. – Rzuciła wulgarnie przekleństwo bardziej przystające stajennemu niż kochance papieża i nawet bym się roześmiał, gdyby to tak nie bolało. Boże, co za ból. – Czy mogę ci jakoś ulżyć? – zatroszczyła się La Bella. – Kieliszek wina, jeszcze jeden koc...?

– Nie, niczego mi nie brakuje – skłamałem.

Mgła zasnuwająca mi wzrok nieco się rozproszyła i pod przeciwległą ścianą dostrzegłem Pantisileę rwącą półprzezroczystą koszulę na bandażu. Przez drzwi do zakrystii widziałem poruszenie: panią Adrianę, która opadła na krzesło z Laurą na kolanach, i labiedzącą nianię. Odwróciłem głowę w stronę siedzącej obok mojego pośłania Giulii i przyjrzałem się jej.

– Idziesz na przyjęcie.

Włożyła najwytworniejszą, ciężką od srebra i przepasaną wysadzonym szafirami łańcuchem suknię, a szyję, palce i nadgarstki ozdobiła całą resztą posiadanych klejnotów. Ten kosztowny, krzykliwy strój, w którym mogłaby się obnosić tylko kobieta bardzo próżna, zupełnie do niej nie pasował.

– Zostałam zaproszona na kolację. – Jej usta wykrzywiły się w parodii uśmiechu. – Z francuskimi dowódcami.

– Zedrą z ciebie te wszystkie klejnoty.

– Ależ proszę bardzo. – Giulia popatrzyła po sobie.

– Chcę, żeby zobaczyli, ile papież już na mnie wydał i ile będzie chciał wydać, by mnie odzyskać, jeśli tylko zgodzą się na okup.

Ja i moja pani nie rozmawialiśmy tak serdecznie od tygodni... Odkąd spoliczkowała mnie za obrazę Orsina Orsiniego i odkąd wcześniej tak okrutnie obszedłem się z nią w Pesaro, i to bez żadnego szczególnego powodu.

– Nie miałam jeszcze okazji ci podziękować – powiedziała Giulia – za stanięcie w mojej obronie.

Piecyk buchnął płomieniem i na nim się skoncentrowałem.

– Nie dziękuj mi, pani.

– Będę – powiedziała żarliwie. – Wszystkie twoje rany... Dlaczego to zrobiłeś, Leonello? Nie miałeś żadnych szans, by ich pokonać, było ich zbyt wielu, a ty miałeś zaledwie kilka noży. Dlaczego?

– Zostałem zatrudniony, by cię chronić. Więc próbowałem. – Najlepiej, jak potrafiłem, wrzuciłem ramionami, chociaż leżałem przecież płasko na plecach, okryty stertą koców, które zaczynały mi ciążyć jak kamienie. – Poza tym nie lubię Francuzów. Są grubiańscy i śmierdzą, więc jeśli jeden człowieczek może sprawić, żeby kilku z nich pożałowało, że nie zostali po swojej stronie gór, to tym lepiej. Naprawdę nie żal mi tych kilku strzaskanych żeber.

Popatrzyła na mnie.

– I właśnie dlatego to zrobiłeś?

– Może chciałem też coś naprawić. – Znów wbiłem wzrok w łukowate sklepienie zakrystii. Pająk rozpinał pod nim sieć, nie troszcząc się o leżącego poniżej małego człowieka, który prawdopodobnie umierał. – Przepraszam, że nazwałem cię dziwką, pani. W Pesaro. – Nienawidziłem przepraszać i z trudem znajdowałem właściwe słowa. Tego też nienawidziłem. – Kiedy wpadnę w złość... Muszę kogoś ugodzić, choćby ostrym słowem. Byłaś pod ręką.

– I miałaś rację – powiedziała całkiem spokojnie. – Jestem dziwką. Kiedyś udawałam, że nie jestem, bo nigdy nie prosiłam o prezenty ani o pieniądze, a przede wszystkim nigdy nie chciałam być niczyją kochanką. Po jakimś czasie nie ma to już jednak żadnego znaczenia, czego się chciało, prawda? – Popatrzyła po sobie, obejmując spojrzeniem krzykliwą biżuterię i głęboko wyciętą srebrną suknię. – Czy nie wyglądam jak najdroższa nierządnicą Rzymu?

– Nie. Nigdy nie wyglądałaś – odparłem.

– Nie ma potrzeby bronić mojego honoru, Leonello – powiedziała lekko, jakby prowadziła towarzyską rozmowę. Podejrzywałem, że mówi o czymkolwiek tylko po to, by odwrócić moją uwagę od bólu przeszywającego mi ciało. – Teraz jestem dziwką i dobrze odegram swoją rolę przed Francuzami. Ale nie zawsze nią będę. To lato z moją rodziną... coś mi pokazało.

– Co takiego? – Uniosłem brwi. Nawet to sprawiało mi ból. – Idylliczne rozkosze Carbognano, tak cudnie odmalowane przez twojego pocziwego pana męża?

– Tak. – Giulia sięgnęła na stojący za piecykiem stół i odkorkowała butelkę wina. – Kiedyś to zdobędę. Odzyskam swoje zwykłe życie.

– Chcesz takiego życia?

– Kiedyś. Nawet jeśli będę musiała je wieść u boku Orsina.

– Nie jest taki zły – powiedziałem mimowolnie.

– Nie – przyznała Giulia. – Ale jest tchórzem. Miałeś rację.

– Kocha cię – powiedziałem ku własnemu zdumieniu. Jak to możliwe, że rozmawiam o miłości z najdroższą nierządnicą Rzymu? Boże, ależ chciało mi się pić.

– Orsino mnie nie kocha. – Nalała mi kieliszek, jakby czytała w moich myślach, i pomogła mi unieść głowę, żebym mógł się napić, nie oblewając się. – Gdyby mnie kochał, naplułby Rodrigowi w twarz i powiedziałyby, że woli zostać ekskomunikowany i przeklęty niż się mnie wyrzec. Usłyszałyby, że zostałam wzięta do niewoli przez Francuzów, i przyjechałyby tu bez namysłu, by mnie ratować. – Giulia potrząsnęła głową. – Nie wydaje mi się, bym budziła w mężczyznach miłość. Tylko namiętność, i to tak naprawdę nie do mnie. – Beznamiętnie wskazała swoją twarz, złote włosy i wyperfumowane piersi. –

Namiętność do tego.

– Papież poruszy niebo i ziemię, by cię odzyskać całą i zdrową – powiedziałem. – Czy to nie jest miłość?

– Tylko żarliwsza namiętność. – Podniosła mi znów kieliszek do ust i poprawiła koce. – Pewnego dnia zblednie i Rodrigo zmęczy się mną, a wtedy wrócę do mojego tchórzliwego męża. Dziwne, ale nie boję się tego tak bardzo jak kiedyś. – Wzruszyła ramionami. – Wiesz, dlaczego głupiutkie kobiety rozplývają się nad Dantem i Petrarcą, Leonello?

– Dlaczego?

– Bo lubimy udawać, że jesteśmy Laurą lub Beatrycze. Kobietami, które budzą zarówno namiętność, jak i miłość, również w wierszach. – W tonie głosu Giulii pojawiła się gorycz. – Ale kobiety takie jak ja nie są natchnieniem poetów. I Laura, i Beatrycze były cnotliwe i niewinne... Nikt nie pisze poezji dla ladacznic.

– Uważaj się za szczęściarę – powiedziałem. – Wielka miłość owocuje koszmarną poezją. Przypominasz sobie straszliwe sonety pana Sforzy na cześć Lukrecji? „Bądź pozdrowiona, o jasna bogini wiosenna...”

Giulia roześmiała się i tym razem chyba szczerze. Dobrze było to słyszeć.

– Nie myśl, że się skarżę na swój los, Leonello. W końcu większość kobiet nie może liczyć nawet na namiętność. A uczucia Jego Świątobliwości dla mnie są

na tyle gorące, by stawił czoła całej Francji, a to znacznie więcej niż wszystko, na co kiedykolwiek zdobyłby się Orsino.

Nie znalazłem na to odpowiedzi.

Moja pani otuliła mnie ciaśniej kocami i wstała.

– Dopóki jednak Jego Świątobliwość nie wyśle propozycji okupu, lepiej będzie, jak pójdę na kolację z generałem d’Allegre i zrobię co w mojej mocy, by zapewnić nam wszystkim bezpieczeństwo. – Przygładziła włosy, wyrównała fałdy lśniącej sukni i westchnęła, przesuwając lekko ogromną perłę, by była lepiej widoczna między jej piersiami. – Święta Panienko, ależ to będzie nieprzyjemne.

Mimo koców i piecyka przeszedł mnie dreszcz.

– Z pewnością generał nie tknie jeńca nawet palcem.

Pozostawienie mnie, żebym szczeł od ran, jakoś mnie nie dziwi, wszak karłowaty strażnik nie ma żadnego znaczenia, ale najukochańsza papieża...?

– Zachęcę go, by mnie tknął, Leonello – powiedziała Giulia cicho. – Całą dłońią, jeśli tylko będzie chciał. Jeśli dzięki temu moja córka będzie bezpieczna, a moje służące nie zostaną zgwałcone, jeśli dzięki temu uda mi się sprowadzić chirurga, żebyś się nie wykrwawił na śmierć, to pozwolę temu francuskiemu generałowi podnieść mi spódnice i ujeżdżać mnie jak klacz.

Wyfrunęła z zakrystii jak aktorka wychodząca na

scenę.

Usłyszałem dobiegający z kąta ostrożny głos Pantisilei:

– Kazała mi się tobą zaopiekować, Leonello. Mogę ci przynieść jedzenie...

Zamknąłem oczy.

– Wyjdź.

Drzwi zakrystii zatrzasnęły się głucho, pozostawiając mnie w zaległej nagle ciszy. Wciągnąłem ze świstem powietrze i splunąłem krwią. Ręka pulsowała mi bólem, jakby zmiażdżono mi ją w imadle, a zabandażowana rana na biodrze otworzyła się i barłóg pode mną zaczął przesiąkać krwią. Przynajmniej miałem nadzieję, że to krew. Sądząc jednak z zapachu, miałem pełne prawo obawiać się, że się zasikałem. Mocz, krew i wściekłość – cały pokój był nimi przesiąknięty... I po co? Zatrudniono mnie, bym chronił kochanicę papieża przed niebezpieczeństwami, i oddałem za to całe swoje nędzne, karłowate ciało, a mimo to poniosłem klęskę. Pójdzie teraz odegrać kurwę przed Francuzami, a ja tu będę leżał i umierał, i ani jedno, ani drugie nie mogło tu nic zmienić.

Poniosłem klęskę. Poniosłem klęskę.

Byłem sam, więc nie powstrzymałem krótkiego, urywanego szlochu, który wyrwał mi się z zaciśniętych zębów. Przycisnąłem okaleczoną dłoń do piersi. Boże, jak to bolało. Nigdy nie sądziłem, że cokolwiek może tak boleć.

– Leonello, pozwól, że ci pomogę...

Drzwi otworzyły się ze zgrzytem i dobiegł mnie wenecki akcent Carmeliny Mangano. Rozbrzmiały szybkie kroki i poczułem, jak jej szczupła, umięśniona ręka wślizguje mi się pod głowę i unosi ją lekko, by łatwiej mi było oddychać. Byłem tak obolały, że nie mogłem odmówić, i z urazy aż zacisnąłem wargi. Jak śmiała oferować mi pomoc, kiedy nie mogłem rzucić jej tej oferty w twarz?

– Proszę, napij się wina. – Podparła mnie tak, że prawie siedziałem, a potem zaczęła się miotać po zakrystii, grzebiąc pogrzebaczem w piecyku i odkorkowując wino. Nie miałem pojęcia, skąd bierze energię pod koniec tak ciężkiego dnia, kiedy ja byłem w stanie tylko zaczerpnąć ze świstem kilka płytkich oddechów, próbując nie krzywić się nadmiernie z bólu. Zmiażdżony mały palec zaczął tętnić w zupełnie innym rytmie niż reszta mojej poharatanej dłoni, a ból zaciskał się na nim jak ostre zęby.

– Myślę, że ja też się napiję – rzuciła Carmelina przez kościste ramię, grzebiąc w poszukiwaniu kolejnego kielicha. – Pani Giulia powiedziała, żebyśmy spróbowali się przespać, kiedy ona pójdzie ucztować z francuskimi dowódcami, ale nie sądzę, by którakolwiek ze służących choćby zmrużyła oko. Nie po tym, co usłyszałyśmy od francuskich wartowników.

Wzdrygnęła się.

Podniosłem na nią oczy, gdy podawała mi kielich

wina.

– Dziękuję.

Uciekła wzrokiem. Siniec pokrywający jej połowę twarzy był prawie równie spektakularny jak mój. Żałostnego widoku dopełniały podkrążone z wyczerpania oczy i sztywne czarne loki, które wysmyknęły się z warkocza i kołysały się na jej plecach. Odrosły już na przyzwoitą długość.

– Chcesz coś do jedzenia? – Skubała nitkę, która odpruła się jej od rękawa. – Francuzi przynieśli nam trochę prowiantu, a ja mam jeszcze nieco smacznego zabaglione z koszyka Bartolomea...

– Nie jestem głodny. – Udało mi się uchwycić kielich połamanymi palcami, choć czułem, jak stawy ocierają się o siebie, jakby wypełniał je rozgrzany do czerwoności piasek. – A poza tym nie sądzę, żebym dożył możliwości strawienia twojego zabaglione.

Skrzywiła się, patrząc na widoczne pod kocami potężne buły moich bandaży.

– Jest aż tak źle?

– Nie, jest cudownie. – Przesadnym gestem wskazałem swoje siniaki, bandaże i otaczającą mnie chmurę smrodu. Zdecydowanie się posikałem. – To lepsze niż gorąca kąpiel, masaż i miękkie łóżko z Giulią Farnese u boku jednocześnie. – Wypiłem pół kielicha wina jednym haustem. Zazwyczaj piłem oszczędnie, ale umierający człowiek ma swoje prawa. – Dobry gatunek. To to blade wino z Chiarello?

– Tak, szczęśliwym trafem nie wpadło w łapy Francuzów. – Pociągnęła sobie zdrowo. – Powiedziałabym, że na nie zasłużyliśmy.

– Przynajmniej ja. – Zdołałem unieść butelkę i dopełnić kielich. Czułem, jak w moich zmaltretowanych piersiach wzbiera gniew, i zacząłem podsycać go ostrożnie jak maleńki płomyk. Gniew był znacznie lepszy niż ból. – Ty, *signorina cuoca*, masz sporo na sumieniu.

– Co masz na myśli? – zapytała ostrożnie.

– Że to twoja wina, że pojechaliśmy drogą na Montefiascone i wpadliśmy Francuzom prosto w łapy. Wczorajszego wieczoru stałem na straży pod komnatą pani Giulii. Przyniosłaś jej talerz biscotti, wyrecytowałaś historyjkę o mężczyźnie, który cię tak posiniaczył – wskazałem dłonią jej twarz – i zapytałaś, czy możemy pojechać inną drogą, by uniknąć spotkania z nim i jego kompanami.

– To prawda. Zostałam napadnięta. – Podniosła głos. – Nie wiedziałam, że przy tej drugiej drodze będą stali Francuzi. Skąd miałam wiedzieć?

– Och, wierzę ci. Nie wierzę tylko w to, że zostałaś napadnięta. Pani Giulia jest ufna, więc może łyknęła tę twoją historyjkę, ale ja nie. Widziałem, jak dzierzysz tasak, Carmelino. Gdyby jakiś mężczyzna próbował bez pozwolenia rozłożyć ci te twoje długie nogi, przepędziłabyś go nożem, a następnego ranka jeszcze byś go opluła, nie zaś uciekła w panice w przeciwną

stronę. – Zapatrzyłem się w sufit i gwizdnąłem. – Naprawdę mi się to w tobie podoba. Gdybym był w wystarczająco dobrej formie, wyzwałbym cię na pojedynek w rzucie nożem, upiłbym cię, a potem sam spróbował cię skłonić do rozłożenia nóg. Mamy tu pewną różnicę wzrostu, ale zaskakujące, jakie to się staje nieistotne, jak się człowiek położy.

– Jesteś pijany – warknęła Carmelina, ale oczy miała w tej posiniaczonej twarzy szeroko otwarte i poczułem złośliwą satysfakcję.

– Chodziło o tych Wenecjan, którzy zatrzymali się na noc, prawda? Myślę, że wpadłaś na kogoś, kto cię zna. Kuzyn, brat... Może nawet sam arcybiskup... Powiedz mi, czy znał cię z zakonu?

Carmelina zamarła. Migoczący płomień piecyka oświetlił jej wydatny nos, który rzucił cień na jej twarz. Gdzieś zza drzwi zakrystii dobiegł mnie szloch służącej i uspokajający głos pani Adriany.

– Mylisz się – rzekła w końcu Carmelina Mangano. Jej głos zazgrzytał rdzawo jak stare koło. – Mylisz się, nigdy...

– Oszczędź mi – powiedziałem z pogardą. – Obcięte włosy. Unikanie kościołów. To, że nie masz wykształcenia, a jednak znasz wszystkie modlitwy, co się okazuje, gdy tylko jakiś odwiedzający nas kardynał zacznie paplać po łacinie. Możesz się określać mianem kucharki, ale zanim włożyłaś fartuch kucharki, zrzuciłaś welon zakonnicy. Podejrzewam, że to jakiś wenecki

zakon umożliwił twojej rodzinie pozbycie się niepotrzebnej córki. Tej, która miała zbyt pospolitą urodę i zbyt cięty język, by zdobyć męża, nawet jeśli rzeczywiście gotowała jak anioł. – Zlustrowałem ją chłodnym spojrzeniem. – Jesteś zakonnicą, Carmelino. Uciekłaś i jeśli cię złapią, to zaciągną cię tam z powrotem i twoja ksieni każe ci to odpokutować o chlebie i wodzie. I już nigdy więcej nie pozwoli ci ugotować nic poza wodnistym gulaszem dla zgromadzenia.

– Nie. – Potrząsnęła głową krótko, raptownie, w lewo i w prawo, w lewo i w prawo. – Nie, ja...

– Wiem to od miesiący. Jak myślisz, dlaczego przestałem cię zdręczać? To już nie miało sensu, bo wszystko zrozumiałem. Nie chciałoby mi się nawet ust otwierać, żeby o tym mówić, gdyby nie to, iż to twoja wina, że tak cierpię. – Rzuciłem w nią pustym kielichem i zatchnąłem się z bólu, który mnie przeszył w boku. – Tak sparaliżowała cię perspektywa znalezienia się z powrotem za murami klasztoru, że rzuciłaś nas wszystkich Francuzom w łapy. Trzech strażników zamordowanych, połowa kości w moim ciele połamana jak gałązki, a Giulia właśnie rozkłada nogi dla francuskiego generała, i to tylko po to, by zapewnić nam wszystkim bezpieczeństwo. Gratulacje z powodu zakończonej powodzeniem ucieczki.

– Nie wiedziałam, że na tej drodze natkniemy się na francuską armię! Nie wiedziałam!

– Może i nie, ale jakoś w tym momencie nie stać mnie na wielkoduszność. Widzisz, nadal tu leżę i umieram. – Perspektywa upicia się jakoś straciła urok. Przesunąłem się na poduszkach, próbując znów położyć się płasko. – Więc teraz znam twój sekret, *signorina cuoca*. A może powinienem mówić do ciebie *suora Carmelina*?

Chwyciła gwałtownie powietrze i poczułem przypływ okrutnej satysfakcji. Spojrzałem na nią z uniesionymi brwiami i podciągnąłem sobie koce pod brodę.

– Pomyśl o tym – powiedziałem. – Prawdopodobnie tutaj umrę. Ale jeśli nie i jeśli znajdziemy się znowu w Rzymie, doniosę na ciebie i będę z radością obserwował, jak zaciągną cię z powrotem w kajdanach do klasztoru.

Wbiła we mnie spojrzenie wytrzeszczonych oczu.

Zasalutowałem jej prawą ręką – tą z połamanymi palcami.

– Dobrej nocy.

Carmelina

Signorina! – Kiedy potykając się, wyszłam z zakrystii, Bartolomeo poderwał głowę. Modlił się z tą swoją spokojną pewnością, poruszając bezgłośnie ustami i nie wypuszczając z piegowatej dłoni zawieszzonego na szyi drewnianego krzyżyka, ale teraz wbił we mnie niespokojne spojrzenie. – Co się stało,

signorina?

– Co się stało? – Rozejrzałam się po garstce tulących się do siebie służących i strażników skulonych bezwładnie pod kamiennymi ścianami, wyczerpanych i wstrząśniętych. – A co się nie stało, Bartolomeo? Możesz mi na to pytanie odpowiedzieć?!

– Zjedz coś – powiedział bezradnie mój uczeń. – Powinnaś jeść, signorina.

– To jest twoje rozwiązanie? Zjeść coś? – Nogi się pode mną ugięły i bez sił usiadłam obok niego na podłodze. – Jesteś prawdziwym kucharzem, Bartolomeo.

Jego piegowata twarz rozpromieniła się natychmiast. Przynajmniej jedna osoba potrafiła dostrzec promyk światła w tej mrocznej otchłani, do której zostaliśmy strąceni.

Z mojego powodu.

Zwinęłam dłonie w pięści, lecz nie potrafiłam opanować ich drżenia. W głowie kołatały mi się ogłuszająco dwa słowa: on wie. On wie. On wie, on wie, on wie. Ten złośliwy karzełek umierający w sąsiednim pomieszczeniu. Rozszarpany niemal na kawałki, a jednak nadal szarpiący mnie.

Suora Carmelina – było w tym tylko pół prawdy. Kiedy klęczałam na kamiennej posadzce i pałając złością, składałam śluby wieczyste w Zgromadzeniu Sióstr Świętej Marty, otrzymałam imię *suora Serafina*.

On wie, on wie, on wie. Choć nie ma pojęcia, jaką naprawdę dysponuje władzą, by mnie zniszczyć.

Doniósłby na mnie jako na zbiegłą zakonnice. Zbiegłe zakonnice na ogół dostarczano z powrotem do zakonu, a czekająca je kara była kwestią osobistego uznania ich przełożonych. Gdyby jednak zdemaskowano mnie jako zbiegłą z zakonu zakonnice, wkrótce dowiedziano by się, z jakiego zakonu zbiegłam... Gdyby tylko zaczęto rozpytywać w Wenecji, wkrótce wypłynęłaby historia o siostrze, która obrabowała swój klasztor z relikwii, i to nie jakiejś tam relikwii, lecz dłoni świętej patronki zakonu – po czym uciekła. Tych, którzy dopuścili się profanacji, czekała wystarczająco makabryczna kara: powieszenie głową w dół na wystawionej na widok publiczny szubienicy, na oczach wiwatującego tłumu, pod gradem kamieni. Zbiegłą zakonnice, która dopuściła się profanacji, czekał w Wenecji znacznie gorszy los.

– Signorina... – odezwał się nieśmiało siedzący u mego boku Bartolomeo.

Odwróciłam się i oparłam czołem o ramię mojego ucznia, wsuwając zimną dłoń do jego rękawa. Mistrz kuchni nie powinien okazywać słabości wobec swoich podwładnych, ale nie byłam mistrzem kuchni. Byłam oszustką. Giulie Farnese nazywali Oblubienicą Chrystusa, ale to ja byłam prawdziwą oblubienicą Chrystusa i żaden z moich grzechów nie mógł mi zostać wybaczony. Zakonnicom nigdy się nie wybacza. Ich nieprawości obciążają je podwójnie, bo ich dusze należą do Boga i muszą pozostać nieskalane. Kiedy zakonnica

odwraca się od swojego zgromadzenia, odwraca się od samego Boga. Kiedy zakonnica bierze sobie mężczyznę do łóżka, popełnia cudzołóstwo wobec samego Boga. Kara za grzechy zakonnicy jest zawsze okrutniejsza... A moja mściwa przeorysza ze Zgromadzenia Sióstr Świętej Marty, ze swoim aksamitnym głosem i koneksjami wśród wszystkich potężnych rodzin weneckiej arystokracji, dopilnuje, żebym poniosła najcięższą możliwą karę przewidzianą za zbezczeszczenie ołtarza.

Dopilnuje, by ucięto mi ręce i nos.

Może po tym zostanę powieszona głową w dół na szubienicy, żebym tam umarła, a może zostanę po prostu zwrócona zakonowi, co nie będzie już miało żadnego znaczenia. Bez rąk, którymi można kroić i mieszać, i bez nosa, którym można wąchać, nigdy już nic nie ugotuję. Po porzuceniu habitu i klasztornych murów miałam mnóstwo czasu, by rozważyć ten los. I może to głupie, ale wiedziałam, że wolę śmierć niż nędzną egzystencję szkarady z kikutami rąk i nosa.

Oczy mnie zapiekły. Trzęsłam się na całym ciele i nie protestowałam, kiedy mój uczeń z wahaniem objął mnie ramieniem.

– Wyjdziemy z tego, Carmelino – rzekł Bartolomeo, a ja nie zaprotekowałam i wówczas, gdy zwrócił się do mnie po imieniu.

Pantisilea weszła do zakrystii z tacą, a teraz wyszła z nietkniętym jedzeniem, potrząsając głową.

– Leonello nie chce jeść – powiedziała. – I znów pluje krwią... Zabandażowałam jego rany, ale on krwawi do wewnątrz...

– Umiera – rzekł jeden ze strażników brutalnie.

Niewystarczająco szybko. Nigdy w życiu nie modliłam się o to, by ktoś umarł, ale teraz prosiłam niebiosy właśnie o to. Umieraj, ty mały, złośliwy skurwysynu. Zdechnij i zabierz moją tajemnicę do grobu.

– Jeśli pani Giulii nie uda się sprowadzić dla niego chirurga... – Pantisilea przygryzła wargi. – Czy sądzisz, że naprawdę będzie musiała...? Ten okropny francuski generał...

– Jeśli tak się stanie, ode mnie papież na pewno nigdy o tym nie usłyszy – powiedziała Adriana da Mila ponuro, pochylając głowę nad loczkami Laury.

Wzdrygnęłam się. Po głowie przestały mi się tłuc słowa „on wie, on wie”. Teraz słyszałam już tylko ogłuszające „moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina”.

– Lepiej, żeby udało jej się szybko ściągnąć tego chirurga. – Pantisilea podniosła dłoń do oczu. – On tak bardzo stara się nie krzyknąć z bólu, że doprowadza mnie do łez. Tyle bólu na takiego małego człowieka. To go zabije.

Miałam taką nadzieję. Albo on, albo ja... Być może od dnia naszego pierwszego spotkania nie było innej możliwości.

Znów zapadło milczenie. Bartolomeo wciąż otaczał mnie ramieniem, lecz byłam zbyt wyczerpana i przerażona, by je strząsnąć. Chciałam krzyczeć i wyć, chciałam się ukryć jak dziecko lękające się ciemności, ale od tego nie było ucieczki. On wie, on wie, on wie.

Bartolomeo próbował mnie namówić na zjedzenie czegoś, nieustannie wygrzebując z kosza nowe wiktuały. Rosła sterta serwetek, na nich gomółki sera i bochny chleba, pokrojone mięsa, łyżki, gałązki wysuszonych ziół... i zakorkowana buteleczka cykuty, którą trzymałam do trucia szczurów. Mój wzrok spoczął na buteleczce.

– Masz jeszcze wino, Bartolomeo? – Pantisilea razem z moim uczniem zaczęła grzebać w koszu. – Skoro jeszcze nie mamy chirurga dla biednego Leonella, to przynajmniej mogę go upić, żeby odrobinę uśmierzyć ból.

Znałam coś, co mogło uśmierzyć jego ból całkowicie. Patrzyłam na buteleczkę cykuty tak długo, aż zaczęła mi się dwoić i rozmazywać w oczach. Słyszałam niemal, jak święta Marta cmoka z dezaprobatą, jakby wysuszona rączka w sakiewce miała jakiś język, którym można cmoknąć.

Albo on, albo ja. Czułam zapach rozłupanego drewna i zaschniętej krwi. Zapach pnia katowskiego. Będę go czuła, gdy zmuszą mnie do położenia na nim głowy, tuż przed tym, jak odetną mi nos. Będzie to ostatnia rzecz, jaką kiedykolwiek powącham, a wszystko

to przez złośliwość karła.

Ogarnięta dławiącym, przyprawiającym o mdłości
lękiem, ukryłam buteleczkę w spoczonej dłoni.

Epilog

Strach jest dzieckiem śmierci.
STARE WŁOSKIE PRZYSŁOWIE

Rzym

Dziewczyna jest przerażona. Michelotto to widzi i słyszy, wyczuwa dotykiem i węchem i wie, że kiedy dotknie ustami jej skóry, poczuje to smakiem. Zawsze miał talent do wyczuwania strachu wszystkimi pięcioma zmysłami. Kładzie obciążoną rękawiczką dłoń na jej gardle i je gładzi.

– Nie skrzywdzę cię – obiecuje.

I mówi prawdę. Skrzywdziłby ją, gdyby takie dostał polecenie, ale go nie dostał.

– Zabij ją szybko – rozkazał mu Cezar Borgia. – W końcu jest tylko dziwką z Borgo... Nie zasłużyła sobie na to.

Michelotto wzrusza ramionami i chwytając dziewczynę za nadgarstki, jeden po drugim, po czym przywiązuje ją, rozkrzyżowaną, do zniszczonego stołu. Nie zawraca sobie głowy rozmyślaniami o tych, których zabija, ani o tym, czy zasługują na śmierć, czy nie. Jest psem Cezara Borgii i jak każdy dobry pies robi to, co mu się każe. Ni mniej, ni więcej.

– Karzeł zadaje coraz więcej pytań.

– Wiem.

Cezar Borgia był rozbawiony.

– I nie przestanie.

– Nie.

Kiedy Michelotto zasugerował możliwość zmylenia małemu człowieczkowi tropów, syn papieża dostrzegł sensowność tego pomysłu.

– Możesz zatem zabić tę tutaj – powiedział. – Ja będę zajęty gdzieś indziej, w obecności wielu świadków. Nie narzekam na brak pracy – dodał. – Wygląda na to, że La Bella została pojmana przez Francuzów i jeśli nie powstrzymam Ojca Świętego, gotów wypowiedzieć wojnę Francji.

Dziewczyna skomli i pochlipuje. Michelotto uważnym wzrokiem obrzuca pomieszczenie. Szczegóły. Tak, wygląda dobrze, mały człowiek się nie zorientuje. Michelotto zaproponował, że zabije małego człowieka – co byłoby prostsze – ale Cezar Borgia go lubi.

– Przykro mi – mówi Michelotto dziewczynie. – To niesprawiedliwe, wiem.

Zakrywa jej oczy dłonią, by nie widziała. Chwilę później już go nie ma. Poprawiając pożyczoną maskę i strzepując krople krwi z rękawiczek, znika w krętych uliczkach Świętego Miasta.

Przypis historyczny

Borgiowie zdominowali myślenie współczesnych o renesansie, fascynując mimo upływu czasu swoją władzą, charyzmą i wątpliwą reputacją. Historia ich życia zainspirowała niezliczonych pisarzy, reżyserów filmowych, naukowców i plotkarzy zgodnych tylko co do tego, jak trudno jest zaszufładować członków tej rodziny. Zdemoralizowany duchowny i jego kazirodcze potomstwo? A może kochający ojciec rodziny i jego nierozumiane latorośle? Prawda leży prawdopodobnie gdzieś pośrodku, stając się cennym kruszcem dla autorki powieści historycznych.

W dobrym guście jest obwiniać Borgiów za korupcję w Kościele, ale instytucja ta była skorumpowana na długo przed tym, jak Rodrigo Borgia zasiadł na tronie Piotrowym jako Aleksander VI. Beneficja, odpusty i przywileje były otwarcie sprzedawane i kupowane, składane przez duchownych śluby czystości i ubóstwa rażąco lekceważone, a papież w takim samym stopniu, w jakim był ojcem świata chrześcijańskiego, był również politykiem i królem sprawującym władzę nad niesfornymi papieskimi posiadłościami. Duchowni tacy jak Savonarola wygłaszali kazania na temat niebezpieczeństw grzechu

i ogni piekielnych, ale nawet ci, którzy stali w papieskiej hierarchii najniżej, rozumieli doskonale, że nie ma takiego grzechu, który nie mógłby zostać odpuszczony dzięki odpowiedniej opłacie lub pokucie. Borgiowie dali temu cynicznemu systemowi swą twarz, ale ich prawdziwym grzechem wydaje się brak hipokryzji. Rodrigo Borgia zdecydowanie nie był pierwszym papieżem, który wyniósł członków swej rodziny do wysokich godności, utrzymywał kochankę czy spłodził gromadę nieślubnych dzieci, ale to Borgia odmówił ukrywania którejkolwiek z tych rzeczy pod zwyczajowym płaszczykiem kłamstw. Ze współczesnej perspektywy niekrycie się z popełnianymi grzechami można byłoby uznać za odświeżające, lecz z perspektywy współczesnych Borgii wyglądało to zupełnie inaczej.

Giulia Farnese była jedną z wielkich piękności epoki renesansu i już wówczas, gdy wychodziła za młodego i zamożnego Orsina Orsiniego, słynęła ze swojej żywiołowości i włosów sięgających stóp. Nie wiadomo dokładnie, kiedy Giulia wpadła w oko uganianemu się za kobietami Rodrigowi Borgii ani czy jej małżeństwo z Orsinem było od początku ukartowane jako przykrywka dla zakazanego związku. Dla swojej poprzedniej kochanki, Vannozzy dei Cattanei, Rodrigo zaaranżował kilka małżeństw z posłusznymi mężczyznami. W chwili, w której kardynał Borgia został wybrany na papieża, Giulia Farnese była już jego

oficjalną kochanką, zainstalowaną w przyjaznym domostwie wraz ze swoją najwyraźniej uległą teściową Adrianą da Mila i młodą Lukrecją Borgia. Zręczność, z jaką Giulia radziła sobie ze swym zmiennym papieżem przez cały okres trwania ich długiego i ewidentnie przepełnionego namiętnością związku, wskazuje na to, że kobieta okrzyknięta Oblubienicą Chrystusa była nie tylko piękna, ale i inteligentna.

Nie ma pewności co do daty urodzenia ani ojcostwa córki Giulii, Laury. Zgodnie z ówczesnymi plotkami wierzono, że Laura jest dzieckiem papieża, ale otrzymała nazwisko Orsini. Mąż Giulii został sownie wynagrodzony za pożyczenie żony, nigdy jednak nie realizował zawartej umowy tak ulegle, jak mężowie Vannozzy dei Cattanei. Giulia raz, po swojej ucieczce do rodziny w Capodimonte, by stanąć przy łożu śmierci brata, niemal połączyła się z Orsinem, ale cytowane w tej książce wściekłe listy papieża szybko nadszarpnęły zdecydowanie, z jakim Orsino chciał odzyskać żonę. W wyniku opóźnienia w powrocie do Rzymu Giulia i towarzysząca jej świta wpadli w ręce dokonującej inwazji armii francuskiej – a Francuzi z rozkoszą skorzystali z przewagi, jaką zyskali nad rozgorączkowanym papieżem.

Carmelina jest postacią fikcyjną. Większość zawodowych kucharzy w znakomitych domach była mężczyznami, ale ówczesni kucharze szkoleni byli bez ścisłego nadzoru formalnego cechu, więc utalentowana

córka kucharza mogła pobierać nauki u swojego ojca. Renesans był złotym wiekiem, zarówno gdy chodziło o sztukę, jak i o jedzenie. Prawie wszystkie przepisy podane w tej książce zostały zaczerpnięte z ocalałych renesansowych książek kucharskich. W Wenecji istniało Zgromadzenie Sióstr Świętej Marty, które chętnie się posiadaniem dłoni świętej Marty, patronki kucharzy, ale nie zachowały się żadne relacje o kradzieży tej relikwii. Profanacja kościoła lub ołtarza była jednym z najpoważniejszych wówczas przestępstw, za które karano takimi torturami jak uduszenie garotą, wieszanie głową do dołu lub odcinanie rąk i uszu. Sprawiedliwość w renesansie była jednak zawsze kwestią arbitralną, a kary nakładano zależnie od statusu społecznego sprawcy i wniesionych przez niego opłat.

Postacią fikcyjną jest również Leonello. Wśród arystokracji renesansu karły były ogromnie popularne jako błazny, żonglerzy i towarzysze; rozmnażano je nawet jak zwierzęta domowe. Ciemny lud, przeciwnie, obawiał się ich i brzydził, widząc w nich demony, odmieńców lub po prostu ludzi przeklętych przez Boga.

Mając na względzie dobro opowieści, pozwoliłam sobie na dość swobodne potraktowanie faktów historycznych. W rzeczywistości małżeństwo Giulii z Orsinem zostało zawarte nieco wcześniej, gdy mieli odpowiednio piętnaście i szesnaście lat. Przesunęłam nieco uroczystość w czasie, by zbiegła się z wyborem papieża. Zmieniłam harmonogramy podróży, by Cezar

mógł być obecny na podniecającej uczcie Carmeliny, papież mógł być świadkiem na weselu swojego syna Jofrégo w Neapolu, a Orsino Orsini mógł odwiedzić Giulię w Capodimonte, a nie tylko pisać do niej listy. Istnieje kilka niepotwierdzonych portretów Giulii, włączając w to *Damę z jednorożcem* Rafaela, który to obraz wisi dziś w rzymskiej Galerii Borghese (przedstawiona na obrazie blond piękność nie tylko prezentuje naszyjnik z wielką perłą w kształcie gruszki, ale również trzyma na kolanach małego koziołka odmalowanego jako miniaturowy jednorożec). Nieukończony obraz Rafaela *Przemienienie Pańskie*, wiszący obecnie w Muzeach Watykańskich, również przedstawia prawdopodobnie Giulję jako klęczącą postać o jasnych włosach, w tej samej pozie, którą przyjęła przy okazji konkursu piękności w Pesaro. Oba obrazy zostały jednak namalowane znacznie później, ponieważ gdy miały miejsce wydarzenia opisane w tej książce, Rafael był jeszcze bardzo młody.

Historia rodziny Borgiów nabrała tempa wraz z francuską inwazją. W dalszej części sagi Giulia i jej przyjaciele będą musieli stawić czoła wielu niebezpieczeństwom.

Spis postaci

*oznacza postaci historyczne

RODZINA BORGIOW

*RODRIGO BORGIA – kardynał Walencji, później papież Aleksander VI

*CEZAR BORGIA – najstarszy syn Rodriga, biskup Pampeluny, później arcybiskup Walencji i kardynał

*JUAN BORGIA – drugi syn Rodriga, ksiązę Gandii

*LUKRECJA BORGIA – córka Rodriga, później hrabina Pesaro

*JOFRÉ BORGIA – najmłodszy syn Rodriga, ksiązę Squillace

*VANNOZZA DEI CATTANEI – poprzednia kochanka Rodriga, matka czworga jego dzieci

*ADRIANA DA MILA – kuzynka Rodriga

*ORSINO ORSINI – syn Adriany da Mila, mąż Giulii Farnese

RODZINA FARNESE

*GIULIA FARNESE

*LAURA – córka Giulii

*ALESSANDRO FARNESE, nazywany SANDRO – brat Giulii, później kardynał

- *ANGELO FARNESE – brat Giulii
- *BARTOLOMEO FARNESE – brat Giulii
- *GEROLAMA FARNESE – siostra Giulii
- *PUCCIO PUCCI – mąż Gerolamy

W RZYMIE

MARCO SANTINI – *maestro di cucina*
Adriany da Mila

CARMELINA MANGANO – kuzynka Marca
z Wenecji, kucharka w pałacu Adriany da Mila

*PANTISILEA, PIA, TADDEA – służące Giulii
Farnese

LEONELLO – oszust karciany i osobisty
strażnik Giulii Farnese

*MICHELOTTO CORELLA – osobisty
strażnik Cezara Borgii

*BARTOLOMEO – uczeń pobierający naukę
w kuchni

PIERO, OTTAVIANO, GIULIANO, UGO,
TOMMASO, BRUNO – pozostali uczniowie
pobierający naukę w kuchni

*JOHANN BURCHARD – papieski mistrz
ceremonii

*PINTURICCHIO – malarz

*CATERINA GONZAGA – hrabina
Montevecchio

*OTTAVIANO DA MONTEVECCHIO –
hrabia Montevecchio, mąż Cateriny

ANNA – służąca z gospody, znajoma Leonella

*ŚWIĘTA MARTA – relikwia

WE WŁOSZECH

*GIOVANNI SFORZA – hrabia Pesaro, mąż
Lukrecji Borgii

PAOLO MANGANO – ojciec Carmeliny,
wenecki mistrz kuchni

W HISZPANII

*FERDYNAND II ARAGOŃSKI i *IZABELA
I KASTYLJSKA – król i królowa Kastylii
i Aragonii

*MARÍA ENRÍQUEZ DE LUNA –
spokrewniona z rodem królewskim, żona Juana
Borgii i księżna Gandii

W NEAPOLU

*FERRANTE I – król Neapolu

*ALFONS II – syn Ferrante I, później król
Neapolu

*SANCHA ARAGOŃSKA – nieślubna córka
Alfonsa II, żona Jofrégo Borgii i księżniczka
Squillace

WE FLORENCJI

*GIROLAMO SAVONAROLA – dominikanin

WE FRANCJI

*KAROL VIII – król Francji występujący
z roszczeniami do tronu Neapolu

*GENERAL YVES D'ALLEGRE – dowódca
wojsk francuskich

Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Część pierwsza. Maj – sierpień 1492](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Część druga. Czerwiec 1493 – listopad 1494](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Epilog](#)

[Przypis historyczny](#)

[Spis postaci](#)